

DORIS MORTMAN

PIERWORODNA
TOM I

PROLOG

Pierwszego września 1939 roku, w kilka minut po ogłoszeniu w amerykańskim radio komunikatu o napaści Niemiec na Polskę, zmarła Franyu Bekah Lublin Rostov. Niemcy, brutalnie szturmując granice, zaatakowali z wystarczającą siłą, by odnieść absolutne zwycięstwo. Nowotwór, który rok wcześniej zaczął drążyć ciało Franyu, postępował wolniej, lecz z podobnie niszczycielskim skutkiem. Choroba pochłonęła życie czterdziestoletniej kobiety, zabierając Sinnochowi Rostovowi żonę, z którą przeżył dwadzieścia lat. Pozostawiła mu pięcioro dzieci. W chwili śmierci wszyscy byli przy niej, każde przytłoczone bezmiarem cierpienia i zalane powodzią wspomnień.

Sinnoch patrzył na martwe ciało żony, nie mogąc zaakceptować jej śmierci. Przyglądał się grubym, czarnym włosom okalającym pierścieniami jej twarz w kształcie serca. Mimo że wybielona przez śmierć, cera Franyu przypominała dawny odcień. Za życia była tak delikatna, że najmniejsze muśnięcie różu zdawało się zakłócać jej perfekcję. Mały nos, z charakterystycznym dołeczkiem na czubku, zawsze przyciągał wzrok patrzących.

Miała zamknięte oczy, a mimo to Sinnoch nadal czuł koloryt i intensywność jej spojrzenia. Widział lśniący błękit złamany pomarańczową plamką. Chłonał tę bezpośredniość, uczciwość i otwartość, które zawsze dodawały mu sił. Pamiętał isierki pojawiające się w jej oczach, gdy któreś z dzieci zrobiło coś zaskakującego, kiedy ją całował lub gdy próbowała wyzwolić go z przygnębienia lub złego nastroju.

Dotknął jej nadgarstka, przekręcił plastikową, szpitalną bransoletkę i bezmyślnie patrzył na wypisane imię. Pomimo tych dwudziestu lat ich imiona - Frances i Sam - przypomniały mu wakacje na wyspie Ellis, gdzie tak właśnie ochrzcił ich jakiś niecierpliwy urzędnik, nie mający czasu na rozszyfrowywanie słabego angielskiego, jakim wówczas

władali. Przyjaciele również używali tych zangielszczonych imion, podobnie jak klienci w ich sklepie z biżuterią i wierni w synagodze. Jednak w domu, przy dzieciach, nadal pozostawali Franyu i Sinnochem, tak jak w chwili, gdy spotkali się po raz pierwszy.

On terminował u jubilera, a Franyu pochodziła z arystokracji. Nie traktowała jednak różnic klasowych jak barier dzielących ludzi. Spotkali się podczas jednego z pogromów nękających Polskę na początku dwudziestego wieku. Sinnoch, członek Żydowskiego Ruchu Oporu, próbował uciec przed kilkoma polskimi nacjonalistami, którzy upatrywali w Żydach zagrożenie dla istnienia swojego kraju. Na nieszczęście, kiedy wyszedł na ulicę z podziemnego labiryntu warszawskich kanałów, ponownie znalazł się w sieci uliczek żydowskiej części miasta. Szukał schronienia w pierwszym napotkanym domu, który wydał mu się bezpieczny. Był nim stary skład, gdzie wydawano chleb i mąkę najbardziej potrzebującym. Wbiegł do środka i poprosił o pomoc. Dwie kobiety odwróciły wzrok, ogarnięte paniką na samą myśl o zetknięciu z kryminalistą. Tylko Franyu nie bała się spojrzeć w jego stronę i ona właśnie ukryła go w bezpiecznym miejscu. W jednej chwili znalazł się pod osłoną obszernych fałd jej sukni. Gdy nadeszli prześladowcy, Sinnoch czołgał się na czworakach w szeleszczących zwojach materiału. Z przebiegłością, którą wymogła na niej sytuacja, Franyu wpuściła ich do środka. Rozmawiała z nimi opanowanym, nie zdradzającym strachu głosem. Sinnoch, z bronią gotową do strzału, nerwowo nasłuchiwał. Po niedługim czasie odeszli, by kontynuować pościg. Franyu uratowała mu wtedy życie. Cały czas go ochraniała, tak jak on otaczał ją opieką przez wszystkie lata ich małżeństwa.

Sinnoch próbował ochronić ją przed okropnościami tego świata, ale nowotwór okazał się zbyt okrutnym wrogiem. Bez

względu na to, jak bardzo ją kochał, jak dzielnie walczył i jak gorąco się modlił, nie mógł zapobiec nieszczęściu. Delikatnie, jak gdyby nie chciał obudzić jej ze snu, ułożył rękę żony wzdłuż ciała. Podniósł się ciężko i wyprowadził dzieci ze szpitalnej sali do niewielkiej poczekalni.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Nagle poczuł na swojej dłoni dotyk ręki Molly. Odwrócił się i spojrzał na najstarszą córkę. Przyszła na świat w małej miejscowości pod Paryżem, prawie dwadzieścia lat temu. Poród odbierał jeden z lekarzy walczących w żydowskim podziemiu. Przekroczyła Atlantyk owinięta w strzępy szmat i łachmany, które Franyu jakimś cudem udało się zdobyć. Molly była już mężatką i oczekiwała pierwszego dziecka, które nigdy nie miało poznać swojej babci.

Przed nim, owładnięty takim samym uczuciem bezsilności, jakie kipiało w Sinnoch, przemierzał salę osiemnastoletni syn Jacob. Był ciałem i krwią ojca, bojownikiem o sprawiedliwość, do gruntu wstrząśniętym tą bezsensowną śmiercią. Buntował się przeciwko odejściu matki, podobnie jak nie chciał się pogodzić z inwazją Niemców na ojczyznę swoich rodziców. Teraz jednak obydwaj z ojcem musieli skapitulować przed nieuchronnością śmierci.

Siedemnastoletnia Tessa o ogromnych, jasnych, pełnych smutku oczach siedziała uczeplona ramienia starszej siostry. Tessa była pomocnym duszkiem Franyu, zawsze chciała dzielić z matką każdą troskę. Teraz płakała, ale Sinnoch wiedział, że ona otrząśnie się najszybciej z nich wszystkich.

Od momentu kiedy dotarli do szpitala, dwunastoletni Benjamin nie odezwał się słowem. Za niecałe trzy tygodnie miał być przyjęty do Tory. Przez ostatni rok modlił się każdego wieczoru, by matka dożyła chwili, w której odśpiewa

swój heftarah. Wiedział, jak bardzo tego pragnęła, lecz wcale nie łagodziło to bólu chłopca.

Herb, mąż Molly, trzymał na kolanach Lillie. Miała dziesięć lat, była najmłodsza z całej gromadki i zdecydowanie najbardziej urodziwa. Wszystko w niej było przejmujące: oczy jak węgle, kruczoczarne włosy, sposób mówienia, nawet sposób, w jaki opłotła szyję Herba, a także zamglone oczy i łamany tembr głosu, gdy po raz ostatni krzyknęła „mamusiu”.

Sinnoch do ostatniej chwili nie dopuszczał myśli, że będzie musiał żyć bez Franyu. Jakkolwiek nie było w jego zwyczaju rozstrząsanie kwestii prawa do życia, patrząc na swoje osierocone dzieci poczuł, że jej śmierć była nie tylko przedwczesna, ale także niesprawiedliwa. Czuł, że Bóg jest mu coś winien. Starał się przełknąć to bluźnierstwo, ale dławził go żal i przejmujący smutek.

Molly niecierpliwie poruszyła się na krześle i nerwowo dotknęła brzucha. W jej ciele żył pierwszy wnuk Rostovów i w nagłym przypiływie nadziei Sinnoch ujrzał w tym hołd złożony zmarłej żonie.

- Bóg za szybko odebrał nam matkę - rzekł z wyraźnym żydowskim akcentem. - Czterdzieści lat to jeszcze nie całe życie. To tylko chwila, ułamek sekundy. Mama umarła zbyt młodo. Zostawiła zbyt wiele nie dokończonych spraw; zbyt dużo nie spełnionych marzeń. - Zawiesił głos, chcąc zebrać myśli. - Wy, dzieci, byłyście światłem jej życia. - Próbował się uśmiechnąć. - Może jest wolą Boga, byście dalej niosły ten płomień. - Rzucił spojrzenie na Molly, poklepał ją delikatnie po brzuchu, a potem zwrócił się do reszty. - Proszę, obiecacie, że na cześć mamy wasze pierwородne córki będą nosić imię Frances Rebecca. Zrobicie to dla mnie?

Zapadła cisza. Po chwili dzieci Franyu kolejno składały obietnicę, starsze ze zrozumieniem znaczenia swojej przysięgi, młodsze nieco zmieszane, jednak zgodnie

podporządkowujące się temu dziwnemu rytuałowi. Następnie wszyscy z powagą przypieczętowali swoje słowa w jednym, rodzinnym węźle dłoni.

Sinnoch z dumą pokiwał głową. Pewnego dnia, pomyślał patrząc na swoje potomstwo, może przyjdzie na świat pięć Rebecc, a każda z nich przejmie nic z przeszłości Franyu i pociągnie ją dalej. Miał nadzieję, że choć po części będą dzielić jej wizję przyszłości i spełnią marzenia, których nie udało jej się zrealizować w ciągu krótkiego życia.

KSIĘGA PIERWSZA

Rześki, grudniowy podmuch omiół dolinę i wbił się w kłęby mgły, które kołysząc się odpłynęły w dal. Gęsta szarość zawirowała w powietrzu, unosząc cząstki pyłu i śmieci poruszane przez niecierpliwy wiatr. Przejrzysty granat nocy zaczął ustępować jasności dnia, a kiedy słońce wyłoniło się zza gór, symfonia świtu osiągnęła swoje crescendo.

Jeszcze śpiące północne obrzeża miasta Phoenix obudził odgłos końskich kopyt. Jinx Elliot rzuciła wyzwanie ciszy. W radosnym uniesieniu gnała wierzchowca pomiędzy skałami i pękami bylicy, omijając łodygi kolczastych kaktusów saguaro. Była wprawna amazonką i konia prowadziła pewnie. Galopowała przez drzemający krajobraz niepomna na wszystko, z wyjątkiem rozpierającej radości chwili.

Nagle pociągnęła za cugle. Koń stanął dęba, zaskoczony tak raptowną zmianą komendy. By uspokoić wierzchowca, Jinx poklepała go po szyi. Jej uszu dobiegł trudno rozpoznawalny odgłos. Czekwała w napięciu, bojąc się poruszyć. Okolica nie była przyjazna. Dźwięk się powtórzył, tym razem zupełnie wyraźny. Ktoś wołał o pomoc. Rozejrzała się po rozległej, pustej okolicy.

Właśnie w tym momencie zza horyzontu wyłonił się galopujący szaleńczo ogier. W jednej chwili zorientowała się, że jeździec stracił panowanie nad wierzchowcem. Skoczyła w ich kierunku, ale ten nagły ruch jeszcze bardziej spłoszył nieokiełznane zwierzę. Koń zarżał, wspiął się na silnych zadnich nogach i zrzucił jeźdźca na ziemię. Jinx zeskokczyła z siodła i podbiegła do leżącego mężczyzny. Przyłożyła palec do jego szyi z nadzieją, że wyczuje puls. Tylko kilka cali dzieliło głowę jeźdźca od sterczącego głazu. Mężczyzna był

blady jak kreda i leżał bez ruchu. Przez moment przemknęło jej przez myśl, że pewnie już nie żyje, ale po chwili usłyszała cichy jęk. Jeszcze raz sprawdziła tętno. Było wyraźnie wyczuwalne.

Przyjrzała się leżącemu uważniej. Twarz mężczyzny nie była jej obca. Widziała zbyt wiele zdjęć i wycinków prasowych, by wątpić w jego tożsamość.

Słyszała, że Harrison Kipling zamierza spędzić Boże Narodzenie w Phoenix, ale nawet tak wiarygodne źródło informacji jak hotel „Grapevine” nie było w stanie potwierdzić tej pogłoski ani jej zaprzeczyć. Jinx, podobnie jak wszystkie młode kobiety pracujące w „Kipling Oasis”, przez ponad miesiąc wymyślała różne sposoby spotkania tego fascynującego mężczyzny, właściciela sieci hoteli. Jakkolwiek miała już parę oryginalnych pomysłów, to, co się zdarzyło, zupełnie odbiegało od jej wcześniejszych koncepcji.

Mężczyzna zaczął powoli odzyskiwać świadomość, a gdy doszedł już do siebie, Jinx ogarnął popłoch. Co będzie, gdy oskarży ją o naruszenie granicy swojej posiadłości? Co się stanie, jeśli obwini ją o spowodowanie tego fatalnego upadku? Była tak zaabsorbowana myślami, że nawet nie zauważyła, iż czcigodny pan Kipling raczył otworzyć oczy.

- Co się stało? - spytał cicho.

Z wyrazu jego spojrzenia Jinx wywnioskowała, że widzi wszystko jak przez mgłę.

- Strasznie się pan poturbował - powiedziała, zastanawiając się, co powinna teraz zrobić.

Przez jakiś czas milczał, mrużąc oczy i starając się odzyskać ostrość widzenia. Jinx cofnęła się i bacznie go obserwowała. Mimo że był na wpół przytomny i cały zakurzony, wydał jej się niezwykle przystojny. Krążące po hotelu plotki nie potrafiły oddać jego męskiego uroku. Zdjęcia i opisy nie odzwierciedlały głębi czarnych oczu i silnego

zarysu brody. Rysy twarzy przypominały renesansowy posąg - doskonale ukształtowany i zdecydowanie męski. Gęsta, czarna czupryna, przeplatana szarymi pasemkami, potwierdzała, że Harrison Kipling właśnie skończył czterdzieści jeden lat.

- Myślę, że lepiej byłoby się nie ruszać - powiedziała Jinx. - Istnieje ryzyko, że doznał pan wstrząsu mózgu.

Odpowiedział jej nikłym uśmiechem i ignorując przestrożę, uniósł się na łokciach. Oparł się o głaz i wykrzywił z bólu, kiedy jego głowa dotknęła kamienia. Jinx zdjęła żakiet.

- Proszę się unieść - powiedziała miękko. - Podłóżę żakiet.

Kiedy się nad nim schylała, dostrzegł delikatność jej ruchów i poczuł świeży zapach skóry. Zaczęło mu huczeć w głowie. Zamknął oczy i czekał, aż ból ustąpi.

Miał świadomość pochylonej nad nim, przejętej troską kobiety. Czuł jej ciepły, urywany oddech. Z zainteresowaniem przyglądały mu się duże oczy, nie całkiem lawendowe, nie całkiem niebieskie, osadzone nad wyraźnie zarysowanymi wzniesieniami policzków, po obu stronach małego, zgrabnego noska z dołeczkiem na czubku. Miała jasną cerę i pełne usta. Jej ciało było smukłe i gibkie.

- Nie widzę jeszcze wyraźnie, więc może mogłabyś mi się przedstawić? Nawet przez mgłę widział, jak jej włosy tańczą na wietrze, muskając policzki, to znów oplatając jej ramiona.

- Frances Elliot. - Rumieniec wystąpił jej na policzki. - Przyjaciele mówią na mnie Jinx.

- Dlaczego Jinx? - zapytał.

- Nie wiem. Mój ojciec tak mnie nazwał, kiedy byłam dzieckiem, i tak już zostało.

Kipling uprzejmie skinął głową, zauważając jednocześnie, że jej uśmiech nagle zgasł, a tęczówki oczu pociemniały. Czyżby powiedział coś niewłaściwego?

- Wolałabyś, żebym mówił ci Frances?

Zaśmiała się. Nastrój przygnębienia prysł jak mydlana bańka.

- Niech będzie Jinx.

- Jinx. - Powtórzył z uśmiechem i wyciągnął rękę. - Nie mogę powiedzieć, że jest mi bardzo przyjemnie, ale cieszę się, że cię spotkałem. Nazywam się...

- Wiem, kim pan jest, panie Kipling. Miał dużą dłoń i mocny uścisk.

- Wiem także, że te wzgórza należą do pana i że nie powinnam tutaj jeździć bez pańskiej zgody, ale George, szef „Oasis”, powiedział, że nie miałby pan nic przeciwko temu.

- George miał absolutną rację. Ale skoro już czujesz się winna i chcesz odpokutować za swoją nieroztropność, to może zjedlibyśmy razem śniadanie?

- Niestety, nie mogę - odparła pośpiesznie.

- Dlaczego? Czymś cię uraziłem?

- Ależ nie, wcale nie. - Poczowała, jak zaczyna jąkać się z zakłopotania. - Po prostu pracuję dla pana i to nie byłoby w porządku.

- Ja też pracuję dla siebie, a jednak mam zamiar coś zjeść. Znowu się zaśmiała, tym razem otwarcie i dźwięcznie.

- Co robisz w „Oasis”?

Nie musiała odpowiadać na to pytanie. Kiedy tylko się przedstawiła, Kipling wiedział już dokładnie, kim jest i na jakim stanowisku pracuje. Miał wręcz komputerową pamięć i od czasu do czasu przeglądał akta, żeby być zorientowanym na bieżąco w stanie zatrudnienia.

Jinx Elliot miała prawie dwadzieścia lat. Jej rodzice byli znani w Phoenix. Ojciec, Hank Elliot, pracował jako chirurg w szpitalu, matka zaś, Kate Elliot, była emerytowaną pielęgniarką aktywnie udzielającą się dla społeczności miasta. Po skończeniu pierwszych dwóch lat w Studium Hotelarskim

Jinx pracowała w „Oasis” w każde wakacje. Była rozważna, ambitna, i bardzo twórcza; doskonały nabytek.

- Podczas wakacji zarządzam opieką nad dziećmi naszych gości. Dbam, żeby wszyscy mogli dobrze wypocząć - mówiła.

- Na dzisiaj zaplanowaliśmy całodniową wycieczkę autokarem do Sedony i kanionu Oak Creek.

- Nigdy tam nie byłem - powiedział, nie mogąc oderwać od niej wzroku. - Może się przyłączę.

- Jest pan za stary. - Zamarła z przerażenia. Nie powinna w ten sposób odnosić się do swojego pracodawcy. - Chciałam powiedzieć... - wyjąkała - że to wycieczka dla dzieci od ośmiu do czternastu lat.

- Jeśli o to chodzi, to masz całkowitą rację - dodał, starając się ulżyć jej zakłopotaniu. - Jestem zdecydowanie za stary, ale mam jeszcze wszystkie zęby i właśnie umieram z głodu. Proszę, zjedźmy razem śniadanie.

To zaproszenie mogło zabrzmieć jak rozkaz i Jinx doceniła, że nim nie było.

- Będę musiała zadzwonić i uprzedzić moją asystentkę.

- Świetnie! - Był najwyraźniej zadowolony. Zaczął podnosić się z ziemi, ale przeszywający ból w kostce odbił się grymasem na jego twarzy. Jinx wstała i wyciągnęła rękę.

- Proszę się oprzeć - zaoferowała swoją pomoc. Gdy tylko zauważyła, że się zawahał, jej głos przybrał ostrzejszy ton. - Panie Kipling, nie jest pan w pełni sił i z tego, co widzę, nie ma pan wielkiego wyboru. Albo przełknij pan swoją dumę i oprze się na moim ramieniu, albo będzie pan sam kuśtykał do domu. Niech pan się zdecyduje.

Wziął ją za rękę i pozwolił, by pomogła mu wstać i dosiąść konia. Jinx uśmiechnęła się do siebie, chwyciła cugle wierzchowca i spacerowym krokiem poprowadziła obydwie konie w stronę rancza.

Posiadłość Harrisona Kiplinga, choć oficjalnie niedostępna dla zwiedzających, uważana była za jedną z największych atrakcji turystycznych w Phoenix. Dom położony był na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na miasto. Zaprojektowany został na wzór domostw Indian z plemienia Sinagua z doliny Verde, zamieszkujących wapienne klify. Zbudowany z białej, suszonej na słońcu cegły, kształtem wkomponowany w otoczenie, stanowił integralną część wzgórza, na którym stał.

Wnętrze domu zaskoczyło Jinx swoją prostotą. Spodziewała się pałacowego splendoru, a ujrzała ciepłą, otwartą przestrzeń, której wystrój maskował majestat murów. Kuchnia, jadalnia, salon i przytulny pokój skupione były wokół olbrzymiego, okrągłego kominka z licznymi paleniskami i wysokim kominem pokrytym stiukiem. Duże kanapy i miękkie, głębokie fotele stwarzały wrażenie komfortu i luksusu. Jasny, drewniany parkiet, przykryty grubymi dywanami z wełny, potęgował efekt czystej, nie zatłoczonej przestrzeni.

Wyroby indiańskiego rzemiosła ożywiały nieskazitelną biel ścian plamami barw i niepowtarzalnymi ornamentami. Wyglądały niezwykle efektownie w świetle pojedynczych lamp, dyskretnie osadzonych w suficie. Na przykrytych dywanikami stiukowych półeczkach, które okalały kominek, stały rzędy ręcznie modelowanych figurek z plemienia Hopi. Ceramika Indian Pueblo i Hopi zdobiła również powierzchnię ceglanych stopni i wypełniała nisze w ścianach. Na jednej z nich jasno oświetlona skrzynia ukazywała swoją cenną zawartość - przepiękną kolekcję biżuterii ze srebra i turkusów, będącą niegdyś własnością Indian z plemienia Zuni. Naprzeciwko wejścia witał gości domu Kiplinga wspaniały zbiór indiańskich ozdób głowy i kolekcja tomahawków należących niegdyś do Apaczów. Jinx, prowadzana przez

gospodarza, ze zdziwieniem przesuwała wzrok po tych niezwykłych sprzętach.

Mimo że dom miał już cztery lata, w żadnym z pokoiów nie czuło się obecności właściciela. Kipling znany był z tego, że kochał samotność i domowe zacisze, jednak we wnętrzu jego domu wyczuwało się dziwną obcość. Wyglądało to zupełnie tak, jakby ktoś pozostawił nie dokończoną konstrukcję własnemu losowi, jakkolwiek nigdzie nie rzucały się w oczy puste kąty. Jinx zauważyła, że nie było w tym domu żadnych zdjęć, pamiątek, żadnych śladów obecności Kiplinga, jedynie przedmioty zebrane przez wytrawnego kolekcjonera i perfekcyjnie skomponowane przez utalentowanego dekoratora.

Nagle przez jej ciało przebiegł zimny dreszcz. Przypomniała sobie, że dokładnie przed czterema laty żona i dzieci Kiplinga zginęły w katastrofie samochodowej.

Wiadomość o tym wypadku pojawiła się na pierwszych stronach gazet. Elizabeth Kipling, lat trzydzieści pięć, Philip Kipling, lat osiem i najmłodsza, Delilah, lat sześć. Wszyscy zginęli na miejscu, kiedy auto prowadzone przez Elizabeth wymknęło się jej spod kontroli, uderzyło w betonowy mur i stanęło w płomieniach. Policja wykluczyła wprawdzie sabotaż, ale Harrison Kipling nie wierzył w nieszczęśliwy wypadek. Intensywnie prowadzone dochodzenie nad przyczynami katastrofy ciągnęło się przez kilka miesięcy, jednak nie znaleziono żadnych dowodów potwierdzających tę hipotezę.

- Mam nadzieję, że nie cierpisz na brak apetytu - niski głos Kiplinga wyrwał ją z zamyślenia. - Halona robi najlepsze śniadania, jakie można zjeść po tej stronie gór.

Jinx odpowiedziała bladym uśmiechem. Nie wypadło to przekonująco, więc entuzjastycznie skinęła głową. Tak naprawdę, wątpiła, czy zdoła cokolwiek przełknąć.

- Krzesło czy poduszka?

Zaprowadził ją do przyjemnego kącika pomiędzy kominkiem i wysokim oknem, za którym rozciągał się malowniczy widok na Dolinę Słońca.

- Poduszka - odpowiedziała, sadwiąc się na miękkich poduszkach rozrzuconych wokół niskiego stołu wyciosanego z pnia drzewa.

Halona, Indianka pełnej krwi z plemienia Gila River, naląła wrzącą kawę do kamionkowych kubków i zniknęła w drzwiach kuchni. Kipling uniósł swój kubek w geście pozdrowienia.

Jinx zrewanżowała się tym samym, choć jej wyobraźnią zawładnął teraz zapamiętany z relacji prasowych obraz samochodu pożeranego przez płomień. Bezskutecznie walcząc z tą wizją, pomyślała o Kiplingu i tragicznym wspomnieniu wypadku, które do dziś musiało spędzać mu sen z powiek.

Słyszała, że po utracie najbliższych Kipling odgrodził się od świata. Przez pewien czas prasa porównywała go do Howarda Hughesa, który anonimowo krążył po swoich hotelach, kontrolował sprawność obsługi i doglądał interesów. Znajomi, z którymi pracowała Jinx, twierdzili, że to tylko część prawdy. Kipling wycofał się z życia publicznego, żeby opłakiwać śmierć swojej rodziny. Prawie przez dwa lata był całkowicie nieuchwytny. Znikając z posiadłości Westchester, uciekał z miejsca, które wciąż przypominało mu o śmierci najbliższych.

Halona znowu stanęła w drzwiach z tacą, na której stał półmisek z jajkami na bekonie, koszyk pszennych bułeczek, osełka masła i dzbanek świeżego soku z jagód. Pomimo protestów Jinx, napełniła jej talerz.

- Naprawdę nie jestem głodna - powiedziała Jinx z największą uprzejmością, na jaką było ją stać.

- Obawiam się, że nie masz wyboru - odparł Kipling. -
Halona gotuje, my jemy!

Halona bez komentarza napełniła talerz gospodarza.

- Jeśli spróbujemy stawiać opór - dodał Kipling - wpadnie
we wściekłość! Indianka mrugnęła do Jinx, rzuciła groźne
spojrzenie na Kiplinga, po czym
wróciła do kuchni.

- Jest wspaniała - rzekła Jinx, dostrzegając silną więź
łączącą Kiplinga z gosposią - Długo u pana pracuje?

- Już dziesięć lat. Od czasu wybudowania „Oasis”. Jadł z
prawdziwym apetytem. Jinx bez przekonania grzebała
widelcem w talerzu.

- Dużo czasu spędza pan w domu?

- Mieszkaliśmy tutaj tylko miesiąc po wykończeniu
domu. - Twarz Kiplinga przybrała refleksyjny wyraz. -
Później straciłem rodzinę i nie potrafiłem zdobyć się na
powrót. Dopiero teraz się odważyłem. - Wodził kawałkiem
jajka po talerzu. Po chwili podniósł wzrok. - Ale cieszę się, że
wróciłem. Inaczej nie spotkałbym ciebie.

Jinx odwzajemniła uśmiech. Jednocześnie walczyła z
zastępem mrówek, które niestrudzenie maszerowały w jej
żołądku.

- To bardzo miłe z pana strony,

- Musisz wreszcie z tym skończyć! Jinx zaskoczył surowy
ton jego głosu.

- Z czym? - spytała zupełnie zbita z tropu.

- Z tym „panem Kiplingiem”.

Patrzyła na niego z konsternacją do momentu, aż jego
oczy rozjaśnił promień uśmiechu. - Dla przyjaciół jestem Kip.

- Kip.

Jego imię wdzięcznie zabrzmiało w ustach Jinx. Spodobał
jej się uśmiech, którym ją obdarzył, kiedy je wypowiedziała.

- Mój ojciec zawsze mówił do mnie Harrison. Matka była bardziej liberalna i mówiła Harry. Kip też nie brzmi zbyt odrażająco, ale jeśli ci się nie podoba, jestem otwarty na inne propozycje.

Jinx siedziała skulona na stercie poduszek. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła nogi rękoma. Czuła się zupełnie swobodnie jak na pierwsze spotkanie z potentatem finansowym, może dlatego, że Kipling nie stwarzał dystansu, a może z powodu jego oczu, które działały na nią tak hipnotycznie. Cokolwiek to było, Jinx zrobiło się lekko na duszy i poczuła przyjemne zawroty głowy.

- Mnóstwo ludzi używa swoich inicjałów - powiedziała z udaną powagą. - Mógłbyś nazywać się H. K. albo po prostu H.

- Zbyt bezosobowe.

- A może twoje drugie imię.

Kipling odstawił kubek i zmarszczył brwi.

- Są pewne sprawy, o których mężczyźni nie rozmawiają z młodymi kobietami. Do nich należy właśnie moje drugie imię.

Pochylił się w stronę Jinx i obrzucił ją wzrokiem pełnym udawanej nienawiści. Jego ciemne oczy całkiem ją obezwładniły i poczuła, jak nagle robi jej się gorąco. W Harrisonie była jakaś otwartość, emanowało z niego przyjazne ciepło, które jak szal otulało jej ramiona.

- Powiem ci, jak ja mam na drugie imię, jeśli ty zdradzisz mi swoje. - Teraz ciekawość nie dawała jej już spokoju.

Wygodnie się usadowił i zrobił poważną minę, jakby zaproponowała mu co najmniej sprzedaż Wielkiego Kanionu.

- Ty pierwsza. Dla wzmocnienia efektu długo nabierała powietrza w płuca.

- Rebecca.

Właściwie to nie powiedziała swojego imienia. Wyszepiała je z taką powagą, jakby zdradzała największą tajemnicę swojego życia.

- To nie jest w porządku. - Skrzywił usta z dezaprobatą. - Z przygotowań wynikało, że będzie to przynajmniej Hephizban albo Swankinden.

- Jak umowa, to umowa - odpowiedziała, uderzając dłonią w blat stołu. - Jakie jest twoje drugie imię?

- Mam pewien pomysł - Kip zaczął się wycofywać. - W zamian za zamknięcie tej sprawy, zgodzę się, żebyś powiedziała mi o wszystkim, co według ciebie nie sprawdza się w „Oasis”.

- Tak czy inaczej miałam zamiar to zrobić. Zdziwiła ją własna odwaga.

- Prowadzisz ryzykowną grę, moja panno. Gotowa?

Skinęła głową i z trudem powstrzymała chichot. Znowu nachylił się w jej stronę, tym razem przyciągając Jinx do siebie. Potem rozejrzał się podejrzliwie wokoło, jakby upewniając się, że nikt ich nie usłyszy.

- Phineas - wycedził.

Tłumiony chichot eksplodował w szczery wybuch śmiechu, który wypełnił cały dom. Jakaś wewnętrzna tama pękła w Kipie i nieświadomie dołączył do Jinx. Pierwszy raz od wielu lat było mu aż tak dobrze. Czuł się naprawdę szczęśliwy.

- Francesco Rebecca Elliot! Gdzie podziewałaś się tyle czasu? - Jinx wpadła w drzwi, o mały włos nie zderzając się z matką. - Dlaczego tak długo cię nie było?

Zupełnie zapomniała o planach matki! Zajrzała do jadalni i zobaczyła dosunięty do ściany stół zastawiony świątecznymi potrawami, poprzedzielanymi gałązkami świętego drzewka i wysokimi, białymi świecami. Kate Elliot uwielbiała święta i obchodziła je z narodowo - religijnym zapałem. Dwa tygodnie

temu pół sąsiedztwa przewinęło się przez dom z okazji Święta Dziękczynienia.

- Ostatnio trudno się nam zebrać w rodzinnym gronie. Heather w internacie, ty ciągle w szkole i ten wieczny napięty harmonogram waszego ojca! Przyrządziłam indyka i słodkie ziemniaczki. Wygląda na to, że znów możemy wspólnie obchodzić Boże Narodzenie. - Zaśmiała się, zdając sobie sprawę ze śmieszności tych przygotowań, lecz jednocześnie dając wszystkim do zrozumienia, że mimo ironicznych uśmieszków otoczenia nie odstąpi od swoich zwyczajów.

- Nie szalej, mamó. Niestety, nie mogę zostać.

Dała jej przelotnego całusa i szybko pobiegła do swojego pokoju. W drzwiach zatrzymało ją pełne wyrzutu milczenie Kate.

- Mam randkę - powiedziała powoli, pragnąc, by wyraz zatroskania zniknął z twarzy matki.

- Z kimś, kogo znam?

Usta Jinx rozciągnęły się w uśmiechu pełnym podekscytowania.

- Z samym Harrisonem Kiplingiem - właścicielem sieci hoteli i kurortów „Kipling Worldwide”.

Kate zachowała kamienną twarz.

- Oj, mamó! Kipling. Tak samo jak mój szef. Właściciel hotelu „Oasis”.

- Więc nawet dzisiaj macie jakieś zebranie? - Kate nie próbowała ukryć swojego rozczarowania.

- Mam nadzieję, że nie będzie to tak wyglądać - odparła Jinx, dostrzegając nutkę sarkazmu w głosie matki.

- Nie wiedziałam, że osobiście znasz pana Kiplinga.

- Poznałam go dopiero dzisiaj.

W głosie Jinx zabrzmiała namiętność, która jak srebrny pył przyłgnęła do jej zaróżowionych policzków, zaślniła w oczach i eksplodowała ciepłem w szczerym uśmiechu. Kate

Elliot poczuła krótkie, bolesne ukłucie przeszywające zakamarki jej duszy.

- Gdzie go spotkałaś? - Starła się przywołać na twarz sztuczny uśmiech.

- To długa historia. Chętnie bym ci wszystko opowiedziała, ale muszę wskoczyć pod prysznic i zmienić ubranie. Za godzinę przyśle po mnie samochód. - Odwróciła się na pięcie, lecz Kate przytrzymała ją za ramię.

- Nie musisz mi opowiadać historii jego rodziny do piątego pokolenia wstecz. Tylko najważniejsze rzeczy.

Jinx opowiedziała matce o rozbrykanym koniu, o śniadaniu w domu Kipa, jego posiadłości i wszystkim, oprócz tego, że od chwili kiedy Kip otworzył oczy i po raz pierwszy na nią spojrzął, serce nie przestało jej mocno bić.

- I byłaś u niego przez cały dzień? Przecież dochodzi już szósta.]

- Gadaliśmy, gadaliśmy i gadaliśmy - bez końca. Przedstawiałam mu swoje pomysły na podniesienie standardu usług w „Oasis” i w innych kurortach. Słuchał jak na kazaniu - wyjaśniła, parodiując wyraz jego twarzy. - Przynajmniej wydawało mi się, że słucha - poprawiła się.

Kate usłyszała nadzieję rozbrzmiewającą w głosie córki i dostrzegła mgiełkę rozmarzenia przesłaniającą jej spojrzenie.

- Wobec tego idź wziąć prysznic. - Nadal zmuszała się do uśmiechu. - Chyba nie chcesz się spóźnić?

Patrząc na Jinx biegnącą w podskokach do łazienki, poczuła, jak wilgotnieją jej ręce. Szybko wytarła dłonie w fartuch. Z frustrującą rezygnacją pomyślała, że Harrison Kipling nie był pierwszym starszym mężczyzną w życiu jej córki. Gdyby okazał się taki jak Dell Talbott, to byłoby lepiej, żeby zakończył paradę starszych amantów Jinx.

Hotel „Oasis” był olbrzymim luksusowym kurortem położonym w północnej części Phoenix. Duże kamienne

wejście z okutymi mosiądzem drzwiami otwierało się na obsadzoną palmami drogę prowadzącą do dwóch budynków. Były to bliźniacze, trzypiętrowe domy otaczające przestronne dziedzińce i połączone ze sobą pięknie zarysowanymi łukami arkad. We wszystkich hotelach należących do Kiplinga zarówno architektura jak i wystrój wewnątrz odzwierciedlały styl i smak regionu. „Oasis” było kompozycją hiszpańskiej i indiańskiej tradycji. Kipling wierzył, że skoro rolą gospodarza było tworzenie złudzenia swojskości, wewnątrz powinno być częścią okolicy, nie zaś odizolowaną oazą luksusu.

W każdym budynku mieściły się sklepy, informacja turystyczna i stoisko z upominkami. Posadzki wykonano z oryginalnej, ręcznie malowanej terakoty, a w każdym domu znajdowała się weranda wychodząca na dziedzińce. Wszędzie roiło się od uprzejmych pracowników gotowych spełniać wszystkie zachcianki klientów. W jednym budynku mieściło się biuro konferencyjne, podczas gdy drugi przeznaczony był wyłącznie dla gości.

Hotel „Oasis” oferował przybyłym na wypoczynek dwanaście kortów tenisowych, stajnię, tor jeździecki dla początkujących, trasy górskie dla bardziej zaawansowanych jeźdźców, a także niewielką salę teatralną, trzy baseny, pola golfowe, gdzie co roku odbywały się mistrzostwa Sun Valley Clarri. Poza tym była tam mała salka gimnastyczna, gabinet kosmetyczny, salon fryzjerski i pięć ekskluzywnych restauracji: „Mesquite” - bar z przekąskami malowniczo usytuowany tuż przy jeziorze, „Sagnoro” - miejsce dla gości, którzy mieli ochotę na niedrogą przekąskę i nie chcieli marnować zbyt wiele czasu nad talerzem, „Coltwood” - restauracja hotelowa dla smakoszy regionalnej kuchni oraz dwie stylowe restauracje: jedna, o nazwie „Palma”, mieściła się w wyłożonej lustrami altanie, tuż za arkadami, a druga - „Palovedre” była ekskluzywnym, najwyżej położonym

lokalem, z którego rozciągał się wspaniały widok na miasto. Obie serwowały najbardziej wykwintne potrawy.

Dzisiejszego wieczoru, który poprzedzał pierwszy dzień Bożego Narodzenia, surowy wystrój „Palovedre” łagodziło ciepłe światło lampionów wiszących nad bukietami tropikalnych kwiatów. Rzędy świec migotały radośnie, tworząc dwie świetliste linie ciągnące się od wejścia aż do przeciwległej ściany. Z przepięknych żyrandoli oraz znad drzwi zwisały gałązki jemioli przybranej czerwonymi wstążkami, a pośrodku stołów leżały wiązanki z gałązek świeżej sosny. Fikusy, sięgające do samego sufitu, ozdobione były małymi lampkami i wspaniale harmonizowały ze światłem gwiazd, tworząc magiczny nastrój dla kobiety, której serce mocniej zabiło w piersi.

Jinx usiadła naprzeciwko Kipa. Ich stół stał w rogu sali, między dwoma witrażami, i przez chwilę Jinx odniosła przyjemne wrażenie kołysania się na morskiej fali. Nie pierwszy raz jadła kolację w „Palovedre”, ale dzisiaj wszystko wydawało się jej niezwykle. Jedzenie nigdy wcześniej tak bardzo jej nie smakowało, kelnerzy nigdy nie byli tacy troskliwi, a wino nie miało aż tak delikatnego smaku.

- To był cudowny dzień, panno Frances. - Kip stuknął się z Jinx kieliszkiem szampana i bacznie ją obserwując, zaczął powoli sączyć alkohol. Przez cały wieczór próbował otrząsnąć się z zauroczenia i nie spoglądać na nią zbyt natarczywie. Jinx była piękną kobietą i podniecała go w inny sposób niż Elizabeth. Jego żonę, ładną, filigranową blondynkę z lotnym umysłem i poczuciem humoru, cechowała kobieca delikatność i nieśmiałość. Komplementy wprawiały ją w zakłopotanie. Nie lubiła, kiedy poświęcał jej zbyt wiele uwagi. Kipowi zawsze wydawało się, że najchętniej odnalazłaby spokój za muślinową osłoną z koronkowego wachlarza.

Jinx śmiało obnosiła się ze swoją kobiecością. Dzisiejszego wieczoru jej czarna, jedwabna suknia kusząco odsłaniała kolana i kształtne ramiona, a w środkowej części kokieteryjnie przylegała do jej jędrnego, młodzieńczego brzucha. Dolny brzeg obcisłej sukni ukazywał długie, szczupłe nogi i lśnił nad jedwabiem czarnych pończoch. Naturalne sploty włosów wiły się w pozornym nieładzie wokół jej twarzy. Nie miała na sobie żadnej biżuterii i roztaczała zapach przyjemnej świeżości. Perfekcyjny makijaż uwydatniał ciemnoczerwoną linię pełnych ust.

Najbardziej jednak podniecało Kipa to, że Jinx była nieświadoma wrażenia, jakie na nim wywierała. Pochylała się prowokacyjnie, a jej pełne piersi falowały w opiętej sukni. Kiedy jednak patrzył w jej oczy o odcieniu lawendy, w których błąkał się wyraz niewinnej niepewności, uświadamiał sobie, że to tylko jego zmysły są wyostrome.

Coraz bardziej poddawał się jej urokowi i choć usilnie starał się z tym walczyć, obecność tej młodej kobiety sprawiała, że czuł się tak, jakby wchłaniał promień słońca. Nawet gdy rozmawiali o poważnych sprawach, na jego ustach błądził uśmiech. Wiedział, że Jinx nie ma jeszcze dwudziestu lat, on zaś przekroczył czterdziestkę. Pracowała u niego, a on był jej szefem. Nie. W żadnym wypadku nie może wykorzystać swojej przewagi. Jednak tak bardzo pragnął się z nią kochać.

- Jeszcze odrobinę szampana? - zapytał.

- Dziękuję - odpowiedziała Jinx, zastanawiając się, dlaczego rumieniec wypływa na jej policzki. - Może później.

- Co byś powiedziała na kilka kroków na parkiecie? - zaproponował jej niespodziewanie.

Wstał zza stołu i czekając, aż ona zrobi to samo, podał jej ramię.

Krętymi schodami wyprowadził ją z restauracji na położony wyżej parkiet night klubu.

Parkiet był zatłoczony elegancko ubranymi gośćmi, miejscową młodzieżą wirującą w tańcu i parami wytrawnych tancerzy. Kelner wskazał im drogę do stolika na wyższej kondygnacji, tuż przy oknie. Kip szepnął mu coś do ucha i za parę chwil ten pojawił się z następną butelką szampana.

Nagle dach się rozsunął, ukazując szklaną kopułę, nad którą rozpościerał się granat nieba. Ochy i achy oraz szmery zachwytu przywitały tę najnowszą atrakcję „Paloverde”. Zamiast sufitu rozciągała się nad nimi otchłań nieskończoności.

Kip odwrócił się do Jinx, która z dziecinną radością przyglądała się temu.

- Podoba ci się ? - zapytał. - Widziałem coś takiego w jednym z paryskich lokali i tak mi się spodobało, że zainstalowałem ten mechanizm w kilku moich hotelach. Co o tym myślisz?

- Wybacz mi grę słów, ale to naprawdę niebiańskie!

Kip zaśmiał się zadowolony z aprobaty. Orkiestra zagrała wolniejsze rytmy i Kip poprowadził dziewczynę na parkiet. Obejmując ją, poczuł elektryzujący dreszcz. Bez słów i niezręcznego wahania Jinx wtuliła się w jego ciało, tak jakby jej miejsce zawsze tam było. Przyłgnęła policzkiem do jego twarzy, a dłoń położyła mu na szyi. Kip czule otoczył jej talie, przyciągając tak blisko, że słyszała jego nierówny oddech.

Poddała się nieznanemu magnetyzmowi. Zapach wody kolońskiej odurzył ją jak afrodyzjak. Jej serce mocno biło z podniecenia, mięśnie drżały w napięciu i niepewności. Przyciągali wzrok gości, ale Jinx nie zwracała na to uwagi. Ten wieczór wydawał jej się jak z bajki i, całkowicie nim pochłonięta, nurzała się w romantycznym uroku. Czas przestał dla niej istnieć.

Kiedy orkiestra zagrała szybsze rytmy, chciała, żeby przestali lub powrócili do wolnej, czulej kołysanki. Nieprzytomny uśmiech Kipa mówił jej, że on także pragnął, by ta chwila nigdy się nie skończyła. Jednak muzyka stawała się coraz głośniejsza i bardziej rytmiczna. Jinx pozwoliła ponieść się melodii i miękkim ruchem wyślizgnęła się z jego ramion. Kip pomyślał, że wygląda jak źrebie, szczupła i gibka, z włosami rozrzuconymi wokół twarzy, rękami uniesionymi nad głową i stopami wystukującymi południowe rytmy. Nawet nie próbował dotrzymać jej kroku i patrząc z podziwem, klaskał w ręce, całkowicie zauroczony naturalnym pięknem jej ciała. W wyobraźni kładł ją obok siebie na łóżku pokrytym prześcieradłem z kremowego atłasu, tak harmonizującym z jej cerą. Widział swoje palce głaszczące jedwabne pasma jej włosów i wyczuwające chłód skóry w kolorze kości słoniowej. Wyobrażał sobie, jak porusza się pod nim płynnym ruchem swojego tańca, bez żadnych barier i kłamliwej wstrzemięźliwości. Byli w nocnym klubie, jednak pod osłoną nieba jej taniec przypominał prymitywny rytuał związany z narodzinami kobiecości.

Kiedy muzyka ucichła, Jinx natychmiast zamarła w bezruchu, zdezorientowana i zażenowana, jakby nagle znalazła się naga na środku ulicy.

- Chyba trochę mnie poniosło.

- Bzdura! Byłaś fantastyczna!

Pod wpływem impulsu przytulił ją i pocałował. Jego usta delektowały się smakiem jej jędrnych warg i na moment zapomniał, że stoją na środku parkietu, że obserwują ich ludzie i że przysiągł sobie, iż nigdy nie zwiąże się z żadną kobietą. Teraz istnieli tylko oni dwoje i świat wydawał się wspaniały.

Muzyka znowu zagrała i nagle powrócili do rzeczywistości.

- Zabieram cię do domu.

Wypowiedział to tak gwałtownie, że Jinx była pewna, iż go obraził. Może powinna go przeprosić za ten niepohamowany taniec? Może ich wargi wcale nie powinny się połączyć? Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, ujął ją za ramię i poprowadził w stronę drzwi.

- Chodźmy.

Jego głos przybrał ojcowski, nie znoszący sprzeciwu ton. Zastosowała się do polecenia, ale jeszcze długo po wyjściu zastanawiała się, co spowodowało tak nagłą zmianę nastroju.

- Nie wiem, dlaczego jesteś aż tak zaskoczona. Pomogła temu człowiekowi, a on po prostu odwdzieczył się jej za przysługę.

Hank Elliot pomógł zasunąć żonie suwak w sukience i czule pocałował ją w szyję.

- Równie dobrze mógł jej przysłać bilecik z podziękowaniem. Podniesienie człowieka z ziemi i otrzepanie z kurzu nie wymaga zaproszenia na śniadanie, sześciu kolacji pod rząd, bukietów róż, które mogłyby przykryć boisko do baseballa, i zaniedbania ostatniego wieczoru przed Bożym Narodzeniem.

Kate odwróciła się plecami do męża i ze złością zaczęła szcztokować włosy.

- Kate, kochanie. Chyba możesz się obejść bez tych teatralnych gestów? Hank zawiązał krawat, włożył marynarkę, zasiadł w fotelu, pragnąc, by żona przestała już szcztokować włosy i przygotowała się do wyjścia.

- Nie sądzę, żebym przesadzała - z głosu Kate emanowało napięcie. - Jinx jest młodą, pociągającą kobietą, a jeśli sobie dobrze przypominam, przez ostatnie lata ten człowiek nie wytknął nosa z domu. Wierz mi, tu chodzi o coś więcej niż zwykłą wdzięczność.

- Doprawdy, Kate, myślisz, że ten Harrison Kipling nie mógł sobie znaleźć innej dziewczynki, żeby dać upust swemu libido?

Kate spojrzała na męża. Kiedy patrzył na nią, w jego oczach zawsze był ten sam wyraz miłości.

- Myślisz, że jestem głupia?

- Może nadopiekuńcza, ale nie głupia. Nigdy! - Podeszedł i wziął ją w ramiona.

- Ale jest przecież dwa razy starszy od niej - mamrotała mu w szyję.

- Wiem.

Wyczuła sarkazm w jego głosie. Wyswobodziła się z uścisku i energicznym krokiem podeszła do łóżka.

- Kiedy ona wreszcie skończy z tą swoją dziecianną fantazją?

- Sam chciałbym wiedzieć - Znów otoczył ją ramieniem i przygarnął do siebie. - Ale jeśli będziesz się temu przeciwstawiać, jeszcze pogorszysz sprawę.

Kate pokiwała głową. Nie pierwszy raz rozmawiali na ten temat.

- Przecież ona najwyraźniej się w nim zakochuje - powiedziała ciszej. Hank usłyszał smutek wyzierający z tych słów.

- Spróbujmy nastawić się pozytywnie. Cóż takiego złego może się stać? On się w niej zakocha, wezmą ślub i będą żyli długo i szczęśliwie. Albo on się nie zakocha i wtedy zostaną jej wspaniałe wspomnienia z wigilii Bożego Narodzenia w roku 1967. Tak czy inaczej, sytuacja wygląda korzystnie.

- Zawsze do wszystkiego potrafisz tak mądrze i rozsądnie podejść, a ja muszę mieć jakieś katastroficzne wizje. Dlaczego?

- Bo nie chcesz, żeby ktoś zranił twoją córkę. - Czule ją pocałował. - Ale nie można zawsze jej chronić. Musi uczyć się na własnych błędach.

- Ja nie martwię się o jej potknięcia - cicho odparła Kate - ale o swoje. Jinx miała piętnaście lat, kiedy odkryła, że matka ją okłamywała. Na lekcji historii uczyła się o drugiej wojnie światowej. Najwięcej czasu poświęcono niemieckiemu lotnictwu i jego wpływom na stosunki niemiecko - amerykańskie. Wiedziała, że jej rodzice byli wówczas w Berlinie. Ojciec był lekarzem, a matka pracowała jako pielęgniarka w wojskowym szpitalu. Nie było w tym nic dziwnego, że postanowiła zainteresować się starymi fotografiami.

W domu było cicho. Hank, Kate i Heather, młodsza siostra Jinx, pojechali do Scottsdale, w odwiedziny do rodziców ojca. Jinx wolała zostać w domu i skończyć pracę domową. Dla dodania sobie odwagi, przy cichym akompaniamencie radia, z latarką w dłoni wśliznęła się do komórki za pokojem rodziców, gdzie Kate przechowywała różne starocie.

Kłęby kurzu przeniknęły do jej nozdrzy, tak że zaczęła krztusić się i kaszleć. Oczy miała pełne łez, ale gdy tylko przywykła do mroku, ciekawie zaczęła się rozglądać. Pudełka znajdowały się w zasięgu rąk i opatrzone były tytułem i numerem. Niemowleca odzież Jinx, harcerskie ubranka Heather. Zastanawiała się, czy nie powinna mieć zgody rodziców na obejrzenie zawartości. Cóż takiego może się stać, pomyślała. Przecież nikomu nie zrobię krzywdy. Podniosła wieczko i zaczęła przeglądać luźno ułożone fotografie. Brzegi zdjęć były już trochę pozaginane i pożółkłe, ale obrazy nadal wyraźne i ostre. Na niektórych zdjęciach nie rozpoznawała nikogo, jednak tak czy inaczej wszystko wydawało się jej niezwykle fascynujące. Tak jak podróż w czasie. Oglądała

fotografie rodziców z okresu poprzedzającego ich małżeństwo.

Było tam mnóstwo zdjęć matki. Kate machająca ręką do kamery, stojąca między dwoma mężczyznami na wózkach inwalidzkich. Kate z kilkoma pielęgniarkami, splecionymi w szyku i podnoszącymi nogi jak do kankana, z czepkami niedbale zsuniętymi na bok głowy. Kate w stroju kąpielowym z falbanką przy majteczkach, z włosami związanymi dużą kokardą i w okularach przeciwsłonecznych ze szklami w kształcie serc. Kate, która się wygłupia. Kate wyglądająca niezwykle profesjonalnie. Kate tchnąca żądzą, która wprawiła piętnastoletnią Jinx w prawdziwie zażenowanie. Jak większość dzieci, Jinx rzadko myślała o matce jako o istocie cielesnej i nigdy nie zastanawiała się nad seksualnym aspektem jej kobiecości. Zawsze uważała ją za odurzająco piękną, ale dopiero te zdjęcia w pełni ukazywały jej urodę. Kate była bez wątpienia wspaniałą dziewczyną, ponętą blondynką o wesołej twarzy i pociągającym ciele. Jinx przekonała się, że upływające lata i obowiązki macierzyńskie pokonały doskonale piękno jej młodości. Nie mogła wyobrazić sobie tej pięknej blondynki chodzącej do szkoły na zebrania w dni otwarte i przygotowującej przekąski na wieczorki taneczne, na które Jinx zapraszała przyjaciół.

Były też zdjęcia Hanka, oddające jego doskonały spokój, bardziej oficjalne i w większości pozowane. Dziwne, ale nie znalazła żadnych wspólnych zdjęć ojca i matki.

Jinx sięgnęła głębiej. Nie było tam nic, co mogłoby przydać się w pisaniu pracy, ale grzebanie w tych starociach sprawiało jej wielką przyjemność. Pudełko prawie świeciło pustkami, gdy dostrzegła na dnie plik papierów przewiązanych wypłowiałą wstążką. Wyglądały na listy i wzbudziły szczególne zainteresowanie dziewczynki.

Czując się nie w porządku, rozwiązała kokardę. Może jednak nie powinna ich czytać? Może to listy miłosne? Dobrze, przeczyta najwyżej jeden.

Przeczytała pierwszy, potem sięgnęła po następny. Były to wprawdzie listy miłosne, ale nie pisał ich ojciec. Pochodziły od Benjamin Rostova, kapitana lotnictwa. Czytała jeden po drugim, jej twarz czerwieniała z podniecenia, podczas gdy w środku owiewał ją chłód.

Jakieś złe przeczucie mroziło ją od wewnątrz. W listach była namiętność, która ją poraziła, oraz tęsknota dzikiej, nieokiełznanej miłości. Z trudem opanowała drżenie rąk. Ten człowiek, Benjamin Rostov, uwielbiał jej matkę i, jak wywnioskowała z listów, Kate odwzajemniała to uczucie. Bezustannie pisał o przygnębiającej samotności, kiedy był z dala od niej, o tym, jak liczył chwile do momentu, gdy znów będzie mógł wziąć ją w ramiona i kochać się z nią.

Jinx poczuła, że z impetem wdziera się do prywatnego pokoju tych dwojga, który na zawsze powinien pozostać zamknięty na klucz. Chciała odłożyć te listy i udawać przed sobą, że nigdy nie wpadły w jej ręce. Chciała porzucić intymność tego pokoju i zapomnieć, że kiedykolwiek tam była. Ale jakaś niewytłumaczalna siła zmusiła ją do czytania ich po raz drugi, trzeci. Coś nakazywało jej dowiedzieć się więcej o Benjaminie Rostovie. Kim był? Co się z nim stało? Jak wiele znaczył w życiu matki?

Kolejna koperta nie zawierała listu. Zamiast niego Jinx wyjęła jakieś urzędowe pisma. Akt małżeństwa. Serce zabiło jej mocniej. Kate Freedman i Benjamin Rostov. Styczeń 1947. Jinx urodziła się w styczniu 1948. Drżącymi rękami otworzyła następny dokument. Swoje świadectwo urodzenia z nazwiskiem ojca: Benjamin Rostov. Obok dołączone było orzeczenie legalizujące prawa ojcowskie Hanka Elliota.

Jinx nie mogła zaczerpnąć tchu. Nagle poczuła, że jej pierś ugina się pod ogromnym ciężarem. Nabrała głęboko powietrza, a z jej ust wyrwał się niepokonany krzyk. Trwała w bezruchu.

Była spłoszona i dezorientowana, jak dziecko porwane przez obcego człowieka i ukryte w nieznanym miejscu. W pewnym sensie jej sytuacja nie odbiegała od tych wyobrażeń. W jednej chwili jej życie zupełnie się odmieniło. Wszystko, co do tej pory uznawała za prawdę, okazało się kłamstwem. Nie była córką Hanka Elliota. Ojcem był człowiek, który wypisywał te długie, na wskroś intymne listy do matki. Skąd pochodził jej prawdziwy ojciec? Jaki był? I, co najważniejsze, co się z nim stało?

Pytania jak nóż wrzynały się w serce. Dlaczego ją okłamywali? Czyżby przez te wszystkie lata odgrywali swoje role jak aktorzy na scenie? Może Hank bardziej kochał Heather? Jinx poczuła desperacką potrzebę przypieczerowania tych pytań zdecydowanym „tak”, jakby chciała potwierdzić zasięg tej maskarady i wyzwolić się ze scenicznej gry. Ale Hank był wzorowym ojcem, wolnym od słabostek i nie faworyzował żadnej z nich. W istocie jej okazywał więcej uczucia niż Heather, która była jego naturalną córką. Łzy cisnęły się do oczu Jinx.

Szkoda, pomyślała. Jaka wielka szkoda.

Przez następne kilka godzin siedziała skulona, zalana łzami i doszukiwała się w fotografiach własnej podobizny. Szukała owalu swojej twarzy i spojrzenia lawendowych oczu, ale na żadnym zdjęciu nie odnalazła swojego odbicia. Brała w ręce każdą fotografię i powoli, niczym ociężały polarny niedźwiedź podnosiła je, studiowała i z rezygnacją odkładała z powrotem. W końcu zasnęła ze zdjęciami porzucanymi na kolanach i ze świadectwem urodzin mocno zaciśniętym w dłoni.

Gdy tylko Kate otworzyła drzwi, zorientowała się, że coś jest nie w porządku. Było dobrze po północy, światła były zapalone, notatki rozrzucone na podłodze, lecz ani śladu Jinx. Heather zasnęła w samochodzie, więc Hank wniósł ją do domu, położył do łóżka i wszedł za Kate do salonu.

- Myślisz, że wyszła?

- Nie, tego by nie zrobiła - Hank uspokajał żonę. - Sprawdziłaś w sypialni? - Kate pokiwała głową. - Może zsunęła się z łóżka i śpi na podłodze.

Kate rozchmurzyła się. Dziewczynki często wślizgiwały się do łóżka rodziców i plotkowały przez telefon lub oglądały telewizję. Poszła z Hankiem do położonej z tyłu domu sypialni. Jej twarz pociemniała, gdy zobaczyła, że dziewczynki nie ma w środku. Wtedy dobiegł Kate jakiś dźwięk przerażający strach w panikę. Gdzieś z wnętrza sąsiedniego pokoju dochodziły odgłosy radia. Hank szybko wszedł do środka. Kiedy ujrzał otwarte drzwi na strych, żołądek zacisnął mu się w nagłym skurczu.

Wbiegł na górę. Na widok Jinx domyślił się wszystkiego. Nie musiał nawet patrzeć na to, co trzymała w ręku. Domyślił się tego z wyschniętych strużek łez na jej twarzy i grymasu na ustach.

Ostrożnie do niej podszedł, podniósł z ziemi i ukołysał w ramionach. Kate szła za nim niczego nie podejrzewając, aż do chwili gdy ujrzała otwarte pudełko. Na ten widok zamarła w progu. W pierwszej chwili czuła się jak wydrażona w środku, jakby ktoś przeciął jej tętnicę w nadgarstku i wszystkie emocje wytrysnęły razem z krwią. Później, raptownie, ogarnęło ją przerażenie, po nim lawina uczuć - strach, gniew, poczucie winy, wyrzuty sumienia, miłość i nienawiść. Pragnęła, by Hank pozwolił Jinx spać, bojąc się konfrontacji, której unikała przez tak długi czas. Chciała zamienić ten koszmar w bajkę opowiadaną na dobranoc i zasiać w córce ziarno zapomnienia,

tak by Jinx po przebudzeniu nie pamiętała o tych okropnych zdarzeniach i na zawsze wymazała je ze swoich myśli.

- Jinx, kochanie. Już późno. Pomogę ci pójść do łóżka.

Głos Hanka był cichy, kojący. Jinx przywarła do jego piersi, nadal pogrążona we śnie. Hank pogładził ją po głowie.

- Chodź już, kociaczk. Idziemy spać. Poruszyła się.

- Dobrze, tatusiu.

Przeciągnęła się i ziewnęła, ale gdy tylko sen odszedł i wróciła świadomość, gwałtownym ruchem wyprostowała się, odpychając Hanka od siebie.

- Miałaś ciężką noc? - Nie pomagały już fortele i nadszedł czas stawić czoło rzeczywistości. - Odkryłaś coś bardzo niepokojącego. - Wyciągnął rękę i podniósł dokument z jej kolan.

- Nie jesteś moim ojcem - powiedziała niskim, drżącym głosem.

- Ależ tak, jestem. - Hank uśmiechnął się. - To jest właśnie tu napisane - wyjaśnił trzymając w ręku świadectwo adopcji.

- Ale nie jesteś...

Wziął ją za rękę i przytulił do siebie.

- Nie, nie jestem twoim prawdziwym ojcem. Ale to ja pomagałem ci postawić pierwszy krok i każdego roku zdmuchiwać świeczki na urodzinowym torcie. - Uniósł jej dłoń do swoich ust i delikatnie ucałował. - Jestem mężczyzną, który kochał cię każdego dnia przez całe piętnaście lat.

Ogromne łzy spłynęły po policzkach Jinx. Jej wargi drżały. Dopiero po kilku chwilach spojrzała na Kate. Matka skryła się w cieniu, ale Jinx dostrzegła wilgoć na jej twarzy.

- Kim on był, mam? Co się z nim stało?

- Był pilotem, kochanie. Spotkałam go w Berlinie. Był pacjentem tatusia. - Urwała. - To znaczy Hanka.

- Co się z nim stało?

Kate chciała podejść do Jinx i Hanka, ale coś zatrzymało ją na progu, jakaś nieznana siła odpychająca ją od tych dwojga.

- Zmarł - odpowiedziała.

- Dlaczego nie powiedzieliście mi tego? Hank ujął twarz Jinx w dłonie i spojrzał jej w oczy.

- Byłaś maleńka. Wiem, że teraz to brzydko wygląda, ale wtedy sądziliśmy, że tak będzie lepiej.

Jinx umilkła. Hank i Kate uszanowali jej potrzebę przemyślenia tego wszystkiego. Patrzyli, jak nerwowo przebiera palcami, podnosząc ręce tylko po to, by otrzeć łzy. Kiedy podniosła wzrok, ponownie spojrzała na Hanka.

- Kochałeś mnie?

- Od chwili twoich narodzin - odpowiedział, mając nadzieję, że nie okazuje uczucia bólu. - Kochałem twoją matkę na długo przed tym, jak przyszedłaś na świat, i w tobie zakochałem się tak samo.

Jinx rzuciła mu się na szyję i szlochała, kurczowo przytulając się do niego. Mocno ją przygarnął, starając się wytworzyć poczucie bezpieczeństwa i trwałej miłości.

Jej umysł zalała powódź sprzecznych uczuć. Żal po śmierci ojca, którego nigdy nie знаła, zmieszany z podziwem dla człowieka, który przejął jego rolę, i podejrzliwość w stosunku do kobiety, którą kochali ci dwaj mężczyźni. Gniew wymieszany ze współczuciem, żal z wdzięcznością, zamęt z ciekawością. Zaledwie kilka godzin temu jej życie było uporządkowane i stanowiło idealną ramę dla dorastającego dziecka. Ale teraz przeszłość jak buldożer zburzyła teraźniejszość i już nigdy nie miało być tak samo.

- Nie możesz się teraz pozbierać, dziecinko? - Hank pomógł jej zejść ze strychu. - Idź się przespać, a jutro porozmawiamy.

Cały następny dzień upłynął im na rozmowach, do których wracała jeszcze wielokrotnie. Jinx chciała dowiedzieć się o ojcu wszystkiego. Stała tak długo nad matką, dopóki ta nie pokazała jej zdjęcia Rostova. Była to grupowa fotografia, zbyt mała, by mogła wyraźnie dostrzec rysy jego twarzy, ale Jinx uczepiła się tego zdjęcia jak klucza do egipskich hieroglifów. Nie było tygodnia, w którym nie zapytałaby o to, jak wyglądał, co odczuwał i jak się zachowywał w różnych sytuacjach. Kate odpowiadała na większość pytań, ale nigdy nie inicjowała rozmowy. Hank przyznał, że osobiście nie znał Rostova, który był tylko jednym z jego pacjentów. Jinx chciała się dowiedzieć, jak brzmiały imiona jego rodziny i przyjaciół, ale Kate wykazała zupełną ignorancję.

- Tamte czasy nie sprzyjały dyskusjom na takie tematy - mówiła zazwyczaj. Jinx coraz częściej pytała o rodzinę swojego ojca i Kate głębiej pogrążała się w rozważaniach. Dyskusje przerywane ostrą wymianą zdań ciągnęły się bez końca, raniły uczucia. Kate nie panowała nad sytuacją. Bez względu na to, co o tym wszystkim myślała, obsesja Jinx stała się częścią życia Elliotów.

W miarę jak Jinx dorastała, jej niepokoje zaczęły coraz bardziej się nasilać. W końcu znalazła mężczyznę, który mieścił się w przedziale wieku Rostova, był trochę do niego podobny i według Jinx posiadał cechy, które mogły charakteryzować jej ojca. Uparła się, że go zdobędzie. Jej marzenia przybrały całkiem realne kształty. Nie bacząc na starania Kate, próbującej ostrzec ją przed niebezpieczeństwem związku z mężczyzną, który miał jej zastąpić mitycznego Benjamina Rostova, Jinx nie poddawała się. Dopiero ktoś taki jak Dell Talbott przekonał ją, że rację miała jednak Kate.

Jinx miała wówczas osiemnaście lat i zostało jej dwa lata do ukończenia szkoły. Podczas wiosennej przerwy pracowała w „Oasis”, pomagając w recepcji. Dell Talbott był pilotem

linii pasażerskich. Miał trzydzieści dwa lata, ponad sześć stóp wzrostu, ciemne włosy i oczy, orli nos, niewymuszony uśmiech i figurę wymarzoną do noszenia munduru. Cechowała go także siła perswazji, więc zanim Jinx skończyła go rejestrować, umówił się z nią na kolację.

Przez cały wieczór Jinx szczypała się w ramię, by przekonać się, że ich spotkanie nie jest snem. Wygląd, charakter pracy, beztroska i całkowite zainteresowanie dziewczyną były wszystkim, czego wymagało się od wymarzonego księcia, i Jinx uległa natychmiastowej, niezwykle silnej fascynacji.

Przez trzy dni zachowywał się jak amant z romansu, zostawiając zabawne liściki na biurku w recepcji, zabierając ją na kolacje, tańce i długie spacerunki przy świetle księżycy. Kiedy wracała do college'u, on zaś do swojej pracy, nie mogła liczyć na więcej niż pocałunek na dobranoc. Nie upłynęły dwa tygodnie, gdy Dell zadzwonił do niej i zapytał, czy nie mogliby się spotkać w dworcowym hotelu. Jinx przystała na tę prośbę.

Myśl, by przespać się z mężczyzną, nigdy wcześniej nie przyszła jej do głowy. Zawsze wydawało jej się, że zostanie zdobyta, wyjdzie za mąż i utraci dziewictwo podczas nocy poślubnej. Ale tego wieczoru siedząc naprzeciwko Della w hotelowej restauracji i próbując wykazać zainteresowanie sandwichem i tanim czerwonym winem, nie myślała o niczym innym, tylko o pójściu do jego pokoju.

Od początku sprawił, że poczuła się kobietą. Rozbierał ją powoli, delikatnie, mówiąc jej cały czas, jaka jest piękna i jak wspaniale będą się kochać. Zachęcił ją, by go rozebrała, hamując zniecierpliwienie i dając jej czas na oswojenie z jego nagością. Jinx wykazywała brak doświadczenia, ale zdołał ją przekonać, że bardzo podniecały go jej pieszczoty, gdyż ona sama była tak bardzo podniecająca.

Dotychczasowi partnerzy seksualni Jinx bardzo różnili się między sobą: od smętnych romantyków do uchodzących za doświadczonych, którzy odchodzili bez zobowiązań. Kiedy pozwalała pieścić się tym mężczyznom, jej reakcje były dziecinnymi odruchami ciekawości i nie było w tym żadnej namiętności. Dell Talbott to zmienił. Dotykał ją w miejsca, do których nie sięgnęła dłoń żadnego mężczyzny, i nikt przedtem nie głaskał jej w ten sposób. Mówił do niej rzeczy, których nikt jeszcze jej nie powiedział, przemieniając ją z niewinnej dziewczyny w zmysłową kobietę, zdolną dawać i delektować się rozkoszą.

Przez kilka następnych miesięcy Jinx liczyła dni dzielące ich od kolejnych spotkań. Nauka, znajomi, obowiązki pozaszkolne miały dla niej drugoplanowe znaczenie. Po skończeniu semestru Jinx wróciła do domu na wakacje. Dell tak zaplanował swoje loty, żeby od końca maja do początku września raz, a czasami dwa razy w tygodniu móc się z nią spotkać w jakimś motelu.

Oczywiście łatwiej byłoby to robić w hotelu „Ithaca”, bez upomnień rodziców, spojrzeń pełnych dezaprobaty, konieczności wyjaśnień i poczucia winy. Jednak Jinx robiła dla niego wszystko. Dell Talbott stał się najważniejszą osobą w jej życiu.

Wszystko robił najlepiej, był najmądrzejszy, a dla kogoś tak wówczas łatwowiernego i naiwnego jak Jinx zalety tego związku przyćmiewały jego wady. Nie widziała nic złego w tym, że nigdy nie chodzili na kolacje ani na tańce, a jedynym miejscem ich spotkań było łóżko. Nie dostrzegła też nic niepokojącego w tym, że nie przyjeżdżał po nią do domu i nie chciał poznać jej rodziny. Nie знаła także numeru telefonu, pod który w razie potrzeby mogłaby zadzwonić. We wszystkim, co dotyczyło Della, Jinx widziała same blaski. I nic dziwnego. Nie potrafiła spojrzeć na niego krytycznie.

Dopiero w listopadzie otworzyły jej się oczy. Dużo czasu poświęcała na przymilanie się i przekonywanie rodziców, by pozwolili jej spędzić Święto Dziękczynienia poza domem. Powiedziała, że chce dokończyć pracę semestralną i będzie siedzieć przez cały weekend w czytelni. Naprawdę miała zamiar spędzić to święto z Dellem. Od czasu gdy wróciła do szkoły, rzadko się widywali i Jinx ogromnie tęskniła. Podczas ostatniego spotkania Dell napomknął, że prawdopodobnie zobaczą się dopiero w grudniu. Zapytała, co robi w Święto Dziękczynienia. Powiedział, że pewnie wtrząśnie jakąś kanapkę pomiędzy przerwami w lotach. Już wtedy postanowiła zrobić mu niespodziankę.

W środę, późnym popołudniem, Jinx poleciała do Nowego Jorku i zatrzymała się w hotelu „Roosevelt”, gdzie Dell z załogą odpoczywał w czasie przerw między kolejnymi lotami. Wprawdzie nigdy nie podał jej dokładnego rozkładu rejsów, lecz przypomniała sobie, że wspominał o locie z Denver. Biorąc pod uwagę ewentualne opóźnienia, powinien wylądować na lotnisku Kennedy'ego około piątej. Zanim Jinx dotarła do hotelu, dochodziła siódma trzydzieści.

- Mam się spotkać z panem Dellem Talbotem - powiedziała recepcjoniście, mając nadzieję, że jej słowa nie zdradzają podeksytowania. - Czy mógłby mi pan podać numer jego pokoju?

Nie mogła doczekać się reakcji Della, kiedy stanie w drzwiach jego pokoju. Jutro rano pójda na coroczną defiladę organizowaną z okazji Święta Dziękczynienia. Potem mogą obejrzeć grę w kręgle, a wieczór spędzą na uroczystej kolacji.

- Jeśli można, zaopiekuję się pani walizką do czasu jego przyjazdu - zaoferował pomoc recepcjonista.

Jinx rzuciła mu uśmiech pełen rozczarowania, podziękowała i przekazała swój bagaż. Idąc w stronę kanapy ustawionej w holu, zastanawiała się, co mogło go zatrzymać.

Być może odwołano ten lot lub nastąpiło niespodziewane opóźnienie. A może samolot się rozbił?

Natychmiast wybiegła z holu, znalazła budkę telefoniczną i zadzwoniła na lotnisko Kennedy'ego. Kobięcy głos poinformował ją, że samolot przybył według rozkładu o czwartej czterdzieści pięć czasu wschodniego.

W drodze do centrum nie było żadnych korków. Właściwie miasto wyglądało na całkiem wymarłe. Gdzie mógł się podziać? Może poszedł na drinka z kolegami? Na kolację? Możliwe, całkiem możliwe.

Z uczuciem lekkiego zniechęcenia wróciła do holu i z powrotem usiadła na kanapie. Gdyby знаła miejsce, które lubił odwiedzać, albo imiona jego przyjaciół, mogłaby jakoś do niego dotrzeć. Bezmyślnie przeglądając leżące na stole gazety zdała sobie sprawę, że chociaż ich romans trwa już ponad pół roku, nie wie o Dellu prawie nic.

- Co, u diabła, tutaj robisz?

Musiała się zdrzemnąć, bo ostry ton jego głosu zbudził ją ze snu. Upłynęła chwila, zanim skojarzyła, gdzie się znajduje i co ją tutaj sprowadziło. Rozciągnęła usta w uśmiechu, który prawie natychmiast zamarł. Dell był wściekły.

- Przyleciałam, żeby spędzić z tobą Święto Dziękczynienia. Nie chciałam, żebyś czuł się osamotniony. Postanowiłam zrobić ci niespodziankę - wyjąkała nerwowo.

- Tak... Ja też mam dla ciebie niespodziankę - jego głos przybrał zimny, złowrogi ton. - Wyobraź sobie, że nie jestem sam.

Dopiero teraz Jinx dostrzegła stojącą za Dellem kobietę.

- A teraz może znów będziesz dobrą dziewczynką i wrócisz z powrotem do szkoły - powiedział Dell, mocno chwytając ją za ramiona i pchając w stronę drzwi.

- To twoja żona? - Jinx nie odrywała wzroku od atrakcyjnej blondynki. Cała trzęsła się w środku i czuła się bardziej niż zmieszana.

- Nie - odparował Dell z rosnącym zniecierpliwieniem. - Nie jest moją żoną i ty też nie.

Jinx zakreśliło się w głowie. Jego gniew całkowicie wyprowadził ją z równowagi.

- Co ci przyszło do głowy, żeby mi się narzucać, jak tylko przyjdzie ci na to ochota? - ciągnął dalej. - Miałem własne plany i nie uwzględniały one ciebie.

- Ale przecież... Myślałam, że łączy nas coś więcej... sądziłam, że mnie kochasz...

- Więc źle myślałaś. Nic nas nie łączy, moja droga - odparł z nie skrywanym sarkazmem. - Mieliśmy zwyczajny romans. Flirt. Trochę więcej niż numer na jedną noc. Ale cokolwiek to było, już się skończyło. Czy wyrażam się jasno?

Jinx nie chciała robić sceny przed tą kobietą i ludźmi przewijającymi się przez hol, ale nie mogła powstrzymać się od płaczu. Duże, smutne łzy pociekły po jej policzkach, kiedy widziała, jak Dell odwraca się, bierze za rękę przyjaciółkę i idzie w kierunku windy.

Patrzyła w zamykające się drzwi nazbyt zraniona i upokorzona, by wykonać najmniejszy ruch. Po paru sekundach poczuła dotyk ręki na ramieniu.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - dobiegł ją przyjazny i uprzejmy głos recepcjonisty. - Może zarezerwuję pani pokój?

Jinx potrząsnęła głową. Nie mogła zostać w hotelu.

- Dziękuję, ale gdyby był pan tak miły i wezwał taksówkę. Spieszę się na samolot.

W drodze na lotnisko Jinx zastanawiała się nad powrotem do Phoenix, do domu, ale w końcu doszła do wniosku, że nie może tam teraz jechać. Nie chciała przyznać się do kłamstwa i opowiedzieć im prawdy. Kiedy dotarła do lotniska

Kennedy'ego, dochodziła druga nad ranem. O dziesiątej miała samolot do „Ithacki”. Osiem godzin czekania.

I co z tego, pomyślała. Nikt tam na mnie nie czeka. Tak samo jak tutaj.

Harrison Kipling należał do ginącej grupy mężczyzn, określanej mianem prawdziwych romantyków. Niektórzy mężczyźni intuicyjnie wyczuwają, że nastrój i zdobywanie kobiety są ze sobą nierozdzielnie związane. Wiedzą, że otoczenie kobiety mgłą romantyzmu jest bardziej skuteczne od zasypywania jej kosztownymi prezentami i poetyckimi strofami. Mężczyźni ci rozumieją, że w uwodzeniu forma bywa tak samo ważna jak treść.

Nikt wcześniej nie potraktował Jinx z taką galanterią. Kip podjechał po nią swoją limuzyną, ubrany w smoking, z kwiatem w butonierce, szarmancki jak amant z szekspirowskiego dramatu. Z wrodzoną elegancją wręczył jej rodzicom butelkę Louis Roederer, ofiarował Heather bukietik świeżych fiołków, a Jinx przepiękną gardenię, którą wpiął jej we włosy. Później pomknęli do jego posiadłości na uroczystą kolację we dwoje.

W domu było cicho i Kip zaprowadził Jinx do jadalni, gdzie czekał na nich suto zastawiony bufet. Niskie, grube świece osadzone w świeczniku oświetlały wnętrze pomieszczenia. Duże kosze z gałęziami sosny rozsiewały świeży zapach gór, a nastrojowa muzyka unosiła się w powietrzu jak subtelny zapach perfum, wypełniając przestrzeń melodyjnym dźwiękiem staromodnej fugi.

Stół nakryty był bawełnianym indiańskim obrusem, zastawiony ręcznie rzeźbionymi świecznikami, najszlachetniejszą srebrną zastawą, białą porcelaną i najdroższymi kryształami Baccarata. Podczas kolacji rozmowa potoczyła się wartko, jak lekkie kroki menueta. Jinx co chwila zerknęła na Kipa. Jego twarz oświetlał płomień

świecy. Kilka razy ich spojrzenia spotkały się i Jinx poczuła się zauroczona jego obecnością. Przez cały dzień całkowicie absorbowwała jego cenny czas - poleciał z nią w dolinę Wielkiego Kanionu, do Meksyku na barbeque, oprowadził ją po wszystkich nocnych lokalach w Phoenix, a nawet poszli na pizzę i do kina. Zmienność nastroju, której doświadczyła pierwszego wieczoru, zniknęła bez śladu. Był czarujący, uroczy, kochający i niezwykle pociągający. Czowała, jak jej pragnie, a mimo to po każdym pocałunku nagle odsuwał się od niej.

Jinx nie mogła wiedzieć o tym, że powściągliwość Kipa wynika nie tylko z dobrych manier. Podczas minionego tygodnia, angażując się coraz bardziej w znajomość z Jinx, postanowił rozważyć stosowność tego związku.

Jinx była zbyt młoda, zbyt niewinna i nazbyt podatna na zranienie, by mógł pofolgować swej namiętności. Nie chciał okazać się człowiekiem bez skrupułów. Do tego dzieliły ich znaczne odległości. Kip na stałe mieszkał w Nowym Jorku, podczas gdy dom dziewczyny był w Phoenix. Często podróżował. Nie miała ani pieniędzy, ani żadnych powodów, aby jeździć z nim po kraju. Wiedział jednak, że nie będzie w stanie odrzucić tego ciepła i radości, jakie wniosła w pustkę jego życia. Zbyt długo dręczyła go samotność. Uczestniczył w konferencjach związanych z interesami i brał udział w zebraniach handlowych. Chociaż nie żył w celibacie, jego przygody seksualne były tak powierzchowne i bez znaczenia, jak wszystko inne. Jinx prześlizgnęła się przez mur, którym się otoczył. Było w niej coś, co spowodowało, że znów zapragnął uczucia, wiary i pogodzenia ze światem. Ale nadal tkwiła w nim nieufność, która kazała mu trzymać uczucia na wodzy.

- Wyglądasz na trochę zagubionego - rzekła Jinx ze spokojem w głosie. - Myślisz o swojej rodzinie?

Pochyliła się nad stołem. Kojące ciepło jej dłoni przeniknęło przez skórę jego ręki.

- Zawsze mnie to nachodzi w czasie świąt - odpowiedział.
- Boże Narodzenie było dla nas szczęśliwym okresem. Cały salon wypełniony był wszystkimi grami i zabawkami, jakie tylko można sobie wyobrazić. Kolejki elektryczne. Pluszowe zwierzaki. Lalki, które mówiły, chodziły, płakały, tańczyły i siadały. Piłki do footballu, baseballowe rękawice, krążki do hokeja. Wypowiesz swoje życzenie i wszystko u twoich stóp!
- Zaśmiał się nerwowo, by ukryć cisnące się do gardła łyż wzruszenia. - Przez dwa dni sprzątailiśmy papier od pudełek po zabawkach.

Otarł łzę spływającą po policzku. Nie dostrzegła w tym nic żenującego i Kip nie czuł potrzeby, by przeproszać za swoje wzruszenie. Ta chwilowa słabość wywołana wspomnieniem najbliższych poruszyła ją do głębi.

- Byłeś surowym ojcem?

- Czasami. Ale to Elizabeth była od wymierzania kar. - Mimowolnie potarł zewnętrzną część dłoni. - Wiele podróżowałem, a gdy już przyjechałem do domu, chciałem być sympatycznym facetem. Pragnąłem okazać im swoją miłość, a nie cały czas strofować. Miałem dobrze wychowane dzieci i zawdzięczałem to tylko Elizabeth.

Na kilka chwil pogрузił się w cichej zadumie. Jinx podniosła dzbanek z kawą, napełniła jego filiżankę i dołała sobie do pełna. Kip wędrował po świecie swojej przeszłości i Jinx miała prawo czuć się w tej chwili wyobcowana. Ale tak nie było. To, że nie poświęcał jej uwagi, w żaden sposób nie zagrażało jej poczuciu bezpieczeństwa.

- Jeśli miałbym zacząć jeszcze raz - zwierzał się Jinx - wszystko byłoby inaczej. Więcej przebywałbym w domu i bardziej angażowałem się w życie rodzinne. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się. - Otaczałbym cię troską, trochę po ojcowsku.

Sądził, że sprawia jej tym przyjemność, lecz Jinx zareagowała jak na ukłucie igły. Energicznym ruchem oswobodziła dłoń z serdecznego uścisku, świadomie stwarzając uczucie dystansu.

- Powiedziałem coś nie tak? - zapytał zmieszany. Poczula się głupio - jak aktorka z objazdowego teatryku.

- Nie - odparła. - Pewnie wypiałam za dużo wina. Kip pokiwał głową.

- Na pewno. Gdzieś wyczytałem, że pewne gatunki winogron mogą spowodować ataki niepokoju, a niektóre nawet pęknięcie skóry między palcami u nóg.

Drżący uśmiech zatańczył na ustach Jinx, ale zgasł po chwili.

- Już dobrze. Co się zagnieździło w twojej głowie? - Czule uniósł jej brodę i głęboko spojrzał w oczy. - Przysięgam, że nie będę się śmiał. Nie będę krytykował. I nawet nie skomentuję, jeśli nie zechcesz.

Odezwała się cicho.

- Hank nie jest moim prawdziwym ojcem - zaczęła. - Mój ojciec zmarł, gdy byłem niemowlęciem; nigdy go nie znałam.

To tłumaczyło jej zakłopotanie podczas pierwszego spotkania, gdy wspomniała, że ojciec nazwał ją Jinx. Kip uważnie się jej przyjrzał.

- Ale masz szczęście, że wychował cię tak przyzwoity człowiek jak Hank Elliot. Jestem pewien, że otacza cię wielką miłością.

- Ja też go kocham - odparła Jinx - ale po prostu odczuwam potrzebę dowiedzenia się czegoś więcej o moim ojcu. Nawet nie potrafię wyobrazić sobie jego twarzy. Nie znam jego głosu, a przecież przekazał mi swoje geny. Zastanawiam się, kim właściwie jestem.

- A co powiedziała ci o nim matka? - ciekawość narastała w Kipie.

- Nazywał się Benjamin Rostov. Był kapitanem lotnictwa. Brał udział w nalotach na Berlin. Poznali się z mamą w szpitalu i zginął w jednej ze swoich akcji. - Powiedziała to bez cienia emocjonalnego zaangażowania, zupełnie tak, jakby recytowała przeciwniczoną wcześniej i utrwaloną odmianę rzeczowników. - Nigdy nie opowiadała mi o jego rodzinie, z wyjątkiem tego, że nazwała mnie Frances Rebecca po jego matce.

Kip widział jej strapienie i fizycznie odczuwał jej ból. Wstał z fotela, wziął ją za rękę i zaprowadził do drugiego pokoju, pomógł jej usiąść na sofie ustawionej przed kominkiem. Nalał dwa kieliszki koniaku i zaproponował, żeby się napiła.

- Jinx - powiedział kładąc jej dłoń na ramieniu. - W czasie wojny i zaraz po niej zginęło wielu mężczyzn. Wiele żon i dzieci zostało samych. Większość z nich, tak jak twoja matka, ułożyło sobie życie. Inne wolały traktować żałobę jak swoją profesję. Założę się, że nadal nie otrząsnęły się z tego. Powinnaś być wdzięczna, że twoja matka nie wybrała życia zawodowej wdowy.

- Doceniam to, ale dlaczego cały czas mnie okłamywała? Gdybym przypadkiem nie natknęła się na świadectwo moich urodzin, pewnie do dziś nie powiedzieliby mi prawdy.

Kip wstrzymał się od komentarzy, ale obawiał się, że Jinx ma rację. Zastanawiał się tylko, co było powodem takiego zachowania Kate. Był przekonany, że gdy uczciwi ludzie postępują niezgodnie ze swoimi zasadami, zazwyczaj robią to w dobrej wierze. Kate i Hank celowo zataili, kto był ojcem Jinx, gdyż uważali, że tak będzie dla niej lepiej.

- Na pewno chcieli zaoszczędzić ci goryczy, której teraz doznajesz - próbował ją pocieszyć. - W końcu ten człowiek zmarł zaraz po twoim urodzeniu. Hank prawie równocześnie cię zaadoptował. Po co wywołujesz zamęt i rozdrapujesz

rany? - Jinx słuchała, ale nie udało mu się jej przekonać. - Jeśli twoi rodzice popełnili błąd, to na pewno nie zrobili tego celowo.

- Mam nadzieję - Jinx skinęła głową. - A co z jego rodziną? Dlaczego nie próbowali mnie odnaleźć? Mam przecież dziadka. Czemu nie starał się do mnie dotrzeć? Benjamin Rostov nie żyje, a ja jestem jedynym potomkiem.

Była zła i wcale się jej nie dziwił. Energicznym ruchem podniosła się z kanapy i zaczęła krążyć po pokoju.

- Może o tobie nie wiedzą.

- Tak właśnie mówi mama. Twierdzi, że nigdy nie była blisko z jego rodziną, a kiedy umarł, Hank próbował zlokalizować Rostovów, ale nie udało mu się.

Kip nie wierzył w tę opowieść.

- Ale to nie rusza nas z punktu wyjścia ani o krok - ciągnęła - ponieważ ja też nic o nich nie wiem. Nie wiem, skąd pochodzą, ilu z nich żyje i jacy są. Boże! Doprowadza mnie to do szału. Oni też mają rodzinę - rzekła z chłodną determinacją. - Należę do ich grona i pewnego dnia odnajdę ich i im to powiem!

Wczesnym wieczorem, kiedy Kip przyjechał po Jinx do jej domu, Kate zdradziła swą macierzyńską troskę. Spojrzenie, które mu rzuciła, mówiło: „tylko nie skrzywdź mojego dziecka, bo będziesz miał ze mną do czynienia”. Nie miał wątpliwości, że Kate była kochającą matką. Jeśli pragnęła, by Jinx zapomniała o tym człowieku, Kip nie zamierzał zachęcać Jinx do poszukiwań.

- Należysz do rodziny Kate, Hanka i Heather - powiedział spokojnie.

- Dlaczego wszyscy reagują w ten sposób? Nie mam zamiaru zamienić jednej rodziny na drugą. - Zaczerpnęła tchu, próbując zatrzymać cisnące się do oczu łzy. - Ja chcę tylko

odnaleźć mojego prawdziwego ojca. Czy jest w tym coś złego?

Wstał i podszedł do niej, przytulając ją do siebie i głaszcząc dłonią po plecach.

- Nie - powiedział. - Zupełnie nic.

Obejmował ją przez chwilę, póki nie opadło z niej napięcie, a potem zaprowadził na kanapę i dał jej łyk koniaku.

- Trudno gnać za chmurami - skomentował po chwili.

- Mówisz jak moja matka. Według niej zrobiłam z tej historii bajkę Hansa Christiana Andersena i zachowuję się jak księżniczka zamknięta w wieży wbrew swojej woli. - Lekko się zarumieniła. - Twierdzi, że jedynym powodem mojej fascynacji tobą jest to, że pasujesz do wyobrażenia o ojcu, jakie w sobie pielęgnuję.

- A jak go sobie wyobrażasz? - Nie był pewien, czy ma się czuć wyróżniony, czy dotknięty.

- Przyjrzyjmy mu się bliżej. Fascynujący. Wykształcony. Przystojny. Kochający. Rycerz Lochinvar bez żelaznej zbroi.

Roześmiał się tak jak i ona, ale obydwójce byli świadomi, że kryło się za tym sporo prawdy. Czy rzeczywiście był tylko substytutem ojca, którego nigdy nie poznała? A może była tylko dziewczynką, która jeszcze nie dorosła do kobiecości? Czy naprawdę byli sobie bliscy, czy może wpasowali się w role ojca i córki? Nagle Kip uświadomił sobie, że te pytania nasuwały mu się przez cały tydzień.

Jinx także pogrążona była w swoich myślach. Westchnęła i Kip dostrzegł teatralną walkę płomienia i cienia na jej skórze. Włosy miała upięte do góry i dopiero teraz dostrzegł jej smukłą, majestatyczną szyję. Jego wzrok powoli powędrował w zagłębienie pomiędzy piersiami, z rozkoszą delektując się pięknem. To wszystko, co mógł zrobić, by podziwiać jej ciało, nie zdejmując ubrania.

Staczał wewnętrzną walkę, by nie przyglądać się jej zbyt natarczywie. Pragnął jej dotknąć, czuć, jak odpowiada na jego pieszczoty i jak rozpoczyna grę miłosną.

Kiedy znów się odezwał z wymuszoną wesołością, miał zachrypnięty głos.

- Słuchaj! Jest dzisiaj Wigilia, a ja nie tak zaplanowałem sobie kolację we dwoje. Ruszmy się!

Wyciągnął do niej dłoń. Otwarcie spojrzała mu w oczy i zapomniała o kłamstwach, odtrąceniu i dychotomicznej rodzinie. W tej chwili liczył się tylko on.

Kiedy pierwszego dnia nowego roku Jinx podniosła się z łóżka, dochodziło południe. Promienie słońca przeciskały się przez zaciągnięte żaluzje, rzucając pasma światła na dywan. Świeży wietrzyk wpadł przez lekko uchylone okno i drażniąc ją, obudził ze snu. Wolno przeciągnęła się i obróciła, kładąc głowę w miejscu nóg. Zwisającymi swobodnie stopami zaczęła dotykać zimnego zwieńczenia głowy stylowego łóżka. Oczy nadal miała zamknięte. Przywoływała wspomnienia poprzedniego wieczoru, które odbiły się uśmiechem na jej twarzy. Sylwester we dwoje, mieniący się tłum w „Palovedre”, szampan, muzyka, sposób, w jaki Kip na nią patrzył i całował o północy, ich szalony taniec do trzeciej nad ranem, splecione ramiona...

Nagle uśmiech ustąpił lekkiemu ściągnięciu brwi. Od kiedy poznała Harrisona Kiplinga, jej ciało zaczęło wyrażać potrzeby błagające o spełnienie. Gdy Kip ją całował, czuła, jak całe wnętrze drży. Muskał ją, a nerwy reagowały jak porażone prądem. Przytulał ją i czuła drapieżne ciepło. Nawet teraz, kiedy leżała w łóżku, na samą myśl o Kipie jej ciało stawało się słodko nadpobudliwe.

Próbowała sama siebie przekonać, że będąc dżentelmenem, trzyma w ryzach swoje emocje, ale tak naprawdę pragnęła, by chwycił ją jak Rett Butler Scarlett

O'Hare, żeby ją tak rozpaczliwie kochał jak Tristan swoją Izoldę i by uwodził ją miłosną poezją jak Żywago Lare.

Poprzedniej nocy, gdy tańczyli, ich ciała pasowały do siebie jak dwie części jednej całości. Była prawie jego wzrostu i ich oczy bez trudu się odnajdywały.

Wszyscy uczestnicy sylwestrowej zabawy jedli i tańczyli, licząc minuty do nadejścia 1968 roku. Na moment przed północą rozległy się latynoamerykańskie rytmy i rząd tancerzy zepchnął Jinx i Kipa w róg parkietu. Kip zaśmiał się, mocniej przytulając ją do siebie.

- Chyba już bezpieczniej było walczyć w Korei - odezwał się, strzepując konfetti z jej ramion.

- Jest cudownie! - przekrzykiwała orkiestrę. - Jesteś fantastyczny! - Odrzuciła głowę do tyłu, psując sobie fryzurę, uwalniając włosy od szpilek i od gardenii, którą włożyła w wycięcie dekoltu. - Zrobisz coś dla mnie? - zapytała, świadoma jego wzroku spoczywającego na jej piersiach.

- Walka ze smokiem nigdy nie była moją najmocniejszą stroną - odpowiedział, zmuszając oczy do spojrzenia na jej twarz - ale jeśli nalegasz.

- Ocalę ci życie, prosząc o coś znacznie prostszego. Nie zapomnij jutro rano powiedzieć Halonie, że kolacja była wyśmienita.

Przebiegł palcami po jej policzkach.

- Dlaczego sama tego nie zrobisz?

- Czy rano będziemy jeszcze razem? - Miała nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt bojaźliwie.

- Myślałem, że zjemy razem śniadanie połączone z lunchem. - Jego usta musnęły skórę za jej uchem. - Tylko we dwoje. - Poczowała delikatne dotknięcie języka na szyi. - Długi, leniwy lunch... - Jego ręce ześliznęły się po jej talii. - A jeśli wszystko będzie dobrze, po lunchu będzie kolacja, po kolacji śniadanie, lunch i następna kolacja...

Swobodny śmiech poprzedził serię pocałunków na jej ramionach, karku, szyi, a później niżej, prawie do piersi. Na końcu pocałował ją w usta.

Ręce Jinx powędrowały po plecach Kipa i oplotły jego szyję. Czowała, jak uginają się pod nią nogi, i świat zawirował jej przed oczami.

- Mamy pewien problem - wyszeptał Kip. Lekko odsunął ją od siebie i zobaczyła, że cały płonie z emocji. Przestała się przejmować drżeniem swoich rąk. - Jesteś przepiękną, młodą kobietą - powiedział. - Wszczepiłaś we mnie wolę życia, której tak bardzo potrzebowałem. Nie przypominam sobie, kiedy ostatnio byłem aż tak szczęśliwy.

- Cieszę się - odparła.

- Ale nie mogę już dłużej trzymać rąk z dala od ciebie.

- Więc tego nie rób.

Zanim cokolwiek odpowiedział, orkiestra zaczęła grać „Auld Lang Syne”. Balony posypały się z sufitu. Konferansjerzy rozrzucali konfetti, a goście podnosili kieliszki z szampanem w radosnym toaście. Niektórzy zaczęli znów tańczyć. Inni się przyglądali. Kip wziął Jinx w ramiona i pocałował ją namiętnie, czując zarys jej zębów i miękkość języka.

- Mógłbym się w tobie zakochać, panno Elliot - powiedział głosem, który zabrzmiał tak, jakby wydobył się z nie używanej do mówienia części gardła.

- Wcale pana nie powstrzymuję, panie Kipling.

- Mam czterdzieści jeden lat, a ty nie masz jeszcze dwudziestu.

- Mamy rok 1968. Sądziłam, że nasz związek ma jakieś znaczenie. Czy ta różnica wieku naprawdę nigdy się nie wyrówna?

Chyba nie powinna okazać wczoraj aż takiej śmiałości. Znowu opadły ją poranne wątpliwości. Tańcząc w rytm

muzyki, zauroczona radosną bliskością jego ciała, sądziła, że może pozwolić sobie na taką szczerość, ale może się myliła? Sądziła, że zna siłę jego uczuć, jednak dzisiejszej nocy spała w swoim łóżku, pomimo że bardzo pragnęła spędzić tę noc z Kipem.

Skuliła się pod kołdrą, przypominając sobie dreszczyk podniecenia drażniący jej ciało. Wcisnęła kołdrę między uda i zamknęła powieki. Zobaczyła twarz Kipa, poczuła woń jego wody kolońskiej i spróbowała przywołać magię ostatniej nocy.

Pisk hamulców wyrwał ją z marzeń. Usiadła i spojrzała na zegar. Dochodziła czternasta. Wskoczyła z łóżka i szukając rodziny przeszła się po domu. Znalazła tylko dzbanek kawy, gazetę i kartkę z wiadomością, że pojechali do Scottsdale i wrócą wieczorem.

Gdy usadowiła się już w kuchni, by wypić kawę, zobaczyła, że gazeta otwarta jest na stronie z fotografią jej i Kipa śmiejących się do obiektywu. Nie mogła przypomnieć sobie, kiedy zrobiono to zdjęcie. Krótki komentarz głosił: „Czyżby miejscowa piękność Jinx Elliot była kandydatką numer jeden do zajęcia miejsca u boku tak pożądanego mężczyzny jak Harrison Kipling?”

Jinx roześmiała się. Nie mogli wydrukować nic bardziej trafnego. Zastanawiała się, czy Kip widział już tę gazetę. W zasadzie niepokoiła się, że jeszcze się nie odezwał. Pewnie dzwonił, gdy jeszcze spałam, usprawiedliwiała go. Znowu przyjrzała się fotografii. Stanowili wspaniałą parę. A może zdenerwowało go to zdjęcie? Nie, nie robiłby z tego powodu żadnego problemu. Przecież był osobą publiczną.

Zabrała filiżankę z kawą i poszła wziąć prysznic, zostawiając uchylone drzwi do łazienki, na wypadek gdyby zadzwonił telefon. Wykąpała się i umyła włosy, lecz telefon wciąż milczał. O czwartej zaczęła się niepokoić. Czy go tak

zdenewrowała, że jeszcze nie zadzwonił? Może coś się stało? Nagle poczuła rozpaczliwą potrzebę porozmawiania z Kipem. Pobiegnęła do telefonu i wykręciła jego numer.

- Halona? Mówi Jinx Elliot.

- Szczęśliwego Nowego Roku, panno Elliot.

- Dla ciebie również. - Spokojnie. Bez paniki. - Czy mogę porozmawiać z panem Kiplingiem?

- Nie ma go w domu.

Musiał pojechać do hotelu. Albo wybrać się na konną przejażdżkę. A może jest właśnie w drodze do niej?

- Kiedy będę mogła go zastać? - Serce biło jej jak młot.

W monotonnym głosie Halony było coś niepokojącego.

- Nie wiem, panno Elliot. Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć.

- Halona, mamy zjeść dziś razem lunch. Nie wiesz, dokąd poszedł?

- Wyjechał do Nowego Jorku. - Jinx zamarła. - Wyszedł z domu w południe. Jinx poderwała się z miejsca. Dlaczego się nie pożegnał? Wyjechał tak nagle... Ciężkim krokiem powlokła się do swojego pokoju i usiadła na brzegu łóżka. Przez chwilę gapiła się w plamę światła na podłodze.

- Przecież próbował ci powiedzieć - mamrotała sama do siebie. - Jesteś za młoda.

Przez łzy szukała ukojenia w przedmiotach, które ją otaczały: puszysty szal w delikatne, kwieciste wzory, rozrzucone miękkie poduszki, toaletka ze zdjęciami Warrena Beatty i Paula Newmana przyklejonymi skoczem do lustra, duży domek dla lalek w kącie, na półkach z książkami rząd zdjęć z wakacyjnego obozu. Ten pokój zawsze był dla niej rajem, mogła w nim odzyskać zachwianą pewność siebie i zagoić rany. Teraz każdy skarb z dzieciństwa był oskarżeniem, dowodem przepaści, jaka dzieliła ją od Harrisona Kiplinga. Jakże była naiwna.

- Nie jestem dla pana za młoda, panie Harrisonie Phineasie Kipling. I mam zamiar to udowodnić!

FRANCES REBECCA KAHN

Cissie

Marzec 1968

Już od tygodnia lodowaty deszcz zalewał Paryż, spowijając miasto surowym, przejmującym chłodem. Przechodnie tłoczyli się na pełnych kałuż ulicach z głowami wtulonymi w ramiona, zasłaniając się parasolami przed deszczem i wiatrem. Dzielnica Seine jak zwykle była zatłoczona i głośna. Samochody stojące w korku na Polach Elizejskich niecierpliwie powarkiwały. Nieliczni turyści, którzy odważyli się stawić czoło pogodzie, stali pod bezlistnymi drzewami, kartkując przewodniki, starając się, by ich entuzjazm nie spłynął razem z deszczem.

Cissie Kahn wyszła z limuzyny w alei Montaigne, weszła do hotelu „Plaza - Athenee”, zabrała z recepcji korespondencję i pośpieszyła do kawiarni na tyłach holu. Długa, wąska galeria wypełniona była przemokniętymi gośćmi, którzy pożywiali się i odpoczywali w przytulnym wnętrzu.

Oddała płaszcz portierowi i zamówiła kawę i ciastko u młodego kelnera. Dostrzegła kilku znajomych siedzących przy dwóch różnych stolikach; pozdrawiali ją ruchem dłoni, serdecznie się uśmiechali i zapraszali na wspólną kawę. Odpowiedziała przyjaznym skinieniem głowy; innych obdarzyła uśmiechem, rzucając zdawkowe pozdrowienia po francusku i angielsku, po czym udała się do pierwszego wolnego stolika.

Galeria była jej ulubionym miejscem w hotelu. Eleganckie tapicerowane krzesła i drewniane stoły wykonane na wysoki połysk dzieliły salę na przytulne kąciki, przy których mogły zasiąść dwie, trzy albo cztery osoby. Delikatna kolorystyka i intrygujący wzór materiału doskonale harmonizowały z subtelnymi dywanikami w stylu faux - Savonnerie, leżącymi

na podłodze. Olbrzymie kryształowe żyrandole zwisały majestatycznie z sufitów, rzucając światło na tych, którzy przyszli posiedzieć, poobserwować lub, jak to zazwyczaj bywało, zwrócić na siebie uwagę.

Kawiarnia otaczała dziedziniec, który był widoczny przez przeszklone ściany. W lecie zamieniano go w kawiarniany ogród z donicami świeżych kwiatów i parasolami chroniącymi gości przed słońcem. Kamienny dziedziniec, który teraz wydawał się szary i wyblakły, był ulubionym miejscem Cissie i przywoływał jej najlepsze wspomnienia.

Usłyszała w słuchawce znajomy głos, pytający, czy mademoiselle Kahn mogłaby pójść na lunch do ogrodu „Athenee”. Cissie miała wówczas cztery lata i była najwyraźniej zaskoczona. Dlaczego tatuś do niej zadzwonił? Czyżby nie wracał na kolację do domu? A może coś przeszkrobała? Dlaczego nie mieli zjeść lunchu razem z mamą i Andrew?

Owego dnia Bert Kahn szarmancko pomógł Cissie włożyć płaszczyk, cierpliwie czekał, gdy jego żona wydziwiała nad słomkowym kapeluszem córki, i z rozbawieniem obserwował, jak Cissie wciskała dłonie w białe koronkowe rękawiczki; obiecał, że będą w domu przed piątą. Rzucił porozumiewawcze spojrzenie siedmioletniemu synkowi, który wlepił w niego pełne wyrzutu, zielone oczy.

Spacer z mieszkania w alei Foch do hotelu nie zajmował więcej niż pół godziny, nawet przy najbardziej ślimaczym tempie. Bertowi i Cissie zajął dwa razy dłużej. Bert nie mógł się powstrzymać od dumy ze spacerującej obok niego córeczki. Chciał, by wszyscy sąsiedzi i przechodnie na ulicy zwrócili na nich uwagę. Promieniał uśmiechem, kiedy ludzie zachwycali się pięknym stworzonkiem w kolorowej, kwiecistej sukience i czerwonych, lakierowanych bucikach, zdziwieni nienaganną płynnością jej francuzczyzny.

Wyglądali na czarującą parę, z jednakowym odcieniem miedzianych włosów, subtelnymi szarzielonymi oczami i szerokim uśmiechem tańczącym na pełnych ustach. Ręka w rękę paradowali wokół Łuku Triumfalnego, wzdłuż Pól Elizejskich, zerkając na sklepowe wystawy, szczęśliwi, że mogą być razem. Przed wejściem do hotelu Bert zatrzymał się przy stoisku z kwiatami. Kupił mały bukiet i z wielką ceremonią przypiął go do płaszczyka Cissie.

- Dżentelmen kupuje kwiaty tylko kobiecie, którą kocha - powiedział.

Klekotanie wózka z deserem przywróciło Cissie do teraźniejszości. Przybyła do Paryża w celu dopracowania przedpremierowej kolekcji i za niecałą godzinę Bert miał dzwonić z Nowego Jorku, by wysłuchać jej wrażeń.

Mieszając łyżeczką herbatę z mlekiem, próbowała zanalizować to, co działała w ostatnim tygodniu. Jak dotąd odnosiła same sukcesy. Miała wrodzone oko stylistki i na tyle pewności siebie, że zamówiła gotowe modele najlepiej sprzedających się dyktatorów mody. Była przekonana, że wybrała odpowiednie fasony. Określenia takie jak „stosowne”, „zwyczajne” i „poprawne” brzmiały dla Cissie jak klątwa. Dla Cissie Kahn wszystko, co nie było „nadzwyczajne” i rzucające się w oczy, zapowiadało nieuchronną klęskę. Może dlatego, że jej rodzice nie znosili przeciętności.

Rodzina Cissie posiadała kilka drogich salonów z odzieżą w Nowym Jorku, Palm Beach, Chicago, San Francisco i jedyny w swoim rodzaju sklep „La Tessa” przy Boulevard Saint - Germain. Przez lata „La Tessa” zdobyła sobie niepodważalną pozycję w świecie mody. Podczas gdy większość małych sklepików rozrastała się do rozmiarów dużych magazynów, „La Tessa” celowo pozostawała małym, ekskluzywnym butikiem.

Bert Kahn miał opinię geniusza, zdolnego zamienić objazdowy kramik w multimilionowe imperium. Był mistrzem w najefektywniejszym wykorzystaniu przestrzeni i przy ograniczonych wydatkach uzyskiwał niezwykle wysokie profity. Wprowadzał innowacje w swoich salonach, wierząc, że gdy zyskają popularność w tym rejonie, staną się bez wątpienia modne także gdzie indziej. Tworzył miejsca pełne przepychu, jednocześnie wymagając od personelu, by obsługiwał klientów w bezpośredni sposób, dając im złudzenie domowego komfortu.

- Włóczęga w dzinsach ma być traktowany z taką samą galanterią jak dama z towarzystwa ze sznurem pereł na szyi - zwykł instruować. - Obydwoje mogą mieć portfele wypchane pieniędzmi.

Tessa Kahn jako projektantka niezmiennie gustowała w prostych liniach i wysokiej jakości materiałów. Przez dłuższy czas projektowała jedynie dla magazynów mody nazwanych jej imieniem, ale kiedy wzrosło zapotrzebowanie na jej modele, pozwoliła sobie na własną kolekcję „La Tessa”, sprzedającą się świetnie w całych Stanach. Trzy razy otrzymywała prestiżową nagrodę Coty i jej podobizna stała teraz w Gabinetach Figur Woskowych.

Osiągnięcia rodziców z jednej strony napawały Cissie dumą, z drugiej zaś stanowiły nieustanne wyzwanie. Często mówiła w żartach, że „dotrzymywanie kroku Jonesom nie stanowiło dla niej żadnego problemu. Dopiero dorównywanie Kahnom przyprawiało ją o bóle głowy"! Było to o tyle trudniejsze, że przy oczywistych sukcesach rodziców Bert i Tessa wręcz hołubili swoje dzieci. Stawiali na nie. Cissie i Andrew byli najlepsi, najbardziej inteligentni, najprzystojniejsi i mieli wszystkie dane ku temu, by odnosić sukcesy. Nawet niewielkie osiągnięcia przyjmowane były z wielkimi owacjami. Większe były powodem do rodzinnych

uroczystości. Z czasem przyzwyczaili się do tych osiągnięć, a perfekcja stała się domową rutyną.

Po raz pierwszy Cissie sama podejmowała decyzję zakupu i towarzyszyło jej uczucie olbrzymiej presji. Pragnęła zrobić coś więcej, niż tylko spełnić pokładane w niej nadzieje - wyróżnić tę podróż modelem jakiegoś nowego projektanta, rewolucyjnie nowym stylem albo błyskotliwym pomysłem handlowym. Jak dotąd, zawsze wracała zawiedziona, z uczuciem niedosytu.

Nieznajomi zdziwiliby się wiedząc, że niepewność nie była uczuciem obcym Cissie. Zwykle wykazywała pewność siebie, którą podkreślała swoim niepowtarzalnym stylem. Obecnie nosiło się krótkie, geometryczne fryzury Vidala Sassona, ale Cissie nigdy nie czuła się dobrze z obciętymi włosami. Poszła na kompromis, obcinając długie, miedziane włosy do ramion i zakładając pasmo za prawe ucho, w którym zawsze nosiła duży, zwisający kolczyk. Podczas gdy wszystkie kobiety w Nowym Jorku przyklejały sobie sztuczne rzęsy, chcąc upodobnić swoje oczy do oczu Twiggy, Cissie nie musiała się tym przejmować. Jej rzęsy były odpowiednio długie, a poza tym nigdy nie chciała wyglądać jak żadna inna kobieta. Najlepiej czuła się we własnej skórze.

Cissie nie była wysoka, ale dzięki silnej osobowości roztaczała wokół siebie aurę nieprzeciętności. Inne kobiety zawsze miały treść, kiedy się z nimi witała, a mężczyźni dyskutowali z nią tylko wówczas, gdy byli pewni trafności swoich argumentów. Wydawała się całkiem niedostępna i dla większości taka była. Już dawno temu Cissie otoczyła się zamkniętym kręgiem. Wewnątrz była rodzina i kilku wypróbowanych przyjaciół, na zewnątrz reszta świata. Od tych, którzy znajdowali się w środku, Cissie oczekiwała aprobaty i ciężko na nią pracowała. Na opinii pozostających na zewnątrz wcale jej nie zależało.

Jak każda reguła i ta miała wyjątki. Panna Kahn w pewnych okolicznościach była bardziej skłonna do poświęceń i ponoszenia kosztów. Dla niewinnej ofiary stawała się najbardziej zaciekłym obrońcą. Dla biednych i poszkodowanych hojnym sponsorem i oddanym opiekunem. Dla zranionych najlepszym lekarzem. Cissie Kahn musiała czuć się potrzebna. Tylko wtedy stawała się podatna na manipulacje i jedynie wówczas można było ją skrzywdzić.

Czarnym długopisem kreśliła jakieś linie w notatniku. Może powinna zadowolić się aprobatą publiczności, prezentując jakąś typową kolekcję? Nie! Nigdy nie stawiaj na kulejącego konia! Może powinna poczekać na wyjazd do Londynu i zakupić coś z rewelacyjnej kolekcji Carnaby Street albo od projektantów z King's Road? Mary Quant sprzedawała się ostatnio nieźle. Nie. Image „La Tessa” był bardziej w stylu Bond Street niż Carnaby. Bert zawsze mówił: musisz zaskoczyć klientów, ale nie możesz wywoływać zamętu w ich głowach.

Tworzenie sensacyjnych wizji zaabsorbowało ją do tego stopnia, że kiedy przechodził z holu do windy, zauważyła go dopiero w ostatniej chwili. Właśnie miała przełknąć następny łyk herbaty, gdy płyn stanął jej w gardle i zakrztusiła się. Szybko wytarła oczy, żeby lepiej mu się przyjrzeć. To wysokie, atletycznie zbudowane ciało. Szerokie ramiona! Te gęste, czarne włosy i wspaniałe onyksowe oczy! Wszedł do windy, a Cissie poderwała się z krzesła i pobiegła do recepcji.

- Kim jest ten mężczyzna, który właśnie przeszedł przez hol? - Cissie spytała młodego portiera niskim konspiracyjnym szeptem.

- Chodzi pani o tego mężczyznę w garniturze?

- Właśnie. - Tylko on mógł być na tyle nonszalancki, żeby nie włożyć płaszcza w taką pogodę, pomyślała.

- Monsieur Gold.

Cissie uśmiechnęła się, delektując się ciepłym, miłym uczuciem, jakie ją ogarnęło na dźwięk jego nazwiska. Szalała na punkcie Noaha Golda, od czasu kiedy jej brat Andrew przyprowadził go do domu po szkole. Chłopcy mieli wtedy po dziesięć lat, Cissie siedem. Przez wszystkie te lata uparcie z nim flirtowała, bawiła się w młodzieńcze podchody i posunęła się nawet tak daleko, że powiedziała mu, iż uwielbia ziemię, po której on stąpa, ale wszystko na próżno. Była siostrą Andrew, a to wystarczyło, żeby jej nie zauważać.

- Yves, mam do ciebie prośbę. - Jej duże, okolone grubymi rzęsami oczy z przejęciem wpatrywały się w chłopca.
- Muszę wiedzieć, gdzie wyjeżdża, kiedy i z kim.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział Yves i zatopił szyję w wysokim, ciasnym kołnierzyku. - Prywatność naszych gości jest absolutną świętością.

- Yves - nalegała zniecierpliwiona Cissie. - To nie klasztor, tylko hotel. Jesteś portierem i twój zawód polega na udzielaniu informacji. Chcę tylko, żebyś wykonał, co do ciebie należy.

Pozwoliła, by przez kilka chwil toczył walkę ze swoim sumieniem, niecierpliwie bębniąc palcami po blacie. Najwyższa pora, żeby zakończyć te ceregiele, pomyślała. Od początku doskonale wiedziała, że spełni każdą jej prośbę.

- Pokój 304. Przyjechał dziś rano, poszedł na lunch do „Lasera”, a o ósmej trzydzieści przyjeżdża po niego szofer.

- Gdzie się wybiera?

- Na otwarcie wystawy Fashion Industry w Chateau Villars.

Yves obserwował, jak twarz Cissie rozciąga się w pogodnym, pełnym uśmiechu. Po chwili wyjawiał jej następną tajemnicę.

- Jedzie z mademoiselle Aimee Bezards.

Cissie czule uszczypnęła go w policzek.

- Ty urwisie, założę się, że wiesz, jakie nosi majtki!

Yves spuścił małe, czarne oczy, żeby nie spostrzegła, jak bardzo był z siebie zadowolony. Kiedy podniósł wzrok, Cissie już nie było.

Myśli Cissie mknęły tak szybko jak taksówka wioząca ją przez miasto. Było tyle hoteli w Paryżu, a on musiał się zatrzymać właśnie w „Athenee”. I dlaczego wchodził do windy dokładnie wtedy, gdy podniosła wzrok znad notatnika? Czemu wybierał się na wystawę Fashion Industry? Przeznaczenie?

W 1968 roku należało do rzadkości, aby dwudziestopięcioletnia kobieta wciąż pozostawała w panińskim stanie. Większość dziewcząt kończyła szkołę, pracowała przez kilka lat, a potem usuwała się w cień, by piec ciasteczka i opiekować się dziećmi. Te, które poszły na studia, dowcipkowały, że robiły to tylko dla tytułu magistra. Każdą pannę, która przekroczyła dwadzieścia jeden lat i nie mogła się pochwalić złotym zaręczynowym pierścieniem, podejrzewano o odpychającą brzydotę, ociężałość umysłową, lesbijskie skłonności bądź też zainteresowania hipisowskie.

Cissie nie można było nic zarzucić, a jednak mimo swej atrakcyjności w wieku dwudziestu pięciu lat była panną, nie związaną z żadnym mężczyzną, i jeśli prawda miałyby wyjść na jaw - bardzo, ale to bardzo dokuczała jej samotność. Jedną po drugiej odprowadzała swoje koleżanki do ołtarza, wlokąc się za nimi w roli druhny. Asystowała przy tylu chrzcinach, że mogłaby konkurować z doktorem Spockiem w telewizyjnym programie na temat opieki nad niemowlętami. Kilka razy spotkała swoich dawnych chłopców, którzy koniecznie chcieli ją zapoznać z żonami. Wprawdzie terminarz jej zajęć był tak napięty, że nie miała nawet chwili czasu na uzalanie się nad sobą, jednak uczucie samotności coraz bardziej zaczynało jej doskwierać.

Często zastanawiała się, dlaczego nie udało jej się znaleźć prostego szczęścia, którym los obdarzył innych? Czyżby tak bardzo różniła się od swoich rówieśników? Może była zanadto oficjalna? A może było z nią coś „nie tak”? Wiedziała, że mogła onieśmielać mężczyzn, ale przecież potrafiła być czuła i ciepła. Mogła wydawać się niedostępna, lecz zdolna była do gorącej namiętności. Zdawała sobie sprawę z tego, że może być postrzegana jako osoba zdecydowana, niezależna, odnosząca w życiu sukcesy, ale w głębi duszy tak bardzo pragnęła komuś się poddać.

Weźmy Noaha Golda. Znowu pojawił się w jej życiu, kiedy właśnie zawisała w przerażającej próżni, jak w czarnej dziurze pełnej nieskończonej nicości. W jednej chwili na widok Noaha w tej pustce otworzyło się jakieś okienko i wpadło przez nie dość światła, by rozjaśnić ciemne zakamarki jej ponurych myśli. Nawet więcej. Przypadek, że znalazła się w tym miejscu i w tej właśnie chwili, wywołał nadzieję na skrócenie okresu samotności.

Taksówka ostro zahamowała zaraz przy Boulevard Saint - Jacques. Kiedy płaciła kierowcy, odłożyła wszelkie rozważania dotyczące Noaha do szczelnie zamkniętej szuflady i zmusiła się do skupienia uwagi na celu swej misji. Przybyła jako siostra miłosierdzia. Jej przyjaciel znalazł się w tarapatkach i w tej sytuacji wszystko inne przestało być ważne.

Własnymi kluczami otworzyła drzwi, postawiła w kącie parasolkę i wspięła się na trzy skąpo oświetlone rzędy schodów.

- Proszę!

Nie musiała podchodzić bliżej, żeby usłyszeć rozpacz w głosie Paula. Wolno otworzyła ciężkie, metalowe drzwi prowadzące do pracowni jej przyjaciela z dzieciństwa - Paula Rochelle'a. W pokoju panował półmrok i potrzebowała paru sekund, by doń przywyknąć. Pomieszczenie było duże,

dziwnie uformowane, z występami i wnękami zwieńczonymi gotyckim sklepieniem. W dzień przez dwa lufciki i wielkie okno wpadało słońce, zalewając pracownię światłem. Teraz i przestrzeń studia penetrowało tylko nieśmiałe, wąskie pasmo poświaty płynącej z ulicznej lampy.

Paul siedział nad deską kreślarską i jego ciemna sylwetka wyraźnie odcinała się na z tle wieczornego nieba. Rano prezentował swoją kolekcję. Całkowita klapa. Prasa nawet nie skomentowała wydarzenia. Kilku wpływowych klientów odeszło bez słowa. Niektórzy mamrotali coś o perspektywach na przyszłość, ale gdy przyszło do zakupu, natychmiast się wycofali. Oczywiście, niektóre fasony bardzo przypadły im do gustu, ale musieli się skonsultować z Nowym Jorkiem. Ograniczony budżet. Inwestycje. Zmiana struktury rynku. Niestabilna ekonomia. Jednym słowem, brak zamówień dla Paula Rochelle'a.

Cissie dreptała na palcach po zimnej, drewnianej podłodze, uważnie omijając bezładnie porozrzucane ubrania. Kilka cekinów błysnęło w ciemności, parę szyfonowych szarf zafalowało pod jej stopami.

Bez słowa objęła go za ramiona. Paul płakał zrezygnowany.

Właśnie Paul był dla niej jak rodzina. Kiedy w roku 1946 Bert przyjechał z Tessą do Paryża, zamieszkali w tym samym budynku co Rochelle'owie. Ojciec Berta był właścicielem „Kahn” - magazynu usytuowanego w Trzeciej Alei - który w ciągu pięćdziesięciu lat osiągnął wysoki standard klasy średniej. Wysłał syna do Europy w celu wzbogacenia asortymentu oferowanego przez „Kahn” o modne akcesoria, elementy wystroju wnętrz oraz materiały i sprzęty, które mogły być niedrogo z importowane z Ameryki. Ojciec Paula był wówczas lekarzem starającym się o otwarcie własnego gabinetu, a jego żona, Claudine, pracowała jako szwaczka.

Tessa i Claudine miały małe dzieci i obie uwielbiały stroje, nic więc dziwnego, że szybko się zaprzyjaźniły. Kiedy w 1949 roku Bert i Tessa otworzyli swój pierwszy sklep, Claudine została u nich główną krawcową. Dzisiaj Mme Rochelle mieszkała w Nowym Jorku i nadzorowała trzy fabryki szyjące odzież firmowaną przez „La Tessę”

Cissie pocałowała jasnobrzową czuprynę.

- Według mnie jesteś wspaniały - powiedziała, poklepując go matczynym gestem po ramieniu.

- Tak samo byś powiedziała, gdybym wystąpił z kolekcją szarych toreb.

- Masz rację. Kocham cię i nie mogę patrzeć, jak ktoś cię rani. - Wyjęła chusteczkę i otarła mu oczy. - Poza tym zamówiłam kilka fasonów dla „La Tessy”.

- Jedno zamówienie z litości nie postawi mnie na nogi. I nie wiem, czy twój ojciec uznałby za ekskluzywne modele, na które nikt nie chce spojrzeć - powiedział smutno.

Cissie nigdy by się do tego nie przyznała, ale sama obawiała się reakcji ojca na wzory Paula. Była jednak przekonana, że Bert ją zrozumie, a nawet jeśli poniesie stratę, spisze ją na karb lojalności.

- Wszyscy zostają tu jeszcze przez tydzień - powiedziała.
- Tylko poczekaj, a zobaczysz, że zmienią zdanie.

- Byłaś wczoraj na pokazie. Widziałas, jaka była reakcja. Na co mam czekać? - Widział, jak Cissie stara się zachować pozory entuzjazmu. - Naprawdę było aż tak źle?

Prosił o uczciwą krytykę, a nie o lukrowane słowa pocieszenia.

- Twoja kolekcja nie była zła, ale zbyt eksperymentalna. - Odparła próbując racjonalnie ustosunkować się do jego pytania. Przysunęła swój stołek bliżej Paula i wzięła go za rękę. - Kupcy są naprawdę spłoszeni. Odkąd Brytyjczycy jednym pociągnięciem wyrzucili na śmietnik szalową mini,

projektanci boją się ryzyka. Anglicy albo skandalizujący futuryści. Istnieją tylko te dwa kryteria. Elegancja z niewiadomego źródła? Pada jak mucha.

Paul powtórzył jej słowa, jakby wydawał na siebie wyrok śmierci. Odwrócił się plecami do Cissie i zapatrzył się w deszcz.

Cissie zapaliła światła w pracowni i zbierając porozrzucone ubrania, zaczęła porządkować bałagan. Po kilku minutach klasnęła w dłonie.

- Okey. Dostyc tego uzalania się nad sobą! Czas zabrać się do roboty! Paul, z zapuchniętymi, wilgotnymi od łez oczami, powoli się odwrócił.

- Jeśli chcesz być dobrym projektantem, musisz się uczyć na własnych błędach - powiedziała oschłym tonem nauczycielki. - Balenciaga i Chanel nie weszli na rynek z dnia na dzień. Sam wiesz.

Zebrane ubrania położyła na zagraconej kanapie.

- Weźmy na przykład to. - Podniosła białą sukienkę wyszywaną cekinami, która przypominała bezkształtny worek upstrzony srebrnymi świecidełkami. - I to ma być hit?! Pretensjonalne i bez charakteru.

Paul popatrzył na sukienkę i przyznając jej całkowitą rację, smutno pokiwał głową.

- Z tą prawie trafiłeś w dziesiątkę. - Przyłożyła do siebie niebieski szyfon z jednym ramiączkiem. - Ma dobry kolor i tkanina pięknie się układa.

- Ale? - Paul siedział z markotną miną, uważnie wysłuchując słów krytyki. Cissie miała intuicję.

- Zbyt bezpieczne. Nic ekscytującego.

- Wobec tego klienci mieli rację.

Cissie powiesiła sukienki na długim metalowym pręcie. Myśli galopowały jej w głowie. Pewien pomysł wydał się jej

naraz bardzo kuszący. Stała odwrócona plecami, czekając, aż koncepcja przybierze ostateczny kształt.

- Paul? Czy zrobiłeś jeszcze jakieś modele oprócz tych, które mi pokazałeś? - zapytała wiedziona przeczuciem.

- Oczywiście. Zrobiłem mnóstwo wzorów, których nie wystawiałem na pokazie. Cissie odwróciła się z uśmiechem na ustach.

- Za bardzo krzykliwe, nie mam racji?

- Więc?...

- Założyłabym się o sześciodaniowy obiad u „Maxima”, że powinieneś umieścić je w swojej kolekcji.

- Ale nie umieściłem! - Jeszcze bardziej przybił go jej komentarz. - A teraz jest za późno. Trudno, klamka zapadła. Nie musimy dalej tego roztrząsać.

- I kto to mówi? - Cissie poderwała się na równe nogi i wydała energicznie polecenie. - Wyciągaj modele z szafy!

Zawahał się. Otworzył małe drzwiczki, prawie niewidoczne zza belki w suficie, i ujął metalowy pręt z ponad dwudziestoma sukienkami. Kiedy powiesił je pod lampą na środku pokoju, pisnęła z zadowolenia. Potem cała zatopiła się w nich, zdejmując je z wieszaków, trzymając w rękach, przesuwając palcami po tkaninach i przykładając do siebie.

- To są właśnie wzory Paula Rochelle'a! - powiedziała z ożywieniem. - Tego spodziewałam się na dzisiejszym pokazie.

- Za późno. - Wybuch podniecenia u Cissie jeszcze bardziej go załamał.

- Przestań to w kółko powtarzać. Gadasz jak zgorzkniały staruch.

- A co mam robić? - odciął się. - Związać je w paczki i przepłynąć przez kanał, żeby zdążyć na pokaz Anglików? Jestem pewien, że czekają z szeroko otwartymi ramionami. Jean Shrimpton i Penelope Tree sikają w majtki na myśl o zobaczeniu kolekcji Rochelle'a - jęczał z goryczą w głosie.

- Nie potrzebujesz ich. Masz przecież mnie! - Cissie wiedziała, co robi. Nie zwracając uwagi na Paula, podeszła do telefonu. Kiedy wykreciła numer, spojrzała wymownie na przyjaciela. - A teraz przestań trząść swoim suchym tyłkiem. Idę dziś na przyjęcie.

- Co znowu? Przecież mieliśmy iść razem na bankiet wieńczący mój triumf! - Zaśmiał się sarkastycznie.

- Nie o tym mówię. Nigdzie nie idziemy. Będę robiła za dwoje, a ty wracaj do pracy. - Zasłaniała dłońmi mikrofon. - Jutro z samego rana będziesz rozchwytywany albo ja nie nazywam się Frances Rebecca Kann!

Noaha niełatwo było czymś zaskoczyć. W wieku dwudziestu ośmiu lat zwiedził więcej świata, niż kiedykolwiek miał zamiar, i dogadzał sobie bardziej, niż pozwalała na to przyzwoitość. Niewiele rzeczy wywoływało wyraz zdziwienia na jego twarzy, lecz widok olbrzymiego salonu pałacu Chateau de Villars najwyraźniej przyprawił go o zawrót głowy.

Pałac Villars, zbudowany w siedemnastym wieku, nie był ani tak duży, ani tak bardzo znany jak Chambord albo Chenonceaux, ale niektórzy uważali go za najpiękniejszy, najbardziej wytworny i tchnący subtelną elegancją. Ogrody, uważane przez ówczesnych i współczesnych ekspertów za perfekcyjny przykład stylu formalnego, nosiły ślady twórczości Andre le Notre'a, geniusza krajobrazu, odpowiedzialnego za urok Tuileries, a ściany i sufity zdobiły połyskujące płótna Charlesa Le Bruna.

W pałacowym salonie, o wysokości i długości przekraczającej sześćdziesiąt stóp, lśniły czarno - białe marmurowe posadzki, a ekstrawagancja w rozmieszczeniu okien była doprawdy szokująca. W przeciwieństwie do Fontainebleau, gdzie każdy centymetr sześcienny przestrzeni wypełniały obrazy, arrasy, dywany i rzeźby, bądź Wersalu

pełnego bogactwa i przepychu, sala balowa Villars była czarująca w swej prostocie.

Masywne rzeźby ze śnieżnobiałego marmuru nie emanowały chłodem, jaki zazwyczaj towarzyszył kamiennym budowlom. Co parę kroków łagodna linia łuków wieńczyła trzyczęściowe okna, przez które wpadały promienie słońca.

Noah spojrział w górę i jego wzrok przykuły intrygujące figurki okalające płaszczyznę sufitu. Szesnaście statuetek reprezentujących cztery pory roku i dwanaście znaków zodiaku zdawało się podtrzymywać olbrzymią kopułę. Z podłogi wznosiły się marmurowe kolumny, przywodząc na myśl splendor rzymskiego imperium i nadając pomieszczeniu charakter królewskiej komnaty.

W końcu sali orkiestra grała walca. Kilka par, urzeczonych atmosferą tamtych czasów, majestatycznie sunęło po parkiecie. Oni także byli zauroczeni magią pałacu.

- Może zatańczymy? - Wysoki głos Aimee Bezards zakłócił kontemplacyjny nastrój Noaha.

Wydał z siebie cichy pomruk, niezadowolony, że partnerka przerwała mu chwilę pełnej skupienia refleksji.

- Może następnym razem - odrzekł próbując zmusić się do uśmiechu i dla złagodzenia swojej szorstkości poklepał ją po ramieniu. Aimee nie zauważyła, że chwilami traktował ją jak młodszą siostrę. Była zbyt zaaferowana jego towarzystwem, żeby zauważyć cokolwiek.

Nie odstępowała go ani na krok, choć Noah odnosił się do niej z widoczną obojętnością. Była jeszcze jedną kobietą na przyjęciu w obcym mieście. Od czasu, kiedy przed trzema miesiącami wyszedł z wojska, pojechał do Sajgonu, Bangkoku, a stamtąd udał się na zwiedzanie wszystkich większych miast na kontynencie, nadrabiał wojskowe zaległości, odwiedzając w ciągu dnia wszystkie dostępne pałace i muzea, a nocą nurzając się w atmosferze kabaretów,

nocnych klubów i piwiarni. Nie mógł narzekać na brak pieniędzy. Zatrzymywał się w ekskluzywnych, hotelowych apartamentach, które traktował jak przechowalnię bagażu. Uprawiał seks tak często i z tak wieloma kobietami, że zaczynało już go to nudzić. Jednak nie chciał wracać do domu.

Z trudem znosił adaptację do normalnego trybu życia. Doświadczenia z wojska powodowały, że popadał w zmienne nastroje. Napady depresji nachodziły go bez żadnego ostrzeżenia i wprowadzały w milczącą zadumę, co, ku jego zdziwieniu, jak magnes przyciągało kobiety. Jednak im bardziej okazywały mu zainteresowanie, z tym większą obojętnością się do nich odnosił. Nigdy nie lubił kobiet, którymi można było manipulować. Traktował je jak przedmioty, podobnie jak Aimee.

Podczas gdy Aimee paplała mu nad uchem, kto przyszedł, a kto nie pojawił się na przyjęciu, kelnerzy w czarnych marynarkach krążyli między gośćmi i zachęcali do opuszczenia holu i zajęcia miejsc przy stołach.

Chociaż trudno było to wywnioskować z szykownych strojów gości, paryska moda straciła w ostatnich latach na znaczeniu. Na firmamencie świeciły teraz gwiazdy Anglików, a cała uwaga skierowana była na dyktatorów mody z Carnaby Street: długie włosy dla mężczyzn, obcisłe spódnice dla pań, sztuczne rzęsy, buty na wysokich obcasach, siatkowe rajstopy. Francuzi nie widzieli w tym żadnego stylu. Jednak dla targanego niepokojami świata był on na tyle unikalny i dziwaczny, że można było zaakceptować go bezkrytycznie. Dzisiaj Francuzi znowu próbowali wejść na rynek ze swoimi fasonami.

Inicjatorką pokazu w Pałacu Villars była Marie - Helene Rotshchild, wpływowa dama ogarnięta troską o przyszłość haute monde. Na przyjęciu pojawiły się inne sławy świata mody: Jacqueline de Ribes, Marisa Berenson, księżna Monako

- Grace, Paloma Picasso i Luciana Pignatelli. Honorowymi gośćmi byli amerykańscy klienci, kupujący pojedyncze wzory, a każda kobieta, która miała w sobie choć kroplę francuskiej krwi, piała z zachwytu nad najnowszymi kolekcjami Diora, Saint Laurenta, Givenchy, Madame Gres, Guy Laroche, Niny Ricci, Courregesa. Ich ekskluzywne stroje udrapowane były na żywych manekinach ze szlachetnymi tytułami przed nazwiskami, z biżuterią oplatającą szyje i kosztownymi futrami narzuconymi na ramiona. Mozaika kolorów i różnorodność tkanin drażniła wzrok i w pewnej chwili Noah poczuł się jak na karnawałowym przyjęciu.

Nagle palce Aimee zacisnęły się na jego ramionach. Szmer rozmów to przycichał, to znów przybierał na sile. Trudno było uwierzyć, że przy takiej obfitości piękna i przepychu tylko jedna osoba przyciągnęła wzrok Noaha i zwróciła uwagę gości.

Kolor jej sukni był bardziej soczysty od barwy róż. Dolna linia kreacji układała się w falę to zasłaniając, to znów ukazując zaokrąglenia kolan i odkrywając zgrabne, nieskończone długie nogi. Jej szczupła postać była jednocześnie arystokratyczna i uwodzicielska. Mieniący się czerwony jedwab spływał z ramion w kierunku jej pełnych piersi i tonął w sięgającym niemal do talii dekolcie. Jej łydki lśniły w lekko mieniących się pończochach, tylko o ton jaśniejszych od winnej czerwieni satyny. Włosy zaczesane miała za uszy, ukazując diamentowe kolczyki, tak samo piękne jak ich właścicielka. Weszła do salonu z wyzywającą pewnością siebie, mówiąc, że dzisiejszy wieczór należy do niej.

- Kto to jest? - Niecierpliwy ton w głosie Noaha zaskoczył Aimee.

- Nie mam pojęcia - powiedziała z cieniem nie dającej się ukryć ciekawości. - Znam mężczyznę, który jej towarzyszy. To hrabia Michel de Vries.

Mimo obezwładniającej nudy, Noah ze zdziwieniem odkrył w sobie ukłucie zazdrości. Zarzucił Aimee pytaniami, dowiadując się, że Michel de Vries stanowił doskonałą partię. Był najmłodszym synem jednej z niewielu europejskich rodzin, która w swoich rękach miała prawdziwą fortunę i była na tyle niezależna, by przeznaczyć jeden z antycznych pałaców na zabawę w fotożurnalizm.

Aimee przyłgnęła do ramienia Noaha, ale uwolnił się od tego balastu wstrząśnięciem ramion. Był urzeczony właścicielką czerwonej sukienki. Przebywanie w eleganckiej sali, pełnej znanych osobistości, każdego przyprawiłoby o zawrót głowy, lecz Noah odnosił się do tego z właściwą sobie obojętnością. Patrzył wyłącznie na tę zdecydowaną, pewną siebie kobietę, doznając nagłego przyływu podniecenia, którego nie doświadczał już od lat.

Podczas obiadu próbował zachować kurtuazję, był szarmancki w stosunku do Aimee, ale nawet z drugiego końca sali nieznajoma przyciągała jego wzrok jak magnes. Spojrzeniem swych zielonych oczu sparaliżowała wszystkie jego myśli i wywołała narastające pożądanie. Ostatnimi czasy namiętność kojarzyła mu się z umiejętnym podejściem do kobiet i sprawnością techniki miłosnej. Dopiero pojawienie się tej kobiety wywołało w nim burzę nieposkromionych uczuć.

Dla Cissie kolacja była nudną rutyną. Przyszła tutaj z zamiarem uwieńczenia pracy Paula należnym sukcesem i czas spędzony nad talerzem uważała za stracony. Jego kariera była w jej rękach i jeśli udałoby się dopiąć celu, umocniłaby także swoją pozycję. Oczywiście był jeszcze ten wspaniały mężczyzny z nieprzytomnymi, onyksowymi oczyma. Mogła opuścić to miejsce z paroma zamówieniami dla Paula i ze

wzmianką w prasie na temat „La Tessy”, ale jedno było pewne, nie ruszy się na krok, zanim nie zamieni słowa z Noahem Goldem.

Wielkie dzięki dla Michela. W jego towarzystwie wzbudziła dreszczyk emocji, który tak bardzo był jej teraz potrzebny. Ich przyjaźń trwała już kilka lat. Kiedyś próbowali nawet zostać kochankami, ale w końcu, za obopólną zgodą, zdecydowali się nie zacieśniać ich związku. Był fantastycznym partnerem, tak samo jak ona niezastąpioną partnerką, kiedy trzeba było pokazać się w towarzystwie w niezobowiązującym duecie. Nie wiedziała, co by poczęła, gdyby Michela nie było w Paryżu. Zdawała sobie sprawę, że oczy wszystkich matek mających niezamężne córki lustrowały ją teraz od góry do dołu. Dałyby wiele, aby pozbawić Michela kawalerskiego stanu.

- Gdzie on jest? - Michel szepnął jej do ucha.

- Przy stole obok wejścia do Galerii Lafayette, przy rzeźbach Diany Vreeland i barona Alexisa de Rede. Na prawo od drzwi.

Michel odchrząknął.

- A co to za historia z Aimee Bezards?

- Zazdrosna? - zapytał, uśmiechając się z rozbawieniem.

- Powiedzmy, że zaintrygowana.

- Słodka, ale nie tej klasy co ty. - Był bardzo zasadniczy.

Żadnych kwiatków ani słodkich słówek. Cissie nie czekała na komplementy. Potrzebowała informacji. - Przypuszczam, że tak się nią interesuje jak ty grą na skrzypcach.

Cissie odwróciła się w kierunku Noaha i znalazła się w pułapce jego głębokiego spojrzenia. Kiedy odzyskała równowagę, odpowiedziała mu takim samym spojrzeniem, uzupełniając je czarującym uśmiechem.

- Chyba go znam - zaskoczył ją głos Michela. - Z daleka nie jestem pewien, ale bodajże natknęliśmy się na siebie w Wietnamie.

- Na wojnie? - zapytała z zaciekawieniem. - Był ranny?

- Mhm. Mówiło się o nim jak o bohaterze i dostał nominację do odznaczenia. Noah nie miał pojęcia, o czym rozmawiali ci dwoje, ale ich twarze były zbyt blisko

siebie, a ich uśmiechy nazbyt frywolne. Chciał pognać przez salę i rozłączyć tę szczebioczącą parę.

Po dwóch godzinach półmiski zniknęły ze stołu, a on coraz wnikliwiej przyglądał się kobiecie, która raz wydawała mu się zupełnie obca, innym razem przypominała miedzianowłosą znajomą z przeszłości.

W końcu podano kawę. Jeszcze baczniej zaczął obserwować intrygującą dziewczynę. Kiedy wstała, nagle poderwał się z miejsca, zupełnie obojętny na reakcję Aimee. Zanim zdołał dotrzeć do Cissie, otoczył ją tłum ludzi. Błyskały lampy aparatów fotograficznych. Reporterzy cisnęli się do Cissie, wyciągając notatniki i ołówki z wypchanych kieszeni fraków. Noah trzymał się grupy dziennikarzy, czekając na okazję rozmowy z gwiazdą.

- ...Byłem wczoraj na pokazie Rochelle'a. Nie było tam nic interesującego - jeden z reporterów był szczególnie napastliwy.

Wspaniale udawała złość. Czekał na taką kobietę przez całe życie.

- Ta suknia jest zaprojektowana wyłącznie dla kolekcji „La Tessa”. - Cissie uniosła brodę, przybierając pozę wyższości. - Zamówiłam ją wraz z pięcioma innymi modelami po prywatnym pokazie monsieur Rochelle'a.

- Przecież jest nowicjuszem w branży. Nie może organizować prywatnych pokazów.

Tym razem głos reprezentował klientów z Fifth Avenue. Cissie musiała być ostrożna, żeby nie zniechęcić tu grupki ludzi, na której starała się wywrzeć największe wrażenie.

- Brak marki w branży nie musi oznaczać, że się jest żółtodziobem. Rodzina Rochelle od lat obraca się w świecie mody. Rochelle wie, że nagradzanie klienta ekskluzywnym wzorem nie należy do rzadkości. „La Tessa” zamówiła dziesięć fasonów i jako dowód zaufania Rochelle zaprosił nas do swojego atelier.

Szybko odwróciła się do innego rozmówcy, dostrzegając jednak, jak ten szepce coś do ucha swojej asystentce. Cissie założyłaby się o wakacje w Deauville, że za parę godzin oddział szturmowy Saksów zastuka do drzwi Paula. Mogła mieć tylko nadzieję, że będzie on przygotowany na konferencję.

Noah obserwował, jak reporterzy przekrzykiwali się w zadawaniu pytań Cissie i cisnęli się do robienia zdjęć. Przez jej słowa przebijał autorytet, a twarz była obliczem osoby świadomej tego, że znajduje się w centrum zainteresowania.

Zauważył jednak, że nie nadużywała swoich wdzięków. Wykorzystywała je wyłącznie do osiągnięcia zamierzonego celu. W pewnym momencie uświadomił sobie, że to wszystko było z góry zaplanowane. Przeczucie mówiło mu, że manipulowała publicznością, chcąc sprzedać modele Paula Rochelle'a. Kimkolwiek była, wiedział, że prędzej czy później musi mu ulec.

- Nazywam się Noah Gold - przedstawił się, dotarłszy do niej przez tłum. - Podziwiałem panią przez cały wieczór i chciałem wyrazić swoje najwyższe uznanie.

Uniósł jej dłoń, pochylił się i ceremonialnie pocałował ją w rękę. Oczy zebranych otworzyły się szeroko, a na twarzach pojawiły się aprobujące uśmiechy. Kim był ten pełen tupetu

Amerykanin? Wszyscy obserwowali, jak wysoko uniósł głowę, jeszcze raz się uklonił i zaczął odwracać się na pięcie.

- Noah Gold! Jaki ten świat jest mały - odpowiedziała Cissie, jakby dopiero teraz dotarły do niej jego słowa. - Jesteś znajomym Andrew Kahna?

Noah nie wiedział, czy bardziej zbiło go z tropu nagłe rozpięzchnięcie się tłumu, czy fakt, że wspomina nazwisko przyjaciela.

- Od lat się z nim nie widziałem - powiedział z nutą podejrzliwości - ale uważam go za najlepszego przyjaciela - dodał ważąc słowa.

- Jestem Cissie, siostra Andrew. Nie pamiętasz mnie?

Zanim zdążył otworzyć usta, odwróciła się do Michela i szepnęła mu coś na ucho po francusku. Noah domyślił się, że tłumaczy ich rozmowę. Teraz dopiero przypomniał sobie tę małą, niezdarną nastolatkę, która mu się tak naprzykrzała, że miał ochotę ją udusić. Te same szaroniebieskie, nieco skośne kocie oczy z długimi, gęstymi rzęsami. Teraz jaśniały jak magiczne pochodnie. Kiedy odwróciła wzrok, momentalnie zamarł. Pograżył się całkowicie w ich blasku. Słyszał, jak przedstawia go hrabiemu. Czuł uścisk Michela. Dobiegł go nawet własny głos, wyrażający zaniepokojenie zniknięciem Aimee. Działał jednak zupełnie nieświadomie, jak automat.

Cissie doskonale zdawała sobie sprawę z wrażenia, jakie na nim wywarła. Wyczuła w Noahu zwierzęce pożądanie i była świadoma zachęcających sygnałów, jakie wysyłało jej ciało, ale przecież widziała go z Aimee. Uważała, że podobnie jak inni młodzi i bogaci mężczyźni był skory do przelotnych romansów i jednonocnych przygód z kobietami. Nie powinna mu nic ułatwiać. Jeśli chce go zdobyć, to on musi poczuć, że o nią walczy.

- Monsieur Gold. Jestem fotografem - powiedział Michel po angielsku z silnym francuskim akcentem. - Czy był pan w Wietnamie?

- Tak. - Noah zeszywniał. - A o co chodzi? Cissie zaskoczyła jego reakcja.

- Chyba robiłem panu zdjęcia. Był pan w Dakto?

Cissie była przekonana, że zadrżał na dźwięk tej nazwy, ale trwało to tak krótko, że nie mogła być pewna.

- Wszyscy, którzy walczyli w Wietnamie, musieli się przewinać przez Dakto. - Jego głos zabrzmiał nagle jak z wnętrza brzucha. - Wolałbym raczej o tym nie mówić.

Cissie zinterpretowała ten komentarz i w jej głowie zapaliła się ostrzegawcza lampka. Michel podziękował Noahowi, przeprosił za niestosowne pytanie i wymówił się, twierdząc, że musi przynieść okrycia dla Cissie. Szepnęła mu, żeby się nie śpieszył. W garderobie zawsze mogło czekać kilka osób.

- Przepraszam, że byłem nieuprzejmy. - Noah przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu chusteczki. Otarł pot z czoła i próbował się uśmiechnąć. - Nie jestem zaprawiony w starciach z dziennikarzami i fotografami jak ty.

Zaśmiała się i lekkość jej uśmiechu przywróciła mu humor.

- Przyjechałaś do Paryża na urlop?

- Coś w tym rodzaju.

Wtem opuściła ją pewność siebie. Zdała sobie sprawę, że nie widziała Noaha od lat i że właściwie wcale go nie zna. Jednak serce mocniej zabiło jej w piersi, bo poczuła, że z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu właśnie się w nim zakochuje. Nie potrafiła wydobyć z siebie nic sensownego.

- Gdzie się zatrzymałaś? - uratował sytuację Noah.

- W „Plaza Athenee” - odpowiedziała, pragnąc, by serce nie biło jej tak mocno i żeby Michel nie wrócił za szybko.

- Ja też. - Może Aimee sobie poszła? Może Michel też już nie wróci? Może uda mu się spędzić z nią ten wieczór? - pomyślał. - Czy mógłbym się z tobą spotkać? - zabrzmiało to aż nadto bezpośrednio.

W tej chwili pojawił się Michel, niosąc długie futro z lisów. Narzucił je na ramiona Cissie.

- Samochód czeka przy wejściu. Miło było pana poznać. - Wyciągnął dłoń do Noaha.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział. - Cissie?

- Zadzwoń. - Rzuciła zza ramienia najbardziej swobodnym tonem, na jaki było ją stać. Skinął głową. Wiedziała, że się odezwie, jak tylko uwolni się od Aimee Bezards.

Przez całą noc Cissie wpatrywała się w telefon i nasłuchiwała, czy nikt nie puka do drzwi. Miała nadzieję, że Noah zadzwoni, i nie sądziła, że stać go na taki ośli upór. Zebrała się w sobie, żeby nie otworzyć drzwi na ościarz, nie pobiec do jego pokoju i nie rzucić mu się w ramiona. Spokojnie, powtarzała sobie, buszując jak kret pod fałdami kołdry. Wstrzemięźliwość, wstrzemięźliwość.

Rankiem następnego dnia założyła okulary przeciwsłoneczne, by ukryć cienie pod oczami, wysliznęła się z hotelu i spędziła cały dzień z Paulem i Michelelem, świętując wspólny sukces. Tak jak przypuszczała, natychmiast po jej prezentacji tłum klientów pobiegł do atelier Paula, a ci, którzy tego nie zrobili, zjawili się u niego z samego rana. Suknia była prawdziwą sensacją, ale określenie „ekskluzywna” zachwiało im grunt pod nogami. Żaden szanujący się klient nie mógł zignorować najnowszego trendu i żaden szanujący się klient jej kalibru nie śmiał pokazać się w firmie nie dokonując zakupu, kiedy jego konkurent wracał z pełnymi rękami. Saks, Martha's, Bloomingdale's, Neiman - Marcus, Bergdorf

Goodman's, Wilkes Bashford - wszystkie wiodące firmy zamówiły fasony Paula, choćby dlatego, by nie pozwolić „La Tessie” na monopol w sprzedaży jego kolekcji. Reputacja Tessy Kahn jako osoby zawsze trafiającej w gust klientów była legendą w świecie mody i niepodważalną prawdą. Puste wieszaki w pracowni Paula świadczyły o tym najdobitniej.

Po opuszczeniu pracowni przez ostatnich klientów i udzieleniu ostatniego wywiadu, przyjaciele zjedli wyśmienity obiad w położonym nie opodal bistro. Kiedy Cissie dotarła do hotelu, padała ze zmęczenia. Przed drzwiami pokoju usiadła na podłodze i zaczęła przeglądać gazetę, gdy w korytarzu pojawił się Noah.

- Wreszcie wyrwałam się od przyjaciół! - powiedziała podstawiając mu nogę.

- To z nimi byłaś przez ostatnie dwadzieścia dwie godziny, trzydzieści trzy minuty i około pięciu sekund? - Spytał z udaną powagą.

Serce zadrżało jej w piersi, kiedy obdarzył ją serdecznym uśmiechem. Był tak zadowolony z tego spotkania, że sama nie posiadała się ze szczęścia.

- Pozwól, że zaproszę cię na drinka - powiedział, podnosząc ją z podłogi i prowadząc w stronę windy.

- Nie chce mi się pić. Jestem śpiąca - odrzekła. Łapiąc w lot aluzję, skierował się w stronę jej pokoju.

- Dobrze się z tobą czuję. Jeśli miałabyś iść spać, chętnie dotrzymam ci towarzystwa.

Wstrzeźliwość, wstrzeźliwość - powtarzała w myślach.

- Może jednak pójdziemy na drinka.

Jak para lalek w zegarze z kukułką ponownie obrócili się i poszli w stronę windy. Chichotali jak dzieci, nawet gdy zasiedli już w „Relais - Plaza” - hotelowej restauracji, gdzie po

zakończonej pracy zbierało się bardzo snobistyczne towarzystwo.

Przez dłuższy czas wracali do przeszłości, zabawiając się frazą „czy pamiętasz jak?”, do chwili, w której nic więcej nie mogli sobie przypomnieć. Noah pytał o Andrew, o jej rodziców i oczywiście o nią - co robi, czy lubi swoją pracę i jak układa jej się z rodzicami. Jednak o sobie nic nie chciał powiedzieć.

Imię, ranga, numer oddziału. Nic więcej. Kiedy próbowała wypełnić białe plamy, zachmurzył się, spuścił wzrok i zamknął się w sobie. Cissie cicho podeszła do kelnera i zamówiła następną kolejkę.

Kiedy minął mu zły nastrój, odezwał się do niej niespodziewanie. Ton jego głosu był arogancki. W tym momencie większość kobiet porozumiewawczo kiwała głową i udzielała psychologicznych porad z seriali dla gospodyń domowych. - Dobrze cię rozumiem - powtarzały jedna po drugiej jak papugi. - Sama miewam humory - mówiły. Albo opowiadały mu o przyjacielu przyjaciela przyjaciółki, który miewał napady myśli samobójczych do czasu, aż spotkał „właściwą kobietę”. Cissie nie przestawała sączyć drinka.

- Mam skłonność do nastrojów i depresji. - Nie był pewien, czy jej milczenie zdenerwowało go czy rozluźniło. Po kilku minutach poczuł potrzebę zwierzeń.

- Masz do tego prawo. Przeszedłeś piekło. - Wzięła go za rękę i jej szaroniebieskie oczy zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe. - Najwyższy czas wracać do domu.

Uwolnił dłoń z jej ręki. Na brwiach wystąpiły mu krople potu; Cissie nagle się przestraszyła.

- To znaczy do twojego i mojego pokoju - mówiła spokojnym, kojącym głosem. - Jestem trochę wyczerpana, a tobie też by się przydało parę godzin snu we własnym łóżku.

Zaśmiał się, ale był to pusty śmiech bez cienia radości. Nie wiedziała, że Noah prawie nie sypiał.

Nie odezwali się słowem aż do chwili, gdy dotarli do jej pokoju. Noah stanął nieporadnie, jak uczeń, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Cissie przechyliła głowę i słodko go pocałowała, tak jak matka całuje dziecko na dobranoc. Przesunął dłoń po jej policzku i niepewny uśmiech zadrgał mu na ustach.

- Jeśli obiecuję, że będę wesoły jak skowronek, czy dasz się zaprosić na kolację?

- Nawet jeśli będziesz ponury jak gbur.

- Zawsze przygarniałaś bezdomne psy i koty? - zapytał z nieśmiałym uśmiechem.

Kiedy patrzyła, jak kroczy przez hol, zastanawiała się, ile duchów zamieszkiwało wewnątrz najlepszego przyjaciela jej brata.

Dzwonek telefonu wyrwał Cissie ze snu. Podniosła słuchawkę i naciągając na głowę poduszkę przyłożyła ją do ucha. Mówienie było fizyczną niemożliwością. Ograniczyła się do słuchania.

- Cześć, kochanie.

Dobiegł ją głos. Znajomy. Mózg wysłał informację do ust, ale mięśnie zaczęły pracować dopiero po paru sekundach.

- Cześć, tato.

W końcu usta, zęby, język i struny głosowe zdecydowały się na skoordynowaną współpracę.

- Kręciłem tak długo, że prawie odpadł mi palec. Gdzie byłaś? Wszystko w porządku? Czy coś się stało?

Cissie nakazała swojemu ciału, żeby się podniosło. Przeciągnęła się, pozwalając krwi zacząć krążyć w żyłach i czując, jak powoli wstępuje w nią energia.

- Wszystko w porządku - odpowiedziała, marząc o filiżance kawy. - Właściwie to fantastycznie. Nie zgadniesz, kto był gwiazdą paryskiej wystawy. Paul Rochelle!

- Nie inaczej, tylko wylansowany przez nieocenioną Cissie Kahn. Mam rację? Usłyszała śmiech w głosie ojca.

- Po prostu włożyłam jedną z jego kreacji na wielkie przyjęcie.

- Nic nigdy nie robisz po prostu, kochanie. - Śmiech Berta podziałał na Cissie jak dawka kofeiny. Nagle była zupełnie rześka. - Dostałem parę telefonów z gazet handlowych - ciągnął Bert. - Chcą zrobić reportaż o tobie i „La Tessie”. Pomyślałem, że może zasięgnę języka u źródła.

- Jego kolekcja była jak bomba zegarowa ze spóźnionym zapłonem. - Usłyszała westchnienie, za którym kryło się „tak myślałem”, lecz mówiła dalej o nieudanej wystawie, strojach zamkniętych w szafie, o Michaelu i wszystkim innym. Pod koniec monologu nagle zmieniła temat. - Spotkałam Noaha Golda.

- Serio? I jak wygląda?

Uważaj! Ojciec nie powiedział ani słowa na temat jej nie całkiem uczciwego zachowania na przyjęciu. Jego głos opadł o ton niżej. Bert Kahn i Isaac Gold byli przyjaciółmi.

- Szalenie przystojny.

- Rozmawiałaś z nim? Co u niego słyszałaś?

- Idę z nim dzisiaj na kolację. Dlaczego pytasz?

- Jego rodzice są bardzo zmartwieni. Przed paroma miesiącami wyszedł z wojska, ale jak dotąd nie dał znaku życia. Nie wygląda na to, żeby spieszyło mu się do domu. - Bert zamilkł złowieszczo. - Już się pozbierał?

Cissie dobrze znała Goldów. Isaac był apodyktyczny, ale podziwiał syna. Musiał liczyć sekundy do zakończenia jego służby w wojsku. Blanche ze swoją chorobliwą nerwowością musiała odchodzić od zmysłów, kiedy Noah poszedł na wojnę.

- Fizycznie całkiem nieźle się trzyma. - Cissie zastanawiała się, czy powiedzieć coś więcej. Wcale nie był w dobrej kondycji. Niespodziewane napady zadumy i wisielcze nastroje mówiły o tym, że wiele przeszedł, ale były to w końcu jego sprawy i Cissie nie czuła się upoważniona do zwierzeń przed ojcem, - Może chce trochę poszaleć, zanim utknie w tym swoim elektronicznym biznesie. Powiedz Isaacowi i Blanche, żeby się nie zamartwiali. Widziałam ich pociechę i wszystko jest okey.

- Przyznali mu odznaczenie. Purpurowe Serce. Mówił ci? - Bert wiedział, że nie powiedziała mu wszystkiego. Zbyt dobrze znał swoją córkę.

- Oj, tato! Myślisz, że podszedł do mnie z kieliszkiem szampana w jednym ręku i z orderem w drugim?

- Masz rację. Przepraszam, kochanie. W każdym razie gratulacje za kawał dobrej roboty. Matka i ja jesteśmy z ciebie bardzo dumni. - Bert wiedział, że miało to wielkie znaczenie dla Cissie i dlatego nie omieszkał wyraźnie tego zaznaczyć. - Powiedz Paulowi, że z niego też jestem dumny. A kiedy spotkasz się z Noahem, przekaż mu moje pozdrowienia.

Mam szczerzy zamiar właśnie to zrobić, pomyślała, i z powrotem zakopała się pod kołdrę.

Jeszcze tego wieczoru zjedli razem kolację, a przez trzy następne dni odwiedzali najlepsze restauracje, chodzili na brandy do „Maxima” i „Relais”, a potem tańczyli w prywatnych klubach do trzeciej nad ranem. Każdej nocy Noah odprowadzał Cissie pod drzwi.

Całowali się na pożegnanie i czuli przepływającą między nimi falę ciepła. Noah przylegał do niej całym ciałem, zdradzając swoją potrzebę miłości, a Cissie nieugięcie mu tego odmawiała, karząc w ten sposób samą siebie.

Odchodził, a ona wczółgiwała się do łóżka, próbując nie zauważać otaczającej jej zimnej i pustej przestrzeni. Ciało

bolało ją z tęsknoty za nim, ale była pewna, że krótkotrwała ulga może zrujnować jej dalekosiężne plany. Zamiast się z nim kochać, spędzała wolne godziny na rozmyślaniach, starając się odszukać podobieństwo między tym zarozumiałym młodzieńcem, który pobudzał jej młodzieńczą wyobraźnię tak dawno temu, a posepnym, pozbawionym poczucia bezpieczeństwa mężczyzną, który powoli, lecz wytrwale podbijał jej serce.

Noah Gold we wspomnieniach z jej młodości był wygadany i pewnym siebie chłopcem. Teraz również sprawiał takie wrażenie. Ta strona jego natury była bezpiecznym pancerzem, który Cissie udało się przeniknąć. Istota jego osobowości była znacznie trudniejsza do zdefiniowania. Na własny użytek otoczył się niewidzialnym murem i nie przepuszczającymi emocji barierami, które były na tyle szczelne, że nie pozwalały przedrzeć się intruzom. Za każdym razem, gdy Cissie próbowała naruszyć te granice, napotykała uparte milczenie. Wrzał w środku niczym wulkan i Cissie obawiała się, że w końcu wybuchnie. Próbowała go z tego wyciągnąć, ale jak dotąd bezskutecznie. Dopiero w dzień poprzedzający jej wyjazd do Londynu Noah ukazał skrawek swojej duszy.

Odwiedziła dwa pokazy. Miała olbrzymią ochotę na odpoczynek, ale zaplanowała, że zobaczy się z Paulem, pójdzie na szybkiego drinka z Michelelem i zje kolację z Noahem w zimnym bufecie w „Left Banku”.

Powietrze było mroźne i wiał przenikliwy wiatr, ale po raz pierwszy od tygodni przestało padać.

Cissie wyszła z hotelu, postawiła kołnierz płaszcza, schyliła głowę, chroniąc się przed podmuchami wiatru, i skorzystała z usługi odźwiernego, który pomógł jej dojść do limuzyny. Kiedy drzwi się zamknęły, ze zdziwieniem spostrzegła, że siedzi na przednim fotelu mercedesa, a nie jak

zazwyczaj z tyłu w citroenie, i że kierowca w niczym nie przypomina jej szofera Roberta.

- Niech pani nie krzyczy, bo będę zmuszony uszkodzić tę ładną buzię - groźnie powiedział Noah, przybierając bezwzględny ton Humphreya Bogarta.

- Co pan wyprawia? - zapytała szeroko otwierając oczy i pozorując przerażenie.

- Została pani uprowadzona.

- Czy ma pan także zamiar wykorzystać mnie seksualnie?

- Jeśli będzie pani miała odrobinę szczęścia. - Jego wzrok skupiony był na drodze, ale kąciki ust podniosły się w uśmiechu.

- W takim razie, proszę mi powiedzieć, kiedy ma pan zamiar rozpocząć natarcie.

- Dobrze, mała. Wszystko w swoim czasie.

Cissie nigdy nie widziała go tak spokojnego. Jego ubiór różnił się od stroju mężczyzny, z którym spędziła kilka ostatnich wieczorów. Miał na sobie sportową marynarkę z grafitowego tweedu, szare, bawełniane spodnie i kamizelkę w kolorze brudnego różu. W jego zachowaniu było więcej swobody i otwartości.

Wygodnie rozparła się w skórzanym fotelu, kołysana szybkością samochodu, podczas gdy Noah wyprzedzał pojazdy jadące obwodnicą Peripherique, która łączyła się z drogami wylotowymi z Paryża. Wjechał na autostradę A6 prowadzącą na południe.

Po dwóch godzinach wjechali na wybrukowany kocimi łbami parking znajdujący się przy wiejskiej oberży. Fasada domu pokryta była stiukiem poprzecinanym pasmami drewna w kolorze ciemnego brązu. Pod górnym rzędem okien znajdowały się doniczki z bujnie rosnącymi, wiecznie zielonymi pnączami bluszczu, który opadał ku ziemi i zdawał się drzeć z zimna.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała rozglądając się zza przedniej szyby.

- W posiadłości moich przyjaciół - powiedział poprawiając jej szalik. - Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, ale musiałem uprowadzić cię z miasta. - Pociągnął za końce szalika przyciągając ją ku sobie i mocno pocałował. - Chciałem cię mieć tylko dla siebie.

- Z jakiegoś szczególnego powodu? - spytała oblizując wargi.

- Pomyślałem, że moglibyśmy pospacerować po ogrodzie, a potem zjeść długą, leniwą kolację. - Znowu dotknął jej ust. - Potem zostaniemy na noc. Najpierw będę się z tobą kochał, a później zaśniemy przytuleni w swoich ramionach. Obudzimy się w tej samej pozycji i znowu zaczniemy się kochać. Jakieś sprzeczki?

- Zapomniałam szczoteczki do zębów. - Dlaczego, im bardziej był dla niej czuły, tym bardziej ją podniecał?

- Zakupiłem tuzin szczoteczek. We wszystkich kolorach. Będiesz mogła sobie wybrać, jaką zechcesz.

- Wobec tego zgadzam się na wszystko.

Wyskoczył z samochodu, podbiegł do drzwiczek i pomógł jej wysiąść. Jego twarz promieniała i nigdy nie wydawał się Cissie aż taki przystojny. Ponad dwie godziny blakali się po ogrodach Auberge Loiret, czule się obejmując i szepcząc sobie do ucha.

Później, gdy rozgrzewali się w barze przy kominku, sącząc regionalne wino Sancerre, zatopili się we wzajemnym odkrywaniu. Praktycznie rzecz biorąc znali się od lat, ale tak naprawdę byli sobie obcy, a mapy ich życia nadal usiane były białymi plamami, które trzeba było czymś wypełnić. Skupili się na poznawaniu siebie.

Rozmawiali i zaśmiewali się do łez. Byli poważni. Wygłupiali się i z minuty na minutę stawali się sobie bliżsi.

Kiedy późnym wieczorem weszli do gospody, prawie wszystkie miejsca były zajęte, ale przyjaciele Noaha zatrzymali dla nich stolik w rogu przy oknie wychodzącym na ogród i oddzielony od stolików innych gości. Wysoki sufit powiększał optycznie pomieszczenie, a wyłożone terakotą posadzki i stonowane dywany nadawały temu miejscu prawdziwie wiejski urok. Nad większymi stołami zwisały mosiężne żyrandole. Mniejsze stoliki, ozdobione ceramicznymi wazami, oświetlały płomienie świec. Potrawy serwowano na regionalnych, fajansowych półmiskach i zgodnie z zapewnieniami Noaha były przepyszne.

Delektowali się każdym daniem, wchłaniając subtelne smaki i zapachy francuskiej kuchni. Dojrzałe wino Saint - Emilion zacieśniało sieć, którą obydwójce na siebie zarzucili.

Przy kawie, kiedy Noah sączył sambucę, a Cissie amaretto z lodem, coś przyciągnęło wzrok Noaha. W przeciwnym rogu gospody dwójce ludzi podnosiło się z krzesel. Mężczyzna został przy stole, a kobieta podeszła do ściany, o którą stała oparta para kul. Mężczyzna wsparł się na nich i pokuśtykał do wyjścia. Miał tylko jedną nogę.

Nagle Noah znów pogrzył się w siebie. Cissie obserwowała, jak zatapia się w myślach, ukazując znowu twardą zamkniętą skorupę.

- Noahu Goldzie! Ani się waż zamykać w swoim świecie.
- Głos Cissie przedarł się do jego świadomości. - Nie widzisz, że pragnę ci pomóc? - powiedziała. - Bez względu na to, co się wydarzyło, musisz się tym podzielić. Chwyła go za rękę i mocno nią potrząsnęła.

Zmierzył ją nieobecny wzrokiem. Miała zamiar jeszcze raz potrząsnąć go za rękę, gdy poczuła, że kurczowo ścisną jej dłoń i jego sygnet wrzyna się w jej skórę. Twarz Noaha pobladła, a gdy się odezwał, jego głos jakby wydobywał się z długiego, mrocznego tunelu.

- Zdarzyło się to w pierwszym tygodniu listopada. Wietnamczycy z północy kręcili się wokół Dakto. Dostałem rozkaz zdobycia twierdzy Cong, tuż przy granicy Kambodży. Zdecydowałem, że jeśli dokonamy desantu na spadochronach, to zdołamy ich zaskoczyć. Podjąłem złą decyzję.

Łomotało mu w głowie i zdawało mu się, że słyszy okrzyki atakujących partyzantów. Przed jego oczami znowu rozgrywała się bitwa, której upiorna wizja nawiedzała go już dziesiątki razy.

Na ziemię! Kryć się! Uważajcie na swoje tyłki! Chwytają za liny!

- Wpakowałem swoich ludzi w zasadzkę. Dżungla stanęła w płomieniach. Świsnęły kule, eksplodowały granaty i do tego jeszcze w samym środku piekła stanął ten skurwysyn, pojmał jednego z naszych chłopców i nim ktokolwiek z nas zareagował, odrąbał mu ręce i nogi. Zupełnie jakby ciął żywego pomidora.

Cissie słuchała z przerażeniem. Oczy Noaha były czarne jak gradowa chmura. Pot wystąpił mu na twarzy i spływał w dół szyi.

- Jeden po drugim chłopcy padali na ziemię, ale walczyli do końca. Boże! Jacy byli twardzi! Ostrzelaliśmy teren z karabinów maszynowych, niszcząc ich jak szczury, ale ciągle nadchodzili jak spod ziemi. Trwało to cztery godziny, aż w końcu nastała cisza.

Liczymy zabitych. Ich straty. Nasze straty. Piętnastu chłopców dostało się do niewoli.

- Chłopcy chcieli ratować swoich kumpli. Ja musiałem dołączyć do plutonu, zanim nowe posiłki nadejdą do Cong. Nie mieliśmy czasu na odbicie więźniów.

Ciągle jeszcze czuł wściekły wzrok wpijający mu się plecy, kiedy poprowadził ich w przeciwnym kierunku, i owady przylepiające się do spoconego ciała, gdy

przeczołgiwał się przez dżunglę. Wciąż miał przed oczami twarze poległych.

- Natrafiliśmy na staw. Żeby zatrzeć ślady, weszliśmy do wody. Była ohydna, ale utknęliśmy w niej na parę godzin, trzymając nad głowami broń i amunicję. Cuchnąca ciecz sięgała nam do szyi, ale staliśmy w tych odchodach, bojąc się kichnąć lub odchrząknąć. Jeden chłopak połknął swoje wymiociny.

Nawet w tej chwili Noah otoczony był tą zgnilizną. Przypominał sobie muliste bajoro, napięte, obolałe mięśnie i przerażający huk w głowie.

- Sądziłem, że nic już nam nie grozi i kazałem chłopcom wyjść z bagna, zostawiając za sobą, na tyłach, jednego człowieka.

Gałązka oderwała się z drzewa i uderzyła w okno. Noah zadrżał. Zmrużył oczy. Był w pogotowiu. Zdrętwiały mu ramiona. Wpatrywał się w okno, lecz przed oczami wirowała mu scena z Wietnamu.

Dwaj ludzie zbaczają z drogi i wracają na miejsce pułapki. W Cong wiedzą, że nasi wrócą. Wokół, jak porozrzucane ubrania, leżą porozrywane ciała. Ramiona. Ręce. Palce. Stopy. Na środku - sterta ludzkich odchodów. Wystają z niej blaszki identyfikacyjne wszystkich zamordowanych. Pete idzie, by je wyjąć.

- Nie dotykaj ich. To pułapka!

Mina eksplodowała natychmiast. Odciągnąłem Pete'a. Jeszcze żył. Wziąłem go na plecy, pozbierałem tabliczki identyfikacyjne zmarłych chłopców i uciekłem.

Boże! On jest ciężki jak kłoda. Nie wytrzymam! Muszę znaleźć pomoc! Muszę uratować Pete'a.

- Nie wiem, ile zdołałem przebiec. Chyba parę mil.

Lepka krew spływająca strumieniami po twarzy; w nozdrzach woń rozkładającego się ciała.

- Co chwila Pete osuwał mi się z ramienia, ale bałem się zatrzymać. Półmrok. Najniebezpieczniejsza pora dnia. Po dzungli błędzą złowieszcze cienie, dziwne odgłosy.

- Wydawało mi się, że słyszę kroki plutonu, lecz równie dobrze mógł to być wróg. Powinienem był biec, ale stanąłem i nasłuchiwałem. Wskoczyło na nas dwóch partyzantów.

Głowę Noaha znowu wypełniły dźwięki ich dzikich okrzyków.

Paralizujący strach. Chwytam karabin maszynowy i strzelam do nich ciągłym ogniem. Panika jak wirus ogarnia ciało. Palec zamiera na spuście. Zużywam cały zapas amunicji na dwóch niewielkich ludzi. Leżą na ziemi, ale nie przestają strzelać. Nie ma już pocisków, a ja nadal przyciskam spust.

Noah zgiął palec i przez dłuższą chwilę się weń wpatrywał. Kiedy znowu się odezwał, jego głos był tak cichy, że Cissie musiała się pochylić, aby go usłyszeć.

- Nawet na nich nie spojrzałem. Byłem zbyt przerażony. Strzelałem na oślep. Łzy spłynęły Cissie po policzkach. Próbowwała wyobrazić sobie jego strach i poczucie winy, ale wiedziała, że to niemożliwe. Tylko inny żołnierz mógł zrozumieć Noaha.

- Pete spadł na ziemię, kiedy strzelałem. Pochyliłem się nad nim i zrobiło mi się niedobrze. Był już martwy. - Głos Noaha przeszedł w szept, a jego oczy skupiły się w jakimś punkcie na podłodze.

Kucam obok Pete'a; obydwoma rękami rozwieram mu szczękę. Wkładam między zęby blaszkę identyfikacyjną. Zarzucam zwłoki na ramiona. Idę dalej.

- Nie chciałem zostawić tym rzeźnikom jeszcze jednej ofiary do poćwiartowania.

- Znalazłeś swój oddział? - Cissie pragnęła przyciągnąć jego wzrok. Nie spojrzał na nią, ale potakująco skinął głową.

- Moi ludzie dotarli na czas. Zatrzymali natarcie dopiero na naszym lotnisku. - Patrzył przed siebie nic nie widzącym wzrokiem, a na jego ustach pojawił się sardoniczny uśmiech. - Według Armii Stanów Zjednoczonych moja misja zakończyła się sukcesem. Zrobili ze mnie bohatera.

- Bo tak było - powiedziała ze zrozumieniem. - Byłeś bardzo dzielny.

- Nie jestem bohaterem! - krzyknął, nie zwracając uwagi na ludzi obecnych na sali. - Nie jestem odważny! - Łzy trysnęły mu z oczu i ukrył twarz w dłoniach.

Cissie wstała z krzesła, podeszła do niego; żeby móc spojrzeć mu w oczy, uklękła na ziemi i objęła jego ramiona.

- Dlaczego nie, Noah? Powiedz mi, dlaczego nie?

Cały się trząsł.

- Nie zamykaj się teraz przede mną! Powiedz mi! Powoli podniósł głowę. Zaczął szlochać zsuwając się z krzesła na podłogę, obok klęczącej Cissie. Objęła go macierzyńskim gestem i pozwoliła mu wypłakać się na swoim ramieniu.

- Zostawiłem piętnastu chłopców - powiedział tonem, który nie raz słyszała w jego ustach. - Pozwoliłem Wietnamczykom pociąć ich i poćwiartować.

- Nie miałeś wyboru - powiedziała stanowczo. - Byłoby więcej ofiar, gdybyś nie zakazał oddziałowi ruszyć do ataku.

- Zabiłem tych dwóch partyzantów. Wpakowałem w nich tyle ołowiu, że starczyłoby na wybicie całej dywizji.

- Przecież oni przyszli po ciebie. Gdybyś ich nie zabił, oni zabiliby ciebie. Była wojna. Byłeś żołnierzem. Wykonywałeś jedynie rozkazy.

Gapił się na nią bezmyślnie. Kiedy się odezwał, głos wiązał mu w gardle.

- Czy musiałem mordować dzieci? Kiedy zabiłem tych dwóch, przewróciłem nogą ich ciała i pierwszy raz zobaczyłem ich twarze. - Przed jego oczami, zasnutymi łzami

żału i poczucia winy, stanął tamten obraz. - Nie mogli mieć więcej niż po dwanaście lat.

Przez długą chwilę siedzieli przytuleni w kącie. Cissie kołysała Noaha w ramionach, szeptała mu czule do ucha, rozmawiała z nim jak prawdziwy przyjaciel. Restaurację opuścili już ostatni goście. Właściciele taktownie wyszli z pomieszczenia.

Noah powoli zaczął dochodzić do siebie i Cissie wytarła mu oczy papierową serwetką.

- Naprawdę, czuję się zażenowany.

- Nie masz powodu. Zrobiłeś to, co do ciebie należało, i masz wystarczająco dużo odwagi, by się przyznać, że czujesz do tego wstręt. Nie bądź skrepowany swoimi ludzkimi uczuciami.

Ledwie widoczny uśmiech pojawił mu się na ustach.

- Myślę, że cię kocham.

- Za dużo myślisz. - Wstała i podała mu rękę. - Obiecałeś, że dzisiejszej nocy będziemy się kochać, i przypilnuję, żebyś dotrzymał obietnicy.

Ramiona Noaha oplotły Cissie w potrzebie graniczącej z rozpaczą. Bez słów i żadnego wstępu zdjął z niej ubranie, tak szybko jak swoje, i w nieładzie rzucił na podłogę. Pokój był mały, z dużym, małżeńskim łóżkiem przykrytym bladoniebieskim muślinem. Przez wąskie okno, wychodzące na dziedziniec, wpadło blade światło księżyca, kąpiąc w cieniach postacie Noaha i Cissie.

Jego ciało było sprężyste i jędrne. Trzymając ją w ramionach, czuł, że dłużej już nie wytrzyma. Zaniósł ją do łóżka i położył na miękkiej narzucie, która otuliła ciepłem jej nagość.

Wilgotnymi dłońmi przywarł do jej skóry i zakrył wargami jej usta. Czowała, jak drży i ztraca nad sobą kontrolę. Jej wargi mocno przylgnęły do jego ust, rytmicznie falując,

przesuwając się i wchodząc do środka, jakby nie mogły zwrzeć się wystarczająco blisko. Fala namiętności, jak dawka narkotyku, wzburzyła krew w jej żyłach, rozpała ciało i wzięła w posiadanie duszę. Usłyszała swój przyśpieszony oddech, kiedy w nią wchodził. Za chwilę było już po wszystkim. Za szybko. O wiele za szybko. Ale głód musiał być zaspokojony natychmiast. Otworzyła oczy i ujrzała nad sobą czule uśmiechniętą twarz Noaha.

- Cierpliwość nigdy nie była moją najmocniejszą stroną - powiedział.

- Moją też nie. - Uśmiechnęła się widząc, jaki był teraz spokojny i jak swobodne były jego ruchy, kiedy się osunął, by położyć się obok niej.

Przez kilkanaście sekund zdawał się zupełnie zaabsorbowany układaniem koca. Potem wziął ją za rękę i spojrzał głęboko w oczy.

- Dziękuję - powiedział miękko. - Czułem potrzebę porozmawiania, ale jeszcze bardziej pragnąłem, by ktoś mnie wysłuchał.

Cissie wyciągnęła się w jego stronę i pocałowała go w policzek. Znowu pogrążył się w milczeniu. Tym razem nie była to jednak uparta i złowroga cisza, ale krótka chwila kontemplacji.

- Wielu facetów wymigało się od poboru - odezwał się nagle. - Nie mógłbym tego zrobić.

- Cieszę się, że tego nie zrobiłeś. Masz okropne doświadczenia, ale postąpiłeś z honorem.

- Mój ojciec miał na ten temat inne zdanie.

- Na pewno. Isaac Gold, którego znam, pragnął tylko, żeby jego syn zajął właściwe miejsce na stanowisku szefa koncernu „Gold Electronics”. Dziwię się, że zgodził się na twoje studia prawnicze.

- Ja też.

Spodziewała się goryczy w głosie, lecz jego ton był wyrozumiały i pełen refleksji.

- Jak wrócisz do Stanów, będziesz prawnikiem?

Czekała. Jeśli miał wybuchnąć, to detonatorem były słowa „powrót do Stanów”.

- Przez jakiś czas.

Odetchnęła z ulgą. Zaczynał jej ufać.

- A potem?

Z początku odpowiedział jej śmiech pełen zażenowania. Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał dziwnie młodo i można było w nim wyczuć cień nieśmiałości.

- W czasie studiów byłem bardzo zaangażowany w ruch na rzecz ochrony praw człowieka. Brałem udział w spotkaniach i demonstracjach. Uczęszczałem na zebrania i ochotniczo pracowałem w gettach. Działiałem w kampanii Johna Kennedy'ego, przeprowadzając ankiety i zbierając głosy wyborców. Dużo się nauczyłem, lecz jeszcze więcej nauczył mnie Wietnam.

Przerwał. Cissie czekała na deszcz z gradowej chmury, ale Noah mówił dalej czystym i mocnym głosem.

- Mówi się, że świat podzielony jest na dwa obozy. Tych, którzy mają, i tych, którzy nie mają. Zgadza się, że podział istnieje, ale według mnie przebiega on między tymi, którzy posiadają wpływy, a ludźmi, którzy są ich pozbawieni, i aby pomóc tym drugim, trzeba znaleźć się w pierwszej grupie. Chciałbym kiedyś zostać senatorem Stanów Zjednoczonych.

Nigdy nikomu nie zdradził tych myśli. Z napięciem czekał na to, co powie Cissi. Jej reakcja miała dla niego większe znaczenie, niż przypuszczał. Jej usta rozchyliły się w szerokim uśmiechu.

- Myślę, że będziesz wspaniały.

- Myślę, że jesteś wspaniała.

Odnalazł jej wargi i całował ją delikatnie, z uczuciem świadczącym o miłości wybiegającej poza granice łóżka. Zaczął przesuwając dłońmi po jej skórze, teraz celowo robiąc to powoli. Pieścił ją do wewnętrznego bólu. Jego wargi przesunęły się po liniach jej dłoni i zaczęły odkrywać piękno jej ciała podniecając ją do takiego stopnia, że drżała od ciepła jego oddechu. Noah uniósł Cissie i położył ją na sobie, mocno przyciskając i mówiąc, jak bardzo jej pragnie, jak bardzo potrzebuje i jak szaleńczo ją kocha. Czowała, że przenosi się w inny świat.

Tak jak obiecał, zasnęli w swoich ramionach, obudzili się przytuleni do siebie i znów się kochali. Przy kawie i francuskich rogalikach Noah się jej oświadczył, a ona powiedziała mu „tak”. Tego popołudnia postanowili wracać do Paryża, poinformować rodziców i natychmiast wziąć ślub.

Podczas podróży do domu Cissie próbowała zasnąć, ale jej umysł nie chciał słuchać rozkazu. Przez lata Noah wydawał się jej mężczyzną bez skazy niczym grecki bóg. Ostatniej nocy młodzieńcze iluzje prysnęły w konfrontacji z rzeczywistością jak mydlana bańka. Noah nie był boskim Zeusem, lecz zwyczajnym człowiekiem, z ludzkim odczuciem zagrożenia, porażki i strachu. Czy była rozczarowana? Czy zauroczenie minęło? Nie. Kochała go bardziej, niż mogła to sobie wyobrazić, i wiedziała dlaczego. Była mu potrzebna. Jej rodzice, krewni, brat i znajomi kochali Cissie, ale tak naprawdę mogli się bez niej obejść. Noah jej potrzebował. Potrzebował jej siły i zachęty, jej miłości i entuzjazmu, jej ciała i duszy. Potrzebował jej całej, a Cissie nie marzyła o niczym innym jak tylko o tym, by oddać mu się bezgranicznie. Nie wiedziała jeszcze, że nadejdzie dzień, w którym Noah zażąda więcej, niż będzie mu w stanie ofiarować.

FRANCES REBECCA TRAVIS

Frankie

Maj 1968

- Okey, kochanie, rób tak, jakbyś kochała to robić. Niech poczuję te bioderka. Dalej. Do przodu! Dobrze. Dobrze. O Boże, jesteś fantastyczna! Nie przerywaj!

Jose Banta, najlepszy fotograf w Nowym Jorku, biegał z aparatem, regulując przesłonę i cały czas mówiąc. Chwalił, uspokajał i dawał wskazówki. W tle słychać było rytmy rock and rolla. Dyskotekowa lampa umieszczona pod sufitem rzuciła błyski na wysoką, gładką, papierową ścianę. Grube przewody, jak węże, wiły się wokół aparatury. Z lewej strony fotografa stał jego asystent z dodatkowym sprzętem. Charakteryzatorka trzymała w pogotowiu szczotkę do włosów i puder. Kilku reporterów stało w rogu studia, obserwując i komentując szeptem sesję zdjęciową. Jak to było w zwyczaju Banty, jeden z jego ludzi krzątał się po studiu, przynosząc potrzebne sprzęty i zabierając zbędne rekwizyty.

Na środku studia pozowała do zdjęć Frankie Travis, bardzo wysoka siedemnastolatka, obecnie najbardziej rozchwytywana modelka w Stanach i prawdopodobnie równie popularna na całym świecie. Jej usta lśniły od jaskrawoczerwonej pomadki, linię oczu podkreślały grube, fioletowe kreski, a policzki zdobiły ukośne muśnięcia róży. Gęste, falujące, czarne włosy modelki zebrane były w koński ogon i przewiązane jedwabną wstążką.

Karminowa satyna opinała jej piersi i przylegała do kształtnych bioder i ud jak druga skóra. Kiedy Frankie, stosując się do wskazówek Banty, zaczęła kołysać się i tańczyć w rytm muzyki, atmosfera w studiu zrobiła się jeszcze bardziej gorąca.

Była dzieckiem w kobiecym ciele, i bez względu na to, czy było to dobre czy złe, świadome czy nieświadome, moralne czy niemoralne, wszystkich obezwładniała seksualna aura, jaką roztaczała wokół siebie.

- Ziewnij, kochanie - odezwał się Banta. - Tak, jak ci pokazywałem. Dawaj, malutka. Pokaż, co potrafisz!

Oczy Frankie uśmiechnęły się do fotografa i jej długie, gibkie ramiona wolno uniosły się do góry. Dłonie modelki musnęły policzki i powędrowały wyżej, wyciągając się, falując i uwodząc. Banta pokiwał z zadowoleniem głową.

Technik zmienił muzykę. Banta pochylił się do przodu i nadal trzymając kamerę pstryknął palcami i uśmiechnął się do Frankie. Przeciągnęła się, odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech, podciągnęła sukienkę do góry, odsłaniając górne partie nóg i jak nastolatka zaczęła stepować w rytm muzyki, pstrykając palcami i śpiewając razem z zespołem Rolling Stones.

Banta kołysał się razem z nią, jego oczy niczym mechanizm aparatu umieszczały w kadrach poszczególne ujęcia. Dawno temu nauczył się rejestrować wzrokiem to, co widział obiektyw, i nie potrzebował soczewek. W ten sposób mógł pracować z modelkami bez zawracania sobie głowy czarną skrzynką aparatu. Jego oczy zwięzły się. Ustawiał ostrość. Patrzył. Potem uśmiechnął się. To były najlepsze poranne ujęcia.

Muzyka umilkła i Banta krzyknął:

- Stop. - Pocałował ją w policzek i poklepał po plecach. - Jesteś fantastyczna, Frankie - powiedział. - Przebierz się, jeszcze trzy krótkie serie.

Za dziesięć minut wyłoniła się z przebieralni, tym razem w szafirowozielonej balowej kreacji z marszczonym stanikiem i spódniczką z tafty. Białe tło zastąpił blad różowy ekran.

Przygaszono światło i muzyka zagrała wolniej. Banta chciał wytworzyć intymny nastrój salonu.

Fotografowali najnowszą kolekcję wieczorowych kreacji dla magazynu „Vogue”. Suknie pochodziły od najlepszych nowojorskich projektantów, a zdjęcia robiono bez dodatkowych rekwizytów, z wyjątkiem wyrafinowanej fryzury, którą Dario przed sekundą wyczarował na głowie Frankie. Tym razem suknia z przełomu wieku podniecająco kontrastowała z kaskadą włosów, muskających jak pióra twarz dziewczyny.

Frankie, zgodnie ze wskazówkami Banty, przyistoczyła się ze śmiałej, nowoczesnej nastolatki w przedwojenną, uwodzicielską piękność. Trzepotała rzesami, poruszała się z gracją, wachlowała dłońmi, miękkimi ruchami rąk odgarniała loki i na zawołanie przywoływała na twarz rumieniec. Była teraz Scarlett O'Hara, właścicielką Tary i symbolem Południa. Jedynym brakującym elementem był zapach mięty.

Banta prowadził ją ruchami dłoni i szepcząc coś od czasu do czasu, łagodził jej napięcie. Oprócz pstrykania migawki jedynym słyszalnym dźwiękiem były dziwnie brzmiące słowa wydobywające się z ust dziewczyny.

- Kragłość brzucha. Uwypuklij brzuch. Napnij mięśnie pośladków. Mięśnie ramion.

Frankie wydeła dolną wargę, skrzywiła usta i pragnąc coś sobie przypomnieć, zamyśliła się posepnie. Kamera wychwytywała każdy najsubtelniejszy wyraz malujący się na jej twarzy.

- Co ty wyprawiasz? - Ostry głos przeciął powietrze jak sztylet. Frankie tylko na moment obejrzała się za siebie, ciekawa, skąd dochodzi głos.

- Przygotowuję się do testu z biologii - odpowiedziała, odwracając się tyłem do kamery i rzucając przelotne spojrzenie w obiektyw.

- Później będziesz się uczyć. - Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Lillie Rostov, agenta, menażera, ochrony i matki Frankie. - Teraz masz się skupić na pracy. I tak jest mało czasu.

- Stop! - Banta kazał wyłączyć światła i poprosił Frankie, żeby na chwilę usiadła. - Przecież robi, co do niej należy. Wszystko idzie gładko. Nie denerwuj się.

Banta zawsze stawał po stronie Frankie. Pracował z nią od dawna i wiedział, że niezwykle przejmowała się swoją rolą, zawsze chętnie zostawała dłużej, aby dopracować ujęcie. Była słodkim dzieckiem bez cienia zblazowania i scenicznego zepsucia, właściwego innym młodym modelkom. Banta już dawno doszedł do wniosku, że gdyby Lillie Rostov była jego matką, zatłukłby ją na śmierć albo sam strzelił sobie w łeb, zanim skończyłby dziesięć lat.

- Frankie nie byłoby tutaj, gdybym postępowała według twoich rad i pozwalała na te bezsensowne przerwy. - Majestatycznym krokiem wielkiej damy, za jaką się uważała, Lillie ruszyła w stronę Banty.

- Cóż w tym złego, że powtarza sobie lekcje w czasie zdjęć? - zapytał Banta. - Skoro tylko robi to, czego od niej wymagam, dla mnie może recytować na głos surę Koranu.

- Przestała wczuwać się w rolę. Przestała się koncentrować! - Ton Lillie był coraz bardziej napastliwy.

Banta chciał powiedzieć, żeby się wypchała, ale w porę ugryzł się w język. Zawsze wyżywała się na córce i nie mógł na to patrzeć. Już niejeden fotograf próbował z tym walczyć, ale w końcu lądował jak syberyjski wygnaniec, przerzucając katalogi albo wypisując kwitki. Jose Banta miał renome najlepszego w branży i mógł znaleźć wszędzie pracę, lecz wiedział, że w tym światku „najlepszy” był tylko przejściowym terminem.

- Chcesz coś do picia? - Charakteryzatorka Ina podeszła do Frankie. - Pewnie jeszcze trochę ze sobą podyskutują.

Lille i Banta prowadzili wojnę. Kontrolowanym szeptem walczyli o dominację. Asystent Banty zapalił w kącie papierosa, pracownicy magazynu „Vogue” podeszli bliżej, zaciekawieni przebiegiem rozmowy. Tylko Frankie i Ina nie ruszyły się z miejsca.

- Dlaczego ona mi to robi? - zapytała Frankie, popijając pepsi. - Dlaczego, kiedy tylko ma okazję, robi mi wstyd przy ludziach?

Ina wzruszyła ramionami.

- Może w ten sposób się podbudowuje.

Frankie bawiła się słomką, kręcąc w szklance, aż na powierzchni ukazała się piana.

- Jakie jest twoje zdanie? - zapytała. - Robiłam coś nie tak? Rzeczywiście przestałam skupiać się na pracy?

- Gdyby coś źle wychodziło, Banta natychmiast przerwałby zdjęcia - rzekła Ina. - Byłaś fantastyczna. Ale dla mnie i tak zawsze jesteś rewelacyjna.

Frankie zaśmiała się.

- Dlatego, że jesteś za niska, żeby dobrze przyjrzeć się mojej twarzy.

- Racja.

Ina miała tylko mer pięćdziesiąt i dwadzieścia parę lat. Chociaż nie widywały się po pracy, tak dobrze im się współpracowało, że nawiązały serdeczną, „roboczą” przyjaźń. Charakteryzatorka była pod takim urokiem Frankie, że modelki na łamach „Women's Wear Daily”, gdzie pracowała, wyglądały prawie tak samo jak Frankie na okładkach „Jolly Teen Giant”.

Nagle Frankie podniosła się z krzesła.

- Bierzmy się do roboty! - powiedziała do Iny. - Jeśli będziemy tak beczynnie siedzieć, to wessie nas tutaj na całą

noc i nigdy nie nauczę się anatomii. - Ina zajęła się poprawianiem jej fryzury, po czym nałożyła jej puder i róż na policzki. Frankie, w gotowości bojowej, stanęła na planie.

- Mama ma rację. Nie dawałam z siebie wszystkiego. Przepraszam, Jose. To się już nie powtórzy.

Przepraszająco spojrzała na Bantę, mając nadzieję, że zrozumiał, o co chodzi. Puścił do niej oczko, polecił asystentom ustawić światła, włączyć muzykę i pokazał Frankie, jak ma się ustawić do kamery. Burza minęła.

Podszedł do aparatu, a Lillie, z wyrazem triumfu na twarzy, zasiadła w płóciennym fotelu. Wygrała to starcie, ale ze względu na potrzebę chwili nie komentowała zwycięstwa. Ostatnią rzeczą, jakiej chciała, było robienie przedstawienia przed wydawcami z „Vogue'a”.

Nie tylko byłoby to niestosowne, choć dla nich niewątpliwie ekscytujące, ale słono płacili za każdą minutę zdjęć i przedłużanie sesji drogo ją kosztowało.

Podczas następnej serii zdjęć Lillie powstrzymała się od komentarzy. Nie miała zamiaru do niczego się wtrącać, ale kiedy Frankie ugrzęzła w garderobie, przygotowując się do kolejnej sceny, znów zaczęła się niespokojnie wiercić. Pracownicy „Vogue'a” szeptali coś nerwowo, niecierpliwie zerkając na zegarki. Lillie zerwała się jak wicher, rzuciła im spojrzenie mówiące „nie wiem, co się tutaj dzieje” i pognęła do przebieralni.

- Co wy tam tak długo wyrabiacie? - domagała się wyjaśnień, waląc w drzwi. Kiedy nie uzyskała odpowiedzi, z impetem wtargnęła do środka. Ina klęczała na ziemi z pęczkiem agrafek w ustach, próbując dopiąć białą, obcisłą suknię, podczas gdy Frankie stała jak manekin, wciągając brzuch i nabierając powietrza w płuca.

- Jest trochę za ciasna - powiedziała w końcu. - Za minutę będę gotowa. Podczas gdy Ina pracowała nad sukienką, Dario

dopracowywał swoje ostatnie dzieło - gruby warkocz, który jak korona oplatał głowę modelki. Po kolei wkładał plastikowe szpilki w doskonały splot i Frankie wyglądała teraz jak śnieżnobiała Statua Wolności.

- Myślałam, że zabrałyśmy dobry rozmiar. - Starsza edytorka weszła za Lillie do przebieralni. Wypożyczyła stroje od projektantów i musiała je zwrócić w idealnym stanie.

- Wzięłyśmy co trzeba - spokojnie odpowiedziała Ina, nie przerywając zajęcia. - Więc skąd te kłopoty?

- Chyba zjadłam za dużo ciasteczek - powiedziała Frankie i na twarzy wystąpił jej rumieniec zażenowania.

Studio wypełniło się nagle sędziami rzucającymi jej oskarżycielskie spojrzenia, zupełnie tak, jakby popełniła jakąś zbrodnię.

- Nieźle - powiedziała Ina, rzucając ostatnie spojrzenie na swoje dzieło. - Robimy zdjęcia tylko z przodu i Frankie wie, co ma robić.

- Jestem o tym przekonana, ale wciąż nie rozumiem, dlaczego ta suknia zrobiła się nagle za ciasna. - Kobieta była nieustępliwa i nie miała zamiaru rezygnować z dochodzenia, dopóki ktoś nie udzieli jej satysfakcjonującej odpowiedzi.

Lillie zaczęła sapać z podniecenia. Ta sesja zaczęła się zbyt dobrze, żeby teraz wszystko zmarnować

- Który dzisiaj? - zapytała.

- Piętnasty - odparł ostrożnie Jose.

- Więc nic dziwnego - odetchnęła z ulgą, jakby aniołowie zesłali jej z nieba wytłumaczenie. - Frankie może w każdej chwili dostać okres. Rozdęło jej brzuch.

Frankie zamieniła się w sople lodu. Czuła na sobie wzrok wszystkich zebranych. Usłyszała, jak jeden z pracowników Banty zaśmiał się oblesnie. Jej matka jak gdyby nigdy nic zaczęła wyganiać wszystkich spod garderoby. Wygodnie rozparła się w fotelu. Jose czekał na Frankie.

- Kochanie, wyrwało się jej - powiedział głaszcząc Frankie po ramieniu. - Po prostu szybciej mówi, niż myśli.

Frankie nie mogła wydusić z siebie słowa. Poczowała, jak Jose ściera jej łzę z policzka. Ina serdecznie uścisnęła ją za rękę, jednak w środku drażył Frankie ten sam rozrywający ból.

- Jose twierdzi, że wcale nie chciała tak powiedzieć, ale on po prostu próbuje mnie pocieszać. Za często jej się to zdarza. Poza tym, co to za różnica, czy naprawdę tak myśli, czy tylko mówi? Tak samo boli.

Frankie leżała wyciągnięta na swoim wielkim łóżku. Ścisnęła rękoma kilka poduszek i machała wystawionymi poza krawędź stopami. Ciemny pokój oświetlała tylko mała nocna lampka. Szare cienie wtargnęły do pokoju, tańcząc na bladożółtych ścianach i zmieniając kształt wraz z podmuchami wiatru. Przez otwarte okna do Frankie dobiegały odgłosy ulicy.

- Mówiłam jej tysiące razy, żeby nie zachowywała się tak, jakby mnie w ogóle nie było. Oczywiście to, co czuję, zupełnie się nie liczy. Jestem inwestycją. Nie mam rozumu, duszy i to przez nią nikt oprócz was nie chce zamienić ze mną słowa.

Przejmująca samotność wypełniła przestrzeń pokoju. Głos dziewczyny domagał się słuchacza: kogokolwiek, kto mógłby chociaż potakiwać, ale towarzyski jej niedoli potrafiły tylko słuchać.

- Wiem, że jesteście zmęczone, ale Cissie pojechała w podróż poślubną i muszę sama zabawić się rozmową. - Przekręciła się na plecy i uśmiechnęła w mroczną przestrzeń. - Mówiłam wam, jaki fantastyczny jest Noah Gold? Och! Chciałabym, żebyście zobaczyły, jaką stanowili parę. Cissie jak zwykle wyglądała rewelacyjnie. Ciocia Tessa sama zaprojektowała jej suknię z długim trenem, który jak wąż ciągnął się po kościelnej nawie. Musiał mieć chyba z dziesięć

metrów! - Zaśmiała się, usiadła na łóżku i objęła rękami kolana. - Byłam starszą druhną. Musiałam stanąć pod chuppahem i trzymać bukiet, kiedy Noah wkładał jej na palec obrączkę. Pozwolili mi nawet wybrać sukienkę na tę uroczystość. - Wtem głos jej przygasł, a oczy zaszyły mgłą. - Było wspaniale, dopóki matka, jak zwykle, wszystkiego nie popsuła. Cissie i Noah wychodzili z synagogi, kiedy odepchnął ich tłum reporterów i zaczęli mnie fotografować. Myślałam, że ciocia Tessa i wujek Bert zjedzą matkę żywcem. Ale oczywiście włos jej nie spadł z głowy.

Kilka łez popłynęło jej z oczu na wspomnienie wydarzeń sprzed dwóch tygodni. Takie upokorzenie, pomyślała. Nikt jej za to nie winił, nigdy nie mieli do niej pretensji, ale i tak czuła się odpowiedzialna za zachowanie matki.

Sięgnęła do toaletki, otworzyła szufladę i szperała w niej, dopóki nie znalazła wykonanego polaroidem zdjęcia, na którym Cissie, Bert i Frankie stali przytuleni do siebie.

Drżący uśmiech pojawił się na jej twarzy. Spośród wszystkich ludzi na świecie najbardziej kochała Cissie. Frankie gościła u Kahnów, ilekroć matka wypuszczała się w długie, tajemnicze podróże, i Cissie od początku wzięła ją pod swoje skrzydła.

Frankie miała pięć lat, kiedy po raz pierwszy została na dłużej w rodzinie Kahnów. Myślała, że będzie się czuła obco pod dachem wujostwa, ale zrobili wszystko, żeby nie było jej gorzej niż w domu. W dzień po przyjeździe Tessa ubrała Frankie w śliczną różową sukienkę z koronkowym kołnierzykiem, lśniące czarne lakierki i białe rękawiczki. Wujek Bert wręczył jej uroczy bukietek fiołków, a Cissie przepiękną gardenię i we trójkę wybrali się na lunch do hotelu „Plaza”. Dla Frankie było to wyjątkowe przeżycie, tym bardziej że wiedziała, iż Bert zazwyczaj jadał lunch tylko w towarzystwie córki.

- Nie masz już tatusia - mówiła Cissie - możemy więc podzielić się moim.

- Teraz wszystko będzie inaczej - myślała na głos Frankie.
- Cissie wyszła za męża i Noah na pewno byłby wściekły, gdybym ciągle się koło nich pętała. Wygląda na to, że zostało mi już tylko wasze towarzystwo.

Omiotła wzrokiem mieszkanek swojego pokoju, szukając u nich wsparcia. Popatrzyła im w oczy, wnikliwie przyjrzała się ich twarzom i czekała na jakiś odzew, choć doskonale wiedziała, że nie usłyszy od nich ani słowa. Zresztą nie miało to znaczenia. Nie musiały się odzywać. Przynajmniej były z nią. Lalki wypełniające półki, rezydujące pod ścianami, na sofie u wezłowania łóżka. Były wszędzie. Szmaciane, porcelanowe, plastikowe. Lalki, które robiły wszystko, i lalki, które nie potrafiły nic. Każda miała swoje imię, własną osobowość, historię i pokój Frankie, będący dla nich mieszkaniem.

Jednym zwierzała się z problemów, którymi nigdy w życiu z nikim by się nie podzieliła. Inne przytulała w chwilach słabości i zabierała ze sobą do łóżka. Jeszcze inne towarzyszyły jej w podróżach.

Lillie już dawno próbowała się ich pozbyć. Parę razy groziła Frankie, że usunie lalki z jej pokoju. Żeby zaoszczędzić sobie nerwów, Frankie stosowała się do wszystkich poleceń matki, jednak w tym względzie była nieustępliwa. Za każdym razem, gdy Lillie chciała wyrzucić je na śmietnik, Frankie wpadała w taką histerię, że matka musiała w końcu dać za wygraną. Teraz znów zwierzała się im ze swoich kłopotów, nie oczekując żadnych rad.

Nagle w przedpokoju trzasnęły drzwi. Frankie szybko wyłączyła lampkę, chwyciła najbliższe leżące lalki i mocno przytuliła do siebie. Czekiła, aż kroki umilkną. Lillie zatrzymała się. Frankie myślała, że matka wejdzie do pokoju,

ale klamka nie przekręciła się w drzwiach. Usłyszała odgłos oddalających się kroków. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz została pocałowana na dobranoc.

- Nie rozumiem, dlaczego nie okazuje mi miłości - wyszeptała. - Tak bardzo staram się ją uszczęśliwić. Czasem zastanawiam się, po co w ogóle mnie urodziła.

Wy tłumaczenie zachowania Lillie Rostov nie było takie trudne, jeśli sprowadziło się jej życie do podstawowego schematu - okresów uwielbienia przeplatanych okresami odrzucenia. Jako najmłodsza z piątki dzieci w kochającej się, pełnej życia rodzinie Rostovów była uwielbiana i rozpieszczana od dzieciństwa. Wyręczano ją we wszystkim, nie oczekiwano od niej wielkich poświęceń i w przeciwieństwie do innych dzieci nigdy nie musiała się o siebie troszczyć. Kiedy Franyu była zajęta, opiekowała się nią Molly, gdy jej nie było pod ręką, robiła to Tessa, jak zabrakło Tessy, opiekę nad Lillie sprawowali bracia. Była dzieckiem w pełnym znaczeniu tego słowa.

Kiedy Lillie miała dziesięć lat, świat usunął jej się spod nóg. Molly wyszła za męża, a potem zachorowała Franyu. Mimo że Sinnoch robił wszystko, by życie rodziny biegło dawnym torem, okazało się, że Franyu była tym spoiwem, bez którego budowla zaczęła się osuwać. Molly przejęła miejsce matki w sklepie z biżuterią. Tessa zajęła się domem. Jacob i Ben w miarę możliwości wyręczali ojca w obowiązkach, a Lillie pozostawiona była samej sobie. Nagle nikt nie spełniał jej zachcianek, nikt nie starał się jej dogodzić. Zażądano, by włączyła się w życie rodziny i przestała odgrywać rolę księżniczki. Lillie dotknęła ta niespodziewana zmiana, ale nikt nie miał czasu, by rozczulać się nad jej losem.

Po śmierci Franyu izolacja Lillie jeszcze się nasiliła. Oplakiwała stratę matki, ale przecież rozpaczały wszystkie dzieci. Chociaż inni próbowali ją pocieszać, nikt nie mógł

przywrócić dawnego biegu wydarzeń. Lillie poczuła się odrzucona i zaczęła szukać sposobów na odzyskanie dawnej pozycji w rodzinie. Na początku była niegrzeczna - złość pozostałych była lepsza od zupełnego braku zainteresowania. Potem odkryła najważniejszą cechę swojej osobowości - musiała być na pierwszym planie.

Zacząła powoli zamykać się w sobie, budując świat fantazji, w którym nadal była jedyną gwiazdą. Oddalała się uczuciowo od reszty rodziny i coraz mniej zależało jej na ich aprobacie. Liczyła się tylko jej własna osoba.

Jeśli było jej z czymś dobrze, uważała, że wszystko jest w porządku. Gdy coś się jej nie podobało, z miejsca odrzucała to jako złe.

Wszystkie wewnętrzne przemiany Lillie uszły uwagi pozostałych członków rodziny. Zauważyli oni wprawdzie, że większość wolnego czasu spędza na przeglądaniu ekskluzywnych czasopism i chodzeniu do kina, dostrzegali, że coraz bardziej zależy jej na wyglądzie, wiedzieli, że nie miała zbyt wielu przyjaciół i często popadała w ponure nastroje, które trwały tygodniami, ale wszystko zwalali na karb dojrzewania. Nawet nie przyszło im do głowy, że Lillie ogarnęła obsesja gwiazdorstwa.

W 1947 roku Frannie, córka Molly i Herba Schwartzów, zmarła na paraliż dziecięcy. Miała osiem lat i była pierwszą Frances Rebeccą, która przysła na świat po śmierci Franyu. Jej śmierć rozdrapała zasklepione rany. W dzień po pogrzebie, kiedy klan Rostovów spotkał się na stypie u Molly, Lillie wyjechała do Hollywood.

Przez pierwszy rok mieszkała w obskórnym pensjonacie, zmywając nocami naczynia w zamian za utrzymanie. W ciągu dnia zaś czekała na rozmowę pod drzwiami jakiegoś reżysera albo chwytła się różnych zajęć, byleby tylko utrzymać się na powierzchni. Miała nadzieję, że ktoś w końcu ją odkryje. Po

długich miesiącach mrzonek przyjrzała się realiom i doszła do wniosku, że przeznaczenie nie wyciągnie do niej pomocnej dłoni. Postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Zdecydowała rozpocząć natarcie od Hershela Samuela, dyrektora wytwórni „Olympus”. Hershel i jego żona Sunny mieli zwyczaj wydawania przyjęć z każdej okazji, zapraszając setki dalszych i bliższych znajomych z okazji rozpoczęcia projekcji filmu, pojawienia się nowej gwiazdy, zakupu nowej bransoletki dla Sunny lub dla uczczenia ostatniej niedzieli miesiąca. Większość oszczędności Lillie wydała na przekupienie służby i kiedy następnym razem Sunny Samuels otworzyła drzwi, stała tuż za nią, serwując drinki i kanapki.

Trwało to miesiąc, aż w końcu los się do niej uśmiechnął. Ubrana w czarny, skąpy mundurek czekała na kilku najbardziej wpływowych ludzi z Hollywood. Podśluchiwała rozmowy, uśmiechała się do każdego rozpoznanego producenta, próbowała nawet przypocholebić się ich żonom, ale po jakimś czasie stwierdziła, że obrana przez nią droga jest zbyt długa i niepewna. Musiała podjąć bardziej zdecydowane kroki.

Ostatnim razem, kiedy widziała Sunny, żona Samuela relacjonowała swoim znajomym wrażenia z pobytu w Złotej Bramie. Służący zajęty był przyrządzaniem głównego dania w kuchni, a Hershel Samuels spacerował właśnie obok basenu. Gdy przybliżył się do niej na odległość nie mniejszą niż pięćdziesiąt metrów, upozorowała omdlenie. Taca rozprysła się na kafelkach, a Lillie upadła na kępę zieleni. Kiedy jakiś mężczyzna podnosił ją z ziemi, usłyszała, jak Samuels każe ją zanieść do swojego domu. Według jej przypuszczeń Hershel powinien był się tam zaraz zjawić. Przyszedł po chwili. Następnego dnia Lillie Rostov zawarła kontrakt z wytwórnią „Olympus” i została kochanką Samuela.

W wieku dziewiętnastu lat Lillie była fascynująco piękna. Jej ciemnobrązowe oczy i kruczoczarne włosy ostro kontrastowały ze śnieżną bielą cery, nadając jej eteryczny wygląd, a wydatne kości policzkowe przydawały urodzie kruchości i niewinności. Nie cechowały jej słabość, a tym bardziej niewinność, chciała jednak roztoczyć wokół siebie aurę dziewczęcej świeżości. Lillie była co najwyżej przeciętnie utalentowana, ale w Hollywood gwiazdy nie zawsze błyszczały talentem i nie wszystkie najlepsze aktorki stawały się gwiazdami.

W 1949 roku, po okresie statystowania i drugoplanowych ról, Hershel obsadził ją w filmie „Czarni Rosjanie”, romantycznej sadze pełnej pięknych scenerii, bogactwa kostiumów, z tysiącami statystów, nie wymagającej od Lillie wielkiego scenicznego talentu. Hershel tylko czekał na taką okazję. Przejmująca uroda Lillie zaczarowała szeroki ekran i z dnia na dzień dziewczyna zdobyła sławę, na której tak bardzo jej zależało.

Była nowym odkryciem Ameryki i tak jak wszystkie gwiazdy sezonu potrzebowała prasy i publiczności. W 1950 roku, kiedy Rita Hayworth wyszła za Aly'ego Khana, a Sid Caesar i Imogene Coca byli u szczytu popularności po „Your Show of Shows”, gwiazda Lillie zaczęła przygasać.

W celu pokonania narastającego znudzenia, wytwórnia wymyśliła burzliwy romans między Lillie a inną wschodzącą gwiazdą „Olympusu” - Sterlingiem Travisem. Sterling miał dwadzieścia cztery lata, był muskularnym blondynem z wodnistymi, niebieskimi oczami i szerokimi pełnymi ustami, które doprowadzały do omdlenia nastolatki i wbijały w fotele dojrzałe kobiety. Lillie twierdziła, że nie jest w jej typie, ale Hershel nalegał, żeby zrobiła to dla swojego dobra.

Jej następny film „The Goddess” odniósł wielki sukces. Wyglądniła prasa znowu oczekiwała na jakieś sensacje, a

romans Lillie ze Sterlingiem całkowicie zaspokajał te apetyty. Wszędzie widziano ich razem - całujących się w restauracji, machających do reporterów z tylnych siedzeń samochodów, obściskujących się na derbach, tańczących do rana w klubie „Coconut Grove” - wszystko to dla utrzymania się na fali popularności. Zdecydowali się nawet zaręczyć, by zrywać ze sobą trzy razy.

W 1951 roku na scenie zaczęły pojawiać się nowe gwiazdki. Dwa ostatnie filmy Lillie odniosły umiarkowany sukces, a romans z Travisem już dawno się przeżył. Ich następne przedsięwzięcie, „Eden”, zapowiadało się niezbyt ciekawie za sprawą przeciętnego scenariusza i tracącego weneę reżysera, którego geniusz tonął w rosyjskiej wódce. W trakcie kręcenia filmu Hershel doszedł do wniosku, że potrzeba nowego skandalu, który uatrakcyjni niezbyt ciekawą fabułę filmu. Zagadnieniem zajął się dział reklamy wytwórni „Olympus”. Wtedy właśnie pojawił się pomysł Frankie Travis. Po licznych naradach zdecydowano, że najlepszym wyjściem byłoby uwieńczenie romansu Lillie ze Sterlingiem rozkosznym dzieckiem.

Od chwili swych narodzin Frankie stanowiła absolutną sensację. Jeśli byłaby odrobinę mniej rozbrajająca, Lillie prawdopodobnie w ogóle nie poświęcałaby jej uwagi. Urodziny córki okazały się dla niej prawdziwym dramatem. To nie ona dokonała tego wyboru. Frankie nie była ani dzieckiem miłości, ani wielkiej namiętności. Prozaiczny handlowy układ: zamówienie - dostawa. Gorzej: mimo ciężkiej pracy na planie i osobistego poświęcenia, „Eden” był całkowitą klapą wytwórni „Olympus”. Kiedy gwiazda Lillie zupełnie przygasła, Hershel Samuelsa dotknął przypadek częściowej amnezji - nie mógł sobie przypomnieć numeru telefonu Lillie, jej nazwiska ani adresu, pod który miał przesłać czek za rolę w filmie. Sterling zdołał jakoś wyjść

obronną ręką z ognia krytyki. Zebrał kilka niezłych recenzji i rozpoczął właśnie pracę nad nowym filmem, podczas gdy Lillie musiała siedzieć w domu z Frankie.

Naturalnie, dziennikarze kłębili się wokół córeczki Lillie, rejestrując jej pierwszy uśmiech, beknięcie i chichot. Wszyscy, oczywiście, uwielbiali historię o tym, jak dzieci Rostovów obiecały uczcić pamięć matki, nadając swoim pierworodnym córkom imiona Frances Rebecca. Frankie i Lillie wyglądały anielsko na okładkach „Life”, „Time” i „The Sunday Evening Post”. W końcu jednak prasa zajęła się innymi atrakcjami, a Lillie poczuła się odrzucona i popadła w depresję.

Reakcja Sterlinga Trávisa na narodziny Frankie była zupełnie odmienna. Od chwili gdy na nią spojrzął, niepodzielnie zawładnęła jego sercem. Bez pamięci zakochał się w córce. Nie tylko, czego się wszyscy spodziewali, nie odszedł od Lillie, ale gdy próbowała wyrzucić go na ulicę, pozostał przy nich. Frankie wprowadzała go w zachwyty. Nic nie sprawiało mu takiej przyjemności, jak przewracanie się z nią po dywanie, wydawanie głupich odgłosów i robienie śmiesznych min, na które odpowiadała cieniutkim, radosnym chichotem. Zabierał ją ze sobą do wytwórni, na zakupy, pograć w piłkę i do lodziarni. Nie odstępował jej na krok. Nie przejmował się tym, że ich więź doprowadza Lillie do furii. Kiedy był z córeczką, Lillie widziała, że zupełnie się nie liczy, co jeszcze bardziej pogłębiało jej poczucie izolacji i odrzucenia.

Przez cztery lata Sterling znosił jej gderanie i humory, aż w końcu miał wszystkiego dosyć. Odszedł. Frankie bardzo to przeżyła.

Dla Lillie oznaczało to odzyskanie popularności. Procesowała się z Travisem o rozwód, a Sterling procesował się z nią o opiekę nad Frankie. Wszystkie gazety

relacjonowały przebieg rozprawy. Lillie odegrała jedną ze swych najlepszych ról. Przedstawiony przez nią portret kochającej matki, która umarłaby z rozpacz, gdyby ktoś zabrał jedyną radość jej życia, był tak przekonujący, że nawet Travis w to uwierzył. Zrezygnował z walki o prawa rodzicielskie, wnosząc o prawo do odwiedzin.

I znowu Lillie była w centrum popularności, otoczona tłumem fotografów, którzy uwielbiali robić jej macierzyńskie zdjęcia. Nic dziwnego - Frankie i Lillie prezentowały się wspaniale. Frankie miała jasną cerę Rostovów i ich gęste, falujące włosy. Odziedziczyła nawet władcze spojrzenie swojej matki. Jedyną fizyczną cechą, którą otrzymała w spadku po ojcu, były wydatne, zmysłowe usta. Kamera nie mogła uchwycić tego, że posiadała również jego wrażliwość, nieprzeciętną inteligencję i talent aktorski.

Dzień, w którym prawo oddzieliło ją od ojca, był dniem rozpoczęcia jej kariery.

Przedstawiciel fabryki mydła będący świadkiem przebiegu rozprawy Travis - Rostov zaproponował Lillie, by razem z Frankie reklamowała jego wyroby. Lillie utyskiwała i kręciła nosem na niewygórowaną wartość kontraktu, aż w końcu, zanim producent zdążył się rozmyślić, bez mrugnięcia okiem podpisała umowę. Dzięki tym reklamom Frankie rozpoczęła pracę modelki. Na początku Lillie i Frankie stanowiły dwuosobowy zespół, demonstrując modę dla matek i córek oraz biorąc udział w reklamach. Ale kiedy Frankie (i Lillie) przybyło lat, w planach producentów zabrakło miejsca dla matki. Po kilku nieprzyjemnych zdarzeniach, Lillie, z nadspodziewanie dobrym samopoczuciem, zrezygnowała z roli gwiazdy i przejęła funkcję menedżera. Jednak Frankie w efekcie nowej kariery matki zatraciła gdzieś swoje dzieciństwo i stała się maszyną do robienia pieniędzy.

Jako mała dziewczynka lubiła uśmiechać się do kamery, bawić lalkami, baraszkować z psami i chodzić do wesołego miasteczka albo zoo. Później, zamiast jak inne dzieci siedzieć na lekcjach w szkole, z zachwytem prezentowała różne sukienki których część dostawała na własność. Uwielbiała wysłuchiwać, jak wszyscy zachwycali się jej ładną buzią. Jednak akceptującym ocenom towarzyszyła również krytyka.

Miała zaledwie pięć lat, kiedy matka zabrała ją do dużej agencji na próbne zdjęcia do reklamy płatków kukurydzianych. Zrobiła wszystko, o co ją poproszono. Uśmiechała się, kiedy kazano jej się uśmiechać, marszczyła brwi w udawanej złości i uwodzicielsko patrzyła w obiektyw, płakała i śmiała się na zawołanie. Jednak nie została przyjęta. Kiedy Frankie zapytała o powód, powiedziano jej, że mają już dziewczynkę, która robi to lepiej. Lepiej? Jak? W wieku pięciu lat nie potrafiła zrozumieć, że po prostu się do tego nie nadaje.

Lillie wcale nie ułatwiała jej życia, szczególnie że właśnie wkraczała w jeden ze swoich trudniejszych okresów. Każdą odmowę przyjmowała jak policzek, zupełnie tak, jakby Frankie celowo wszystko robiła źle, żeby ją tylko upokorzyć. Kiedy szły na umówione spotkania z reżyserami, Lillie z tupetem światowej damy od razu pchała się do gabinetu dyrektora obsady, miażdżyła wzrokiem czekających pod drzwiami i głośno obwieszczała swoje przybycie, nie bacząc na stojącą w kącie córkę. Jeśli sekretarka zawahała się choć przez chwilę, z miejsca robiła scenę. Dla świętego spokoju wprowadzano dziewczynkę na przesłuchanie kwalifikacyjne. Większość reżyserów bez cienia żalu odrzucała Frankie. Nie podobała im się natarczywość pani Rostov. Lillie nigdy nie zrozumiała, co było powodem tych niepowodzeń.

W wieku trzynastu lat Frankie miała 168 centymetrów wzrostu i uganiało się za nią wielu producentów. Fizycznie

osiągnęła już próg dojrzałości ze wszystkimi wzniesieniami i krągłościami, jakie zazwyczaj definiują pojęcia kobiecości. Psychicznie była nieopierzonym podlotkiem, który wolałby żuć gumę i zostać w domu, żeby oglądać „Gliniarza z Beverly Hills”, niż przymierzać futra i chodzić na premiery. Jednak prawie nikt nie zwracał uwagi na to, czego pragnęła i co naprawdę czuła. Otaczała ją magnetyczna aura i producenci reklam gotowi byli zapłacić olbrzymie pieniądze, by wykorzystać ten okres w jej życiu. Lillie bez wątpienia miała wiele wad, ale nie można było oskarżyć jej o lenistwo czy zaniedbywanie własnych interesów. Terminarz Frankie co do godziny wypełniała sesjami zdjęciowymi.

Frankie długo przekonywała się do pracy modelki. Bywały okresy, w których nawet lubiła to zajęcie, szczególnie gdy podrosła, ale praca zabierała jej mnóstwo czasu, który mogła spędzić z ojcem lub na spotkaniach z przyjaciółmi. Dopóki potrafiła radzić sobie z samotnością, chętnie wyrzekała się wielu rzeczy, by uszczęśliwić matkę i pozyskać jej miłość. W pewnym, nigdzie nie udokumentowanym momencie życia Frankie zdała sobie jednak sprawę, że jej wyrzeczenia nie miały najmniejszego sensu. Zrozumiała, i musiała pogodzić się z myślą, że bez względu na to, co robiła, jej matka nie potrafiła kochać nikogo oprócz siebie samej.

- Nareszcie przyszła!

- Panno Travis. Czy potwierdza pani pogłoski o pani związku z Rickiem?

- Jeszcze raz, Frankie. Fantastyczna dziewczyna!

- Proszę się tutaj przesunąć.

- A teraz wszyscy razem. Należy mi się słodki buziak.

Frankie uśmiechała się, dopóki nie rozbolała jej twarz. Opierając się na ramieniu Ricka Steele'a, ostatniego króla muzyki rockowej, machała ręką do fanów, którzy ustawili się po obu stronach schodów wiodących do Carnegie Hall.

Dziewczęta niewiele młodsze od niej wrzeszczały i piszczały, gdy z Rickiem wchodzili po schodach. Niektóre wymachiwały im notatnikami przed nosem, prosząc o autograf. Frankie nie odmawiała, ale Rickie miał tak dużo sygnetów na palcach, że nie mógł utrzymać długopisu.

Już od kilku miesięcy urządzali to przedstawienie. Agent Ricka poszedł porozmawiać z jej matką. Nie trzeba było długo czekać, żeby limuzyna jego klienta zaczęła podjeżdżać pod jej dom i żeby Frankie zaczęła się z nim pokazywać we wszystkich miejscach, do których ciągnęli reporterzy.

Mimo że dziennikarze z kolumn towarzyskich zamienili tę znajomość we współczesną wersję Romea i Julii, Frankie nie miała romansu z Rickiem, a ich związek trudno było nazwać przyjaźnią. Rick był wystarczająco uprzejmy i przystojny, jednak cały ten układ sprowadził Frankie do roli ładnej, bezmyślnej ozdoby.

Po pierwsze, Rick był homoseksualistą (jego fani chybaby umarli, gdyby się o tym dowiedzieli) i gdziekolwiek się pojawili, Rick rzucał zza jej pleców spojrzenia innym mężczyznom w sposób, który uważała za upokarzający. Poza tym Rick miał trochę ponad metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i stojąc obok niego czuła się niezręcznie „za duża”. On wcale się tym nie przejmował i Frankie wiedziała, że dla niej też nie powinno to mieć znaczenia. Jednak miało.

Matka i Jose powtarzali jej tysiące razy, że powinna być dumna ze swojego wzrostu. Jednak ta duma wymagała od niej pewności siebie, której nigdy nie miała w nadmiarze. Bez względu na to, jak bardzo się starała, w towarzystwie wszystkich, z wyjątkiem Josego i kilku najbliższych znajomych, czuła się bardzo niepewnie.

W Carnegie Hall odbywał się dzisiejszego wieczoru wielki koncert muzyki jazzowej Ivory'ego Hainesa i wielka sala koncertowa wypełniona była po brzegi. Wychudzone panienki

stały ramię w ramię z podejrzanyimi typami z przedmieścia. Mieszkańcy Harlemu i Motown siedzieli obok ludzi z Park Avenue i Gramercy Park. Niektórzy przybyli na koncert, ponieważ kochali jazz. Inni - z szacunku dla „człowieka o magicznych dłoniach”. Jednak wszyscy chcieli być zauważeni i wyłapani przez kamerę.

Jak zwykle z okazji tego rodzaju imprez, Lillie wypożyczyła dla Frankie sukienkę z „La Tessa”. Suknia z białej mory spływała wzdłuż jej ud i oplatała kolana kaskadami falban. Frankie założyła białe pończoszki, białe pantofelki i sięgające łokci rękawiczki. Lillie miała dobre wyczucie. Osoby z towarzystwa w większości ubrane były na czarno, wielbiciele rock and rolla od stóp do głów odziani byli w skóry ze ćwiekami, a większość mężczyzn założyła białe koszule i krawaty. Frankie wyglądała jak śnieżna kula w kopalni.

Upłynęło dziesięć minut, zanim zdołali przedrzeć się przez tłum zgromadzony przed wejściem. Po drodze udzielili trzech krótkich wywiadów dla niezależnych stacji i pozowali do paru dziesiątek zdjęć. Frankie uroczo się uśmiechała, kiedy Rick podawał reporterom daty i szczegóły związane z jego najbliższym tournée. W końcu portier odprowadził ich na miejsce. Wszyscy dookoła wyciągali szyje, żeby choć na chwilę rzucić okiem na tę przystojną parę. Frankie i Rick byli esencją młodości.

Lillie towarzyszył przystojny doktor Danton Rochelle, roztaczający wokół siebie aurę zamożności. Lillie w wieku trzydziestu pięciu lat była nadal przepiękną kobietą. Czarne włosy zaczesła do tyłu w elegancki kok, uwydatniając duże, czarne oczy i wciąż jeszcze nieskazitelną cerę. Była niższa od Frankie i bardziej ponętna. Podkreślał to obcisły, szary dżersej. Już na pierwszy rzut oka widoczne było rodzinne podobieństwo obu kobiet.

Pierwsza część koncertu niemalże poraziła wszystkich zebranych. Ivory Haines i jego orkiestra grali rewelacyjnie. Nawet z twarzy Lillie zniknął lodowaty chłód. Frankie nie była miłośniczką jazzu i śmiertelnie się nudziła, choć ze względu na matkę starała się udawać entuzjazm. Kiedy po opuszczeniu kurtyny zaczęła się przerwa, niemalże wybiegła z sali.

Znowu otoczyli ją fotoreporterzy. Rick, nie mogąc dosięgnąć jej ramienia, objął ją w talii i przytulał się do niej jak kocur, rzucając swój słynny sceniczny uśmiech w stronę kamery i obracając się na wszystkie strony tak, by obiektywy mogły uchwycić jego skórzany kombinezon. Frankie zmuszała się, by naśladować jego zachowanie, ale kiedy światła fleszy przestały błyskać, odetchnęła z ulgą. Ruszyła do toalety, kiedy Rick chwycił ją za ramię i pociągnął w stronę telewizyjnych kamer.

- Nie masz już dosyć? - zapytała.

- Jesteśmy tutaj dla publiczności, złotko, i mam zamiar to wykorzystać. Przeczesał włosy i potrząsnął głową, by ułożyły się naturalnie. Frankie czekała, aż odwróci się od szklanych drzwi, w których nieustannie kontrolował swój wygląd.

- Udzieliliśmy wywiadu już chyba wszystkim dziennikarzom i co najmniej raz robili nam zdjęcia.

- Wobec tego pora na następną rundę.

- Mam już dość - jęknęła zmęczona Frankie, pragnąc, by matka poświęcała więcej uwagi córce niż mężczyźnie, z którym przyszła. - I chciałabym, w końcu, iść do ubikacji.

- Dziecinko, dobrze ci płacą za wieszanie się na moim ramieniu, a ja chcę zdyskontować to, w co zainwestowałem, więc przestań jęczeć i rusz swój śliczny tyłeczek.

Znowu pociągnął ją za rękę. Tym razem zabolalo.

- Uważaj - syknęła Frankie, masując miejsce, w które ją uszczypnął.

- Jakieś nieporozumienie? - Lillie jakby wyrosła spod ziemi; szła w ich kierunku.

- Zawarliśmy kontrakt, Lillie, ale wygląda na to, że jej wysokość nie ma zamiaru dotrzymać warunków.

Lillie podeszła i rzuciła złowrogie spojrzenie spod przymrużonych powiek.

- Zrobiła już, co do niej należało. Jeśli twoje ego potrzebuje dalszych pieszczot, proponuję, żebyś udał się do męskiej toalety.

Rick odwrócił się na pięcie i natychmiast się wycofał.

- Dzięki, mamó. Lillie poklepała córkę po policzku.

- Wiem, że cię to zniszczy, ale właśnie zerwałaś z miłością twego życia - powiedziała z nutą czułości w głosie.

- Jakoś to przeżyję - odparła odpowiadając uśmiechem na uśmiech matki. Lillie odwróciła się, powracając do rozmowy z Rochelle'em, jak gdyby całe zajście w ogóle nie miało miejsca.

Po drodze do toalety Frankie zastanawiała się, czy mężczyzna rozmawiający z jej matką będzie tatusiem numer cztery. Lillie oddziaływała na niego niezwykle silnie ale Frankie fascynował fakt, że tym razem jej matka wydawała się bez pamięci zauroczona. Lillie potrafiła być okrutna i wprowadzić Frankie w zakłopotanie przed ludźmi. Jednak dzisiejszego wieczoru była czuła, macierzyńska i opiekuńcza. Frankie zastanawiała się, czy tej zmiany nastroju nie należy zawdzięczać doktorowi Rochele'owi. Biorąc pod uwagę, że Lillie zawsze podchodziła do mężczyzn z nieufnością, w towarzystwie Rochelle'a zachowywała się o wiele swobodniej niż zwykle. Może dlatego, że był starym przyjacielem cioci Tessy i wujka Berta? A może знаła go już wcześniej lub, po prostu, robiły na niej wrażenie kontynentalne manieri i uprzejmość, którym nie mogła się oprzeć. Frankie nie wykluczała, że Lillie może stwarzać pozory.

- Panna Travis? - Bardzo wysoki mężczyzna o uderzającej urodzie położył jej rękę na ramieniu. - Twoja matka powiedziała, że będę mógł zabrać ci parę minut.

- Kim pan jest? - zapytała Frankie, dziwiąc się, że oczy mogą być aż tak zielone.

- Zach Hamlin. Z czasopisma „Life”. - Wyciągnął z portfela wizytówkę i podał ją Frankie.

Oddała mu ją z powrotem, uśmiechając się i zdając sobie sprawę z tego, że nie miałyby dla niej najmniejszego znaczenia kim jest, nawet gdyby był kluczowym agentem KGB.

- Jestem pewien, że matka powiedziała ci o tym, iż „Life” chce zrobić z tobą następny reportaż? - zapytał.

Nie miała o tym zielonego pojęcia.

- Wpadliśmy na pomysł zrobienia wywiadu o twoim przyjęciu do Radcliffe, o tym, jak godzisz szkołę z pracą i urodę z intelektem. Coś w tym rodzaju. Jeśli się oczywiście zgodzisz.

Nie podobał jej się ten pomysł, ale wreszcie musiała podnieść wzrok, żeby spojrzeć w twarz mężczyźnie. Zach naprawdę był wysoki.

- Teraz jestem trochę zajęta - odparła widząc, że Rick Steele zmierza w ich kierunku. - Ale jeśli uda ci się mnie złapać jutro po szkole, poczęstuję cię kruchymi ciasteczkami z mlekiem.

- Świetnie. Zobaczymy się około trzeciej trzydzieści.

Odwróciła się z kokieterią najlepszej modelki roku, wspięła się po schodach w kierunku Ricka i jeszcze raz obejrzała się za siebie. Wysoki mężczyzna z mocno zarysowaną brodą i szafirowozielonymi oczami już poszedł.

15 maj, 1968

Szkic wywiadu z Frankie Travis

Apartament w zadziwiająco dobrym guście. Biorąc pod uwagę jej żydowskie pochodzenie, spodziewałem się czegoś w nowobogackim stylu. Hol wejściowy - podłoga z białego marmuru. Kinkiety z brązu. Antyczne, weneckie lustro. Salon - beż, kremowa biel, brzoskwinia. Wygodne fotele. Dzieła sztuki w dobrym tonie; mnóstwo okien. Jadalnia - krzesła w stylu królowej Anny. Szklany stolik, marmurowa podstawa, żyrandol od Lalique'a. Kilimy od Dhurriego. Eleganckie. Idealne miejsce do zdjęć.

Zach Hamlin zapisywał coś w notatniku, gdy Frankie wpadła zdyszana do pokoju, z trudem łapiąc oddech.

- Przepraszam za spóźnienie. Nie mogłam złapać taksówki. Autobus się spóźnił. Wiesz, jak to jest. Biegłam przez całą drogę, ale...

Zach wstał i zaczekał, aż opadła na jeden z klubowych foteli, stojących przed kominkiem. Twarz oblewał jej rumieniec, miała potargane włosy, ale Zach nie mógł oprzeć się wrażeniu, jakie wywarła na nim jej uroda. Przejrzał setki zdjęć Frankie i choć nigdy nie robił tego świadomie, coś w jej twarzy zawsze go niepokoiło. Widząc ją teraz wygodnie rozpostartą w fotelu, bez makijażu, z rozrzuconymi włosami, wiedział już, co go tak intrygowało. Na zdjęciach mistrzowie makijażu pozbawiali ją naturalnego uroku, pudrowali i pokrywali warstwą kremu jej młodość, a potem ukrywali jej niewinność pod gamą cieni i różu. Zupełnie jakby malowali grafit na ścianach Wielkiego Kanionu.

Kiedy już wygodnie się usadowiła, Zach usiadł naprzeciw niej.

- Nie zwracaj na mnie uwagi - powiedział. - Twoja służąca, Tildy, jest znakomitą gospodynią. Wypiłem już filiżankę mocha - javy i schrupałem rewelacyjne ciasteczka. Zupełnie jak domowe wypieki mojej matki. Oprowadziła mnie

też po mieszkaniu. Naprawdę czuję się tu prawie tak, jak u siebie w domu.

Frankie uśmiechnęła się, ale dostrzegł w jej oczach jakiś dziwny błysk.

- Pokazała ci całe mieszkanie? - zapytała chłodząc policzki zewnętrzną stroną dłoni.

- Jeśli nie zdążyłaś posłać łóżka, nie masz się czym przejmować. Zaprowadziła mnie tylko do frontowych pokoi.

Uspokoila się i podłozyla nogi pod siebie. Mimo że darzyła swoje lalki prawdziwą miłością, doświadczenie nauczyło ją, że nie każdy znajdował zrozumienie dla jej dziecinnej kolekcji.

- I co o nich myślisz?

- Nieźle, jeśli ktoś lubi przestronne apartamenty, wychodzące na Park Avenue i urządzone ze znakomitym smakiem.

- A tobie nie podobają się takie rzeczy?

- Jeśli o mnie chodzi, to mieszkam w małym, zatłoczonym mieszkanku, które wynajmuję za grosze. - Uśmiechnął się upijając łyk kawy.

Spodziewała się chociaż cienia sarkazmu lub protekcjonalizmu, ale nic takiego nie zabrzmiało w jego głosie. Ucieszyło ją to.

- Dzielisz z kimś to małe, zatłoczone mieszkanko? - zapytała i spodobał się jej sposób, w jaki jego grube, jasne włosy w kolorze karmelu skręcały się nad czołem.

- Jeśli już o tym wspomniałaś, to dotrzymują mi towarzystwa trzy stare karaluchy.

Zachichotała.

- A co z twoją rodziną?

- Zgodnie z najświeższymi informacjami - spojrział na zegarek - a rozmawiałem z matką przez telefon nie więcej niż dwadzieścia sześć minut temu, nadal mieszka z ojcem w Los

Angeles. - Nagle zatarł ręce, spróbował przybrać poważny wyraz twarzy i położył notes na kolanie. - To ja przeprowadzam wywiad, panno Travis. Jeśli dowie się pani o mnie więcej niż ja o pani, wyleją mnie z redakcji na bruk.

- Nie chciałabym, żeby się to tak skończyło - powiedziała, ciągle wesoło się uśmiechając.

Gabinet, w którym siedzieli, był ciemniejszy niż pozostałe pokoje, pomalowany na kolor butelkowej zieleni, z rzędami półek, z dwiema lawsonowskimi sofami i parą skórzanych foteli. Wszędzie stały zdjęcia Frankie, elegancko oprawione i ustawione w najbardziej korzystnych miejscach. Niektórych fotografie przedstawiały Frankie taką, jaka jest teraz, inne sięgały wstecz do lat jej wczesnego dzieciństwa i Zach ze zdziwieniem odnotował, że w pokoju nie było ani jednej fotografii Lillie. Urzędas w biurowcu przedstawił ją jako egoistyczną flandrę i Zach spodziewał się, że jej portrety będą zdobić każdy centymetr kwadratowy ściany.

- Jak się czujesz jako świeżo upieczona studentka Radcliffe? - zapytał tłumiąc swoje zainteresowanie stosunkami Frankie z matką. Przypomniawszy sobie historię pochodzenia dziewczyny i krążące wokół niej plotki.

- Bardzo się z tego cieszę - odpowiedziała. Sztuczny uśmiech. Mieszanina nerwów i znudzenia.

- Ale? - zapytał, patrząc, jak niespokojnie wierci się na sofie;

- Ale co?

- Frankie, to ciężka szkoła i albo coś przeoczyłem, albo jeszcze nie ochłonełaś po dniu ciężkiej pracy. Musisz mieć chyba siostrę bliźniaczkę, która przejmuje choć część twoich obowiązków, lub też widzę przed sobą masochistkę wbitą w dzinsy tylko dla zachowania pozorów.

Frankie spuściła wzrok i skubała palcami dolny brzeg swetra.

Długie palce. Ładne. Paznokcie poobgryzane do gołej skóry. Bolące, poszarpane.

- Tak naprawdę to nie chcesz iść do Radcliffe? - zapytał ze spokojem, ciągle przyglądając się jej dłoniom.

- Chyba nie. Po prostu nie chcę nikogo rozczarować. - Powiedziała to tak cicho, że musiał się pochylić, żeby usłyszeć, co mówi.

- Matki?

Podniosła wzrok, wodząc po nim czarnymi oczami, nie wiedząc, do jakiego stopnia może mu zaufać i czy w ogóle powinna to robić. Prasa już nieraz ją zraniła, daleka więc była od nieostrożnej szczerości.

- Matki - powiedziała. - I ojca. Moich fanów, prasy, nauczycieli, wszystkich.

- A siebie?

Większości dziennikarzy nie interesowały jej uczucia. On był pierwszym, który o to zapytał. Zasługiwał na odpowiedź.

- W Radcliffe wymagają skrupulatności i dobrych ocen. Moi fani chcą mnie widzieć wiecznie piękną i uśmiechniętą. Moja matka pragnie, żebym skoncentrowała się na karierze. Ojciec mówi - „najpierw szkoła, potem praca”.

- Nadal nie odpowiedziałas na moje pytanie - wtrącił Zach. - Jak się z tym czuje Frankie Travis?

Szeroko otworzyła oczy, a na jej ustach pojawił się uroczy uśmiech.

- Jak mebel przestawiany z kąta w kąt.

Uczciwa. Otwarta. Inteligentna. Urocza. Do roboty, kolego!

- Twój ojciec skończył Harvard? - spytał Zach, szybko przewracając kartkę w notatniku.

- To dzięki niemu dostałam się do Radcliffe - odpowiedziała obgryzając paznokcie.

- Często się z nim widzisz?

Zachmurzyła się i odwróciła na bok, kładąc brodę na oparciu sofy.

- Kiedyś często się spotykaliśmy, ale skończyło się, kiedy ponownie się ożenił. Ma drugą rodzinę, a ja jestem całkowicie pochłonięta swoją pracą.

- Nie widujecie się?

- Czasami. - Z powrotem odwróciła się do Zacha. - Bardzo za nim tęsknię. To dobry człowiek - dodała owładnięta chwilową słabością.

Smutna. Teraz jest smutną małą dziewczynką, która chce się zobaczyć ze swoim tatusiem. Nie nadaje się do prasy. Zbyt intymne, nie do publicznej konsumpcji.

- Chciałabyś zagrać z nim w filmie? Roześmiała się.

- To byłoby fantastyczne, ale trochę bym się bała. Jest świetny. Nie chciałabym się przed nim skompromitować.

- Dlaczego od razu miałabyś źle wypaść?

- Nie czytałeś recenzji z moich filmów?

Zmusiła się do śmiechu. Jej ręce znowu powędrowały do ust. Zapamiętała obgryzała paznokcie. Zach był pewien, że dostrzegł na nich krew.

- Zawsze możesz powiedzieć, że to chwilowa niedyspozycja. Starał się, by zabrzmiało to lekko i naturalnie. Uśmiechnęła się, ale tylko na moment.

- A co z dwoma eks - mężami twojej matki? - zapytał, zmieniając temat. - Utrzymujesz z nimi jakieś kontakty?

- Nie - odburknęła. Następne tabu. Zła? Przestraszona? Czy któryś z nich próbował ją wykorzystać?

Nietrudno zgadnąć dlaczego.

- Ile masz lat? Podniósł głowę znad notatnika. Zaskoczyła go. Próbował właśnie wyobrazić sobie, jak ktoś próbuje ją zgwałcić. Zawstydził się swoich myśli.

- Dwadzieścia trzy - odparł biorąc się w garść.

- Lubisz to, co robisz? - Znowu się odprężyła. Wyciągnęła rękę po mleko i ciasteczka, które Tildy zostawiła dla niej na stole.

Zach wygodnie się usadowił, rozbawiony tą zamianą ról, i zauważył z ulgą, że mięśnie wokół jej oczu nie były już tak napięte.

- Chyba tak - odpowiedział.

- Ale nie masz zamiaru robić tego do końca życia?

- Nie. Chciałbym zostać reporterem do specjalnych poruczeń.

- Brzmi ekscytująco.

- Przemawia do tkwiącego we mnie Dicka Tracy. A co z tobą? Do końca życia chcesz być modelką?

- Miliony dziewczyn oddałyby życie, żeby robić to co ja. Ale nie.

- A co chciałabyś robić?

Zarumieniła się. W tym momencie wydała mu się czarująca.

- Chciałabym grać. Tylko nie w takich szmirach, jakie załatwia mi mama. W takich filmach i sztukach, w których gra mój ojciec. Chcę być szanowana za to, co robię.

- Praca modelki nie daje ci takiej satysfakcji?

- Nie - zaprzeczyła zdecydowanie. - Modelka jest jak przedmiot. Rusz się tutaj. Przesuń się tam. Włóż tę sukienkę. Zdejmij futro. Okropne!

- Ale przecież jesteś w tym dobra.

- Chyba tak. Jeślibym nie była, nie płaciliby mi tyle.

Otarła usta z okruchów ciastek i spojrzała mu w twarz.

- Jesteś bardzo wysoki.

- Ty też - odpowiedział.

- Tobie jest z tym dobrze. Wysoki wzrost dodaje mężczyznom uroku. Dziewczyny takie jak ja wyglądają podejrzanie.

Teraz przyszła jego kolej na śmiech.

- Frankie - zaczął biorąc ją za rękę. - Narażam się, że posądzisz mnie o lubieżność, ale mogę cię zapewnić, że cokolwiek mówić o twoim wyglądzie, w żadnym razie nie wyglądasz podejrzanie.

Zarumieniła się, ale nie zabrała ręki z jego dłoni.

- Ile masz wzrostu? - zapytała.

- Metr dziewięćdziesiąt. Jestem za wysoki, żeby tańczyć limbo, i za niski na zawodowego koszykarza. - Nagle poczuł się zaniepokojony faktem, że czuje się z nią tak swobodnie. - A teraz ostatnie pytanie na dzisiaj. Jesteś gotowa?

Skinęła głową.

- Jak to jest naprawdę z tobą i Rickiem Steele'em?

- Nie opublikujesz?

- To zależy od ciebie.

- Reklama. Ni mniej, ni więcej.

Z jakiegoś niewiadomego powodu wyraźnie mu ulżyło.

- Nigdy w życiu nie byłam na prawdziwej randce - powiedziała ze szczerością, która zaskoczyła ich oboje.

- Tak się akurat składa, że znam świetny bar z hamburgerami. Może zrobiłabyś mi zaszczyt i dała się zaprosić na pierwszą, najuczciwszą randkę w twoim życiu.

- Nie robiłam żadnych aluzji - powiedziała.

- A ja niczego nie sugerowałam. - Podniósł się, włożył notes do wewnętrznej kieszeni i pomógł jej wstać z sofy. - Właśnie zaproponowałam ci spotkanie. Ponieważ nigdy nie byłaś w takiej sytuacji, patrz uważnie i rób, co ci mówię. Uśmiechnij się i powiedz: „Ależ tak, z wielką przyjemnością”. Nie musisz kłaniać mi się w pas i całować w pierścień.

- Ależ tak, z wielką przyjemnością - odpowiedziała czując się jak Kopciuszek.

- Wpadnę po ciebie o siódmej - powiedział zbierając się do wyjścia. - Teraz musisz powiedzieć: „Już nie mogę się doczekać”.

- Już nie mogę się doczekać - powtórzyła i myślała tak naprawdę.

- Jak mogłaś umówić się na spotkanie bez porozumienia się ze mną? - Lillie stała przy drzwiach szafy w dużej wniecie, która kiedyś była pokojem służącej.

- Przecież wychodzimy tylko na hamburgera - powiedziała Frankie, starając się zachować swobodny ton. Za żadne skarby nie chciała, żeby matka zorientowała się, jak ważny jest dla niej ten wieczór.

- Nic o nim nie wiesz! - krzyk wyrwał się z wnętrza Lillie, które Frankie nazywała Parkiem Narodowym pani Rostov. - Nie wiesz, skąd pochodzi i jaką ma pozycję. Poza tym jest dla ciebie za stary.

Frankie jęknęła i rzuciła się na łóżko matki.

- Ma dwadzieścia trzy lata i nie jest jeszcze antykiem - powiedziała zirytowanym tonem. - Poza tym Rick Steele jest od niego dwa lata starszy.

Lillie uniosła poły kremowego szlafroka z koronkowym kołnierzykiem.

- Rick Steele to tylko interes - powiedziała siadając za toaletką i rozprowadzając po twarzy krem nawilżający.

- Tak samo jak Zach Hamlin - rzekła Frankie i w głowie zaświtała jej pewna myśl. - Zrobiło się późno i nie dokończyliśmy wstępnego wywiadu, więc poprosił, żebyśmy porozmawiali przy kolacji.

Lillie zmierzyła córkę podejrziwym wzrokiem.

- Pamiętaj o jutrzejszych zdjęciach.

- Wcześniej wrócę!

- Mam nadzieję - odpowiedziała Lillie. - Banta robi się wściekły jak pies, gdy widzi twoje sińce pod oczami.

Frankie uśmiechnęła się w środku. Dlaczego Lillie nie mogła po prostu powiedzieć: idź i baw się dobrze? Właściwie zgodziła się na to wyjście, nie mówiąc otwarcie, że nie ma nic przeciwko temu. Rozpracowanie tej subtelności zajęło Frankie ładne parę lat.

- A ty z kim jesteś dzisiaj umówiona? - zapytała zmieniając temat.

- Z doktorem Rochelle'em. - Matka nachyliła się i energicznie zaczęła szczotkować włosy. Podniosła głowę do góry i kilka razy nią potrząsnęła.

- Jaka jest jego specjalność?

Lillie zebrała włosy w węzeł i zaczęła rozprowadzać po twarzy puder w kremie.

- Kiedyś był chirurgiem - powiedziała robiąc minę, która zdradzała, że dopiero za chwilę powie coś naprawdę ważnego.

- Potem, z innym lekarzem, wykupił fabrykę leków. W zeszłym roku jego wspólnik zmarł.

- Czy on, przypadkiem, nie jest znajomym cioci Tessy i wujka Berta? - Frankie знаła odpowiedź na to pytanie, ale nie było innego sposobu na przedłużenie dobrego nastroju Lillie, niż pozwolić jej mówić o sobie.

- Tak. Spotkali się w Paryżu w czasie wojny. Teraz była żona Dantona pracuje dla Tessy. - Nawet gruba powłoka maseczki nie zdołała ukryć szyderczego uśmiešku malującego się na twarzy matki.

Frankie myślała, że wybuchnie śmiechem. Claudine Rochelle trudno było nazwać robotnicą. Była fascynującą kobietą, która zarządzała całym działem produkcji „La Tessy” i robiła to z niezwykłą wprawą. Frankie bardzo intrygowała historia rozwodu Rochelle'ów. Z tego, co powiedziała jej Cissie, bardzo burzliwie się ze sobą rozstali, ale nikt nigdy nie mówił dlaczego.

Lillie wstała z wyściełanego krzesła, podeszła do szafy i wyjęła dwie sukienki. Jedną ze świetnej jakości brudnoróżowego dżerseju o klasycznym kroju. Druga czarną i wyzywającą.

- Która? - zapytała Lillie. Frankie udawała, że dokładnie im się przygląda. Lillie wysunęła czarną nieco bliżej.

- Ostatniego wieczoru miałaś na sobie szary dżersej - powiedziała, jakby jej zdanie opierało się na dokładnej analizie. - Myślę, że dzisiaj mogłabyś włożyć czarną.

Lillie uśmiechnęła się, odwiesiła różową suknię i położyła czarną na stylowej sofie. W zastygłej skorupie maseczki pojawiły się pęknięcia w kącikach ust, której robiły się coraz większe, gdy mówiła.

- Danton zabiera mnie na dancing do „El Morocco” - powiedziała romantycznym tonem.

- On mi się podoba, mamó.

Lillie odwróciła się i spojrzała na córkę.

- Cieszę się, że przypadł ci do gustu, kochanie. - Rzuciła Frankie tak szeroki uśmiech, na jaki tylko pozwoliła jej skorupa, i poszła pod prysznic.

To jest to, pomyślała Frankie, kiedy zamknęły się drzwi do łazienki. Mamy pannę młodą. Ilekroć mówi, że cieszy się, iż ktoś przypadł jej do gustu i zwraca się do niej „kochanie”, zawsze wychodzi z sugestią, żeby mówiła do niego „tato”.

Usłyszała szum wody w łazience i spojrzała na zegarek. Zach przyjdzie za niecałą godzinę. Powinna zacząć się przygotowywać, ale jak zwykle ociągała się, błądząc po pokoju Lillie. W pewien sposób odmalowywał on osobowość matki i Frankie miała nadzieję, że pomoże jej zrozumieć Lillie.

Podczas gdy reszta mieszkania miała w sobie coś z nowoczesnego luksusu, pokój matki z oazą antycznych mebli stwarzał ciepłą atmosferę domowego ogniska. Miał białe

ściany, z delikatnym, kwiecistym wzorem. Zasłony w podobne, lecz znacznie większe kwiaty zebrane były w dolnych partiach i pięknie udrapowane w kokardy. Pod nimi śnieżnobiałe firanki zasłaniały wysokie na pięć stóp okna, falując i opadając przy powiewach wiatru. Wezgiem łóżka miało duże, rzeźbione oparcie. Lillie przetrząsnęła całe miasto, żeby je kupić, i uważała je za drugi ze swych największych skarbów, dając pierwszeństwo jedynie kolorowemu, ręcznie tkanemu szalowi, który należał niegdyś do jej matki, a teraz pełnił funkcję narzutki.

Toaletka Lillie była nowa, w przeciwieństwie do starego biurka usłanego kolorowymi serwetkami i ramkami z rodzinnymi fotografiami. Frankie przyglądała im się teraz, szukając korzeni swojego pochodzenia. Na zdjęciu był dziadek Sam, przystojny i uroczy. Franyu zawsze nosiła przy sobie tę fotografię. Był też wujek Jacob w mundurze lotnika, stojący przy swoim samolocie, na sześć miesięcy przed zestrzeleniem i śmiercią, we Francji w roku 1944. Przepiękne, wspólne zdjęcie cioci Molly, wujka Jacoba, cioci Tessy i wujka Bena trzymającego na rękach maleńką Lillie. Drugie zdjęcie dziadka pokazywało Sama siedzącego na krześle w sklepie z biżuterią, z jubilerską lupą przy oku. W samym środku stała fotografia Franyu - pełnej wdzięku i gracji, trzymającej bukiet wiosennych kwiatów, ubranej w białą koronkową sukienkę i uśmiechającej się szczęśliwym uśmiechem młodej mężatki.

Frankie wzięła do ręki zdjęcie kobiety, po której odziedziczyła imię. Była zafascynowana Franyu Bekah Lublin Rostov. Mogła na okrągło słuchać historii o babci. Przed śmiercią dziadka często prosiła go, żeby opowiedział o ich spotkaniu w Warszawie, randkach w podziemnych tunelach i o tym, jak przechytrzyli Rosjan, opuszczając Polskę. Śmiała się z opowieści o tym, jak Franyu, w latach dwudziestych,

dostawała „zużytą biżuterię” od znudzonych artystów i sprzedawała ją z ogromnym zyskiem dziesięć lat później. Właśnie ta zapobiegliwość i umiejętność przewidywania uchroniła Rostovów przed głodową śmiercią w okresie Wielkiego Kryzysu i stworzyła prawdziwą legendę Franyu.

Dla Frankie nie było większej nobilitacji niż noszenie imienia babki. Kiedy dziadek zauważył podobieństwo Frankie do swojej żony, kiedy zobaczył w niej jej poetycką duszę, gdy mówił, jak Franyu cieszyłaby się z jej sukcesów w szkole i pracy, Frankie rozpierała prawdziwa duma. Akceptacja, aprobata i ciepłe słowo były dla niej niezmiernie ważne. Lillie nigdy nimi nie szafowała.

Czasami marzyła o nakręceniu filmu, poświęconego życiu babki i widziała się w jej roli. Sterling mógłby zagrać rolę ojca Franyu, odważnego chirurga, który nie chciał opuścić ojczyzny, gdyż nie miałby kto zająć się chorymi ludźmi. Lillie mogłaby zagrać jej matkę, utalentowaną pianistkę, która dawała schronienie biednym w swoim eleganckim dworku, aż w końcu ufundowała dla nich własny dom. Ale kto zagrałby jedyną miłość Franyu, dziarskiego i heroicznego Sinnocha Rostova?

- Przyszedł Zach Hamlin. - Tildy stanęła w drzwiach pokoju Lillie z rękami opartymi na pulchnych biodrach. - Powiedział, że jest z tobą umówiony.

- O Boże. Nie jestem gotowa! - Frankie spojrzała w lustro i prawie się rozplakała. Jej włosy wyschły i stanowiły teraz bezładną masę gęstych, czarnych loków.

- Mam go spławić czy powiedzieć, żeby się rozgościł?

- Niech poczeka jeszcze chwilę. Powiedz mu, że będę gotowa za pięć minut - powiedziała Frankie i pognęła do swojego pokoju.

Tildy roześmiała się.

- Jak on w to uwierzy, to mi kaktus wyrośnie na dłoni.

- Może powinienem pójść do twojej matki i powiedzieć: „Droga pani Rostov, jeśli nie pozwolisz swojej córce iść ze mną do kina, to nie odpowiadam za swoje zachowanie i nie daję gwarancji, że nie poniesie pani fizycznego uszczerbku”. I jak to brzmi?

Frankie zaśmiała się.

- Świetnie. Ale nie zadziała.

- Okey - odpowiedział obejmując ją ramieniem. - To może ty spróbujesz przekonać matkę, że jestem tybetańskim mnichem i wyjeżdżam za trzy dni w Himalaje, by spędzić tam na medytacjach następne dwadzieścia lat?

- Całkiem odpada.

Zach odchrząknął.

- Zapewne gdybym napomknął, że zabieram cię na kolację z dancinikiem do „El Marocco”, by uczcić moje osiemnaste urodziny, to zaczęłaby mnie darzyć większą sympatią - odparł, kiedy szli ramię w ramię po Park Avenue, skąpani w czerwcowym słońcu.

- Mnie też by się to spodobało.

- Serio? - Zach zatrzymał się i obrócił Frankie ku sobie. - No to tak zrobimy. Proszę jej wysokość o honor towarzyszenia księżniczce Travis w czasie wieczoru Terpsychory i Epikureusza.

- Jeśli powiesz to w ten sposób, będzie brzmiało wystarczająco snobistycznie, żeby się zgodziła - powiedziała zastanawiając się, dlaczego w towarzystwie Zacha nie przestaje się uśmiechać. - Ale przecież nie masz pieniędzy na taki wieczór.

- Skąd wiesz? - zapytał z wyrazem oburzenia i wziął się pod boki.

- Masz na utrzymaniu trzy karaluchy - powiedziała.

- To prawda, ale jeśli myślisz, że mam lekką rękę do wydawania pieniędzy, to od razu wiadomo, że nigdy nie

słyszałaś o Sheili Hamlin. Żaden z jej synów bezmyślnie nie wydawał pieniędzy. Widzę, że muszę cię uświadomić, iż tyle już zaoszczędziłem, że mógłbym nic nie robić do końca życia.

- Naprawdę?

- Jasne - odpowiedział. - Zakładając, że umrę w najbliższy piątek.

Frankie zachichotała i przysunęła się bliżej do mężczyzny, który wносił w jej życie tyle radości i humoru. Chociaż Tildy droczyła się z nią mówiąc, że zakochała się w Zachu, a Frankie uparcie temu zaprzeczała, twierdząc, że są tylko dobrymi przyjaciółmi, musiała przed sobą przyznać, że od czasu pierwszego spotkania wymyśliła mnóstwo pretekstów, małych kłamstewek i usprawiedliwień, żeby tylko się z nim spotkać. A to przypominało jej się coś, co chciałyby zamieścić w artykule i koniecznie musiała obgadać to przy mleku i ciasteczkach. To znów przechodziła właśnie obok i wstąpiła do bufetu prasowego na kanapkę albo miała poranne zdjęcia i pozwoliła odprowadzić się do domu. Czasem trafiał się jej wolny wieczór, kiedy Lillie nie było w domu, i dzwoniła, żeby dotrzymał jej towarzystwa. Zach nigdy nie mówił nie.

Frankie podobało się, że podczas tych spotkań rzadko mówili o niej. Rozmawiali o polityce Lyndona Johnsona w Wietnamie, o powodzeniu Yvesa Saint Laurenta, o ukrytych aluzjach w „Ode to Billy Joe” Bobba Gentry'ego i o tym, jak dobrze grali w tym roku Jankes. Zach opowiadał o swojej pracy, rodzicach, planach na przyszłość, a nawet o swoich marzeniach, a Frankie z uwagą słuchała.

W towarzystwie Zacha czuła się zupełnie inną osobą. Zach nie tylko wykazywał ciekawość dla świata, który ją otaczał, ale także interesował się jej sprawami. Czuła się przy nim bardzo swobodnie. Nie musiała robić makijażu i rzadko wkładała na siebie coś innego niż dzinsy i bawełniane

podkoszulek. W końcu mogła zwyczajnie posiedzieć i porozmawiać. Przestała nawet obgryzać paznokcie.

Zbliżali się do jej domu i Frankie spojrzała na zegarek. Lillie przeprowadzała negocjacje na temat udziału córki w reklamie napojów gazowanych i Frankie modliła się w duchu, żeby spotkanie się przeciągnęło. Miała już dosyć wymyślania usprawiedliwień tego, że Zach ciągle kręcił się wokół ich domu.

Kiedy winda zatrzymała się na dwudziestym piętrze, Zach się zawahał.

- Zdołałem bezpiecznie cię przeprowadzić przez korki na ulicach i tłumy agresywnych przechodniów - powiedział. - Udało mi się nacisnąć dobry guzik w windzie i utrzymać twoją torbę z kosmetykami przez dwadzieścia pięter. Ale chyba nie jestem gotowy na spotkanie z Lillie Lwie Serce.

Zachowi także wyczerpał się limit pretekstów i bez względu na to, jak bardzo lubił Frankie, czuł się trochę jak zakochany kundel. Już dawno powinien skończyć reportaż o Frankie, zacząć umawiać się z innymi kobietami i bardziej skoncentrować się na swojej pracy. Zamiast tego, jak szkolny wielbiciel, nosił za nią książki i co chwila musiał sobie uświadamiać, że mimo zmysłowego, fantastycznego ciała Frankie nadal jest siedemnastoletnią dziewczyną.

- Nie musisz się więcej ze mną widywać - cicho odezwała się Frankie smutnym głosem.

- O czym ty mówisz? - Drzwi windy zatrzasnęły się.

- Wiem, że jestem dla ciebie za młoda - powiedziała wbijając wzrok w podłogę. - Jesteś przyzwyczajony do dojrzałych kobiet, a nie do małych dziewczynek. Poza tym wiem, że nie rozumiesz mojej matki.

- Jedyna rozsądna rzecz, jaką powiedziałaś. - Zaśmiał się.
- Prawdopodobnie nigdy nie uda mi się zrozumieć Lillie Rostov, ale ciebie szalenie lubię, panno Francis Rebecca

Travis. Jesteś wprawdzie młoda, ale przecież nikomu z nas się nie śpieszy.

Roześmiał się szczerym, pogodnym śmiechem. Kiedy pochylił się i czule przybliżył ją do siebie, jego oczy utonęły w jej wzroku, jak przyciągnięte magiczną siłą. Wziął ją w ramiona i ich wargi zetknęły się. Miała miękkie usta. Jego oddech był ciepły. Zrobiła trzy filmy, w których całowała się setki razy, ale tego nie można było porównać. Poczowała drzenie w środku i gorąco na policzkach. Pocałunek trwał chwilę, ale roztoczył przed nią podniecający świat nowych doznań.

Nic dziwnego, że Frankie nie usłyszała trzasku drzwi w apartamencie matki.

Po trzech dniach Frankie stała na rogu Fifth Street i Avenue Americas, parząc w górę na biurowiec „Time & Life”. Bez chwili wahania weszła do holu, zniknęła w pierwszej dostępnej windzie i zatrzymała ją na piętrze Zacha. Dzisiaj to ona miała zaprosić go na obiad.

Machając paru osobom, które ją rozpoznały, Frankie przechodziła przez długie pomieszczenie, lawirując między rzędami biurków ze stukoczącymi maszynami do pisania. Zatrzymała się parę metrów przed jego biurkiem i poczuła, jak ogarnia ją przejmujący chłód. Biurko stało puste. Drewniane podpórki pod książki, własność Jeremiego, brata Zacha, zniknęły razem z jego książkami i słownikami. Na biurku nie było też małego, oprawionego w skórzane ramki zdjęcia rodziców Zacha. Zniknęła także ceramiczna podstawka pod pióro z hippisowskim znakiem pokoju, którą Frankie podarowała mu na urodziny. Ponownie przedarła się przez rzędy stolików i wbiegła do gabinetu szefa Zacha.

- Przepraszam, że pana niepokoję, panie Compton - powiedziała obdarzając go swoim reklamowym uśmiechem. - Szukam Zachara Hamlina.

- Proszę wejść, panno Travis. Miło znów panią widzieć.

Leonard Compton był przystojnym, szanowanym dziennikarzem o nieskazitelnej reputacji. Przy każdej innej okazji Frankie zauważyłaby jego urok i uprzejmość, ale teraz miała przed oczami tylko widok pustego biurka.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła niecierpliwie. - Czy pan Hamlin przeniósł się na inne piętro?

- Pan Hamlin już u nas nie pracuje - odpowiedział Leonard Compton, rozumiejąc w końcu, że nie jest to towarzyskie spotkanie. - Dzięki uprzejmości pani matki przeniesiono Zacha do nowego, bliźniaczego magazynu „Time”, gdzie awansował na etatowego reportera.

Uprzejmość matki. Przeniesiony. Awansował.

- Wczoraj wieczorem wysłaliśmy go do Kalifornii, żeby zrealizował reportaż ze spotkania przedwyborczego Bobba Kennedy'ego.

Ostatniego wieczoru. Gdzie była ostatniego wieczoru? Z Cheetah, tym nowym gwiazdorem muzyki rockowej.

Frankie odwróciła się na pięcie i bez pożegnania wyszła z gabinetu Comptona. Chłód, który przenikał jej skórę, zmienił się w paralizujące zimno. Lillie znów to zrobiła. Usunęła Zacha z życia Frankie. Na pewno będzie dzwonił i pisał listy, ale nigdy już nie będzie tak samo. Nigdy nie było tak samo.

Nie pragnęła nic więcej, tylko zamknąć się w swoim pokoju. Przedtem musiała jednak pójść w jedno miejsce.

Frankie weszła do swojego pokoju z pogrzebową powolnością. Zamknęła za sobą drzwi i przekręciła klucz w zamku. Potem sięgnęła po pudełko, które przyniosła, i położyła na środku pokoju. Usiadła obok na podłodze, odwinęła papier i delikatnie wyjęła zawartość. Była to szmaciana, piegowata lalka z długimi włosami z wełny i zielonymi, szklanymi oczami. Ubrana była w strój do koszykówki, a na jej twarzy malował się głupiutki uśmiech.

- Słuchajcie wszystkie. Przedstawiam wam Zacha. Chcę, żebyście przywitały go w naszym gronie. Jest teraz jednym z was.

Z wielką ceremonią przysuwała każdą lalkę do długaśnej szmacianki z napisem na koszulce.

- Vanessa, przedstawiam ci Zacha. Zach, to Vanessa. Była córką mojej guwernantki w Kalifornii. A to Patsy i Penny. Mieszkały obok. Powiedz dzień dobry Beth, Carol i Susie. Chodziły ze mną do przedszkola w Los Angeles.

Podchodziła do każdej lalki, przedstawiając jej Zacha. Każda była symbolem kogoś, kogo Frankie знаła i lubiła, kogoś, kto na zawsze zniknął z jej życia. Jej oczy napełniły się dużymi, smutnymi łzami mówiącymi o poznaniu i rozczarowaniu, o miłości i jej utracie. W końcu doszła do pięknej porcelanowej figurki ubranej w białą koronkę i ułożonej w mosiężnej kołysce. Z namaszczeniem wyjęła laleczkę.

- A to - powiedziała Frankie - Frances Rebecca Schwartz. Była moją kuzynką, ale zmarła, zanim się urodziłam.

Z powrotem włożyła figurkę do kołyski i podeszła do kanapy przy oknie. Ostrożnie odsunęła lalki robiąc miejsce pośrodku. Posadziła szmacianą lalkę w samym środku dla zaznaczenia, że Zach Hamlin był ostatnim z utraconych przyjaciół Frankie Travis - pięćdziesiątym pierwszym.

Przez dłuższą chwilę siedziała na dywanie naprzeciwko Zacha, patrząc w oczy lalki, lecz widząc wzrok mężczyzny. Kiedy ponownie się odezwała, jej głos był cichy i złowrogi.

- Jesteś ostatni - powiedziała do lalki. - Nigdy już nie pozwolę, żeby mi kogokolwiek zabrała! Nigdy więcej.

Przez osiem dni żar lał się z nieba. Temperatura dochodziła do trzydziestu stopni, a wilgotność powietrza osiągnęła siedemdziesiąt procent. Nawet jak na sierpień było niezwykle gorąco. Kwiaty więdły i zaczęły opadać liście. Ucichł świergot ptaków, a zazwyczaj ruchliwe owady nie zakłócały swoim brzęczeniem gorącej ciszy. Powietrze stało w miejscu nie ożywiane podmuchami najlżejszego choćby wiatru.

Wszystko wokół zamarło. Mimo dokuczliwego upału grupa kibiców skupiła się w pobliżu finalistek stanowego turnieju amaterek golfa. Od kilku dni zawodniczki z całego stanu walczyły o mistrzowski tytuł. Jedna po drugiej wykruszały się w eliminacjach. Na polu numer siedemnaście położonym w Alpejskim Klubie Golfowym zostały tylko dwie młode dziewczyny. Ich krótkie spódniczki lepiły się do nóg, a sportowe koszulki były mokre od potu. Becca Ross musiała jeszcze zdobyć dwa punkty, wrzucając piłkę w dwa dołki. Jeśliby teraz nie wcelowała, przegrałaby ten pojedynek.

Jej przeciwniczka, Sue Ann Hartly, grała bezbłędnie. Becca spisywała się nieźle, ale nie pokazała, na co ją stać. W kluczowych momentach pozwalała sobie na rozprężenie, a to drogo kosztowało. Była teraz w krytycznej sytuacji. Musiała odrobić jednym ruchem straty albo pogodzić się z porażką.

Właśnie w tym momencie jeden z sędziów zapytał, czy nie zechciałyby przerwać na parę minut. Finaliści grający na tym samym polu mieli kłopoty z trafieniem do celu. Kibice zebrani na galerii przerwali ciszę strzępkami rozmów. Kilku młodych ludzi oddaliło się na papierosa. Becca podeszła do Sue Ann.

- Ale upał! - powiedziała nawiązując rozmowę ze swoją konkurentką.

- Okropnie! Nie można wytrzymać! - Sue wachlowała pasową twarz mokrym ręcznikiem.

- Naprawdę mnie to dziwi - rzekła Becca. - Słyszałam, że lubisz gorące życie. - Miała spokojny głos, ale nie ulegało wątpliwości, że zabrzmiała w nim delikatna aluzja.

Sue przygotowała się do kontrataku. Chociaż grała już z Beccą kilka razy i nie miała powodów do narzekań, koleżanki ostrzegały ją przed tą filigranową blondynką o bardzo jasnej cerze.

Mówiły, że Becca ma w zapasie nie tylko komplet kijów do golfa, ale także cały stek złośliwości, nie mających nic wspólnego z uczciwym współzawodnictwem.

- Lubię, gdy jest powyżej dwudziestu paru stopni, ale zrobiłby mi dobrze lekki wiaterek.

- Zrobiłby ci tak dobrze jak Jimmy? - Becca spojrzała w stronę chłopaka Sue Ann, rozebranego do pasa, z dobrze rozwiniętymi mięśniami i uśmiechem odsłaniającym równe, zdrowe zęby. - Jeśli tak ci dogadza, jak się uśmiecha, to trafił ci się niezły facet! - dodała Becca z porozumiewawczym uśmiechem.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparła Sue.

- O tobie i o Jimmym, tym przystojniaczku z twojego klubu. Pokój trzydzieści pięć w hotelu „Castaway” przy autostradzie numer dwadzieścia dwa. O niczym innym. - Becca wykonała gest wyglądający na przyjazne klepnięcie po ramieniu z życzeniami powodzenia i wolno przeszła na drugą stronę pola, podając po drodze dłonie kibicom. Kiedy dotarła do końca, sędziowie turnieju dali sygnał do gry.

Sue Ann nie zdążyła tym razem przećwiczyć swojego zwyczajowego zamachu i ani na chwilę nie odstawiła kija, by dać odpocząć ramionom. Tak naprawdę to nawet nie widziała

położonego tuż przed nią dołka. Po prostu zamachnęła się i piłka powędrowała na lewo od niewielkiego wzniesienia, ponad ścieżką i uderzyła w wystające skupisko kamieni. Mimo że Becca dobrze nie znała pola w Alpine, wiedziała, że Sue znalazła się teraz w niezwykle trudnej sytuacji. Ze stoickim spokojem wzięła w ręce kij, przyblokowała piłkę z lewej strony i umieściła ją w środku obszaru między ścieżką i strumykiem, w połowie drogi do celu.

Kibice nagrodzili jej rzut oklaskami. Becca doceniła ten aplauz, dotykając ręką do daszka czapki i promieniejąc uśmiechem. Kiedy schodziła z pola rzutów, wytarła twarz i szyję ręcznikiem i rozejrzała się w tłumie kibiców, szukając wzrokiem rodziców. Nigdy nie przychodzili na turnieje. Eleganckie pantofle jej matki od Charlesa Jourdana nie nadawały się na piesze wędrówki, a napięty rozkład zajęć ojca nie pozwalał nawet na chwilę relaksu. Łudziła się, że z tak ważnej okazji, jaką był jej występ na mistrzostwach, choć raz zrobią wyjątek. Znowu się przeliczyła i w środku odezwała się skrupulatnie skrywana nuta złości i rozczarowania.

Zgodnie z jej przypuszczeniem, Sue nie mogła wykonać następnego rzutu. Musiała przejść na linię karną i wziąć pusty zamach. Becca przesądnie upuściła piłkę zza ramienia, wybrała kij, naprężyła się do rzutu i wykonała wspaniały strzał prosto w trawę, cztery stopy przed obszarem celu.

Zbliżając się do swojej piłki, Becca czuła na plecach piekącą złość Ann. Uśmiechnęła się do siebie z satysfakcją. Jeśli Ann sądziła, że może zabić ją wzrokiem, fatalnie się pomyliła. Wywarło to wręcz przeciwny skutek. Udało jej się wykluczyć Ann z gry i otworzyć sobie drogę do zwycięstwa.

Pomocnik Becki podał jej kij. Zrobiła kilka próbnych zamachów i głęboko wciągnęła powietrze, wprowadzając się w stan wzmożonej koncentracji. Uderzyła w piłkę, która poszybowała w powietrzu i zatrzymała się parę centymetrów

za flagą. Nagle ponownie potoczyła się w stronę dołka i zatrzymała się piętnaście centymetrów od linii krzewów. Sue Ann musiała ustąpić. Becca była podbudowana. Uzyskiwała przewagę. Teraz musiała wrzucić piłkę w osiemnasty dołek. Znowu Sue Ann przyszła jej z pomocą. Straciła następny rzut. Szanse dwóch młodych kobiet walczących na śmierć i życie były teraz wyrównane.

Kiedy podchodziły do pierwszego dołka, Becca zobaczyła, jak do Ann podszedł ojciec i otoczył córkę ramieniem. Becca była zupełnie wyczerpana upałem i fizycznym wysiłkiem. Do tego doszła jeszcze frustracja i więcej niż odrobina zazdrości. Boże! Jak bardzo chciała, żeby tutaj był Ben! Ojciec powiedział, że turniej amatorów jest dla niego bardzo ważny, ale widocznie nie na tyle, żeby przyjechać i codziennie kibicować córce, tak jak to zrobił pan Hartly.

- A czego się spodziewałaś - mamrotała do siebie pod nosem. - Twój ojciec jest właścicielem jednej z największych agencji reklamowych. Kieruje setkami ludzi, którzy dla niego pracują i ryzykuje milionami dolarów. Harry Hartly jest nauczycielem w podstawówce i nie ma nic innego do roboty!

W drodze do pola rzutów Becca, pewnie chcąc podnieść się na duchu, usprawiedliwiała nieobecność ojca i starała się znaleźć jakieś wady u ojca Ann. Co z tego, że można było na nim polegać jak na Zawiszy, kiedy najprawdopodobniej był nudny jak flaki z olejem i nigdy nie słyszał o Ralphie Laurenzie. Co z tego, że Harry zawoził córkę na jej wszystkie turnieje? Jego siedmioletni chevrolet to zwyczajna kupa złomu. Benjamin Rostov był przystojny, uroczy i osiągał sukcesy w życiu. A jeżeli nawet bywał czasem niezrównoważony? Trudno. Potrafił być tak samo czarujący jak irytujący. W jednej minucie był kochającym, schlebającym ojcem, który uważał, że jego córka nie mogłaby zrobić nic złego, za moment, bez żadnego ostrzeżenia, stawał

się obcy i zimny jak głaz i był całkowicie przekonany, że wszystko, co robi Becca, jest nie tak. Było w tym coś z nie kończącej się wróżby: „kocha - nie kocha”, ale Becca nie zamieniłaby Bena na stu Harrych Hartly.

Badając tor następnego ruchu, Becca zmrużyła oczy. Po prawej stronie ciągnęła się linia drzew. Z lewej - precyzji następnego ruchu zagrażał nierówny teren. Ścieżka była szeroka, ale niebezpiecznie nachylona w dół. Z rozmachem uderzyła piłkę, kierując ją wzdłuż linii drzew, w dół wzniesienia, do lewego brzegu centralnej części ścieżki. Znakomita pozycja.

Sue Anne skierowała swoją piłkę lekko na prawo. Nie znalazła się co prawda w opałach, ale miała utrudniony następny rzut, gdyż piłka zatrzymała się w pozycji równoległej do drzew.

Becca usłyszała przyspieszone bicie swojego serca. Jej drugi strzał był wspaniały. Piłka zsunęła się ze wzniesienia w sam środek trawy, ustawiając się w znakomitym położeniu do ostatniego zwycięskiego pchnięcia.

Sue zaczęła nadrabiać straty. Piłka minęła linię drzew. Miała właśnie oddać trzeci strzał, kiedy rozproszył ją hałas. Zobaczyła, jak Becca nachyliła się, szepnęła coś do ucha młodemu mężczyźnie, skinęła głową do Sue Ann, później w kierunku Jimmy'ego, a na końcu do ojca Sue. Becca i jej pomocnik wybuchnęli śmiechem. Sue chybiła.

Becca nie spiesząc się podeszła do swojej piłki, zmierzyła ją wzrokiem, analizując możliwości strzału i określając tor piłki. Cała jej energia skupiła się na małym okręgu ciasno zwiniętego drutu wokół dołka.

- Ósme uderzenie.

Pomocnik Becki wręczył jej kij i oboje wpatrywali się w piłkę, sondując i starając się określić tor toczenia.

- Musisz celować z prawej strony - powiedział - uważaj, tutaj jest ślisko! Becca pokiwała głową i dwa razy wytarła ręce o trawę. Jej pomocnik wycofał się.

Uderzyła. Piłka pomknęła wzdłuż alejki i wpadła prosto do dołka.

Wyrzuciła czapkę do góry, upuściła kij i wydała z siebie okrzyk triumfu. W wieku osiemnastu lat Becca Ross była nową mistrzynią stanu w amatorskiej grze w golfa. Uplasowała się w czołówce, zdecydowanie pokonała mistrzynię ubiegłego roku i faworytkę tegorocznego turnieju. Wokół Becki zebrał się tłum, gratulując jej zwycięstwa, zachwycając się jej ostatnim uderzeniem, podziwiając ją za umiejętność gry w krytycznej sytuacji i wytrwałość w walce. Sue Ann poczekała, aż entuzjazm nieco przygaśnie, i powoli podeszła do Becki, żeby przepisowo uścisnąć jej dłoń.

- Oszukiwałaś - syknęła ściskając do bólu palce Becki.

- Słucham? - Becca nadal się uśmiechała, jednak wyrwała dłoń z uścisku i cofnęła się o krok.

- Ty dziwko! Chciałaś mnie psychicznie zniszczyć!

- Co ty wygadujesz? Psychicznie zniszczyć? - Spokój i opanowanie Becki doprowadziły Ann do szału. - Znalazłaś to w przepisach? Ciekawa jestem gdzie. Pod hasłem „zagrożenie stwarzane przez człowieka”? A może „klęski żywiołowe”?

- To zwykłe oszukaństwo.

- Jeśli tak uważasz, to odwołaj się do sędziów.

- Dobrze wiesz, że nie mogę tego zrobić - ciągnęła Sue Ann

- No to zejź mi z drogi, siostrzyczko. Mam właśnie zamiar odebrać puchar, a na podium nie ma miejsca dla nas obu.

- Jesteś obrzydliwa - wycodziła Sue Ann niskim, złowrogim głosem.

- Ja jestem obrzydliwa? Po tym wszystkim, co robiłaś? Moja droga, masz moralność podwórzowego kota - odparowała szyderczo Becca. - A twój ojciec wygląda na takiego porządnego człowieka. Gdyby tylko się o tym dowiedział...

Sue spojrzała na nią tak, jakby za chwilę chciała ją udusić, ale zamiast tego po prostu się wycofała. Becca ją pobiła. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko mieć nadzieję, że pewnego dnia Becca dostanie to, na co zasługuje.

Becca widziała jej bezradną wściekłość, ale nic sobie z tego nie robiła. Kiedy pozowała do zdjęć i wręczano jej srebrny puchar Amatorskiego Związku Sportsmenek, uśmiechnęła się do siebie pod nosem.

Ktokolwiek powiedział, że wygrana nie jest wszystkim, był albo pechowcem, albo skończonym głupcem.

Becca Ross nie była ani jednym, ani drugim.

* * *

Zdarza się, że w niektórych rodzinach występują genetycznie zakodowane cechy charakteru, które tak wyraźnie się zaznaczają, że można je prześledzić przez pokolenia. W rodzinie Rostovów instynkt samozachowawczy i wola zwycięstwa były tak samo znamienne, jak delikatna biała cera i długie arystokratyczne palce.

Franyu Rostov niewątpliwie była kobietą o nieposkromionym duchu, ale dla niej sukces polegał na pokonywaniu trudności losu, a nie usuwaniu ich sobie spod nóg. Wygrała z życiem, kiedy będąc w piątym miesiącu ciąży szczęśliwie uciekła z Warszawy i przedostała się do Paryża, gdzie bez komplikacji urodziła małą Molly. Odniosła zwycięstwo, gdy po uciążliwej podróży przez ocean, walcząc ze skorbutem i widmem gruźlicy, cała rodzina dotarła szczęśliwie na Ellis Island.

To, że żadne z pięciorga dzieci, którym dała życie, nigdy nie padło ofiarą szkarlatyny lub zapalenia płuc, również dawało jej powód do dumy. Do końca swoich dni w małżeństwie z Sinnochem nigdy nie poniżyli się do żebractwa ani korzystania z dobrodziejstw dobroczynności. To także uważała za swoje osiągnięcie.

Benjamin, syn Franyu, odziedziczył wprawdzie jej siłę pokonywania trudności i umiejętność manipulacji okolicznościami w celu zakończenia swoich działań sukcesem, jednak zasadniczo różnił się od matki. Impulsem jego poczynań był skrajny egoizm. Unikał wprawdzie zadawania bólu innym, ale przede wszystkim martwił się o siebie. Pozostali schodzili na dalszy plan. Niekiedy, jak w przypadku Tessy i jej męża Berta, których namówił do zainwestowania oszczędności całego życia w jego agencję reklamową, udało mu się doprowadzić do końca przedsięwzięcie z korzyścią dla wszystkich. Jednak zmieniając nazwisko na Ross, myślał wyłącznie o sobie i gdy powiedział wówczas ojcu, że indyk na Madison Avenue smakował mu . bardziej niż pastrami z ryżem, niewiele się zastanawiał nad tym, że rani uczucia najbliższych.

Ben nie był złym człowiekiem i trudno byłoby go odsądzać od czci i wiary, jednak wiedziony swoim egoizmem zrobił w życiu coś, czego dotąd gorzko żałował.

Becca miała ten sam silny instynkt samozachowawczy, ale w przeciwieństwie do ojca i babki nigdy nie dręczył jej żal, wyrzuty sumienia, chęć naprawienia szkody, którą wyrządziła, czy inne emocjonalne rozterki. Nigdy nie oglądała się za siebie i rzadko zastanawiała się nad tym, że inni mogą cierpieć z jej powodu.

Już jakiś czas temu nauczyła się usprawiedliwiać swoje zachowanie cierpieniami, których sama doświadczyła, a Sue Ann nieraz jej dopiekła do żywego. Nigdy nie zaproponowała

Becca, by zjadła z nią lunch. Często zdarzało się, że gdy Becca przechodziła obok Sue otoczonej grupką koleżanek, wszystkie rozmowy momentalnie się urywały. W dodatku Ann pokonała Beccę w kilku ważnych meczach. Kiedy Becca wracała po mistrzostwach do domu z trofeum leżącym przy boku, czuła się jak prawdziwa zwyciężczyni. Wspaniale grała, dobrze zapłaciła swojemu pomocnikowi, a co się tyczy Sue Ann, uważała, że absolutnie zasługuje na tę porażkę.

Z braku innych argumentów uciszających jej sumienie i tak znalazłaby usprawiedliwienie dla swojego postępowania. Uważała, że życie zrobiło z niej ofiarę. Była jedynie pionkiem na szachownicy czyjś kłamstwa i uważała, że ma prawo to sobie wynagrodzić wszelkimi dostępnymi środkami. Becca zawsze wymagała od innych, by zrozumieli jej położenie, tolerowali jej zachowanie i nagradzali ją miłością i wsparciem, na które w swoim mniemaniu uczciwie zasługiwała. Jeśli ktoś oceniał ją jako zimną i wyrachowaną i nie aprobował tego, co robiła, nie ponosiła za to winy. Oni po prostu nie znali całej prawdy.

Owego sobotniego, kwietniowego poranka, osiem lat temu, w życiu Becki zaszło coś nieodwracalnego. Matka Becki, Sylvia, wyszła wcześniej z domu, żeby wziąć udział w przygotowaniach do akcji dobroczynnej. Ben poszedł grać w golfa, a Becca smacznie pochrapywała, pragnąc przespać chłód wiosennego poranka. Obudziła się po dwunastej, narzuciła szlafroczek, wśliznęła się w ranne pantofle i zeszła na dół po szklankę soku pomarańczowego. W drodze do kuchni mijala bibliotekę. Drzwi były lekko uchylone. Kiedy zerknęła do środka, zobaczyła ojca stojącego przy kominku i czytającego jakiś list. Chciała go przywitać, ale coś ją powstrzymało. Może wyraz jego twarzy... Wyglądał na załamane. Cichutko, by nie zwrócić na siebie uwagi,

podeszła bliżej i nadal bacznie obserwowwała ojca przez szparę między zawiasami drzwi.

Bena najwyraźniej zaniepokoiła treść listu. Była to tylko jedna kartka, ale przeczytał ją kilka razy. Becca zobaczyła, jak pocierał oczy, a potem wytarł dłonie o spodnie. Gest ten wprowadził ją w prawdziwe zakłopotanie. Nigdy nie widziała, żeby ojciec płakał. Odwróciła wzrok. Kiedy ponownie spojrzała przez szparę, na jego twarzy malowała się wściekłość. Z furją zgniótł list i cisnął go na podłogę. Becca przeraziła się.

Ojciec długimi, energicznymi krokami zaczął przemierzać pokój. Becca nadal stała za drzwiami, nie zdradzając swojej obecności. Parę razy musiała stłumić ziewnięcie i bezgłośnie wytrzeć chusteczką nos, ale nie odchodziła. Nagle, niczym po podjęciu ostatecznej decyzji, ojciec ruszył do telefonu. Wykręcił numer do informacji i poprosił o telefon do Phoenix w Arizonie.

- Poproszę z Kate Elliot... Kate? Nie poznałem cię. Mówi Ben. Dostałem twój list.... Oczywiście, że jestem wściekły. A czego się spodziewałaś?... To nie jest w porządku. Jasne, że mi zależy. Często o tobie myślałem po wyjeździe z Berlina... Nie masz prawa tego robić... Co jej powiedziałaś?... Dobrze. Gdyby się dowiedziała, mielibyśmy masę kłopotów... Kate, wiem, że musisz to bardzo przeżywać. Nigdy... Kate?... Kate?

Powoli odwiesił słuchawkę. Becca nigdy nie widziała go tak zdenerwowanego. Przez chwilę wydawało jej się, że ojciec znów zacznie płakać. Kim była Kate? Co takiego zrobiła? Gdyby się dowiedziała, mielibyśmy masę kłopotów. Kim ona była?

Ben podniósł z ziemi zmięty list, wygładził go i z powrotem schował do koperty. Potem wsadził go do tylnej kieszeni spodni i ruszył w kierunku drzwi. Becca wstrzymała oddech. Co będzie, jeśli ją tutaj zobaczy? Cała się trzęsła. Na

szczęście ojciec wyszedł drugimi drzwiami. Za chwilę usłyszała, jak opada pokrywka od kosza na śmieci. Kiedy wrócił do biblioteki, już tam na niego czekała. Podbiegła, mając nadzieję, że weźmie ją na ręce i obróci się z nią wokoło, co przy wróciłoby jej poczucie bezpieczeństwa. Jednak ojciec nadal nerwowo przemierzał pokój.

- Tatusiu, pooglądamy razem telewizję? Źle się dzisiaj czuję - powiedziała wisząc mu na ramieniu.

Uwolnił się z jej uścisku.

- Pójdę się na chwilę zdrzemnąć, Becco. Nie przeszkadzaj mi. To było to. Ten dystans. Ten chłód. Wrogi, niczym nie uzasadniony ton głosu.

Becca często zastanawiała się, co było powodem takiego zachowania ojca. Zazwyczaj obwiniąca siebie. Jednak to nie ona była powodem wisielczego nastroju ojca. To wszystko było winą tej Kate. Przeszył ją dreszcz.

Wieczorem, tego samego dnia, jak tylko usłyszała odjeżdżający samochód rodziców, wyśliznęła się z łóżka i uważając, by nie przyłapała jej gosposia, poszła do kuchni. Zabrała kopertę do pokoju, zamknęła drzwi na klucz i położyła list na łóżku. Przez chwilę po prostu się weń wpatrywała. Wewnętrzny głos podpowiadał jej, żeby go nie otwierać, ale ciekawość wzięła górę.

Marzec, 1963 Drogi Benie!

Pomimo wszystkich naszych starań, Jinx dowiedziała się prawdy. Kiedy przeglądała jakieś stare zdjęcia, znalazła swoje świadectwo urodzenia i akt adopcji przyznający prawa ojcowskie Hankowi. Nie muszę Ci chyba mówić, jak źle to zniosła. Ma dopiero piętnaście lat i jest bardzo wrażliwym dzieckiem. Czujemy się winni, że przez tyle lat oszukiwaliśmy ją. Powiedzieliśmy jej, że nie żyjesz, nie tylko dlatego, żeby Cię kryć.

Prawda o tym, że ojciec nie umarł, tylko ją porzucił, byłaby dla niej nie do zniesienia. Dla Ciebie z pewnością też!

Kate

Po przeczytaniu tego krótkiego listu Becca dostała pierwszej migreny. Czowała, że za chwilę jej mózg eksploduje. Walenie w czaszce było nie do wytrzymania. Była zbyt młoda, by w pełni zdać sobie sprawę z konsekwencji tego listu, ale rozumiała jego treść. Jej tata był ojcem jakiejś innej dziewczynki i pewnie tamta musiała zrobić coś strasznego, skoro ją porzucił. Nigdy już się z nią nie widział ani z nią nie rozmawiał. Ale przecież nie przestał o niej myśleć.

W podświadomości Becca powiązała dziwną obcość ojca z miłością do innego dziecka. Widocznie kiedy nie miał dla niej czasu, myślał o tamtej dziewczynce. Nieprzenikniony i nieobecny wyraz jego oczu świadczył o tęsknocie za tamtym dzieckiem i wtedy właśnie najmniejsze przewinienia Becki jawiły mu się jako najgorsze wykroczenia.

Becca miała tylko dziesięć lat, ale przez cały czas żyła na skraju emocjonalnej przepaści, starając się za wszelką cenę zadowolić swojego ojca, a jednocześnie zrozumieć, dlaczego to, co przychodziło tak łatwo innym dzieciom, dla niej było murem nie do przeskoczenia. Zawsze czuła, że walczy o jego uczucie, ale nigdy nie wiedziała, z kim walczy. Teraz знаła już całą prawdę.

Było już po piątej, kiedy samochód Becki wtoczył się do garażu. Chwyciła swój sprzęt i puchar i wbiegła do domu. Tak jak przypuszczała, rodzice czekali na nią w bibliotece.

- Ta - dam! - Podniosła wysoko swoje trofeum i zaczęła tańczyć.

Ben i Sylvia zaczekali, aż Becca da upust swojej spontanicznej radości, po czym rzucili się jej na szyję.

- Zobaczmy, co tutaj mamy - powiedział Ben, biorąc z rąk Becki lśniący srebrny puchar i uważnie go oglądając.

Przejechał palcem po wygrawerowanych nazwiskach poprzednich mistrzyń, dochodząc do miejsca, gdzie zostało wyryte nazwisko córki. - Pięknie, kochanie. Dobra robota!

Złożył pocałunek na jej policzku, a Becca poczuła się, jakby przypięto jej order do piersi. Duma ojca była dla niej wszystkim, a teraz na jego twarzy malowało się uczucie bezgranicznego zadowolenia.

- Jak ci się grało? - Ben wziął ją za rękę i posadził obok siebie na kanapie. Sylvia wytarła czubek palców o rękaw, zmazując z nich ślady srebra, i usiadła naprzeciw Bena i Becki w skórzanym klubowym fotelu.

- Zwycięstwo o mało co nie wymknęło mi się z rąk - jej głos przerodził się w szept, jakim zawsze mówiła w domu. - Trudno mi było się skoncentrować, a Sue Ann jak zwykle grała po mistrzowsku. Ale w końcu zgubił ją siedemnasty strzał. Wrzuciła piłkę w skałki.

- Miałaś szczęście - powiedział Ben.

- Tak.

Ben cicho gwizdnął z aprobatą. Sylvia nie miała pojęcia o grze w golfa i słowa Becki nie wywarły na niej pożądanego wrażenia, ale Ben był ogromnie zadowolony i Becca promieniała. Sylvii więcej nie trzeba było do szczęścia.

- Nie mogę wyrazić słowami, jak bardzo jestem z ciebie dumny - powiedział Ben. - Hartly jest świetna i nie przypuszczałem, że tak doskonale dasz sobie radę. Ta Hartly ma lwi instynkt walki! - Ojcowskim gestem poklepał córkę po kolanie.

- Jeśli mówimy o tej samej osobie, to zdaje mi się, że ta dziewczyna ma krzepę pociągowego konia - z przekąsem westchnęła Sylvia. - A poza tym, co nas obchodzą jej instynkty! - Zawsze dziwiło Sylvię, że ta niewysoka, filigranowa, wręcz krucha Becca rywalizowała z amazonkami takimi jak Sue Ann, i jeszcze do tego udawało jej się z nimi

wygrywać. - Myślę, że taki sukces należy uczcić przyjęciem! - powiedziała.

- A ja myślę, że wszystko, co robi Becca, powinno się czcić przyjęciem - przekomarzał się Ben.

- To prawda, ale dziś jest ku temu szczególna okazja. Co byś powiedział, kochanie, na mały, elegancki bankiet w klubie?

- Kiedy i na ile osób?

- W następną sobotę, dla wszystkich członków klubu. Ben zaśmiał się.

- To rzeczywiście mały i elegancki bankiet - zażartował - ale podoba mi się ten pomysł, więc czemu by nie!

Rodzice wdali się w szczegóły imprezy, a Becca znów zaczęło łomotać w głowie. Dlaczego właśnie teraz - zadawała sobie pytanie, masując palcami skronie. Dlaczego teraz, kiedy Ben był taki kochający i szczęśliwy? Dlaczego teraz, kiedy była w centrum zainteresowania?

- Fantastyczny pomysł! - powiedziała wolno podnosząc się z miejsca. - Ale będę musiała was opuścić, żeby się położyć. Rozsadza mi głowę.

Sylvia natychmiast znalazła się obok córki.

- Weź tabletki - powiedziała odprowadzając Beccę do schodów. - Prześpij się, ale nie za długo. O siódmej trzydzieści przychodzą na obiad Hillmanowie.

- Kto? - Becca nie mogła już wytrzymać z bólu, a matka mówiła jej o jakichś gościach i obiedzie.

- Hillmanowie, kochanie. Mówiłam ci. Są klientami taty.

- Powiedz im, że źle się czuję - poprosiła Becca, zastanawiając się, dlaczego matka sama nie wpadła na ten pomysł.

- Nie mogę, kochanie. Przychodzą ze swoim synem. Już dobrze. Idź na górę i bądź dobrą dziewczynką. Nie chcesz

chyba rozczarować ojca? - zapytała Sylvia tonem skrzywdzonego łabędzia.

Za każdym razem, kiedy Sylvia przyjmowała ten ton, Becca zastanawiała się, czy matka była świadoma przeszłości Bena, czy też jej neurotyczność stanowi objaw lekkiej paranoi. Pewnie wszystkiego po trochu, pomyślała.

- W porządku, mamó. Nie wpadaj w panikę. Będę gotowa na czas. Sylvia pocałowała córkę w policzek.

- Chcę, żebyś ładnie dziś wyglądała, kochanie. Z tego, co słyszałam, ich syn jest bardzo przystojny.

Następną godzinę Becca spędziła w swoim własnym piekle. Głowa pulsowała jej jak nabrzmiała żyła, która ma za chwilę rozerwać się na strzępy. Ból nie do wytrzymania rozsadał jej czaszkę, tak że miała ochotę wyrwać głowę z szyi. Cała była złana potem, więc wkrótce prześcieradło też stało się mokre i lepkie.

Oddychaj... wdech... wydech...

Boże, jak jej się uda przetrwać ten wieczór? Lekarstwo działało wolniej niż zwykle, była wyczerpana całym tygodniem turnieju i miała ochotę tylko na sen.

Oddychaj... wdech... wydech...

Poza tym te kolacje były taką męczącą rutyną. Niczym więcej tylko zręcznie zaaranżowanymi spotkaniami, dzięki którym, jak niezachwianie wierzyła Sylvia, Becca spotka mężczyznę swojego życia i zakochają się w sobie od pierwszego wejrzenia nad dobrze upieczonym sufletem. Przez dom Rossów przewinał się już pułk kandydatów na męża. Każdy z nich posiadał odpowiednie kwalifikacje do zagrania roli księcia w bajce wymyślonej przez Sylvie, w której piękna królewna zostaje porwana przez uroczonego księcia i żyją długo i szczęśliwie w zamku z pięcioma sypialniami i trzema łazienkami. Jak dotąd, ku rozczarowaniu Sylvii, nie było petard, kościelnych dzwonów i udało jej się doprowadzić do

zaledwie kilku randek. Widocznie jej obraz królewicza z bajki wyraźnie odbiegał od oczekiwań Becki.

Właściwie nikogo nie powinno to dziwić. Becca bardzo różniła się od swojej matki. Sylvią należała do osób rozbijającą naiwnych. Beckę cechowała nieufność i wszędzie węszyła zagrożenia. Pani Ross wykazywała brak pewności siebie i chorobliwą nadwrażliwość. Becca była rozpuszczona, sceptyczna i nie rozumiała skłonności matki do romantycznych uniesień. Sylvia znalazła już swojego rycerza i jeśli nawet miał szczeliny w zbroi, zdawała się ich nie dostrzegać. Becca zawsze miała oczy szeroko otwarte, w przeciwieństwie do Sylvii, która odwracała wzrok od nieprzyjemnych scen. Jednak nie były sobie zupełnie obce.

Jak daleko Becca sięgała pamięcią, Sylvia starała się w niej zakorzenić znaczenie pozycji społecznej. Już od dzieciństwa uczyła ją, czego wymaga się od osoby z towarzystwa. Według Sylvii nie było nic złego w agresywnym zachowaniu na polu golfowym, zwłaszcza gdy miało to być uwieńczone sukcesem, ale w klubie obowiązywała najwyższa kultura i uprzejmość. Nie widziała nic zdrożnego w przekonaniu, że jest się najlepszym, lecz w towarzystwie należało zachować rygory skromności. Akceptowała walkę o zaszczyty i konkurencję między kobietami w zdobywaniu mężczyzn, ale tylko wtedy, gdy nie doprowadzała do uwłaczających godności porażek,

Z wielką skrupulatnością Sylvia wpajała córce te cechy, mając nadzieję, że w ten sposób ułatwi jej nawiązywanie kontaktów i zapewni jej popularność. Becca nie miała oporów przy zawieraniu znajomości, lecz trudno było mówić o jej towarzyskich sukcesach. Pamiętała o urodzinach znajomych, kupowała drogie prezenty, robiła odpowiednie gesty i stosowne uwagi. Była ładna, inteligentna i utalentowana, ale dla większości rówieśników zbyt sztywna i zbyt zapatrzona w

siebie, by lubili spędzać z nią wolny czas. Uwielbiała krytykować innych, ale nie mogła znieść żartów na swój temat. Nie potrafiła się pogodzić nawet z najmniejszą porażką. Cierpiała, gdy ktoś nie zaprosił jej na przyjęcie. Drętwiała na widok pary stłoczonej w kącie i patrzącej w jej kierunku i obrażała się, gdy ktoś nie odpowiedział na jej telefon. Ten brak poczucia bezpieczeństwa u Becki w jednej chwili potrafił przeradzać się w skomplikowane mechanizmy obronne, poczynając od szczerych łez, a kończąc na prawdziwie balzakowskich planach zemsty.

Kiedy się nad tym zastanawiała, dochodziła do wniosku, że chciałaby mieć przyjaciół i większe powodzenie. Jednak szczerze wierzyła, że prędzej czy później większość ludzi zdradziłaby ją lub odrzuciła. Dlatego ona pierwsza zadawała cios, czekając tylko na pretekst..

Oddychaj... wdech... wydech... wydech...

W końcu lekarstwo zaczęło działać i plamy wirujące przed oczami zniknęły. Ostrożnie wstała z łóżka, trzymając się za skronie. Poczekała, aż odzyska równowagę, i poszła w stronę łazienki. Przechodząc obok lustra przy toalecie, ułożyła wargi w szeroki uśmiech.

- Masz ładnie wyglądać - powiedziała do swojej zmęczonej twarzy, przedrzeźniając ton matki. - Bez względu na to, jak się nazywał jest z pewnością bardzo przystojny, bardzo bogaty i łatwo dostępny. Poza tym - ciągnęła dalej, odkręcając prysznic - jeśli w czymkolwiek przypomina ostatnich dwunastu amantów, będzie z pewnością bardzo, ale to bardzo nudny!

Sylvia składała sobie w myślach gratulacje. Jonathan Hillman spełnia wszystkie oczekiwania. Nazwisko Hillmanów było znane w całym kraju. Ich garnki i patelnie doskonale się sprzedawały i choć nie były to może paryskie perfumy, rodzina Hillmanów świetnie prosperowała. Max, ojciec

Jonathana, był prezydentem miejscowego klubu, honorowym gościem na wielu dobroczynnych kolacjach, na których bywała także Sylvia, i jednym z najlepszych klientów Bena.

Sam Jonathan był tak przystojny, że niemalże piękny. Wysoki i smukły, z szafirowymi oczami i kruczoczarnymi włosami. Nawet Sylvia uznała, że wystarczyło na niego spojrzeć, by natychmiast zapomnieć o wszystkich garnkach i patelniach. Oczywiście Becca nie mogła nie przyznać jej racji. Przez cały wieczór nie spuszczała z niego wzroku.

Sylvia zauważyła, że Jonathan w pełni odwzajemniał zainteresowanie Becki, i nie dziwiła się temu. Jej córka cała tonała w bieli, a świeża cera dziewczyny była tylko o ton jaśniejsza od luźnej bawełnianej sukienki spływającej z filigranowego ciała, skromnie sięgającej do połowy łydki. Gładkie pończoszki i eleganckie pantofelki były także w białym kolorze. Jasna karnacja jej skóry doskonale harmonizowała z całością, ożywiona jedynie delikatnym różem szminki i pięknymi, długimi blond włosami.

Jak dotąd, pomijając ukradkowe, pełne zainteresowania spojrzenia młodych, Sylvia nie oceniała przyjęcia zbyt entuzjastycznie. Przystawki były wyśmienite, ale danie główne, składające się z walijskiej kury w sosie, puree ziemniaczanego i szparagów po polsku - wprawdzie smaczne - okazało się niezbyt wygodne w konsumpcji. Obawiała się, że jeżeli Ben nie skończy opowieści o rodzinie Rostovów, bita śmietana na torcie brzoskwiniowym, który wzbudził zachwyt gości, za chwilę się zwarzy.

- Taka duża rodzina musi być doprawdy przeurocza. - Ruth Hillman wypowiedziała to zdanie dokładnie cztery razy, a teraz dokonywała tego odkrycia po raz piąty.

- Jest fantastyczna - odparł entuzjastycznie Ben. - Wszyscy poszli swoimi drogami, ale nadal utrzymujemy kontakty i jesteśmy ze sobą bardzo blisko.

- Ile was jest? - Ruth starała się wykazać największe zainteresowanie, a Ben przyjął to tak, jakby wynaleziono lekarstwo na raka, który go zżerał od lat.

- Było nas pięcioro, ale mój starszy brat Jacob poległ w czasie wojny. Najstarsza z rodzeństwa - Molly - jest żoną Herba. Mają troje dzieci. Potem Tessa i jej mąż Bert. Mają syna Andrew i córkę Cissie, która wyszła za mąż za świetnie zapowiadającego się prawnika, Noaha Golda. W końcu - dodał wreszcie z rozpierającą dumą - jest moja najmłodsza siostra, była gwiazda filmowa, Lillie Rostov, matka niezwykle popularnej modelki, Frankie Travis.

- Frankie Travis jest twoją siostrzenicą? - Ben trafił w czuły punkt Ruth. Becce zdawało się, że ujrzała błysk zainteresowania w oczach Jonathana, lecz kiedy znów się do niej uśmiechnął i mrugnął okiem, poczuła się znacznie lepiej.

- Nie mamy się czym chwalić - skomentowała Sylvia, a w jej głosie słychać było więcej niż dezaprobatę.

- Moja żona uważa, że jeśli postawi się dziecko przed obiektywem kamery, to tak jakby wysłało się je do Sodomy i Gomory.

- Mówisz tak, jakbym wszystko potępiała - Sylvii wyraźnie nie spodobał się ten komentarz. - Po prostu uważam wykorzystywanie dziecka za nieuczciwe. W końcu nasza córka jest wystarczająco ładna, żeby robić to samo. Mając tal wpływowego ojca, nie byłoby jej trudno się wybić. Sądzę jednak, że dziecko powinno wychowywać się w domu - powiedziała Sylvia, szukając aprobaty u matki Jonathana.

Ruth Hillman była tak zaaferowana, że nie usłyszała ani słowa z jej wypowiedzi

- Czy pańscy rodzice jeszcze żyją? - wypytywała Bena.

Ta kobieta wyprowadzała Sylvie z równowagi. Z cichej myszki przemieniła się w królową balu.

- Matka zmarła, gdy miałem dwanaście lat - odpowiedział Ben. - Becca nosi jej imię.

- Jakie to rozczulające! Czy Becca jest podobna do pańskiej matki?

Ben spojrzał na córkę, szukając podobieństwa, powiązań, a może nawet przywołując dawne wspomnienia.

- Ma jej jasną cerę i filigranową figurę. Poza tym zewnętrznie przypomina raczej rodzinę Sylvi. Jednak charakter odziedziczyła po babce. Moja matka była osobą niezwykle aktywną i nie było dla niej rzeczy niemożliwych. Jeśli na czymś naprawdę jej zależało, nie istniały żadne przeszkody. Becca jest taka sama.

- Dziś po południu wygrała stanowe mistrzostwa amatorów w golfie - przechwalała się Sylvia.

Jonathan wzniosł kieliszek wina w toaście i z podziwem uniósł brwi. Becca zarumieniła się.

- A jaki był pański ojciec? - Ruth Hillman ogarnęła prawdziwa obsesja.

- Ojciec zmarł kilka lat temu.

- Byliście ze sobą blisko?

- Istniały pewne różnice w poglądach, jak to między ojcem i synem. Becca zauważyła, że Jonathan i Max przez cały wieczór nawet na siebie nie spojrzeli.

Sylvia nie mogła już dłużej tego znieść. Zerknęła na Bena, a potem szybko zmierzyła wzrokiem Ruth. W oczach kobiety widać było fascynację, która doprowadzała Sylvię do szału, i bez względu na przebieg spotkania postanowiła zmienić temat.

- Pani rodzina nie jest chyba zbyt liczna? - zapytała z wymuszonym wdziękiem gospodyni.

- Becca jest waszym jedynym dzieckiem - odparował Max, wybawiając żonę z zakłopotania.

- Tak. - Sylvia odwróciła głowę do siedzącego na honorowym miejscu gościa. - Wkrótce jedzie do Smith, do szkoły, i będzie nam jej bardzo brakowało.

Max roześmiał się.

- Nie możemy tego powiedzieć o Jonathanie. Niestety za często wyrzucają go ze szkoły, żebyśmy zdążyli za nim zatešknić.

- To dlaczego po prostu nie dasz łapówki, nie zapłacisz za mój dyplom i nie pozbędziesz się tego problemu! - Jonathan najwyraźniej nie liczył się ze słowami.

- Za pieniądze, które zapłaciłem, żebyś mógł chodzić do tych pięciu szkół, dawno mógłbym kupić swój własny college!

- Twarz Maxa poczerwieniała z wściekłości.

- Mógłbyś to zrobić, a wtedy sam miałbyś przyjemność w wyrzucaniu mnie ze szkoły! - Jonathan poderwał się z krzesła, szurając butami o podłogę. - Becco, może byśmy się trochę przeszli. W tym pokoju panuje zbyt duszna atmosfera.

Nie czekając na odpowiedź, obszedł stół, wziął Beccę pod rękę i wyprowadził ją na zewnątrz. Max sapał z wściekłości. Ruth zamarła jak sople lodu. Ben niezręcznie się uśmiechał, a Sylvia oceniła to spotkanie na mniej niż przeciętne.

Niestety miłość nie jest uczuciem prostym, lecz gmatwaniną sprzecznych emocji i nie zawsze uświadomionych potrzeb, które tworzą sieć otaczającą ludzi zwabionych w jej pułapkę. Na ogół, zwłaszcza w początkowej fazie, towarzyszy jej fizyczne oddziaływanie jednej osoby na drugą. Później miłość rozwija się i przyjmuje pełniejszą formę. Jej przyszły kształt zależy od dwojga ludzi. Jacy naprawdę są, nie będąc razem. Kim się stają, kiedy przebywają ze sobą. Niekiedy siłą przyciągającą jak magnes jest namiętność. Czasami pieniądze. Nierzadko poczucie komplementarności i odnajdywanie w drugiej osobie cech i zachowań pożądaných u samego siebie. Zdarza się jednak, że

ludzi przyciągają przeciwieństwa ich natury i prawdopodobnie właśnie fascynacja różnicami sprawiła, że Becca Ross i Jonathan Hillman wywarli na sobie aż takie wrażenie.

Becca była wiecznie niezadowolona z siebie i miała trudności ze znalezieniem sobie miejsca w środowisku, którego ramy ściśle określiła jej matka. Jonathan, nie mający żadnych kompleksów i nigdy nie przejawiający skrepowania, uważał, że dzięki fortunie zgromadzonej przez trzy pokolenia miał prawo czuć się jak książę i nie musiał zaprzętać sobie głowy plebejskimi zasadami i ograniczeniami. Porównywanie go do jakiegokolwiek innej osoby wydawało mu się po prostu śmieszne. Becca nie piła alkoholu, nie paliła papierosów i nie przeklinała. Jonathan z wielką lubością oddawał się wszystkim tym trzem czynnościom. Na sprawy seksu Becca miała zapatrywania, które stawiały królową Wiktorię w rzędzie lubieżnych nierządnic. Credo życiowe Jonathana brzmiało: jeśli znajdujesz w tym przyjemność, używaj sobie do woli. Jonathan był wygadany, zbuntowany i ciekawy tych przejawów życia, które stanowiły dla Becki zakazany owoc. Jednak na swój sposób młodego Hillmana cechowała większa uczciwość niż pannę Ross. Bez względu na konsekwencje swoich słów, zawsze mówił to, co myślał. Becca mówiła jedynie to, co uważała za stosowne.

- Jak mogłeś odezwać się w ten sposób do ojca? - zapytała nie mogąc się jeszcze otrząsnąć z szoku.

- To proste. - Jonathan przeprowadził ją przez ulicę i wychodząc z sąsiedztwa, poszedł w kierunku pobliskiego parku. - Jak nie przestanie robić ze mnie pośmiewiska, ja nie przestanę go denerwować.

- A co się stanie, jeśli pewnego dnia doprowadzisz go do takiej furii, że wyrzuci cię z domu?

Zaśmiał się.

- Nie bądź śmieszna. To nigdy się nie zdarzy. Jestem jedynym Hillmanem. Mogą mnie jeszcze wyrzucić z sześćdziesięciu szkół, a ja i tak zostanę właścicielem fabryki i odziedziczę wszystkie jego pieniądze. Dlatego ten cały cyrk z dyplomem i kończeniem studiów jest głupią hipokryzją.

Siedzieli na jednej z drewnianych ławek stojących rzędem wzdłuż alejki dla rowerów. Powietrze było gęste i lepkie; skóra Becki wilgotniała od potu, a sukienka kleiła jej się do ciała. Jonathan wyciągnął się na ławce i zapalił papierosa. Dym wypełnił nozdrza Becki i wykrzywiła się z obrzydzeniem. Nie znosiła dymu, Zazwyczaj delikatnie kasłała albo odchrząkiwała, jakby miała astmę, żeby zmusić palacza do zgaszenia papierosa. Dzisiaj nic takiego nie zrobiła. Chociaż poznali się zaledwie kilka godzin temu, miała całkowitą pewność, że Jonathanem nie da się komenderować.

- Chciałbyś przejąć interes ojca? Siedziała na ławce jak pensjonarka, trzymając ręce złożone na kolanach.

Jonathan rozparł się nonszalancko z głową odchyloną na oparcie ławki i nogami wysuniętymi daleko przed siebie. Przymknął oczy i był całkowicie pochłonięty puszczeniem perfekcyjnych kółek z dymu.

- I tak, i nie - odpowiedział wydymając dolną wargę. - Nie ulega wątpliwości, że jest to fantastyczna kopalnia pieniędzy, ale jeśli o mnie chodzi, to wolałbym rzeźbić.

- Rzeźbić? - Becce wydawało się, że nie dosłyszała. Jonathan roześmiał się.

- Wiem, że to nie pasuje do scenariusza moich rodziców, ale kocham to robić, Co więcej, sporo ludzi, którzy mają inne zapatrywania niż mój ojciec, uważa, że jestem w tym niezły.

- A co rzeźbisz?

- Ludzi. Zwierzęta. Przeróżne rzeczy - powiedział, wzruszając ramionami. - Cokolwiek przyjdzie mi do głowy, kiedy wezmę w rękę bryłkę gliny albo kawałek drewna.

- Powiedziałeś rodzicom, że chcesz poświęcić się tej pracy? Jonathan znowu zatrząsł się od śmiechu.

- Chyba żartujesz. Mój ojciec natychmiast dostałby zawału. Poza tym uwielbiam wydawać pieniądze.

- Co wobec tego zamierzasz zrobić?

- To, czego ode mnie oczekują. Przejmę interes ojca. W końcu on też nie będzie żył wiecznie. - W dramatycznym geście rozpostarł ręce. - Do tego czasu będę garncarzem w ciągu dnia i rzeźbiarzem w nocy.

Szeroko uśmiechnął się do dziewczyny, a Becca poczuła, jakby rzucił na nią urok. Był bardzo pewny siebie i ta pewność otaczała go jak pociągający zapach jego wody kolońskiej. Becca nie mogła zaprzeczyć, że bardzo jej się podobał. W jego dużych, otoczonych gęstymi rzęsami oczach od czasu do czasu pojawiała się chłopcęca iskierka, której trudno było się oprzeć. Miał na sobie drogie i modne ubranie w stylu niezobowiązującej elegancji, posiadał towarzyską ogładę, słowem, spełniał wszystkie wymagania Sylvii stawiane księciu z bajki. Gdyby jednak zobaczyła, jaki bywa prowokujący i jak lekceważąco potrafi się zachowywać, padłaby trupem na miejscu. Sam ten fakt spowodował, że wydawał się Becce najbardziej pociągającym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała.

- Hej, a co z twoim zwycięstwem w mistrzostwach? - odezwał się Jonathan, gasząc papierosa i zwracając głowę w jej kierunku.

Becca spuściła wzrok, pochyliła głowę i oblała się rumieńcem.

- To były mistrzostwa amatorów - powiedziała konspiracyjnym szeptem zapowiadającym nadejście burzy.

- Śmieszne, ale nie wyglądasz na amatorkę - zażartował czekając na uśmiech, który ani przez chwilę nie zagościł na jej twarzy. Nagle usiadł porządnie na ławce i chwycił ją za

ramiona. - Dziwne, nie masz nałokietników. - Zmarszczył brwi. Z powagą schylił się, podniósł jej nogę i uważnie zaczął przyglądać się podeszwowi jej butów. - I żadnych lekkoatletycznych kolców. - Potem naciskał mięśnie jej ramienia. - Nie widzę tu ani śladu mięśnia trójgłowego. - Odsunął się i położył dłonie na kolanach. - W porządku. Mnie możesz zdradzić, gdzie to jest.

- Ale o co ci chodzi?

- O przebieralnię!

Becce zaczęło się wszystko przewracać w środku. Najwyraźniej się z nią droczył i okropnie ją to denerwowało. Nigdy nie wiedziała, czy ktoś celowo się z niej nie naśmiewa.

- Jaką przebieralnię? - badała grunt.

- Tę, do której wchodzisz, zdejmujesz to pensjonarskie ubranko i zakładasz tygrysi kombinezon Superkobiety.

Wiele by dała za jakąś błyskotliwą odpowiedź, ale celne riposty nigdy nie były jej najmocniejszą stroną. Zamiast tego znowu spuściła oczy, używając wypróbowanego sposobu wyjścia z niezręcznej sytuacji. Kiedy poczuła dotyk jego dłoni na ramieniu, wzdrygnęła się.

- Przepraszam - powiedział Jonathan. - Naprawdę nie chciałem cię obrazić. Po prostu jesteś taka ładna i taka drobna, że nie wyglądasz na sportśmentkę. Chciałem powiedzieć ci komplement. Poważnie. Nie gniewaj się na mnie, proszę.

Poczuła na szyi jego ciepły oddech i dotyk ręki na plecach. Przeraziła ją ta bliskość i w pierwszej chwili prawie wpadła w panikę. W końcu instynktownie odsunęła się jak oparzona. Jonathan przypisał jej reakcję innym motywom.

- Co mam zrobić, żebyś przestała się obrażać? - odezwał się prawie błagalnym tonem.

- Jestem przewrażliwiona na tym punkcie. Uczestniczę w turniejach tylko dlatego, by moi rodzice mieli satysfakcję i takie pochwały wprawiają mnie w zakłopotanie.

- Czemu? Przecież to fantastyczne!

- Współzawodnictwo nie leży w mojej naturze - powiedziała. - Zetknięcie z rywalką oko w oko i walka na śmierć i życie wpędzają mnie w chorobę.

- Jeśli potrafisz wygrywać, choć w zasadzie tak bardzo ci na tym nie zależy, to jesteś naprawdę kimś, panno Ross. - Głos Jonathana wyrażał szczery podziw. - Ja jestem koniem zupełnie innej maści. Gram tylko wtedy, kiedy jestem pewien zwycięstwa. Dlatego nie nauczę się przegrywać z godnością.

Po raz pierwszy tego wieczoru pękła gruba skorupa Becki i dziewczyna naturalnie się roześmiała. Jonathan padł na ziemię i przez moment leżał nieruchomo jak głaz. Po chwili otworzył oczy i złapał się za serce.

- Dzięki ci, Panie, za jej uśmiech. Teraz mogę już umierać w spokoju.

- Jesteś niemożliwy! - powiedziała ciesząc się wbrew samej sobie. Jonathan zachowywał się jak dziecko i dla Becki, która przez większość życia udawała osobę bardzo dorosłą, była to odświeżająca odmiana.

Bez słowa zaprowadził ją na plac zabaw i posadził na huśtawce. Była zbyt zaintrygowana, żeby się temu sprzeciwić. Podszedł do niej z tyłu i rozbijał krzeselko. Huśtawka lekko wznosiła się i opadała. Pchnął mocniej, tak że wiatr rozplatał Becce włosy i podwiał sukienkę. Unosiła się w powietrzu i przez moment czuła się swobodna, beztroska i lekka jak ptak. Jej śmiech rozbrzmiewał w ciszy parku, a kiedy Jonathan zatrzymał huśtawkę, wziął ją w ramiona i pocałował, zapomniała o tym, że powinna była się opierać.

- Słuchaj - powiedziała robiąc krok do tyłu i starając się przerwać niezręczne milczenie. - W przyszłym tygodniu moi rodzice urządzają przyjęcie w klubie. Chciałabym, żebyś przyszedł. Oczywiście, jeśli będziesz miał ochotę.

W chwili gdy te słowa wypłynęły z jej ust, zaczęła się zastanawiać. A co będzie, jeśli jej odmówi? Poczowała się jak skończona idiotka. Najpierw pozwoliła się pocałować, a teraz jeszcze zaprosiła go na przyjęcie. Na pewno pomyślał, że mu się narzuca.

- W charakterze twojego chłopaka?

Becce zaczęło pulsować w głowie. Było gorzej, niż przypuszczała. Pewnie pomyślał, że nie może liczyć na towarzystwo żadnego innego mężczyzny. Czuła się tak upokorzona, że nie wiedziała, co powiedzieć.

Jonathan wziął jej milczenie za zgodę.

- Byłbym szczęśliwy - powiedział - ale musisz mi obiecać jedną rzecz. • - Jaka? - zapytała podejrzliwym tonem.

- Że nie będę musiał z nikim konkurować o twoje względy. Uśmiechnął się tak ciepło i poważnie, że Becca pozwoliła sobie na chwilę rozluźnienia.

- Nie martw się - powiedziała jak aktorka, która dobrze wczuła się w swoją rolę. - Już ci mówiłam. Nie przepadam za gierkami.

Salon jadalny miejscowego klubu „Rolling Greens” cały tonął w odcieniach słonecznej żółci. Stoły przykrywały adamaszkowe obrusy koloru żonkili. W srebrnych wazach stały świeże ogrodowe frezje i jasnożółte herbaciane róże. Pod sufitem unosiły się setki pękających żółtych baloników i zwisały zwoje serpentyny. Na długich stołach okazałe prezentowały się wielkie plenery wypełnione wszystkim, od ostryg i odnóży krabów, po napoleonki i czekoladowe ekierki piętrowo ułożone na paterach. Dyskretne światło lamp stwarzało ciepłą, intymną atmosferę, a pełne życia trio robiło wszystko, by zachęcić gości do wejścia na parkiet. Ci, którzy zdołali oprzeć się muzyce, leniwie przechadzali się przy barze, witając znajomych i napełniając talerzyki w bufecie, bądź też stali

zbici w grupki, opowiadając sobie wszystkie dowcipy o golfie, jakie tylko znali.

Sylvia cała promieniała, witając gości z istic królewskimi manierami. Razem z Beccą, Benem i Jonathanem ustawiła się przy wejściu i przyjmowała gości z honorami przysługującymi zagranicznym dygnitarzom. Ben mógłby przysiąc, że parę razy wykonała kurtuazyjny dyg. Rossowie znali tutaj wszystkich i powitalna ceremonia wcale nie była potrzebna, jednak Sylvia uznała ją za niezbędną i przeprowadzała ją z należytą pompą. Brakowało tylko herolda w liberii wygrywającego sygnał na złotej trąbce.

Każdy musiał przejść przez ten rytuał, pocałować Beccę w policzek i złożyć jej gratulacje. Większość mężczyzn czuła się bardzo swobodnie, dyskutując z Benem o interesach, a kobiety mierzyły się wzrokiem, by chwilę później dokładnie oplotkować kreację swojej sąsiadki. Tylko nieliczni, najbardziej zapaleni gracze rozwodzili się nad zwycięstwem Becki.

Becca wyglądała czarująco i miała ku temu powody. Była to jedna z najpiękniejszych chwil w jej nieciekawym skądinąd życiu. Zwykle stała na przyjęciach na uboczu i nie włączała się w wir zabawy. Dzisiejszy dzień różnił się od innych. Była honorowym gościem, a nic nie sprawiało jej takiej przyjemności jak bycie w centrum zainteresowania. Ojciec odnosił się do niej z większą czułością i był bardziej wylewny niż ostatnimi czasy, a wszystkie dziewczęta umierały z zazdrości na widok Jonathana Hillmana, który bez wątpienia okazał się najprzystojniejszym mężczyzną na sali.

Becca w każdym calu wyglądała na bohaterkę i była damą w pełnym znaczeniu tego słowa. Jasne jedwabiste włosy uczesane miała w warkocz przeplatany wstążką, w jej uszach połyskiwały diamentowe kolczyki, a na ustach lśniła jasna

szminka. Ubrana była w bladożółtą szyfonową sukienkę, która nadymała się i szeleściła przy każdym kroku.

Gdy tylko skończyły się powitalne obowiązkowe, Becca z Jonathanem poszli na parkiet. Powoli, szybko, z dystansem - poruszali się w takt muzyki. Jonathan uwielbiał tańczyć i był w tym naprawdę dobry. Becca, która zazwyczaj tańczyła przed lustrem w swoim pokoju, przeszła samą siebie. Nie tylko dotrzymywała kroku Jonathanowi, ale dała się nawet odbić dwóm czy trzem innym mężczyznom.

Coś jeszcze wprawiło Becę w zdziwienie. Kiedy inne dziewczęta w jej wieku pozwalały się ponieść dojrzewającej zmysłowości, ona odrzucała wszystkie, nawet najbardziej niewinne awanse w tym kierunku. Tłumiła w sobie najmniejszą chęć tanecznego flirtu. Jak przystało na damę, musiała stać na straży czystości. Mimo swoich zasad podczas tańca z Jonathanem czuła w okolicy piersi narastające podniecenie. Płonęła takim rumieńcem, iż zdawało jej się, że ma gorączkę. Oczywiście zaraz znalazła wytłumaczenie dla nieokiełznanego wybuchu swojej kobiecości: upalna noc, rozgrzanie tańcem i miesiączka. Jednak w którymś momencie sama musiała sobie zaprzeczyć, stwierdzając, że to Jonathan tak silnie na nią oddziaływał.

- Dobrze się czujesz?

Ton jego głosu wprowadził ją w takie zakłopotanie, że potknęła się o własną stopę.

- Świetnie - odpowiedziała zła na siebie, że nie wypadło to naturalnie. Jonathan położył dłonie na ramionach Becki i głęboko spojrzał jej w oczy.

- Jak to możliwe, żebyś dobrze się czuła, skoro zjadłaś tylko jedną kromkę chleba i małe skrzydełko kurczaka?

- Nie jestem głodna - skłamała, przyjmując pozę onieśmiałej pensjonarki.

- Skąd niby masz wiedzieć, czy jesteś głodna czy nie, skoro słaniasz się jak umierający łabędź? Ale nic się nie martw, moja piękna gołębico. Sir Jonathan ocali ci życie.

Z ukłonem pełnym galanterii i szelmowskim uśmiechem na twarzy Jonathan zniknął w głębi sali. Becca rozluźniła się na tyle, by przesłać mu uśmiech, ale gdy tylko usłyszała za plecami głos Tracy Stein, z powrotem przybrała kamienny wyraz twarzy.

- Twój puchar jest tak duży, że mogłyby się w nim wykapać dwie osoby - powiedziała wodząc oczami za Jonathanem jak myśliwy za zwierzyną. - Nawet wiem, czyje plecy chciałabym umyć.

Tracy była bez wątpienia prawdziwą piękną. Wysoka, wiotka, z lazurówoniebieskimi oczami i gęstymi, kasztanowymi włosami była, pomimo swoich tylko siedemnastu lat, apetyczna i zmysłowa. Nawet chłopcy narcystycznie zapatrzeni w swoją męskość czuli się niepewnie w jej towarzystwie. Dziewczęta, również te niezależne i pewne siebie, przysysały się do niej jak pijawki, wierząc, że poznanie tajemnicy jej ubioru i zachowania zapewni im sznur wielbicieli. Tracy królowała na dzisiejszym balu i tylko Becca zagrażała jej niepodzielnemu panowaniu.

- Postaraj się powstrzymać swoje lubieżne zachcianki, dobrze? - powiedziała Becca prawdziwie królewskim tonem.

- Czy zechciałabyś przetłumaczyć to na angielski? - odgryzła się Tracy.

- Przepraszam, kochanie - z miejsca odparowała Becca. - Zapomniałam, że jesteś kompletną idiotką. Chciałam ci powiedzieć, że za wcześnie chcesz ściągać ubranie. Ten pan jest zajęty.

- Przez kogo? - zapytała Tracy spodziewając się jakiejś sensacyjnej odpowiedzi.

- Przeze mnie - powiedziała Becca. - I na twoim miejscu moczyłabym majtki w innym towarzystwie.

Tracy położyła rękę na ramieniu Becki, żeby zaznaczyć różnicę w ich wzroście.

- Na szczęście nie jesteś mną i chociaż udało ci się wygrać mistrzostwa w New Jersey, są pewne konkurencje, w których nie mogłabyś brać udziału, bo byłabyś bez szans.

Odgarniając do tyłu włosy, Tracy odwróciła się na pięcie i odeszła. Becca natychmiast zaczęła się rozglądać za Jonathanem. Na szczęście długo nie musiała go szukać. Niepewnie schodził ze schodów, balansując między gośćmi i niosąc w jednej ręce dwa talerze, a w drugiej kieliszki.

- Gdy pewnego dnia wszyscy mieszkańcy Stanów zaczną jeść poza domem i firma Hillmanów umrze śmiercią naturalną, zawsze mogę zostać kelnerem - powiedział i zaprowadził Beccę do ustronnego stolika.

Kazał jej usiąść, podsunął jej pod nos talerz i kieliszek i zmusił ją do jedzenia. Obserwując, jak niechętnie brała kęs do ust, zauważył, że jej wzrok błądzi po sali.

- Kim jest ta dziewczyna, z którą przed chwilą rozmawiałaś? - zapytał.

- Jaka dziewczyna?

- Ta z wysokim zawieszeniem. - Jonathan spojrzał w kierunku parkietu, gdzie Tracy wirowała w tańcu z jednym ze swoich adoratorów.

- Tracy Stein. - Becca ostrożnie przemyciła w głosie nutkę sarkazmu.

- Dałbym głowę, żeście się pokłóciły. Nie mam racji?

- Nie chcę do tego wracać.

- Co się stało? - Jonathan był zaniepokojony, dokładnie tak, jak Becca to sobie zaplanowała.

- To zbyt żenujące. - Spuściła wzrok, nabrała powietrza w płuca i odwróciła głowę.

- Widzę, że cię to gryzie. No już. Wyrzuć to z siebie. Becca podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Przygryzła dolną wargę i powiedziała szeptem.

- Tracy jest lesbijką. - Wykrzywiła usta. - Myśli, że skoro jestem sportsmenką, zachowuję się jak jedna z nich. Zawsze się do mnie zaleca i wpada we wściekłość, kiedy powiem jej coś niemiłego. - Wyglądała tak, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem. - Nie wiem, co mam z nią zrobić.

Jonathan stanął jak wryty. Poglaskał Beccę po dłoni, spojrzał na Tracy, a potem znowu na Beccę.

- Jesteś pewna? Na mnie nie sprawia takiego wrażenia.

- Wszystkie dziewczęta w szkole o tym wiedzą, jednak nie puszcza pary z ust. Są tym tak samo zażenowane jak ja. Zaleca się do nas wszystkich, ale gdy znajdzie się w towarzystwie, wiesza się na pierwszym z brzegu chłopaku. To taka poza, żeby jej rodzice niczego się nie domyślili.

Wokół Tracy pojawiły się inne pary. Razem z partnerem zajęła sam środek parkietu, imponująco obracając się w takt muzyki i wykonując ekwilibrystyczne figury. Zgromadzeni wokół młodzie widzowie zaczęli klaskać w dłonie. Starsi patrzyli z dezaprobatą. Jonathan i Becca wstali z krzeseł, żeby dowiedzieć się, co jest powodem tego poruszenia.

- Moja matka chyba by zemdlą, gdybym zrobiła z siebie takie widowisko - powiedziała Becca.

- Wiem, co masz na myśli. To też w stylu mojej matki - zaśmiał się Jonathan. - Mam wrażenie, że obie ulepione są z tej samej gliny.

- Istnieje pewna różnica - zauważyła Becca z udanym oburzeniem. - Moja matka nie jest ulepiona z gliny, tylko wyszlifowana przez zasady towarzyskie.

Jonathan ze zdziwieniem szerzej otworzył oczy. Zaśmiał się.

- Nie sądziłem, że stać cię na krytykę twoich rodziców.

- Zazwyczaj tego nie robię - powiedziała zastanawiając się, czy Jonathan śmieje się razem z nią czy raczej z niej.

- Widzisz - powiedział z chytrym uśmieszkiem - zadawaj się ze mną dalej, a zobaczysz, jak to się skończy.

Nie mogła nic poradzić na oblewający ją rumieniec, kiedy Jonathan poluzował wstążkę warkocza i rozpuścił jej włosy.

- Bądź sobą, nawet gdyby miało to zaprowadzić cię do piekła - rzekł przebiegając palcami po jedwabistych pasmach jej włosów i rozsypując je na ramionach. - O wiele lepiej. A teraz chodźmy pokazać Tracy Stein, na co nas stać.

Gdy tylko zagrała wolniejsza muzyka, Jonathan wprowadził Beccę na parkiet i dramatycznym ruchem ramienia przyciągnął ją ku sobie. Nie zdążyli wykonać pełnego obrotu, kiedy wpadła na nich Tracy.

- Becca, kochanie. Tańczyłaś przez całą noc. Najwyższa pora, by trochę odpocząć.

- Co? - Becca nie mogła się doczekać, aż jej plan się powiedzie. Tracy trzymając ręce na ramionach partnera, zwróciła się do Jonathanana.

- Martwię się o nią. Często miewa bóle głowy.

Jonathan odnotował kokieteryjne mrugnięcie rzęs i zachęcający ruch jej ramion. Jego usta momentalnie wykrzywiły się w serdecznym uśmiechu.

- Pozwól, że ja się tym zajmę - odpowiedział - ale coś ci powiem. Nie musisz się o nią troszczyć. Jak Beccę zacznie boleć głowa, to dam jej dwie aspiryny i zadzwonimy do ciebie rano, żeby cię poinformować, czy ból ustąpił.

Ze zręcznością Freda Astaira szybko odciągnął Beccę od Tracy i wmieszali się w tłum. Becca zauważyła, że Tracy wyraźnie zrzędlą mina, a po paru minutach rywalka schodziła pokonana z pola bitwy. Jonathan także musiał to spostrzec, gdyż protekcjonalnie objął Beccę ramieniem. Nie była pewna, czy rozpierało ją uczucie do Jonathanana, czy radość z porażki

Tracy, ale cokolwiek to było, wszystko zawdzięczała młodemu Hillmanowi.

Wczorajsza noc była pełna wrażeń i dochodziło już południe, kiedy Becca zaczęła się budzić z głębokiego, spokojnego snu. Zadzwoił telefon i jego dźwięk poderwał ją na równe nogi. Po drugim sygnale podniosła słuchawkę i właśnie miała się odezwać, kiedy zdała sobie sprawę, że ojciec również odebrał telefon w swoim pokoju.

- Słucham.

- Ben?

- Kto mówi?

- Kate Elliot.

Beccą wstrząsnęło paraliżujące zimno. Zakryła dłonią usta. Dlaczego dzwoni. Czego ona chce?

- Jak się masz, Kate? Dlaczego Ben zawiesił głos?

- Ben, to nie jest towarzyska pogawędka. Jinx poleciała do Nowego Jorku. Będzie tam dzisiaj po południu.

W głosie Kate słychać było niepokój. Becca czuła to przez skórę.

- Rozumiem.

- Nadal myśli, że zginąłeś w Berlinie, ale postanowiła odnaleźć twoją rodzinę. Ben nie odezwał się słowem. Przenikliwy ból rozsadzał mu głowę.

- Chce wypełnić białą plamę w swojej przeszłości i, na miłość boską, musisz jej w tym dopomóc! Przez lata o niczym jej nie mówiłam, ale już dłużej nie mam zamiaru ukrywać przed nią twojego istnienia.

- Czego chcesz?

- Żebyś do niej zadzwonił. Zatrzyma się w hotelu „Cotillion”. Spotkaj się z nią i powiedz jej o wszystkim.

- Kate, to zbyt wygórowane żądania. Mam żonę i córkę.

- Córkę? Jak ma na imię?

Becca nie usłyszała cierpienia w głosie Kate, ale nie umknęło ono uwagi Bena. W słuchawce zaległa niezręczna cisza. Wahanie, które trwało kilka sekund, zanim ojciec się do niej przyznał. Złość przelewała się w niej jak wezbrana rzeka. Myślała, że za chwilę wybuchnie.

Powiedz jej! Powiedz jej, jak mam na imię!

- Frances Rebecca. Mówimy do niej Becca.

Przez chwilę myślała, że Kate odłożyła słuchawkę. Nie usłyszała jednak trzasku.

- Jak mogłeś!

Ból przeszył jej skronie. Zaczynało się. Chciała odłożyć słuchawkę, żeby nie słyszeć, co się dalej stanie, ale zwyciężyła ciekawość.

- Moja rodzina zaczęłaby zadawać niepotrzebne pytania. Pierwsza córka powinna nosić imię mojej matki.

- Twoja pierwsza córka nosi imię twojej matki! Nie zapominaj, że Becca jest druga!

- Kate, rozwiedliśmy się.

- To ty odszedłeś. Byłam w czwartym miesiącu ciąży.

- Nigdy nikomu nie powiedziałem o moim pierwszym dziecku.

- Twoje pierwsze dziecko, jak to ładnie nazwałeś, nazywa się Frances Rebecca Elliot.

- Pamiętaj, że to ty wybrałaś jej imię - próbował się bronić Ben.

- Jasne. Ty nazwałeś ją Jinx, ale to fatalnie wyglądało w akcie urodzenia.

- Kate, to było tak dawno temu. Cała ta historia należy już do przeszłości. Nie czułem potrzeby informowania wszystkich.

- Do przeszłości? Panie Benjaminie Ross primo Rostov, ta historia właśnie rozgrywa się na naszych oczach!

Kate rzuciła słuchawkę z takim impetem, że vibracje trzasku przeszły mózg Becki, rozsadzając go aż do bólu. Usiadła na łóżku i przez parę minut nieruchomo gapiała się w telefon. Później, nadal jeszcze w szoku, zmusiła się, żeby wstać. Zamknęła się od wewnątrz i podeszła do swojej kryjówki w szafie, gdzie za ruchomą deską ukryła list znaleziony osiem lat temu. Kiedy wzięła go w ręce, zamroczył ją atak bólu, powodując utratę równowagi. Jakoś udało jej się z powrotem wrócić do łóżka. Położyła się i przymknęła oczy.

Wdech. Wydech. Wdech. Wydech. Głęboko nabierała powietrza, próbując uwolnić się od tortur.

Leż spokojnie, mówiła do siebie. Zaraz przejdzie. Zawsze przechodzi.

Wdech. Wydech. Wdech. Wydech. Jej dłoń zacisnęła się na znenawidzonej kopercie zawierającej list ze złowrogim przesłaniem. Musisz być dobrym dzieckiem - straszyla jego zawartość. - W przeciwnym razie ciebie też zostawi.

Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

Frances Rebecca. To samo imię. Ten sam ojciec. Nie mogła się z tym pogodzić. Potarła dłońmi skronie, starając się odsunąć ból i wymazać tę rozmowę ze swojej pamięci. To, co zrobił jej ojciec, wróciło do niego jak bumerang.

Frances Rebecca. Pierwsze dziecko. Córka Bena. Przyjeżdża do Nowego Jorku. Chce go odnaleźć.

Becca poderwała się na równe nogi. Z szerokimi, nieprzytomnymi oczami podniosła się na łóżku i spojrzała na list.

Uważaj, - zdawał się do niej mówić - albo ta druga odciągnie od ciebie Bena.

Podniosła kopertę i trzymała ją na wysokości oczu.

- Nigdy jej na to nie pozwolę! - powiedziała z niezachwianym przekonaniem. - Nigdy.

Nawet najmniejsze sekrety mogą być zaczątkiem wielkiej tragedii. Nikt nie wiedział tego lepiej od Bena Rossa. Przez ponad dwadzieścia lat strzegł tajemnicy, która mogłaby w katastrofalny sposób zaważyć na jego życiu.

Właśnie leżał odprężony na łóżku do masażu w swoim klubie i zastanawiał się, jaka szczęśliwa gwiazda mu przyświeca. Dwukrotnie, kiedy Kate do niego dzwoniła, Sylvii nie było w domu. Co by się stało, gdyby przechwyciła ten list? Albo gdyby podsłuchiwała rozmowę dzisiejszego popołudnia? Mimo obezwładniającego ciepła olejku, który masażysta wcierał w jego obolałe mięśnie, wzdrygnął się na samą myśl.

Wiele razy Ben zastanawiał się nad ujawnieniem istnienia Jinx, ale nigdy się na to nie zdobył. Prawda ukrywana przez tyle lat była jak kula zrobiona ze zwojów drutu. Wystarczyło przeciąć jeden, żeby cała rozpadła się na kawałki. Przed ślubem opowiedział Sylvii o małżeństwie z Kate i o krótkim, bezsensownym, nic nie znaczącym epizodzie, który był tylko pomyłką bardzo samotnego żołnierza. Nie mógł jej wtedy powiedzieć o dziecku i sądził, że teraz też by się nie zdobył na to wyznanie.

Żółć odpłynęła z żołądka i śliska gorycz zaczęła przelewać mu się w ustach. Przełknął ślinę. W jego wnętrzu nie było miejsca na kłamstwo i nieuczciwość i wiedział, że bez względu na to, jak precyzyjnie myślał i jak racjonalnie starał się podejść do tej sytuacji, jedyną siłą powstrzymującą go od ujawnienia tajemnicy było bezgraniczne poczucie winy.

Ukrył twarz w ręczniku ułożonym pod brodą. Płynące po raz pierwszy od lat łzy żalu zaczęły skapywać na fałdy materiału. Dlaczego to zrobił? Dlaczego opuścił Kate? Młodość. Strach. Zapalczywość. Ego. Może gdyby spotkali się w innym czasie i w innym miejscu... Byli tacy młodzi i tak daleko od domu...

Miał dwadzieścia lat. Kate dziewiętnaście. Berlin odbudowywano ze zgliszcz wojny i życie toczyło się bardzo szybko. Uczucia nie rozkwitały, lecz wybuchały jak bomby. Rządziły instynkty. Refleksje, konwenanse i rozważania zabierały zbyt dużo czasu w mieście spieszącym się, żeby pogrzebać przeszłość i zbudować nowe życie.

Bez wątpienia istotą ich związku było fizyczne pożądanie. Od momentu, gdy tylko ujrzał Kate, natychmiast jej zapragnął. Choć twarz Kate była świeża i niewinna, ciało obiecywało nieziemskie rozkosze. Kiedy w końcu poszli ze sobą do łóżka, czuł się jak Adam, a ona jak Ewa i dałby głowę, że żaden mężczyzna z żadną kobietą nigdy nie zjednoczył się w taki sposób. Kochali się długie godziny, zaspakajając się nawzajem i każdy następny raz był bardziej ekscytujący od poprzedniego, każdy następny krzyk rozkoszy wspanialszy i bardziej namiętny.

Sięgając myślami w przeszłość, Ben musiał przyznać, że Kate miała w sobie jakąś przejmującą prostotę i szczerłość, które tak mu się podobały. Zawsze był hazardzistą, zapędzonym i bez reszty zaabsorbowanym wspinaczką po drabinie sukcesu. Z Kate emanował spokój i opanowanie. Wyzwaniem był dla niej każdy następny pacjent i opieka nad ofiarami wojny dawała jej ogromną satysfakcję.

Wkrótce się pobrali, ale ze strony Bena nie był to dojrzały i świadomy wybór. Wzięli ślub tylko dlatego, że Kate tak bardzo go podniecała. Lubił wracać do niej po pracy i mieć w tym zwariowanym świecie swoje własne miejsce. Chlubił się tym, że Kate należy tylko do niego. To prawda, że ją kochał, ale nie był przygotowany na sprostanie odpowiedzialności za ich miłość.

Kiedy powiedziała mu, że jest w ciąży, zwykłe powszednie trudności stały się przeszkodami nie do pokonania. Problemy, które wcześniej z łatwością

rozwiązywał, rozrosły się do gigantycznych rozmiarów. Ben zajmował się wówczas transportem towarów i personelu i parę razy w tygodniu musiał odbywać długie, nużące loty. Był przemęczony i ciążyła na nim ogromna presja. Stał się grubiański i niezrównoważony. Z powodu wyczerpania odwołał kilka lotów. Kate też nie była w najlepszej formie. Zaczęli patrzeć na siebie krzywym okiem, a ich miłość nigdy nie odzyskała wcześniejszej namiętności. Stopniowo warunki życia zaczęły przerastać niedojrzałość Bena i z braku innego kozła ofiarnego odnalazł przyczynę ich nieszczęścia w nie narodzonym dziecku.

Decydujący moment przyszedł wraz z katastrofą samolotu. Cudem udało mu się opuścić eksplodującą maszynę i przez dwa tygodnie walczył w szpitalu o życie, lecząc poparzenia i połamane żebra. W dniu wyjścia ze szpitala odszedł od Kate.

Masażysta zakończył seans i Ben usiadł w saunie pogrążony w rozmyślaniach na temat Kate. Może utyla i zrobiła się zgorzkniała. Może jej lśniące jasne włosy posiwiały i nie były już takie gęste. Może tylko zachowała swój młody, dzwięczny głos? Ben potrząsnął głową i na jego ustach pojawił się smutny uśmiech. Nie. Założyłby się o wszystko, że Kate była nadal piękną kobietą.

A dziecko? Nigdy nie udało mu się wymazać z pamięci obrazu jej hiacyntowoniebieskich oczu i kręconych, kruczonych włosów. Miała mały, zgrabny nosek z dołeczkiem na czubku, tak samo jak jego matka. Kiedy Kate przesłała mu wiadomość o narodzinach Jinx i poinformowała go, że nazwała córkę Frances Rebecca, zaczął się wahać. Pojechał do szpitala w odwiedzinach, ale kiedy wszedł do pokoju, Kate płakała na ramieniu Hanka Elliota. Udał się na oddział niemowlaków i zobaczył przez szybę swoją córkę. Widział ją tylko raz, ale jej mała twarzyczka nie dawała mu spokoju przez następne dwadzieścia lat.

Ktoś rozlał na posadzkę wodę z lodem i kłęby pary wzbity się w górę. Ben otrząsnął się ze wspomnień i uświadomił sobie, przed czym uciekał dzisiejszego popołudnia. Po telefonie Kate przeszłość wróciła do niego ze zdwojoną ostrością.

Myślenie o Kate w domu Sylvii i wracanie pamięcią do Jinx, kiedy Becca spała w pokoju na górze, miało posmak zdrady.

Jednak czas naglił i musiał podjąć decyzję. Niechętnie podniósł się z drewnianej ławy i stanął na podłodze. Przez moment poczuł się nierozzerwalnie złączony z przeszłością i musiał stoczyć wewnętrzną walkę, żeby powrócić do rzeczywistości. Poszedł pod prysznic, gdzie obmył się z resztek poczucia winy i wytarł do sucha ostatnie łzy żalu. Nie zrobi tego, o co prosi Kate. Nie pójdzie na spotkanie z Jinx Elliot.

Trudno było oskarżać Bena o całkowity brak uczuć, ale prawie zawsze zwyciężał w nim pragmatyzm. Nie wierzył, by wszystko można było naprawić biciem się w piersi. To, co się stało, już się nie odstanie. Miał świadomość, że obie jego żony i obydwie córki nigdy by mu tego nie wybaczyły.

Mimo przejmującego bólu Becca zmusiła się, żeby założyć ubranie. Dwadzieścia minut temu usłyszała odjeżdżający samochód ojca. Jeśli pojechał swoim zwyczajem do klubu, już dawno powinien tam być.

Wykręciła numer.

- Klub Rolling Green. Słucham.
- Czy mogłabym prosić pana Rossa?

Becca próbowała się uspokoić, kiedy recepcjonistka szukała Bena, ale przychodziło jej to z wielkim trudem. A jeśli go tam nie ma? Jeśli pojechał na spotkanie z Jinx?

- Pan Ross właśnie rozmawia przez telefon. Czy chce pani zostawić jakąś wiadomość?

- To nic pilnego. Mówi jego córka. Chciałam tylko się upewnić, czy rodzice nie zmienili planów na dzisiejszy wieczór.

- Pan Ross zarezerwował stolik dla trzech osób na szóstą trzydzięci. Czy mogę w czymś jeszcze pani pomóc?

- Nie, dziękuję. Do widzenia.

Becca odłożyła słuchawkę i w swoim myślowym katalogu zapisała wskazówkę numer jeden: zlokalizować wszystkich graczy. Sylvia była u swoich rodziców. Ben w klubie. Jinx w samolocie.

Wskazówka numer dwa: zlokalizować terminarz Bena. Zeszła na dół do gabinetu ojca, sięgnęła do górnej szuflady biurka i wyjęła z niej duży notatnik. Przekartkowała zapiski na nadchodzący tydzień i pozwoliła sobie na cień uśmiechu.

Sierpień 16 - 24: Kalifornia. Zdjęcia do programu TV Grimpsholma; hotel „Beverly Kipling”.

Był piętnasty sierpnia. Doskonale! Ben zawsze leciał do Los Angeles rannym samolotem. Pakował się poprzedniego wieczoru, szedł wcześniej spać i wychodził z domu o świcie. Jeśli ma zamiar zadzwonić do Jinx, zrobi to dziś po południu bądź też po powrocie z wybrzeża. Gdy już wejdzie do samolotu, zajmie się wyłącznie swoimi interesami i nawet taka spryciara jak Jinx nie zdoła mu w tym przeszkodzić.

Oznaczało to, że miała przed sobą tylko jedno zadanie - kontrolę nad ojcem, dopóki nie wsiądzie do samolotu. Skoro Jinx nic o nim nie wiedziała, Becca sama musiała ustrzec go przed tym spotkaniem. Istniała możliwość, że zadzwoni do Jinx z klubu, ale wydawało się to Becce mało prawdopodobne. Odbyliby kilkuminutową rozmowę w stylu „Kochanie, jak się miewasz? Zgadnij kto mówi”. Ben nie chciałby się narażać. Ktoś mógłby podsłuchiwać.

W drodze do miasta próbowała rozważyć i przeanalizować różne opcje. Wydawało jej się całkiem logiczne, że po

tygodniu bezowocnego oczekiwania Jinx opuści hotel „Cotillion”, przystań dla samotnych kobiet z wygodnymi niedrogimi pokojami i bardzo surowym regulaminem. Większość dziewcząt zatrzymywała się tam zaraz po przyjeździe do Nowego Jorku i jak tylko było je stać na wynajęcie mieszkania, bez żalu opuszczały to miejsce. Becca nie знаła Jinx, ale instynktownie czuła, że nie wyjechała z przytulnego, domowego zacisza, by kłaść się do łóżka o dziesiątej i spać na numerowanym prześcieradle.

Becca zaparkowała samochód i weszła do budki telefonicznej. Wykręciła numer hotelu „Cotillion” i zapytała, czy panna Elliot jest już na miejscu. Powiedziano jej, że Jinx przyjedzie po południu. Następnie skontaktowała się z większością linii lotniczych i namierzyła godziny przylotów wszystkich samolotów z Phoenix. Kiedy zebrała już wszelkie informacje, weszła do hotelowego holu, znalazła fotel, z którego można było obserwować zarówno drzwi, jak i recepcję, i rozpoczęła czuwanie.

„Cotillion” odstraszał starzyzną. Zbudowany na początku dziewiętnastego wieku, nadal hołdował ówczesnym zasadom. Urządzony w angielskim stylu, miał marmurowe posadzki, zbyt wysokie sufity, ciężkie drewniane krzesła i iście purytański klimat. W niedziele hol zamieniał się w kawiarenkę, gdzie młode panienki plotkowały nad herbatą z ciasteczkami. Małe grupki zbierały się wokół stolików na wysoki połysk i subtelnie sączyły Earl Greya. Dla Becki wszystko to tchnęło myszką, ale w tej chwili obecność dziewcząt wcale jej nie przeszkadzała. Mogła tu siedzieć zupełnie nie zauważona.

Przez ponad trzy godziny Becca przerzucała strona po stronie to samo czasopismo i za każdym razem, kiedy ktoś wychodził z obrotowych drzwi, serce mocniej biło jej w piersi.

Ogarniał ją strach, zupełnie tak, jakby czekała na pojawienie się zjawy.

W istocie duch przeszłości ojca dogłębnie ją przerażał. Zjawy miały to do siebie, że jak nieproszeni goście, ukazywały się w najmniej odpowiednich momentach. Z głosu ojca wywnioskowała, że rozmowa z Kate wzbudziła w nim tylko nieprzyjemne odczucia.

Pragnąc jakoś zabić czas, próbowała skupić myśli na Jonathanie. Na przyjęciu był taki wspaniały, miły, przystojny i taki opiekuńczy. Umówił się na wtorek, środę i następną sobotę. W milczeniu powiodła dłonią po plecach. Zdobyła Jonathana i nie pozwoli mu już się wymknąć.

Fascynował ją fakt, że naprawdę go lubiła. Nawet stwierdziła, że fizyczne zbliżenie z Jonathanem wcale nie musiałyby być nieprzyjemne. Becca należała do skrajnych estetek i wszelkie zgniecenia, zacieki, plamy i brud odbierały jej apetyt. Z tego, co się zdążyła zorientować, seks nie był czysty i składał się z dotykania, ślizgania, wydzielania, międlenia i obłapywania. Jednak to właśnie Jonathan sprawiał, że ugiwały się pod nią kolana. To on powodował ssanie w żołądku i on wywoływał uśmiech na jej twarzy. Może z nim mogłaby. Mimowolnie przymknęła oczy i odizolowała się od otaczającego ją hotelowego holu. Pod jej powiekami zaczęły przesuwać się senne marzenia. Dwie postacie stojące obok siebie. Części ich twarzy unoszące się w przestrzeni. Usta, oczy, włosy, podbródki skupiające się w całość i znowu rozbijające się na części. Jaśniejsze światło. Nadeszła trzecia osoba. Bez twarzy, otoczona mgłą i ukryta pod fałdami cienkiej tkaniny. Jednak Becce udało się rozpoznać tę postać. To była druga Frances Rebecca.

Nagłym ruchem powiek otworzyła oczy. Jej bluzka przesiąkła potem. Ból pulsował jej w skroniach, a oddech ugrzązł w gardle. Spojrzała w górę i polarny chłód przeszył jej

ciało. Zjawa nareszcie odkryła swoją twarz. W drzwiach pojawiła się młoda kobieta z niesamowicie czarnymi włosami i oczami o barwie fiołków. Miała na sobie tylko prostą, bawełnianą sukienkę i sweter zarzucony na ramiona, ale i tak przyciągała wzrok wszystkich kobiet przesiadujących w holu. Najgorsze przeczucia Becki znalazły potwierdzenie. Jinx była niezwykle piękna i żaden mężczyzna nie wahałby się ani chwili przed przyznaniem się do takiej córki. Co gorsza, Jinx bardzo przypominała ojca.

Becca z lodowatym spojrzeniem obserwowała, jak dziewczyna podchodzi do recepcji.

- Nazywam się Jinx Elliot.

Becca zbulgotała z wściekłości. Była ofiarą tej sytuacji. Dlaczego miałyby stracić część uczucia ojca tylko dlatego, że jakaś kobieta z Phoenix przyjechała odebrać stary dług? Po co tyle z siebie dawała, żeby zdobyć akceptację i miłość ojca? Wstała z fotela i podeszła bliżej recepcji, żeby usłyszeć numer jej pokoju.

- Nie ma dla mnie żadnych wiadomości?

Becca pulsowało w głowie, kiedy czekała na odpowiedź recepcjonisty. Młody mężczyzna wręczył Jinx różową kartkę. Becca zapragnęła wyrwać jej to z rąk. Czowała się jak karzeł przy tej wysokiej, przystojnej dziewczynie, całkowicie przytłoczona jej wdziękiem.

- Czy mogę zamówić międzymiastową z pokoju?

Portier skinął głową, a Becca o mało co nie zemdląca z ulgi. Wiadomość musiała pochodzić od matki Jinx. Wtem Becca zbladła jak ściana. Na kartce widniał telefon jej ojca. A więc jednak Kate podała Jinx telefon do Bena. Chociaż z drugiej strony, gdyby sama chciała o wszystkim powiedzieć Jinx, nie niepokoiłaby ojca.

Jinx dopełniała formalności, podczas gdy Becca taksowała wzrokiem swoją przyrodną siostrę. Przyglądała się jej jak

muzealnemu eksponatowi. Jej nogom, ubraniu, butom i biżuterii. Gdyby mogła, zbadałaby zawartość jej bagażu. Choć obudziła się w niej żądza rywalizacji, Becca podświadomie szukała jakiejś więzi łączącej ją z Jinx i doszukiwała się rodzinnego podobieństwa. Nie znalazła niczego oprócz faktu, że Ben Rostov był ich wspólnym ojcem.

Gdy tylko Jinx zniknęła w windzie, Becca pobiegła do telefonu.

- Mówi Jinx Elliot z pokoju czterysta sześć - wyszeptała. - Przed chwilą przyjechałam i jestem bardzo zmęczona. Jeśli nie sprawiłoby to panu kłopotu, nie chciałabym odbierać żadnych telefonów.

- Oczywiście, panno Elliot. Czy chciałaby pani zamówić budzenie?

- Nie, dziękuję. Najpierw się tutaj zadomowię, zadzwonię do rodziców, a potem zobaczymy.

- Wobec tego dobranoc pani.

- Dobranoc.

Becca odwiesiła słuchawkę, zdając sobie sprawę, że to tylko działanie doraźne. Nie mogło ono powstrzymać Jinx od skontaktowania się z Benem, tym bardziej że ona uparcie do tego dążyła. Becca zbyt dobrze wiedziała, jak nieustępliwi potrafili być Rostowie. Musiała jakoś zasugerować Benowi, że pokątny telefon do jednej Frances Rebecki może być tragedią dla drugiej i że przyznanie się do Jinx sprawiłoby więcej kłopotów, niż było tego warte.

Może nie miała się czego obawiać? W końcu to Ben odszedł od Kate i Jinx. Z tego co wiedziała, przez wszystkie te lata nigdy nie próbował nawiązać z nimi kontaktu; nawet po otrzymaniu listu od Kate. Dlaczego teraz miałby to robić? Dlatego, że Jinx była w Nowym Jorku, a nie mile stąd w Arizonie? Dlatego, że była taka atrakcyjna? Dlatego, że było między nimi aż takie uderzające podobieństwo?

Becca codziennie dzwoniła do hotelu „Cotillion”, wreszcie po trzech dniach poinformowano ją, że panna Elliot już się wymeldowała. Nie zostawiła nowego adresu. Becca spodziewała się, że dozna satysfakcji, ale tak się nie stało. Nienawiść wypełniała każdy por jej skóry i w sercu nie było już miejsca na żadne inne uczucia. Skupiając całą siłę nienawiści w jednym kierunku, Becca miała nadzieję zniweczyć zagrożenie, które niosła ze sobą pierwsza córka Bena. Ale w głębi duszy wiedziała, że pomimo swojej przebiegłości pewnego dnia stanie oko w oko z Frances Rebecą Jinx Elliot i będzie musiała wyjść zwycięsko z tej konfrontacji.

KSIĘGA DRUGA

FRANCES REBECCA ELLIOT

Jinx

Sierpień 1971

- Pan Kipling zaraz panią przyjmie.

Od dnia, kiedy Kip bez pożegnania opuścił Phoenix, myśl o tym spotkaniu nie dawała Jinx spokoju. Miała dwadzieścia trzy lata i od ponad ośmiu miesięcy była menedżerem hotelu „Oasis”. Poprzednie półtora roku Jinx przepracowała jako asystentka menedżera i pod jej kierownictwem hotel „Oasis” prześcignął wszystkie południowo - zachodnie kurorty Kipa. Jej chwytliwe reklamy i pomysły promocyjne stały się wzorami naśladowanymi w pozostałych hotelach sieci. Najnowsze koncepcje: bezpłatne śniadania dla rannych ptaszków w restauracji nad jeziorem, suweniry z kosmetyków, kosze ze świeżymi owocami spotykały się na początku z wysokim uniesieniem brwi, lecz stopniowo zaczęły cieszyć się ogromną popularnością, co odbijało się na wzroście zysków.

Jednakże dopiero jej ostatnia koncepcja przyniosła awans na stanowisko w nowojorskim biurze korporacji „Kipling Worldwide”. Pracując z architektem, inżynierami budowlanymi, urbanistą, ekonomistami i specjalistami od handlu nieruchomościami, opracowała projekt konstrukcji małych domków wokół obiektu „Oasis”. Po sprzedaży części domów prywatnym użytkownikom, wynajęciu innych w czasie sezonu i rezerwacji pozostałych rodzinom z dziećmi, całkowite koszty projektu zwróciłyby się po trzech latach. Koncepcja Jinx była tak opłacalna, że Harrison Kipling nie mógł już dłużej jej ignorować.

Recepcjonistka wyprowadziła Jinx z poczekalni i udała się z nią wzdłuż korytarza. Jinx przyglądała się swojemu odbiciu w szybach wszystkich mijanych drzwi. Chciała zaczesać włosy do tyłu w kok, ale sierpniowa wilgoć wykluczała taką

fryzurę i nieposkromione kędziory jak sprężyny drgały wokół jej twarzy. Hiacyntowe oczy podkreślały delikatne muśnięcia fioletowego cienia i ledwie zauważalne pociągnięcie tuszu do rzęs, a miedziana szminka i jasnordzawy róż sprawiały, że jej zdrowa opalenizna jeszcze bardziej rzucała się w oczy. Przed wejściem do gabinetu szefa wygładziła dół białego, lnianego kostiumu i pomodliła się w duchu, żeby ubiór robił tak profesjonalne wrażenie, jak kobieta, która go jej sprzedała.

Tuż przed wyjazdem z Phoenix, Jinx pojechała z matką na zakupy do Los Angeles. Kate nalegała, żeby uczcić awans z należytą pompą, więc z błogosławieństwem Hanka i kartami kredytowymi w kieszeni przeszły wszystkie sklepy wzdłuż bulwaru Wishire. Domy towarowe oferowały biurowe kostiumy, butiki - eleganckie obuwie, torebki i dodatki, a specjalnością malutkiego ekskluzywnego sklepiku „La Tessy” na Rodeo Drive były kreacje na wykwintne przyjęcia. Kate wydała na odzież fortunę, ale nie żałowała ani centa. „Żadna z moich dziewcząt nie pojawi się w Nowym Jorku ubrana jak turystka!” - powiedziała.

- Proszę. Może pani wejść. - Wysoka kobieta, która przywiodła Jinx do gabinetu Kipa, otworzyła podwójne drzwi i ruchem ręki zaprosiła ją do środka.

Jinx wzięła głęboki oddech i trzymając się prosto, z wysoko uniesioną głową weszła do pokoju. Była uosobieniem pewności siebie w każdym calu, dopóki nie spojrzała mu w oczy. Wtedy coś w niej pękło. Nadal nosiła w portfelu wycinek ze zdjęciem z gazety, jednak zdążyła już zapomnieć, jaki jest przystojny. Kiedy wstał zza biurka, żeby ją przywitać, jego oczy jak płomień roztopiały jej udawaną obojętność.

- To cudownie, że znów cię widzę - powiedział, biorąc ją za rękę i nie zwalniając uścisku.

Wyrwała dłoń.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła sztywno. - Jak pan się miewa, panie Kipling?

- Panie Kipling, dobrze słyszałem? - Jego górna warga uniosła się w zdziwionym uśmiechu. - Doskonale, panno Elliot. A pani?

- Świetnie, dziękuję.

- Znakomicie. Mam nadzieję, że pani rodzina jest cała i zdrowa? Skinęła głową.

- Może zechciałaby pani usiąść? - Wskazał jej krzesło.

Znowu kiwnęła głową i poszła za nim do kilku skórzanych foteli stojących w eleganckim pomieszczeniu.

Nie jest dobrze, pomyślała.

Chociaż to ona narzuciła formalny ton, podejrzewała, że Kip robi sobie z niej żarty i prawdę mówiąc, wcale mu się nie dziwiła. Nawet we własnych uszach jej słowa zabrzmiały krnąbrnie, pretensjonalnie i niedojrzale. Wcale nie zamierzała zachowywać się w ten sposób.

Chciała zmienić taktykę i w poszukiwaniu natchnienia rozglądała się po gabinecie Kipa, ale w przeciwieństwie do ciepła posiadłości Casta Kipling, tutaj poczuła się bardzo obco. Każdy element pokoju przypominał jej o tym, że jest w Nowym Jorku. Drażnił swoją nieskazitelną czystością i surowością drapaczy chmur. Wykładziny, ściany, kanapy, krzesła - wszystko było w kolorze czerwonego wina; biurko lśniło stalowym połyskiem, a żaluzje odstraszały matowym aluminium. Oświetlenie zostało zainstalowane w suficie, a rolę dodatków pełniły dwie szklane popielniczki i wielki abstrakcyjny obraz, który zajmował całą ścianę. Gabinet wyglądał jak zdjęcie z magazynu „Architectural Digest”. Jinx poczuła, że opuszcza ją pewność siebie. Miała wątpliwości, czy zdoła zaaklimatyzować się w tym miejscu.

- Powinna być pani z siebie dumna. - Kip przerwał ciszę.

- Pani praca w „Oasis” jest godna podziwu.

Jinx uśmiechnęła się niepewnie. Było trudniej, niż sobie wyobrażała. Jego obecność sprawiała, że musiała zachować baczniejszą kontrolę nad tym, co mówiła i jak się zachowywała. Najchętniej rzuciłaby mu się w ramiona, pocałowała go czule i zaczęła robić mu wyrzuty, że opuścił ją bez słowa pożegnania.

- Kilka razy analizowałem pani projekt budowy zespołu domków i muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. - Od chwili kiedy weszła, nawet na moment nie spuścił z niej wzroku.

- Cieszy mnie to - powiedziała starając się zachować profesjonalny ton kobiety interesu. - Myślę, że to by się również sprawdziło w Santa Fe, Dallas, Houston i w Las Vegas. Nieużytki otaczają i tamte obiekty, a ich zagospodarowanie mogłoby przynieść znaczne dochody.

- Bardzo możliwe. - Jego twarz, podobnie jak głos, nie zdradzały żadnych emocji.

- Można by również zrobić tam zjazdy narciarskie. Takie domki dla narciarzy są bardzo popularne w Vail, Aspen i Tako.

Myślała, że jej entuzjazm udzieli się Kiplingowi, ale zamiast włączyć się do dyskusji, uciął jej monolog.

- Należy to przedyskutować z Jeffreyem Dodge'em. Będzie pani z nim współpracować.

Kip wstał z fotela i pomógł jej podnieść się z miejsca. Kiedy stała wyprostowana, zauważyła, że ich ciała niemalże przylgnęły do siebie. Przez chwilę stali zahipnotyzowani swoją bliskością. Jinx pierwsza zrobiła krok do tyłu. Kip odwrócił się i odprowadził ją do drzwi, a potem zszedł z nią na dół.

Jinx była rozczarowana tą wizytą i trochę na siebie zła. Przedobrzyła. Kip nie wykazał żadnego zainteresowania. Trzy

lata pracy, dwie godziny przed lustrem i wszystko na marne. Pokornie jak owieczka podążała za nim.

- Jeffrey jest bardzo zdolny - poinformował ją Kip. - Pracuje w „Kipling Worldwide” od czasu ukończenia wydziału ekonomii na Harvardzie. Właściwie większość myśli racjonalizatorskich wyszła z jego departamentu. Oficjalna nazwa brzmi Biuro Rozwoju Korporacji, ale ja to nazywam studnią pomysłów, a Jeffrey studnią podziękowań.

- Studnią podziękowań? - Jinx było to zupełnie obojętne, ale wiedziała, że wypadało zadać to pytanie.

- Według Jeffreya celem tego oddziału jest wychodzenie z inicjatywą, która spotka się z podziękowaniem gości i moją aprobatą. Jeśli nikt nie jest mu wdzięczny, uważa projekt za stratę czasu i traktuje to jak osobistą porażkę.

- Wygląda na interesującą osobowość - skłamała Jinx, zastanawiając się, dlaczego umknął uwagi Kipa fakt, że ona zaczęła pracować w „Kipling Worldwide” w wieku szesnastu lat. A co z jej koncepcjami? Czy nie miało znaczenia, że pracowała jako kelnerka, doradca, urzędniczka, przewodniczka, a nawet sprzedawała lody i napoje chłodzące? Czy jego bezcenny Jeffrey Dodge też przeszedł przez te wszystkie szczeble? Dlaczego w ogóle mówił te wszystkie bzdury zamiast trzymać ją w ramionach, całować i szeptać, jak bardzo za nią tęsknił przez ostatnie trzy lata?

W jednej chwili, idąc za nim wzdłuż korytarza, poczuła się jak ostatnia idiotka. Trzyletnie rozstanie tylko umocniło jej uczucie do Kipa. Teraz musiała stanąć przed problemem, nad którym nigdy wcześniej się nie zastanawiała. Możliwe, że była tylko przelotnym romanssem, niczym więcej. Kip mógł obecnie być z kimś innym. Myśl ta zaczęła wytrącać ją z równowagi, a spotkanie z Jeffreyem Dodge'em tylko dołało oliwy do ognia.

Już na pierwszy rzut oka wydał jej się potwornie nudny. Był mniej więcej w wieku Kipa, ale nie miał nic charakterystycznego w rysach. Miał na sobie prążkowany, sztywno zapięty garnitur i śnieżnobiałą koszulę, nosił okulary w grubej rogowej oprawie. Jego brunatnoszare włosy były krótko obcięte, a paznokcie wręcz perfekcyjnie zadbane.

- Proszę zająć miejsce, panno Elliot - powiedział Dodge, sam lokując się w skórzanym fotelu za mahoniowym biurkiem.

Jinx chciała być swobodna, ale jakoś jej to nie wychodziło. Zdenerwowało ją nagłe odejście Kipa i chociaż Dodge starał się być dla niej uprzejmy, jej zmysły odebrały alarmujący sygnał.

- Pan Kipling poinformował mnie, że będzie pani pracować w moim oddziale - mówił niskim głosem z wyraźnym żydowskim akcentem. - Przejrzałem pani akta i muszę stwierdzić, że jak na tak młodą osobę ma pani duże osiągnięcia w pracy.

- Dziękuję - odparła Jinx.

- Jeśli nie miałyby pani nic przeciwko temu, chciałbym usłyszeć od pani coś więcej. Nasze dane nie są kompletne.

Kiedy Jinx wymieniała swoje kolejne posady w „Oasis” i nazwy szkół, do których uczęszczała, Dodge przyglądał się jej wnikliwie. Gdy przed trzema laty Kip wrócił z Phoenix, Dodge zauważył w nim wyraźną zmianę. Jeszcze parę miesięcy po powrocie Kip był czymś przygnębiony i długo nie mógł dojść do siebie. Nie przyjmował zaproszeń na kolacje i nie brał udziału w bankietach, które zawsze uważał za swój obowiązek. Zrobił się skrupulatny, bardziej wymagający i wykazywał nieuzasadnione zainteresowanie obiektem w „Oasis”. Dodge podejrzewał, że w grę wchodziła jakaś kobieta, i parę rozmów z dobrze poinformowanymi osobami potwierdziło te przypuszczenia. Kip pokazywał się na

wakacjach w towarzystwie bardzo młodej osoby. Dodge był pewien, że ta osoba siedziała teraz po drugiej stronie biurka. Kiedy Kip oznajmił mu, że chce awansować Jinx i przenosi ją do Nowego Jorku, Dodge poczuł się zagrożony. Rozmawiając z dziewczyną, doszedł do wniosku, że jego niepokoje były jak najbardziej uzasadnione.

- ... I mam nadzieję, że nie będzie to mój ostatni projekt. - Jinx zakończyła swój monolog koncepcją rozbudowania „Oasis”.

- Muszę przyznać - powiedział Dodge wyciągając się w fotelu i przesyłając jej profesjonalny uśmiech - że nie jestem przekonany co do celowości pani propozycji w obecnej kondycji korporacji, ale oczywiście dokładnie się z nią zapoznam.

Jinx była zupełnie zbita z tropu.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Wydawało mi się, że projekt zyskał już akceptację pana Kiplinga.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział Dodge z pobłażliwym uśmiechem, jaki większość ludzi zachowuje dla rozbrykanych dzieci. - Zapomniałem, że nie ma pani pojęcia o naszej procedurze biurowej. Pan Kipling udzielił wstępnej zgody, która podlega weryfikacji w moim departamencie.

Jinx kiwnęła głową. Być może nie znała się na funkcjonowaniu biura, ale nie miała wątpliwości, że pod słodką maską uprzejmości kryła się przebiegła natura człowieka, który osiągnął swój cel bez przebierania w środkach. Dzisiejsze spotkanie miało być demonstracją jego siły. Chciał jej dać do zrozumienia, że władza Jeffrey'a Dodge'a była niepodzielna i miał zamiar zwalczać nawet najmniejsze i najbardziej niewinne przejawy zagrożenia dla swojego autorytetu.

- W takim razie - rzekła rezygnując z walki - chciałabym zapoznać się z pracą pańskiego departamentu i pańskimi osiągnięciami.

Dodge nie zignorował nutki sarkazmu, który zabrzmiał w głosie Jinx. Swoje zaskoczenie przykrył pobłażliwym uśmiechem. Niełatwo było zapędzić go w kozi róg.

- Gdzie się pani zatrzyma? - zapytał sprowadzając rozmowę na bezpieczniejszy tor.

- Wynajmuję pokój w „Cotillionie”.

- To takie nieprzyjemne miejsce - odparł drapiąc się po nosie. - Mamy kilka apartamentów w hotelu, które udostępniamy naszym pracownikom. Może tam się pani spodoba?

Jinx nie zastanawiała się ani chwili. Już po dwóch tygodniach „Cotillion” zaczął działać jej na nerwy. Był obwarowany zbyt surowym regulaminem i myjąc zęby bez sterylnych rękawiczek, Jinx czuła, że popełnia zbrodnię, za którą grozi kara śmierci.

- Byłoby fantastycznie - odparła. - Bardzo dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział, podnosząc się zza biurka. - Proszę poświęcić dzisiejsze popołudnie na przeniesienie bagaży i rozlokowanie się w pokoju. Dopełnię wszystkich formalności. Od jutra może pani zacząć pracę.

Odprowadził ją do drzwi, uścisnął jej dłoń i patrzył, jak odchodziła z uśmiechem pełnym zadowolenia. Młoda osóbką z Phoenix właśnie popełniła kardynalny błąd. Jeżeli liczyła na romans z Kipem po godzinach pracy, powinna trzymać się z dala od hotelu. Harrison Kipling miał swoje słabości, ale dyskrecja była jego drugą naturą. Nigdy by sobie nie pozwolił na uwodzenie kobiety na oczach pracowników. Jedna wizyta w pokoju Jinx i ich romans stałyby się publiczną tajemnicą. Punkt dla mnie, pomyślał Jeffrey Dodge.

Przez najbliższe tygodnie Jinx ani razu nie widziała Harrisona Kiplinga. Spędzał mnóstwo czasu poza miastem, a kiedy już zjawiał się w Nowym Jorku, zachowywał się tak, jakby jej unikał. Jak na ironię właśnie dostała list od matki, która podejrzewała, że głównym zajęciem Jinx w Nowym Jorku było dotrzymywanie towarzystwa Kipowi w łóżku. Kate do znudzenia wypytywała córkę o znajomości, jakie zawarła, i Jinx wysyłała jej opisy mężczyzn i kobiet, których poznała w pracy. Kate najwyraźniej nie była tym usatysfakcjonowana i nadal męczyła ją tymi samymi pytaniami, niesłusznie przypuszczając, że jej córka ma coś do ukrycia.

Listy od Hanka dotyczyły jej pracy. Chciał wiedzieć, czy jest interesująca, inspirująca i czy daje jej satysfakcję. Z kolei listy od Heather przypominały kolumny towarzyskie: informowały o tym, jak kto się ubrał, gdzie był i kiedy, i co najważniejsze zawierały pytania, dlaczego Jinx nie otaczali wszyscy co szacowniejsi kawalerowie w mieście? Odpowiedź była prosta. Jinx nadal była zakochana w Kipie i mimo że jej entuzjazm zaczął powoli przygasać, jeszcze nie straciła nadziei.

Choć życie osobiste przynosiło Jinx kolejne rozczarowania, nie mogła uskarżać się na pracę. Uwielbiała pracować dla korporacji. Uważała to za bardzo pouczające i ekscytujące zajęcie i im więcej poznawała, tym więcej chciała się nauczyć. Prawie natychmiast zrozumiała, że lata spędzone w Phoenix były jedynie przygrywką dającą jej pojęcie o funkcjonowaniu jednego małego elementu ogromnej łamigłówki.

Pracując w Nowym Jorku, mogła odnieść ten element do całości i przyczynić się do dalszego rozwoju kurortu.

„Kipling Worldwide” był olbrzymią, otaczającą glob siecią, współpracującą z obcymi rządami, znoszącą bariery kulturowe, spełniającą potrzeby biznesmenów i turystów,

wkraczającą do małych miasteczek i olbrzymich metropolii, związaną z liniami lotniczymi, portami morskimi, kształtującą smak i narzucającą styl, W korporacji pracowało mnóstwo ciekawych ludzi wykonujących interesującą pracę, którzy zajmowali luksusowe apartamenty na trzech piętrach hotelu „New York Kipling” i cztery piętra w nowoczesnych biurowcach korporacji na Piątej Alei. Jinx wydawało się dziwne, że Kip, właściwie stojąc na uboczu, mógł nadzorować tak wielką korporację, i tak doskonale prowadzić jej interesy.

Jedynym mankamentem dla Jinx był Jeffrey Dodge. Nie ulegało wątpliwości, że Kip miał ogromne zaufanie do jego kompetencji i wszyscy pracownicy Departamentu Rozwoju darzyli go szacunkiem i na gruncie zawodowym dobrze się z nim rozumieli. Tylko nieliczni mieli odwagę, by prywatnie zakwestionować słuszność jego pozycji. Pracował bardzo efektywnie, zostawał po godzinach, wykazywał ogromną skrupulatność w ocenie nowych koncepcji i potrafił wydobyć ze swych podwładnych wszystko co najlepsze. Jinx zaobserwowała, że miał wręcz genialną zdolność wyłapywania najciekawszych i najbardziej opłacalnych propozycji i wdrażania ich znacznie szybciej od konkurencji.

Zdołała jednak zauważyć, że jego otwartość obejmowała wszystkich oprócz niej. Wprawdzie jej projekt rozbudowania „Oasis” skierowano w końcu do realizacji, jednak wszystkie inne sugestie Jinx zostały odrzucone. Poprosiła o jakieś uzasadnienie, ale Dodge zignorował jej prośbę. Zrobiła się bardziej natarczywa. Dodge odpowiadał tym samym oślim uporem. Kiedy zażądała, by skierował jej projekt bezpośrednio do Kiplinga, przypomniał jej, że to on jest szefem departamentu i od niego zależy weryfikacja planów.

Po tym wszystkim Jinx wycofała się na jakiś czas, przyjmując pozycję obserwatora. Zauważyła, że Dodge interesował się tylko tymi koncepcjami, które były łatwe do

wdrożenia i miały duże szanse powodzenia. Rozumiała jego poczucie odpowiedzialności za stan finansowy korporacji, ale jej zdaniem wykazywał nadmierną ostrożność. Im pomysł był bardziej twórczy, a tym samym bardziej ryzykowny, tym większe było prawdopodobieństwo, że zostanie odrzucony przez Jeffa. Zdawała sobie sprawę, że trudno jest oceniać skuteczność projektu w początkowej fazie opracowywania zagadnienia, ale punkt widzenia Dodge'a był wyraźnie zawężony i wiele innowacji, które mogły przynieść duże dochody, pozostawało bez odzewu.

Na szczęście inni pracownicy departamentu okazali się znacznie przyjemniejsi od zwierzchnika. Współpracowała z czterema mężczyznami i trzema kobietami, niezwykle twórczymi i sporo starszymi od Jinx. Kobiety natychmiast ją zaakceptowały. Zabierały ją na wycieczki po mieście, oprowadzały po domach towarowych na Manhattanie i od czasu do czasu zapraszały do siebie na rodzinne kolacje. Mężczyźni także traktowali ją przyjaźnie. Chodzili na lunchy, zatrzymywali się przy jej pokoju, żeby zamienić parę słów, zapraszali ją po pracy na drinka, czasem na kolację i zachęcali do wynajęcia mieszkania, zanim obrzydnię jej rutyna życia i pracy w tym samym miejscu.

Po paru tygodniach poszukiwań Jinx znalazła w końcu własny kąt na rogu Osiemnastej ulicy. Zdecydowała się na mieszkanie na trzecim piętrze starej kamienicy. Wprawdzie z okna Jinx nie widziała nic oprócz ścian sąsiedniego budynku, a łazienka wykładana była szaroburymi kafelkami, ale mieszkanie to wydawało jej się najbardziej przestronne ze wszystkich, które dotąd oglądała. W środku znajdowała się wnęka na jadalnię i duży pokój z meblościanką.

Zaraz za rogiem był przystanek autobusowy i co najważniejsze, miesięczny czynsz nie przekraczał długu, jaki zaciągnęły Stany Zjednoczone po drugiej wojnie światowej.

Był pierwszy czwartek miesiąca i zgodnie z przyjętym zwyczajem Dodge zwołał spotkanie pracowników departamentu. Jinx musiała jeszcze podpisać umowę wynajmu. W przeciwnym razie mieszkanie uciekłoby jej sprzed nosa.

Kiedy wbiegła do gabinetu Dodge'a dwadzieścia minut po rozpoczęciu zebrania, zmierzył ją lodowatym wzrokiem. Ostatnio nie był dla niej szczególnie uprzejmy, lecz jego sarkastyczny komentarz zupełnie zbił ją z tropu.

- Jak to miło, że zechciała pani nas zaszczyścić swoją obecnością, panno Elliot.

- Bardzo przepraszam. Musiałam podpisać kontrakt na wynajem mieszkania. Nie mogłam złapać taksówki i jak na ironię dziesięć minut czekałam na przystanku. - Z trudem łapała oddech, przejęta tym oschłym przywitaniem.

- To bardzo interesujące. Ale w przyszłości na załatwianie prywatnych spraw proszę poświęcać swój własny czas. Nasz jest zbyt cenny.

Spojrzał na nią tak, jakby przed sekundą zadźgała z zimną krwią swojego salonowego pieska. Potem rzucił spojrzenie na stół konferencyjny i zupełnie ignorując Jinx zwrócił się do siedzącej obok niej kobiety.

- Claire - zaczął - o czym mówiłaś, zanim panna Elliot tak brutalnie ci przerwała?

Claire Billings, jedna z jej koleżanek, poczekała, aż Jinx wygodnie usiądzie na krześle i Dodge odzyska równowagę. Miała około czterdziestu lat, pochodziła z Francji, a jej mąż był międzynarodowym potentatem w przemyśle stoczniowym i jednym ze starych przyjaciół Kipa. Nosila jaskrawe ubrania i pretensjonalną biżuterię, ale jej bystry umysł, profesjonalizm i umiejętność perswazji całkowicie rekompensowały niezbyt estetyczne wrażenie, jakie robił jej strój.

- Mówiłam o projekcie, nad którym pracujemy z Jinx. Chcemy wprowadzić do kilku większych kurortów Salony odnowy biologicznej.

- Zbyt wielka ekstrawagancja i za małe zyski. - Jeff nawet nie spojrzał na Claire. Był zbyt zaabsorbowany manipulowaniem przy skórkach paznokci, których nie zauważyła manikiurzystka.

- Dlaczego dokładnie nie zapozna się pan z tą koncepcją?
- zapytała z krytyką w głosie.

- Nie będę poświęcał czasu jakimś frywolnym kaprysom.

- Nie zgadzam się z panem! - agresywnie odparła Jinx, jak wilk rzucający się na swoją ofiarę. - Nie ma nic frywolnego w trosce o dobre zdrowie.

- Celem „Kipling Worldwide” nie jest wyszczuplanie talii i ujędrnianie ud. - Dodge zrobił się bardzo wojowniczy i choć urok osobisty nie był jego najmocniejszą stroną, tak ostentacyjny upór także nie leżał w jego naturze. Coś innego zaprzętało mu głowę i Jinx nie miała wątpliwości, że to ona stanowi źródło wszystkich jego problemów.

- Nie mogę się z panem zgodzić - nie ustępowała. - Dbłość o kondycję fizyczną stała się częścią życia każdego człowieka. W całym mieście powstają ośrodki, w których mężczyźni i kobiety walczą z nadwagą i rozwijają mięśnie.

- Nie zrozumiała pani mojej sugestii - odparował. - Ludzie ćwiczą w domach, a nie na urlopach.

- Powinien pan to powiedzieć księgowym z „La Casty”, „Palm Aire” i „Golden Door”. Ciekawa jestem, skąd się biorą ich dochody.

Dwie osoby poruszyły się na krześle. Dodge zabalgotał ze złości.

- Też jestem tego ciekawa - przyszła jej z pomocą Claire - zwłaszcza że wszystkie te ośrodki mają rezerwację na dwanaście miesięcy w roku, jak zdążyłam się zorientować.

- Zapotrzebowanie rynku na tego typu obiekty będzie coraz większe. Myślę, że luksusowe siłownie dobrze by się przysłużyły rozwojowi naszej korporacji. W sezonie byłyby dodatkową atrakcją, w martwym okresie przyciągałyby klientów z okolic.

- Dlaczego ludzie mieliby przychodzić do hotelu zamiast wykupić sobie kartę wstępu do klubu sportowego?

- A dlaczego jest pan aż tak nieprzychylnie nastawiony? - Jinx była zła. - To znakomity pomysł, który wymaga przynajmniej rozpatrzenia.

- Dobrze. - Dodge podniósł się z krzesła i spojrzał Jinx prosto w twarz. - Przedłożę waszą koncepcję panu Kiplingowi. Jeśli wykaże zainteresowanie, podejmiemy dalsze kroki.

- W porządku. Ale Claire i ja chciałybyśmy osobiście to zrobić. Opracowałyśmy już szczegółowe koszty. Mogłybyśmy przedstawić panu Kiplingowi pełny obraz tego przedsięwzięcia.

- Jeśli pan Kipling wyrazi zainteresowanie - powtórzył Dodge, jakby nie dotarło do niego nic z tego, co mówiła Jinx - dam wam znać.

Tym stwierdzeniem uciał dyskusję i wyszedł z sali konferencyjnej, głośno zamykając za sobą drzwi.

- Nie mam do niego za grosz zaufania - powiedziała Jinx, wpatrując się w drzwi, za którymi zniknął Dodge.

- Ja też nie - poparła ją Claire z wyrazem powagi na twarzy. - Nie wiem czemu, moja droga, ale z jakiegoś powodu ten człowiek cię nie toleruje.

- Zaraz powiem ci coś szokującego - odparła Jinx. - Ja też go nie znoszę i nie mam pojęcia, dlaczego taki sensowny człowiek jak Harrison Kipling zatrudnia faceta, który jest do wszystkiego negatywnie ustosunkowany.

- Z jednego powodu. Dodge jest jego szwagrem. - Claire była zupełnie nieświadoma uczuć Jinx i zaszokował ją wyraz twarzy młodej koleżanki.

- Nie wiedziałam, że Dodge jest mężem jego siostry - odezwała się Jinx miotana natłokiem myśli i podejrzeń.

- Dodge jest bratem Elizabeth Kipling - poprawiła ją Claire.

Jinx opuściła salę konferencyjną i udała się prosto do gabinetu Kipa. Projekt siłowni był wprawdzie sam w sobie bardzo ciekawy, ale teraz nabrał dla Jinx wręcz symbolicznego znaczenia i nie było mowy, żeby Kip nie wysłuchał jej argumentów, bez względu na to, czyim bratem był Jeffrey Dodge. Kiedy tylko otworzyła drzwi do biura Kipa, zdała sobie sprawę, że jest jeszcze jedna przeszkoda do pokonania: Antoinette Troy, nie przez sympatię nazywana przez wszystkich Cerberem.

- Panno Troy. Chciałabym się zobaczyć z panem Harrisonem Kiplingiem.

Za każdym razem, kiedy próbowała skontaktować się z Kipem, Cerber stwarzał jakieś trudności: „Pan Kipling wyjechał, pan Kipling jest bardzo zajęty, pan Kipling jest na zebraniu, pan Kipling rozmawia przez telefon, pan Kipling nie przyjmuje interesantów” albo mówiła po prostu - „proszę wyjść”.

- Terminarz pana Kiplinga jest już przepełniony w tym tygodniu - wyrecytowała jak automat ze sztucznym uśmiechem przyklepionym do twarzy. - Spróbuję gdzieś panią wcisnąć w przyszłym tygodniu. Zadzwoń do pani, jak tylko szef znajdzie chwilę czasu.

- Panno Troy, albo zapisze mnie pani na jutro na audiencję u lotnego jak kamfora pana Kiplinga, albo jeszcze dziś podpisze pani moją rezygnację.

- Nie za szybko?

- Nie.

W gabinecie Kipa zadzwonił telefon. Antoinette Troy dokonała wszystkich niezbędnych operacji, przeprosiła Jinx i zniknęła w pokoju Kipa. Jinx nie miała pojęcia, skąd przyszło jej to do głowy, ale podniosła słuchawkę i przystawiła ją do ucha. Dzwonił Jeffrey Dodge, żeby umówić się z Kipem na kolację w restauracji „La Cote Basque” o siódmej trzydzieści. Dochodziła piąta. Nie miała dużo czasu. Zaczekała, aż Cerber odłoży słuchawkę w gabinecie, po czym zrobiła to samo.

Miała przed sobą pracowite popołudnie.

Kiedy taksówka zatrzymała się przed restauracją „La Cote Basque”, Jinx zapłaciła kierowcy, wzięła głęboki wdech i wyszła na Pięćdziesiątą Piątą ulicę. Przez ostatnią godzinę jej żołądek wykonywał niespodziewane skurcze, zmieniając zjedzoną w locie kanapkę w papkę przypominającą puree. Rzuciła przelotne spojrzenie w szybę auta, przyglądziła pasmo włosów, które wyplątało się z bardzo statecznego koka, i porozpinała guziki płaszcza, żeby nie musieć się już z nimi męczyć przy drzwiach. Jeszcze jeden głęboki wdech i wkroczyła do środka.

Restauracja była pełna po brzegi. Tłumek przy wejściu zatrzymał na chwilę Jinx, dając jej czas na ostatnie szlify. Zależało jej, aby nie sprawiać wrażenia turystki, ale nie mogła się powstrzymać od rozglądania wokół siebie. Wzory na zaciągniętych storach przedstawiały okręty w porcie St. Jeau de Lux. Inne motywy morskie pędzla Bernarda Lamdte'a pokrywały powierzchnię sufitu, a szyby osadzone w kamiennych łukach zdobiły sceny marynistyczne. Na stolikach stały bukietki kwiatów. Wielkie wazy z ikebanami ustawiono w delikatnie oświetlonych niszach. Ekskluzywnie ubrane kobiety i elegancy mężczyźni dodawali szyku stiukom w kolorze kości słoniowej i ciemnobrązowym drewnianym belkom imitującym wnętrze wiejskiego dworku.

Pewnego wieczoru Claire zaprosiła Jinx na lunch do „La Cote Basque” i ostrzegła ją, że w tym miejscu nie nosi się spodni, i każdego, kto nie wyglądał na osobę z towarzystwa, natychmiast prowadzono do stolika przy kuchni. Stosując się do jej rady, Jinx wybrała na dzisiejszy wieczór jedną z sukienek „La Tessy”. Był to fason nowego kreatora mody Paula Rochelle'a - czarna sukienka z kropy z dekoltem obszytym perełkami, z długimi rękawami zapinanymi na guziczki przy mankietach i draperią opadającą z ramienia i zebraną w węzeł przy lewym biodrze. W uszy wpięła kolczyki z pereł, które dostała od Kate i Hanka z okazji ukończenia studiów.

Kiedy dwie pary stojące przed Jinx zaprowadzono do stolików, Jinx zauważyła Kipa i Dodge'a. Mężczyźni siedzieli przy barze całkowicie pochłonięci rozmową. Jinx ucieszyła się, że nie jedli kolacji przy stoliku dla dwóch osób, gdyż jej nadejście spowodowałoby niepotrzebne poruszenie. Kip siedział na czerwonej skórzanej kanapie zaś Dodge w fotelu naprzeciwko. Obok Kipa było jeszcze dużo wolnego miejsca.

Jinx zdjęła płaszcz, podała go portierowi i ruszyła w stronę baru, kiedy zatrzymał ją Stewart grzecznym, acz stanowczym gestem.

- Pardon, mademoiselle. Czym mogę pani służyć?

- Jestem umówiona z panem Kiplingiem i z panem Dodge'em - powiedziała tonem osoby, której nie sposób się sprzeciwić.

- Nie wiedziałem, że pan Kipling jeszcze się kogoś spodziewa. - Był uprzejmy, ale w jego głosie słychać było sceptycyzm.

- A ja nie wiedziałam, że będę poddana przesłuchaniu jeszcze przed wskazaniem mi stolika.

Skłonił głowę i zaprowadził ją na salę.

- Tędy proszę. Oczywiście tylko dzięki pewności siebie zdołała na nim wyrzeć odpowiednie

wrażenie. Pomyślała, że gdyby teraz Kip nie pozwolił jej się przysiąc, umarłaby na miejscu. Przyczyną śmierci byłby wstyd i upokorzenie.

- Panie Kipling, przybył pański gość.

Kip podniósł wzrok, po czym na jego twarzy pojawił się spontaniczny uśmiech.

- Jak dobrze, że zechciała pani przyjść, panno Elliot! - powiedział pomagając jej usadowić się tuż obok siebie. - Cieszę się, że przyjęła pani moje zaproszenie.

- Jakżebym mogła odmówić - odpowiedziała przesyłając Kipowi pełne wdzięczności spojrzenie.

Kip zamówił dla niej kir i poprosił, żeby kelner jeszcze raz wymienił specjalność kuchni. Nie prosił Jinx o wyjaśnienia i nie czuł się w obowiązku tłumaczyć przed Dodge'em. Sądząc z tonu, jakim Jeff rozmawiał przez ostatnie pół godziny, powód, dla którego zjawiała się Jinx, był dla Kipa całkiem oczywisty.

Drinki, aperitify, wino i przystawki były doprawdy wyśmienite, ale Jinx nie potrafiła tego docenić. Sama obecność Kipa przyprawiała ją o zawroty głowy. Jej nozdrza wypełniał jego zapach, jej uszy dźwięk jego głosu, jej oczy widok jego twarzy. Chciała dotknąć jego dłoni, poczuć smak jego warg, ale wiedziała, że nie może tego uczynić. Zrobiła już pierwszy krok, przyjeżdżając do Nowego Jorku. Teraz wszystko zależało od niego.

Podczas posiłku Dodge spostrzegł, że Kip nie zwraca na niego najmniejszej uwagi. Od chwili pojawienia się Jinx, ani na chwilę nie spuścił z niej wzroku. Zirytowany jej nadejściem Dodge rozwodził się nad nedorzecznością projektu Jinx i uparcie trzymał się tego tematu. Od czasu do czasu Jinx odpierała jego zarzuty, argumentując słuszność

swojej koncepcji i przytaczając wyniki rekonesansu przeprowadzonego przez Claire.

Dla Kipa nie miało najmniejszego znaczenia, co kto powiedział. I tak nie słuchał. Kiedy nadszedł kelner, aby przyjąć zamówienie, Kip dał Dodge'owi wyraźnie do zrozumienia, że ich spotkanie dobiegło końca.

- Proszę o suflet Grand Marner dla panny Elliot i dla mnie - powiedział kelnerowi, po czym odezwał się do Dodge'a: - Jeff, wiem, że nie lubisz tak wcześnie uciekać, ale nie zapominaj o jutrzejszym porannym spotkaniu z szefem sekcji europejskiej. Poza tym Alicja na pewno się już niepokoi.

Dodge niechętnie podniósł się z krzesła.

- Tak, lepiej już pójdę - powiedział. - Zadzwoń zaraz po zakończeniu spotkania.

Celowo ignorując Jinx, Jeffrey udał się do wyjścia.

- Ten człowiek mnie nienawidzi - powiedziała Jinx.

Kip uchylił się do tyłu, kiedy kelner nalewał kawę.

- Obawiam się, że to moja wina - odparł. - Poprosiłem go o tygodniowy raport dotyczący postępów w twojej pracy i widocznie moje żywe zainteresowanie twoją osobą sprawiło, że poczuł się zagrożony.

- Nie widzę powodu - rzekła Jinx, zastanawiając się, co też kryło się za „żywym zainteresowaniem” Kipa. - Nie stanowię dla niego żadnej konkurencji.

- Nie wiem, czy on tak do tego podchodzi - wyjaśnił Kip - ale rzucasz mu wyzwanie. W końcu to ty nie pozwoliłaś, by przedstawił mi szczegóły dotyczące twojego projektu.

- Racja.

- Czy nie nazwałabyś tego podważaniem autorytetu?

- Sądzę, że to tylko ubieganie się o równe prawa.

- W porządku - odparł. - Dałem mu na wyjaśnienia dwadzieścia minut. Masz tyle samo czasu.

Jinx natychmiast zaczęła mu wyjaśniać detale koncepcji. Była dobrze poinformowana i choć Kip starał się skupić na tym, co mówiła, myślami błądził gdzie indziej. Zatopił się we wspomnieniach, lecz po chwili zmusił się do koncentracji. Czyżby ta uduchowiona istota z Phoenix aż tak się zmieniła? Nie. Niezupełnie. Zauważył w oczach Jinx ten sam błysk co dawniej, kiedy z entuzjazmem mówiła o swojej pracy. Witalna młodość, która kiedyś aż tak go ujęła, nie opuściła Jinx.

- Jinx - położył rękę na jej dłoniach. - Nie chcę rozmawiać o kompresach błotnych, kąpielach ziołowych i kolorze terakoty. Czas, żebyśmy pomówili o nas.

- Przyszłam tutaj w celu przedstawienia mojego punktu widzenia.

Jego palce owinęły się wokół palców Jinx, a na ustach pojawił się ten sam ciepły asymetryczny uśmiech.

- A ja chciałbym dokończyć pewną rozpoczętą historię, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Spojrzał na nią i Jinx popadła w niewolę jego wzroku. Nadeszła chwila, na którą tak długo czekała, ale teraz ogarnęła ją nieśmiałość i podenerwowanie.

- Jestem ci winien przeprosiny.

- Za co?

- Pozwól mi wyliczyć: za to, że cię opuściłem, nie zadzwoniłem, nie napisałem listu, nie wyjaśniłem ci powodu mojego zniknięcia i nie pomogłem ci odnaleźć się w Nowym Jorku. Możesz zacząć mnie atakować. Jestem winny na wszystkich frontach.

- Nie mam zamiaru o nic cię oskarżać - odrzekła spokojnie.

- Tym bardziej proszę o wybaczenie. Zechciej mnie wysłuchać.

Jinx skinęła głową. Ten dotyk jego dłoni, ten czuły tembr głosu i nieśmiałość w oczach - w tym momencie wybaczyłaby mu wszystko.

- Kiedy spotkaliśmy się w Phoenix, mimo że od śmierci mojej rodziny upłynęło tak dużo czasu, ciągle jeszcze nie mogłem dojść do siebie. Wprawdzie przestałem już ich opłakiwać, udawało mi się nawet oglądać ich zdjęcia bez zatraćania się w żalu i wykonywałem swoje obowiązki, ale wtedy nie umiałem jeszcze z tym żyć. Myślę, że pozwoliłem sobie na ucieczkę w bardzo wygodną rolę wdowca. Samotność i izolacja, przed którymi nie próbowałem się bronić, stały się codziennością mojego życia i dawały mi dziwne poczucie bezpieczeństwa. Dopiero ty rzuciłaś im wyzwanie.

Przeniknęłaś przez mur mojego więzienia i zażądałaś, żebym opuścił wygodną celę, spojrział w niebo i znów zaczął żyć między ludźmi. Nie byłem jeszcze gotowy.

- Więc wyjechałeś - powiedziała Jinx z ogromną, przepełnioną smutkiem czułością.

- Więc wyjechałem. - Palce Kipa jeszcze mocniej oplótły się wokół jej dłoni, - Potrzebowałem czasu, by sobie uświadomić, że muszę pogodzić się z ich śmiercią i mimo że nigdy ich nie zapomnę, nie mogę wiecznie opłakiwać tej straty. Potrzebowałem czasu, by przyzwyczaić się do życia bez nich i sam przed sobą przyznać się do winy.

- Do jakiej winy?

Oczy Kipa pociemniały.

- Jestem winny, gdyż oni odeszli, a ja pozostałem przy życiu. Mimo wsparcia i ciepła, jakie dawali mi przyjaciele i krewni, czułem się wśród nich jak wyrzutek. Byłem dla nich ciężarem. Zawiniłem, kiedy spotkałem ciebie i odkryłem, że nadal jestem zdolny do miłości, że potrafię kochać i być kochany. Wyrzucałem sobie, że darząc uczuciem ciebie, coraz bardziej się od nich oddalam.

Jinx nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Tysiące razy wyobrażała sobie tę scenę; wkładała w usta Kipa jedno usprawiedliwienie po drugim, robiła mu wyrzuty i mówiła o swojej krzywdzie, ale wszystko, co teraz powiedział, było zbyt przygniatające.

Pochyliła się nad stolikiem i delikatnie pocałowała go w usta, świadoma, że byli w restauracji, że Kip nic jej nie obiecywał i nie robił żadnych propozycji. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, patrząc sobie w oczy i trzymając się za ręce. Nagle Jim zmrużyła oczy.

- Okey - powiedziała. - Rozumiem, dlaczego nie dawałeś znaku życia przez trzy lata. Ale dlaczego unikałeś mnie w Nowym Jorku?

Kip zaśmiał się, a potem znowu zrobił poważną minę.

- Ponieważ wiedziałem, że jeśli spędzę z tobą więcej niż dziesięć minut, to natychmiast cię poproszę, żebyś poszła ze mną do domu. Pójdziemy?

Jinx spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.

- To było bardzo długie dziesięć minut - odparła - i już dawno zbierałam się do wyjścia.

Apartament Kipa zajmował ostatnie piętro biurowca „New York Kipling”. Przestronny marmurowy korytarz prowadził do ogromnego pokoju z balkonowymi oknami na dwóch przeciwległych ścianach. Jinx nie zauważyła żadnych zasłon ani żaluzji, które by przesłaniały wspaniałe widoki na miasto. Na zewnątrz, w jedwabnej czerni nocy, jak diamenty połyskiwały światła.

Kip oprowadził ją po pokojach i Jinx oglądała wszystko jak przez romantyczną mgłę. Zachwycała się wspaniałymi obrazami na ścianach, grubymi, ręcznie tkanymi dywanami leżącymi na podłodze, rzeźbami i meblami, które wkomponowane w całość były znakomitą częścią tego mglistego obrazu.

Jego sypialnia tonęła w ciepłym świetle rozchodzącym się jedynie od nocnej lampki. Pokój miał kolor przyćmionej zieleni i beżu. W rogu stało duże łóżko, obite ciemnozieloną, mięciutką skórą i przykryte karminową narzutą z rzędem skórzanych poduszek ułożonych u wezglowia, nad którym stał cały zestaw z telefonami, domofonami, monitorami i sprzętem stereo. Naprzeciwko znajdował się niewielki stół z nieskazitelnej stali z dwoma głębokimi, skórzanymi fotelami w zielone i beżowe pasy. Jinx nie dostrzegła żadnych półek, szafek i szaf na ubrania; na ścianach wisiały dwa duże płótna ze współczesnym malarstwem, podobne do obrazów zdobiących wszystkie nowoczesne galerie.

Kiedy Kip poszedł po butelkę wina, Jinx usiadła w fotelu i zatopiła się w luksusie pomieszczenia. Chciała zapamiętać każdy szczegół tej nocy. Nie miała pojęcia, jak zakończy się ten romans, ale w tym momencie starała się o tym nie myśleć. Tak długo czekała na tę chwilę!

Kip wrócił do pokoju, napełnił kieliszki, podał jeden Jinx i obserwował, jak powoli sączy wino. Wziął drugi i także się napił. Potem pochylił się nad nią i pocałował ją w rękę.

- Kocham cię, Frances Rebecca Elliot - wyszeptał. - Kochałem cię od chwili, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy.

Jinx nie wiedziała czemu, ale jej oczy wypełniły łzy.

- Ja też ciebie kocham, Harrisonie Phineasie Kipling. I to bardzo.

Kip postawił na stole jej kieliszek, pomógł jej wstać i wziął ją w ramiona. Ich wargi zetknęły się i czuła przenikliwe drżenie, kiedy ją całował. Mocno przytulił ją do siebie, wypełniając jej uszy słowami miłości. Jego oddech pieścił jej szyję. Jego usta wędrowały po jej ramionach, a palce rozsuwały sukienkę. Czarny materiał opadł, oplatając jej stopy. Kip zrobił krok do tyłu i podał jej rękę gestem zapraszającym do tańca. Jinx uwolniła się z okalającej stopy

sukni i zsunęła pantofle. Zaprowadził ją do łóżka i ułożył obok siebie. Zatopiła się w jedwabistej miękkości atłasu, kiedy Kip powoli zdejmował ubranie. Pieścił ją czule i powoli, dając jej czas, by przyzwyczaiła się do jego ciała. Przeczesał palcami jej włosy i luźno rozrzucił je na ramiona. Spojrzał na tę czarną kaskadę i na jej czarną jedwabną koszulkę i poczuł nagły przyptyw pożądania.

Leniwym ruchem zsunął jedno ramiączko, wędrując ustami wzdłuż linii szyi i dochodząc do wzgórza jej piersi. Zsunął drugie i ponownie zatopił usta w jej ciele, które zaczęło falować swoim rytmem, nie słuchając już poleceń rozumu, ożywione dotykiem dłoni Kipa i pieszczotą jego warg. Jinx przymknęła oczy, a jej wnętrze wypełniło się narastającym podnieceniem i głodem pożądania.

Kip delikatnie zdjął jej koszulkę, oswobodził ją z krepujących więzów, jeszcze bardziej rozpalając nieokiełznany wewnętrzny ogień. Wsunął ręce pod jej ciało, a jego usta ponownie wróciły do jej warg. Pieścił ją i całował, dając jej czułość, satysfakcję i ucząc ją prawdziwej miłości. Jej usta same się rozwarły, głęboko wchodząc w jego wargi, i poruszali się razem w oczekującej spełnienia ekstazie. W końcu odnaleźli się w sobie, jednocząc dwie dusze, które nigdy nie były sobie obce, i ciała, które nigdy wcześniej nie były ze sobą tak blisko.

Przez następne parę miesięcy Jinx i Kip często przebywali razem. Mimo że starali się zachować dyskrecję, Jinx była pewna, że stanowili najbardziej wdzięczny temat do plotek. Sądząc po niezdrowym poruszeniu i porozumiewawczych spojrzaniach personelu, kiedy przechodziła korytarzem, nie miała wątpliwości, że szczegóły ich romansu obiegały hotel jak najświeższe wydarzenia ze świata prezentowane w codziennych wiadomościach zaraz po stanie natężenia ruchu i prognozie pogody.

Jefirey Dodge traktował Jinx z coraz większym dystansem i swoim wystudiowanym, plastikowym uśmiechem wprowadzał ją w coraz większe zakłopotanie. Nigdy nie pozwolił sobie na upust wrogości, maskując ją pozorami obojętności i rosnącą dezaprobatą. Co gorsze, wykorzystywał każde najmniejsze potknięcie Jinx do ośmieszenia jej w oczach współpracowników.

Jinx przypuszczała, że stosunki z Dodge'em były odpowiedzią na związek z Kipem. Stały się jeszcze bardziej napięte, kiedy Kip zaaprobował jej projekt. Po serii spotkań z Claire i Dodge'em, Kip zdecydował się na wprowadzenie tej koncepcji w życie. Powołał zespół księgowych, architektów, dekoratorów wnętrz i ekspertów do spraw kultury fizycznej, nakazując im przeprowadzenie rozpoznania. Propozycja Jinx i Claire spotkała się z entuzjazmem i została uznana za niezwykle atrakcyjną i dochodową. Jednakże przed wprowadzeniem siłowni i gabinetów odnowy biologicznej do wszystkich swoich kurortów, Kip postanowił otworzyć próbny obiekt w „Chalet Kipling” w miejscowości Veil w Kolorado, Chciał rozpocząć budowę wiosną i sfinalizować plan przed rozpoczęciem sezonu zimowego. Gdyby projekt spełnił oczekiwania, podobne ośrodki miały powstać także w innych miejscach.

Przez cały czas Dodge odgrywał rolę Kasandry, przewidując niechybną klęskę i uparcie odmawiając swojego poparcia. Był tak zacięty w obstawaniu przy swoim, że Jinx zmuszała się podczas wspólnych dyskusji do zachowania resztek kultury. Claire ignorowała Dodge'a, a Kip prosił, by zachowały tolerancję dla poglądów szefa.

- Każdy ma prawo do swojej pięty achillesowej - tłumaczył Jinx. - Jeśli ten projekt jest cierniem w boku Jeffa, należy to uszanować bez względu na to, co się za tym kryje. I nie mieszajmy do tego całego departamentu.

Nic jednak nie zdołało stanąć na przeszkodzie w zacieśnianiu się związku między Kipem i Jinx. W pracy zawsze zachowywali odpowiedni dystans, ale poza nią, z wyjątkiem podróży Kipa i pracy Jinx po godzinach, zawsze spędzali czas razem. Niekiedy chodzili na kolacje z Claire i jej mężem Peterem Billingssem, którzy byli zachwyceni zażyłością między Kipem i Jinx. Na weekendy jeździli zwykle do jednego z kurortów Kipa, chodzili na dansingi do „El Morocco”, bywali na premierach i brali udział w przyjęciach, które całkiem naturalnie wzbudzały żywe zainteresowanie prasy.

Jednak najlepiej czuli się tylko we dwoje. Potrafili rozmawiać godzinami. Kip opowiadał o Elizabeth i o tym, jak trudno przyszło mu pogodzić się z jej śmiercią. Była częścią jego życia i choć upłynęło już tyle czasu i ból stał się mniej dotkliwy, przychodziły dni, w których jakiś dźwięk, zapach lub zdanie przywoływały stare wspomnienia. Opowiadał o swoich dzieciach i o okropnej pustce, jaką przyniosła ich śmierć.

- Dlatego właśnie przenieśliśmy się do tego apartamentu - wyjaśnił. - Dom w Westchester był dla mnie jak trumna. Sumienie nie pozwalało mi go sprzedać, ale życie w tym miejscu stało się ciężarem nie do zniesienia.

Jinx mówiła o Benjaminie Rostovie i o tym, jak bardzo pragnęła natrafić na ślad ojca, którego nigdy nie знаła. Zwierzała się Kipowi z doskwierającego jej poczucia alienacji.

- Muszę nawiązać kontakt z jego rodziną i dowiedzieć się czegoś więcej - mówiła. - Muszę zgłębić tę historię.

- A co będzie, jeśli prawda sprawi ci ból?

- Będę musiała się z tym pogodzić. Nic nie jest gorsze od życia w nieświadomości.

Kip był innego zdania, ale zatrzymał je dla siebie. Dopóki nie znalazła nic namacalnego, nie było powodów do niepokoju.

Jinx, jak większość kobiet z początku lat siedemdziesiątych, stanowiła połączenie nowoczesnego myślenia i tradycyjnych wartości.

Zetknęła się z problemami, które były obce kobietom ze starszego pokolenia, a wiele jej poglądów zatęczało feminizmem - zależało jej na karierze, była finansowo niezależna, uczuciowo i seksualnie wyzwolona, jednak opowiadała się za tradycyjnym modelem małżeństwa i rodziny. Chciała być panią Kipling i pragnęła mieć dzieci, ale jak dotąd nigdy na ten temat nie rozmawiali.

Pewnego ranka, kiedy leżała z Kipem w łóżku, przeglądając niedzielne wydanie „Timesa” i pijąc kawę, te nie całkiem uświadomione pragnienia dotarły do niej ze zdwojoną siłą. Kip czytał rubrykę poświęconą interesom, a Jinx była tak zaabsorbowana poszukiwaniem sześcioliterowego odpowiednika słowa „historia”, że nawet nie spostrzegła, jak odłożył gazetę.

- Byłbym całkiem szczęśliwy, wpatrując się w ciebie przez całe życie - powiedział, rysując palcem linię od jej szyi do piersi.

- Zadzwoiłam w piątek do pracy i powiedziałam, że źle się czuję - powiedziała triumfalnie, wpisując w okienko wyraz „dzieje”. - Jeśli jutro nie przyjdę do biura, Dodge roześle psy gończe.

- Jestem dziko, szaleńczo i namiętnie w tobie zakochany - odparł biorąc jej rękę i całując czubki jej palców.

Przywarł ustami do jej warg i Jinx z wolna osunęła się na łóżku, wypuszczając z rąk krzyżówkę. Jego ramiona otoczyły jedwabisty materiał jej szlafroka. Jinx poczuła wzbierającą w

niej miękkość i miarowe łomotanie w piersi. Kiedy znów się odezwała, miała zachrypnięty głos.

- Mam pytanie - zaczęła.

- A ja mam zamiar się z tobą pokochać, zanim na nie odpowiem. - Musnął wargami miękką skórę jej szyi.

- Kip, chciałbyś się ze mną ożenić? Szeroki uśmiech opromienił twarz Kipa, kiedy podniósł głowę, by spojrzeć jej w oczy.

- Czy mam to traktować jak oświadczyzny?

- Chcesz, żebym przed tobą uklęknęła?

- Nie teraz - powiedział głaszcząc ją po ramieniu - ale muszę zaznaczyć, że zadawanie takiego pytania w takiej chwili nie jest zupełnie uczciwe.

Jinx poczuła się trochę niezręcznie. Jej propozycja i tak była ciężkim wykroczeniem przeciwko etykietce. Co gorsza, była prawdopodobnie przedwczesna i zbyt bezpośrednia. Myśl, która dręczyła ją tyle czasu, w końcu sama wymknęła jej się z ust, mimo wewnętrznego systemu kontroli.

- Poza tym - ciągnął Kip, widząc, jak ściągnęła brwi - mam najszczerzy zamiar zrobić to oficjalnie.

Usiadł obok niej, obejmując Jinx ramieniem.

- Kiedy? - Chciała skoncentrować się na tym, co mówiła, ale z rękoma Kipa wędrującymi po jej ciele było to niezwykle trudne.

- Nie uwierzysz, ale właśnie dzisiaj.

- Nie?

Nie wyślizgując się ze splotu jej nóg sięgnął ręką do tyłu i otworzył szufladę przy łóżku. Wręczył jej małe pudełeczko i poprosił, żeby je otworzyła. W środku był najpiękniejszy diament, jaki kiedykolwiek widziała, owalny i przynajmniej sześciokaratowy. Po chwili wyjął pudełko z jej dłoni. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Tak - powiedział kładąc pierścionek z powrotem do szuflady. - Tak, pragnę się z tobą ożenić, ale w tej chwili chcę się tylko z tobą kochać.

- Na co czekałeś aż tyle czasu? - zapytała z oczami ciągle okrągłymi ze zdziwienia. - Dlaczego mi go zabrałeś? Już nic nie rozumiem.

- Chciałem zobaczyć, czy uda ci się skończyć to, co zaczęłaś - powiedział bardzo poważnie, lekko wykrzywając usta. - Chciałem się przekonać, czy jesteś kobietą zdolną do wypowiedzenia ostatniego słowa i zawarcia trwałego związku. A teraz - mówił, przeciągając dłonią po jej udzie i dotykając jej warg - pozwól mi skończyć to, co zacząłem.

Kiedy jej dotknął, ciało Jinx zamarło w bezruchu. Otworzył oczy i zobaczył, że Jinx patrzy w przestrzeń.

- Co się stało? - zapytał. - Zdenerwowało cię to przekomarzanie? Jeśli chcesz, założę ci natychmiast ten pierścionek.

- Nie o to chodzi. Właśnie mi uświadomiłeś, że nie jestem kobietą, która walczy do końca.

- Co ci znowu chodzi po głowie?

- Przyjechałam do Nowego Jorku z dwóch powodów. Po pierwsze, żeby odnaleźć ciebie - powiedziała z czułym uśmiechem. - Po drugie, by skontaktować się z przynajmniej jednym potomkiem Rostowów. W tej sprawie nie poczyniłam najmniejszych postępów.

- To dlatego, że zabierałem ci tak dużo czasu - usprawiedliwiał się Kip, Wiedział, jak bardzo jej na tym zależało, i miał nadzieję, że dostrzegła szczerą w jego słowach. - Wiesz, co zrobimy? Zajmiemy się wspólnie tą sprawą. Ja użyję wszelkich możliwych środków, a ty wyteżysz swoją wrodzoną inteligencję. Gdy będziemy szukać długo i cierpliwie, na pewno dotrzemy do przynajmniej jednego Rostova.

Jinx objęła go entuzjastycznie za szyję.

- Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie!

Kip zachmurzył się. Jeżeli będziemy szukać długo i wytrwale, pomyślał, niewykluczone, że odnajdziemy samego Benjamina Rostova.

- Trzeba było widzieć minę Paula, gdy wychodząc z samolotu zobaczył tłum witający go owacjami. Był w siódmym niebie!

Cissie oparła stopy o walizki i uśmiechnęła się do ojca. Pierwsze kroki prosto z lotniska skierowała do biura.

- Sądząc z tego, co pisała prasa - powiedział Bert - został całkowicie zaakceptowany w świecie mody.

- Tak jest! - odparła Cissie z dumą. - Szkoda, że tego nie widziałeś. Po jednej stronie pasa startowego stali wszyscy najlepsi klienci ze Stanów. Po drugiej naszpikowani pieniędzmi eleganci i damy z towarzystwa spisywali numery modeli, tak jakby to były jedyne fasony w mieście.

Bert roześmiał się, kiedy Cissie umyślnie nadała swojej twarzy wyraz egzaltowanej arystokratki.

- Cieszę się, że mu tak dobrze poszło - powiedział Bert - ale, jeśli mam być szczery, i tak wiem, że to tobie należą się gratulacje za sukces monsieur Rochelle'a. To ty wzbudziłaś podziw jego suknią i jesteś odpowiedzialna za promocję jego wzorów, która wstrząsnęła Paryżem i otworzyła mu drogę do kariery.

- Oj, tato! On jest naprawdę dobry. Gdyby nie był, nie otworzyłabym mu drzwi nawet do piwnicy Filony.

Bert uśmiechnął się, zadowolony ze skromności córki.

- A jak tam inne pokazy? Cissie tylko czekała na to pytanie.

- Dior był do przewidzenia, ale Saint Laurent okazał się fantastyczny - szczebiotała. - Po każdym pokazie, kiedy myślę, że właśnie wyczerpał całą energię twórczą, zaskakuje mnie czymś nowym. Na widok wieczorowych kreacji

myślałam, że umrę z zachwytu. Same materiały warte były podróży za ocean. Oczywiście, kupiłam prawie wszystko!

- Jakżeby inaczej - skomentował Bert.

- Ricci był elegancki, Givenchy - stateczny, choć trochę bardziej odważny niż zwykle. Modele Ungaro - jedwabne i bardzo seksowne. Kostiumy od Valentina absolutnie zachwycające, ale inne niż Paula. Następną gwiazdą na francuskim firmamencie jest niewątpliwie Kenzo. Oczywiście, trudno to nazwać modą, ale on lubi nowinki. Jakie kolory! Mówię ci, jest gorący! Na pewno przysporzy „La Tessie” wielu młodych klientów. Kobiety w dzisiejszych czasach lubią trochę frywolności.

Słuchając relacji Cissie, Bert segregował zamówienia, z aprobatą kiwając głową. W stosunkowo krótkim czasie Cissie stała się najbardziej zaufanym pracownikiem w „Kahn Enterprises”. Jeśli chodzi o styl, miała podobnie jak jej matka niezawodny instynkt, który łączyła z niezwykłym wyczuciem. Nigdy nie zdarzyło jej się zamówić zbyt mało lub zbyt dużo modeli. Zawsze trafiała w dziesiątkę.

- Wracając do młodych kobiet - powiedziała tonem, w odpowiedzi na który Bert odłożył pióro i przyjrzał jej się z uwagą. - Zamówiłam parę eksperymentalnych modeli wybijających się projektantów z Londynu i z Paryża. Głównie stroje sportowe, ale o zdecydowanej linii. Gdy je zobaczysz, na pewno dojdiesz do wniosku, że „La Tessa” powinna otworzyć jeszcze jeden sklep z ubiorami tego typu,

- Jak mniemam, odezwał się twój rozsądek - przyznał sceptycznie Bert, nie dyskryminując jednak tego pomysłu.

- Ja tak to widzę - stwierdziła krótko, przyjmując profesjonalną pozę kobiety interesu. - Czasy się zmieniają i nawet najbogatsi klienci poszukują wygody w niewyszukanych fasonach i strojach na weekend. Przecież nie wszystko musi być opatrzone w metki z zaskakująco wysoką

ceną. Jasne, że marka jest zawsze istotna w strojach wieczorowych i w balowych kreacjach. Szczególnie dla tych, którzy identyfikują swój status ze znakiem firmowym kolekcji. Ale mamy także klientów poszukujących czegoś nowego i oryginalnego, w czym odcinaliby się od szarego tłumu. Chcą mieć trochę radości, a to mogą im zapewnić te nietuzinkowe stroje.

- Co wobec tego proponujesz? - zapytał. - Nowy oddział w „La Tessie?” Oddzielne piętro?

- Na razie piętro - odpowiedziała mrużąc oczy. - Może kiedyś uda nam się otworzyć osobny dom towarowy z konfekcją w tym stylu.

Bert wstał i podszedł do siedzącej Cissie. Pochylił się i czule pocałował ją w policzek.

- Stałaś na wysokości zadania, malutka. - Naprawdę tak uważasz? - zapytała najwyraźniej zadowolona.

- A czy ja rzucam słowa na wiatr?

- Jasne, że nie! - zaśmiała się, lecz obydwójce wiedzieli, ile znaczy aprobata Berta. - A co nowego na rodzinnym froncie? Dbałeś o moje słoneczko?

- Dzwoniłem do niego parę razy, ale nawet na moment nie mógł się wyrwać, W końcu pewnego wieczoru zrobiłem najazd na jego biuro i prawie siłą wyciągnąłem go na pizzę. Ten facet zapracowuje się na śmierć. Co on takiego robi?

Cissie ściągnęła brwi.

- Próbuje wygrać z czasem - westchnęła. - Znasz Noaha. Chce zmienić świat i naprawić wszystko, co złe. Jego problem tkwi w tym, że nie grzeszy cierpliwością i wszystko toczy się dla niego za wolno.

- Jak się zorientowałem, pomaga ludziom, którzy nie mają do kogo pójść ze swoimi problemami. Powinien być zadowolony, że może im pomóc.

Cissie podeszła do okna. Jej zamyślona twarz wyrażała pewne napięcie.

- Zgadzam się, ale Noah to niespokojny duch. Jest naprężony jak zawodnik czekający na start. Bez względu na to, ile spraw uda mu się wygrać i ile napłynie do niego podziękowań, ciągle czeka na sygnał, który skieruje go na właściwy tor. Chce robić polityczną karierę.

Bert wiedział, jak bardzo Cissie była oddana mężowi. Przez trzy lata małżeństwa zaangażowała całą swoją energię, fizyczną i psychiczną. Robiła więcej, niż od niej oczekiwano. Chodziła z mężem na każde spotkanie piłkarskiej drużyny Giants, wszystkie mecze baseballowe zespołu Yankee, wiece polityczne, filmy, koncerty i wszędzie tam, gdzie jej obecność była ważna dla kariery Noaha. Uczęszczała na kursy gotowania, seminaria o produkcji wina i zapisała się do Ligi Głosujących Kobiet. Czasami wstępowała po pracy do jego biura, przewracała akta i wykonywała nudną pracę sekretarki. Chciała być we wszystkim pomocna. Bert denerwował się, gdy Cissie zarzucała sobie, że robi dla Noaha zbyt mało.

- Andrew nadal obraca się w kręgach polityków - powiedział, zauważając zmęczenie na twarzy córki. - Chciał zrobić coś bardziej sensownego, niż tylko siedzieć i słuchać. Może pomóc Noahowi nawiązać jakieś kontakty.

- Już to zrobił - odparła przecierając oczy i starając się stłumić ziewnięcie. - Bardzo wiele mu pomógł. Spędzili długie godziny, rozmawiając o legalizacji przedsięwzięć, które chcieliby wprowadzić w życie. Ale Andrew rozumie, że polityka jest grą obwarowaną regułami, do których należy się zastosować i cierpliwie czekać na swoją szansę. Noah buntuje się przeciwko wszelkim ograniczeniom. Nienawidzi czekania i nie znosi brania udziału w propagandowych gierkach.

- Będzie musiał się tego nauczyć - odparł Bert. Cissie usłyszała troskę w głosie ojca i złagodziła ją uśmiechem.

- Jeżeli mu się nie uda - powiedziała klepiąc ojca po policzku - będzie musiał poszukać sobie innych możliwości.

- A teraz - dodał Bert - powinnaś natychmiast iść do domu, zanurzyć się w odprężającej kąpieli, zjeść lekką kolację i iść spać.

- Kolacja! - Nagle Cissie poderwała się z miejsca i ruszyła do drzwi. - Mniejsza o kąpiel. Muszę się przebrać i za dwie godziny być gotowa. Obiecałam Noahowi, że pójdę na spotkanie, gdzie będą zbierać fundusze na akcję wyborczą jednego z okręgowych polityków.

- Przecież przez trzy tygodnie byłaś w podróży i dopiero co wyszłaś z samolotu - zatroszczył się Bert. - Musisz tam iść?

- A czy ptaki muszą latać? Czy ryby muszą pływać? - odpowiedziała, śmiejąc się z tego lirycznego plagiatu. - Noah jest zwierzęciem politycznym, a przedstawiciele tego gatunku biorą udział w takich imprezach; jedzą ciągnące się jak guma kurczaki, piją rozwodnioną whisky i palą śmierdzące cygara. Tak wygląda wprowadzanie w życie demokracji.

Chwyciła walizkę i pobiegła do drzwi wykrzykując:

- Kocham cię, tato! Zadzwoń jutro rano!

Po czym zniknęła, zanim Bert zdążył cokolwiek powiedzieć.

W sześć miesięcy po przybyciu Franyu, Sinnocha i Molly na Ellis Island, inna rodzina uchodźców stała w długim ogonie dla imigrantów, czekając na swoją kolej.

Haroun i Edra Gold - dziadkowie Noaha, podobnie jak Rostovowie, opuścili rodziców, rodzeństwo i przyjaciół i bez grosza przy duszy udali się za ocean. Ich pierworodny syn Enoch nie przetrwał uciążliwej podróży. Zmarł trzeciego dnia i zawinięty w szal matki spoczął w morskiej otchłani.

Goldowie dotarli do Lower East Side, gdzie wynajęli za psie pieniądze pokój na poddaszu zdewastowanego pensjonatu. Choć dzielili łazienkę z pięcioma innymi

rodzinami, chociaż ich pokój był zimny, ciemny i ciasny i musieli spać na materacach, w całym domu z dumą rozmawiano w ojczystym języku jidysz, dzięki czemu czuli się bezpieczniej i nie tak bardzo obco.

Nie było wówczas łatwo o pracę i Goldowie łapali wszystko, co wpadło im w ręce. Wystawali w długich kolejkach do fabryk, nie zadając zbędnych pytań. Ich angielski był bardzo słaby, nie mieli też żadnych kwalifikacji. Podczas gdy Sinnoch Rostov przybył do Stanów z fachem w ręku po praktyce jubilerskiej w Warszawie, Haroun praktycznie nic nie potrafił. Był rosyjskim rolnikiem, a na przedmieściach Manhattanu nie było zapotrzebowania na jego usługi.

Po długich miesiącach, okupionego rozczarowaniem, bezskutecznego poszukiwania pracy Haroun wraz z Moiszą Plotnikiem, jeszcze jednym rolnikiem z pensjonatu, wyjechali na ulicę ze starym, drewnianym wózkiem. Sprzedawali garnki, patelnie, szmaty, używane ubrania i wszystko, cokolwiek mogli znaleźć w domu, kupić po okazyjnej cenie lub wygrzebać ze zsypu.

Przez trzy lata od świtu do nocy Haroun parął się sprzedażą wszystkiego, co wpadło mu w ręce. Po kolacji wraz z Edrą uczyli się angielskiego. Powoli ich dochody rosły, podobnie jak rozrastała się rodzina. Edra urodziła dwóch zdrowych chłopców Isaaca i Gershona. Goldowie nie mogli sobie pozwolić na wynajęcie większego mieszkania, mimo że chłopcy potrzebowali miejsca do zabawy, a Haroun i Edra chociaż odrobinę świętego spokoju. Po tygodniach rozważań i planowania Haroun przyszedł do Moishego z propozycją otworzenia sklepu.

Pomysł nie okazał się zbyt trudny w realizacji. Kiedy ich wózek zrobił się zbyt ciężki, żeby go ciągnąć po wybrukowanych ulicach, Moishe i Haroun ulokowali się na rogu i zamiast objeżdżać dzielnicę, sami nawoływali klientów.

Obaj mężczyźni mieli dar przekonywania i pod koniec dnia ich kieszenie były ciężkie, a wózek świecił pustkami. Haroun pomyślał, że skoro klienci kupują na ulicy, to dlaczego nie mieliby robić tego w sklepie. W roku 1922 na rogu ulicy Essex i Houston Gold i Plotnik otworzyli swój pierwszy sklep.

Pierwsze kilka lat było prawdziwą torturą. Hauron i Moishe pracowali po dziesięć godzin w sklepie, a później imali się różnych zajęć, żeby zarobić na życie i czynsz. Edra i Minna, żona Moishego, pracowały w pralni, a wieczorami szyły ubrania.

Raz w tygodniu jeden z nich jechał po towar do okolicznych fabryk. Pewnego dnia Haroun wrócił z trzema radiami. Niewielu ludzi z sąsiedztwa stać było na takie luksusy i radia miesiącami zalegały w sklepie. W końcu Hauron zabrał je do domu. Miał smykałkę do mechaniki i złote ręce. Kiedy tylko czas mu na to pozwalał, z chęcią zagłębiał się we wnętrza tych ciekawych urządzeń. Przez miesiąc siedział do późna w nocy, wyjmując dziwne pudełka, badając ich zawartość i z powrotem składając je do kupy. Pod koniec miesiąca opanował już niezbędną wiedzę o połączeniach bezprzewodowych. Wiedział także, jak ją wykorzystać. Przekonanie Moishego do produkcji odbiorników zajęło mu wprawdzie kilka dni, ale dopiął swego.

Takie były początki. Zaczynając od jednego radia i od jednego sklepu firma „Gold and Plotnik” rozrosła się do sieci magazynów w całej metropolii. W dodatku Haroun zawarł kontrakt z fabryką Forda na wyrób odbiorników do niektórych typów ich samochodów oraz podpisał umowę z rządem na wyrób krótkofalówek dla wojska. W ciągu dziesięciu lat Haroun i Moishe znani później jako „Haroun and Murray” stali się milionerami.

Isaac, Gershon i syn Murraya, Nathan, stopniowo wdrażali się w pracę w fabryce, na początku jako robotnicy, później

handlując w firmowych sklepach. Po pewnym czasie zaczęli sprzedawać odbiorniki firmy „Gold and Plotnik” na potrzeby przemysłu i dużych odbiorców spoza stanu. W końcu pozwolono im dołączyć do ojców na Osiemnastej ulicy i Piątej alei.

Podczas wojny Nathan został zabity i Murray zupełnie się załamał. Zamknął się w sobie i przestał zajmować się interesami.

- Nie mam komu tego zostawić - zwykł mówić.

W 1946 roku Haroun wykupił swojego wspólnika i przyjaciela; Murray z Minną przenieśli się na Florydę. Wkrótce po tym Haroun zmienił nazwę firmy na „Gold Electronics” i razem z synami zaczął badać grunt pod nowe przedsięwzięcie: telewizory.

W 1942 roku, tuż przed wypłynięciem do Europy, Isaac poślubił miłość swojego dzieciństwa, Blanche Epstein. Siedem miesięcy po jego wyjeździe Blanche urodziła córkę - Deborah Gold. Po dwóch latach Isaac przyjechał do domu na urlop, a dziewięć miesięcy później żona obdarzyła go następnym dzieckiem. Był to syn Noah.

Najwcześniejsze wspomnienia Noaha pochodziły z wygodnego domu w Scarsdale, gdzie niania spełniała wszystkie jego zachcianki, a rodzice byli mu wręcz nieprzytomnie oddani i gdzie miał pokój pełen zabawek. W pewnym sensie był dzieckiem stworzonym przez podręcznik „życie we wzorowej rodzinie”. Odnosił się z szacunkiem do starszych, był posłusznym synem i tylko trochę niesfornym bratem.

Od czasu do czasu zdarzyło mu się wpaść w tarapaty, ale były to tylko młodzieńcze wybryki, jak stłuczone piłką okno albo potyczka ze szkolnym łobuziakiem w obronie młodszego kolegi.

Chociaż osobie z zewnątrz jego życie mogło wydawać się godne pozazdroszczenia, Noah odczuwał brak inspiracji. Miał na tyle bogatą rodzinę, że chęć posiadania jakiegoś przedmiotu była natychmiast zaspokajana poprzez jego zakup. Był na tyle zdolny, że sukcesy w szkole przychodziły mu bez większych trudności.

W szkole średniej był jednym z najlepszych uczniów, a w college'u Browna wybijającym się studentem i jego nazwisko zamieszczono kilkakrotnie w harwardzkim „Law Review”. W wieku czternastu lat „stracił dziewictwo” i od tej pory zdobywanie dziewcząt szło mu tak łatwo, jak otrzymywanie celujących ocen w szkole. Był przewodniczącym samorządu szkolnego, kapitanem drużyny baseballowej i młodzieńcem z dużymi możliwościami. Dzięki swojej wszechstronności nie miał z niczym problemów, jeżeli choć trochę mu na tym zależało. Problem tkwił w tym, że tak naprawdę nie wiedział, czego chce. Wszystko się zmieniło, gdy wysłano go na wojnę do Wietnamu.

Noah siedział teraz sam przy biurku i patrzył, jak jeden z jego petentów wychodzi na ulicę Houston. Prosił o pomoc jak wszyscy inni, którzy codziennie odwiedzali biuro Noaha. Był ofiarą wypadku w fabryce, po którym został inwalidą. Z odszkodowania nie zostało mu już ani centa, w dodatku nie przysługiwał mu zasiłek dla bezrobotnych. Błagał Noaha o znalezienie jakiegoś legalnego sposobu na utrzymanie żony i trojga dzieci do czasu podjęcia jakiegokolwiek pracy.

Noah zamknął jego akta i odłożył je na stertę teczek rejestrujących historie nieszczęść ludzi mieszkających na Lower East Side na Manhattanie. Skargi lokatorów nękanym przez właścicieli domów wysokimi czynszami, utyskiwania nielegalnych imigrantów, którzy chcieli przyspieszyć procedurę otrzymania dokumentów, aby móc się starać o kartę stałego pobytu i mieć szansę na znalezienie lepszej pracy,

problemy nielegalnych imigrantów złapanych na pracy na czarno i walczących z decyzją o deportacji; skargi robotników na niesprawiedliwe warunki płacowe i kobiet starających się o ściągnięcie alimentów od zbiegłych mężów; przypadki kryminalnych wykroczeń i znęcania się nad dziećmi oraz sprawy nastolatków oskarżonych o drobne kradzieże i ludzi starszych złapanych na wynoszeniu towarów ze sklepu.

Przez trzy lata Noah wysłuchiwał tych smutnych historii i przez trzy lata próbował rozszerzyć granice swojego współczucia. Naprawdę chciało mu się płakać nad tymi ludźmi, poruszały go ich zmartwienia i chciał dla nich pracować z zapałem i zaangażowaniem. Ogromnie zależało mu na tym, by zmienić ich los, ale w głębi serca czuł, że łatwiej byłoby mu działać na większą skalę. W istocie, Noah nie był aż tak przejęty każdym indywidualnym przypadkiem, jak chociażby Cissie. Wolał skoncentrować się na całości, chciał stworzyć strukturę prawną, spowodować zmiany o dużym zasięgu i znaczeniu, zwrócić uwagę całego kraju. Pomaganie mieszkańcom okolicy dawało chwilową satysfakcję, ale nie szło w parze z posiadaniem władzy.

Wyciągnął przed siebie nogi i spojrzał na gołe ściany biura i zestarzałe meble, Kiedy po raz pierwszy otworzył drzwi tego pomieszczenia, nic oprócz wyzwania nie miało dla niego znaczenia. Czuł się związany moralnym nakazem pomagania i ludziom potrzebującym, jak rycerz biorący udział w krucjacie, wybraniec ludu, człowiek, który walczy za prawdę, wolność i Amerykę, słowem Superman w trzyczęściowym garniturze.

Pierwszy rok przyniósł mu olbrzymie zadowolenie, gdyż wydawało mu się, że widzi skutki swego działania. Później czas zaczął się wlec, przyszła nużąca monotonia. Popadł we frustrację i depresję. W kółko przychodzono do niego z tymi samymi problemami, często nękającymi tych samych ludzi. Starał się je rozwiązać za pomocą tych samych

nieskutecznych środków, wiedząc, że to tylko działania doraźne, a nie prawdziwe lekarstwo na ich bolączki.

Więc dlaczego jeszcze tutaj był? - pytał sam siebie. Dlaczego po prostu nie spakował walizek i nie wyniósł się z tego miejsca?

Jeszcze przed podjęciem tej pracy, Noah wiele razy zadawał sobie podobnie brzmiące pytania. Odpowiedź była prosta: chciał skończyć to, co zaczął, czuł się zobowiązany pomagać społeczności, robił postępy i choć działał na małą skalę, zawsze było to lepsze niż nic. Kiedyś ludzie to docenią i będą na niego głosować, Jednak czasami, kiedy tak jak dzisiaj był zbyt zmęczony i zniechęcony, żeby walczyć z wątpliwościami, zastanawiał się, czy przypadkiem nie pozostawał w tym okropnym miejscu tylko dlatego, że potrzebował bezpiecznej kryjówki.

Wietnam bardzo go odmienił. Należał do szczęśliwców. Uszedł z życiem. Jednakże widział śmierć zbyt często i zbyt blisko, by nie wywarło to wpływu na jego psychikę. Od czasu demobilizacji celowo unikał rozstrząsania najbardziej bolesnych stron służby w wojsku. Unikał rozmów o Wietnamie i starał się stłumić w sobie wspomnienia tamtego okresu. Ale nie potrafił ich całkowicie wymazać z pamięci.

W Wietnamie zauważył, że człowiek może być zupełnie bezbronny. Po przekroczeniu barykady był jedynie celem ataku. Już wcześniej Noah był bardzo podatny na zranienia, ale nikt otwarcie go nie atakował. Sukcesy przychodziły mu tak łatwo i tak często jak pieniądze, które dostawał od ojca. Porażka była słowem, które go nie dotyczyło. Dopiero dzięki tej bestialskiej wojnie poznał smak przegranej; czuł, jak wciska mu się do gardła, przeżera język i trzewia. Doprowadzało go to do szału i nie mógł pogodzić się z myślą, że znów mógłby doświadczyć klęski.

Może traktował tę pracę jako przykrywkę i kamuflaż? Może była to zwyczajna samoobrona? Czy tylko wtedy odgrywał rolę pana i władcy, gdy miał pewność, że przypadnie mu berło i korona? W ciszy tego pokoju Noah musiał przed sobą przyznać, że prawdopodobnie był bardzo blisko prawdy.

Od czasu wyjścia z wojska ostrożnie omijał sytuacje, w których szansę zwycięstwa równoważyła możliwość porażki. Zrezygnował z pracy w firmie prawniczej w obawie, że może nie dojść do porozumienia ze swoimi współpracownikami. Ze względu na charakter obecnej pracy nie musiał się martwić o zyski i straty. Nie uprawiał żadnych sportów i unikał gry w brydża. Nie brał udziału w żadnych konkursach i nie stawał do współzawodnicwa. Jak dotąd, wbrew swoim ambicjom, mimo wrodzonej niecierpliwości i wsparcia Cissie i jej brata, Noah nie zaangażował się w żaden ruch polityczny.

Jednak kiedy poukładał już akta i przygotował się do wyjścia, wiedział, że nie może wiecznie tkwić w tym miejscu, bezsensownie bębniąc palcami w biurko, karmiąc wszystkich swoimi aspiracjami i czekając na mannę z nieba. Wkrótce będzie musiał się zdecydować i podjąć próbę.

Wolno, z widocznym wahaniem, zamknął drzwi na klucz i poszedł do domu. W połowie drogi poprawił mu się nastrój. Cissie już przyjechała. Zawsze czuł się lepiej, gdy była w domu. Dawała mu poczucie bezpieczeństwa, siłę i wolę sukcesu.

Cissie była w połowie ubrana, kiedy Noah wszedł do mieszkania. Kilka minut później nie miała już na sobie nic, witana przez kochającego męża. Kiedy w końcu dotarli do hotelu „New York Kipling” na kolację wydawaną na cześć Jacksona Wilmonta, kończono już powitalnego szampana.

- Nienawidzę się spóźniać. Za bardzo rzucam się wtedy w oczy - wymamrotał Noah, kiedy weszli do długiej galerii, gdzie serwowano drinki i kanapki.

- To przecież twoja wina - powiedziała Cissie, całując go za uchem. - Poza tym uwielbiam się spóźniać. Lubię być w centrum uwagi!

Zanim Noah zdążył otworzyć usta, Cissie już wcisnęła się w tłum, powoli torując drogę do sali restauracyjnej. Kiedy szła środkiem, wymieniając uściski i uśmiechy z ludźmi, których знаła, Noah nie mógł oprzeć się poczuciu dumy. Była jak samotna róża wśród niezapominajek, onieśmielająca pozostałe kobiety swoją urodą i rozbijająca mężczyzn siłą swej osobowości. Noah kwestionował wprawdzie wybór jej kreacji, jedwabnej sukienki od Ungaro w niebieskie i czarne wzory, ale Cissie rozwiała jego wątpliwości prostym i logicznym argumentem.

- Jeśli włożę coś w kolorze ścian - odparła - to z miejsca wtopię się w otoczenie i równie dobrze mogę zostać w domu.

Patrząc teraz na Cissie, Noah nie mógł nie przyznać jej racji. Większość kobiet ginęła w tłumie. Miały na sobie bezpieczne, proste i przeważnie czarne sukienki. Stały obok swoich mężów w wystudiowanych pozach, obnosząc się z nienaturalnymi uśmiechami. Rzadko się odzywały, a jeżeli już otworzyły usta, poruszały najbardziej oczywiste tematy nie prowokujące dyskusji. Nie robiły nic, by zwrócić na siebie uwagę i uwolnić się spod dominującego wpływu swoich mężczyzn.

Wejście Cissie ściągnęło spojrzenia wszystkich. Jej uśmiech, szczery i serdeczny, dłużej zatrzymywał się na wybranych osobach. Wypowiadane przez nią opinie były inteligentne, błyskotliwe, często kontrowersyjne, czasem po prostu ryzykowne, ale nigdy banalne i nudne. W ciągu dziesięciu minut zwróciła uwagę zebranych na siebie i męża.

Nawet gdy na początku niektórzy nie mieli pojęcia, kim są Cissie i Noah Gold to teraz wszyscy, włączając Jacksona Wilmonta, ciekawie się im przyglądali.

- Nie sądzisz, że już najwyższa pora, by przywitać się z honorowym gościem? - zapytał Noah, notując w pamięci nazwiska dwóch starszych panów z którymi właśnie skończył rozmowę.

- Nie - odparła Cissie, celowo odwracając się plecami do Wilmonta i machając do kogoś w drugim końcu sali. - Mamy jeszcze mnóstwo czasu na złożenie wyrazów szacunku Jego Ekscelencji mister Wilmontowi.

- Co znowu knujesz? - wyszeptał Noah zaintrygowany zachowaniem żony i zdziwiony, że nikt nie odpowiedział na jej powitanie.

- Nic - odpowiedziała konspiracyjnym szeptem. - Po prostu Wilmont stoi teraz w otoczeniu ludzi, którzy nic nie znaczą. Poczekamy, aż otoczą go bardziej wpływowe osoby, i dopiero wtedy podejdziemy. Upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu.

Noah zaśmiał się i poprowadził ją przez hol do sali balowej, w pełni świadomy, że nastroszone skrzydła Jacksona Wilmonta lekko opadły. Noah wyjął kartę wstępu i właśnie szedł do stolika, kiedy Cissie uczepliła się jego ramienia.

- Poczekaj - powiedziała.

- Czemu?

- Nie chcę, żebyśmy tam siedzieli. Dali nam miejsca z tyłu, przy wejściu do kuchni.

- Przynajmniej nie będziemy jedli zimnych kurczaków - zażartował Noah

- A gdzie Andrew?

- Ojciec nic ci nie mówił? Nie będzie go dzisiaj. Musiał pojechać do Chicago.

- Nic o tym nie wiem, ale świetnie się składa. Usiądziemy na jego miejscu. Andrew od lat bywa na tych kolacjach i na pewno ma lepszy stolik.

Z tym przekonaniem Cissie podniosła ze stołu bilecik brata, upewniając się, czy jest na nim wymieniona osoba towarzysząca, wzięła Noaha za rękę i razem weszli na salę. Ulokowali się przy stoliku numer cztery, zaraz przy podium.

Cissie wiedziała, że do tego czasu wszyscy zdążyli już się sobie przedstawić. Aczkolwiek czworo z ludzi siedzących przy stole nie miało większego znaczenia, pozostali byli bardzo wpływowi. Cissie zajmowała miejsce obok lidera lokalnego klubu demokratów, Jeremy'ego Kinga, a Noah usiadł obok znanego obrońcy publicznego, Hillary'ego O'Donella. Naprzeciw nich siedział miejscowy przedstawiciel konsulatu z żoną. Ich rodzina również obracała się w kręgach polityków.

- Przykro mi, że Andrew nie mógł do nas dołączyć - odezwał się King. - Ale cieszę się, że wreszcie mam przyjemność poznać jego siostrę i szwagra. Często o was wspominał.

Cissie uśmiechnęła się i uścisnęła mu dłoń.

- W zasadzie - King odezwał się do Noaha - Andrew mówił mi, że próbował pana ściągnąć do swojego klubu na przedmieściu, ale jak dotąd bezskutecznie.

Jeremy King miał czterdzieści lat i całe życie zawodowe spędził wśród polityków i ludzi z rządu. Był bardzo elokwentny i nigdy nie poniżył się do wazeliniarstwa. Wiedział, jak przemawiać, nie przybierając tonu kaznodziei, i jak uzyskiwać informacje bez wsadzania nosa w prywatne sprawy rozmówcy.

- Tak się złożyło, że nie miałem czasu - udzielił Kingowi tej samej odpowiedzi, która posłużyła mu za wymówkę dla

Andrew. - Prowadzę biuro porad prawnych i pracuję całymi dniami.

King pokiwał głową.

- Wiem wszystko o pańskim biurze. Mieszka pan i pracuje w moim okręgu, więc jestem zorientowany. Ale naprawdę byłoby mi miło, gdyby przyszedł pan na spotkanie naszego klubu i włączył się w naszą działalność. Potrzebujemy inteligentnych i przedsiębiorczych młodych ludzi, którzy pozwolą nam z większym optymizmem spojrzeć na przyszłość naszej partii.

- I zajmą miejsce takich starych i nudnych wyżłów jak ja i Jeremy, którzy zbyt długo ociągają się z odejściem - dodał z uśmiechem Hilary O'Donnel.

- Już od dłuższego czasu śledzę przebieg waszej kariery - z szacunkiem wtrącił Noah. - I na pewno nie można panów nazwać starymi i nudnymi.

Hilary zaczął dyskutować z Noahem na temat konieczności zmiany systemu głosowania w celu ochrony praw obywateli. Cissie zauważyła, że Jeremy King natychmiast zwrócił uwagę na ich żywą wymianę poglądów i bacznie obserwował Noaha, po czym przysunął się z krzesłem i zaczął zadawać mu pytania, jakie według Cissie mógłby zadawać reporter kandydatowi do jakiegoś wysokiego urzędu.

Nad bulionem wszyscy trzej poruszali problem Hilarego, przy przystawkach rozszerzyli temat o wpływ zmian politycznych na funkcjonowanie sądu najwyższego, a w czasie drugiego dania rozgorzała dyskusja wokół moralności i sprawiedliwości w obliczu kary śmierci. Jediną rzeczą, która zdołała ich na chwilę uciszyć, było krótkie wystąpienie Jacksona Wilmona.

Wilmon był senatorem stanu i mówiono, że dzieli go tylko dwie kadencje od zajęcia stanowiska gubernatora. Jego przemówienie było dobrze napisane, lecz niezbyt inspirujące, i

według Cissie około siedmiu minut za długie. Po zakończeniu wystąpienia, Cissie z Noahem i kilkoma wpływowymi członkami partii podeszli do Wilmonta, żeby złożyć mu gratulacje.

- Był pan wspaniały - rozplywała się Cissie w swoim najbardziej promiennym uśmiechu.

- Cieszę się, że się pani podobało, pani Gold - odpowiedział Wilmont. - A jeśli chodzi o pana, panie Gold, słyszałem mnóstwo pochlebnych opinii o pańskim biurze. Jest pan wybawcą z Lower East Side.

- Robię wszystko, co w mojej mocy - odrzekł Noah, zastanawiając się, kiedy, jak i dlaczego Wilmont zadał sobie trud zapamiętania jego nazwiska. - Bardzo dziękuję za wyrazy uznania dla mojej pracy.

- Wygląda pan na człowieka, który zawsze wygrywa. - Wielkodusznie powiedział Wilmont, upewniając się, że wszyscy wokół słyszą jego słowa. - Pewnego dnia chciałbym zobaczyć pańskie nazwisko na liście wyborczej.

Uścisnął dłoń Noaha, który nie wyglądał na zachwyconego.

- Czy nie zdajesz sobie sprawy, ilu ludzi na tej sali dałoby wszystko za taką reklamę? - powiedziała, gdy oddalili się na bezpieczną odległość od Wilmonta. - I jak to jest, że wcale się nie uśmiechasz? Może jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale właśnie strzeliłeś w dziesiątkę!

- Chciałbym być na jego miejscu - powiedział cicho Noah, sam zaskoczony, że wybrał do zwierzeń taką porę i takie miejsce. - Ale naprawdę nie mam zielonego pojęcia, jak to zrobić.

Cissie przesunęła dłonią po jego ramieniu i spojrzała mu głęboko w oczy. Kiedy znów się odezwała, mówiła niskim, zdecydowanym głosem.

- Noahu Goldzie, słuchaj mnie uważnie. Nie możesz zdobyć złotego pucharu w gonitwie, jeśli nie wsiądziesz na konia i nie wyciśniesz z niego ostatniej kropli potu. Rozumiesz? Przyszła kolej na twój ruch.

- Nie chcę pakować się w coś, czego później mogę żałować - bronił się czując, jak Cissie osacza go ze wszystkich stron.

- To tak jak z pływaniem - ciągnęła. - Nie zanurzasz od razu czubka głowy. Moczysz palce u nóg, kolana i jak już jesteś gotowy, możesz zanurkować.

- Jesteś wspaniała! - powiedział, ściskając jej dłoń i całując w policzek. - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

Cissie uśmiechnęła się.

- Nawet nie mam zamiaru pozwolić ci próbować.

Wrócili do stolika w chwili, kiedy Jeremy King zbierał się do wyjścia.

- Było mi bardzo miło - powiedział ciepło, wyciągając dłoń do Noaha i Cissie. - Naprawdę mam nadzieję, że nie spotykamy się ostatni raz.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł Noah na pożegnanie.

- Kiedy odbywają się spotkania klubowe? - zapytała Cissie.

- W ostatni czwartek miesiąca, z wyjątkiem listopada. Jak na razie nie możemy sobie pozwolić na urządzenie Święta Dziękczynienia.

- W przyszłym tygodniu mamy ostatni czwartek października - powiedziała patrząc najpierw na Noaha, a potem przenosząc wzrok na Kinga. - Proszę zarezerwować dla nas dwa miejsca. Na pewno przyjdziemy!

FRANCES REBECCA TRAVIS

Frankie

Styczeń 1972

Coś przykuło wzrok Frankie w oknie trzeciego piętra w budynku naprzeciwko. Zgasło światło. Świecący prostokąt jeszcze przed sekundą był integralną częścią krajobrazu, a teraz zniknął bez śladu. Frankie patrzyła z zazdrością w czarne jak smoła okno.

Spojrzała na zegarek i westchnęła. Była trzecia nad ranem. Po południu miała egzamin z Szekspira i zanim w ogóle mogła pomyśleć o położeniu się do łóżka, musiała jeszcze przeczytać dwie sztuki i nauczyć się notatek z całego semestru.

Frankie oparła się o ścianę próbując skoncentrować myśli na kontrastach w epoce elżbietańskiej. Choć uwielbiała Szekspira, w tym momencie pragnęła, by był trochę mniej skrupulatny. Daty, postacie, epoki i wątki zaczęły wirować jej w głowie jak karuzela. Wyciągnęła nogi i przymknęła powieki. Ostatniego popołudnia poszła z grupą znajomych na lodowisko. Upadła na lód, starła skórę z kolana i chociaż lekarz obmył ranę środkiem dezynfekcyjnym, nadal czuła pieczenie. Podciągnęła szlafrok, uchyliła bandaż, przyjrzała się skaleczeniu i szczerze się roześmiała. Lillie wpadłaby we wściekłość, gdyby zobaczyła coś takiego! Ostrzegła Frankie, żeby nie robiła nic, co może spowodować uszkodzenie skóry. W końcu była modelką, a modelki powinny mieć doskonałe ciała, piękne twarze, grube lśniące włosy i białe, równe zęby.

- Chyba nie jestem aż taka doskonała - powiedziała do lalki Zacha, siedzącej na parapecie.

Szmaciana towarzyszka niedoli z włosami z żółtej wełny i zielonymi szklanymi oczami nie czuła się w obowiązku tego skomentować.

Myśląc o Zachu, poczuła nagły przyływ energii.

- Ale tobie nigdy nie zależało na mojej doskonałości, prawda? - Na samą myśl o nim do oczu Frankie napłynęły duże, smutne łzy. - Wiesz, że cię kochałam - szepnęła nieśmiało. - Powiedziałabym ci o tym, gdybyś jeszcze trochę poczekał, ale nie dałeś mi szansy. - Westchnęła i w nadziei, że znajdzie zrozumienie, spojrzała na szmacianą lalkę. - Chyba nie mogę cię za to winić. Zrobiłeś, co uważałeś za stosowne. Jeżeli to mnie zaproponowano by zrobienie reportażu z kampanii Kennedy'ego, na pewno wykorzystałabym tę szansę. Głupio byłoby to odrzucić z powodu romansu z jakąś siedemnastolatką. Nie mam racji? - Potakująco skinęła głową, odpowiadając sobie na to pytanie.

Bez względu na to, jak często powtarzała podobne dialogi i jak racjonalnie starała się podejść do nagłego wyjazdu Zacha, brak jakichkolwiek wiadomości od przyjaciela spowodował, że w jej życie znowu wkradła się pustka. Na dodatek większość chłopców w college'u była tak onieśmielona jej urodą, że wolała obchodzić ją z daleka niż narażać się na odmowę i kompromitację. Zastanawiała się, co by powiedzieli jej wielbiciele, gdyby wyszło na jaw, że w ciągu kilku lat w college'u nie była na żadnej randce.

Na ostatnim roku sprawy przybrały troszkę korzystniejszy obrót. Zwiększył się krąg jej znajomych i przestała ich deprimować jej popularność. Nie chodziła wprawdzie na randki, ale od czasu do czasu udawało jej się wyrwać z grupą przyjaciół na piwo albo na pizzę. Dla Frankie wieczory, kiedy znajomi wpadali na hamburgera, razem zajadali się niedzielnymi zestawami obiadowymi albo chodzili do miejscowej chińskiej restauracji, były najpiękniejszą częścią życia w college'u. Pomagały jej zwalczać samotność długich weekendów, które zazwyczaj spędzała w swoim pokoju.

Jakkolwiek brak czasu nie pozwalał jej na użalanie się nad sobą, martwiła się swoimi ocenami. Lillie nigdy nie chciała, żeby Frankie poszła na studia. Uważała, że jedyną pozytywną stroną szkoły był fakt, że przysparzała Frankie popularności. Lillie z nie słabnącą energią zawierała coraz to nowe kontrakty. Zabierała Frankie z college'u, leciała z nią do Nowego Jorku, a potem z powrotem do Bostonu. Często wprowadzała córkę w zakłopotanie, aranżując zdjęcia na terenie szkoły. Za każdym razem, kiedy Frankie spychała karierę na dalszy plan, Lillie dbała o to, by znowu stanęła pośrodku sceny. Nie stwarzało to dobrych warunków do zawierania nowych przyjaźni. Niektóre dziewczęta podchodziły do niej z rezerwą, inne z zazdrością, i jeszcze długo po wyjeździe Lillie z ekipą Frankie odczuwała paraliżującą obcość.

Co gorsza, częste odwiedziny Lillie niekorzystnie odbijały się na jej ocenach. Przez pierwsze dwa lata jakoś sobie radziła, ale na przedostatnim roku ledwie udało jej się zdać. Czwarty rok był jeszcze gorszy. Zajęcia były trudne, a profesorowie bardziej wymagający. Kółko dramatyczne także zabierało jej mnóstwo czasu i coraz częściej przesiadywała po nocach. Ucząc się jednego przedmiotu, zaniedbywała inne. Wpadła w męczący cykl ciągłego nadrabiania zaległości i nie mogła już sobie z tyra poradzić.

- Skoncentruj się! - rozkazała sobie, wracając do książek i próbując zapamiętać sytuacje, które definiowały Otella jako bohatera tragicznego.

- Przerwa na kawę!

Vera Knowles, najbliższa przyjaciółka Frankie w Radcliffe, wpadła do pokoju, niosąc dwa kubki z wodą, słoik rozpuszczalnej kawy i grzałkę. Włosy miała nawinięte na wałki pod pomarańczową siateczką, twarz błyszcząca od kremu, a obszerny szlafrok był do połowy rozpięty i odsłaniał

kawałek przydziałowej nocnej koszuli z dumnym napisem Harvard.

- Myślałam, że śpisz już od paru godzin - powiedziała z uśmiechem Frankie.

- Próbowałam, ale obudził mnie szelest kartek.

Vera zanurzyła grzałkę w kubku. Była zwyczajną, swojską dziewczyną z wyrazistymi rysami twarzy i małym kluskowatym ciałem. Spotkały się na pierwszym roku i Vera była jedyną osobą chętną do zawarcia przyjaźni z Frankie. Nie onieśmiałą jej sława koleżanki. Potrafiła spojrzeć na Frankie innym okiem i odnaleźć w niej zagubioną studentkę pierwszego roku potrzebującą, podobnie jak ona sama, bratniej duszy.

Frankie przyciągnęła do Very jej pewność siebie, nie skrepowana przeciętnym wyglądem. Vera zdawała sobie sprawę z tego, jak wygląda i na co ją stać, i akceptowała siebie bez mrugnięcia okiem. Podobnie jak Frankie interesowała się teatrem i była bardzo utalentowana, jednak widziała siebie wyłącznie w rolach charakterystycznych.

- Jeżeli Bóg chciałby zrobić ze mnie filmową gwiazdę - mówiła - nigdy by mi nie dał takiego skrzeczącego głosu. Co powtarzasz? - Podała Frankie kubek i przycupnęła naprzeciwko niej na podłodze. - Tragiczny facet z tego Otella. Wierzył, że ludzie są tacy, jakimi widzą ich inni. Fatalny błąd.

- Ty chyba nie podpisujesz się pod tą teorią - powiedziała Frankie, popijając kawę i czekając na jeszcze jedną filozoficzną sentencję, z których znana była Vera.

- Jasne, że nie! - Vera oparła się o ścianę, podciągnęła nogi pod brodę i przybrała poważny wyraz twarzy. - Po pierwsze, najlepsi aktorzy na świecie to ci, którzy potrafią przekonać, że są tym, kim w istocie nie są ani trochę. Racja?

Frankie skinęła głową. Nigdy nie podchodziła do tego w ten sposób.

- Nie szukajmy daleko i przyjrzyjmy się chociażby Frances Rebecce Travis. Mamy tu do czynienia z przypadkiem kobiety doskonałej, łączącej w sobie wszystko: urodę, rozum, talent, pieniądze, mocne zęby i nogi, na których nigdy nie będzie żyłaków. Mimo to biedną Frances męczy brak wiary we własne siły, poczucie zagrożenia i obsesyjny lęk przed porażką. Sądząc po pozorach, komu by to przyszło do głowy?

Frankie zachichotała, śmiejąc się pomimo gorzkiej prawdy zawartej w słowach przyjaciółki. To właśnie najbardziej ceniła u Very. Potrafiła być uczciwa, nawet kiedy bolało.

- Okey! Znamy już moją słabą stronę. A jaka jest twoja pięta achillesowa? - zapytała Frankie.

- Niezaprzeczalny seksapil - odparła z drwiną. - Pewnego dnia to apetyczne ciało zamknie mi drogę do kariery. - Rozpięła szlafrok, odsłaniając swoje duże piersi, wydeła usta i przybrała uwodzicielską pozę.

- Jesteś naprawdę rąbnięta, ale mam do ciebie słabość - powiedziała Frankie, uśmiechając się do przyjaciółki.

- Sama widzisz. Nie można mi się oprzeć!

- Jasne, ale chyba będę zmuszona to zrobić, bo mam jeszcze mnóstwo do przeczytania. Wiesz, że profesor Cantor nie jest moim największym fanem i jeśli nie napiszę dobrze tego testu, postara się, żeby wywalili mnie ze szkoły.

- W porządku - powiedziała Vera, leniwie podnosząc się z podłogi. - Przyjdę rano, żeby cię przepytąć.

- Dzięki - pożegnała ją Frankie.

- Nie ma sprawy.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi i Frankie pochyliła się nad książkami. Zastanawiała się, co by zrobiła bez Very. Była pierwszą dojrzałą przyjaciółką Frankie. Zwierzały się sobie ze swoich problemów, dotrzymywały sobie towarzystwa, pomagały w nauce.

Frankie mówiła Verze o sprawach, z których nie zwierzyłyby się nikomu na świecie. Żeby ukryć zakłopotanie z powodu braku adoratorów, Frankie powiedziała dziewczętom z pensjonatu, że jest zaręczona z Zachem, ale praca zmusza go do chwilowego zamieszkiwania w innej części świata. Verze powiedziała całą prawdę. Kiedy ludzie pytali ją o Lillie, zawsze akcentowała jej dobre cechy, sobie przypisując niedoskonałość. Przedstawiała matkę jako kobietę całkowicie oddaną córce i mającą na celu wyłącznie jej dobro. Przed Verą także w tym względzie nie miała tajemnic. Podczas gdy inni uważali, że Frankie jest szczęśliwa i zadowolona ze swojego szalonego życia, potwierdzała ich przypuszczenia, udając, że z entuzjazmem przyjmuje każdą następną sesję zdjęciową. Vera wiedziała, że jest inaczej.

Vera była zwykłą, szarą śmiertelniczką, nie miała tak ciekawego życia i tylu powodów do zwierzeń. Twierdziła, że jej dzieciństwo było wzorcowym przykładem miernoty. Miała dwóch braci, starszego i młodszego od siebie. Ojciec pracował w agencji ubezpieczeniowej, a matka trudniła się mało ciekawym zajęciem domowej gospodyni. Mieszkali na przedmieściach Filadelfii w spokojniejszej, skromnej dzielnicy. Jej bracia nie tylko byli najlepszymi studentami, lecz także świetnymi sportowcami i kapitanami swoich zespołów. Zarówno jeden, jak i drugi otrzymał stypendium do jednego z uniwersytetów bluszczowej ligi (Bluszczowa liga - osiem najstarszych i najbardziej prestiżowych uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych, np. Harvard, Yale. (przyp. tłum.)).

Najbardziej rzucającą się w oczy cechą Very była, jak to sama określiła, umiejętność udawania lepiej niż inni. Już jako mała dziewczynka wymyślała sobie historyjki i odgrywała postacie, które sama wcześniej stworzyła, zmieniając ton głosu i gestykulując tak, by najlepiej oddać ich charakter. Czasem, chcąc sprawdzić, jakie wrażenie robią jej intrygujące

opowieści, sięgała po nie, by usprawiedliwić przed nauczycielami nie odrobione lekcje lub też chcąc uniknąć kary za pogwałcenie któregoś z domowych zakazów. Sam fakt, że większość ludzi wierzyła w jej historyjki, utwierdzał ją w przekonaniu, że jej miejsce jest na scenie.

Choć często żartowała, że jej największym marzeniem jest być „gwiazdą jednego filmu”, Vera była realistką. Zdawała sobie sprawę, że nawet na sukces średniego kalibru będzie musiała długo i ciężko pracować, stawać przed różną widownią i przyjmować każdą rolę, starając się zagrać ją jak najlepiej i cały czas udowadniając, że stać ją na więcej. Frankie przypomniawszy sobie, że tylko raz Vera okazała coś na kształt zazdrości. Rozmawiały wtedy o rodzicach Frankie i ich powiązaniach w świecie filmu.

- Dzięki twoim rodzicom - mówiła Vera - wystarczy, że pociągniesz za sznurek i proszę... już jesteś na scenie w pierwszoplanowej roli.

Frankie nie mogła zaprzeczyć, że w tym względzie miała zdecydowaną przewagę, ale w noc taką jak ta, kiedy siedziała samotnie w pokoju przekonując samą siebie, że nie kompromituje ojca i spełnia ambicje matki, wiedziała, że ten sznurek równie dobrze może ją udusić.

Zaraz po egzaminie z Szekspira pani dziekan wezwała Frankie do swojego gabinetu.

- Frances, wezwałam cię w bardzo ważnej sprawie, dotyczącej ciebie. Wiedziała, że nie powinna obgryzać paznokci, ale była tak zdenerwowana, że nie potrafiła się opanować. Było jasne, że doktor Caldwell nie zaprosiła jej na wieczorną pogawędkę. Frankie siedziała wpatrzona w fotel obity zieloną skórą, czując nad sobą ostrze gilotyny.

Dla dodania sobie pewności przygładziła fałdy szkockiej spódniczki i założyła nogę na nogę. Wcale jej to nie pomogło. Szorstki materiał drażnił skórę. Oprócz spódniczki miała na

sobie drapiący szetland, krótki sznur perełek, podkolanówki i sportowe pantofle.

- Chciałabym, żebyś rozważyła wzięcie urlopu - dziekan Caldwell przerwała jej zapatrzenie. Była starszą kobietą z przerzedzonymi, siwymi włosami zaczesanymi gładko do tyłu i upiętymi w kok. Miała duże, pomarszczone usta, pomalowane czerwoną pomadką.

- Urlop? - zapytała Frankie zmieszana. - Czy mogłabym wiedzieć z jakiego powodu?

Caldwell otworzyła swoje dossier i w milczeniu przesunęła palcami po testach Frankie. Zamknęła teczkę, starannie położyła ręce na biurku i spojrzała na dziewczynę. Poza, jaką przyjęła w tym momencie, i wyraz jej twarzy przywodziły na myśl postać surowej matki, dającej Frankie reprimendę za to, że nie postępuje zgodnie z jej zaleceniami.

- Rozumiem, moja droga, że podczas pobytu w Radcliffe byłaś obciążona wieloma pozaszkolnymi obowiązkami i próbowałaś pogodzić rolę studentki i aktorki, ale obawiam się, że ten eksperyment się nie powiódł.

- Pani Caldwell, robiłam wszystko, żeby moja praca nie przeszkodziła mi w studiach - odpowiedziała próbując zachować opanowaną twarz. - Naprawdę bardzo się starałam.

- Wiem o tym, Frances, i wierz mi, to dla mnie bardzo przykre. Ale po długich rozmowach z twoimi profesorami, po rozważeniu wszystkich za i przeciw, doszłam do wniosku, że tak będzie najlepiej dla obu stron.

- Ale nie dla mnie - odparła Frankie podnosząc głos. - Kocham to miejsce. Bardzo chciałabym ukończyć studia razem z moimi rówieśnikami. Proszę, niech pani da mi jeszcze jedną szansę.

Pani Caldwell uśmiechnęła się współczująco, ale nie złagodziło to rosnącej determinacji Frankie.

- Frances, twoje oceny są bardzo słabe. Obawiam się, że jeżeli sama nie poprosisz o urlop, będziemy zmuszeni skreślić cię z listy studentów, a tego nie chcielibyśmy robić, szczególnie na ostatnim roku. Nie chcemy narazić ciebie i naszej uczelni na nieprzyjemne komentarze prasy. Tak, zawsze możesz powiedzieć, że rezygnujesz dla dobra swojej kariery. Możesz sobie zaoszczędzić upokorzenia z powodu porażki, a nam najazdu wścibskich dziennikarzy.

Frankie zaczęła płakać.

- Proszę, niech pani mi tego nie robi - wyszeptała. - Wiem, że nie byłam dobrą studentką. Nie mogłam chodzić na wszystkie zajęcia i opuściłam sesję poprawkową, a potem było mi bardzo ciężko to wszystko nadrobić. Ale na pewno się poprawię. W przyszłym semestrze poświęcę na naukę więcej czasu i zobaczy pani, że się podciągnę.

- Obawiam się, że nie w tym tkwi przyczyna twojego niepowodzenia - odparła pani dziekan tonem nie znoszącym sprzeciwu. - To po prostu starcie twoich wartości z priorytetami naszej szkoły. Ale nie ma przecież powodu do rozpaczki, Odnotujemy w aktach, że poprosiłaś o urlop, a kiedy już na poważnie zechcesz kontynuować naukę, z radością zarejestrujemy cię na ostatnim roku.

Frankie skinęła głową, ocierając łzy rękawami swetra. Wstała i zdając sobie sprawę, że nie może oczekiwać niczego więcej, ucisnęła wyciągniętą dłoń pani Caldwell.

- Dziękuję pani. - Próbowała się uśmiechnąć, ale nie wyszło to przekonująco. Wbiła wzrok w drzwi, lecz jeszcze odwróciła się na moment. - Wrócę tu jeszcze - powiedziała, zastanawiając się, czy chce przekonać siebie, czy panią dziekan. - Pewnego dnia wrócę do Radcliffe.

- Mam nadzieję, Frances - odpowiedziała. - Byłoby nam bardzo miło. Jednak kiedy zamykała za sobą drzwi, wiedziała,

że nigdy nie przekroczy progów tego college'u. Szkolne lata miała już poza sobą.

Vera pomogła jej załadować do samochodu ostatnią walizkę i z ceremonialnym trzaśnięciem zamknęła pokrywę bagażnika.

- Ktoś kiedyś powiedział, że rozłaka jest słodyczą - wymamrotała Frankie.

- Nic dziwnego, że oblałaś z Szekspira, skoro nie wiesz kto - odpowiedziała Vera, bezradnie unosząc ramiona.

- Bardzo śmieszne! Mnie odechciewa się żyć, a tobie zbiera się na dowcipy. Vera objęła Frankie.

- Daj spokój - powiedziała walcząc o zachowanie dobrego nastroju. - Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Może właśnie teraz zaczną się za tobą uganiać kasowi producenci i w końcu dostaniesz wymarzoną rolę. Może pojedziesz do Hollywood i znajdziesz pieniądze i sławę na srebrnym ekranie? Zobaczysz swoje nazwisko na plakatach? Zostaniesz okrzyczana supergwiazdą? Frankie Travis - odkryciem sezonu!

Frankie uśmiechnęła się, lecz za moment do oczu napłynęły jej łzy.

- Kiedy Caldwell powiedziała mi, że muszę odejść, poczułam się, jak wtedy, gdy miałam pięć lat i jeden z durnych reżyserów oznajmił, że nie nadaję się do roli. Nienawidzę braku akceptacji i niemożności znalezienia dla siebie miejsca.

- Ludzie, którzy są wszędzie akceptowani, są zazwyczaj okropnie nudni - skomentowała Vera. - Są jak małe śrubki pasujące do otworów w dużej maszynie. O rany! Bądź wdzięczna Bogu, że jesteś inna. Fantastyczna! Ekscytująca i utalentowana! Dziewczyno, masz przed sobą wspaniałą przyszłość! Nie pozwól, żeby ktoś cię tłamsił.

- A najgorsze z tego wszystkiego jest to, że musimy się rozstać - powiedziała Frankie ze szczerą powagą.

- Będziemy pisać listy i odwiedzać się - pocieszała ją Vera.

- Wiesz, że tak nie będzie. Nigdy się już nie spotkamy. Ja wiem to na pewno.

- Nigdy nie mów „nigdy”! - odrzekła Vera.

Frankie potakująco skinęła głową, ale wcale jej to nie przekonało.

- Wiesz, jak zareagowała Lillie, kiedy powiedziałam, co się stało? Stwierdziła, że to przewidywała. Według niej nie nadawałam się na studentkę. Może miała rację?

- A może myśli, że jesteś stworzona do wyższych celów? - odparła Vera, starając się być bardzo miła. - Może czuje, że powinnaś wnieść trochę piękna do tego okropnego, zgorzkniałego świata? Nie ma w tym nic złego.

- Ani dobrego - odrzekła Frankie. - Chciałam skończyć studia. Chciałam zdobyć uznanie w oczach ojca i udowodnić matce, że mnie na to stać.

- Frances, przecież ciągle ci powtarzam! Rób to, co sama uważasz za słuszne, i nie zwracaj sobie głowy opiniami innych.

- Łatwo powiedzieć. Ty masz silną osobowość, a ja ciągle błędzę.

- Szkoda, że sama nie możesz dostrzec twojego wewnętrznego ja. Słowo daję, że jest bardzo sympatyczne i założę się, że na pewno byś je polubiła. A wtedy życie wydałoby ci się o niebo prostsze.

Frankie uśmiechnęła się.

- Myślę, że jesteś mądrzejsza od profesorów Radcliffe i Harvardu razem wziętych. A już na pewno nauczyłam się od ciebie więcej niż od nich - odparła.

Vera zarumieniła się w odpowiedzi na ten komplement.

- Ale musisz ode mnie usłyszeć jeszcze jeden morał - powiedziała z udaną wesołością. Spojrzała w niebo, wydeła usta w swoim starowiktoriańskim stylu i wyrecytowała:

„ Na scenie życia jest wiele gwiazd, lecz tylko jedno słońce. Kiedy wszędzie tylko dla ciebie, nie pozwól, by inni kradli jego blask.

Żaden mężczyzna, niewiasta, dziecko i żadne boże stworzenie nie może przesłonić ci jego światła".

Frankie roześmiała się i klasnęła w dłonie, patrząc z podziwem na Verę, która przesłała dłonią pocałunki kierowcy i grupie przechodzących studentów.

- Jesteś niemożliwa - powiedziała i mocno przycisnęła Verę do siebie w przyjacielskim geście. Usadowiła się na tylnym siedzeniu.

- „Dość to człek mądry, by grał błazna rolę, A na to trzeba dowcipu niemało" (William Szekspir, Hamlet, przeł. K. Paszkowski)

- wyrecytowała. - Wiem, że to jeden z twoich ulubionych cytatów i obiecuję, że będę pamiętać o tym, co powiedziałaś. Ale najlepiej ze wszystkiego zapamiętam ciebie.

Kiedy limuzyna ruszyła z miejsca, Vera pomachała Frankie i krzyknęła:

- Ja też o tobie nie zapomnę!

Odwróciła się i wolno poszła w kierunku akademika. Wiedziała, że wkrótce zateśni za Frankie, że naprawdę odczuje brak przyjaciółki, jednak z jakiegoś niejasnego powodu, była przekonana, że pewnego dnia, w nieokreślonym jeszcze miejscu, ich drogi ponownie się zbiegną. Może obie będą wtedy wielkimi aktorkami? Może znajdą już mężczyzn swojego życia i będą szczęśliwymi mężatkami? I może w końcu Frankie odnajdzie siebie. Vera mogła tylko mieć taką nadzieję, gdyż, jak dotąd, dawała głowę, że życie Frankie zdeteminowane pragnieniami ojca, ambicjami matki,

wymaganiami publiczności i uwikłane w dziecinne marzenia
było dla niej prawdziwym piekłem.

- Potrzebujemy jakiegoś pretekstu.

- Bzdura! Tak naprawdę to potrzebujemy nowego kandydata!

- Tak? Kto będzie miał odwagę zmierzyć się z Jackiem Duffym? Ten facet ma takie poparcie w dwudziestym siódmym okręgu, że pewnie będą go jeszcze wybierać w pięć lat po jego śmierci.

W biurze lokalnego klubu demokratów roztaczała się woń zimnej pizzy i niedopałków cygar. Puste kubki po kawie i zmięte papierowe serwetki zaśmiecały blaty stołów i podłogę. Odrapane krzesła i wytarte sofy, na których zasiedli politycy, tworzyły zwarty okrąg. Niektórzy uczestnicy strategicznej sesji dobrowolnie rezygnowali ze swoich wpływów, podczas gdy inni, jak Cissie i Noah, właśnie o nie zabiegali. Atmosfera dyskusji stawała się coraz gorętsza.

- Partia nie ma pieniędzy na przeprowadzenie skutecznej kampanii w nowym okręgu.

- Co mamy wobec tego robić? Leżeć do góry brzuchem i beczynnie czekać, aż przyjdzie na nas kolej? - Andrew Kahn, brat Cissie, był już wyraźnie zniecierpliwiony.

Andrew miał ciemne włosy i śniadą cerę jak matka, był elokwentny jak ojciec, optymistyczny i energiczny jak siostra i podobnie jak szwagier entuzjasmował się polityką.

- Duffy jest fatalny - utyskiwał Andrew. - Ten facet toruje sobie drogę przez wszystkie bary i knajpy w okręgu, ale nie zrobił jeszcze naprawdę nic dla swoich wyborców. Nie załatwił żadnej śmierdzącej sprawy!

- Wyborcy się z tobą nie zgodzą. - Jeremy King, przywódca lokalnych demokratów, oparł się o ścianę i

uśmiechnął się do brata Cissie. Przywykł już do niepohamowanych wybuchów młodszego kolegi i czekał na następny atak.

- To prawda, że niektórzy ludzie mieszkający w tym okręgu to analfabeci, ale nawet oni powinni zauważyć, że ich standard życia nie poprawił się ani trochę przez całe lata urzędowania Duffy'ego w Albany.

- Weź pod uwagę - uspokajał go Jeremy - że oni winią za to system. Duffy jest dla nich swojskim facetem, z którym można pójść na piwo, robiącym wszystko, żeby im pomóc, jednak sam niewiele może.

- Świetnie! Facet jest bohaterem, bo może w siebie wlać za jednym zamachem całą beczkę piwa!

- Niech Bóg błogosławi Amerykę! - odezwał się jeszcze jeden młody buntownik, na znak poparcia kiwając wymownie głową w stronę Andrew.

- Dlaczego by nie uderzyć Duffy'ego w jego najsłabszy punkt? - Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Noaha Golda, siedzącego obok swojej żony na poręczy wiekowej kanapy. - Dlaczego by nie posłużyć się statystyką? Nie wytknąć mu każdej nie spełnionej obietnicy, każdej nie usprawiedliwionej nieobecności?

- Sensowny plan - odparł King - ale potrzeba ponad roku, żeby dotarło to do mieszkańców okręgu. Oprócz młodych intelektualistów zamieszkujących centrum mamy jeszcze całe Lower East Side z rzeszą imigrantów i prostych starszych ludzi. Muszą zrozumieć, że nie zdradzają Duffy'ego, lecz głosują na kogoś, kto będzie miał realny wpływ na ich życie. Bez względu na to, Noah, kogo byśmy teraz wystawili, i tak przegra. Może w przyszłym roku będziemy mieli lepsze szanse.

Nastrój zebrania przybrał bardziej burzliwy charakter, kiedy dwie frakcje klubu przedstawiały swoje opinie. Starsza,

bardziej doświadczona grupa wyrażała potrzebę przygotowania wyborców na ewentualną zmianę. Młodzi idealiści opowiadali się za bezsensownością takich posunięć i sprzeciwiali się polityce poświęcania lepszych kandydatów. Młodzi chcieli stawać do walki mimo obawy przed przegraną, starsi sądzili, że i tak nie mają żadnych szans.

- Noah, a może ty byś spróbował? - Cissie szepnęła mężowi do ucha. - Nie wierzę, żeby ten stary koń Duffy był niezastąpiony. A nawet gdybyś przegrał, masz okazję godnie powalczyć.

- Jestem zupełnie nowy - odpowiedział jej Noah przecząco kręcąc głową.

- W tej konkurencji tym lepiej dla ciebie. - Andrew podsłuchiwał rozmowę i musiał wtrącić swoje trzy grosze.

- A dlaczego ty nie, Andrew? - zapytał Noah. - Jesteś regularnym członkiem partii. Szybciej poprą ciebie niż mnie. Znają cię przecież w okręgu i masz niezłe gadane. Naprawdę, doskonale się do tego nadajesz.

- Wybacz mi brak skromności, ale rzeczywiście masz częściowo rację. Nie mogą mi nic zarzucić. - Andrew pochylił się mu nad uchem. - Ale jest jeden szkopał. Brak mi charyzmy. Moim przeznaczeniem jest pozycja za wodzem, w pierwszej linii natarcia. Ty ze swoim urokiem Cary Granta potrafisz w przeciwieństwie do mnie i mojej siostry w uprzejmy i opanowany sposób odsączyć wino z winogron. Według mnie jesteś stworzony do tej roli.

- Ja też tak uważam. - Oczy Cissie zapłonęły entuzjazmem. Wiedziała, jak bardzo Noahowi zależało na stanowisku publicznym. Często sama zachęcała go do większej aktywności i walki o popularność, ale on jak zwykle wahał się, nie będąc pewnym wyników, czekał na bardziej sprzyjające okoliczności. Zdaniem Cissie taka okazja właśnie się nadarzyła. Pochyliła się nad Noahem i mocno chwyciła go

za ramię, pragnąc tym energicznym gestem przelać w niego własną energię i zapał. - Zrób to! - powiedziała.

- Nie sądzę, żebym z moją niezbyt silną osobowością mógł godnie znieść porażkę - odparł kręcąc odmownie głową.
- W przeciwieństwie do ciebie, kochanie, nieprędko podnoszę się z ziemi po mocnym ciosie.

- A kto powiedział, że przegrasz? - zdecydowanie odparła Cissie. - Możemy przecież poprowadzić ostrą kampanię przeciwko Duffy'emu. Kto wie? Może uda się nam go pokonać?

- Całkowicie się z tobą zgadzam. - Andrew szeroko uśmiechnął się do siostry.

- Ja tak to widzę. - Przysunął swoje krzesło do Noaha. - Jesteś czysty jak łąza, Ludzie Duffy'ego nie mają pretekstu do grzebania w twoich aktach. Jesteś prawnikiem ze świetnym wykształceniem, pochodzisz z bogatej rodziny, a mimo to nadstawiasz tyłek, żeby pomóc najuboższemu. Jesteś bohaterem wojennym i mężem fantastycznej kobiety. I masz mnie za swojego sekundanta. Czego ci więcej trzeba? Zapewnienia zwycięstwa wypisanego krwią na pergaminie?

Cissie ani chwili nie czekała na odpowiedź męża. Zanim zdążył otworzyć usta, poderwała się na równe nogi.

- Okey! Proszę o chwilę ciszy. Mamy już kandydata - oznajmiła z odpowiednią dozą tupetu. - Noah Gold! Szukaliście konia, na którego można postawić? Kogoś nieskazitelnego? - nie przerywała Cissie. - Przedstawiam wam właśnie zwerbowanego „ochotnika”. Naprzód, kochanie! Gdzie twój senatorski uśmiech?

Noah uśmiechnął się wbrew sobie i cała sala wybuchnęła burzą oklasków.

- Co ty na to? - zapytał Jeremy King.

Noah odniósł się wprawdzie sceptycznie do tego planu, lecz był nim wyraźnie zainteresowany. Oczywiście pragnął

wziąć udział w walce o to stanowisko, jednak trudno było przewidzieć, w jaki sposób ewentualna porażka może wpłynąć na przebieg jego późniejszej kariery. Duffy był mocnym przeciwnikiem. Jednak gdyby Noah wygrał, a w głębi serca wierzył, że ma szansę, wejście do senatu byłoby krokiem milowym w jego politycznej karierze.

- Stanę do walki i chciałbym, żebyście wiedzieli, że moim celem jest zwycięstwo! King uśmiechnął się i z zadowoleniem skinął głową. Starsi członkowie klubu rzucali sobie pełne obawy porozumiewawcze spojrzenia, podczas gdy młodzi, ochrzczeni przez Kinga „wojownikami”, przyjęli słowa Noaha z ogromnym entuzjazmem.

- Niech Duffy się trochę pomęczy w walce o swoją okrągłą pensyjkę!

- Do roboty!

- Możemy porozwieszać plakaty z wizerunkiem Noaha i podpisem: „To nie tylko przystojna twarz”.

- Panowie! W tym zawodzie przystojny mężczyzna ma zawsze lepsze notowania. Zapytajcie tylko Johna Lindsaya albo Teda Kennedy'ego!

- Widzę, że wiecie, o co chodzi! - Cissie ze scenicznym uśmiechem niecierpliwie popychała męża na środek sali. Dla niej kampania już się rozpoczęła.

Aleja B i Czwarta ulica były zupełnie obce Cissie Gold. Razem z Noahem mieszkali w trzypiętrowej luksusowej kamienicy na Dziesiątej ulicy tuż przy Piątej alei.

Przedwojenne budynki w różnym stadium rozkładu stały stłoczone obok siebie jak podstarzałe gwiazdy prowincjonalnego kabaretu pozbawione makijażu. Odpadki ze śmietników leżały rozsypane na chodnikach. Drogi ewakuacyjne na tyłach budynków upstrzone były sznurkami z suszącym się praniem. Betonowe stopnie ruder stanowiły miejsce zebrań mężczyzn, którzy nie mieli co ze sobą zrobić, a

na pokrytych sadzą parapetach przesiadywały kobiety z dziećmi na rękach, ze zmęczonymi, podkrążonymi oczami.

Był początek kwietnia i Cissie przeprowadzała akcję werbunkową. Każdego wieczoru po absorbującej pracy w biurze gnała do domu, brała prysznic, wkładała wygodne ubranie i dziarskim krokiem ruszała na ulicę. Aby uprawomocnić kandydaturę Noaha do listopadowych wyborów, musiała przedstawić petycję w biurze elektoratu z tysiącem podpisów popierających jej męża. W celu zapewnienia maksymalnego bezpieczeństwa Jeremy poradził im zebrać dwa tysiące podpisów. Przypomniwał, że chociaż byli największym klubem politycznym w okręgu, mieli konkurentów w postaci innych partii począwszy od komunistów, a kończąc na prawicowych demokratów, których łatwo było pomylić z republikanami. Każdy z działających klubów miał prawo wystawić swojego kandydata do wstępnej elekcji wrześniowej. Jeśli Noahowi udałoby się przebrnąć przez ten etap, miał szansę stawić czoło Duffy'emu w wyborach listopadowych.

W czasie pobytu Cissie w Europie, gdzie dokonywała nowych zakupów dla firmy, Andrew zdołał zwerbować dwudziestu ochotników, studentów i etatowych pracowników partii, organizując ich w dwie grupy wypadowe.

Andrew podzielił okręg obejmujący Greenwich Village, małą Italię i Lower East Side na sektory, tak że każda grupa operacyjna miała obejść jednego wieczoru cztery do pięciu bloków. Nie było to łatwe zadanie, gdyż ochotnicy musieli zajrzeć do każdego mieszkania.

Dla Cissie, choć wiele już widziała w życiu, było to zupełnie nowe doświadczenie. Odwiedzała rodziny stłoczone w jednopokojowych mieszkaniach z cieknącą kanalizacją i bez ogrzewania, gdzie dziewięć osób zamieszkiwało jedno

pomieszczenie, gdzie ludzie spali na podłogach, jedli na zmianę, a korytarze przepelniała woń moczu.

Niektóre z mieszkań napawały ją wstrętem. Smród nie mytych ciał i brudnej odzieży wdzierał się w nozdrza. Małe dzieci z rozczochranymi włosami i brudnymi buziami wlepiały w nią zafascynowane spojrzenia. Dotykały jej ubrania, kasztanowych włosów i jasnej cery, tak jakby była przybyszem z innego świata.

Jednak były też mieszkania czyste i zadbane, ozdobione ręcznie dzierganymi firankami, sztucznymi kwiatami, obrazkami świętych i rodzinnymi pamiątkami. Mieszkali w nich ludzie biedni, ale dumni. W takich rodzinach każdy miał przydzielone funkcje. Młodszy uczył starszych angielskiego, pobierając w zamian lekcje przetrwania. Dziadkowie zajmowali się sprzątaniami i gotowaniem, chcąc mieć swój udział w życiu domu.

Dziadkowie Cissie - Franyu i Sinnoch - także mieszkali w tej dzielnicy w domu niewiele różniącym się od mieszkań, które odwiedzała. Często o nich myślała podczas swojego trzytygodniowego obchodu. Też byli obcy w tym kraju. Podobnie jak ci ludzie, musieli nauczyć się nowych praw i nowych obyczajów. Jednak im się to udało, tak jak udawało się niektórym mieszkańcom, chociażby takim jak rodzina Hildagów.

Cissie spotkała ich podczas jednego z obchodów. Kuchenne opary docierały aż do korytarza, skupiając się w jeden oleisty intensywny zapach. Kolega Cissie zaproponował, żeby poszła już do domu, ale się uparła, że skończy obchód budynku. Kiedy doszła do mieszkania państwa Hildagów, była zupełnie wyczerpana i zbierało jej się na mdłości.

- Pani Rosa Hildago? - sprawdziła listę, upewniając się, że trafiła pod właściwy adres.

- Si.

Cissie była wdzięczna, że kobieta tak stanowczo odpowiedziała na jej pytanie.

- Nazywam się Cissie Gold - przedstawiła się. - A to jest Ramon Feuntes. Jesteśmy z lokalnego klubu demokratów i zbieramy podpisy na poparcie kandydata naszej partii Noaha Golda.

Filigranowa kobieta próbowała zrozumieć, co mówiła do niej Cissie. Bez chwili zwłoki Ramon przetłumaczył jej słowa.

- Proszę wejść. - Kobieta uśmiechnęła się i cofnęła w głąb mieszkania. Pokój oświetlała tylko jedna żarówka, ukazując obdrapany sufit. Dwie grube kotary zwisały ze sznurków oddzielających miejsca do spania. Stara koronkowa serwetka leżała na wyblakłym, niegdyś zielonym tapczanie, który bez tej ozdoby, nadającej mu posmak staroświeckości, byłby jedynie rozpadającym się gratem. Dwa drewniane chybotliwe krzesła ożywiały kolorowe poduszki, a na stole, obok starych hiszpańskich czasopism, których okładki były wytarte od ciągłego czytania, stała salaterka ze sztucznymi owocami. Typowe dla Lower East Side, pomyślała Cissie. patrząc na kompozycję różnych sprzętów tworzących chaotyczny melanz.

Rosa zaprowadziła Cissie i Ramona do pokoju, gdzie starsza kobieta z siwymi włosami, zaczesanymi w hiszpański warkocz, stała nad zlewem i wycierała naczynia. Kiedy Rosa przedstawiła jej gości, odwróciła się i życzliwie uśmiechnęła, zakrywając dłonią szczyty po zębach. Rosa przedstawiła ich także swojemu ojcu, trojgu dzieciom i w końcu mężowi, Luisowi Hildago.

- Witajcie w moim domu - uśmiechnął się serdecznie, zapinając drelichową koszulę. Mógł im poświęcić tylko kilka minut, bo spieszył się do fabryki na nocną zmianę.

Staruszka natychmiast przetarła filiżanki i łyżeczki oraz postawiła imbryk na piecu. Cissie pomyślała o Noahu. Wprawdzie Goldowie nigdy sobie tego nie uświadamiali, jednak Cissie naprawdę była najlepszym sprzymierzeńcem męża, Kiedy mówiła o Noahu, w jej oczach pojawiała się taka jasność, że trudno było wątpić w szczerłość jej słów. Mówiła spokojnie i rzeczowo, nigdy nie przyjmując natarczywego i wszyskwiedzącego tonu. Dzięki temu rzadko opuszczała mieszkanie bez podpisów wszystkich mieszkańców.

- ...i chociaż nie miał jeszcze okazji się tym zająć, wasz przyszły senator poprze wszystkie ustawy i podejmie wszelkie działania, by dofinansować szkoły, podnieść standard życia i stworzyć nowe miejsca pracy.

Czasami nie mogła się oprzeć chęci uświadomienia tym ludziom, jak bardzo byli pokrzywdzeni przez los. Chciała wziąć ich za ręce i pokazać im robaki pełzające w spiżarniach i handlarzy narkotyków namawiających ich dzieci do posmakowania białej śmierci. Chciała zaciągnąć ich do fabryki i pokazać im warunki, w jakich pracowali za grosze. Na większości nie zrobiłoby to zapewne żadnego wrażenia. Ale ludziom takim jak Louis i Rosa Hildago nie trzeba było o tym mówić. Należało ich jedynie przekonać, że Noah Gold reprezentujący ich w Albany będzie ich szansą na lepsze życie.

- Czy znacie senatora swojego stanu? - zapytał Ramon, patrząc, jak Cissie z trudem nabiera powietrza w płuca.

Hildagowie wyglądali na zakłopotanych. Spuścili wzrok i przecząco pokręcili głowami.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Cissie, poklepując Rose po dłoni. - Wielu ludzi go nie zna. A większości jest to zupełnie obojętne. Nazywa się Jack Duffy.

Wtem Rosa i Luis niespodziewanie się poruszyli. Spojrzeli po sobie, po czym przenieśli wzrok na przybyszów.

- Coś się stało? - zapytała Cissie, już teraz pewna, że coś wzbudziło ich strach. Ramon spokojnie, po przyjacielsku, powtórzył jej słowa.

- Co kilka lat ludzie pukają do naszych drzwi. - Luis mówił po angielsku wolno i wyraźnie. - Mówią nam, że nadszedł czas, by głosować. Musicie głosować, mówią. Zazwyczaj są bardzo mili. - Ton jego głosu był przeproszający, zupełnie jakby chciał usprawiedliwić sam siebie. - Zabierają nas do miejsc, gdzie stoją maszyny, i mówią nam, jak na nich pracować.

- I na kogo głosować - dodał Ramon.

- Si. Rosa i ja po prostu robimy, co nam każą. Słyszeliśmy o sąsiadach, którzy nie chcieli iść do maszyn. Powiedziano im, że senor Duffy jest odpowiedzialny za ogrzewanie i wodę. Nie powiedzieli im, że odetną ogrzewanie, ale tak to brzmiało. Nie chcemy, żeby tak się stało, więc będziemy na niego głosować. To źle, tak?

- Nie ma w tym nic złego - odpowiedziała Cissie, tłumiąc wściekłość na myśl o metodach, do których posuwał się w swojej kampanii przeciwnik jej męża. - Przynajmniej głosujecie. Po prostu Noah, ja, Ramon i inni uważamy, że Duffy nie zrobił dla was zbyt wiele. Sądzymy, że potrafimy dać wam więcej. Ale potrzebujemy waszej pomocy.

- Co możemy zrobić?

- Najpierw podpiszcie się tutaj i tam - Cissie wskazała odpowiednie linijki w petycji. - Potem musicie pamiętać, żeby zagłosować na Noaha Golda we wrześniu i jeśli się uda, także w listopadzie.

Skinęli głowami i złożyli swoje podpisy, jednak Cissie była pewna, że ujrzała w ich wzroku rozczarowanie. Widocznie oczekiwali czegoś więcej.

- Jeśli chcecie - dodała - możemy was zatrudnić w kwaterze Golda.

- Si. Chcemy się przyłączyć - podchwyciła Rosa i szybko jej twarz przybrała wyraz rezygnacji. - Ale nie możemy wam poświęcić dużo czasu.

- Może w niedzielę po kościele? Potrzebujemy ludzi do roznoszenia ulotek, telefonowania i tłumaczenia.

- Bueno!

Zaczęli przyjaźnie poklepywać się po ramionach. Naraz Cissie straciła równowagę i osunęła się na podłogę. W pierwszej chwili nikt nie zauważył, jak zbladła i jak ugięły się pod nią nogi, gdy próbowała się podnieść. Dopiero kiedy ponownie opadła z sił, dotarło do nich, że jest naprawdę chora.

Luis zaprowadził Ramona do budki telefonicznej, podczas gdy Rosa została z Cissie, ocierając jej twarz wilgotnym ręcznikiem. Ramon zadzwonił do klubu. Nikt się nie zgłaszał. Zadzwonił do domu Cissie. Również nikt nie odpowiadał. W końcu wykręcił numer do mieszkania Andrew Kahna. Kiedy ten dowiedział się, co się stało, zabronił Ramonowi ruszać się z miejsca. Powiedział, że zadzwoni po pogotowie, odnajdzie Noaha i spotkają się w szpitalu. W ciągu godziny Cissie przyjęto na oddział, poddano szczegółowemu badaniu i pozostawiono w „Carnegie Medical Center” z diagnozą wirusowego zapalenia płuc i skrajnego wyczerpania. W opisie ogólnego stanu pacjentki wpisano: siódmy tydzień ciąży.

Od ich pierwszego spotkania we Francji w „Auberge Loiret”, cztery lata temu, Noah stawał się coraz bardziej zależny od Cissie. Tak jak na początku nie wierzył nikomu, nawet samemu sobie, tak teraz krok po kroku odkrywał zakamarki swojej natury i oddawał je Cissie w opiekę. Nie trzeba było długo czekać, by Cissie bez żadnych „powinieneś” albo „dobrze byś zrobił” przejęła kontrolę nad niemalże wszystkimi aspektami jego życia. Pogodziła Noaha z jego rodziną, a nawet ustaliła, kiedy i jak często będą się widywać. Wprowadziła go do swojej rodziny i w tym gronie również

uregulowała terminy wizyt. Kiedy Noah postanowił założyć prywatne biuro prawnicze, pomogła mu znaleźć odpowiedni lokal, kupić meble, wynająć personel i wynegocjowała dla siebie podwyżkę, tak by mogli się utrzymać ze swoich pieniędzy, nie korzystając z pomocy rodziców.

Jedyną rzeczą, której zażądała w zamian, były indywidualne wizyty u psychiatry i spotkania z grupą weteranów z Wietnamu. Miała nadzieję, że będąc z innymi ludźmi, którzy doświadczyli podobnej tragedii, Noah zdoła zrzucić z siebie poczucie winy i uwolni się od nocnych koszmarów, które nie przestały go nawiedzać. Niestety, łatwiej mu było stłamsić w sobie złe wspomnienia, niż otwarcie się z nimi zmierzyć. Przez półtora roku odwiedzał lekarza, podczas gdy spotkania z weteranami ograniczył zaledwie do pięciu. Cissie błagała go, żeby się nie poddawał, ale Noah odmówił dołączenia do grupy. Lekarz nauczył go radzić sobie z depresją i Noah uparcie twierdził, że to mu wystarcza. Cissie nie chciała się z tym zgodzić. Pragnęła, by na zawsze wyrzucił to z siebie, nie tylko dla lepszego samopoczucia męża. Kierowały ją także czysto egoistyczne pobudki. Chciała mieć go całego dla siebie. I nie mogła znieść, że musi się nim dzielić z jego przeszłością.

Nalegała także, ponieważ pragnęła mieć dzieci. Za każdym razem, kiedy mówiła o powiększeniu rodziny, Noah natychmiast się wycofywał, nie udzielając żadnej odpowiedzi oprócz upartego milczenia. Wiedziała, że stali mu przed oczami chłopcy, których śmiercią wciąż się obarczał. Parę razy sprowokowała rozmowę na ten temat.

- Bóg nie puści mi tego płazem - mówił. - Ukarze każde dziecko, które urodzisz, a ja nie chcę, żebyś płaciła za moje grzechy.

Jednak teraz Cissie była w ciąży, a ich dziecko miało przyjść na świat na początku grudnia. Kiedy w łóżku

szpitalnym czekała na Noaha, zastanawiała się, jak przyjmie tę wiadomość. Będzie zły? Chyba nie.

Przypomniała sobie następny dzień po tym, jak lokalny klub demokratów zaakceptował kandydaturę Noaha do ubiegania się o urząd senatora. Oboje dłużej leżeli w łóżku. Zanim jej umysł i ciało zdążyły się wyłonić z sennych marzeń, poczuła dłonie Noaha błędzące po jej piersiach. Jego palce i usta wydawały się częścią snu i z lubością smakowała senne rozkosze, których wówczas doznawała. Powoli, mając nadal zamknięte oczy, zrozumiała, że sen się skończył, ale wciąż czuła na swoim ciele namiętne pocałunki. Przeciągnęła się, układając ręce pod głowę i wyginając ciało w łuk. Noah znaczył pocałunkiem jej każde drgnienie i rozkoszne marzenia przemieniały się w rzeczywistość. Nie mieli czasu, żeby myśleć o zabezpieczeniu. Odpowiadała na to, co jej dawał, i kochając się z nim, odwzajemniała jego pieszczoty.

To był cudowny poranek. Miała tylko nadzieję, że Noah zapamiętał go tak dobrze jak ona.

Usta Noaha wydawały się zimne. Od kilku godzin leżała w półśnie wywołanym środkami nasennymi, zbyt nieprzytomna, by zauważyć, że Noah przebywał w jej pokoju od pierwszej w nocy. Była prawie piąta, kiedy otworzyła oczy.

- Jak się czujesz? - Noah siedział obok niej na łóżku trzymając ją za ręce. Miał zmęczone oczy. Jego krawat luźno zwisał wokół szyi. Zarys jego twarzy podkreślał jednodniowy zarost.

- Dobrze - odpowiedziała, obdarzając go ciepłym uśmiechem.

- Ciekawe. Lekarz powiedział mi zupełnie coś innego. Podobno masz zapalenie płuc.

Skinęła potakująco głową, próbując ułożyć ją tak, by spojrzeć mu prosto w oczy.

- Powiedział mi również, że jesteś w ciąży.

Ponownie przytaknęła, lecz nerwy nie pozwoliły jej na nic więcej.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - Jego ton był spokojny.

- Wiem, że to zabrzmiało jak rola w drugorzędym filmie, ale nie miałam pewności. Ostatnio byłam trochę przemęczona i sądziłam, że przesunęła mi się miesiączka.

- A czy przypadkiem nie przyszło ci do głowy, żeby iść do lekarza?

- Pewnie w końcu bym tak zrobiła - odparła tonem dziecka, które coś przeszkrobało.

- W końcu byś się znalazła na sali porodowej. Naprawdę to było strasznie nierozsądne, pani Frances Rebecca.

Nie był zły. Najpewniej, pomyślała, przejął się bardzo tym wszystkim. Ale wyglądał na zadowolonego.

- Kochasz mnie nawet, gdy nie jestem rozsądna?

Zmarszczki na jego czole złagodniały. Pochylił się i delikatnie ją pocałował.

- Kocham cię bez względu na wszystko. Wziął ją za rękę i pogładził po włosach.

- Gdzie byłeś wczoraj wieczorem? - zapytała po chwili.

- Na spotkaniu z Jeremym Kingiem. Poszliśmy na szybką kolację. Zaczęliśmy rozmawiać o posunięciach taktycznych i straciliśmy rachubę czasu. Przepraszam, kochanie. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

- Przecież nie mogłeś przewidzieć, że zrobię z siebie idiotkę, mdlejąc w cudzym mieszkaniu.

Noah zdjął rękę z jej czoła i puknął się w głowę.

- Zupełnie o nich zapomniałem!

- O kim?

- O rodzinie Hildagów. Czekają pod drzwiami, odkąd cię tu przewieziono. Cissie szerzej otworzyła oczy.

- Noah, czuję się okropnie. Luis straci pracę.

- Już stracił. Ramon powiedział, że kiedy Luis zadzwonił do swojego szefa, już go wylano za spóźnienie.

Humor opuścił Cissie.

- Proszę cię, zajmij się nimi. Zobacz, czy Isaac nie ma dla niego pracy w swoim przedsiębiorstwie. Jeśli nie, mój ojciec zawsze znajdzie mu coś w „La Tessie”.

Noah pokiwał głową.

- Święta Franciszka z Greenwich Village, nasza pocieszycielka strapionych otwiera usta i jeszcze jedna duszyczka idzie do raju.

- Niech cię Bóg błogosławi - zażartowała Cissie, ignorując ironię Noaha i czując się teraz znacznie lepiej.

- A zanim zdołasz stanąć na równe nogi - zaczął sprytnie - powiedz, czy udało ci się chociaż zdobyć ich podpisy?

Cissie zaśmiała się całym sercem. Rzuciłaby w niego poduszką, gdyby wiedziała, że nie naruszy precyzyjnej konstrukcji z rurek, butelek glukozy i penicyliny.

- Noah - zapytała niespodziewanie poważnym głosem - jak przyjąłeś wiadomość o dziecku?

- Jak to przyjąłem? Fantastycznie!

Jego głos był silny i zdecydowany, a na twarzy malował się wyraz odpowiedzialności przyszłego ojca. Nikt oprócz Cissie nie zwróciłby uwagi na cień, jaki przebiegł przez jego spojrzenie, i lekkie drżenie warg. Rozumiała, jak musiał ze sobą walczyć.

Noah usiadł na łóżku i wziął żonę w ramiona. Przez chwilę siedzieli tak tuląc się do siebie i nie odzywając się ani słowem.

- Mam nadzieję, że będziemy mieć cudowne, zdrowe dziecko - powiedział całując Cissie w czubek głowy. - Malutką dziewczynkę, która będzie wyglądała dokładnie tak jak jej mamusia. Będzie miała jasnokasztanowe włosy, delikatną białą cerę i duże zielone oczy.

Łza spłynęła jej po policzku. Słyszała, co powiedział, i wiedziała, o czym myślał; chciał, żeby urodziła się dziewczynka. Syn przywodziłby wspomnienia dwóch chłopców, których zabił w Wietnamie.

Upłynął cały miesiąc, zanim Cissie przyszła do siebie. Tydzień spędziła w szpitalu, a następne dwa tygodnie przeleżała w domu. Z końcem maja nareszcie stanęła na nogi, obwarowana surowym nakazem ograniczenia aktywności. W jej rozumieniu oznaczało to pracę w „La Tessie” od dziesiątej do szesnastej, kilka godzin spędzonych wieczorem na pisaniu przemówień dla Noaha i aranżowanie jego publicznych wystąpień. Niechętnie powierzała Andrew werbowanie nowych wyborców.

Z kolei Noah pracował w biurze od ósmej do osiemnastej, uczęszczał na kolacje i spotkania operacyjne po godzinach pracy, wygłaszał przemówienia, kiedykolwiek i gdziekolwiek tylko to było możliwe.

Ich dom stał się nieoficjalną siedzibą klubu. Kolacje dla dziesięciu, dwunastu, a nawet dla dwudziestu osób były codziennym zjawiskiem. Spotkania kończyły się dobrze po północy. Weekendy wyglądały mniej więcej tak samo. Andrew niemal codziennie u nich nocował. Cissie zaczęła go traktować jak domownika. Jeremy King tak często zasiadał przy ich kuchennym stole, że Cissie automatycznie przygotowywała dla niego nakrycie. Kiedy w końcu lipca Noah musiał dać z siebie jeszcze więcej niż dotychczas, Cissie wynajęła do pomocy gosposię. Tessa była tym wszystkim bardzo zaniepokojona.

- Ty się zamęczasz - powiedziała zamykając drzwi do gabinetu Cissie i siadając na sofie naprzeciw jej biurka. Raczej z przyzwyczajenia niż z próżności wygładziła białą jedwabną spódnicę i rozprostowała fałdy czarno - białej bluzki. Ponad ćwierć wieku pracy wśród modnej odzieży spowodowało, że

Tessa zwracała większą uwagę na zgniecenie ubrania niż zmarszczki na twarzy. - Nie dość, że prawie nie wychodzisz z biura - nie dawała za wygraną - to jeszcze spędzasz Bóg wie ile czasu nad kampanią Noaha. Nie sądzę, żebyś dobrze się troszczyła o moją wnuczkę albo wnuka.

W wieku pięćdziesięciu lat Tessa zachowała taką urodę, że wydawcy czasopism zamieszczali jej fotografie w zaprojektowanych przez nią strojach. Była kobietą wystarczająco inteligentną, by kierować tak dużym przedsiębiorstwem jak „Kahn Enterprises”, ale zawsze najważniejsze było dla niej dobro rodziny.

- Twój wnuk miewa się doskonale - odrzekła Cissie, klepiąc się po brzuchu. - Nie widać? Robię się gruba jak słoń.

Prawdę mówiąc, z wyjątkiem niewielkiego wybrzuszenia, Tessa uważała, że Cissie była raczej chuda.

- Według mnie w ogóle powinnaś przestać pracować.

- Mówisz tak jak Noah - Cissie przypomniała sobie niezliczone rozmowy na temat jej pracy. - Widzę, że znalazł w tobie sprzymierzeńca.

Zanim Cissie zaszła w ciążę, kilka razy w miesiącu podróżowała po kraju, kontrolując funkcjonowanie sklepów sieci i równie często odwiedzała Europę w celu zakupu nowych modeli. Od czasu pobytu w szpitalu jedynym wyrzeczeniem, jakie uczyniła, była rezygnacja z tych podróży.

- Sądzę, że to całkiem rozsądna sugestia - Tessa nie ustępowała. Cissie pokiwała głową, ale Tessa wiedziała, że i tak spływało to po niej jak woda po kaczce. - Boisz się, że jak zrezygnujesz z pracy, znajdę kogoś na twoje miejsce? Przecież wiesz, że zawsze przyjmujemy cię z otwartymi ramionami. W końcu to przedsiębiorstwo należy do naszej rodziny.

- Nie chcę przestać pracować - oczy Cissie wypełniły się łzami i zadrgały jej usta. - Ale ostatnio Noah stał się taki uparty.

- Chodzi mu tylko o twoje zdrowie.

Cissie przytaknęła, mimo, że naprawdę sprawy się miały trochę inaczej. Noah nie prosił jej, żeby przestała się angażować w jego kampanię wyborczą. Wręcz przeciwnie. Chciał, żeby zrezygnowała z pracy w „La Tessie”, by móc całkowicie się poświęcić nadchodzącym wyborom. Godzinami tłumaczył jej, że są wspaniałym dwuosobowym zespołem i że powinni się teraz skoncentrować na jego przyszłości i karierze. Cissie czuła się jak między młotem a kowadłem. Zdawała sobie sprawę, jak ważna była rola żony i jak bezgranicznie Noah jej zawierzał, jednak nie chciała rezygnować ze swoich aspiracji i ambicji.

- A może bym przeszła na inne stanowisko? - zapytała mówiąc właściwie do siebie. - Pani Kaufman przechodzi na emeryturę. Może mogłabym ją zastąpić i poprowadzić dom towarowy w Nowym Jorku?

Tessa wyczuła, że Cissie walczy ze sobą, podporządkowując własne wartości priorytetom męża. Rozumiała, jak wiele ją to kosztuje. Trudno było pogodzić własną karierę z rolą oddanej żony i przyszłej matki.

- Według mnie to wspaniały pomysł - powiedziała. - Mogłabyś sama sobie ustalić godziny pracy. Nie musiałabyś tyle podróżować i więcej czasu spędzałyś z Noahem.

Cissie bezskutecznie próbowała się uśmiechnąć.

- Sama go do tego namówiłam - odpowiedziała - i jeśli teraz naprawdę potrzebuje mojej pomocy, nie mogę mu przecież odmówić.

Tessa usłyszała rezygnację w głosie córki.

- Małżeństwo powinno być układem partnerskim. I często jeden z partnerów musi czynić ustępstwa na rzecz drugiego. Gwiazda Noaha właśnie wschodzi. Teraz nadszedł jego czas. Ty musisz jeszcze trochę poczekać. Cierpliwości, Cissie.

- Spróbuję - odparła.

Ale mimo wytrwałych prób zrozumienia, Cissie miała wrażenie, że im jaśniej gwiazda Noaha będzie świecić, tym większe prawdopodobieństwo, że ona będzie niknąć w jej cieniu.

Większość przyjaźni ludzie nawiązują zupełnie przypadkowo; zazwyczaj dzięki zbiegowi okoliczności. Po pierwszym spotkaniu niektóre z nich umacniają się, rozwijają i pogłębiają w toku ważnych spraw, wspólnych trumfów i tragedii. Inne, bardziej powierzchowne związki są dyktowane przez pewne sytuacje - sąsiedztwo, wspólny parking, lokalny klub, pracę lub dzieci. Czasami jednak najdłuższe i najbardziej trwałe przyjaźnie mają niespodziewanie szybki początek. Dwóch potencjalnych kandydatów na przyjaciół spotyka się zupełnie przypadkowo, oboje intuicyjnie wyczuwają, że odbierają na tej samej długości fali, i węzeł przyjaźni automatycznie się zacieśnia. Tak jak w przypadku Cissie i Jinx.

Chociaż Jinx i Kip byliby najszczęśliwszymi ludźmi pod słońcem, gdyby natychmiast mogli wziąć ślub, Kate nawet nie chciała o tym słyszeć. Nalegała, żeby wybrali rozsądny termin pozwalający jej na zaplanowanie i odpowiednie przygotowanie uroczystości. Po wielu dyskusjach doszli w końcu do wniosku, że najlepiej będzie to odłożyć do Wigilii Bożego Narodzenia. We wrześniu, po licznych rozmowach telefonicznych, mających na celu ustalenie weselnego menu, sporządzenie listy gości, obmyślenie dekoracji i dopracowanie wszystkich szczegółów, Kate poinformowała Jinx, że już najwyższa pora rozejrzeć się za ślubną suknią. Jinx skierowała swoje pierwsze kroki do „La Tessy”.

Od czasu przyjazdu do Nowego Jorku Jinx parokrotnie robiła zakupy w „La Tessie”, ale tylko przy szczególnych okazjach. Nadal nie mogła sobie pozwolić na wydawanie fortuny na ubranie, jednak zawsze znalazła parę chwil, żeby

odwiedzić swój ulubiony sklep. Było w nim coś fascynującego. Może dlatego, że Kate kupiła jej w „La Tessie” pierwszy przyzwoity kostium na wyjazd do Nowego Jorku. A może z powodu sukni od „La Tessy”, którą miała na sobie w dniu oświadczeń Kipa? A może po prostu dlatego, że czuła się tutaj piękna i bogata?

Magazyn był trójpoziomową strukturą zdominowaną przez wijące się jak serpentyny schody z wyrastającymi z półpięter balkonikami, z których można było obserwować niższe kondygnacje. Front budynku wychodzący na Pięćdziesiątą Siódmą ulicę, wykonany ze szkła, tworzył otwartą atmosferę dostojnej elegancji. Ściany miały delikatny odcień brzoskwini i świetnie harmonizowały z szarymi, miękkimi dywanami. Oświetlenie było dyskretne, a przebieralnie duże i wygodne. W „La Tessie” serwowano kawę i herbatę, zapewniano także transport samochodem tym klientom, którzy nie mogli złapać taksówki. Najważniejsze zaś, że sprzedawczynie były przyjazne, kompetentne i uprzejme bez względu na to, czy kupowało się wełniany szalik czy wieczorową kreację.

Jinx była umówiona w sklepie na szesnastą trzydzieści. Kiedy po wyjściu z biurowca „Kipling Building” zmierzała w stronę sklepu, z niecierpliwości aż skręcało ją w żołądku. Szła przymierzać ślubną suknię! Przez moment w jej oczach pojawił się dziewczęcy błysk, nad którym zupełnie nie miała kontroli. Przez całe życie wyobrażała sobie, jak będzie wyglądać na ślubnym kobiercu; jaką będzie miała suknię, jaki welon, jaką wiązanę, buty, pończoszki, biżuterię i rękawiczki. Wyobrażała sobie każdy przedmiot i każdy detal tysiące razy. Teraz miała już tylko dopasować jawę do snu.

Dlaczego więc rzeczywistość wydawała się taka dziwna, podczas gdy sen był tak bliski i realny? Ssanie w żołądku nie ustępowało, ale dziewczęcy błysk jakoś przygasł. Właśnie w takich chwilach potrzebowała towarzystwa. Kogoś bliskiego,

z kim mogłaby się dzielić wrażeniami, wzdychać nad suknią, grymasić nad welonem, kogoś, kto by utwierdził ją w przekonaniu, że w tym i tylko w tym stroju będzie bez wątpienia najpiękniejszą panną młodą, jaka kiedykolwiek wkroczy do kościelnej nawy.

Kate i Heather były w Phoenix, Claire pojechała na południe Francji na wakacje i Jinx zaczęła szczerze żałować, że mieszkając w Nowym Jorku już prawie rok, nie zdołała znaleźć wielu przyjaciół. Szczególnie brakowało jej koleżanek w tym samym wieku. Ujęła mosiężny uchwyt wielkich szklanych drzwi „La Tessy” z uczuciem osamotnienia i lekkiego rozgoryczenia.

Po wejściu przez moment zawahała się, następnie podeszła do najbliższej lady. Wzięła w rękę zamszową torebkę ze wstawkami z wężowej skóry. W końcu zebrała się na odwagę, by wejść na górę. Wtedy właśnie zauważyła śliczną kasztanowłosą kobietę w zwiewnym żakiecie z różowego jedwabiu schodzącą na dół po schodach. Jinx rozplynęła się z podziwu nad jej smukłą i delikatną sylwetką. Miała zaczesane do tyłu włosy, upięte nad uszami grzebieniami z szylkretu. Jediną jej biżuterię stanowiły długie kolczyki z koralu. Kobieta skierowała się w jej stronę.

- Panna Elliot? - zapytała wyciągając dłoń do Jinx. - Jestem Cissie Gold. Panna Powell wcześniej dzisiaj wyszła. Nie najlepiej się czuła. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, z przyjemnością ją zastąpię.

Jinx uścisnęła jej dłoń i odpowiedziała ciepłym uśmiechem.

- Skąd pani wiedziała, kim jestem? - zapytała nieśmiało.

- Była pani umówiona na szesnastą trzydzieści - odparła Cissie - i jest pani w tym momencie jedyną młodą osobą, która bezwzględnie pasuje do kategorii szczęśliwej panny młodej.

Obawiam się, że większość kobiet w sklepie ma to już poza sobą.

Jinx rozejrzała się wokół i szczerze się roześmiała. Cissie miała rację. Wszystkie pozostałe klientki były po pięćdziesiątce.

- Poza tym - nie przerywała Cissie - od paru minut ściska pani tę samą torebkę, a to rekordowy wynik jak na „La Tesse”. Większość kobiet odkłada ją po trzydziestu sekundach. To unikalny wzór. Artystyczna robota za niebagatelną sumę tysiąca pięciuset dolarów.

Jinx, usłyszawszy cenę, jak porażona prądem wypuściła torebkę z rąk.

- Zdenerwowana? - Cissie zastanawiała się, jak kobieta o tak przepięknych fiołkowych oczach, cudownych gęstych włosach i takich długich nogach może być czymkolwiek zmieszana. Była wystarczająco piękna, by zdobić okładki czasopism lub grać pierwszoplanowe role w filmie, i trochę przypominała jej kuzynkę - Frankie.

- Chyba tak - odparła Jinx.

- Nie ma się czym przejmować. To będzie niezła zabawa.

Cissie poprowadziła Jinx po schodach na trzecie piętro, gdzie mieścił się salon ze ślubnymi akcesoriami. Po drodze zaczęły rozmawiać o pogodzie, sklepie, przyjęciach ślubnych, a nawet o wybraniu kreacji dla Kate i Heather i wysłaniu ich do Phoenix. Kiedy dotarły na trzecie piętro, czuły się jak dwie stare przyjaciółki.

Kiedy już weszły do salonu, Jinx zapytała Cissie, czy jest mężatką. Bez słowa Cissie odwróciła się do niej bokiem i przyglądała sukienkę, ukazując odstający brzuch.

- Jak widzisz - odpowiedziała. - I to wcale nie jest takie złe.

Jinx znowu poczuła się zażenowana. Cissie spodziewała się takiej reakcji i przyjaźnie poklepała ją po ramieniu.

- Przepraszam, nie miałam najmniejszego zamiaru wprawiać cię w zakłopotanie. Po prostu jestem tak zaaferowana tym dzieckiem, że zapomniałam, iż z mojego obecnego wyglądu trudno zgadnąć, czy jestem w ciąży, czy może jestem aż taka opasła.

Jinx uśmiechnęła się.

- To pierwsze? Cissie pokiwała głową.

- Też bym była strasznie podniecona - powiedziała Jinx. - Już nie mogę się doczekać, kiedy będę miała dziecko.

Cissie uniosła dłonie.

- Hola, hola. Wszystko po kolei. „La Tessa” nie sprzedaje sukien ślubnych regulowanych w talii. A teraz weźmy się do roboty!

Przez następne dwie godziny Jinx przymierzała jedną suknię po drugiej, każdą z co najmniej dwoma welonami, żeby sprawdzić, jak to będzie wyglądało. Prawie nie знаła Cissie Gold, ale przy niej powróciły marzenia o pięknej pannie młodej, towarzyszące jej w drodze do sklepu. Wybrały najlepszą suknię i najstosowniejszy welon, a potem zdecydowały się pójść razem na kolację.

„Giancarlo's” była malutką restauracyjką na East Fifties, i na ogół gościła klientów z elity. Właściciel, czarujący Włoch robiący wszystko, by przyciągnąć najlepszą klientelę, traktował bywalców z najwyższym szacunkiem. Panował tu przyjemny, elegancki nastrój, serwowano najlepsze w mieście potrawy północnowłoskiej kuchni, a obsługa była niezwykle sprawna.

Cissie i Jinx długo jadły posiłek. Nad carpaccio z miętowym sosem Jinx opowiadała o swoich rodzicach, życiu w Phoenix i ambicjach siostry, która chce zostać modelką. Jedząc sałatkę, mówiła o swojej pracy w „Kipling Worldwide” i projekcie gabinetów odnowy biologicznej. Kiedy przyniesiono drugie danie, podzieliły się porcją spaghetti i

cielęciny i Cissie zaskoczyła Jinx, mówiąc, że jest córką Tessy Kahn i menedżerem tego sklepu. Potem przeszła do rozmowy o Noahu, o jego planach objęcia urzędu senatora i rozwodziła się nad tym aż do deseru ze świeżych malin i bitej śmietany. Przeskakiwały z tematu na temat i dopiero kiedy podano kawę, Cissie zdała sobie sprawę, że nic nie wie o narzeczonym Jinx.

- Czy pan młody owiany jest mgłą tajemnicy? Może mi zdradzisz sekret jego tożsamości?

- Żaden sekret - powiedziała Jinx zdziwiona, że jak dotąd nie wspomniała jeszcze ani słowem o Kipie. Właściwie rozmawiały już chyba o wszystkim innym. - Nazywa się Harrison Kipling.

- Tak? To już nie mam więcej pytań - powiedziała Cissie, marszcząc brwi w nieco zakłopotanym uśmiechu. - Nie muszę pytać, czym się zajmuje, gdzie mieszka ani jak wygląda. Mogę być tylko ciekawa, jak poznałaś słynnego pana Kiplinga?

Jinx uśmiechnęła się. Już dawno przestała myśleć o Kipie jak o osobie publicznej, ale musiała przyznać, że wrażenie, jakie jego imię wywarło na Cissie, mile ją polectało.

- Spadł z konia i tak się złożyło, że byłem jedyną osobą w okolicy, która udzieliła mu pomocy.

- Zawsze mówiłam: „właściwe rzeczy we właściwym czasie”. - Cissie podniosła filiżankę. - Wypijmy za Harrisona Kiplinga, Ednę Powell i bycie we właściwym miejscu w odpowiednim czasie.

- Co?

- Gdyby nie było cię we właściwym miejscu i o stosownej porze, nigdy nie spotkałabyś Kipa, on nigdy by ci się nie oświadczył i nigdy nie przyszedł do „La Tessy” po ślubną suknię. Gdyby Edna Powell nie zachorowała na grype, razem wybrałybyście sukienkę, a my nigdy byśmy się nie spotkały.

To byłoby fatalne, bo naprawdę bardzo panią polubiłam, panno Jinx Elliot.

- Mnie też pani bardzo przypadła do gustu, pani Cissie Gold. Obie zaśmiały się i stuknęły filiżankami.

Tessa Kahn rzadko zazdrościła ludziom. Jednak tego przedpołudnia zazdrościła Bertowi umiejętności przystosowania się do zmiany czasu przez prozaiczne przestawienie zegarka. Zwykle po powrocie z podróży w interesach sekretarka Tessy nie umawiała żadnych spotkań, ale dzisiaj, zupełnie wyjątkowo, widniała w kalendarzu wizyta Cissie i panny Jinx Elliot.

Tessa, sącząc kawę, obróciła krzesło w stronę okna, zajmującego prawie całą ścianę biura i wychodzącego na Pięćdziesiątą Siódmą ulicę. Przez ponad dziesięć lat obserwowała ten sam widok, ale była przekonana, że nie znudziłby jej nawet po stu latach. Ulica Pięćdziesiątą Siódmą miała swój niepowtarzalny charakter i żyła własnym rytmem. Kobiety robiące tutaj zakupy, ubrane w eleganckie stroje, trzymały się prościej niż te, które przemierzały inne ulice, miały wyżej podniesione głowy, były bardziej dumne i pewne siebie. Nawet teraz, w gorączce sierpniowego upału, miały na sobie dopasowane kostiumy, prezentowały ekstrawaganckie kapelusze i kryły jasne dłonie w długich białych rękawiczkach z koronki.

Zastanawiała się, czy ich dystyngowany wygląd należało zawdzięczać cenom sprzedawanych tutaj wyrobów czy może europejskiej atmosferze spotęgowanej stylem architektury. Może czuły się tak, jakby właśnie wyszły z paryskiej galerii sztuki? Przechadzały się z gracją wzdłuż witryn butików, sklepów ze starym srebrem, antykwariatów z meblami, numizmatami i składów chińskiej porcelany. Dla Tessy były kwintesencją stylu, który kochała.

Pamiętała pierwsze spotkanie z tą ulicą. Razem z matką obchodziła swoje siedemnaste urodziny, spędzając popołudnie w Nowym Jorku. Najpierw zjadły lunch w „Charleston Gardens” na Trzydziestej Czwartej ulicy. Wszystkie ściany pięciopiętrowej restauracji pokrywały finezyjne freski przedstawiające przepiękne południowo-europejskie ogrody. Jadło się tu na stołach wykonanych z kutego żelaza o szklanych blatach, a lunch składał się z puszystych, lekko strawnych sandwichów serwowanych z barku na kółkach. Tessa pamiętała to dziwne uczucie towarzyszące wkładaniu do ust kromek pozbawionych otoczki twardej, chrupiącej skórki. Zdziwił ją ich wygląd i kolor. Dopiero później zwróciła uwagę na smak. Zamiast masy z tuńczyka jadła kolor pomarańczowy, zamiast łososia z sałata, niebieski, a zamiast sera ze szczypiorkiem, zielony.

Po lunchu wstąpiły do „Best and Company” przy Piątej alei, gdzie Franyu wprowadziła Tessę w osłupienie, kupując jej granatowy płaszcz. Wtedy po raz pierwszy Tessa zdała sobie sprawę z cudzoziemskiego pochodzenia rodziców. Wprawdzie matka nie odcinała się ubiorem od innych klientów, jednak mówiła bardzo miękko i im dokładniej Tessa wsłuchiwała się w jej słowa, tym bardziej była świadoma, że Franyu była jedyną osobą, która mówiła z wyraźnym akcentem i używała obcych idiomów. Wcześniej, kiedy matka mówiła, że musi umyć włosy, „bo jest brudne”, Tessa traktowała to jako śmieszność. Teraz dostrzegła, że była to obca naleciałość.

Zanim dotarły do Pięćdziesiątej Siódmej ulicy, Tessa i Franyu były już tak zmęczone, że z przyjemnością przechadzały się bez celu, spoglądając na wystawy i obserwując przechodniów. Szły chodnikiem i rozmawiały o planach Franyu względem swoich dzieci i o ambicjach Tessy, która zawsze pragnęła projektować i sprzedawać piękne stroje.

Franyu chciała w młodości występować na scenie, ale jej rodzice byli temu przeciwni. Nie chciała popełnić tego samego błędu i pozwalała, aby i jej dzieci same kierowały swoim losem i realizowały własne marzenia.

To był cudowny dzień i zarazem ostatni, jaki Tessa spędziła z matką. Wkrótce po tej wyprawie Franyu trafiła do szpitala. Zmarła po sześciu miesiącach.

Tessa otarła z oczu łzy. To chyba przemęczenie lotem, pomyślała. Mimo to spoglądając przez okno widziała matkę z czarnymi spiralami włosów rozwianych na wietrze i z bladą twarzą zarumienioną od rzeńskiego powietrza. Niemalże czuła jej silny uścisk dłoni, który tak bardzo osłabł w czasie choroby. Stanęły jej przed oczami siostry i bracia, tak jak wyglądali przed wojną i chorobą matki. Byli ze sobą tak blisko, że czuło się promieniującą miłość przenikającą całą piątkę. Miłość pozostała nadal, ale dawna zażyłość gdzieś się ulotniła. Od śmierci Sinnocha w 1965 roku rzadko się widywali.

Tessa właśnie zaznaczyła w kalendarzu, że musi zadzwonić do starszej siostry Molly, kiedy sekretarka oznajmiła nadejście dwóch pań. Szybko otarła oczy i sprawdziła w lustrze, jak wygląda. Jej czarne włosy były gładko zaczesane w kok. Kilka pasemek, które wydostały się z fryzury, zwisało zasłaniając uszy. Odgarnęła je do tyłu, odsłaniając kolczyki z diamentów i pereł.

Cissie zapukała do drzwi i Tessa wzięła głęboki oddech, próbując odegnać wspomnienia. Jednak gdy otworzyły się drzwi, przeszłość znów wkradła się do pokoju w osobie Jinx Elliot.

- Mamo, to jest Jinx Elliot - powiedziała Cissie zbyt podniecona, żeby zauważyć sztuczność w pozie matki. - Jinx, oto słynna Tessa Kahn.

- Dzień dobry, pani Kahn. To naprawdę wielki zaszczyt. Jestem pani wielbicielką.

Tessa uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń. Była zbyt zaskoczona tym, co ujrzała. To imię. Ta sama twarz. Musiała zebrać się w sobie, aby nie okazać szoku i ucisnąć wyciągniętą dłoń. Kiedy poczuła jej dotyk, ugięły się pod nią nogi. Ścisnęła dłoń córki swojego brata.

- Jinx reprezentuje „Kipling Worldwide” i ma dla nas fantastyczną propozycję. Ciekawa jestem, co na to powiesz.

Tessa nie mogła oderwać wzroku od Jinx. Właściwie zupełnie zapomniała o Cissie i dopiero jej słowa przypomniały Tessie o tym, że nie była sama.

- Nie wątpię - odrzekła obcym głosem, zmuszając usta do układania słów. - Przepraszam, nic dzisiaj do mnie nie dociera. Właśnie wróciłam z wyczerpującej podróży.

- Rozumiem - rzekła Jinx wdzięczna za te wyjaśnienia. Czowała się niewyraźnie pod ostrzałem jej wzroku.

Tessa poprosiła, żeby usiadły, i rozpoczęła rozmowę od kurtuazyjnych pytań. Przez następną godzinę czuła się tak, jakby obserwowała tę scenę zza dźwiękoszczelnej szyby. Jinx była bardzo podobna do Bena - z lekko skośnymi hiacyntowoniebieskimi oczami i owalną twarzą z wysokimi kośćmi policzkowymi. Jej cera była tak jasna, jak cera Cissie, Frankie, Becki i jej własna. Widziała dumnie uniesione brwi swojej siostry Lillie i kruczoczarne włosy zdobiące większość kobiet z rodziny Rostovów. Podobieństwo Jinx do pozostałych członków rodziny było wyraźne, Jinx i Cissie nawet nie podejrzewały, że są ze sobą skoligacone. Jakaś część Tessy chciała im powiedzieć, że są kuzynkami, ona zaś jest ciotką Jinx i jedyną osobą z rodziny Rostovów, która odwiedziła ją w berlińskim szpitalu i która poza Bertem wiedziała o jej istnieniu.

- Jestem bardzo zaangażowana w nowy projekt „Kipling Worldwide” - przeszła do rzeczy Jinx. - Chcemy wprowadzić ulepszenia w luksusowych kurortach. Ostatnio przyszło mi do głowy, że byłoby wspaniałym pomysłem wprowadzenie butików „La Tessy” z elegancką plażową odzieżą.

Tessa wymamrotała coś o zainteresowaniu tą propozycją i dodała, że jej syn Andrew osobiście tego dopilnuje. Dzięki Bogu Cissie podtrzymała temat, mówiąc o roli brata w przedsiębiorstwie i zdolnościach do wprowadzania ulepszeń w „Kahn Enterprises”.

Tessa nie mogła się powstrzymać od patrzenia na Jinx. Trudno było jej się pogodzić, że w całej rodzinie tylko ona odziedziczyła charakterystyczną cechę jej matki - malutki dołeczek na czubku nosa. Żadne z dzieci Franyu nie było nim obdarzone.

- W grudniu planujemy otwarcie nowych obiektów w Chalet - wyjaśniła Jinx. - Wiem, że zostało już niewiele czasu, ale jeśli będą spełniać pani warunki, od razu możemy przystąpić do dzieła.

Tessa robiła wszystko, żeby skoncentrować się na rozmowie. W końcu spotkały się tutaj w interesach i powinna zachowywać się zgodnie z obowiązującym kanonem.

- Osobiście dopilnuję, żeby Andrew podjął odpowiednie kroki. - Usłyszała, oficjalny ton w swoim głosie i natychmiast tego pożałowała, dostrzegłszy rozczarowanie w oczach Cissie i Jinx. - Wydaje mi się, że to znakomity pomysł! - dodała szybko uśmiechając się niepewnie.

- Ależ, mamó! Masz dziś przedziwne poczucie humoru. Cissie podniosła się z krzesła tak sprawnie, jak tylko pozwalał jej na to brzuch, i podeszła pocałować matkę.

- Stawiam tylko jeden warunek - zwróciła się do córki. - Sama przejmiesz kontrolę nad tym projektem. Od ciebie

wyszła propozycja, wobec tego musisz doprowadzić sprawę do końca.....

Cissie nic nie odpowiedziała.

- Większości zakupów dokonamy w Nowym Jorku, tak' żebyś nie musiała daleko jeździć. Nie sędzę, żeby ci to przeszkodziło w nadzorowaniu nowojorskiego sklepu, kampanii Noaha i w opiece nad moim wnukiem. Myślisz, że uda ci się to wszystko pogodzić? - zapytała córkę.

- Wiesz, ile to dla mnie znaczy! - odparła Cissie, ściskając matkę. Tessa pokiwała głową, trochę zażenowana tym wybuchem czułości. Podniosła się z fotela, dając sygnał do zakończenia spotkania.

- Miło mi było panią poznać, panno Elliot.

- Proszę mi mówić Jinx.

Ale do Tessy nic już nie docierało. Była zbyt wyczerpana. Pragnęła tylko, żeby zostawiły ją w spokoju. Musiała zadzwonić do Bena.

Tessa po raz pierwszy spotkała Kate Freedman w Paryżu. Był rok 1947 i Kahnowie mieszkali w Europie od kilkunastu miesięcy. Dzięki Claudine Rochelle Tessa znalazła pracę na pół etatu w pracowni jako szwaczka. Bert dostawał wprawdzie przyzwoite pieniądze za pracę w sklepie ojca, jednak nie wydawali dużo na życie. Marzyli o otwarciu sklepu, wobec tego musieli oszczędzać każdy grosz. Raz w miesiącu Tessa dostawała list od ojca z tym samym pytaniem: „jak wam się udaje?” i raz w miesiącu wysyłała mu tę samą odpowiedź: „Na razie wygrywamy w walce o byt, ale mamy nadzieję, że w końcu los się do nas uśmiechnie”.

Miała wówczas dwadzieścia pięć lat i była zapracowaną matką dwojga dzieci. Dwudziestoletni wówczas Ben był bardzo przystojny i całkiem świadomy tego faktu. Wiedział, że wygląda niezwykle interesująco w mundurze lotnika i nie uszło jego uwagi, że przyciąga wzrok kobiet. Mąż Tessy

słuchając o podbojach miłosnych Bena nazywał młodego szwagra niepoprawnym nastolatkiem, ostrzegając przed tragicznymi skutkami przelotnego pożądania. Ben nie brał sobie tego do serca, mawiając w żartach, że Bert w wieku dwudziestu ośmiu lat miał już wszystko za sobą i jego męska kondycja pozostawiała wiele do życzenia. Nic dziwnego, że kiedy Ben zatelegrafował z Berlina informując ich, że przyjeżdża w odwiedziny z pewną młodą damą, Tessa i Bert byli podnieceni, ciekawi, a przede wszystkim sceptyczni.

Chociaż Kahnowie mieli bardzo małe mieszkanie, Tessa zaproponowała, żeby zostali na weekend. Nie miało znaczenia, że Danton i Claudine Rochelle zmuszeni byli wyjechać do Revigord, by opiekować się chorą matką i zostawili na ten czas czteroletniego Paula. Nie było ważne, że ich budżet nie przewidywał żadnych rozrywek. Ben był rodziną i tylko to się liczyło.

Tessa z miejsca polubiła Kate. Była ciepła, otwarta i pomimo otoczenia obcych ludzi potrafiła zachować naturalność i dobre samopoczucie. Być może zawdzięczała to zawodowi pielęgniarce. Nic nie zdołało zakłócić jej pogody ducha, nawet Paul, który nagle zapadł na infekcję wirusową i przez całą dobę męczyła go czterdziestostopniowa gorączka. Kate nalegała, żeby Tessa zajęła się swoimi dziećmi, a sama zaopiekowała się chorym chłopcem, piorąc przepocone koszulki, gotując jedzenie, karmiąc i kąpiąc malucha podczas dwudniowej kuracji. Kiedy gorączka ustąpiła, Paul tak się do niej przyzwyczaił, że Ben zieleniał z zazdrości.

Jedna rzecz utkwiała jej w pamięci - niezmiernie przywiązanie Bena do Kate. Nie opuszczał jej ani na krok, a kiedy musiała choć na chwilę wyjść, siedział z miną zbitego psa. Nie ulegało wątpliwości, że Ben był zakochany do szaleństwa, a mając sposobność poznania kilku wcześniejszych przyjaciółek Bena, Tessa nie mogła być

bardziej zadowolona. Energiczna, błyskotliwa, inteligentna i czarująco piękna Kate była jednak bardziej dojrzała od Bena i to martwiło Tessę.

Po miesiącu Ben wysłał telegram do Kahnów informując ich, że żeni się z Kate. Tessa życzyła im dużo szczęścia i z obawą przeżegnała się w duchu. Europa wkroczyła w okres ciągłych zmian i kilkudniowe romanse nie należały do rzadkości. Widziała już zbyt wiele ofiar szaleństw upojnych nocy, żeby nie martwić się o swojego wiecznie dziecinnego brata i jego młodziutką żonę.

Upływały miesiące i sprawy toczyły się swoim torem. Regularnie korespondowała z Kate. Większość listów od bratowej była pogodna i tchnęła miłością. Później zaczęły przychodzić listy od Bena. Były krótkie i zdawkowe. Nie podobało mu się, że Kate spędza tyle czasu w szpitalu, krytykował jej kuchnię, przyjaciół i podejście do życia. Użalał się nad tym, jak ciężko pracuje i jak wyczerpujące były jego ostatnie loty. Tessa zaczęła się niepokoić. Słyszała o niestabilnej sytuacji w Berlinie, o planach podziału miasta i silnym nacisku Rosjan. Czowała, że nie obejdzie się bez walki. Wcześniej zginął jeden z jej braci. Nie chciała stracić drugiego.

Poradziła mu, by poprosił o przeniesienie do innej eskadry. Odpowiedział, że należy mu się awans, ale nie może skorzystać z przeniesienia. Powód był prosty. Kate była w ciąży i musiał zrezygnować. Tessie wydawało się to dziwne. Razem z Bertem uważali, że w tej sytuacji tym bardziej powinno mu na tym zależeć. Niepokój Tessy rósł. Po kilku tygodniach Ben ponownie odwiedził ich w Paryżu.

- A gdzie Kate? - zapytała Tessa, nieudolnie kryjąc zdenerwowanie.

- Została w Berlinie.

- Dlaczego nie zabrałeś jej ze sobą?

- Między nami wszystko skończone. Odszedłem.

- Dlaczego?

- Bo to wszystko od początku nie miało najmniejszego sensu. Ona, to dziecko. Od kiedy zaszła w ciążę, wszystko szło jak po grudzie. Zostałem uziemiony z powodu przemęczenia. Ciągłe kłóciliśmy się ze sobą. To wszystko przez to dziecko. Przynosi mi pecha. Dwa tygodnie temu miałem awarię samolotu. Właśnie wyszedłem ze szpitala. Nie wrócę już do Kate.

Tessa zamarła. Bert wyjechał na południe Francji po tkaniny i, jak jej się zdawało, chciał dać im okazję, żeby pobyli ze sobą sam na sam. Cieszyła się, że tak się stało. Czułaby się zakłopotana zachowaniem brata. Krzywił się i grymasił jak rozkapryszone dziecko.

- Kochasz ją jeszcze?

- Nie.

Kłamał. Widziała to w jego oczach.

- Jesteś pewien?

- Dobrze, niech ci będzie. Kocham! Ale to i tak nic nie zmienia. - Czemu?

Milczał przez moment.

- Nie potrafię odnaleźć się w tej roli.

Tessa zdawała sobie sprawę, ile kosztuje go to wyznanie. Wiedziała również, że nikomu innemu nie powierzyłby tej tajemnicy.

- Ben, jeśli ją kochasz, wszystko jeszcze się ułoży. Wiem, jak silnym uczuciem darzy cię Kate. - Głos Tessy był kojący. - Wkrótce skończysz służbę i razem z Kate wrócicie do Stanów. Możecie być szczęśliwą rodziną.

Przez kilka minut miała nadzieję, że zdołała go przekonać. Podniósł się z krzesła i zaczął nerwowo przemierzać pokój.

- Nie mogę tego zrobić, Tesso - odparł. - Dławię się tym wszystkim. Przez resztę weekendu Tessa próbowała go

uspokoić. Miał zszargane nerwy i każda błażostka wyprowadzała go z równowagi. Tessa robiła wszystko, żeby nakłonić go do powrotu. Jednak Ben podjął już ostateczną decyzję.

W następnym tygodniu Bert wrócił do domu i Tessa pojechała odwiedzić Kate w Berlinie. Lubiła bratową i jeśli istniał jakiś sposób na uratowanie ich małżeństwo pragnęła go znaleźć.

- On ciebie nadal kocha, Kate. - Tessa była pod wrażeniem jej zmęczonej twarzy. Wyglądała na zupełnie zdruzgotaną.

- Uwierz mi, Tesso, że oprócz dziecka, które w sobie noszę, Ben jest najważniejszą osobą w moim życiu. Kocham go, bez względu na to, co zrobił i co powiedział. Pragnę tylko, byśmy znów byli razem.

- Może po narodzinach dziecka - odparła z nadzieją Tessa.

- Jak będzie dziewczynka, dam jej imię twojej matki. Tak jak ty ochrzciłaś swoją córkę.

Tessa przytuliła do siebie Kate i przywarły do siebie w uścisku pełnym czułości.

- To byłoby wspaniałe! Wiem, że Ben nigdy nie odrzuciłby dziecka nazwanego imieniem naszej matki.

Jednak Ben postąpił inaczej. Kiedy Tessa dowiedziała się o przyjściu na świat Jinx, natychmiast pojechała do Berlina w nadziei, że będzie świadkiem czułego pojednania. Ben nie przyjechał. Jego koledzy powiedzieli, że przeniesiono go w celu odbycia testujących lotów. Gdy Kate zadzwoniła do Bena i powiedziała, że mają córeczkę, której nadała imię jego matki, strasznie zaczął na nią krzyczeć. Powiedział, że nie ma do tego żadnego prawa. Ani ona, ani żadne z jej dzieci nigdy nie będzie należało do rodziny Rostovów.

- Nawet nie przyjechał obejrzeć maleństwa - szlochała Kate. - Spójrz na nią. Spójrz na jej buzię. Wystarczyłoby, żeby raz ją zobaczył, a na pewno by ją pokochał.

Ani Kate, ani Tessa nie wiedziały, że Ben był w szpitalu. Widział swoje dziecko i ta maleńka istotka z hiacyntowoniebieskimi oczami wywarła na nim ogromne wrażenie. Jednak nic nie zdołało poskromić jego młodzieńczego uporu i męskiej dumy.

W „La Caravelle” było bardzo spokojnie. Większość stałych klientów wyjechała na urlop, więc Tessa i Ben mieli dla siebie niemal całą salę. Siedzieli w kącie, chrupiąc znakomite sałatki, które popijali winem rozcieńczonym wodą mineralną.

- Naprawdę cieszę się, że się odezwałaś - powiedział Ben, uśmiechając się do siostry. - Nie widziałem cię od lat i zdążyłem się stęsknić.

- Wiem, ja też - odparła Tessa. - Od razu po telefonie do ciebie zadzwoniłam do Molly. Przepadłeś jak kamień w wodzie. Molly miała do ciebie żal.

- Molly ma zawsze do mnie żal - powiedział tonem osoby wypowiadającej oczywistą prawdę. - Tak samo jak Lillie. Ty chyba jesteś jedyną osobą, która w pełni mnie akceptuje. Dlatego tak bardzo cię kocham. - Czule poklepał jej dłoń, jednak Tessa się nie poruszyła. Wyglądała na rozbitą i zdenerwowaną. - Lubisz mnie trochę, prawda? - zapytał. - Czy może to twój ostatni lunch z człowiekiem potępionym?

Tessa utkwiała wzrok w talerzu.

- Dziś rano poczułam się strasznie osamotniona - powiedziała cicho. - I chciałam z tobą porozmawiać.

- To brzmi jak cisza przed burzą. - Ben był ciekaw, co miała do powiedzenia, lecz na wszelki wypadek postanowił zachować beztroski ton. - Proszę, możesz zaczynać.

Tessa zaczerpnęła powietrza i skuliła się w sobie.

- Czy od czasów Berlina kontaktowałeś się z Kate Elliot?

Ben poczuł ssanie w żołądku. Zwalczył ogarniające go przerażenie i starał się zachować opanowaną twarz.

- Nie. Dlaczego pytasz? Tessa zauważyła, że się zachnął.

- Chcesz powiedzieć, że przez ponad dwadzieścia lat ani razu nie zadzwoniłeś ani nie napisałeś?

- Czemu miałbym to robić? - zapytał z determinacją. - Przecież to się skończyło tak dawno temu. Sama wiesz.

Pokiwała głową, przyznając mu rację, lecz nie zmieniła tematu.

- Czy Kate odzywała się do ciebie?

Będąc w Europie, Kate cały czas utrzymywała stosunki z Tessą. Tessa wiedziała, że Kate wyszła za męża za Hanka Elliota i że Hank adoptował Jinx. Wiedziała, że cała rodzina przeniosła się do Phoenix. Od czasu wyjazdu pisywały do siebie coraz rzadziej, aż w końcu zupełnie przestały. Aż do 1963 roku, kiedy do biura Tessy nadeszła niespodziewanie kartka od Kate z zapytaniem o adres Bena. Nie wyjaśniła Tessie, do czego była jej potrzebna ta informacja. Znając Kate, Tessa wiedziała, że nigdy by jej o to nie prosiła, gdyby nie miała dostatecznego powodu. Tym powodem mogła być tylko Jinx. Wysłała jej adres Bena, lecz skoro nie miała od tego czasu żadnej wiadomości od Kate i skoro Ben nic nie wspomniał o ich rozmowie, Tessa doszła do wniosku, że widocznie Kate odstąpiła od swojego zamiaru.

- Tesso, dlaczego drażysz ten temat?

- Już ci powiedziałam. Było mi dzisiaj bardzo smutno i zaczęłam się zastanawiać, czy spotkałeś się z Kate i czy widziałeś swoją córkę.

Ben przybrał kamienną twarz. Jego oczy zamarły.

- Obiecałaś, że nigdy nie zdradzisz tej tajemnicy i pod żadnym pozorem nie powiesz nikomu o dziecku. Wszyscy

wiedzą, że się ożeniłem i zaraz potem wziąłem rozwód. Żołnierski romans. Proste jak słońce.

- Nigdy cię nie wydałam, Ben, i nie mam zamiaru tego robić. Tylko zadałam pytanie.

- Przepraszam, nie chciałem cię urazić. Ale chyba możesz sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby prawda wyszła na jaw. Sylvia chyba dostałaby zawału, a Becca... Becca nigdy by nie zrozumiała. Miałbym złamane życie.

- Nie wiem, czy sama jestem w stanie to zrozumieć.

- Co zrozumieć?

- Jak mogłeś porzucić dziecko i Kate. Dlaczego je opuściłeś?

Trudno było Benowi pogodzić się z dezaprobatą Tessy. Przez całe życie, szczególnie zaś po śmierci matki, Tessa była jego jedyną opoką. Akceptowała wszystkie jego wady i słabości. Nigdy nie zawahała się przed wytknięciem słabych stron charakteru Bena, ale potrafiła jednocześnie docenić jego zalety. Utrzymywała go w psychicznej równowadze. Dopóki miał w niej sprzymierzeńca, czuł się całkowicie bezpieczny.

- Nie mogłem sobie ze sobą poradzić - odparł szczerze. - Przyznaję, że zrobiłem okropną rzecz, ale wtedy wydawało mi się, że nie mam wyboru. Uwierz mi. Naprawdę gorzko tego żałuję.

Kiedy mówił, Tessa próbowała wyobrazić sobie wyraz jego twarzy w chwili, w której ujrzełby Jinx. Była taka piękna i tak przypominała Franyu, że Ben na pewno byłby z niej dumny.

- Jeżeli gryzie cię sumienie, dlaczego nie chcesz nic z tym zrobić? Dlaczego nie odnajdziesz Kate i nie zobaczysz się z Jinx?

- Bo jest już za późno! - Jego ton stał się agresywny.

Tessie serce zamarło w piersi. Nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

- Musiałbym powiedzieć o jej istnieniu Sylvii, Becce, Molly, Lillie, wszystkim! To zbyt skomplikowane. Zraniłbym zbyt wiele osób.

- Pomyśl o tym, jak musiała się czuć Kate i dziecko. Porzuciłeś kobietę w ciąży, zostawiłeś dziecko bez ojca.

- W porządku - powiedział próbując zapanować nad sobą - ale skrzywdziłem jedynie dwie kobiety. Teraz zadałbym ból wszystkim. I nie tylko bym zranił, ale wszystko zniszczył.

- Może rzeczywiście masz rację - powiedziała Tessa bez przekonania.

- Tak jest lepiej. Kate wyszła za mąż za Hanka i on zaadoptował dziecko. - Dziwny grymas przebiegł po twarzy Bena i kiedy znów się odezwał, jego głos był dziwnie miękki.

- Hank jest dobrym człowiekiem. Kiedy podpisywałem dokumenty, wiedziałem, że Jinx będzie miała właściwą opiekę.

- Ale to wcale nie naprawiło twojego błędu.

- Wcale tak nie myślę. - Nagle zauważył, że oczy Tessy nabiegły łzami. - Dlaczego raptem tak się rozczulasz nad tym, co zdarzyło się ponad dwadzieścia lat temu?

- Może dlatego, że jutro jest rocznica śmierci naszej mamy i mam świadomość, że żyje gdzieś kobieta ochrzczona jej imieniem, która nawet nie wie, że należy do tej rodziny? Mnie się to zupełnie nie podoba i Franyu też by tego nie poparła.

- Tessa, nie zrzucaj tego wszystkiego na mnie. Mama nie żyje, a to dziecko trudno nazwać sierotą. Ma swój dom i kochających rodziców. Jedyne różnica tkwi w tym, że zamiast Rostov nazywa się Elliot. - Nachylił się i pocałował siostrę w policzek. - Powiedz, że nadal mnie kochasz.

- Daj spokój, Ben. Oczywiście, że tak.

Jednak kiedy wychodzili z restauracji, zdała sobie sprawę, że kochała go trochę mniej niż przed tym spotkaniem.

„Pojedź tunelem Lincolna do Jersey Turnpike. Przy lotnisku Newark zjedź na szosę oznaczoną numerem 22. Jedź aż do znaku McClusky Boulevard. Skręć w prawo. Przejedź dwie przecznice. Skręć w prawo przy Yulshaman Avenue. Na lewo zobaczysz wejście na cmentarz”.

Wskazówki okazały się bardzo pomocne. Jeszcze kilka przecznic i będę na miejscu - pomyślała Jinx.

Na poszukiwaniu grobu Sinocha Rostova strawili z Kipem parę miesięcy. Zaczynając od niego mieli większe szanse na dotarcie do reszty rodziny, do młodszych pokoleń Rostovów. Jedyną wskazówką była wzmianka Kate o tym, że ojciec Bena miał sklep z biżuterią. Kiedy Jinx zadzwoniła do matki, pytając, gdzie się znajdował, nie mogła przypomnieć sobie nic więcej oprócz tego, że sklep był usytuowany gdzieś w Nowym Jorku.

Jinx przejrzała wszystkie dzielnice w nowojorskiej książce telefonicznej szukając nazwiska Rostovów lub czegoś o podobnym brzmieniu. Poszła nawet do agencji telefonicznej i sprawdziła wszystkie książki z ostatnich pięciu lat. Niczego jednak nie znalazła. Kip poradził jej, żeby podążyli innym tropem i spróbowali odnaleźć grób ojca Bena. Korzystając z licznych kontaktów Kipa, Jinx zdołała dotrzeć do wszystkich aktów zgonów z Nowego Jorku, Connecticut i New Jersey. Człowiek o nazwisku Samuel Rostov zmarł na atak serca w Newark 5 stycznia 1965 roku. Jinx poszła do szpitala sprawdzić, czy mają zapis miejsca, w którym go pochowano, ale nie wiedzieli tego.

Przez kilka dni chodziła zupełnie załamana, tak jakby drzwi, które zaczęły się już otwierać, zamknęły się przed nią z łoskotem. Kip próbował wyciągnąć coś od burmistrza Newark, lecz kiedy i to nie przyniosło rezultatu, zwrócił się do gubernatora Trenton. Cały proces poszukiwania wydawał się Jinx nazbyt powolny i niepewny. Wsiadła wobec tego do

samochodu i objeżdżała wszystkie domy pogrzebowe w okolicy, robiąc trzydziestomilowe koło wokół szpitala. W końcu, za dwudziestym razem, natknęła się na nazwisko Rostov. Notariusz podał jej wprawdzie nazwę i lokalizację cmentarza, nie chciał jednak zdradzić imion i adresów pozostałych członków rodziny. Uczulił ją również na to, że pierwsze imię człowieka, którego szukała, brzmiało Sinnoch, a nie Samuel. Nie mógł zagwarantować, że to ta sama osoba, ale Jinx postanowiła trzymać się tego tropu. Oprócz czasu nie miała nic do stracenia.

Zaparkowała samochód przed wejściem i wolno podeszła do bramy, żałując, że nie ma przy niej Kipa. Może rzeczywiście powinna zaniechać tych poszukiwań? Nie! Już parę lat temu rozpoczęła tę pielgrzymkę w przeszłość i nie miała zamiaru się poddać. Tysiące razy powtarzała Kipowi, że nie uśnie spokojnie, dopóki nie rozwikła tej tajemnicy.

Na palcach podążała przez labirynt nagrobków i wijących się ścieżek. W końcu dotarła do dużego placu, na który padał cień wielkiego wiązu. Naprzeciw tablicy z nazwiskiem Rostovów stała mała, kamienna ławka. Przed pomnikiem wyrastały cztery nagrobki, miejsca spoczynku czterech osób. Na nagrobku położonym w środku kwatery leżał bukiet białych lilii.

Serce zabiło jej w piersi i poczuła ucisk w gardle. Stała przed grobem swojej babci. Spojrzała na inskrypcje na kamieniu i łzy zaczęły jej się cisnąć do oczu.

Franyu Bakah Lublin Rostov

ur. 10 listopada 1899

zm. 1 września 1939

Oddana Żona i Kochająca Matka Triumfy, zaszczyty i reszta... miłość - ona jest najlepsza.

Cytat pochodził z poezji Browninga. Na twarzy Jinx pod strużkami łez pojawił się drżący uśmiech. Tak samo jak jej

babcia, uwielbiała poezję Browninga. Może miały te same zainteresowania? Może Franyu polubiłaby Jinx?

Nagle w jej umyśle zaczęły kłębić się pytania. Franyu miała tylko czterdzieści lat, kiedy umarła. Co było przyczyną jej przedwczesnej śmierci? W jakich okolicznościach umarła? Czy bardzo cierpiała? Co udało jej się osiągnąć w życiu? Czy zrealizowała wszystkie pragnienia?

Tuż obok nagrobka Franyu stała płyta z imieniem Sinnocha. Urodził się w 1898 roku i zmarł w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat. Czy byli kochającym się małżeństwem? Czy Sinnoch ożenił się ponownie? A może wiedział o Jinx? Czy kiedykolwiek próbował ją znaleźć?

Po lewej stronie był jeszcze jeden grób: Jacoba Rostova, urodzonego w 1921 roku i zmarłego w wieku dwudziestu czterech lat w Verdun we Francji. Był wujem Jinx. Musiał być żołnierzem i pewnie zginął podczas wojny. Jinx poczuła się w obowiązku oddać mu hołd przez pochylenie głowy.

Z prawej strony dużego rodzinnego pomnika znajdował się mniejszy nagrobek z napisem, na widok którego Jinx przebiegły ciarki: Frances Rebecca Schwartz

ur. 8 grudnia 1939

zm. 3 marca 1947

Dziewczynka, która nosiła jej imię. Dokładnie to samo. Imię, które było wyrazem szacunku dla kobiety spoczywającej pośrodku kwatery. Dziewczynka urodziła się zaraz po śmierci Franyu. Jinx przyszła na świat prawie dziesięć lat później. Ile ich jeszcze było? Dwie? Trzy? Kim była matka tego dziecka? Jedną z córek Franyu i Sinnocha? Ile dzieci mieli Rostowowie?

Poczuła drżenie w nogach. Podeszła, by usiąść na ławce, ale coś zatrzymało ją w pół drogi. Ta ławka nie była przeznaczona dla obcych. Zasiadali na niej tylko członkowie rodziny i Jinx nie była pewna, czy ludzie, którzy spoczywali w tym miejscu, nie czuliby się tym urażeni.

Wolała stać w pełnym szacunku milczeniu naprzeciw tych grobów, targana falami nie znanych dotąd emocji. Tak wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi. Dziwne, że w ogóle coś odczuwała na myśl o ludziach, których nigdy nie spotkała i o których, jak dotąd, nawet nie słyszała. Jednak miała wrażenie, że jej krew burzy się w jakimś nagłym emocjonalnym zjednoczeniu z tymi, których geny nosiła w sobie.

Pochyliła się i delikatnie podniosła bukiet lilii. Ich zapach wniknął w jej nozdrza i kilka kropel wody spłynęło na przegub jej dłoni. Kwiaty były bardzo świeże. Ktoś, kto je przyniósł, musiał chyba obejść wszystkie oranżerie w mieście. Musiały wiele oznaczać dla Franyu i były zapewne symbolem dla osoby, która położyła je na grobie. Kim była? I dlaczego przysłała właśnie dzisiaj? Jej wzrok spoczął na datach wyrytych na płycie. Pierwszy września. Dziś była rocznica śmierci Franyu. Jinx odłożyła kwiaty na miejsce.

Właśnie miała odejść, gdy dotarło do niej, że nie znalazła grobu Benjamina Rostova, który był celem jej poszukiwań. Gdzie pochowano jej ojca? Jacob zginął za granicą, lecz sprowadzono jego zwłoki. Co się stało z Benem? Spoczywał w Europie? Zginął bez wieści? Pochowano go na innym cmentarzu?

A może wcale nie umarł?

- Dobrze, albo lecę do Albany i pnę się wyżej, albo spadam na samo dno piekła i wracam z powrotem! Jak mi się nie powiedzie, będę musiał pracować u ojca.

Noah dramatycznie westchnął i wtulił się we wgłębienie między szyją Cissie i czymś, co było kiedyś bardzo zgrabną piersią. W tym tygodniu zaczął się dziewiąty miesiąc ciąży.

W dniu wyborów Cissie wstała przed światem, by jeszcze raz przejrzeć przemówienie Noaha i podać do łóżka przyszłemu senatorowi śniadanie, złożone z soku pomarańczowego z odrobiną szampana, jajek na miękko, gorących rogalików i świeżo zaparzonej kawy. Jedli powoli, lecz i tak skończyli przed szóstą. Jeszcze raz omówili program dnia.

O siódmej Noah miał wyjść z domu, by uścisnąć dłonie ludziom zgromadzonym przy wejściu do metra oraz ucałować berbecie, które przyszły z matkami na zakupy do pobliskiego supermarketu. Cissie planowała udać się prosto do kwatery wyborczej, sprawdzić działanie połączeń telefonicznych, przypomnieć wyborcom, jak należy głosować, i nadzorować kierowców, którzy mieli przywozić starszych i niepełnosprawnych wyborców do urn. Po zakończeniu głosowania zamierzała wziąć prysznic, zmienić ubranie, następnie spotkać się w biurze z Noahem, by liczyć głosy i, miała nadzieję, świętować zwycięstwo. Noah chciał, żeby cały dzień spędziła w łóżku.

- Nie wiem, kochanie, czy już to zauważyłaś, ale jesteś grubsza od stulitrowej beczki - drażnił się z nią Noah.

- Być może - odpowiedziała podpierając się łokciami na poduszce - ale do kabiny wyborczej na pewno się zmieszczę.

- I kto mi to mówi? - Noah uśmiechnął się złośliwie przysuwając się do niej bliżej.

- Jeszcze jeden tłusty dowcip - umyślnie się z nim droczyła. - Zanim zdążysz otworzyć usta, żeby poprosić mnie o wybaczenie, wcisnę się do najbliższej kabiny i oddam głos na Duffy'ego!

Noah zrobił ponurą minę. Przyłożył dłoń do serca i, pochylając się, przemówił w kierunku brzucha Cissie.

- Słyszałaś, co powiedziała twoja matka? To chyba musi być jakiś ciężowy stres. Lepiej ją udobruchamy, maluchu. Inaczej da nam nieźle popalić. - Noah czule pocałował ją w brzuch, po czym wyżej podniósł głowę i odnalazł jej usta. - W porządku, ani jednego tłustego dowcipu więcej.

- Już lepiej - odparła Cissie. - A teraz chodźmy.

Zaczęła gramolić się z łóżka, gdy Noah powstrzymał ją ruchem ręki.

- Dostyc tych żartów. Proszę cię, zostań w domu. Zbliży się rozwiązanie i nie chcę, żeby ci się coś stało. - Mówił do niej spokojnym tonem, lecz Cissie wyczula w jego głosie strach.

- Okey - szybko przytaknęła, nie chcąc go denerwować w tak ważnym dniu. - Zadzwoń do Frankie i poproszę, żeby dotrzymała mi towarzystwa. Spotkamy się później.

- Kocham cię. - Uśmiechnął się z wyraźną ulgą.

- Ja też cię kocham.

Cissie popatrzyła, jak szedł do łazienki. Stosunek Noaha do dziecka, od czasu owej nocy, kiedy dowiedział się, że Cissie jest w ciąży, zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni. Wtedy czuł się obciążony swoją przeszłością. Teraz z nadzieją patrzył w przyszłość. Pierwsze miesiące nie były łatwe. Musiał oswoić się z faktem, że zostanie ojcem. Cały czas wracał myślami do Wietnamu i często budził się w środku

nocy zlany potem. Ale od momentu, kiedy poczuł ruchy dziecka w łonie Cissie, wszystko się zmieniło.

Cissie czuła je już od paru tygodni, ale w końcu płód był na tyle duży, że Noah również mógł tego doświadczyć. Z nutką niepokoju położył dłoń na brzuchu Cissie i cierpliwie nasłuchując, wstrzymał oddech. Naraz poczuł ledwie wyczuwalne kopnięcie. Oszołomiony, jakby doświadczył cudu, nie zdejmował ręki z jej brzucha. Czuł się jak nowo narodzony. Zupełnie tak, jakby boży palec dotknął jego ramienia i sam Wszechmogący odpuścił mu wszystkie winy, Za jego sprawą nowe dziecko miało przyjść na świat i zastąpić inną istotę, która musiała odejść. Spłacał Bogu swój dług.

Noaha ogarnęła obsesja na punkcie samopoczucia Cissie. Co miesiąc chodził z nią do lekarza. W ciągu dnia wpadał kilka razy do domu, żeby sprawdzić, czy Cissie nie nadwiera swoich sił. Dawał jej witaminy, codziennie pilnował, co je. W końcu siódmego miesiąca zaczął z nią chodzić do szkoły rodzenia. Rano i wieczorem, bez względu na to, jak było późno, Noah nalegał, żeby ćwiczyła oddychanie i relaksacyjne ćwiczenia mięśni. Byli znakomitym zespołem, w którym Cissie wraz z dzieckiem odgrywali rolę zawodników, a Noah przejął funkcję trenera.

Za dziesięć siódma Noah wyłonił się z łazienki ubrany i przygotowany do wyjścia. Na jego widok Cissie uśmiechnęła się. Był dla niej najbardziej ekscytującym mężczyzną, jakiego spotkała w życiu. Uwodził ją swoimi rozmarzonymi oczami o onyksowej barwie, twarzą o rysach greckiego posągu, a nawet nastrojami przygnębiającego milczenia. Kiedy szedł w jej kierunku, zapragnęła chwycić go w ramiona i natychmiast się z nim kochać, lecz zamiast tego czule przytuliła go do siebie.

- Wspaniale wyglądasz! - Podobał jej się w granatowym garniturze i ciemnym krawacie w jaśniejsze wzorki.

- Czy wyglądam jak zwycięzca? - zapytał z przymilnym uśmiechem.

- Dla mnie zawsze. - Cissie przylgnęła do niego mocniej, mając nadzieję natchnąć go większą pewnością siebie.

- Dopóki będziemy razem - powiedział całując ją delikatnie - zawsze będę się czuł jak zwycięzca.

Cissie poprawiła mu krawat i przyglądała klapy marynarki.

- Tylko proszę o tym pamiętać, senatorze.

- Nie zapomnę, pani senatorowo. Skinął głową na pożegnanie i wyszedł. Cissie uśmiechnęła się do siebie, nalala kawy do filiżanki i wykręciła numer do Frankie. Odpowiedział jej zaspiany głos.

- Słucham?

- Cześć, panno Frances Rebecca Travis. Twoja kuzynka Frances Rebecca Gold po tej stronie.

- Cześć.

- Nie zapominaj, że dzisiaj pierwszy dzień wyborów i obiecałaś pokazać swoją śliczną buzię u boku nowego kandydata - Noaha Golda. Już siódma, więc podnieś z łóżka swoje zaspane cielsko!

- Siódma? O rany! Wybory! Noah! - Frankie nagle odzyskała przytomność. - Już jestem na nogach. Lecę. Nigdzie się nie ruszaj. Jestem u ciebie za parę minut.

Cissie zachichotała i zaczęła ją prosić, żeby się tak nie spieszyła, ale Frankie już się zaczęła gorączkować. Punktualność była jej mocną stroną i Cissie wiedziała, że za godzinę Frankie zjawi się pod jej drzwiami w pełnym rynsztunku.

Biuro wyborcze Noaha było tak wypełnione ludźmi i przeróżnymi sprzętami, że trudno było wejść do środka. W pozornym chaosie poruszali się ludzie, fruwały papiery i klekotały maszyny do pisania. Dzwoniły telefony, trzaskały

drzwi, szurały podeszwy butów, wykrzykiwano pytania i w ten sam sposób udzielano odpowiedzi - czasami w dwóch, a nawet w trzech językach. Jednak pod pozorem ogólnego rozgardiaszu kryła się wydajna i precyzyjnie zorganizowana praca.

Każde zadanie było poddane analizie, odizolowane od całości i przydzielone personelowi gwarantującemu jego sprawne wykonanie. Starannie dobrani pracownicy z poszczególnych rejonów stanowili prężny oddział doskonale kierowany przez powołanych do tego ludzi. Nad koordynacją czuwał Andrew Kahn i Jeremy King. Efektywność systemu zapewniło przydzielenie każdej osobie określonego miejsca i zadania. Każdy uczestnik miał do dyspozycji źródło informacji, z którego w razie potrzeby mógł skorzystać, kiedy zadawano mu pytania. Nikt nie kręcił się bez celu, gdyż każdy był nierozzerwalną częścią tej precyzyjnie obmyślanej maszyny wyborczej.

Przed kampanią biuro przy Houston Street miało surowy wygląd z ograniczoną liczbą sprzętów. Stare żaluzje we frontowych oknach, trzy duże, wiekowe biurka - jedno dla Noaha, pozostałe dla dwóch pracowników, którzy dołączyli parę miesięcy temu, i ciężki metalowy stół dla sekretarki obsługującej całą trójkę. Później Noah zainstalował więcej stołów i sprowadził nowych ludzi, lecz pomieszczenie nadal zachowało swój spartański charakter.

Dzisiaj wszystko wyglądało inaczej. Przez drzwi wdarł się entuzjizm, który zadomowił się w środku. Na tylnej ścianie umocowano dużą tablicę do notowania liczby zebranych głosów, a nad nią umieszczono symbol kampanii Noaha - czerwono - białą - niebieską flagę ze złotymi obrzeżami. Z sufitu, na niewidocznych nitkach, zwisały rzędy błyszczących złotych gwiazd, tworząc papierowy firmament. Na bocznych ścianach widniały plakaty, które także porozwieszano na

każdej latarni, przy każdym wejściu do metra i na każdej ulicy. Przedstawiały one czarno - białe zdjęcie Noaha, ukazujące pełne siły i pewności siebie spojrzenie i jego ciepły, wzbudzający zaufanie uśmiech. U dołu złote gwiazdy tworzyły napis: NOAH GOLD. Pod nimi czarnym drukiem wypisano marzenie Noaha: SENATOR STANU.

Na każdym biurku zajęтым przez dwóch ochotników stały co najmniej trzy telefony i leżały po cztery segregatory. Jedną z ekip nadzorował Luis Hildago. Rosa pracowała na nocną zmianę i poszła przygotować śniadanie dla rodziny na następny dzień. Jej miejsce zajęła bardzo blada Cissie Gold.

Kiedy Noah wpadł wieczorem do domu, żeby zmienić ubranie, znalazł na łóżku wyprasowany garnitur, lecz nie zastał żony. Wyrażnie się zaniepokoił.

- Rano obiecałaś, że nie ruszysz się z domu - wypominał jej teraz. Cissie usiadła na blacie biurka. Noah stanął nad nią, nie dając jej możliwości najmniejszego ruchu.

- Kłamałam - odpowiedziała z chytrym uśmieszkiem. - Nie dałam słowa i honoru, więc nie muszę być uczciwa jak skaut.

- Rewelacyjnie! - Noah pokręcił głową. - Mam i tak pełne ręce roboty i jeszcze będę musiał się tobą zamartwiać.

- Czuję się znakomicie - odparła Cissie, starając się zignorować szorstkość w głosie męża. - Za chwilę pójdę do domu, zmienię ubranie i będę wyglądać fantastycznie. Oczywiście nie tak świetnie jak ty!

- Frances! Nikt za tobą nie nadaży.

- Ja też cię kocham. Powiedz lepiej, jak poszło.

Ktoś podał Noahowi filiżankę kawy. Uśmiechnął się z podziękowaniem i szybko łyknął gorący płyn.

- Nie wiem. Wyciągałem rękę i zbierałem uściski. Całowałem dzieciaki, a one dawały mi buzi. - Zmarszczył brwi. Cissie widziała zmęczenie w jego twarzy.

- Jesteś wypompowany - powiedziała głaszcząc go po czole. - Czuję to w kościach.

- Zdołałaś je wyczuć pod powłoką tłuszczu? - Humor nie opuszczał Noaha.

- Jeszcze jeden tłusty dowcip?

- Oczywiście, że nie - odparł z uśmiechem. - A gdzie Andrew?

- Gdzieś z tyłu z Jeremym Kingiem. Rozmawiają z facetami z partii o tym, co dzieje się w innych częściach miasta.

Noah pokiwał głową.

- A co z Frankie?

- Właśnie robi za kierowcę. - Cissie roześmiała się. - Stała się naszą tajną bronią. Nikt nie zdoła się oprzeć przejazdce z Frankie Travis.

- Dobry dzieciak - skomentował Noah. - Ale jeśli dobrze pamiętam, miała zajmować się tobą.

- Rosa się mną opiekuje. Do tego Jeremy, Andrew, Hilary i wszyscy w tym pomieszczeniu. Bez eskorty nie mogę nawet iść do toalety.

- To dobrze - pogłaskał ją po brzuchu. - Jednak chciałbym, żebyś poszła już do domu i przez chwilę odsapnęła. Wyglądasz nie najlepiej, a jeszcze będziesz mi potrzebna.

Cissie i Frankie przyjechały do biura przed dziesiątą i przez cały dzień Cissie nie miała ani chwili spokoju. Około trzeciej zaczęła się jakoś dziwnie czuć, zrobiło jej się słabo i poczuła klucie w krzyżu. Zrzuciła te dolegliwości na stres i zmęczenie, ale tak naprawdę wiedziała, że odzywa się brak snu.

- Pójdiesz się zdrzemnąć? - Noah był wyraźnie zaniepokojony.

- Tak.

- Okey - powiedział, niecierpliwie rozglądając się na wszystkie strony. - Muszę wracać do pracy, a ty zaczekaj na Frankie. Ja mam przed sobą długą noc.

Dał jej szybkiego buziaka i poszedł w głąb pokoju porozmawiać z Jeremym i Andrew. W pół godziny później w drzwiach pojawiła się Frankie.

- Cześć! - krzyknęła. Była wyraźnie podekscytowana. Jej długie włosy falowały na plecach, a oczy lśniły z podniecenia. Kiedy podchodziła do kuzynki, wszyscy z zainteresowaniem spoglądali na tę wysoką dziewczynę w płaszczu z wielbłądziej wełny i czerwono - biało - niebieskim sweterku. Niektórzy wlepiali w nią wzrok, ponieważ była sławna, jednak większość nie mogła oderwać od niej oczu, gdyż przyciągała jak magnes. Cissie nawet się nie poruszyła.

- Było wprost fantastycznie! - wysapała. - Ci ludzie byli tacy mili i pomocni... Cissie przerwała jej w pół zdania.

- Jasne.

Frankie stanęła zbita z tropu. Sądziła, że Cissie powinna być zadowolona z tego, jak świetnie sobie poradziła. Myślała, że będzie z niej dumna.

- Pojedziemy do domu, przebierzemy się, odpoczniemy i wrócimy około dziesiątej. Co ty na to? - zapytała w nadziei, że zdoła przywrócić jej humor.

- Lepiej zawieź mnie do szpitala - wysapała Cissie. - Odchodzą mi wody.

20.30. Mówi wasz korespondent Chase Barret. Wiadomości wyborcze. Za dziesięć minut zakończą się wybory w Nowym Jorku i następna kampania przejdzie do historii. Jak podają źródła, w wyborach wzięli udział prawie wszyscy mieszkańcy, a w niektórych okręgach miasta kampania przebiega szczególnie burzliwie. Były to wiadomości z ostatniej chwili. Spotkamy się ponownie na

antenie za pół godziny. Bezpośrednią relację z wyborów podaje kanał jedenasty.

- Wdech. Wydech. Wdech. Wydech. Trzymaj tempo. Płytkie, rytmiczne oddechy. Jesteś na szczycie skurczu. Jeszcze kilka sekund i będzie po wszystkim.

Cissie leżała na oddziale położniczym. Z boku, ze stoperem w rękę i słuchawkami na szyi, stała pielęgniarka. Frankie obserwowała Cissie z rogu pokoju. Tak szybko, jak tylko mogła, zawiozła ją do ogólnego szpitala w Nowym Jorku. Była tak zdenerwowana, jakby za chwilę sama miała rodzić. Zazwyczaj to inni opiekowali się Frankie. Rzadko pozwalano jej na podejmowanie decyzji i nigdy dotąd o nikogo nie musiała się troszczyć.

Błagała Cissie, żeby pozwoliła jej zawiadomić Noaha, ale Cissie ostrzegła, że jeżeli to zrobi, nie odezwie się do niej do końca życia. Nawet kiedy już przewozili ją na oddział położniczy, uparczywie nalegała, żeby Frankie nie dzwoniła do jej męża.

- Dzisiaj jest jego dzień - powiedziała. - Niech robi, co do niego należy. Ja i dziecko jakoś damy sobie radę.

Frankie kochała Cissie. Jeśli cokolwiek stałoby się jej albo dziecku, nigdy by sobie tego nie wybaczyła. Myśl, że Noah o niczym nie wie, nie dawała jej spokoju.

Powiadomiła go telefonicznie o tym, co się dzieje, jak już dotarły do szpitala. Miała i nadzieję, że Cissie nie będzie miała do niej o to żalu. Sama nie chciałaby rodzić dziecka pod nieobecność męża. W takiej chwili potrzebowałyby jego wsparcia, miłości i czułości. Zach na pewno chciałby przy niej być.

Przestań, skarciła siebie w myślach. Musisz na zawsze wymazać Zacha Hamlina ze swojego życia.

Latami czekała na wiadomość od Zacha. Nie mogła zliczyć, ile napisała już listów i jak często dzwoniła do

„Timesa" w Los Angeles. W końcu lata wpadł jej w ręce artykuł podpisany jego nazwiskiem. Zach był w Wietnamie.

Wiedziała, że nigdy nie będą razem, ale wcale jej to nie przeszkadzało snuć marzenia o wspólnym życiu. Był pierwszym mężczyzną, który potraktował ją jak człowieka, a nie jak towar, i nic nie zdołało zatrzeć wrażenia, jakie na niej wywarł. Zach Hamlin odmienił jej życie

- Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

Cissie wpuszczała i wypuszczała powietrze w rytm spokojnych komend pielęgniarki. W pomieszczeniu było chłodno, ale pot zrosił jej twarz i górne części ud. Pomiedzy skurczami, Frankie wycierała Cissie czoło wilgotną ściereczką i wyciskała jej do ust krople wody, żeby zwilżyć spierzchnięte usta. Kiedy przyszedł lekarz, który zbadał Cissie i nakazał Frankie wyjść z pokoju, odetchnęła z ulgą. Podjęła decyzję i musiała liczyć się ze wszystkimi jej konsekwencjami. 21.00 Dobry wieczór państwu. Mówi wasz korespondent Chase Barret. Wiadomości z ostatniej chwili. Właśnie zakończyły się wybory i za chwilę wyniki zostaną przesłane do biur wyborczych. Kampania roku 1972 oddała nastroje panujące wśród społeczeństwa. Niektórzy kandydaci, jak Jackson Wilmont, senator stanu i okręgu numer dwadzieścia sześć, nie muszą się już martwić o swój ponowny wybór. Najprawdopodobniej będą nadal sprawować urząd. Jednak Jack Duffy, republikanin z okręgu numer dwadzieścia siedem, musiał wziąć udział w wyrównanej walce z Noahem Goldem. Ich pojedynek był niezwykle interesujący, gdyż byliśmy świadkami konfrontacji starych, konwencjonalnych koncepcji reprezentowanych przez byłego senatora Duffy'ego ze świeżą twarzą i nowym programem demokracji - Noaha Golda, mającego poparcie wśród wszystkich warstw społecznych zamieszkujących okręg dwudziesty siódmy. Więcej informacji o nowym kandydacie podamy państwu za chwilę.

- Rozwarcie jest już na cztery centymetry i nadal ładnie postępuje, ale spokojnie, Noah. Pierwsze dzieci nie wyskakują z brzucha jak piłki. - Lekarz pocieszającym gestem poklepał go po ramieniu. Wiedział, że nawet najodporniejsi ojcowie zazwyczaj spodziewają się najgorszego. - Według mnie nie urodzi przed świtem.

Noah ze zrozumieniem pokiwał głową, tak jakby on również przewidział ten termin.

- Jak się czuje dziecko? - zapytał, ciągle nie mogąc zacerpnąć tchu po tym, jak gnał co sił z przedmieścia do szpitala. Po telefonie Frankie, natychmiast wyszedł, zatrzymując się tylko przy Andrew, by wyjaśnić, co się stało. - Trzy tygodnie przed terminem. Czy to przypadkiem nie za wcześnie?

- Nie ma obaw. Wszystko w porządku. Dziecko jest zdrowe. Uderzenia serca są silne i miarowe. Dziesięć minut temu byłem u Cissie. Czuje się dobrze.

- Mógłbym ją zobaczyć?

- Oczywiście.

Lekarz poprowadził go w stronę wąskiego korytarza. Noah zauważył, że pokoje były pozbawione drzwi. Starał się patrzeć przed siebie i nie zwracać uwagi na płacz, jęki i krzyki dobiegające z pokojów. Gdy doszedł do pomieszczenia, w którym leżała Cissie, ogarnął go paniczny strach.

- Wdech. Wydech. Poczekał, aż minie skurcz, po czym pochylił się i pocałował Cissie. Delikatnie odgarnął jej z czoła zwój kasztanowych włosów.

- Cześć. - Ujął ją za rękę i pocałował każdy palec. - Ktoś mi mówił, że pojedzie prosto do domu.

- Znowu kłamałam - powiedziała, obdarzając go najpiękniejszym uśmiechem, na jaki było ją stać w tej chwili. - Powiedziałam też, że jak zobaczysz mnie następnym razem, będę świetnie wyglądać.

- Wyglądasz wspaniale! - powiedział, głaszcząc ją po ramieniu.

- Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

- Nie złość się na mnie. - Frankie stała w nogach łóżka z nerwowo zaciśniętymi wargami. - Pomyślałam, że powinien być przy tobie.

- Wcale się nie złoszczę - odpowiedziała czule Cissie ze skrywanym zadowoleniem. - Dobrze zrobiłaś.

Frankie właśnie miała coś powiedzieć, gdy nagle, jak za naciśnięciem niewidzialnego guzika, Cissie zaczęła dyszeć, a Noah chwytając stoper zaczął głośno liczyć, odmierzając czas między skurczami. Jeszcze przed sekundą we troje byli w pokoju. Teraz została już tylko dwójka. Frankie wycofała się na korytarz.

Noah został z Cissie prawie pół godziny, rozmawiając, nadzorując skurcze i troskliwie zajmując się żoną. Dopiero po przyjsciu lekarza Cissie zdała sobie sprawę z tego, jak jest późno.

- Powinieneś wracać do biura - powiedziała.

- Głosowanie już się skończyło. Co się stało, już się nie odstanie. Zostanę z tobą i będę czekał, aż urodzisz.

- Albo natychmiast wyjdiesz, albo skrzyżuję nogi i będę je trzymać zaciśnięte, dopóki nie opuścisz tego pokoju.

Noah roześmiał się

- Nie widziałaś swoich nóg od trzech miesięcy, więc teraz mnie nimi nie strasz.

- Chcę, żebyś sobie poszedł - skłamała pragnąc, by został przy niej. - Wszystko będzie w porządku. Naprawdę.

Noah wyglądał na człowieka staczającego ze sobą batalię.

- Ja nie mam wyboru i muszę być tutaj - tłumaczyła Cissie. - Ty też nie masz wyboru i powinieneś wrócić do biura.

Przy następnym skurczu lekarz wyprowadził Noaha z pokoju i zaczął badać pacjentkę. Cissie jeszcze raz spojrzała na męża. Przesłał jej dłonią pocałunek i już wiedziała, że nie wróci. Jedną część Cissie rozumiała to i bez sprzeciwu przyjmowała jego odejście. Sama nalegała, żeby sobie poszedł. Jednak w głębi serca pragnęła, by został przy niej bez względu na to, co powiedziała.

Zanim Noah opuścił szpital, na chwilę zatrzymał się w holu.

- Zostaniesz z nią? - zapytał Frankie.

- Oczywiście - odpowiedziała zdziwiona, że wychodzi, i oburzona przypuszczeniem, że w takiej chwili mogłaby zostawić Cissie samą.

- Myślałem, że lecisz do Wietnamu, żeby wziąć udział w programie Jody'ego Harta.

- Tak, ale to dopiero w czwartek. Dzisiaj jest wtorek. Mam jeszcze mnóstwo czasu.

- Posiedzisz przy niej? Lekarz powiedział, że do rana nie urodzi. Zaraz będę z powrotem.

- Nie mam pojęcia, co robić - Frankie wpadła w panikę.

Noah dobrze znał Frankie. Była splotem niewinności i braku pewności siebie, wiecznym dzieckiem uzależnionym i manipulowanym przez bezkompromisową matkę. Frankie pragnęła wreszcie dojrzeć, ale za każdym razem, gdy wyciągała ręce po dorosłość, starając się przeskoczyć próg dzieciństwa, ktoś odciągał ją do tyłu. Noah znał Frankie od czterech lat i podobnie jak Cissie nigdy nie traktował jej jak dziecko.

Chwycił ją za ramiona i spojrzął jej prosto w oczy.

- Obserwowałeś mnie i pielęgniarkę - powiedział spokojnym tonem. - Wiesz, co masz robić, i na pewno dasz sobie radę. Pielęgniarka jeszcze raz ci wszystko wyjaśni i zostanie z tobą, dopóki nie dojdiesz do wprawy. - Zgiął palec

i podniósł jej brodę tak, żeby nie mogła unikać jego spojrzenia. - Liczę na ciebie, Frankie.

Pokiwała głową i spróbowała się uśmiechnąć.

- Na pewno cię nie zawiodę - odpowiedziała patrząc, jak Noah znika w korytarzu.

Frankie Travis była gwiazdą od najmłodszych lat. Jej zdjęcia zdobiły okładkę każdego bardziej poczytnego czasopisma, występowała w wielu przedstawieniach, grała główne role w paru filmach i zawsze otaczał ją tłum wielbicieli. Jednak nigdy nie czuła się tak ważna jak teraz. Weszła do pokoju Cissie, wzięła w rękę stoper i pomogła kuzynce w przetrzymaniu następnego skurczu.

23.30 Jak dotąd jesteśmy świadkami wyrównanego pojedynku Jacka Duffy'ego i Noaha Golda, którzy po wstępnych kalkulacjach otrzymali tyle samo głosów. Z niecierpliwością czekamy na dalsze wyniki.

- Lekarz powiedział, że masz jeszcze godzinę. Będiesz mamą, Noah będzie tatą, a ja....

- Matką chrzestną. - Głos uwiązł Cissie w gardle, gdy zaczął się następny, mocniejszy skurcz.

Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Szyjka rozszerzyła się już na osiem i pół centymetra. Ponaglona przez Frankie, Cissie przeszła na oddychanie płytkie szybko wciągając i wypuszczając powietrze. Za moment przyszedł następny skurcz. Ból się nasilał.

00.23 W okręgu numer dwadzieścia siedem przy czterdziestu procentach podliczonych głosów Jack Duffy ma niewielkie prowadzenie.

- Frankie, zabieramy ją na salę! Pójdiesz za pielęgniarką, włożysz fartuch, czepek i maskę i będziesz mogła asystować.

Posłusznie skinęła głową, chociaż nie miała najmniejszej ochoty wypuszczać teraz ręki Cissie ze swojej dłoni. Czowała, że

stały się sobie bardzo bliskie. Lekarz niewłaściwie odebrał jej wahanie.

- Nie musisz iść, jeśli nie chcesz - powiedział cicho, tak żeby nie usłyszała tego Cissie.

- Pójdę. - Głos Frankie był zdecydowany i wyraźny.

- Nie przyjdź, dopóki ci nie powiem - instruował lekarz.

Cissie zwilżyła językiem usta i próbowała się uśmiechnąć. Nie mogła. Za bardzo ją bolało.

00.35 Noah Gold znacznie wysunął się na prowadzenie. Pomimo takiej przewagi Jack Duffy nie chce się wycofać.

Cała dolna część jej ciała wrzała jak w ogniu. Pulsowanie. Parcie. Czowała się jak w gorączce, chociaż piersi i ramiona drżały jej od chłodu. Dziwne. Za każdym razem, kiedy napierała, mocno trzymając Frankie za rękę, ból ustawał na moment. Odpoczynek był krótki, ale bardzo potrzebny.

- Zrobię epizjotomię - powiedział lekarz.

Szybki, zimny strumień powietrza i nagle Cissie nic już nie czuła. Widziała, że ją nacina, wiedziała, że za chwilę przyjdzie na świat jej dziecko, lecz w tym momencie niczego nie była świadoma.

00.40 Przy osiemdziesięciu procentach podliczonych głosów, Noah Gold zwiększył swoje prowadzenie. Biuro wyborcze Duffy'ego nie komentuje tego faktu.

- Wyszła głowa. Cissie, nie przyjdź. Poczekaj na następny skurcz. 00.49 Duffy już dłużej nie czeka. Składa rezygnację. Wygrywa Noah Gold!

- Masz córeczkę!

W godzinę później Cissie leżała już w osobnym pokoju w nieco niewygodnej pozycji, wyczerpana, obolała, ale wreszcie całkiem przytomna. Obok niej spała Alexis Gold, trzykilogramowa istotka mierzająca czterdzieści trzy centymetry, z niebieskozielonymi oczkami, czarnymi włosami Rostovów i czerwoną buźką. W pokoju na ekranie telewizora

pojawił się ojciec Alexis z rękoma wzniesionymi w geście zwycięstwa i uśmiechem triumfu na twarzy.

Cały promieniał radością z osiągnięcia upragnionego celu. Kiedy kamera przebiegała przez tłum, Cissie słyszała podziękowania, które składał swoim pracownikom i ochotnikom pracującym na jego sukces. Obiecywał wyborcom, że nie zawiedzie pokładanego w nim zaufania i że będzie ich godnie, uczciwie i skutecznie reprezentował. Na koniec podziękował Cissie za jej pomoc i wsparcie.

Pośród tłumu ludzi otaczających Noaha, Cissie ujrzała Luisa z Rosą, Ramona, Andrew, Jeremy'ego Kinga, a nawet swoich rodziców. Prawie bezwiednie jej dłoń powędrowała do dziecka i spoczęła na plecach noworodka. Frankie musiała iść do domu. Pielęgniarki odeszły do następnej pacjentki. Lekarz obiecał, że zajrzy do Cissi nad ranem. Oprócz śpiącego obok dziecka, Cissie była zupełnie sama.

Zwilgotniały jej oczy. Czuła, że ta noc odmieniła jej życie. Noah wygrał wybory. Ona urodziła dziecko. Ale zrobili to oddzielnie. Mimo sukcesu męża, przytłoczyło ją poczucie klęski.

Kiedy Noah wznosił zwycięsko ramiona, a jego usta rozwarły się w szerokim, radosnym uśmiechu, Cissie zrozumiała, że między nimi nigdy już nie będzie tak samo. Jakaś mała część jej męża wymknęła jej się z rąk i na zawsze gdzieś przepadła.

FRANCES REBECCA TRAVIS

Frankie

Grudzień 1972

- Przykro mi, ale to miejsce jest już zajęte.

Młody mężczyzna siedzący przy oknie podniósł wzrok znad czasopisma i spojrzał w ciemne oczy Lillie Rostov. Bez mrugnięcia okiem założył nogę na nogę, przyjmując jeszcze wygodniejszą pozycję.

- Przykro mi - odpowiedział naśladowując apodyktyczny ton Lillie - ale nie widzę, żeby poza mną ktoś tutaj siedział.

- Ten fotel jest zarezerwowany dla Frankie Travis.

- Cóż, musiała się gdzieś zapodziać kartka z rezerwacją. Ci Tajlandczycy są tacy roztargnieni!

Lillie przesunęła się w kierunku nieustępliwego młodzieńca i syknęła opryskliwie.

- To jest jedyne wygodne siedzenie w tym starym rupieciu, a Frankie Travis jest bardzo wysoką młodą kobietą, której potrzeba dużo miejsca na wyciągnięcie nóg.

- A ja na kogo wyglądam? Na krasnalą z bajki o królownie Śnieżce? To tylko dwie godziny lotu. Frankie jest członkiem naszego zespołu i proszę mi uwierzyć, na pewno nie rozsypie się po drodze na kawałki.

Lillie pochyliła się nad nim, złośliwie wykrzywając twarz.

- Na wypadek, gdybyś o tym zapomniał - zaczęła go uświadamiać - jesteś tylko jednym z chórzystów i do tego niczym szczególnym się nie wyróżniasz. Nikomu nie zależy na tym, czy będziesz leciał ściśnięty jak sardynka czy nie. Ale Frankie Travis jest gwiazdą i jej miejsce jest z przodu samolotu. A teraz idź zaparkować gdzie indziej!

Młody człowiek wolno podniósł się posyłając Lillie sarkastyczne spojrzenie. W tym samym momencie na pokład weszła Frankie.

- Ach! Czyż nie nadchodzi nasza gwiazda?

Gestem usłużnego stewarda zaczął zmiatać czasopismem pyłki z siedzenia. Kiedy skończył, skłonił się uniżenie i dotknął dłonią piersi, a potem czoła, honorując Frankie arabskim „salaam”.

- Mam nadzieję, panno Travis, że dobrze pani zniesie lot do Nakhon Phanom - powiedział. - Jeśli coś jeszcze pani potrzeba, proszę powiedzieć to pańskiej matce. Jestem pewien, że z radością spełni każde pani żądanie!

Z tymi słowami odmaszerował w kierunku ogona samolotu. Frankie przez moment patrzyła na niego w osłupieniu, po czym przeniosła wzrok na Lillie. Przez ponad miesiąc znosiła upokorzenia, których matka dostarczała jej na każdym kroku i nie wiedziała, jak długo będzie jeszcze w stanie to tolerować. Mimo jej dwudziestu jeden lat Lillie wszędzie z nią podróżowała, a co gorsza miała niebywałą zdolność do przysparzania sobie wrogów. Często, chcąc oszczędzić sobie nerwów i zakłopotania, Frankie zostawiała matkę sam na sam z jej ofiarą, chociaż wiedziała, że nie powinna tego robić. To Lillie zaaranżowała występ Frankie w programie Jody'ego Harta i najwyraźniej miała zamiar wszystkiego dopilnować.

Na szczęście trasa dobiegała końca. Przez pierwsze dwa tygodnie przeprowadzali próby na Hawajach, potem podróżowali po Korei, Tajwanie, Japonii i Filipinach. Cztery dni temu dotarli do Bangkoku, gdzie występowali dla żołnierzy z baz lotniczych w U - Tapao niedaleko Patthayi, w zatoce Siam, i w Koracie, położonym w centralnych równinach. Obecnie byli w drodze na północ, do granicznego Nakhon Phanom, małej bazy wojskowej położonej w

północno - wschodniej Tajlandii. Potem mieli występować w bazie powietrznej Ubon, a w końcu dotrzeć do południowego Wietnamu.

- Co takiego powiedziałaś Tommy'emu? Był wyraźnie wściekły - spytała szeptem Frankie.

- Nic, po prostu poprosiłam go, żeby się przesiadł.

- Poprosiłaś czy nakazałaś mu?

- Frances, nie będziesz mnie przesłuchiwać. Po prostu siedział nie na swoim miejscu. Jasne jak słońce.

Frankie wiedziała już, o co poszło. Nie miała wątpliwości, że Lillie znów zachowała się tak, jakby Frankie była jedyną gwiazdą tego spektaklu. Tak naprawdę, jej rola ograniczała się do ładnego chodzenia. Pierwsze skrzypce grał Jody Hart, znany na całym świecie komik. Jody był sympatycznym i bezpośrednim mężczyzną z błyskotliwym umysłem i umiejętnością robienia i mówienia odpowiednich rzeczy we właściwym czasie. Przez prawie pół wieku znajdował się w czołówce, zdobył sławę i pieniądze, za które mógłby przeżyć nawet dwieście lat, ale jednocześnie był oddanym patriotą. Podczas drugiej wojny wysyłał grupy artystów na front, który to zwyczaj postanowił wprowadzić także w Wietnamie. Bywał w tak wielu obozach wojskowych, objechał tak różne miejsca w tak licznych krajach, że nikt nawet nie śmiał zaprzeczyć temu, iż swoją osobą wyparł ulubienicę żołnierzy - Betty Crable.

Do gwiazdkowego programu Jody'ego Harta wybrano najlepszych tancerzy, piosenkarzy i komików, którzy nie tylko dostarczali świetnej rozrywki, ale także przypominali o domu za oceanem. Oprócz orkiestry i chóru przewidziano też miejsce dla pięknej kobiety, która wystarczająco długo i w wystarczająco krótkiej sukience miała stać na scenie, by wypełniać żołnierskie umysły marzeniami na następne pięć miesięcy. Frankie znakomicie spełniała ich oczekiwania.

Chociaż Lillie przeceniała znaczenie córki, Frankie doskonale zdawała sobie sprawę, na czym polegała jej rola. Dla Jody'ego Harta była jeszcze jedną fantastyczną dziewczuszką, ciałkiem, na które z przyjemnością można popatrzeć, lecz broń Boże dotknąć. Wychodziła na scenę, uśmiechała się, ścisnęła dłonie, przesyłała ręką pocałunki, kołysała biodrami, tańczyła w rytm piosenek, stanowiąca temat do niektórych dowcipów Harta, po czym zniknęła za kulisami. Trudno było nazwać tę rolę inspirującą, ale dopóki potrafiła uszczęśliwić tych żołnierzy, nie miała nic przeciwko temu. Właściwie gdyby nie Lillie, Frankie doskonale by się bawiła.

Jednak Lillie prześladowała ją na każdym kroku. Kiedy Frankie spojrzała w głąb samolotu, zauważyła, jak Tommy z kilkoma innymi aktorami zaśmiewa się do rozpuku. Nie wiedziała, czy to ona była przedmiotem tych żartów, ale i tak poczuła się nieswojo. Bez zbędnych wyjaśnień podniosła się z fotela.

- Gdzie idziesz? - Spytała natychmiast Lillie.

- Do drugiego samolotu.

- Nie bądź śmieszna. Tamten jest dla personelu, ten dla obsady.

- Duszno mi tutaj - odparła Frankie. - Spotkamy się w hotelu. Przyjemnego lotu.

Zanim Lillie zareagowała, Frankie wyszła z samolotu. Lillie nie pozostało nic innego jak zapomnieć o jej zachowaniu. Przejrzała się w lusterku puderniczki, znalazła koc i dwie poduszki, zwinęła żakiet, wcisnęła go do szafki nad głową i próbowała wyglądać na bardzo zaabsorbowaną na wypadek, gdyby ktoś ważny zechciał zająć miejsce obok niej. Jednak, jak zauważyła, Hart i inni artyści usadowili się już gdzie indziej, a na wolnym miejscu siedział właśnie charakteryzator Jody'ego, szczupły, rachityczny mężczyzna o niezbyt świeżym oddechu, znany ze swoich sprośnych

dowcipów. Z tyłu samolotu dobiegł Lillie pogardliwy śmiech jednego z obserwatorów tej sceny.

Lot z Bangkoku był wyjątkowo spokojny. Mimo głośnego warkotu śmigieł i niewygodnej pozycji wymuszonej przez ciasny fotel Frankie przespała większość drogi. Podobnie jak inni aktorzy wolałaby lecieć samolotem Harta, ale pas startowy w Nakhon Phanom nie był przystosowany do przyjęcia tak dużej maszyny jak Boeing 707. W tej sytuacji zostawiono go w Bangkoku, a załogę i artystów transportowano do Nakhon Phanom dwoma mniejszymi samolotami.

Sprawdzenie dokumentów i wyładowanie bagaży trwało ponad godzinę. Frankie cierpliwie stała i wachlowała się czasopismem, od czasu do czasu rozmawiając z żołnierzami proszącymi o autografy i jej zdjęcie. Kiedy wyszła z kontroli paszportowej, otoczyła ją grupka młodych tubylców potrząsając notatnikami przed nosem i krzycząc jej do uszu. Spojrzała na bok w poszukiwaniu przyjaznej twarzy i pomocnej dłoni. W tym momencie ujrzała jego sylwetkę górującą nad tłumem - Zachary Hamlin z krwi i kości!

- Witam w Nakhon Phanom! - wykrzyknął torując sobie drogę przez tłum. Przycisnął ją do siebie i urzekająco się uśmiechnął. Nic nie odpowiedziała. Przez tak długi czas Zach zredukowany był jedynie do lalki i dziewczęcego marzenia. Teraz marzenie przerodziło się w rzeczywistość. Nie chciała otwierać ust. Patrzyła na niego w milczeniu, wyciągając rękę, żeby go dotknąć i upewnić się, czy to nie sen.

- Boże! Tak się cieszę, że przyjechałaś - powiedział ciągle się uśmiechając i zastanawiając się, jak zinterpretować jej milczenie. - Wydałem ostatnie pieniądze, żeby przekupić facetów organizujących komitet powitalny. Kiedy nie było cię na pokładzie pierwszego samolotu, zacząłem się martwić. Myślałem, że może odwołałaś występ.

- Przyleciałam z personelem - powiedziała, nie wdając się w wyjaśnienia.

- Tak czy inaczej, przyjechałaś, a tego właśnie potrzebują nasi chłopcy. Wyglądasz wspaniale!

Szczerze mówiąc „wspaniale” było dla Zacha niewystarczającym określeniem. Według niego wyglądała pięknie. Jej włosy były rozrzucone na wszystkie strony, a oczy przykrywały ciężkie ze zmęczenia powieki. Jasna cera Frankie zaróżowiła się od upału, jednak nadal wyglądała jak statuetka wyrzeźbiona z najbardziej delikatnej kości.

- Ty też nieźle wyglądasz - odpowiedziała, świadoma wrażenia, jakie na nim wywarła. - Musisz dobrze się czuć w tym miejscu.

- Mam na ten temat inne zdanie. Nie podoba mi się ani ta miejscowość, ani półkula, na której leży, ale odłożmy tę rozmowę na później.

Frankie bezwiednie ziewnęła.

- Jesteś zmęczona - skomentował Zach, biorąc ją za rękę i prowadząc na zewnątrz. - Przepraszam, że cię zanudzam. Gdzie chcesz się zatrzymać? Może cię gdzieś podrzucić? Musisz jechać z zespołem?

W zalewie tych pytań Frankie przez moment zapomniała, że Zach nigdy nie odpisywał na jej listy, nie odpowiadał na telefony i przez cztery lata nie zrobił nic, żeby się z nią zobaczyć.

- Jestem zmęczona i nie masz powodu za nic mnie przepraszać. Zatrzymujemy się w „Villa de la Paix” i nie sądzę, żebym musiała iść z zespołem - wyrecytowała.

- Świetnie - odpowiedział podnosząc rękę i przywołując riksę.

Wtem dotarło do Frankie, że jak dotąd nie widziała Lillie. Większość pasażerów już dawno wyszła z samolotu i Frankie spodziewała się, że zobaczy matkę idącą w stronę budynku.

- Zaraz wracam - rzuciła i podbiegła do kierownika zespołu. Wskazując na Zacha powiedziała, jakie ma plany. Za chwilę stała już u jego boku i wspinała się do dziwnego pojazdu charakterystycznego dla południowo - wschodniej Azji, będącego krzyżówką motocykla i rikszy.

Na szczęście droga z lotniska do „Villa de la Paix” nie była długa. Frankie wydawało się, że nigdy nie mogłaby przywyknąć do niczym nie zmaconej nocy w dżungli, zakłócanej jedynie światłami pojazdu i dalekimi odgłosami zwierząt i ptaków.

Całą drogę siedzieli w milczeniu obok siebie, on delectując się jej obecnością, ona zbyt spięta, żeby rozpocząć rozmowę. Kiedy dotarli do hotelu, Zach pomógł jej wygramolić się z pojazdu i odprowadził do drzwi.

- Zobaczymy się jutro? - zapytał.

- Nie będziesz tutaj nocował?

- Nie. Zameldowałem się w apartamencie hotelu „Manida”. Mam pokój z czymś w rodzaju łazienki, nie serwują tam posiłków, a po podłodze pełzają wszystkie możliwe gatunki insektów.

Frankie roześmiała się. Było jej tak dobrze.

- Wobec tego musisz się tam czuć jak w domu - odpowiedziała zadowolona, że stoją tak blisko siebie. - Przecież nigdy nie przeszkadzały ci karaluchy.

- Proszę, uczcijmy chwilą ciszy moje biedne opuszczone karaluchy. - Z namaszczeniem pochylił głowę i złożył dłonie jak do modlitwy. Kiedy znów podniósł wzrok, jego twarz miała poważny wyraz. - Nie powiedziałaś mi jeszcze, czy jutro się zobaczymy.

Miała straszną ochotę zapytać go, dlaczego tak nagle zapragnął się z nią zobaczyć, podczas gdy przez tyle lat zdawał się nie wiedzieć o jej istnieniu, ale pomyślała, że nie było to ani odpowiednie miejsce, ani pora.

- Pierwszy występ zaczyna się jutro wieczorem - odparła - więc całe przedpołudnie możemy mieć dla siebie.

- Wspaniale. Co byś powiedziała, gdybyśmy o ósmej rano wypili tutaj kawę, a potem pokazałbym ci okolicę?

- Świetny pomysł.

- Też tak myślę - powiedział i zbiegł do czekającego pojazdu. - No, to do jutra.

Jeszcze przez jakiś czas stała wpatrzona w atrament nieba. Nie rozumiała, jak mógł wykazać taką nonszalancję i zachowywać się, jakby nic się nie stało. Dlaczego nawet nie spróbował usprawiedliwić swojego milczenia? Czyżby nie wiedział, jak bardzo jej na nim zależało? Czy nie zdawał sobie sprawy, jak dokuczała jej samotność, kiedy odszedł bez słowa? Czyżby nie czytał jej listów?

Jutro zada mu dokładnie te same pytania. A teraz będzie musiała się pogłowić nad wyjaśnieniami dla Lillie.

- Co się z tobą działo? Wszyscy wrócili przeszło godzinę temu.

- Nieprawda, mamó. Autobus przyjechał przed dziesięcioma minutami.

- Ale ciebie tam nie było. Z kim przyjechałaś?

Lillie siedziała pod ścianą z włosami zakręconymi na wałki, twarzą lśniąca od nawilżającego kremu. W jednej dłoni trzymała papierowy wachlarz, z jakimi kręciło się tutaj mnóstwo Amerykanek, a w drugiej kalendarz z rozkładem spotkań.

- Wpadłam na starego znajomego - wyjaśniła Frankie, stojąc plecami do Lillie i udając, że rozpakowuje bagaże.

- Ta stęchła dziura nie jest kioskiem na rogu ulicy. Kogo, u diabła, mogło tu przywiać?

- Zacha Hamlina - powiedziała Frankie tak beznamiętnym tonem, na jaki tylko było ją stać. - Pamiętasz go? Jest reporterem w „Life”.

- Frances, kochanie. Znam przynajmniej czterdziestu reporterów z „Life'u” i nie mam pojęcia, kim jest ten Zach Hamlin.

Lillie nie dała nic po sobie poznać. Nie drgnęła jej nawet powieka, ale jakiś wewnętrzny głos nakazał Frankie nie wdawać się w dyskusję na ten temat.

- To nikt ważny - skłamała kierując się do łazienki.

- Pospiesz się, dobrze? - zawołała za nią Lillie. - Właśnie dostałam masę telegramów z propozycjami i musimy przejrzeć twoje kontrakty na najbliższe miesiące.

- Zaraz wracam.

Frankie zamknęła drzwi i oparła się o ścianę.

Ciężko pracowała nad tym, żeby wreszcie wydorośleć i polubić samą siebie. Wprawdzie zawsze była na pierwszym planie i miała trudności z obiektywną samooceną, jednak szybko spostrzegła, jak łatwo można zrobić z siebie idiotkę. Bez właściwej macierzyńskiej opieki zdana była na metodę prób i błędów, która wyzwalała w niej szczególny system obronny i wewnętrzny mechanizm asekuracji. Musiała się nauczyć radzić sobie z wieczną samotnością. Tłumiła w sobie poczucie izolacji i opuszczenia. Uczyła się mocno chwytać nawet najmniejsze przejawy uczucia i dozować je jak lekarstwo, aż do następnej okazji.

Co najważniejsze starała się sprawować kontrolę nad swoim własnym życiem. Sama zaczęła podejmować decyzje, tak jak wtedy, gdy wbrew żądaniom Cissie powiadomiła Noaha i kiedy pomagała przyjść na świat Alexis Gold. Wykazała niezależność, przeciwstawiając się apodyktycznym nakazom matki. Postawiła na swoim, decydując, że nie powie jej o jutrzejszym spotkaniu z Zachem Hamlinem.

Nadejście dnia pod tą szerokością geograficzną rządzi się swoimi prawami. Noc kończy się nagle jak ucięta nożem. A ognista kula słońca wyłania się na horyzoncie i gorącym

spojrzeniem omiata ziemię. W jednej chwili głęboka czerń zamienia się w świetlistą jasność i nastaje przerażający upał.

O wpół do ósmej, po porannej toalecie i kompletnie ubrana, Frankie zeszła na palcach do jadalni. Robiła wszystko, by nie obudzić matki. Lillie jak zwykle spała z jedwabną przepaską na oczach i Frankie, mówiąc szczerze, mogła dać głowę, że dopóki jaszczurki grasujące po pokoju nie znajdą wejścia do jej pidżamy, będzie spała choćby do dziesiątej.

Ubrany na biało kelner przywitał ją bezzębnym uśmiechem, wskazał stolik, strzepnął niewidoczny pył z krzesła i uklonił się z wielkim szacunkiem.

„Villa de la Paix” wybudowana przez jakiegoś Francuza pod koniec lat trzydziestych w każdej innej części świata byłby tylko dużym domem, jednak tutaj można było traktować ją jak pałac. Jej prawowity właściciel przybył do południowo - wschodniej Azji, kiedy Kambodża pozostawała jeszcze pod francuskim protektoratem. Tak jak wielu przemysłowców robiących wówczas złote interesy na Dalekim Wschodzie, miał swoje przedsiębiorstwo w Phnom Penh, ale większość czasu spędzał w Sajgonie lub Bangkoku.

Podczas jednej z podróży spotkał młodą Tajlandkę i zakochał się w niej bez pamięci. Zdołał wprawdzie nakłonić ją do małżeństwa, lecz nie udało mu się jej przekonać, żeby zamieszkała w Kambodży, a tym bardziej namówić ją do wyjazdu do Francji. Nie chcąc jej stracić, zrezygnował z prowadzenia interesów, zakupił ziemię w północnej prowincji, skąd pochodziła dziewczyna, i wybudował ten dom. Po pięciu latach małżeństwa jego żona zmarła. Francuz tak boleśnie przeżył jej śmierć, że na zawsze porzucił to miejsce. W końcu rodzina żony sprzedała dom wraz z posiadłością jego rodakowi, który zamienił go w hotelik.

Pośrodku sufitu zwisał duży, barokowy żyrandol z niekompletnymi lampkami. Część kryształowych koralików

gdzieś się zapodziała na przestrzeni lat. W hotelu nadal stały antyczne krzesła w stylu Ludwika XVI, na których czas również odcisnął swoje piętno. Czasze fajansowych waz, chociaż obtłuczone, nadal nosiły ślady przepięknych złocień. Nieco przybrudzony i wyszczerbiony dzbanek, będący kiedyś kosztownym nabytkiem, sprawnie napełniał teraz wodą z sokiem usłużny kelner. W ostatnich latach willa częściej służyła za żołnierską kwaterę niż miejsce pobytu gości, jednak wraz z przybyciem zespołu Harta starano się zachować pozory hotelowego porządku.

Czekając na Zacha, Frankie zastanawiała się, dlaczego tak bardzo zależało jej na zachowaniu tego spotkania w tajemnicy. W końcu nie było to nic więcej tylko spotkanie po latach dwojga starych znajomych. Być może takie zachowanie wynikało z podświadomej obawy, że gdyby Lillie dowiedziała się o tym spotkaniu, Zach ponownie zniknąłby z jej życia? - pomyślała ze smutkiem.

W rok po niespodziewanym przeniesieniu przyjaciela postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat. Powiedziano jej, że to Lillie zaaranżowała jego wyjazd do Kalifornii.

- Po prostu wynagrodziłam temu człowiekowi jego ciężką pracę - tłumaczyła się później. - Jeżeli szef, korzystając z mojej rady, zdecydował się awansować Zacha, tym lepiej dla niego.

Ostatnimi czasy Lillie coraz częściej popadała w stany depresyjne. W obecnych warunkach dodatkowo wyczerpywał ją upał; jej żołądek buntował się przeciwko „wieprzowej kuchni”, a pełzanie tropikalnych owadów doprowadzało ją do hysterii. Miała napięte nerwy i ani krzty cierpliwości.

Frankie wmawiała sobie, że oszczędzi matce stresu, nie mówiąc jej o tym spotkaniu, jednak istniał jeszcze jeden, bardziej prozaiczny powód. Nie widziała Zacha od lat. Nie

miała pojęcia, czy kiedykolwiek znów go zobaczy, i pragnęła, aby tego dnia nie zepsuła jakakolwiek scysja z matką.

Zach wparadował do sali pewnym krokiem gladiatora. Z ramienia zwisał mu aparat fotograficzny, miał na sobie drelichową koszulę rozpiętą pod szyją, a na twarzy szeroki uśmiech. Usiadł naprzeciwko Frankie i wezwał kelnera. Złożył po francusku zamówienie i zwrócił się do niej.

- Muszę ci coś powiedzieć, Frances Rebecca. Jeśli wydawało mi się, że wczoraj wyglądałaś wspaniale, to już nie wiem, jakiego użyć słowa, żeby ci powiedzieć, że dziś wyglądasz jeszcze ładniej.

Frankie często wysłuchiwała komplementów na temat swojej urody. Jej zdjęcia zdobiły okładki poczytnych czasopism i była uznana przez najbardziej popularnych reżyserów za jedną z najpiękniejszych kobiet na świecie. Jednak w ustach Zacha zabrzmiało to zupełnie inaczej. Rumieniec wystąpił jej na twarzy.

- Chyba nie dopadł cię atak malarii ani uderzenie krwi do głowy będące oznaką okresu przekwitania? A może wprowadziłem cię w zakłopotanie? - Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Rumieniec stał się bardziej intensywny. - Przepraszam - powiedział. Chciał zabrać rękę, ale nie zwalniała uścisku aż do nadejścia kelnera z herbatą i francuskimi rogalikami.

Podczas śniadania nadrabiali zaległości. Rozmawiali o tym, gdzie byli i co robili. Przez cały czas wzrok Frankie był utkwiony w drzwiach.

- Czekasz na kogoś? - zapytał Zach.

Frankie zachnęła się, tak jakby samo wspomnienie imienia matki mogła rzucić klątwę na to spotkanie i zepsuć nastrój tej chwili. Znów zobaczyła siebie siedzącą naprzeciwko lalki z numerem 1/2 na koszulce. Nie chciała, aby szmaciana marionetka znowu musiała jej zastąpić prawdziwego

mężczyznę z jasnymi, szarozielonymi oczami o głębokim spojrzeniu.

- Jestem tutaj z matką - wyjaśniła. - Kiedy wychodziłam z pokoju, jeszcze spała, ale z nią nigdy nic nie wiadomo.

- Jedna rzecz jest pewna - odparł Zach wstając z miejsca i biorąc ją za rękę. - Nie będziemy tutaj czekać, żeby się dowiedzieć, jak jej się spało. Nie jestem ulubieńcem Lillie Rostov i musisz wiedzieć, że ona także nie figuruje na liście moich faworytek.

Nie dając jej czasu na odpowiedź, wyprowadził Frankie z pomieszczenia. Przeszli przez hol, potem zeszli po schodkach do zaparkowanego przed wejściem motoru. Usadowiła się z tyłu, założyła kask, objęła Zacha ramionami i kiedy wyjeżdżali z parkingu, trzymała się go tak uporczywie, jak ostatniej deski ratunku.

Przez trzy godziny objeżdżali okolice Nakhon Phanom. Przemierzali północno - wschodnie rejony Korat Plateau, będące mieszanką dżungli, sawanny, niewielkich wzniesień i zdradliwych bagien. Chociaż pora deszczowa skończyła się niecały miesiąc temu, połacie ziemi zdążyły już wyschnąć, przybierając rdzawoczerwoną barwę.

Za centralną częścią miasta z lotniskiem rozciągnęły się równiny zielonych pastwisk i pól, na których uprawiano ryż, a bagniste sadzawki i kanały, które brały początek w rzece Mekong na wschodzie, jak węże wiły się po całym terenie. W wyższych partiach brodziły w wodzie stada bawołów i strachliwych lisów, żywiąc się zawartością trzymetrowych kopców wzniesionych przez liczne armie termitów.

- Po pierwszych ulewnych deszczach, kiedy grunt jest już wystarczająco błotnisty, kobiety przenoszą małe sadzonki, hodowane w troskliwie pielęgnowanych rozsadach, na zalane wodą pola - wyjaśnił Zach, kiedy zatrzymali się przy kipiących od zieleni polach młodego ryżu. - Taplają się w

mule z płachtami przepasanymi wokół bioder i śmiesznymi kapeluszami z palmowych liści, jak ten, który tobie dałem.

Odwrócił się, poklepał Frankie po głowie i uśmiechnął się. Kapelusz wyglądał jak abażur ze spłaszczonym czubkiem przechodzącym w szerokie rondo. Frankie schowała włosy pod rondem i Zach pomyślał, że w świetle słońca wyglądała w nim jak w diamentowej tiarze.

- A kiedy wiadomo, że ryż już dojrzał?

- Dojrzały ryż ma ziarno w kolorze słomy - wyjaśnił Zach. - Gdy kłosa zaczynają się pochylać do ziemi, wiadomo, że nadszedł czas zbiorów.

- Też ręcznie? - zapytała Frankie, odpędzając ręką natrętne owady. Zach machnął dłonią, pomagając jej pozbyć się intruzów.

- Używają noży albo sierpów, którymi odcinają źdźbła, potem wiążą je w kupki, suszą na słońcu, a kiedy wyschną, zabierają się do młócki.

- A jak to robią? - Trudno było jej skojarzyć delikatną, falującą na wietrze trawę z małymi, twardymi ziarnami ryżu.

- Większe farmy na centralnych równinach mają maszyny do młócenia. Drobni rolnicy używają młóckarek o napędzie nożnym. W przypadku mniejszych, dwu - lub trzyakrowych poletek, młóci się ryż cepami albo po prostu skacze się po źdźbłach.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - zapytała Frankie.

- Jeśli włóczęsz się tutaj wystarczająco długo, zaczynasz się interesować wodnymi bawołami albo stajesz się ekspertem od ryżu - wyjaśnił, zawracając w stronę motocykla. - Ciesz się, że nie mieliśmy okazji stanąć oko w oko z jakimś olbrzymim okazem wodnego byka - wykrzyknął zagłuszony przez silnik motocykla.

Samo przebywanie z Zachem dostarczało jej niebywałych wrażeń. Uwielbiała go słuchać, opowiadać mu o swoich

sprawach, dowiadywać się tyłu nowych rzeczy. Nie traktował jej z pobłażliwością; wszystkim się z nią dzielił. Dla niego nie była tylko kawałkiem ciała, który miał wartość jedynie wtedy, gdy włożono nań jakąś wystrzałową kreację. W towarzystwie Zacha czuła się jak dojrzała kobieta. Jednak nie do końca.

Brał ją za rękę, pomagając jej wsiadać i zsiadać z motocykla, ale poza tym nawet jej nie dotknął. Wyglądało na to, że unika fizycznej bliskości Frankie. Gdy stała naprzeciwko niego, cofał się o krok. Jeśli przysuwała się bliżej, kiedy siedzieli na kłodzie albo ławce, zawsze znalazł jakiś pretekst, żeby wstać. Gdy ponownie siadał, znowu dzieliła ich bezpieczna odległość. Jedynym momentem, kiedy nie miał wyboru, była jazda motocyklem. Frankie oplatała go wówczas ramionami i mocno przywierała do jego pleców. Jednak gdy się zatrzymywali, odklejał się od niej tak szybko, jak tylko było to możliwe.

Frankie była ciągle seksualnie nie uświadomiona, tak dziewczęco naiwna i niepewna, iż nigdy nie przyszło jej do głowy, że istnieją inne powody, dla który Zach celowo unika tej bliskości. Sądziła, że nie interesuje go jako kobieta i traktowała to jako jeszcze jeden znak odrzucenia, jak listy bez odpowiedzi i milczący telefon. Zaprzątnięta swoimi myślami, zapomniała, gdzie się znajduje. Głos Zacha dochodził gdzieś z oddali i musiał pstryknąć nad jej uchem palcami, żeby przypomnieć o swojej obecności.

- Muszę pani przerwać, panno Travis. Zarezerwowałem stolik na lunch w bardzo ekskluzywnej restauracji i jeżeli się nie pospieszymy, ktoś zajmie nasze miejsca.

Wziął ją za rękę, chwycił kosz przymocowany z tyłu motoru i poszli w stronę dżungli. Po kilku minutach weszli na piękną polanę. Przez środek przepływał strumień, a do jednego z drzew przymocowana była drewniana łódka z karminowym parasolem.

- Twój przewoźnik czeka.

Z głębokim ukłonem pomógł jej wejść do łodzi, usadowił ją pod parasolem i ustawił prymitywny żagiel. Na środku postawił kosz, usiadł na dziobie, chwycił wiosło, a drugie podał Frankie.

- W Rzymie zachowujemy się jak Rzymianie, w Tajlandii jak Tajlandczycy! Do wiosła!

Przez prawie pół godziny spokojnie wiosłowali, rozgarniając wodę drewnianymi pagajami, prowadząc łódź przez gęstą dżunglę, aż do wąskiej zatoczki. W niektórych miejscach słońce całkowicie chowało się za wybujałą roślinnością, tworząc cienie, których dziwaczność mieszała się z niepokojącymi odgłosami zwierząt.

Z pewnością nie było to najprzyjemniejsze miejsce na świecie, lecz Frankie nie zwracała uwagi na otaczający ją mrok. Czowała, jak w jej myślach otwiera się jakaś brama i wylewa się z niej powódź skrywanych emocji.

Aż do tego momentu nie zdawała sobie sprawy, że po zniknięciu Zacha nie pozwalała sobie na okazywanie uczuć. Nie czuła ani miłości, ani szczęścia, ani smutku. Ledwie ocierała się o życie, chodząc do szkoły, biorąc udział w występach i spełniając polecenia matki. Po zniknięciu Zacha nawet uwolniła się od podejrzliwości w stosunku do Lillie, która, jak mniemała Frankie, musiała maczać w tym palce. Powód odejścia Zacha nie miał już znaczenia. Liczył się tylko fakt, że przepadł jak kamień w wodę.

Frankie nie wiedziała, czy o ich ponownym spotkaniu zdecydowało zrządzenie losu, zwykły przypadek, czy jakaś igraszka opatrności. Najważniejsze, że znowu wkroczył w jej życie i po raz pierwszy od lat czuła się naprawdę szczęśliwa.

Kiedy już zaczęła przywykać do ciszy i cieni zatoczki, znowu wypłynęli na szerszą, tym razem spienioną wodę. Zach narzucił większe tempo, od czasu do czasu wykrzykując rytm

i zapewniając, że nic im się nie stanie, mimo że łódź niepewnie przechylała się na boki.

Po paru minutach dotarli do brzegu. Zach wskoczył do wody i wciągnął łódź na piasek.

- Witaj w Sabai - powiedział z uśmiechem samozadowolenia, pomagając Frankie wysiąść.

Frankie rozejrzała się wokoło. Byli na wyżynie na końcu świata. Nie mogła dostrzec żadnych domostw, ludzi ani innych łódek. Gęstwina zieleni wydawała się nie do przebycia. Lecz nagle ujrzała świetlisty przebłysk, pomarańczową plamę gdzieś pośrodku lasu.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała.

- Nad rzeką Mekong, jesteśmy mniej więcej w połowie drogi między Tajlandią i Laosem.

- Nie moglibyśmy zjeść lunchu gdzie indziej?

Nie podobało jej się, że znaleźli się tak blisko Laosu. W przeciwieństwie do Tajlandii, Laos nie był sprzymierzeńcem Ameryki. Pas ziemi po obu stronach wyspy nie był po prostu zwyczajnym fragmentem zieleni, ale strefą wojenną i polem walki Laotańczyków z amerykańskimi oddziałami.

Frankie czuła się niepewnie i niepokój odbijał się na jej twarzy.

- Jesteśmy tutaj bezpieczni - powiedział Zach, widząc jej zdenerwowanie. - Nie ciągnąłbym cię tutaj, gdyby coś nam tu groziło.

Frankie pokiwała głową i chcąc okazać Zachowi zaufanie, obdarzyła go najodważniejszym ze swych uśmiechów.

- Wiem.

Zach zarzucił plecak, wziął ją za rękę i poprowadził w gęszcz. Po niedługim marszu, plama pomarańczowego koloru zrobiła się większa, wyrastając w górę i przybierając konkretny kształt. Po chwili stali w progu opustoszałej świątyni.

Była naprawdę przepiękną kompozycją pełnej poezji wyniosłości i unikalnej tajlandzkiej architektury. Pochyły, wielopoziomowy dach pokrywały pomarańczowe i zielone dachówki, połyskujące w promieniach słońca. Delikatne, koronkowe kwiatony jak jelenie rogi wzbijały się ku niebu z każdej krawędzi dachu, tworząc wrażenie ruchu i przydając subtelności tej majestatycznej budowli. Złoczone figurki kapłanek i świętych węży oplatały kolumny z sandałowego drzewa. Ich wijące się ciała inkrustowane były okruchami szkła i porcelany. Po obu stronach wejścia stały dwie włócznie z ostrymi grotami.

Frankie uśmiechnęła się.

- To cudowne! - powiedziała. - Ale raczej powinna stać w Disneylandzie niż na tej wyspie.

- Kiedyś znajdował się tutaj klasztor - wyjaśnił Zach, biorąc ją za rękę i wchodząc na schody świątyni. - Ale z powodu wojny zakonnicy musieli wrócić do kraju.

Frankie znowu poczuła się zaniepokojona.

- Jeśli oni odeszli, to dlaczego my tutaj jesteśmy?

- Bo jest tu pięknie, spokojnie i bardzo intymnie. To chyba jedyne miejsce, gdzie można jechać na piknik bez obawy stratowania przez stado zabłąkanych słońi.

Zach otworzył plecak i ku zdziwieniu Frankie wyjął dwa talerze, dwa widelce, dwie butelki wody mineralnej i dwa pojemniki francuskiej sałatki.

- Nie miałem w torbie miejsca na lodówkę i nie zabrałem pri - kee - noo - powiedział Zach, mając na myśli wyjątkowo pikantne papryczki, których Tajlandczycy używali w swojej kuchni. - Poza tym masz dzisiaj występ i nie chciałbym ci zrobić takiego żartu. Jeden kęs pri - kee - noo i możesz pożegnać się ze swoim dźwięcznym głosem.

Siedzieli i pili w zupełnej ciszy, nie chcąc, by słowa zmąciły nastrój chwili. Frankie zdjęła kapelusz i rozpuściła

włosy. Miała zaróżowioną twarz od gorąca i marszu przez gąszcz. Po lunchu rozwiązała buty i oswobodziła stopy ze skarpetek. Podwinęła spodnie, wyciągnęła się na ziemi i dla wygody podłożyła pantofle pod głowę.

- Mogłabym tutaj zostać na zawsze - wyszeptała, bezmyślnie gapiąc się w niebo.

- Niestety, zawsze nie może trwać więcej niż pół godziny. Masz występ.

Frankie mogłaby przysiąc, że dostrzegła w jego wzroku wyraźne rozczarowanie.

- Jestem szczęśliwa - powiedziała.

- Tak, piękny dzisiaj dzień.

Czuła, jak wodzi po niej wzrokiem. Tyle chciała mu powiedzieć, zapytać o tyle rzeczy, ale ciągle bała się odrzucenia, które wydawało jej się naturalną konsekwencją wyrażenia emocji.

- Tęskniłam za tobą - powiedziała miękko, decydując się na odkrycie swoich uczuć bez względu na wszystko.

- Ja też - Zach przysunął się bliżej.

- Często o tobie myślałam - nie przerywała, zbyt nieśmiała, żeby na niego spojrzeć, i zbyt przestraszona tym, co może zobaczyć.

Jego palce bawiły się jej włosami i po chwili pogłaskał ją po policzku. Powoli pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta. Chciała, żeby oplótł ją ramionami i przywarł do niej całym ciałem, ale Zach podniósł głowę.

- Dlaczego nie odpisywałaś na moje listy? - zapytał Zach niskim głosem, skrywającym głęboki żal.

Frankie aż podrzuciło.

- Na jakie listy? Nie dostałam żadnego listu. To ja do ciebie pisałam i telefonowałam, a ty nigdy nie odpowiadałeś. Nigdy! - Frankie prawie krzyczała.

Zach był tak samo zaskoczony jak ona.

- Ależ tak - nie ustępował. - Dzwoniłem tej nocy, gdy wyjeżdżałem do Los Angeles. Dzwoniłem, gdy dotarłem do Los Angeles. Dzwoniłem z Waszyngtonu po pogrzebie Kennedy'ego. Napisałem co najmniej dwa tuziny listów. Uwierz mi! Dotąd mam rachunki telefoniczne i odciski na środkowym palcu.

Frankie huczało w głowie. Nigdy nie dostała żadnej wiadomości, żadnego listu.

- Jak do mnie dzwoniłeś... - coś zaczęło jej świtać w głowie - z kim rozmawiałeś?

Kiedy zaczęło do niej docierać to, co się stało, błysk zgasł w jej oczach, a jej policzki straciły rumieniec.

Zach wiedział już wszystko. Odpowiedział jej powoli i ostrożnie. Wyglądała, jak odbezpieczony granat.

- Rozmawiałem z Lillie - odparł.

- I co ci mówiła?

- Teraz to i tak nie ma znaczenia.

- Co ci mówiła?

Zach ujął ręce Frankie w swoje dłonie. Były wilgotne i zimne.

- Zazwyczaj mówiła, że jesteś w pracy i że ci powtórzy, że dzwoniłem.

- Zazwyczaj?

Zach zawahał się, ale jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że Frankie powinna znać prawdę.

- Kiedy zadzwoniłem ostatnim razem, powiedziała, że kazałaś mi przekazać, żebym ci więcej nie zwracał głowy.

Wyraz twarzy Frankie się nie zmienił.

- Ale nadal do ciebie pisałem - powiedział. - Czy Tildy nie przynosiła ci poczty? Przepadała za mną. Nie niszczyłaby moich listów.

Pragnął wymusić na niej uśmiech, lecz jej oczy napęłniły się łzami.

- Lillie zwolniła Tildy - odpowiedziała sztywno. - Kilka miesięcy po twoim wyjeździe. Nigdy nie dowiedziałam się dlaczego.

Zach wziął ją w ramiona i zaczął pocieszać. Wyczuwał tę samotność, która osaczyła ją ze wszystkich stron. Czuł smak goryczy, która zalała słonymi łzami jej oczy.

- Kiedy do mnie pisałaś - spytał cicho - jak adresowałaś listy? Frankie z powrotem usiadła i wytarła dłonią oczy.

- „Do Time'a". Nie miałam żadnego innego adresu. Zach potrząsnął głową i ciężko westchnął, unosząc ramiona.

- Tyle podróżowałem, że twoje listy i tak nigdy by do mnie nie dotarły.

- A jeśli by dotarły? Zach ujął w dłonie jej twarz i znów ją pocałował.

- Przybiegłbym nawet z końca świata.

Przez kilka minut tuliła się do niego jak dziecko. Zaraz potem, jakby za naciśnięciem guzika, gwałtownie odsunęła się.

- Musimy wracać - zdecydowała. - Muszę jeszcze coś załatwić.

- To już nie ma znaczenia, Frankie - powiedział, uważnie ją obserwując.

- Dla mnie ma.

Jej twarz przybrała kamienny wyraz. Wyprostowała się jak wojownik przed walką. Jej niewinność zastąpił gniew i determinacja.

- Teraz jesteśmy starsi i mądrzejsi - próbował jej tłumaczyć. - Zapomnij o tym.

Poderwała się z miejsca i zaczęła schodzić na dół. Kiedy się odezwała, jej głos był zimny jak stal.

- Nigdy o tym nie zapomnę - odrzekła. - Nigdy!

Lillie siedziała przy oknie, z namaszczeniem lakierując sobie paznokcie. Położyła stopy na niewielkim stolyczku,

włosy miała upięte w kok, a na jej ustach lśniła jasnoczerwona pomadka. Frankie otworzyła drzwi z przekonaniem, że następne kilka minut zupełnie odmieni jej życie, lecz nie zawahała się ani przez chwilę. Lata doznawanej krzywdy i bólu uwolniły ją od skrupułów. Lillie była bardzo pamiętliwa, ale Frankie też nie należała do osób, które wszystko wybaczały. Wkroczyła do pokoju, trzaskając drzwiami.

- Pakuj swoje walizki! - powiedziała bez zbędnych ceregieli. - Wyjeżdżasz! Do Lillie głos córki jakby w ogóle nie dotarł. Pociągnęła lakierem ostatni paznokieć, zakręciła buteleczkę, postawiła ją na parapecie i w końcu raczyła spojrzeć na Frankie.

- Przepraszam, co powiedziałaś?

- Doskonale słyszałaś! Natychmiast pakuj manatki i wynoś się stąd. Lillie odpowiedziała protekcyjnym śmiechem.

- Naprawdę powinnaś się na chwilę położyć, moja droga - odparła. - Chyba dostałaś udaru słonecznego.

Frankie zupełnie zignorowała odpowiedź matki.

Na chwilę zapadła głucha cisza.

Lillie spojrzała na zegarek, po czym podniosła wzrok na Frankie.

- Powinnaś zacząć się ubierać. Za godzinę masz występ. Właściwie musisz wcześniej się tam zjawić, żeby jeszcze przećwiczyć piosenki.

- Już dłużej nie mogę tego znieść - odpowiedziała podniesionym głosem. - Musisz! Musisz! Musisz! - wykrzyczała jak karabin maszynowy. Jej twarz zaczerwieniła się ze złości. - To wszystko, co słyszałam przez całe życie. Frankie, musisz zrobić to. Musisz tam się pojawić. Musisz spotkać się z tym. Musisz iść do szkoły. Musisz założyć tę spódnicę, tę sukienkę i tamte buty. Musisz myśleć tak a nie inaczej. - Zatrzymała się tuż przed Lillie i machnęła jej ręką

przed nosem. - Zawsze było to twoje „musisz”. Ja nigdy nic nie żądałam.

- Frankie, nie histeryzuj - Lillie podniosła swój wachlarz i zamachała nim energicznie. Jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Wyglądała tak, jakby nic do niej nie docierało.

- Od dzisiaj sama będę decydować o tym, co muszę robić i co jest dla mnie najlepsze.

- Może raczysz mi wyjaśnić, o co ci chodzi? - spytała Lillie nie wzruszona tym wybuchem.

- Pozbędę się ciebie i będę żyła swoim własnym życiem. - Frankie czekała na odpowiedź, ale Lillie uparcie milczała. - Poprosiłam kapitana Holfa, żeby poleciał z tobą wojskowym samolotem do Bangkoku. Stamtąd polecisz do Stanów. Za dwadzieścia minut będzie czekać przed hotelem samochód.

Lillie nadal siedziała na krześle, ze stoickim spokojem dmuchając na paznokcie.

- Mogę zapytać, co jest powodem tej nagłej zmiany? - zapytała, nadal nie patrząc na Frankie.

- To proste. W końcu doszłam do wniosku, że przez dwadzieścia jeden lat rujnowałaś mi życie. Wykonywałam tę ohydłą pracę i nigdy nie byłam szczęśliwa. - Zadrgała jej dolna warga i musiała ją przygryźć, żeby opanować drżenie. - Nigdy nie miałam chłopców ani przyjaciół. Nie miałam rodziny i, jeśli chcesz znać prawdę, nie miałam matki. Byłaś wyłącznie moją agentką. - Przerwała, żeby zaczerpnąć powietrza. - A agentkę to można sobie wynająć!

- Ty niewdzięczna suko! - Lillie powolnym ruchem wstała z krzesła i oparła się o parapet. Skrzyżowała ręce i rzuciła Frankie spojrzenie pełne pogardy. - Myślisz, że sama zostałam supergwiazdą? To mnie wszystko zawdzięczasz! To ja postawiłam cię w świetle reflektorów. Wykorzystywałam swój talent, a nie twój!

Obie zaskoczył ten wybuch Lillie, ale Frankie nawet w obliczu takiej wrogości nie dała się zwieść.

- Być może - powiedziała - ale teraz sama się o siebie zatroszczę.

- Sama nie potrafisz nawet dobrze wyszczotkować zębów!

- Nauczę się.

- Chcesz się uczyć? Proszę bardzo. Oto pierwsza lekcja. Skoro już cię nie reprezentuję, odwołam wszystkie kontrakty. To ja zrobiłam z ciebie kogoś. Zapamiętaj moje słowa. Beze mnie jesteś nikim!

Przeszła obok Frankie, wyjęła z szafy walizkę i zaczęła się pakować. Frankie stała obok i obserwowała ją, przekonana, że gdyby Lillie zadrżał choć jeden mięsień, natychmiast wycofałaby się ze wszystkiego i zaczęła ją błagać o przebaczenie.

Lillie zasunęła suwak i zwróciła się do córki. Usta wykrzywiły jej się w pogardzie i syknęła złowrogo:

- To ten cholerny Zach Hamlin? Nakarmił cię jakąś papką dla dojrzewających pańienek, a ty na to poszłaś - roześmiała się zgrzytliwie. - Ten chłopak jest napalony, moja droga Frankie. Będzie ci mówił o wszystkim, bylebyś tylko szybko ściągnęła majtki!

- Mylisz się - krzyknęła Frankie.

Słyszała, jak się zatyka swoją złością i szybko nabrała powietrza w płuca. Traciła nad sobą kontrolę, a przecież obiecała sobie, że nie straci panowania. Musi sama borykać się z trudnościami, być całkowicie niezależna i udowodnić sobie, że należy jej się szacunek.

- To wszystko przez ciebie - rzekła już spokojniejszym tonem. - Zach był dla mnie miły i dobry, a ty byłaś potwornie zazdrosna, więc go przegoniłaś, tak jak przeganiałaś

wszystkich, na których mi zależało. Ojca, przyjaciół, kuzynów i Tildy. Wszystkich.

- Nikogo nie przeganiałam - powiedziała Lillie, przyjmując grubiański ton Frankie. - Odeszli, bo sami tego chcieli. Tak jak twój ukochany Zach Hamlin. Wziął nogi za pas, jak tylko nadarzyła się mu okazja. - Lillie oderwała wzrok od łóżka i zaczęła osaczać Frankie, chodząc naokoło niej, mierząc ją napastliwym wzrokiem. - Myślisz, że byłam zazdrosna? - ciągnęła. - Niezły dowcip! Mogę mieć każdego mężczyznę, włączając twojego Zacha Hamlina. A wiesz dlaczego? Bo jestem kobietą, a ty dzieckiem. Myślisz jak dziecko, zachowujesz się jak dziecko i jeśli sądzisz, że wydoroslejesz, gdy się mnie pozbędziesz, to gorzko się mylisz. Zawsze będziesz dzieckiem.

Frankie zabolalo. Chciała zatkać uszy dłońmi i nie dopuścić ani jednego złośliwego słowa matki. Chciała krzyknąć i schować twarz w poduszkę, żeby nie widzieć jej pełnego nienawiści wzroku. Ale nie śmiała tego zrobić. Zebrała w sobie resztkę odwagi i poleciła matce wyjść z pokoju.

Lillie podeszła do drzwi z królewskim oburzeniem i niezachwianą pewnością siebie.

- Moja matka mnie opuściła - powiedziała - ale przetrwałam. Mój ojciec też mnie opuścił i nie załamalam się. I jeśli w ogóle coś takiego przyszło ci do głowy, to musisz wiedzieć, że ty też nie jesteś potrzebna mi do szczęścia. Doskonale sama dam sobie radę! Lepiej niż ty beze mnie! - Otworzyła drzwi, lecz zanim wyszła, zadała jeszcze ostatni cios. - Pewnego dnia jeszcze przyczołgasz się do mnie na kolanach.

- Nigdy!

Lillie zaśmiała się tym samym zgrzytliwym śmiechem.

- Wtedy na mnie przyjdzie kolej, żeby zamknąć ci drzwi przed nosem! Kiedy zatrzasnęły się drzwi, Frankie zaczęła całą się trząść. Fala uczuć

przepłynęła przez nią jak wezbrany strumień, rozbudzając emocje. Niepewność. Strach. Poczucie winy. Złość. Nawet nutkę żalu. Wiedziała, że konfrontacja z matką nie będzie łatwa. Zdawała sobie sprawę, że odmieni jej życie bezpowrotnie. Ale nie spodziewała się, jak mocno dzisiejsze starcie zmieniło ją samą.

Zachary Arthur Hamlin urodził się w Nowym Jorku 30 kwietnia 1945 roku w dniu, w którym Adolf Hitler popełnił samobójstwo w berlińskim bunkrze. Piętnaście dni później ojciec Zacha, Gabriel Hamlin, był naocznym świadkiem ponurego zakończenia historii, którą relacjonował przez ponad pięć lat. Wraz z innymi dziennikarzami widział, jak alianci wyzwolali nazistowskie obozy: Treblinkę, Auschwitz, Dachau, Buchenwald. Tysiące ludzi udało się uratować. Miliony zginęły w krematoriach.

Horror masowej zagłady spadł nagle na patrzący z niedowierzaniem, oburzony świat. Dlaczego nie przerwano tego wcześniej? Dlaczego trwało to tak długo? Dlaczego nikt przedtem o tym nie wiedział?

Wiedział o tym Gabriel Hamlin, ale Stany Zjednoczone tak zaangażowały się wówczas w działania wojenne, że wszystko schodziło na dalszy plan. Poza tym większość informacji zaczerpnął z nie potwierdzonych relacji z drugiej ręki, przekazywanych w ciemnych zaułkach przez ludzi, którzy pojawiali się nie wiadomo skąd i znikali następnego dnia.

Zaraz po wojnie Gabe'owi przyznano Nagrodę Pulitzera za rzetelność reportaży i humanitarną wymowę jego artykułów. Wkrótce został awansowany na szefa „National Desk”. W październiku 1945 roku rodzina Hamlinów: Gabe, jego żona

Sheila, trzyletni Jeremy i najmłodszy Zach przenieśli się do miejscowości Bethesda w Marylandzie, tuż za obrębem okręgu Waszyngton.

Dzieciństwo Zacha upłynęło na zabawach „podanie - strzał” oraz „zgaduj - zgadula”. Gabe uwielbiał sport i prosto po pracy, przed kolacją, zabierał chłopców na podwórze, gdzie oddawali się futbolowym harcom. Kiedy zaczynała się liga baseballowa, cała rodzina, nie wyłączając Sheili, żyła już tylko meczami. Niezależnie od tego, czy oglądali mecz na stadionie, czy przed telewizorem, zawsze z podniecenia wstawali z miejsca, by za chwilę opaść na nie z powrotem ze skwaszoną miną. Krytykowali decyzje sędziów, porównywali wyniki z poprzednich spotkań i dawali rady trenerowi ich ulubionej drużyny - Baltimore Orioles. Gdyby uznano baseball za kryterium patriotyzmu, nie byłoby w Stanach drugiej bardziej patriotycznej rodziny.

Gabe i Sheila przywiązywali ogromną wagę do edukacji. Każdego wieczoru chłopcy musieli być przygotowani do dyskusji na temat wydarzeń dnia.

- Historia jest fascynująca, kiedy się nią żyje - zwykł mówić Gabe. - Po co czytać o czymś za dziesięć lat w książce, kiedy można to samo przeczytać w dzisiejszej gazecie.

W okresie wyborów każdy z chłopców wybierał swojego kandydata i badał przebieg jego kampanii. Musiał dokładnie zapoznać się z jego programem, możliwościami, osobowością i być przygotowany do jego obrony podczas dyskusji. Kiedy Zach ukończył piątą klasę, wiedział więcej na temat polityki, wydarzeń na świecie i problemów międzynarodowych niż większość dorosłych. A czego nie wiedział o życiu, dowiedział się dokładnie 2 maja 1957 roku.

Po przejęciu przez Gabe'a Hamlina agencji informacyjnej „National Desk”, ojciec Zacha postanowił się skoncentrować na działalności mafijnego podziemia. Bezkarność działającego

w Stanach syndykatu dotykała go w tym samym stopniu co nie potwierdzone informacje o przestępstwach Trzeciej Rzeszy.

Każdą wolną chwilę spędzał na włóczeniu się po slumsach, przekopywaniu śmieci, szukaniu choć jednego znikomego dowodu, który byłby gwoździem do trumny dla bezkarnie panoszącej się organizacji. Krok po kroku zbierał informacje. Uzbroił się w cierpliwość i nie zadowalał się namiastkami. Jego historia musiała być rzetelna. Nie wydrukował ani słowa, dopóki nie miał początku, środka i końca.

Oczywiście buszowanie po kanałach wystraszyło szczury. Drugiego maja Gabe pojechał z chłopcami na mecz Yankee z Orionami, rozpoczynający sezon baseballowy. Sheila została w domu, nękana dokuczliwą grypą. Na drodze jak zwykle był duży ruch, ale Gabe w pewnym momencie zauważył dwa śledzące go samochody. Zwiększył szybkość, nieświadomie stosując się do życzeń goniących go ludzi. Właśnie na to czekali. Przy prędkości siedemdziesięciu mil na godzinę zauważył, że wyprzedza go wóz z lewej strony. Auto z całą siłą uderzyło samochód Gabe'a, spychając go na pobocze. Nie mając miejsca na jakikolwiek manewr, wypadł z trasy i stoczył się w dół z wysokości piętnastu metrów. Jeremy, który siedział na przednim siedzeniu obok ojca, zginął na miejscu. Lewa noga Gabe'a została całkiem zmiażdżona i musiano ją później amputować. Zach nie doznał wprawdzie ciężkich obrażeń, ale pozostał mu psychiczny uraz. W czasie trzymiesięcznego pobytu Gabe'a w szpitalu Zach odwiedził go tylko cztery razy. Miał zaledwie dwanaście lat i poczucie winy za to, że przetrwał, było zbyt dużym ciężarem jak na jego wątłe ramiona. Stopniowo zaczął zatapiać się w paraliżującej depresji. Zrobił się małomówny, godzinami potrafił nie wychodzić z pokoju, leżeć na łóżku przy zgaszonym świetle i

wymawiając się dręczącym go bólem, nie chodzić do szkoły. Z dnia na dzień jego stan izolacji przybierał na sile.

Gabe i Sheila dobrze widzieli jego cierpienia. Mimo żałoby po utracie dziecka i trudności fizycznych i psychicznych będących skutkami kalectwa Gabe'a, próbowali pomóc Zachowi przezwyciężyć depresję. Szukali porady u specjalistów, którzy odpowiadali lakonicznym stwierdzeniem, żeby na razie zostawić syna w spokoju lub też by wystarczająco go kochać i wspierać, szanując jego prawo do buntu, uzalania się nad sobą i dręczącego go poczucia winy.

Gabe opuścił szpital w czerwcu. Kiedy wszedł do domu, Zach nawet się z nim nie przywitał. W końcu wsadził głowę do jego gabinetu, rzucając zdawkowe „dzień dobry” i z powrotem wrócił do swego czarnego świata. Po tygodniu unikania ojca Gabe i Sheila postanowili zastosować bardziej drastyczne środki. Bez wcześniejszego uprzedzenia Sheila oznajmiła pewnego dnia, że rozchorowała się jej matka i musi natychmiast jechać do Nowego Jorku, żeby się nią zająć. Miała zamiar wrócić za dwa tygodnie. Zach musiał zająć się domem.

Przez dwie godziny po wyjeździe matki siedział nieruchomo w swoim pokoju, wystraszony, że w każdej chwili ojciec może go do siebie wezwać. Minęły cztery godziny, lecz Zacha nie dobiegł żaden szmer. Nagle wpadł w panikę. Co będzie, jeśli spadł z łóżka? Albo udusił się kawałkiem grzanki? A może dostał zawału? Natychmiast zbiegł na dół i wpadł do pokoju Gabe'a.

Gabe ubrany w krótką bawełnianą piżamę podnosił się z łóżka. Zach zamarł w drzwiach. Jego wzrok przykuł kikut, będący kiedyś nogą. Kiedy spojrzał na ledwo zagojoną ranę, wszystko podeszło mu do gardła. Jego ojciec zawsze był imponującym mężczyzną - ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, atletyczne ramiona, umięśnione nogi - ale szpital wyssał z

niego prawie dziesięć kilogramów i wyglądał teraz mizernie i rachitycznie. Mięśnie pozostałej nogi prawie zanikły z braku ruchu. Gabe ledwie mógł wstać. Wyglądał jak cień człowieka.

Pragnął zamknąć oczy i uciec z pokoju. Jednak rozpłakał się, wylewając strumień uczuć, jakby nagle puściła tama nie pozwalająca wcześniej na przeniknięcie choćby kropli wody.

- Przepraszam - powiedział dławiąc się łzami. - Nie chciałem, żeby ci się to stało. Nie chciałem, żeby umarł Jeremy.

Gabe pokuśtykał do szlochającego syna i mocno objął go ramieniem.

- Oczywiście, że nie chciałeś - powiedział czule go całując. - Ale nie masz za co przepraszać.

Zach odwrócił się przodem do ojca i spojrzał mu prosto w oczy.

- Dlaczego mnie nic się nie stało? - zapytał. W piersi Gabe'a odezwał się przeszywający ból.

- Myślisz, że byłoby ci lżej, gdybyś stracił oko, połamał zebra albo uszkodził kręgosłup?

Zach nic nie widział zza przesłony łez. Cały się trząsał, lecz jego głos był mocny.

- Tak! - krzyknął. - Lepiej!

Gabe'a opuściły siły. Cofnął ramię otaczające Zacha i wrócił do łóżka. Zach znowu stanął w osłupieniu i przyglądał się ojcu z niedowierzaniem. Kiedy Gabe już usadowił się na łóżku, poprosił Zacha, żeby koło niego usiadł. Zach przecząco pokręcił głową.

- Słuchaj - odezwał się ojciec. - Ty nic nie zrobiłeś. To ja ponoszę całą winę. Ja powinienem przepraszać. To mnie chcieli zabić.

Zach ciągle nie ruszał się z miejsca i gdy Gabe spojrzał na syna, jego oczy nabiegły łzami, które nagle przelały się pod powiekami i pociekły po policzkach.

- Zabrali mi Jeremy'ego - zaszlochał - i wygląda na to, że zabrali mi także ciebie. Wygrali.

Czasami, kiedy młodzi chłopcy ubierają swojego ojca w kostium bohatera, łązy mogą zedrzeć ten strój, pozostawiając rozgoryczenie i rozczarowanie. Dla Zacha postać ojca siedzącego na stercie pogniecionych koców z mizerną twarzą i ciałem uginającym się pod ciężarem nieszczęścia, nie była zniechęcającym widokiem. Część jego niegdyś prawie boskiego blasku przesłonił cień człowieczeństwa. Gabe wydał mu się bardziej ludzki.

Zach podbiegł do ojca i chwycił go z dzikością zrodzoną z poczucia utraty i ponownego odkrycia. Trwali w uścisku i płakali w swoich ramionach. Potem godzinami rozmawiali, aż w końcu zaczęli nawzajem sobie pomagać.

W parę miesięcy później, 4 października 1950 roku Rosjanie wystrzelili pierwszego satelitę, Sputnika 1, na orbitę okołoziemską. Tego samego dnia Zach Hamlin miał zaszczyt prowadzić ojca do dużej, wykładanej dębowym parkietem sali, gdzie senacka komisja McClellana prowadziła badania nad przestępczą infiltracją w związkach zawodowych. Kiedy Zach pchał wózek inwalidzki przez środek pomieszczenia, wydawało mu się, że wszyscy słyszą głośnie bicie jego serca. Zbliżał się do końca sali, gdy dwaj mężczyźni stojący przy stole z szacunkiem usunęli krzesła i zrobili miejsce dla wózka.

- Po tym spotkaniu - Gabe zaczął mówić do mikrofonu, gdy już zasiadł na honorowym miejscu - chciałbym, żeby przewieziono mnie do komitetu, który walczy o równość praw dla ludzi dotkniętych kalectwem.

Jego humorystyczny komentarz wywołał krótką falę śmiechu i chwilowe zażenowanie, po którym nastąpiła długa chwila milczenia. Zach zablokował koło wózka i zaczął zmierzać w stronę galerii.

- Usiądź obok mnie - wskazał mu miejsce ojciec.

Zaczęły błyskać światła fleszy. Reporterzy węszący jakąś sensację podeszli bliżej. Zaczęły pracować kamery.

- Panowie - baryton Gabe'a zabrzmiał w przestronnym pomieszczeniu. - Jak większość z was doskonale się orientuje, od lat zajmowałem się badaniem działalności mafii. Dzisiaj, pomimo starań ludzi należących do tej organizacji, chciałbym przedstawić kompletne dokumenty zawierające nazwiska, daty, łapówki, przestępstwa i wykroczenia kryminalne. Tylko Bogu zawdzięczam fakt, że mogłem do was przemówić, gdyż nie mam najmniejszej wątpliwości, że ten kraj zakażony jest śmiertelnym, żądnym krwi wirusem. Zabili mojego syna i odjęli mi nogę. Ale, Bóg mi świadkiem, nie uda im się zniszczyć mojego ducha prawości i woli wyplenienia ich z tego kraju.

Oczy Zacha wypełniły się łzami. Nigdy nie siedział tak blisko wielkości. Słuchając głosu ojca, potępiającego tych, którzy chcieli pozbawić go życia, Zach wiedział, że był świadkiem wielkiego aktu odwagi.

- Czy nie boisz się, tato, że będą chcieli cię zniszczyć? - zapytał w drodze do domu.

- Nie, mnie nic już nie mogą zrobić. - odparł. - Bobby Kennedy obiecał mi ochronę przez przynajmniej rok, ale nawet bez tego i tak wystąpiłbym publicznie.

Zach spojrzał na ojca zmieszany i bardzo przerażony. Gabe przyciągnął go bliżej ku sobie.

- Nie mogłem im pozwolić, by sądzili, że śmierć Jeremy'ego nic dla mnie nie znaczy. Gdybym siedział cicho, wyglądałoby to tak, jakbym pogodził się z tym, co się stało i dawał im milczące przyzwolenie. Za bardzo kochałem Jeremy'ego, żeby uszło im to na sucho. Za bardzo kocham ciebie i twoją matkę. Rozumiesz?

Zach nie mógł wydusić z siebie słowa, więc tylko skinął głową.

Gabe pracował jako szef „National Desk”, dopóki Zach nie ukończył szkoły średniej. Później przenieśli się do Los Angeles, gdzie jego syn rozpoczął studia na tamtejszym uniwersytecie, a Gabe rozpoczął karierę jako pisarz. W dniu, w którym Zach ukończył uczelnię, na rynku pojawił się bestseller Treblinka autorstwa Gabriela Hamlina ukazujący losy młodego polskiego Żyda, od warszawskiego getta do obozu koncentracyjnego. Przez czterdzieści pięć tygodni książka nie schodziła ze sklepowych witryn.

Do czasu ukończenia drugiej książki Gabe'a, zatytułowanej Szef związku i cieszącej się równie dużym powodzeniem, Zach osiadł w Nowym Jorku, gdzie rozpoczął pracę w czasopiśmie „Life”.

Teraz zaś, kiedy piąta książka Gabe'a Uzasadnione wątpliwości z powodzeniem zdobyła amerykański rynek, Zach czekał na małym tajlandzkim lotnisku na początek gwiazdkowego występu Jody'ego Harta.

Każdy centymetr kwadratowy lotniska wypełniony był widzami. Obsługa samolotów, technicy, inżynierowie, doradcy wojskowi, urzędnicy, wszyscy stłoczeni jak najbliżej sceny. Być może była to najmniej liczna publiczność na trasie Harta, ale tak samo entuzjastyczna i nie mniej chętna, żeby zobaczyć, usłyszeć i dotknąć artystów przybyłych z ojczyzny.

Prymitywną scenę naprędce sklecono z drewnianych bali i metalowych rur. Jediną dekorację stanowiły bombowce odpoczywające między kolejnymi lotami, zamiast kolorowych świateł błyszczwały metalowe krzesła dla orkiestry, ustawione pod falującą na wietrze olbrzymią amerykańską flagą. Wojskowe ciężarówki służyły za przebieralnie, pobliski hangar pełnił rolę magazynu. Dla członków zespołu była to tylko prowizorka, jednak widzowie ocenili to wysoko.

Na największe uznanie zasługiwał sam Jody Hart. Bez cienia wątpliwości był mistrzem swojego rzemiosła. Mimo

oczywistych niedogodności, problemów z zakwaterowaniem i zachowaniem wymogów bezpieczeństwa, zdołał przemycić wystarczającą ilość showbiznesowego blichtru, pozwalając zapomnieć na dwie godziny o atakach partyzantów, napalmie i kaśliwych czerwonych mrówkach.

Kiedy wyszedł na scenę, widzowie oszaleli z radości gwizdząc, wykrzykując i śpiewając razem z orkiestrą piosenkę Harta „My Funny Valentine”. Mistrz stanął na środku sceny ubrany w koszulę w kolorach amerykańskiej flagi i podobne trzewiki - jeden w pasy, drugi w gwiazdy. Na głowie miał wojskową czapkę z sześcioma gwiazdami. W środku monologu poinformował widownię, że jest naczelnikiem sił zbrojnych, a dodatkowa gwiazdka oznacza jego wyjątkowy status. Wyrzucał z siebie potok słów z szybkością karabinu maszynowego i bębniąc w dłoń swoją oficerską trzcinką, urabiał widownię jak glinę. Jego dowcipy były zwięzłe, a krótkie wstawki bardzo pikantne, jednak celowo zwalniał tempo, stwarzając swobodną atmosferę swojskości i luzu, tak jakby spotkał się ze starymi kumplami.

Zespół składał się ze znanych artystów, przyjaciół Jody'ego, a kilku z nich miało swój udział w finansowaniu spektaklu.

Zach oglądał występ z boku, zaśmiewając się z resztą widowni, lecz gdy na scenę wyszła Frankie, jego twarz opromienił szeroki uśmiech.

Cienka, wyszywana koralikami narzutka bardziej przypominała pelerynę niż sukienkę i ledwo przykrywała jej ciało. Włosy lekko usztywnione lakierem falowały płynnie jak ramiona meduzy, a pod jaskrawym różem kryła się warstwa błyszczącego pudru. W każdym calu była gwiazdą - wyrafinowaną i niedostępną, ale Zach wiedział, że to tylko pozory.

Za uwodzicielskiej powłoki spoglądały oczy niewinnego dziecka. Kokieteryjne uśmiechy maskowały wystraszoną i niepewną siebie dziewczynę. I chociaż jej seksowne ciało wzbudzało okrzyki podziwu i lubieżne docinki, a cięty dowcip i komediowy talent wywoływał salwy śmiechu, Zach wiedział, że jedyną rzeczą, której naprawdę potrzebowała, była miłość i troska. Wiedział też, że ona była jedyną kobietą, której naprawdę pragnął.

Podczas pobytu w południowo - wschodniej Azji życie towarzyskie Zacha stało się tak przypadkowe, jak życie pozostałych mężczyzn na froncie. Musiał zadowolić się jednonocnymi przygodami, w które angażował wyłącznie swoje mięśnie, podczas gdy serce pozostawało niepokieszone. Zawsze twierdził, że jego praca wymagała tego rodzaju poświęceń, i miał rację. Uważał, że żadna kobieta nie zdoła pobudzić go do niczego więcej, tylko do nagłego wybuchu namiętności. W tym względzie również nie minął się z prawdą. Twierdził, że nie stać go na miłość na odległość - do momentu, w którym ujrzał Frankie na lotnisku. Wtedy uświadomił sobie wyraźnie, iż w jego życiu nie było miejsca dla żadnej innej kobiety, tylko dlatego, że nie mógł się uwolnić od uroku rzuconego przez tą wysoką dziewczynę z hebanowymi włosami, oczami o gorzkiej słodczy i poobgryzanymi paznokciami.

Kiedy Frankie przebiegła przez pas startowy i wpadła w jego ramiona, lotnisko właściwie opustoszało. Trzymając ją w objęciach, poczuł, jak cała drży. Przytulił dziewczynę mocniej, czule gładząc ją po plecach. Po paru minutach napięcie zaczęło mijać.

- Czekałam, żeby się upewnić, że już jej tutaj nie ma. - Oczy Frankie nieco przygasły.

- Wszystko w porządku? - zapytał Zach.

- Jakoś się ułoży. - Zabrzmiało to bardziej jak deklaracja niż odpowiedź. Rozejrzała się wokoło i zauważyła czekającą na nich riksę.

- Nie chcę wracać do „Villa de la Paix” - powiedziała cicho. - Nie wytrzymam w tym pokoju.

Po odejściu Lillie Frankie zarzuciła na siebie płaszcz, szybko zrobiła makijaż i wybiegła co sił w nogach, żeby jak najprędzej wyrwać się z dusznej atmosfery pomieszczenia. Wnętrze pokoju wypełnione było złowróżbnymi duchami, słowami Lillie, które przybierały dziwne kształty i dźwięki, skazując Frankie na wieczne potępienie. Gdziekolwiek spojrzała, widziała twarz Lillie, jej nozdrza drażnił zapach perfum matki i wyczuwała jej obecność.

- „Manida” jest daleko od „Villi” - ostrzegł ją Zach.

- Nie szkodzi.

Pokiwał głową, wydał polecenie kierowcy i pomógł jej wejść do pojazdu. Nadal miała na sobie wyszywaną koralikami pelerynkę i kiedy pojazd ruszył, Zach zarzucił jej na ramiona swoją marynarkę. Przyłgnęła do niego całym ciałem, ale nie odezwała się, jakby rozważając w myślach następny ruch.

Dżungla narzuciła na siebie czarną pelerynę nocy i w ciemnościach widać było tylko dwa jasne światła lamp pojazdu. Jechali po zakurzonej, wyboistej drodze. Wiklinowy kosz przymocowany z tyłu rikszy telepał się hałaśliwie, zawadzając dnem o wystające kamienie. Zwierzęta w dżungli hałasowały porozumiewając się w sobie tylko znanym języku. Frankie bliżej przywarła do Zacha i spojrzała mu prosto w twarz.

- Kocham cię - powiedziała. - I chcę, żebyś ty też mnie kochał. Zach wyjął z jej włosów źdźbło trawy i pocałował ją w usta.

- Kocham cię od pierwszej chwili, w której cię ujrzałem - wyszeptał.

- Więc kochaj się ze mną. Traktuj mnie jak kobietę, a nie jak dziecko. Z początku Zach usłyszał w jej głosie miłość i pożądanie. Zastanowił się przez chwilę. Brzmiała w nim też determinacja i rozkaz.

- To nie jest ani odpowiednie miejsce, ani pora - powiedział bez troski, wskazując palcem na pojazd i dżunglę.
- Poza tym, nie jesteś typem panienki do miłości na tylnym siedzeniu.

- No to później. Znowu ten nieustępliwy, pełen pasji ton.

- Dobrze, później - zgodził się. Chciał jeszcze raz ją pocałować, ale coś zwróciło jego uwagę. Przyłożył palec do ust, nakazując Frankie, żeby się nie odzywała. Jego oczy penetrowały otaczającą ich ciemność. Zbyt długo przebywał z żołnierzami, żeby nie zauważyć znaków na drzewach. Kierowca nie wiózł ich do „Manidy”. Skręcił w drugą stronę i jechali na wschód prosto do granicy z Laosem. W jednej chwili przygarnął Frankie do siebie jednocześnie zdejmując but.

- Chyba mamy kłopoty. - Mówił tak cicho, że ledwie go słyszała. - Vietcong płaci spore sumy za żywych Amerykanów i myślę, że ten facet już wszystko sobie wykalkulował.

- Co robimy?

- Jeśli nie skręci w prawo za dwie sekundy, rozwalę mu butem ten zakuty łeb. Siedź spokojnie.

Pokiwała głową. Serce waliło jej w piersi i ogarnął ją taki strach, że o mało nie krzyknęła. Mimo wszystko udało się jej zachować spokój.

Riksza zatrzymała się w ciemności. Zach nie czekał ani chwili. Podniósł się z miejsca, złapał kierowcę za szyję i z całej siły uderzył go butem w tył głowy. Mężczyzna osunął się na barierkę odgradzającą od pasażerów. Zach wyskoczył z

rikszy, wyciągnął nieprzytomnego kierowcę z pojazdu i położył go na poboczu drogi. W tej sekundzie usłyszał krzyk Frankie i zdał sobie sprawę, że kierowca nie działał w pojedynkę. Z dżungli wyłonili się dwaj mężczyźni i zaczęli szamotać się z Frankie, próbując wyciągnąć ją z rikszy.

Frankie wzięła przykład z Zacha. Zdjęła z nóg szpilki i z dziką walecznością zaczęła walić na oślep w napastników. W obliczu niebezpieczeństwa zebrała energię i z precyzją oceniła sytuację.

Waleczna jak tygrysica chroniąca swoje młode, zadawała ciosy czubkami obcasów, które celnie lądowały na ich głowach. Zach dopadł jednego z nich, przygniół go do ziemi, wyrwał z ręki pistolet i uderzył rękojeścią, tak że napastnik stracił przytomność. Podbiegł do drugiego intruza, ale Frankie zdążyła już się z nim rozprawić. Nie marnując czasu na gratulacje i zbędne pytania, Frankie schowała się w koszu, a Zach uruchomił motocykl, ruszając w mrok.

Kiedy dotarli do hotelu „Manida”, Frankie ciągle trzęsła się ze zdenerwowania.

- Witaj w raju - Zach otworzył drzwi i zaprosił ją do środka.

Pokój był mały, z łóżkiem, krzesłem, nocnym stolikiem i nie osłoniętą żarówką zwisającą z odrapanego sufitu. Nie było tu ani zasłon, ani narzuty na łóżko, ani żadnych zbędnych dekoracji.

- Okropnie wyczerpujący dzień i jeszcze bardziej wyczerpująca noc! - skomentował Zach. Wyjął z nocnej szafki butelkę brandy i nalał dwie potrójne porcje. Jedną szklanekę wręczył Frankie. - Chyba musimy doświadczyć łagodzącego działania tego ognistego płynu. - Uniósł szklanekę w szybkim toaście i powoli zaczął saczyć trunek, czując, jak rozgrzewa mu język i leniwie spływa do żołądka.

- Gdzie chcieli nas uprowadzić? - zapytała Frankie, pijąc alkohol raczej z przymusu niż dla przyjemności.

- Pewnie do Thakhek. Tuż za granicą z Laosem. Odnotowano już kilka uprowadzeń. Głównie amerykańskich cywilów.

Frankie potrząsnęła głową i ponownie umoczyła usta w alkoholu. Już lepiej smakował i poczuła, jak przez jej ciało przepływa ciepło, dając miłe uczucie odprężenia. Podniosła się z krzesła i stanęła przy oknie obok Zacha.

- Ocaliłeś mi życie - powiedziała.

- Twoje życie warte jest ocalenia.

- Naprawdę tak myślisz?

Zach dostrzegł niepewność w jej głosie. Przesunął się bliżej i otoczył ramionami jej talie, nachylając się nad głową Frankie i składając wargi na jej ustach. Miały smak brandy. Bardzo jej pragnął i długo czekał na tę chwilę, ale z uwagi na brak doświadczenia dziewczyny nie mógł się spieszyć.

- Może weźmiesz prysznic? - powiedział schrypniętym głosem.

Frankie nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Jego pocałunek wyzwolił falę pożądania. Chciała zrobić to teraz. Wszystko drżało w niej, miała wyschnięte usta. Bez słowa poszła do łazienki i po chwili wróciła ze zdziwionym wyrazem twarzy.

- Przecież tutaj nie ma prysznic.

Wyglądała na tak zdezorientowaną, że Zach nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Oczywiście, że jest.

Z powrotem zaprowadził ją do łazienki i pokazał jej kawałek gumowego węża wystającego z sufitu, dwa pokrętła w ścianie i kratkę ściekową w podłodze.

- Cała łazienka jest prysznicem - odparł wracając do pokoju.

- Podaj mi ręcznik. - Powiedziała to tak szybko, jakby się obawiała, że Zach już nie wróci.

Wrócił i jej oczy zatopiły się w jego spojrzeniu. Powoli wyśliznęła się z sukienki i rzuciła ją przez drzwi na łóżko. Zach rozpiął koszulę i czekał na jej reakcję. Zsunęła pończochy, Zach zdjął spodnie i zamknął drzwi.

Przesunął dłonią po jej plecach i odkręcił kurek, zraszając ich deszczem ciepłej wody. Delikatnie namydlił rozek ręcznika i zaczął jej myć twarz, usuwając róż, cień, puder i szminkę. Potem zanurzył palce w jej włosach, rozrzucając misterną fryzurę. Skropił jej włosy szamponem, po czym zaczął delikatnie je masować, aż proste wilgotne kosmyki osunęły się na plecy. Przez cały czas Frankie stała bez ruchu jak antyczna rzeźba, chłonąc dotyk jego dłoni i pozwalając na przepływ emocji.

Woda oblała ich i Zach dotknął dłonią jej piersi. Miękko i powoli jego dłoń ślizgała się w górę i w dół, leniwie ociągając się z następnym dotykiem. Zachecona jego ruchami głaskała dłońmi jego tors, posuwając się w dół aż do ud. Cichy pomruk wyrwał mu się z ust. Widziała, jak bardzo jej pragnął, i zdała sobie sprawę, jak bardzo ona sama go potrzebuje.

Z nagłością, która ją samą wprawiała w osłupienie, zakręciła wodę i wyszła z łazienki, mokra i rozpalona pożądaniem. Wyciągnęła się na łóżku, patrząc, jak Zach wykrecą świecąca prosto w oczy żarówkę. Zapalił małą świeczkę, postawił ją na stoliku w przeciwległym rogu pokoju i podszedł do łóżka szczelnie zsuwając moskitierę. Srebrne cienie wytworzone przez jej sploty zatańczyły na skórze Frankie mistycznymi błyskami. Zach pochylił się nad nią urzeczony. Pocałował ją mocno i namiętnie, a jego ciało drżało, kiedy się do niej przybliżał. Jego ręce znów zaczęły po niej błędzić, teraz już szybciej, bardziej zdecydowanie.

Frankie czuła jego pożądanie i swoje rosnące podniecenie. Zarzuciła mu ręce na szyję, jakby obawiała się, że może przestać i że te cudowne doznania prysną tak szybko, jak nadeszły. Jednak Zach się nie spieszył, uczył ją, jak może sprawić mu przyjemność, i pokazywał, jak on może ją zadowolić. Wtem jej biodra zaczęły się poruszać swoim własnym rytmem. Jej ciało wygięło się w pragnieniu dania mu tego, czego tak bardzo chciał.

W końcu wypełnił ją całą i poczuła na szyi jego przyspieszony oddech. Kiedy kołysali się w płynnym ruchu, czekała na przyływ nieokiełznanego uczucia, które ją pochłonie. Poczowała, jak mięknią jej nogi i słodkie, do niczego nie porównywalne ukłucie rozkoszy wędruje od czubków jej palców aż po mózg. Przez chwilę nie wiedziała, co się z nią dzieje. Pulsowanie przenikało ją coraz silniejszymi falami, w końcu opadło. Poczowała, jak Zach zamarł w napięciu, a potem znów się odprężył, kiedy fala gorąca zaczęła z wolna odpływać.

- Kocham cię - wyszeptał do ucha. - Nigdy nikogo tak nie pokocham.

- Też cię kocham - szepnęła, bliżej się przytulając, nie chcąc wypuścić go z objęcia.

Leżeli tak jeszcze przez chwilę, wsłuchani w szum wiatraka na suficie i szelest falującej moskitiery. Zach usnął w jej ramionach do połowy przykryty zmiętym prześcieradłem.

Frankie wpatrywała się w otaczającą ciemność, rozświetloną drgającym płomieniem świecy. Czuła obecność Lillie i słyszała jej słowa: „Mogę mieć każdego mężczyznę, ponieważ jestem kobietą, a ty jesteś dzieckiem. Stworzyłam ciebie. Beze mnie jesteś nikim”.

Cała zeszywniała. Zach poruszył się, przypominając jej o swojej obecności. Rzuciła mu zaspane spojrzenie i przeniosła wzrok na swoje nagie ciało.

- Już nie jestem dzieckiem - wyszeptała drżącym, lecz zdecydowanym głosem. - Nie jestem „nikim”. Możesz sobie czekać do końca życia, ale nie przyczołgam się do ciebie na kolanach. Prędzej wolałabym umrzeć.

Mimo że często jeździła i mogła uchodzić za dobrą narciarkę, Jinx zawsze przez chwilę się wahała, zanim odbiła się kijkami i zjechała po stoku. Zdawała sobie sprawę, że jeden nieuważny ruch mógł zniweczyć całą przyjemność, jaką sobie obiecywała. Stojąc obok Kipa na szczycie Vail Back Bowls i spoglądając na majestatyczne piękno Gór Skalistych w Kolorado pomyślała, że niefortunny upadek byłby wielką stratą. Za trzy tygodnie miał się odbyć ich ślub.

- Gotowa? - zapytał Kip, głęboko oddychając i starając się przyzwyczać płuca do rozrzedzonego powietrza na tej wysokości.

Jinx spojrzała na przyszłego męża, tego wspaniałego, wrażliwego i przystojnego mężczyznę, który czuł się na szczycie góry jak u siebie w domu. Pomyślała, jak puste i nie spełnione było jej życie, zanim go spotkała. Pomyślała o niedogodnościach małżeństwa ze sławnym mężczyzną - o braku prywatności, plotkach i powierzchownym krytycyzmie. Oczywiście nie było to bez znaczenia, ale kiedy Kip schylił się nad nią, żeby podciągnąć jej golf pod brodę, i delikatnie nasunął jej na uszy opaskę, uśmiechnęła się i jeszcze raz postanowiła, że nie będzie zwracała na to uwagi.

- Gotowa - odpowiedziała.

Kip ruszył pierwszy, wchodząc w spokojny rytm i omijając muldy biegnące wzdłuż stoku. Jinx wystartowała za nim, podpierając się kijkami, balansując i żłobiąc w świeżym śniegu łagodne półokręgi. Chociaż padało przez całą noc, niebo czyste jak jasnoturkusowy sufit zawisło nad mroźnym pięknem białej jak łabędzie pióra ziemi. Temperatura spadła poniżej zera, ale świeciło słońce, zalewając swoimi

promieniami zimowy krajobraz i przeciskając przez powłokę mroźnego powietrza świetliste fontanny ciepła.

W górę. W dół. Miętko. Prosto. Kijek. Skręt.

Nogi bolały ją z wysiłku i oczy zachodziły łzami od silnego wiatru, ale nie mogła oprzeć się urokowi tego miejsca. W innych partiach gór wytyczono specjalne trasy narciarskie, lecz ten zjazd był wytworem samej natury. Przypadkowy turysta dostrzegał w nim jedynie doskonałe piękno, ale dla wprawnego narciarza stok był wyzwaniem.

W połowie drogi Jinx pozwoliła sobie na chwilę odprężenia. Zapatrzyła się w cień chmury przesuwanej się nad jej głową. Jedna narta wbiła się w górkę świeżego śniegu. Jinx straciła równowagę, lewy but automatycznie wypiął się z wiązania, narta pojechała w lewą, a ona w prawą stronę, staczając się na dół, dopóki nie zatrzymała się na wzniesieniu.

- Nic ci nie jest? - krzyknął Kip hamując kilka metrów poniżej miejsca upadku.

- Wszystko w porządku - odparła otrzepując ze śniegu kombinezon i rozglądając się wokół za jednym z kijków. - Moja duma trochę ucierpiała, ale poza tym wszystko jest okey.

Kip „choinką” wspiał się na górę, zabierając po drodze nartę, i pomógł Jinx podnieść się z ziemi. Przytrzymał ją za ramię, kiedy wsuwała but w wiązanie.

- Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu - powiedział poprawiając jej gogle i delikatnie całując w usta - wolałbym, żeby zachowała pani ostrożność. Wózki inwalidzkie i kule nie dodają powagi ceremonii ślubnej.

Jinx uśmiechnęła się i czule potarła nosem czubek jego nosa.

- A ja słyszałam, że tutaj w Vail tradycja nakazuje mieć na sobie coś starego, coś nowego, coś pożyczonego, coś czarnego i coś niebieskiego.

- Bardzo śmieszne - powiedział beztrąsko, lecz w jego oczach pojawił się niepokój. - Po prostu nie chcę, żeby ci się coś stało.

- Nic się nie stanie - pragnęła wreszcie odpędzić stare koszmary, które ciągle go nawiedzały, i przywrócić mu wiarę w prawo do życia. - Wyciągnęła dłoń i pogłaskała go po policzku. - Uspokój się. Czuję się świetnie i ty też czujesz się doskonale. Jest fantastyczny dzień i mam zjeść lunch z moją matką. Więc ruszmy się z miejsca.

Kip pokiwał głową i odpowiedział uśmiechem na jej słowa. Ale kiedy zjeżdżali w dół, znowu dopadł go strach.

Nie mogę się uspokoić, pomyślał starając się zwalczyć frustrację szybszą i bardziej ryzykowną jazdą. To był zwyczajny upadek, ale co by się stało, gdyby naprawdę spotkało ją jakieś nieszczęście?

Miasteczko Vail ma swoją historię. W pierwszych latach dziewiętnastego stulecia Indianie z plemienia Ute lato spędzali w dolnych partiach gór Kolorado. A wczesną wiosną porzucali Wielkie Równiny, powracając na wyżyny, gdzie czekały na nich ukochane niedźwiedzie grizli, kozice, lwy i śnieżne zamiecie.

W latach trzydziestych dwudziestego wieku naczelny inżynier Departamentu Kolei w Kolorado, Charlie Vail, otworzył połączenie kolejowe Highway Six biegnące z Nebraski przez Denver, aż do Utah. Cywilizacja zaczęła wdzierać się w głąb łądu. Pionierzy zwabieni obietnicą przygody porzucali miasta i wędrowali na dzikie, górzyste tereny. Przemierzali tę drogę w przyczepach ciężarówek zamiast w wagonach ciągnionych przez muły i gotowali na gazowych butlach, a nie przy ogniskach. Walczyli z samotnością, nie z dzikimi autochtonami. Jednak byli pionierami w każdym znaczeniu tego słowa.

W 1942 roku góry Vail częściowo zagospodarowano, ale bynajmniej nie ze względu na turystów i profity płynące z narciarstwa. Przy wąskim przejeździe kolejowym niedaleko Vail powstał Camp Hale, gdzie miał swoją bazę dziesiąty oddział amerykańskich komandosów - narciarzy. Początkowo patrolowali teren i zaprawiali się do trudnych warunków życia. Czternaście tysięcy mężczyzn biwakowało podczas zamieci, godzinami maszerowało na wysokości trzech tysięcy stóp nad poziomem morza, przemierzało zdradzieckie zbocza gór i oczywiście jeździło na nartach, znacząc pierwsze zjazdy na stokach Vail, Aspen, Snowmass i Arapahoe Basin. Kiedy włączono ich do akcji, walczyli z Japończykami na wyspie Kiska i w górach Alaski. Należało także im zawdzięczać większość zwycięstw w Apeninach, w północnych Włoszech. Pod koniec wojny pokonywali niemieckie niedobitki w Alpach.

Vail w swoim współczesnym kształcie narodziło się dopiero w grudniu 1962 roku. Od razu postanowiono, że będzie to kurort narciarski, dlatego też szczegółowo zaplanowano zimowe atrakcje i z precyzją opracowano trasy zjazdowe. Początki były skromne, trzy wyciągi, kilka schronisk, parę restauracji, sklep i bar. Organizatorzy niepewni przyszłości kurortu, na dzień przed jego otwarciem wezwali Małą Chmurę, czarownika z plemienia Indian Utes, ażeby wykonał taniec słońca. Po dwudziestu czterech godzinach, przy grubości śniegu ponad pół metra, otworzono miejscowość dla turystów i wkrótce Vail stało się Mekką dla entuzjastów narciarstwa.

Kurort Vail zajmuje ogromne połacie ziemi rozciągające się wzdłuż autostrady międzystanowej Interstate 70, ale samo miasteczko jest małe i zwarte, z budynkami nie przekraczającymi ośmiu pięter i luźno rozrzuconymi sklepami. Na werandach i tarasach mieszczą się urocze restauracje, a

kolorowe wystawy eleganckich sklepów z dużym powodzeniem przyciągają klientów. Uliczki są kręte i zbyt wąskie dla samochodów. Ozdobione kolorowymi parasolami wózki sprzedają watę cukrową i prażoną kukurydzę. Od czasu do czasu małe mostki dla przechodniów przecinają urwisty strumień Gore Greek, w którym bez względu na temperaturę wiecznie szumi wartka woda.

Nie ma wątpliwości, że Vail nosi piętno austriackiej i szwajcarskiej architektury. Wystrój domów przypomina alpejskie chaty z ich ciemnymi belkowanymi sufitami, zamykanymi na noc okiennicami z wyciętymi sercami, kolorowymi wykończeniami i balustradami balkonów pod oknami. Wyrazy takie jak „haus” i „stein” od czasu do czasu pojawiają się na tabliczkach informacyjnych, żeby nadać miejscowości bardziej europejski charakter. W południe, kiedy narciarze zjeżdżają do miasteczka na lunch, a sprzedawcy na godzinę zamykają sklepy, wszyscy zbierają się w lokalnych restauracjach, popijając napój jabłkowy z alkoholem i zimne piwo, a mieszanina akcentów, strojów i wyglądu ludzi nadaje temu miejscu specyficzny charakter.

Zanim Kate i Jinx skończyły jeść lunch, zdążyły zmierzyć wzrokiem każdego przechodnia, skrytykować każdy ubiór, oplotkować wszystkich narciarzy na stoku i przedyskutować każdy szczegół ślubnej ceremonii. Chociaż Kip hojnie zaoferował „Chalet Kipling” wraz z obsługą na ceremonię weselną i miejsce pobytu dla gości, zadaniem Kate była organizacja całego przyjęcia. Biorąc sobie do serca rolę matki panny młodej, Kate całkiem poważnie przebiegła wzrokiem listę gości, sprawdzając każde zaproszenie, zadbała o odpowiedni kolor serwetek, sprawdziła stan obrusów, sztućców, zamawiając wizytówki, przebierała we wszystkich drukarniach w promieniu stu mil od Denver i Phoenix. Kilka

razy próbowała każdą przystawkę, danie główne i deser ze ślubnego menu.

Dzięki sławie Kipa, przyjęcie ślubne bez wątpienia zapowiadało się na wydarzenie towarzyskie sezonu i uroczystość w pełnym znaczeniu tego słowa, jednak Kate coś innego chodziło w tej chwili po głowie. Wprawdzie w czasie posiłku nic nie dała po sobie poznać, ale gdy przyniesiono jej drugą filiżankę kawy, postanowiła nie zwlekać z pytaniem.

- Czy jesteś szczęśliwa? - zwróciła się do Jinx bez wstępnego badania gruntu.

- Oczywiście, mam - odparła Jinx. - On mnie bardzo kocha.

Kate uśmiechnęła się i nagle bez żadnego wyraźnego powodu zaczęła intensywnie przyglądać się swoim paznokciom. W końcu zebrała się na odwagę.

- Muszę cię jeszcze o coś zapytać. Czy wychodzisz za niego, ponieważ widzisz u niego wszystkie te cechy, które chciałabyś widzieć u swojego ojca?

- Nie sądzę - szczerze odparła Jinx.

- Mam taką nadzieję. Nie chciałabym, żeby duch Bena Rostova odegrał rolę swatki.

- Jeśli już wracamy do Bena Rostova - z wahaniem zaczęła Jinx - to Kip obiecał mi swoją pomoc w odnalezieniu członków jego rodziny.

Kate o mało nie poderwała się z miejsca.

- Po co chcecie to robić? W jakim celu? Jinx, dlaczego chcesz zranić Hankę? - Kate nachyliła się nad małym stolikiem, dysząc ze złości. Próbowała się opanować, ale było to ponad jej siły.

- Muszę się skontaktować przynajmniej z jednym kuzynem Bena. Pragnę się czegoś dowiedzieć o moim pochodzeniu. I pamiętaj, że nigdy nie skrzywdziłabym ojca. Przecież wiesz.

- Doprawdy? A myślisz, że jak on się czuje mając świadomość, że poruszasz niebo i ziemię, żeby odnaleźć jakiegoś zmarłego mężczyznę, kiedy to on zawsze był przy tobie od chwili twoich narodzin? Bez względu na to, co na ten temat sądzisz, według mnie to prawdziwe okrucieństwo.

- Kocham tatę - Jinx zaczęła protestować przeciwko tym oskarżeniom. - I ciebie też bardzo kocham, ale chciałabym znać całą prawdę o Benjaminie Rostovie. I ty najlepiej ze wszystkich powinnaś mnie zrozumieć.

- Oczywiście, że rozumiem - powiedziała Kate, nadal mówiąc głośnym szeptem, lecz już wykazując oznaki opanowania. - Nie miałam tego na myśli.

- Odwiedziłam groby moich dziadków - spokojnie poinformowała Jinx. Kate wyprostowała się i zamarła.

- Moja babcia umarła, gdy miała czterdzieści lat. Wiedziałaś o tym?

- Tak. Franyu miała raka. Kilka razy poddawano ją operacji, ale nowotwór się rozprzestrzenił. Śmierć była dla niej zbawieniem.

- Sinnoch Rostov zmarł w sześćdziesiątym piątym roku. Miał sześćdziesiąt siedem lat.

Kate nigdy nie spotkała Sinnocha i tak naprawdę jego śmierć nie wywarła na niej wrażenia.

- Obok znajduje się grób ich syna, Jacoba Rostova. Zmarł w czterdziestym piątym, w czasie wojny.

Oczy Jinx wpatrzone były w punkt ponad głową Kate. Jej głos był głuchy i beznamiętny. Myślami powróciła do owego popołudnia na cmentarzu.

- Myślę, że to z powodu śmierci Jacoba Ben wstąpił do lotnictwa i przybył do Europy - powiedziała Kate, odsłaniając rąbek tajemnicy.

- Czy mojego ojca pochowano za oceanem? - zapytała.

- Tak - odpowiedziała szybko Kate, chcąc mieć to kłamstwo za sobą.

- Dlaczego rodzina nie sprowadziła zwłok ojca do kraju?

Kate cała zlała się potem. Pragnęła rzucić jej w twarz całą prawdę i powiedzieć, jakim gagatkiem był Ben, ale wiedziała, że nikt inny tylko Jinx padłaby ofiarą jej spowiedzi.

- Twój ojciec był... - Kate odwróciła wzrok, by nie kłamać, patrząc córce w oczy. - Twój ojciec był cały spalony po katastrofie. Myślę, że byłoby to dla nich zbyt bolesne.

- Znalazłam jeszcze jeden grób - powiedziała Jinx, jakby nie dotarły do niej słowa matki. - Małej dziewczynki, Frances Rebecki, która zmarła z czterdziestym siódmym roku. Miała tylko osiem lat.

Kate miała już na końcu języka, że córeczka Molly zmarła na paraliż dziecięcy, ale w porę się pohamowała. Powiedziała Jinx, że nic nie wie na temat rodziny Bena; ani kim byli, ani gdzie mieszkali i nadal uważała, że będzie lepiej dla Jinx, jeśli niczego więcej się nie dowie. Gdyby Ben zadzwonił do Jinx, wszystko mogłoby inaczej się potoczyć. Ale Ben milczał. W tym momencie, patrząc w smutne oczy córki, Kate zastanowiła się, dlaczego w ogóle przyszło jej do głowy, że Ben mógłby to zrobić.

- Czy nadał mi imię po babci? - zapytała Jinx z chęcią kontynuowania rozmowy, choć wszystkie znaki wskazywały na to, że Kate nie pragnie niczego innego, tylko zakończyć ten temat.

- Tak. Franyu Bekah to imię matki Bena.

- Próbowałam odnaleźć znaczenie tych imion. Franyu to chyba polska wersja imienia Frances, które raczej nie oznacza nic szczególnego. Ale Bekah brzmi bardziej interesująco. Po hebrajsku oznacza przyrodną siostrę.

Przez chwilę Kate pragnęła się szyderczo roześmiać. Bez względu na to, jak starannie Ben starał się zatuszować

„pomyłkę” swojego życia, jak uporczywie starał się zaprzeczyć istnieniu Jinx i jak bardzo chciał zmyć swoją winę, jego sumienie było niepokonane, gdyż sam ochrzcił swoją drugą córkę trafnym imieniem „Becca”.

- To tylko imię - odparła Kate i zaskoczyła ją oschłość własnego głosu. - A wracając do imion - szybko przywołała się do porządku. - Za kilka tygodni zmienisz nazwisko. Dlaczego ciągle grzebiemy w przeszłości zamiast pomyśleć o tym, co będzie. To znacznie ciekawsze.

Kiedy sączyły kawę, rozmawiając o muzyce, rozsadzaniu gości i weselnych kreacjach, Jinx nie mogła przestać zastanawiać się nad tym, dlaczego rozmowa o Benie zawsze tak irytowała matkę. Może dlatego, że w chwili jego śmierci tak bardzo go kochała? A może dlatego, że pałała do niego nienawiścią?

Ze względu na Elliotów Jinx zamieszkała z rodzicami i siostrą w apartamencie na ostatnim piętrze hotelu „Chalet”, a Kip wprowadził się do mniejszego pokoju na dole. Jeff Dodge, który przyleciał z Kipem i Jinx prywatnym samolotem, wprowadził się do jednego z apartamentów dla biznesmenów w głównym budynku z zamiarem nadzorowania realizacji projektu Jinx i Claire. Claire Billing także zamówiła pokój w głównym budynku, żeby mieć Dodge'a na oku. Pozornie przystał on na ich projekt, ale obie wiedziały, że zrobił to, by przypodobać się Kipowi. Podczas spotkań z pracownikami Dodge wykorzystywał każdą okazję, by robić złośliwe uwagi. Od czasu do czasu rzucał sarkastyczne komentarze na temat butik „La Tessa”, który miał być wprowadzony do całego przedsięwzięcia. Kilka razy ktoś podsłuchał jego słowa, że „to, iż pan Harrison Kipling kilka razy dziennie ubiera i rozbiera Jinx Elliot, wcale nie oznacza, że wszyscy hotelowi goście mają robić to samo”.

W połowie listopada zakończono już główne prace konstrukcyjne. Pozostały tylko roboty wykończeniowe - układanie glazury, zewnętrzne instalacje, tapety, lustra w garderobach, wstawianie mebli, ułożenie dywanów oraz wybór zasłon i ręczników. Zatrudniono pracowników oraz sprawdzono działanie wodotrysków, sauny, łaźni parowych i urządzeń do ćwiczeń w siłowni.

Kip ograniczył się tylko do pobieżnej kontroli, Claire natomiast skupiła się na dopracowaniu estetycznym wystroju wnętrza. Jinx, działając w imieniu Cissie i Tessy Kahn, przejęła organizację butików „La Tessa”. Dodge pełniący funkcję nadzorca projektu przesłuchiwał przyszły personel, sprawdzał działanie urządzeń i rozważał propozycje reklamy wysunięte przez lokalną agencję. Każdego wieczoru cała czwórka spotykała się w gabinecie Kipa. Dwa tygodnie przed terminem otwarcia, zaplanowanym na dwudziestego grudnia, wszystkie prace były na ukończeniu.

Kip razem z Jinx, Claire, Dogde'em, przedstawicielem firmy budowlanej, dekoratorami wnętrza, zespołem elektryków i nowo zatrudnionym zarządem obiektu wypoczynkowego „La Tessa” przemierzali hol „Le Chalet”, robiąc ostatnią inspekcję. Duże drzewka fikusów oświetlone lampkami tworzyły łuk, będący bramą do świata luksusu. Lobby wykładane różowym marmurem i jasnym drewnem stanowiło oazę nie zakłóconego spokoju. Dominowały jasne, stonowane kolory, których miękkość i przejrzystość działały hipnotyzująco na tych, którzy przekroczyli szklane portale. Miękkie, pluszowe kanapy w kolorze kremowej bieli czekały na znużonych podróżników, a soczysta zieleń roślin nadawała pomieszczeniu charakter rajskiego ogrodu.

Za kontuarem recepcji otwierały się dwie pary drzwi wiodące do sal rekreacyjnych. Zainstalowano przeszklone łaźnie, które wkrótce miały wypełnić tańczące fontanny,

buchające kłębami pary wodnej. Idąc dalej wchodziło się do trzech sal gimnastycznych, wyposażonych w najnowszy sprzęt. Po drugiej stronie znajdowały się gabinety masażu, łącznie eukaliptusowe i baseny do kąpieli ziołowych. Na zmęczonych gości czekał również fryzjer i salon piękności.

Przebieralnie były funkcjonalne, lecz nie pozbawione luksusu. Każdemu dawano przy wejściu własny szlafrok, kostium kąpielowy, ręczniki, a w razie potrzeby ubiór do ćwiczeń. Personel miał zaspokajać wszelkie potrzeby gości, począwszy od butelki z szamponem, a skończywszy na szklance soku wyciśniętego ze świeżych pomarańczy. Na wprost wejścia znajdowało się stoisko z upominkami, których cena dostosowana była do standardu obiektu.

Do „La Tessy” prowadziły dwa wejścia. Jedno z kompleksów rekreacyjnych, drugie zaś z przestrzennego hotelowego holu. Tutaj królowała subtelna kolorystyka. Szare róże i beże zmieszane z trzema odcieniami bieli stanowiły doskonałe tło dla eleganckich ubiorów. Duże kamienne czary po obu stronach kasy wypełnione były wonnymi ziołami rozsiewającymi zapach róży, jaśminu i piżma. Naprzeciwko szklanej ściany, zza której rozpościerał się widok na góry, ustawiono miękkie fotele. Goście mogli podziwiać piękno natury, popijając sok pomarańczowy lub wodę mineralną.

- Chciałbym, żeby zobaczyła to Cissie - odezwała się Jinx do Kipa, siedząc w fotelu i patrząc, jak jeden z ogrodników sadził drzewka jemioli w stojących na zewnątrz donicach.

- Pewnie wkrótce tu przyjedzie. Nie będzie przecież wiecznie piastować Alexis. Założę się, że pierwsze kroki skieruje do samolotu lecącego w stronę Denver.

Jinx roześmiała się i skinęła głową. Cissie włożyła całe swoje serce i mnóstwo pracy w wystrój butik. Jinx uśmiechnęła się mówiąc, że butik „La Tessa” był drugim dzieckiem Cissie.

- Muszę przyznać - odezwała się Jinx - że jestem rozczarowana tym, iż Noah nie przyjedzie na nasz ślub.

- Ja też - zgodził się Kip, obejmując ją ramieniem.

- Hej, wy dwoje - Claire wyłoniła się z magazynu. - Wasz miodowy miesiąc jeszcze się nie zaczął. Generał Dodge chce, żebyśmy poszli do sali treningowej, a kiedy młody wódz wydaje rozkaz, wszyscy stają na baczność. Ja też. - Zasalutowała, stuknęła obcasami i weszła do drzwi prowadzących do sal rekreacyjnych, dając nowo zatrudnionemu menedżerowi ostatnie wskazówki.

Cała trójka weszła na korytarz. Szmer kroków tłumił gruby, wełniany dywan. Claire, jak zwykle dzierżyła w dłoniach duży, żółty notatnik i spoglądając na zapiski przypominała Jinx, że muszą jeszcze udać się do miejscowej galerii po odbiór litografii, mających ozdobić ściany korytarza.

- Powiesimy cztery po tej stronie - wskazał pustą ścianę.

- A nie będzie za dużo? - Jinx cofnęła się kilka kroków i mrużąc jedno oko próbowała wyobrazić sobie końcowy efekt.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, zostawię was z tym kluczowym problemem i pójdę na chwilę zobaczyć się z Jeffem.

Kip odwrócił się na pięcie, pomachał im ręką i zniknął za rogiem.

Kiedy weszły do sali treningowej, siedział już na rowerku i z zapalem pedałowal. Dodge stał z boku, patrząc na wskazówki stopera. Na widok Jinx i Claire niechętnie wykrzywił twarz.

- A co wy tutaj robicie? - zapytał stanowczo.

- Oglądamy przyrządy do ćwiczeń, Jeffrey. Przecież nie przyszłyśmy się zachwycać twoim widokiem! - Claire nie miała już cierpliwości do Dodge'a i dawała temu wyraz na każdym kroku.

- W tym obchodzie miał uczestniczyć wyłącznie pan Kipling. Nie planowałem żadnych grupowych pokazów.

- Żebyś przypadkiem się nie zdziwił.

Claire przeszła obok Dodge'a, obdarzając go sarkastycznym uśmiechem. Jinx cichutko postąpiła jej śladem, unikając następnego starcia. I tak różnili się w tylu kwestiach, że nie chciała dolewać oliwy do ognia.

Kiedy Dodge mierzył czas Kipowi, Claire zabawiała się metalowymi drążkami. Podnosiła i opuszczała dźwignię, starając się nie uszkodzić manikiuru. Jinx przechodziła od przyrządu do przyrządu, z zainteresowaniem oglądając konstrukcje ze stalowych linek i odważników. Metalowe części połyskiwały, a skórzane siedzenia i obicia lśniły nieskazitelną nowością. Z niewinną miną psocącego dziecka przesuwiała po nich dłonią. Kątem oka dojrzała pełne dezaprobaty spojrzenia Jeffa, ale nie przerwała oględzin.

Kip zsiadł z roweru, podszedł do ławki trenerskiej, wypił łyk soku pomarańczowego, po czym przeszedł do następnego urządzenia. Claire, zmęczona napinaniem mięśni, wróciła nadzorować prace dekoratorskie.

Jinx nie mogła się powstrzymać, żeby nie spróbować ćwiczeń choć na jednym z przyrządów. Ponieważ większość wyglądała na zbyt skomplikowane, by ćwiczyć na nich bez nadzoru instruktora, podeszła do drążka służącego do treningu mięśni ramion. Obciążenie dźwigni było ustawione na czterdzieści kilogramów. Usadowiła się na krzeselku, przypięła się pasem i uniosła ręce, chwytając metalowy drążek. Zaczęła ciągnąć w dół, zwiększając stopniowo napięcie mięśni. Pociągnęła mocniej nachylając się do przodu i schylając głowę, tak by mięśnie szyi i barków pomogły jej w podnoszeniu odważników.

Nagle usłyszała łomot. W ułamku sekundy zniknął opór na drążku i wiedziona instynktem błyskawicznie cofnęła ręce.

Całą siłą wbiła się w oparcie krzeselka. Odważniki spadły z konstrukcji i z hukiem runęły na podłogę. Z szeroko otwartymi, przestraszonymi oczami, w których malowało się niedowierzanie, patrzyła w dół. Niebawem nadbiegli Kip, Claire i Dodge. Wszyscy jednocześnie zaczęli mówić, pytać, czy nic się jej nie stało, zapewniać ją, że wszystko jest w porządku, i zastanawiać się na głos, jak do tego doszło. Jedynej rzeczy nikt nie wypowiedział na głos ani nawet nie wyszeptał: gdyby Jinx natychmiast się nie cofnęła, metalowy drążek, nagle pozbawiony obciążenia, złamałby jej kręgosłup.

- To się mogło każdemu przytrafić! - Jinx leżała w łóżku w apartamencie Elliotów, opatulona kocem, tak jakby miękkość wełny była najlepszym lekarstwem na stres. Kip pokiwał głową i wziął ją za rękę.

- Ale nie przydarzyło się każdemu - odparł Kip - tylko tobie. Nie mogę pogodzić się z myślą, że coś mogłoby ci się stać.

Pogłaskała go po policzku i próbowała wymusić na nim uśmiech, ale w jego oczach nadal tkwił cień przerażenia. Poczowała, jak jego dłoń zaciska się mocniej.

Od czasu ich zaręczyn Kip popadał w coraz większą obsesję chronienia jej przed wyimaginowanymi niebezpieczeństwami. Kiedy musiała odbyć podróż w interesach, koniecznie chciał jej towarzyszyć. Gdy kichnęła, kazał jej natychmiast iść do lekarza. Skoro nie chciała się zgodzić na wspólne mieszkanie przed ślubem, zainstalował u niej specjalne urządzenie antywłamaniowe. Kiedy dla ułatwienia sobie pracy zamierzała kupić samochód, dał jej do dyspozycji własne auto z kierowcą. Nic nie pomagały żadne tłumaczenia. Kip przebolewał już utratę jednej miłości swego życia i nie chciał, żeby Jinx była następną ofiarą.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Kate.

- Przyniosłam coś na uspokojenie - powiedziała wchodząc do pokoju. Postawiła tacę na stoliku obok Jinx i naląła trzy filiżanki herbaty, podając jedną Jinx i przysuwając krzesło bliżej łóżka. - Należy wam się ciepła herbatka i trochę współczucia. - Kate spojrzała na marsową minę Kipa. - Za cztery dni bierzecie ślub - powiedziała. - Mam nadzieję, że nie przyszło wam do głowy, żeby to odkładać.

Jinx chciała rzucić się matce w ramiona za to, że głośno wypowiedziała jej obawy. Wiedziała, że Kip właśnie myślał o odwołaniu ceremonii, opuszczeniu Vail i udaniu się do Nowego Jorku, tak jak to zrobił przed czterema laty. Jinx była wdzięczna, że matka zdecydowanie chciała go zatrzymać.

- Niczego nie przekładamy - odparł Kip, podnosząc ręce w geście kapitulacji.

- Dzięki Bogu - powiedziała Kate wstając z krzesła. - Co bym zrobiła z sześcioma setkami pudełek czekoladek, trzema setkami gości i całą baterią przystawek?

- Wiesz przecież, że zawsze jestem z tobą, mamo. Coś byśmy wymyśliły - zaśmiała się Jinx.

Kate zasepiła się na moment, po czym także wybuchnęła śmiechem.

- Nie miałybyśmy innego wyjścia.

Otworzyła drzwi wychodzące z pokoju i o mały włos nie wpadła na Jeffreya Dodge'a.

- Och, przepraszam - powiedział, jakby odzywał się do pokojówki. - Chciałem zobaczyć się z Kipem.

- Jest w środku. - Kate aż się skrzywiła, gdy wdarł się w jej nozdrza ostry zapach perfum.

- Proszę, wejdz - zaprosiła go Jinx, szczelnie owijając się szlafrokiem, doskonale zdając sobie sprawę, że Jeff nie miał najmniejszej ochoty na jej towarzystwo. - Usiądź.

- Właśnie skończyłem sprawdzać przyrząd - zameldował oficjalnym tonem Dodge, sztywno stojąc w progu. Zawiodły

linki. Rozmawiałem z producentem. Przyślą nam drugi egzemplarz. Oczywiście - po raz pierwszy spojrzął na Jinx - bardzo przepraszają za wszelkie kłopoty.

- Jakie to miłe z ich strony - odparła, nie ukrywając sarkazmu.

- Na pewno, zważywszy, że to twoja wina - odpowiedział zjadliwym tonem.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytała.

Dodge spojrzął na nią wrogo, nie ukrywając niechęci.

- Nikt cię nie prosił, żebyś zabawiała się nie sprawdzonym sprzętem - powiedział tonem nauczyciela karzącego ucznia. - Ludzie, którzy pozwalają sobie na zbyt wiele, powinni liczyć na przykre doświadczenia.

- Na szczęście skończyło się na paru siniakach - wtrącił Kip, czując się niezręcznie w obliczu tak ostrej wymiany zdań.

- Za kilka dni Jinx stanie na nogi, do kurortu zjadą goście, a ceremonia ślubna odbędzie się w zaplanowanym terminie.

- Naprawdę myślisz, że to dobry pomysł? - Dodge najwyraźniej chciał zasiać w nim wątpliwości. - Może powinieneś poczekać, aż panna młoda całkiem powróci do formy.

Jinx otworzyła usta, ale Kip pohamował ją ściskając jej dłoń.

- Dziękuję za twoją troskę, Jeffrey - odparł Kip - ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, sam zaopiekuję się Jinx. Ty zajmij się tym, co robiłeś do tej pory.

Dodge z wyrazem wściekłości na twarzy odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi.

- O piątej mamy zebranie personelu.

- Będę na czas - odpowiedział Kip.

Jego słowa zagłuszył trzask zamykanych drzwi.

- On mnie nienawidzi - skomentowała Jinx.

- Nie chodzi o ciebie. Nie może pogodzić się z myślą, że ponownie się żenię. Odbiera to jako dyshonor dla swojej zmarłej siostry.

- Możliwe, ale założę się, że byłby o wiele szczęśliwszy, gdybym była starsza, bardziej światowa i gdyby moje imię widniało w Rejestrze Osób z Towarzystwa i to co najmniej w pierwszej dziesiątce.

Kip nachylił się nad Jinx i pocałował ją w policzek.

- Nie interesuje mnie, co uszczęśliwiłoby Dodge'a - powiedział. - Ja jestem z tobą szczęśliwy i nic innego się nie liczy.

Jinx siedziała w sypialni przed toaletką i kończyła makijaż. Jej młodsza siostra Heather leżała wyciągnięta na pościeli w delikatne kwieciste wzory.

- Masz fart, kobieto! - powiedziała przymykając oczy. - Ale złapałaś faceta!

- Czy to ma być twój prymitywny sposób wyrażenia zadowolenia? - zapytała Jinx, znając zbyt dobrze swoją siostrę, by czuć się urażoną jej słowami.

- Jasne, że tak. Zresztą byłabym szczęśliwa, nawet gdybyś wyszła za męża za nauczyciela gimnastyki albo za ratownika. Ale „Kipling Worldwide” wcale nie jest złe. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. - Heather otworzyła oczy i z uwagą przyjrzała się lakierowi na paznokciach. Ponownie przymknęła powieki. - Czy masz pojęcie, ile będziesz warta za niecałe dwie godziny? Aż mi rozsadza głowę!

- No to niech w końcu ci rozsadzi i zacznij się ubierać. - Jinx wstała i dla żartu uderzyła Heather rękami. - Chciałabym, żeby mój świadek był ubrany w coś bardziej stosownego niż nocna koszula.

Heather usiadła na łóżku i pokazała zęby w uśmiechu.

- Jeszcze nie jesteś multimilionerką, a już jesteś nieznośna. Jinx usiadła na brzegu łóżka.

- Wiesz przecież, że nie robię tego dla pieniędzy.
- Wiem - odparła Heather, ignorując jej poważne spojrzenie. - Wiem, że nie rozkochałaś się w jego pieniądzach. I tak byś za niego wyszła, nawet gdyby był biedakiem, ale przyznaj sama - znowu zaczęła się szeroko uśmiechać - wcale to nie przeszkadza.

Jinx dała jej kuksańca w żebra, zachichotała i na dźwięk pukania poszła otworzyć drzwi. W progu stali Hank i Kate.

- Jeszcze nie jesteś ubrana! - wykrzyknęła z dezaprobatą Kate.

- To było do przewidzenia - zaczął Hank. - Ale skoro i tak setki razy widziałem już tę młodą damę bez ubrania, pozwolę sobie wejść do komnaty panny młodej.

Kiedy podał ramię Kate i weszli do pokoju, Jinx nie mogła nie zauważyć, że po dwudziestu latach wspólnego życia Hank był ciągle bez pamięci zakochany w jej matce. Chciała, żeby po tak długim czasie Kip żywił do niej podobne uczucia.

Kate wyglądała przepięknie. Cissie przysłała pięć sukienek, każdą w innym stylu. Kate wybrała najprostszą - śnieżnobiałą, jedwabną kreację Niny Ricci, wyszywaną maleńkimi perełkami i kryształowymi koralikami. Duży prosty dekolt obszyty był sznurem pereł. Długie luźne rękawy spływały aż do złotej bransoletki zegarka na jednym nadgarstku i diamentowej bransolety na drugim. Kate gładko upięła w kok swe gęste blond włosy, zostawiając przy uszach kilka zakręconych loków. Na głowie miała jedwabny toczek z woalką, a w ręku trzymała parę krótkich koronkowych rękawiczek.

Obejrzała makijaż Jinx i udała się do łazienki zobaczyć, co porabia Heather. Hank usiadł na łóżku i poklepał dłonią po materacu, prosząc Jinx, by usiadła na chwilę obok niego. Kiedy wygodnie się usadowili, wziął ją za rękę.

- Ostatni raz mam cię tylko dla siebie - stwierdził. - I chcę, byś pamiętała, że jeśli o mnie chodzi, zawsze będziesz moim aniołkiem.

Pochylił się nad córką i czule pocałował ją w policzek.

- Kocham cię, tatusiu - powiedziała czując, jak łzy cisną jej się do oczu. - Jesteś zupełnie wyjątkowy.

- Tylko dlatego, że Bóg obdarzył mnie zupełnie wyjątkową rodziną.

- Nigdy się z nim nie kłóczę, kiedy ma rację - Kate pojawiła się nagle w pokoju i przesłała mężowi promienny uśmiech.

- Chcę wam coś powiedzieć, dopóki nie jest jeszcze za późno.

- Czyżbyś zrezygnowała? - Kate oblała się rumieńcem.

- Nie - uspokoiła ją Jinx. - Chcę tylko, żebyście wiedzieli, jak bardzo was kocham i jak jestem wam wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiliście. - Głęboko spojrzała Hankowi w oczy. - Pragnę, żebyś wiedział, że bez względu na to, co zdarzyło się kiedyś i co może się zdarzyć, tylko ty jesteś dla mnie ojcem. To by będziesz prowadził mnie do ołtarza i ty mnie oddasz innemu mężczyźnie. Nikt inny nie zasługuje na ten przywilej. Nawet gdyby pojawił się teraz w drzwiach sam Benjamin Rostov, nic by się nie zmieniło. Kocham cię, tato.

Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno do niego przyłgnęła, tak jak robiła to tyle razy, kiedy jako dziecko szukała ciepła i bezpieczeństwa w jego ramionach. Kate oglądała tę scenę z mieszanymi uczuciami. Jej serce cieszyło się, widząc tę bliskość między Jinx i Hankiem, lecz jednocześnie doznała nagłego uczucia. To uczucie pojawiała się zawsze, gdy w jej umyśle pojawia się obraz Bena, który porzucił ją i własną córkę.

Dlaczego nie może go ciągle wymazać ze swojej pamięci i wyrzucić ze swojego życia? - zastanawiała się Kate. Dlaczego

po prostu nie może raz na zawsze zapomnieć o Benjaminie Rostovie?

Restauracja w „Le Chalet” była opróżniona z mebli i zamieniona na ślubną kaplicę. Po obu stronach długiego korytarza ustawiono rzędy krzeseł wyściełanych aksamitem. Przy końcach każdego rzędu stały oplecione wstęgą wysokie kwietniki z koszami białych róż. Biały dywan rozciągał się przez całą długość pomieszczenia i kończył się baldachimem z kwiatów czekającym na przyjęcie młodej pary. Wzdłuż ściany z oknami stało pięćdziesiąt drzewek fikusa otoczonych białymi kwiatami i oświetlonych lampkami.

Kwartet skrzypcowy zaczął grać spokojną muzykę, w momencie wejścia na salę pierwszych gości.

Dokładnie o siódmej trzydzieści kwartet zaczął grać miłosny motyw z Romea i Julii, dając sygnał do rozpoczęcia ceremonii.

Heather zatrzymała się przy wejściu i przeszła w dół nawy z wystudiowaną gracją aktorki wkraczającej na scenę. Zasługiwała na wszystkie aprobowane skinięcia i pełne zazdrości westchnienia. Ubrana w przepiękną białą suknię z zarzuconą na ramiona pelerynką obszytą futrem z białego lisa, wyglądała jak królowa zimy. Jej długie blond włosy skryte były pod futrzaną czapką, a dłonie wsunięte w puszystą futrzaną mufkę. Zmierzała w stronę baldachimu coraz wolniejszym krokiem.

Kiedy orkiestra zagrała Mendelssohna, wszystkie oczy zwróciły się w stronę drzwi. Podwoje otworzyły się i stojący najbliżej westchnęli z podziwu. Jej suknia była esencją prostoty i niepowtarzalnej elegancji - biały welur o odpowiednio wyciętym dekolcie podkreślał piękną linię szyi. Śnieżnobiały aksamit ciasno otulał jej biodra spływając miękko na podłogę, falując w takt kroków.

Jinx nie miała na głowie welonu. Włosy gładko zaczesana w koński ogon. Biały grzebień wysadzany perłami podtrzymywał na czubku głowy mantylę z pięknej koronki. Za idącą Jinx ciągnął się ponad dwumetrowy tren, wykonany z delikatnego lekkiego jak puch materiału. Szła opierając się na ramieniu Hanka, trzymając w rękach Biblię, przybraną małymi kwiatkami białej orchidei i satynową wstążką. W końcu spełniły się jej najskrytsze marzenia i pragnienie każdej młodej dziewczyny - majestatycznie sunęła do ołtarza.

Zanim doszli do baldachimu, Hank zatrzymał się. Pocałował Jinx i powiedział: „Bądź szczęśliwa”. Jinx poczuła kroplę na swojej twarzy, kiedy łza Hanka zmieszała się z jej łzą. Po chwili asysta pana młodego prowadziła ją do przyszłego męża.

Uroczystość była bardzo romantyczna, ale do oszołomionej emocjami Jinx to zupełnie nie docierało. Wiedziała, że pije wino, że powtarza słowa przysięgi i wkłada obrączkę na palec Kipa. Nieprzytomnym wzrokiem patrzyła, jak Kip robi to samo. Ale nic nie było aż tak przejmujące i tak ważne - nic oprócz jedyne pytania i jedynej odpowiedzi:

- Czy bierzesz za męża tego mężczyznę... dopóki śmierć was nie rozdzieli?

- Tak.

13

FRANCES REBECCA ROSS

Becca

Grudzień 1972

Becca przebiegła wzrokiem pierwszą stronę porannej gazety.

Sylvia siedziała na jednym z miękkich foteli w bibliotece, nadal ubrana w szlafrok. Kolana przykryte miała kocem z wielbłądziej wełny, w dłoniach trzymała tomborek z ręczną robótką. Ben usiadł naprzeciwko niej. W zamszowych spodniach koloru khaki, bawełnianej koszuli o tym samym odcieniu, z czerwoną jedwabną chustką wokół szyi wyglądał jak mężczyzna z reklamy tytoniu. Becca siedziała na bujanym fotelu najbliżej kominka, w którym trzaskały suche polana. Na zewnątrz rozpościerał się śnieżny krajobraz zachęcający do snucia wakacyjnych planów.

- Dlaczego każdy sklep w Nowym Jorku musi zmieniać cały wystrój i wkładać za szyby te tandetne plakaty? - Becca dla podkreślenia swojego niezadowolenia strzeliła palcami w okładkę czasopisma, odwróciła stronę i szczerzej owinęła się w szlafrok.

- Bo mamy Boże Narodzenie, kochanie.

Ben coraz bardziej się niecierpliwił. Od chwili kiedy Becca trzy dni temu wróciła do domu na świąteczne ferie, ciągle chodziła naburmuszona. Szkoła ją nudziła. Ben i Sylvia byli nudni. Święta były nudne. I, jak podejrzewał Ben, Jonathan Hillman też już zaczął ją nudzić.

Becca spotykała się z Jonathanem od ponad roku i choć obydwie rodziny dawno już czekały na uwieńczenie małżeństwem ich związku, „dzieci” nie podjęły jeszcze ostatecznej decyzji. Sylvia wielokrotnie błędziła wokół tego tematu. Kiedy parę razy otwarcie zapytała córkę, dlaczego

nawet nie rozmawiali z Jonathanem o małżeństwie, Becca cała okryła się rumieńcem i szybko wyszła z pokoju, zażenowana faktem, że Jonathan zwlekał z deklaracją zamiarów. Tak naprawdę to ona też nie była jeszcze gotowa. Uważała, że jeśli sama dojdzie do wniosku, że nadeszła odpowiednia pora, Jonathan oświadczy się bez wahania.

- Czy zdajecie sobie sprawę, że cztery artykuły na dwóch pierwszych stronach poświęcone są temu, jak najbardziej wpływowe rodziny w Stanach spędzają Boże Narodzenie? Nawet wydrukowali ich menu na kolację, jak gdyby kogokolwiek obchodziło, co oni jedzą.

Ben wsadził nos w książkę, ale cień, jaki przebiegł po jego twarzy, nie uszedł uwagi Sylvii.

- Boże! Jeśli nie słodkie ziemniaki z żurawiną, to soczewica! Mogliby wydrukować jakąś bardziej sensowną historię, zamiast rozwodzić się nad relacjami o przestępcach, którzy zamiast siedzieć w domowym zaciszu, gwałcą i rabują.

- Czy potrafisz robić coś innego, niż tylko narzekać? - Ben zatrzasnął książkę i spojrzał na Beccę. - Mamy Boże Narodzenie. Twoja matka przygotowała wspaniałą kolację dla całej rodziny i ani chwili dłużej nie będę tolerował twoich humorów. Czy wyrażam się jasno?

Becca bezmyślnie pokiwała głową i schowała się za gazetą. Nie potrafiła wytłumaczyć ojcu, dlaczego przez kilka ostatnich tygodni czuła się roztrzęsiona i wewnętrznie rozbita. Na początku złożyła to na karb ataku grypy. Potem sądziła, że to stres szkolny. Podejrzewała nawet, że powodem jej niepokojów mogło być seksualne napięcie, doznawane podczas spotkań z Jonathanem. Ale w głębi duszy wiedziała, że nie był to ani wirus, ani zaliczenie semestru, ani nawet ataki budzącej się namiętności. Powód tkwił gdzie indziej.

Z zupełnym brakiem zainteresowania przerzucała kartki gazety. Nagle jej wzrok padł na tytuł w kolumnie

towarzyskiej: MAGNAT HOTELOWY, HARRISON KIPLING, POŚLUBIŁ JINX ELLIOT PODCZAS CEREMONII W VAIL.

Trzy razy przeczytała artykuł, koncentrując się na słowach: „zachwycająca”, „zapierająca dech w piersiach”, „szczęśliwa para”, „jak z bajki” i tym podobne. Myśli kłębiły się jej w mózgu, jak para z pędzącej lokomotywy. Ból stał się tak silny, że przed oczami stanęła jej czarna plama.

Zagryzła dolną wargę, wstała z fotela i trzymając pod pachą gazetę, chwiejnym krokiem ruszyła w stronę przedpokoju. Dłonie zacisnęły jej się w pięści, a dolna szczęka zupełnie zdrewniała.

- Co robisz, kochanie? - zapytała Sylvia.

- Okropnie boli mnie głowa. Idę na górę położyć się. Zejdę, jak przyjdą goście. - Może wezwać lekarza?

- Nie ma potrzeby. - Jej syczący głos wydobywał się przez zaciśnięte zęby. Czerń przed oczami zgęstniała. Becca potknęła się, ale szybko odzyskała

równowagę i tak prędko, jak tylko mogła, ruszyła na górę. Zamknęła się w łazience i szeroko otworzyła okno. Przeszył ją powiew zimnego powietrza. Kilka płatków śniegu wpadło na parapet i rozpuściło się na emalii wanny. Wyciągnęła z szuflady toaletki paczkę zapalek i podpaliła gazetę.

Małe iskierki wybuchnęły płomieniem. Łomotało jej w głowie i wszystko pokryło się mgłą, ale górna warga skrzywiła się w uśmiechu, kiedy płomień ogarniał twarz Frances Rebecki Kipling i zamieniał fotografię w popiół.

O godzinie trzeciej dom Rossów wypełnił się ludźmi. Goście zgromadzili się w bibliotece i salonie, gdzie Max Hillman starał się wywrzeć na wszystkich wrażenie, opowiadając o swoich ostatnich sukcesach w pracy, podczas gdy Ben słuchał nowinek o rodzinie, rozmawiając ze swoim szwagrem Bertem. Ruth Hillman przyłgnęła do Tessy, zadając

jej setki pytań i zupełnie nie zainteresowana odpowiedziami szczebiotała dalej. Wolałaby porozmawiać ze słynną gwiazdą filmową Lillie, siostrą Bena, ale Lillie uważała spoufalanie się z żoną Hillmana za towarzyskie nieporozumienie.

Sylvia z chęcią uniknęłaby rozmowy ze starszą siostrą Bena, wymawiając się nawałem pracy w kuchni, ale skoro zatrudniła trzy pomoce kuchenne, nie pozostawało jej nic innego jak stać w miejscu i sztucznie się uśmiechać. Molly była najmniej urodziwą kobietą w rodzinie Rostovów, lecz zarazem była z nich najinteligentniejsza, toteż nie przypadła do gustu żonie Bena. Nie było co liczyć na to, by Sylvia wykazała najmniejsze zainteresowanie ostatnimi dokonaniem Ministerstwa Edukacji lub by się zaangażowała w dyskusję na temat prezydentury Richarda Nixona. Sylvia była uczulona na politykę tak samo jak na polistyren.

Na szczęście Andrew Kahn uwielbiał rozmowy o polityce, a już w szczególności z ciotką Molly. Kiedy tylko wypił powitalnego drinka, uwolnił Sylvię od ciężaru konwersacji, zabierając Molly do salonu. Po dziesięciu minutach Ben, Bert, Tessa, Herb oraz syn Herba i Molly, Jack, ze swoją narzeczoną Beth otoczyli Andrew, z zaciekawieniem słuchając jego sprawozdania z udanej kampanii wyborczej Noaha. Siłą rzeczy Lillie musiała dołączyć do Hillmanów.

- Człowiek wszystko poświęca, a potem bez żadnego powodu zostaje skopany jak pies.

Lillie teatralnym gestem wytarła łzę z kącika oka. Wolałaby wprawdzie odegrać tę scenę przed klanem Rostovów, ale nawet taka widowia była lepsza niż żadna. - Naprawdę, trudno mi przyszło zostawić ją w tym buszu.

- Przecież tam ciągle trwa wojna! Nie obawiałaś się? - Mimo wszystko Ruth okazała się idealnym słuchaczem.

- Oczywiście, moja droga. Ale to są uroki show - businessu. Musisz wziąć udział w pokazie bez względu na trud, a czasami nawet z narażeniem własnego życia.

- Show - business jest taki pociągający! - Piała z zachwytu Ruth.

- Nie zawsze, kochana. - Lillie poklepała ją po dłoni i westchnęła spuszczać wzrok.

- A gdzie jest teraz Frankie? - zapytał Max.

- Nie wiem - skłamała Lillie. - Frankie zakończyła występy w zespole Harta, spędziła kilka dni z Zachem w Tajlandii i pojechała do Hollywood odwiedzić ojca. Przecież nadal jestem jej matką i bez względu na to, jak się zachowała, nie przestanę się o nią martwić. Mam nadzieję, że napisze do mnie kartkę i dowiem się, co się z nią dzieje.

- Nadziewane grzyby? Paluszki z serem? - Sylvia nie mogła już dłużej tego słuchać. Właśnie wróciła z kuchni z przystawkami, kiedy Lillie zaczęła uzalać się nad swoim losem.

- A gdzie Becca z Jonathanem? - zapytała Ruth, chrupiąc paluszki.

- Chyba wręczają sobie upominki - odparła Sylvia, porozumiewawczo mrugając okiem.

- Nie spieszcie się tak, moje drogie. - Max włożył do ust kawałek grzyba. - Jeśli Jonathan będzie chciał się oświadczyć, pierwsze kroki skieruje do mnie.

- Dlaczego akurat do ciebie? - Lillie przymrużyła kokieteryjnie oczy, pozwalając sobie na mały flirt.

- Bo zanim włoży jej na palec pierścionek, wsunie rękę do mojej kieszeni! - zachichotał.

Lillie wybuchnęła śmiechem i poklepała Maxa po plecach. Ruth spłonęła rumieńcem, a Sylvia poszła do kuchni po następną tacę kanapek.

Jonathan i Becca siedzieli w gościnnym pokoju na przykrytej beżowym jedwabiem sofie. Z okna rozciągał się malowniczy widok na oprószone śniegiem drzewa odcinające się od szarego, zimowego nieba.

- Mam nadzieję, że ci się spodoba - powiedział Jonathan, wręczając Becce przewiązane aksamitną wstążką pudełko.

Z niecierpliwością patrzył, jak odwiązywała wstążeczkę i odwijała srebrzysty papier. Kiedy ostrożnie wyjęła zawartość, jej usta rozszerzyły się w radosnym uśmiechu. Jonathan odetchnął i uśmiechnął się razem z nią.

- Jest piękna - powiedziała Becca, dokładnie oglądając drewnianą rzeźbę nagiej kobiety leżącej na boku z jedną ręką pod głową i plecami wygiętymi w łuk.

Becca zaczęła delikatnie przesuwając palcami po gładkiej, wypolerowanej powierzchni, badając jej kształty.

- Czy ona przedstawia kogoś, kogo znam? - Spytała z nutką zazdrości w głosie.

- Ciągle ci powtarzam, że byłabyś doskonałą modelką, ale z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu zmuszasz mnie do nadwerężenia artystycznej wyobraźni, zasłaniając się ubraniem.

- Pozwól, że nie wezmę sobie tego do serca - powiedziała całując go czule w policzek. - Poza tym, że jesteś nieuleczalnym maniakiem seksualnym, świetny z ciebie rzeźbiarz. To zdecydowanie najlepsza z twoich prac.

- Naprawdę tak uważasz? - Becca znała się na sztuce i Jonathan liczył się z jej zdaniem.

- Tak. Jest piękna.

- Przestań opowiadać mu te bzdury! Nawet dwuletnie dziecko mogłoby zrobić coś takiego!

Żadne z nich nie usłyszało, jak Max wszedł do pokoju. Stał nad nimi jak niedźwiedź z twarzą wykrzywioną w

cynicznym grymasie. Wyciągnął rękę po figurkę, lecz Becca nie pozwoliła mu jej wziąć w dłonie.

- To mój prezent, panie Hillman. I bardzo pana proszę, żeby zostawił pan to w spokoju.

- Z przyjemnością. To zwyczajny śmieć!

- To pańska opinia. - powiedziała tak stanowczym tonem, na jaki tylko mogła sobie pozwolić w stosunku do klienta ojca.

- I wcale nie mam zamiaru zmieniać zdania - zasepił się Max. - Uważam także, że gdyby Jonathan spędzał więcej czasu w fabryce, a mniej w pracowni, mógłby nauczyć się czegoś użytecznego. Na przykład, jak zarobić na życie.

Becca otworzyła usta, żeby stanąć w obronie Jonathana, ale Max już wyszedł z pokoju.

- Co za świnią! - wycedził Jonathan, próbując ukryć gniew i upokorzenie. Wstał z kanapy i podszedł do frontowego okna. Jego dłonie zacisnęły się na parapecie i przez parę chwil stał nieruchomo, obserwując padający śnieg.

Becca nie odezwała się ani słowem. Była już świadkiem kilku takich starć i wiedziała, że za parę minut Jonathanowi poprawi się nastrój. Nigdy nie lubiła Maxa Hillmana, ale starała się nie podsycać nienawiści Jonathana i nie zachęcać go do walki z ojcem. Max był właścicielem wyjątkowo dużego i wyjątkowo dobrze prosperującego przedsiębiorstwa, które mogło zapewnić przyszłej żonie Jonathana komfortowe warunki życia. A do takich Becca przywykła i nie miała najmniejszego zamiaru z nich rezygnować.

Podeszła do Jonathana i pogłaskała go po głowie. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jej doraźna kuracja nie przyniesie długofalowych skutków. Czująca opieka nie była właściwym antidotum na jego bólączki.

Jonathan był człowiekiem o nieprzeciętnej inteligencji i nieprzeciętnych zdolnościach twórczych. Wyniki testów, którym go poddawano, wykazywały, że odniesie największy

sukces w pracach koncepcyjnych, rzemiośle, pracach inżynierskich lub w sztuce. Oczywiście Max przyjmował je z absolutnym niedowierzaniem. Bez względu na to, ilu ekspertów przekonywało go o nadzwyczajnych uzdolnieniach syna, Max nadal upierał się, by Jonathan został handlowcem. Uważał, że jego słabe oceny są wyrazem kompleksów nauczycieli, którzy mścili się za brak powodzenia w życiu. Nigdy nie dotarło do Maxa, że jego syna nie interesowała kariera menedżera i że nie był uzdolniony w tym kierunku.

- Jeszcze ci nie dałam mojego prezentu - powiedziała Becca, obejmując Jonathana ramionami.

Odwrócił głowę. W prawej ręce trzymała czek wystawiony na jego nazwisko. Kiedy spojrzał na podpis, w pierwszej chwili nie wierzył.

- Zabrałam dwie twoje rzeźby do mojego znajomego, który ma galerię na Madison Avenue. Kiedy zapytałam go, co o nich sądzi - ciągnęła - wpadł w zachwyt. Z miejsca włączył je do swojej stałej ekspozycji. W zeszłym miesiącu kupiono jedną z nich. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

- Ja mam się gniewać? - To najwspanialsza rzecz, jaka kiedykolwiek mi się przytrafiła. - Jonathan pocałował ją w policzek. - Ktoś zapłacił trzysta dolarów za rzeźbę Jonathana Hillmana. Boże! Czuję się cudownie - chwycił Beccę w objęcia i jeszcze raz uścisnął. - A wiesz, co teraz z tym zrobię? Pomacham ojcu przed nosem tym czekiem!

- Wcale ci się nie dziwię, ale czy nie lepiej utrzymać to w tajemnicy? Przecież to niczego nie zmieni. Poza tym zrobiłam to dla ciebie, a nie dla niego.

- Masz rację - powiedział biorąc ją w ramiona. - Jesteś mądrą kobietą. - Delikatnie pocałował ją w szyję. - Do tego bardzo seksowną. - Kiedy jego usta powędrowały ku jej wargom, zamieniła się w słup soli.

- Niech już będzie mądra - zgodziła się, zdejmując jego ręce ze swoich bioder. - Przynajmniej na razie.

- Czy mam rozumieć, że później wrócimy do „seksownej”?

- Całkiem prawdopodobne. Jonathan uśmiechnął się. To wyznanie najbardziej było zbliżone do „tak”.

Wypróbował już chyba wszystkiego, żeby ją osiąść, ale jak dotąd bezskutecznie. Opowiadał jej o innych swoich kobietach w nadziei, że wzbudzi w niej zazdrość. Tylko się popłakała. Rzucił się na nią jak zwierzę, łudząc się, że zdoła ją w ten sposób podniecić. Becca tylko się wystraszyła. Groził, że ją opuści i już nigdy go nie zobaczy, sądząc, że będzie bardziej uległa. To tylko wzmogło jej determinację i utwierdziło ją w przekonaniu, że kiedy ją zdobędzie, następnego ranka rozpocznie swój nowy podbój.

Nie wiedział, czy tę nagłą „odwilż” należało przypisać wdzięczności za prezent, współczuciu wywołanemu zachowaniem ojca, czy rosnącej zażyłości między nimi. Cokolwiek to było, ten gest zmierzał we właściwym kierunku i Jonathan miał zamiar kuć żelazo, póki gorące.

Kiedy Becca i Jonathan dołączyli do gości, powitalna część przyjęcia dobiegła końca. Sylvia trąciła córkę łokciem, dając jej sygnał, by porozmawiała z ciotkami i wujami, a Ruth przedstawiła Jonathana kuzynowi Becki - Jackowi. Lillie ciągle flirtowała z Maxem, Molly zaś niestrudzenie dyskutowała w salonie, więc Becca postanowiła porozmawiać z Tessą i Bertem.

- A gdzie Cissie i Noah? - zapytała. - Tak się zmartwiłam, kiedy w ostatniej chwili odwołali wizytę.

- Nie chcą zabierać dziecka w taką pogodę - odparła Tessa, odpowiadając słodkim uśmiechem na sztuczny uśmiech Becki.

- Jak szkoda. Myślałam, że zobaczę małą Alexis. Słyszałam, że jest całkiem miła.

- To źle słyszałaś. Jest więcej niż miła. Moja wnuczka jest najwspanialszym dzieckiem pod słońcem - oznajmił Bert z dumnym uśmiechem. - Ale nie bierz tego tak całkiem serio. Pojedź i sama zobacz.

- Postaram się. - Uśmiech Becki nieco przygasł.

- Właściwie - ciągnął Bert niezadowolony z sarkastycznego tonu pobrzmiwającego w jej głosie - dziwi mnie, że jeszcze nie widziałaś swojej najmłodszej kuzynki. Wszyscy już ją odwiedzili.

- Nie miałam czasu. Chodziłam na treningi. - Próbowała zatrzymać na twarzy resztki uśmiechu. Tym razem zwróciła się do Tessy. - Wysłałam im śliczne ubranko od „Smitha”. Czy Cissie nic wam nie wspomniała?

- Tak, napomknęła o tym. - Dlaczego Becca zawsze interpretuje wszystko jako krytykę i odpowiada tym samym tonem - pomyślała Tessa. - Jeżeli jeszcze nie przesłała ci podziękowań, pozwól, że zrobię to w jej imieniu. Dzięki, kochanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Beccę zdążyło już znużyć towarzystwo Tessy i Berta. Rozejrzała się wokoło, szukając kogoś, do kogo mogłaby otworzyć usta, ale wszyscy zajęci byli rozmową. - Mówiłam już cioci, jak ślicznie ciocia dziś wygląda? To chyba jeden z ostatnich wzorów? - Becca wzięła w rękę rąbek jej plisowanej spódnicy z szarego kaszmiru i potarła materiał między palcami.

- W zasadzie tak. - Tessa delikatnie wyjęła materiał z jej ręki i przyglądała spódnicy.

- Jesteś, ciociu, taka utalentowana - powiedziała Becca z nie tajoną zazdrością. - Chciałabym mieć jakieś zdolności i móc wykorzystać je dla zrobienia kariery.

- To może spróbuj występować na scenie? Pisać? Albo zaangażuj się w politykę? - powiedział Andrew Kahn, wtrącając się do rozmowy i ignorując ostrzegawcze spojrzenie matki.

- Jeśli nic sensownego nie uda mi się zrobić, zawsze mogę wejść w interes ojca - powiedziała słodko Becca. - A ty tak nie zrobiłeś?

- Ratunku! - Andrew złapał się za szyję udając, że dusi się z braku powietrza.

- Proszę mi na chwilę wybaczyć. Idę poszukać Jonathana.

Kiedy Becca wyszła z biblioteki, Tessa chciała przywołać syna do porządku, ale tak był zajęty rozmową z ojcem, że postanowiła dać sobie spokój. Nie lubiła bratanicy. Bardzo ją to bolało. Co gorsza, takie same odczucia żywił do niej Bert, Cissie i Andrew. Przez wszystkie lata Tessa próbowała znaleźć wspólną płaszczyznę z córką ukochanego brata, ale z nie znanych jej powodów istniała między nimi ogromna przepaść.

- Porozmawiajmy o przysłowiowym wilku w stroju owieczki - zaczął Andrew wskazując na Beccę stojącą w towarzystwie Jonathana i Ruth. - Ta kobieta ma najostrejsze szpony i co chwila wszystkim je pokazuje.

- Czy w ten okrężny sposób chcesz powiedzieć, że zbiła cię z tropu, a tobie nie przyszła do głowy żadna celna riposta?

- zapytał Bert, ojcowskim gestem obejmując syna.

- Chcę tylko powiedzieć, że popołudnie z Beccą Ross nie jest najmiłą formą spędzania wolnego czasu.

- Zdaje się, że powinniśmy iść na kolację - Bert zmienił temat.

Wysoki, szykowny dżentelmen ze snobistycznym brytyjskim akcentem, pełniący rolę majordomusa, zaprosił gości Rossa do jadalni.

Tessa nie musiała długo szukać swojego miejsca. Gdy tylko weszła do jadalni, zauważyła biały bilecik ze swoim nazwiskiem po lewej stronie brata, dwa miejsca za Molly, z prawej strony Bena. Kiedy usiadła za stołem i rozejrzała się wokoło, w myślach pogratulowała Sylvii wyczucia smaku.

Na jasnej podłodze przykrytej dywanem z Saonnerie stał ogromny stół dla trzynastu osób nakryty koronką w kolorze ecru i zastawiony najlepszą chińską porcelaną, srebrami od Tiffany'ego i Baccartowskimi kryształami. Żeby pomieścić wszystkich gości, oprócz ośmiu stylowych krzeseł dostawiono pięć drewnianych foteli. Wielki mosiężny żyrandol zwisający ze środka sufitu świecił nad głowami gości blaskiem trzydziestu pięciu żarówek.

- Czy to nie wspaniałe, że wszyscy zebraliśmy się razem?
- zapytał Ben, czule ujmując dłoń Tessy.

Tessa uśmiechnęła się i pokiwała głową. Czuła się cudownie, spędzając ten wieczór w towarzystwie sióstr i brata. Jednak rodzinny, gwiazdkowy nastrój nie mógł stłumić nieprzyjemnych myśli.

Dziś rano przeczytała w gazecie kilka relacji ze ślubu Jinx i Kipa. Od Cissie dowiedziała się paru pikantnych nowinek nie ujawnionych przez prasę. W dodatku tuż przed rozpoczęciem uroczystości rozmawiała z Jinx, która zadzwoniła z podziękowaniami za przepiękne, oryginalne suknie z „La Tessy”. Bolało ją serce, że prawdziwy ojciec Jinx nawet nie pomyślał, by złożyć gratulacje córce. Przeczucie podpowiadało jej, że Ben okłamywał ją twierdząc, iż nie kontaktował się z Kate.

Parę tygodni przed otwarciem butiku w „Le Chalet” Tessa spędziła mnóstwo czasu z Jinx i zdążyła dobrze ją poznać. Była zaskoczona, jak świetnie Jinx potrafi sobie radzić z podejmowaniem trudnych decyzji dotyczących organizacji nowego sklepu. Obserwowała jej profesjonalizm i

oprowadzenie, rzadko spotykane u tak młodej osoby. Zauważyła, że bez względu na to, jak była zapracowana, zawsze potrafiła znaleźć czas, żeby oddać przysługę innym ludziom, chociażby Cissie i Noahowi. Uważała Jinx Elliot za wspaniałą młodą kobietę i była dumna z posiadania takiej bratanicy. Jednak nie mogła publicznie się do niej przyznać, dopóki Ben nie uzna jej za swoje dziecko.

- Co z tobą, Tesso? Źle się czujesz? Nawet nic nie spróbowałaś.

Głos Bena zdawał się wypływać z zamętu ogólnej paplaniny. Przez chwilę przyglądała mu się zdezorientowana.

- Słucham? Ach tak... - Stwierdziła, że najwyższa pora, żeby coś powiedzieć. - Właśnie podziwiałam twoich gości. Ci młodzi są naprawdę wspaniali.

Ben rozejrzał się po pokoju i przytakująco pokiwał głową.

- Molly, kochanie - odezwała się Tessa. - Beth to naprawdę szczególna dziewczyna.

- Też jesteśmy tego zdania. Jest znakomitym dodatkiem do naszej rodziny. Jesteśmy wdzięczni Bogu.

- A jak wiedzie się Markowi w Los Angeles? - zmienił temat Ben.

- Zwiększyli produkcję i „Acropolis Mannequins” wreszcie zdołało wejść na rynek.

- Manekiny? - Jonathan natychmiast wykazał zainteresowanie. - To musi być fascynujący interes.

- To tylko jedna strona medalu - odezwał się Herb w odpowiedzi na wyraźne zainteresowanie młodego Hillmana.

- Jeśli będę kiedyś w Los Angeles, chciałbym koniecznie odwiedzić fabrykę.

- Mój syn przejawia obsesję na punkcie nagich kobiet - zahuczał Max, dając Lillie kuksańca w zębra. Lillie przesunęła krzesło w lewą stronę. Straciła wszelką sympatię do grubiańskiego Hillmana.

- A czy my wszyscy przypadkiem nie mamy tej samej obsesji? - odparował Herb, puszczając oczko do Jonathana. - Molly uważa, że jedynym powodem naszego sukcesu w interesach jest moja skrzywiona moralność!

- Nie wierzcie w ani jedno słowo! - zaśmiała się Molly. - Interes się kręci, gdyż Mark ma niewiarygodne wyczucie piękna, Herb ma głowę do liczb, a Jack dar przekonywania.

- Nie zapominajmy o naszej wielkiej siostrzyczce Sarah - odparł Jack. - Zanim wyszła za mąż za Michaela, robiła dla nas szkice.

- Macie wspaniałą rodzinę - weszła w słowo Ruth. - Dwóch niewątpliwie utalentowanych synów, równie uzdolniona córka i przyszła synowa, która nie tylko jest piękna, ale także mądra i, jak przypuszczam, wkrótce zostanie członkiem waszego klanu. Ale z was szczęściarze!

- Mieli jeszcze jedną córkę - poinformowała Becca scenicznym szeptem - ale umarła na paraliż dziecięcy.

Tessa poczuła nerwowy ucisk w żołądku. Mimo że od śmierci Franyu Schwartz minęło dwadzieścia pięć lat, nadal był to bardzo delikatny temat, skrętnie omijany podczas rodzinnych spotkań.

- Tak mi przykro - powiedziała Ruth, jakby nagle natknęła się na zdjęcie, którego nigdy nie powinna oglądać.

- Nic nie szkodzi - szybko odparła Molly. - To było tak dawno temu.

- Jeszcze przed moim urodzeniem - ciągnęła Becca, celowo zwracając się bezpośrednio do Ruth i ignorując pozostałych biesiadników. - To dziecko było przeklęte.

- Słucham? - Ruth nie wiedziała, czy powinna kontynuować rozmowę, czy raczej zmienić temat.

- Ciocia Molly była w ciąży, kiedy zmarła jej matka. Wiadomo, że kobieta w ciąży nie powinna chodzić na cmentarz, ale co miała zrobić. - Becca wzruszyła ramionami,

pozostawiając Ruth z wrażeniem, że Molly świadomie przyczyniła się do śmierci córki.

Nastąpiła niezręczna cisza i Sylvia zajęła się podawaniem deseru. Ben zapytał, czy ktoś nie miałby ochoty na drinka, i poszedł do barku.

Nikt nie odezwał się słowem.

Tessa nie wiedziała, o co chodzi. Dlaczego Becca poruszyła temat Franyu? Jaki miała cel w zadawaniu bólu Molly? Spojrzała na bratanicę. Najmniejszej oznaki skruchy, żadnego cienia żalu. Mieszała łyżeczką kawę, tak jakby nic się nie stało.

- Czytałam w gazecie, że „La Tessa” otworzyła nowy butik. - Ruth zwróciła się do Berta, pragnąc przerwać niezręczne milczenie, które odczuwała jako wielkie faux pas. - Chyba gdzieś na południu.

- Tak, w Vail, w Kolorado - odparł Bert, znacznie bardziej zainteresowany kokosowym ciastkiem, które pojawiło się na jego talerzu.

- To próbne przedsięwzięcie - Tessa wiedziała, że Bert nie znosi, by przy stole rozmawiano o interesach. - Przy współudziale „Kipling Hotels”.

Tessa była pewna, że na dźwięk tej nazwy Becca niespokojnie się poruszyła.

- To brzmi bardzo interesująco - ciągnęła Ruth, nieświadoma zachowania Becki.

- Tak, to prawda - odparła Tessa, nie spuszczać wzroku z bratanicy. - „Le Chalet” otworzył sześć ośrodków odnowy biologicznej. Ten ciekawy projekt wysunęła pewna młoda osoba z zarządu „Kipling Worldwide”.

- Wygląda na to, że jakiś młody człowiek zaczyna wybijać się w interesie - skomentował to po swojemu Max Hillman, wbijając wzrok w syna.

- W tym wypadku tym młodym człowiekiem jest inteligentna młoda kobieta - wyjaśniła Tessa. Teraz nie miała już wątpliwości. Becca zadrżała. Czyżby o wszystkim wiedziała? Tessa zastanawiała się, czy dalej rozwijać ten temat, czy też porozmawiać o czymś innym. Czuła dziwne dławienie w gardle, tak jakby ktoś zaciskał i luzował apaszkę na jej szyi. - Nie chciałabym tak nagle przerywać przyjęcia - powiedziała, czując nagłą potrzebę wydostania się z tego pokoju - ale coraz bardziej pada, a do domu mamy jeszcze spory kawałek.

Wstała, dając Bertowi sygnał do wyjścia. Bert pospiesznie włożył w usta ostatni kawałek ciasta i niechętnie dołączył do żony.

- Było cudownie - rzekł - ale Tessa ma rację. Znosi się na śnieżycę. Kahnowie rozpoczęli exodus gości, sięgając po futra i wylewnie żegnając się ze wszystkimi. Zostali tylko Hillmanowie. Max zdecydował, że mają za daleko do domu i jazda mogłaby być zbyt niebezpieczna, więc wymusił na Sylvii nocleg.

Kiedy wyszli na podjazd, Tessa odwróciła głowę. W drzwiach stał Ben, Sylvia i Becca - doskonały portret amerykańskiej rodziny żegnającej gości w pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Ładnie to wyglądało, lecz Tessa wiedziała, że to tylko pozory.

Ruth Hillman cierpiała na bezsenność. Często w środku nocy schodziła do kuchni po filiżankę ciepłego mleka albo odrobinę alkoholu, która pomagała jej zasnąć. Kiedy weszła do biblioteki po kieliszek koniaku, ku swojemu zdziwieniu ujrzała tam syna, który z pewnością odwiedzał barek już nie pierwszy raz.

- Dobry wieczór, kochana mamusiu - powiedział krzywiąc usta w uśmiechu. - Jak to miło, że się spotykamy.

- Jonathan! Co ty wyprawiasz? - wyszeptała zaniepokojona jego stanem i jeszcze bardziej zdenerwowana tym, że ktoś mógłby go w tej chwili zobaczyć.

- Robię to, co mi zawsze radzisz - odpowiedział. Jego niebieskie oczy były wilgotne i lśniące. - Uczę się dawać sobie radę z ojcem.

- Brandy nie jest na to lekarstwem - Ruth upomniała Jonathana. - Nie ruszaj się stąd. Przyniosę ci kawy.

Ruth pokręciła głową z dezaprobatą, poszła do kuchni i szybko przygotowała sobie mleko i kawę dla syna. Kiedy wróciła, Jonathan wypił już swoją brandy i siedział nad drugim kieliszkiem.

- Przykro mi, że wprowadził cię dzisiaj w takie zakłopotanie - powiedziała siadając obok niego.

- Dlaczego miałoby ci być przykro? Przecież to nie twoja wina. Zresztą on się tak zawsze zachowuje. - Nagle Jonathan roześmiał się. - Chociaż dzisiaj sam wpadł we własne sidła. Widziałaś, jak się przystawiał do tej Lillie Rostov? Wodził ręką po jej ramieniu, sapał jej do ucha, ocierał się o jej nogi i oczekiwał chyba, że Lillie zemdleje z rozkoszy, ale pozbyła się go, tak jak pozbywamy się śmieci z przepełnionego kosza. Nie mam pojęcia, dlaczego jeszcze z nim jesteś.

Dobrze, że Jonathan nie domagał się wyjaśnień, bo Ruth nie wiedziała, jak odpowiedzieć na to pytanie. Też zauważyła awanse męża w kierunku Lillie. Jednak część jej natury chciała, żeby powstrzymał swoje zaloty, gdyż robił z niej idiotkę, ale z drugiej strony znajdowała ogromną przyjemność w obserwowaniu, jak Lillie daje mu popalić.

- Czy to jedyny powód twojego zmartwienia? - zapytała czując, że jest jeszcze coś, co nie daje mu spokoju. - Czy może coś się stało z Beccą?

Jonathan przełknął ostatni łyk brandy.

- Coś jest nie tak - powiedział obojętnym tonem. - Nie wiem, czy powiedziała do mnie po obiedzie więcej niż dwa słowa. Rozumiem, że jest nieśmiała. Zdążyłem się przyzwyczaić. Ale tym razem to było celowe.

- Skarżyła się na ból głowy - powiedziała Ruth, pragnąc swym głosem dodać mu otuchy. - Przecież wiesz, że ma skłonność do migreny.

- Myślę, że to na mnie chciała się poskarżyć. - Wypił trochę kawy. Zrobiła dla mnie coś naprawdę wspaniałego, a ja jak się odwdzięczyłem? Stawiając ją w niezręcznej sytuacji przy całej rodzinie.

- Co takiego zrobiłeś?

- Po prostu byłem sobą, mamo.

- To wspaniale umieć być sobą.

- Jesteś moją matką, a matkom odpłaca się za mówienie takich rzeczy - powiedział nachylając się nad Ruth i całując ją w policzek. Poglaskała go czule po głowie i przez parę chwil siedzieli w milczeniu.

- Znasz stare przysłowie? „Kiedy wszyscy ci mówią, że jesteś pijany, najwyższa pora, żeby się położyć” - powiedział spokojnym, niskim głosem. - Wydaje mi się, że na mnie już czas. I muszę przyznać, że ojciec nie musi we wszystkim się mylić.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Andrew Kahn pracuje dla swoich rodziców i kocha tę pracę. Jack Schwartz i jego brat też pracują w rodzinnym interesie i są z tego dumni. Ja powinienem skakać ze szczęścia na myśl, że noszę nazwisko Hillman mam możliwości pracy w tak dobrze prosperującym przedsiębiorstwie. Dlaczego to ja jestem jedynym człowiekiem, który nie może pogodzić się z myślą o pracy ze swoim własnym ojcem?

- Może ojciec ci to utrudnia. - Zazwyczaj Ruth solidaryzowała się z Maxem, wierząc, że rodzice powinni

stanowić jednolity front w konfrontacji z dzieckiem, jednak dzisiaj jej dziecko było zbyt smutne i rozbite, żeby mogła zadawać kłam prawdzie.

- Może to dlatego, że niełatwo się ze mną porozumieć.

- Niepotrzebnie się zadreczasz, kochanie. Jutro rano Becca lepiej się poczuje i wszystko wróci co normy. Zobaczysz.

- Lubisz ją, prawda?

- A ty? Jonathan zaśmiał się.

- W tym momencie mogłabyś mnie nawet zapytać, czy podoba mi się Lukrecja Borgia, a ja bez wahania odparłbym, że tak.

Jonathan rozsiadł się na kanapie. Czuł pulsowanie w skroniach. Wyciągnął rękę po filiżankę i tak długo sączył kawę, aż poczuł, że wpływ wypitego alkoholu wyraźnie zmalał.

Chciałbym ożenić się z Beccą. Co ty na to?

- Pragnę, żebyś był szczęśliwy - odezwała się Ruth. Ale pragniesz, żebym był szczęśliwy z nią?

Tak, sądzę, że tak. - Łatwo jej było odpowiedzieć tak szybko. Już przez dłuższy czas się nad tym zastanawiała. - Jest ładną młodą kobietą. Ze wspaniałej rodziny. Wygląda na to, że jest szalenie w tobie zakochana i z tego, co widzę, ma wszelkie predyspozycje, żeby się tobą dobrze zaopiekować.

Jonathan uśmiechnął się, jednocześnie wycierając kroplę wilgoci zbierającą mu się w kąciuku oka.

Sądzisz, że potrzebuję dobrej opieki? - zapytał. Ruth ucałowała go w policzek i wyprostowała kędzior jego kręconych włosów.

- Jesteś bardzo wrażliwy, Jonathanie - powiedziała - z całym oceanem uczuć i burzącym się w twoim wnętrzu. Z właściwą kobietą możesz mieć pełne i szczęśliwe

życie. Możesz zawrzeć pokój nie tylko ze swoim ojcem, ale także sam ze sobą.

- A jaka powinna być ta „właściwa kobieta”?

- - Taka, która cię pokocha, zrozumie i zaakceptuje cię takim, jaki jesteś. Becca cię kocha, Jonathanie.

- Chciałbym też być tego pewien. Powiedziałaś jej o swoim uczuciu?

Przecząco pokręcił głową.

- Dlaczego nie?

- Chyba trochę się boję.

Powiedz jej - rzekła Ruth, dobrze rozumiejąc jego strach przed odrzuceniem. - Myślę, że zdziwi cię jej reakcja.

Ułamek chwili. Sekunda. Jedno spojrzenie między dwojgiem ludzi. Nic więcej nie było potrzebne. Na sam dźwięk nazwiska Kipling oczy Becki i Tessy przypadkowo się spotkały i zatopiły w sobie. W tym momencie Becca nie miała już złudzeń.

Gdy tylko zdołała się uwolnić od towarzystwa rodziców i Hillmanów, jak strzała pomknęła do siebie na górę. Bolała ją głowa. Szczypały oczy. Nie mogła znieść blasku światła. W pokoju było zupełnie ciemno, z wyjątkiem bladego pasma światła księżycowego malującego srebrną smugę na środku dywanu.

Długie, lśniące jasne włosy luźno spływały jej na ramiona. Nocna koszula unosiła się z każdym krokiem jak spokojne morskie fale uderzające o piaszczysty brzeg, a jedwabista biel delikatnego materiału zlewała się z jasną cerą. Wyglądała jak bohaterka średniowiecznych romansów - krucha i delikatna, odważnie stawiająca czoło burzącym się w niej uczuciom. Ale Becca nie była wytworem wyobraźni Waltera Scotta. Nie była krucha ani wystraszona. Nie wiedziała, co to niewinność i bezbronność. Nic nie pozostawało poza jej kontrolą. Zastanawiała się, kim manipulować i w jaki sposób.

Ciotka Tessa wiedziała o istnieniu Jinx. Co gorsza, zdążyła się z nią zaprzyjaźnić. Dwa pytania pozostawały bez odpowiedzi: Czy rozmawiała z Benem o Jinx, a jeżeli nie, to dlaczego?

Czemu tak nagle zmieniła temat, kiedy Ben pojawił się w drzwiach jadalni?

Przecież mogła kontynuować rozmowę. Ruth Hillman aż piszcziała z ciekawości. Dlaczego tak nagle porzuciła temat Jinx? Dlaczego w jednej sekundzie wstała od stołu i natychmiast wyszła?

Czy kiedykolwiek wspomniała Benowi o Jinx?

A może się pokłócili. Może Ben nie chciał przyznać się, że Jinx jest jego dzieckiem i nalegał, żeby więcej o tym nie wspominała. Becca wiedziała, że ojciec potrafi być nieustępliwy; często bywał uparty i bardzo pamiętliwy. Wiedziała również, że Tessa dała Kate Elliot telefon i adres Bena.

Becca stała przy oknie, patrząc nieobecny wzrokiem na padający śnieg. Pamięć o tamtym liście i głos tej kobiety domagającej się, żeby Ben uznał ojcostwo Jinx, wywołały w niej spazmy bólu.

Ale przecież Ben zapytał Kate, skąd ma jego telefon.

Becca odpowiedziała sobie na pierwsze pytanie: Ben nie rozmawiał z Tessą o Jinx. Czemu nie? Na co czekała Tessa? Wiedziała, kim jest Jinx. Wiedziała, gdzie mieszka. Nie było wątpliwości co do tego, że bardzo ją polubiła. Dlaczego nie próbowała doprowadzić do pojednania ojca z jego pierwszą córką?

Oczywiście ze względu na nią.

Becca miała lisi instynkt. Potrafiła z daleka wyczuć zapach wroga, odkopać go nawet spod grubej pokrywy przyjaźni i czułości. Wiedziała, że tak naprawdę żadne z jej kuzynów nie darzy jej miłością. Udawali. Prawdopodobnie

nawet chcieli ją pokochać, ale nie potrafili. Becca nie próbowała dociec, co było tego przyczyną. Pewnie to, że w istocie wcale jej na tym nie zależało. Patrzyła na innych ludzi wyłącznie przez pryzmat swojej osoby, tego, co jej dawali i jaki mieli na nią wpływ. Liczyła się z nimi wtedy, kiedy mogła coś od nich uzyskać lub gdy mogli jej w czymś zaszkodzić. Jednak w tym przypadku wiedziała, że nie stanowili dla niej żadnego zagrożenia. Więc nie zależało jej na tym, co o niej myślą.

Becca odeszła od okna i zatopiła wzrok w ciemności, starając się bardziej skoncentrować. Zupełnie tak, jakby cień nocy pozwalał na lepsze zebranie myśli. Nagle doznała olśnienia.

Tessa nic nie powiedziała Benowi, gdyż Jinx zapewne nic nie wiedziała o swoim ojcu!

Becca, głęboko nabierając powietrza, powoli osunęła się na łóżko, uciskając skronie i starając się powstrzymać przejmujący ból. Po kilku minutach odzyskała jasność myślenia.

Jeżeli Tessa do tej pory nie doprowadziła do konfrontacji Bena i Jinx, to z pewnością nie miała zamiaru tego robić, dopóki nic ani nikt jej do tego nie sprowokuje. Założyła również, że jeżeli Kate nie powiedziała dotychczas Jinx, gdzie jest jej ojciec, to najwyraźniej nie miała zamiaru zdradzać tej tajemnicy. Wszystko było w rękach Bena.

Przecież miał okazję zobaczyć się z Jinx, ale nie podjął wyzwania.

Gdyby się z nią skontaktował, Tessa nie ukrywałaby prawdy.

Mimo wszystko, pomyślała Becca, muszę mieć pewność, że ojciec nigdy nie zechce się z nią zobaczyć. Przeciągnęła się i podłożyła ręce pod głowę. Jej wzrok padł na lśniący puchar. Uśmiechnęła się do siebie.

- Frances Rebecca Elliot Kipling. Może w tym momencie uzyskujesz przewagę - szepnęła w ciemności. - Ale ta rozgrywka jeszcze się nie skończyła.

Zacząła przysypiać, kiedy usłyszała pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedziała na wpół przytomna, nie zastanawiając się, kto może zakłócać jej spokój o tej porze.

Księżycowe światło rozśpiewało swój subtelny, uwodzicielski blask w sypialni. Jonathan zajrzał do środka i przez koniakową mgłę ujrzał lśniąca tkaninę okrywającą ciało kobiety śpiącej na kanapie. Potrzebował kilku chwil, żeby oczy przywykły do ciemności. Cichutko zamknął drzwi i znalazł się przy boku Becki. Nic nie powiedział. Nawet jej nie dotknął. Pieścił jej ciało długimi, zmysłowymi spojrzeniami.

- Chciałbym cię przeprosić - powiedział cichym, zbliżonym do szeptu głosem.

- Za co? - Becca czuła na sobie gorące spojrzenie.

- Nie jestem pewien. - Wargi Jonathana ułożyły się w uśmiechu. - Ale jeśli zrobiłem coś, co cię rozgniewało, to wybac mi. Nie miałem takiego zamiaru. Nigdy już się tak nie zachowam. I jeśli chcesz mnie ukarać, natychmiast wysyłając mnie do łóżka, nie będę się sprzeciwiał. Zrozumiem.

Becca roześmiała się, co Jonathan wziął za przebaczenie i zachętę. Pochylił się nad nią i przysunął usta do jej warg. Nie odtrąciła go, więc nadal ją całował, przesuwanym językiem po jej wargach i delikatnie gładząc jej ciało. Podparł dłonią jej plecy i podniósł ją z łóżka, przysuwając bliżej do siebie. Nadal nie zrobiła najmniejszego ruchu. Jego pocałunki były coraz bardziej namiętne. Zaczął wodzić dłonią po jej plecach, przesuwanym palcami po miękkim jedwabiu koszuli i zatapiając rękę w jej włosach. Kiedy oplótł ramionami jego szyję, dotarł do jej piersi. Powoli, delikatnie i z największym szacunkiem dotknął ich i zaczął je pieścić, spodziewając się, że zaraz każe mu przestać.

Zawsze momentalnie się od niego odsuwała. Nigdy nie pozwoliła, by pocałował ją poniżej szyi, lecz teraz jego usta błędziły wokół jej sutków. Zsunął ramiączka jej koszuli i w świetle księżyca zaśniły białością duże pełne piersi.

Zdziwiła się, że pieścizota warg drażniących jej ciało poruszyła ją aż do głębi; dotyk dłoni Jonathana na jej skórze wywołał ciepło i wzbierającą falę bezwładu. Kiedy Jonathan zaczął głaskać jej piersi, jej oddech stał się szybszy. Już wcześniej to robił, ale nigdy nie pozwoliła sobie na najmniejszą reakcję. Dzisiaj nie mogła się dłużej opierać.

Jonathan położył się obok niej, nie pospieszając jej, nie doprowadzając jej do utraty tchu, jednak nie przerywając delikatnych pieścizot. Pragnął zdjąć z niej i z siebie ubranie i pokazać jej, jak bardzo ją kocha. Ale zdążył się nauczyć, że to Becca zawsze narzuca rytm. Jego pożądanie dopominało się czegoś więcej.

- Proszę cię - szepnął jej do ucha. Przyłgął do niej mocniej w nadziei, że to poczuje. Ujął jej dłoń i przycisnął do swojej piersi. - Proszę cię - wyszeptał. - Tak ciebie pragnę.

- Nie mogę! - Jej dolna warga zadrżała. - Dlaczego seks jest dla ciebie aż taki ważny?

Jonathan uśmiechnął się i jego palce zatańczyły na jej ustach.

- Bo on uszczęśliwia ludzi - powiedział. - Kocham cię, Becco, i ponad wszystko pragnę dać ci szczęście.

Chcąc jej to udowodnić, namiętnie ją pocałował i przysunął się do niej jeszcze bliżej. Przez moment zastanawiała się, czy go nie odtrącić. Lecz to była tylko przelotna myśl.

Miała lepszy pomysł. Starła się, by jego podniecenie było coraz większe, psychicznie koncentrując się na tym, co stanie się później.

Jego biodra przywarły do jej ud i poczuła na sobie cały jego ciężar. Nadal odwzajemniała jego pocałunki i dawała dłoniom pełny dostęp do swojego ciała. Czowała, że nadchodzi ten moment. Była zbyt niedoświadczona, żeby dokładnie określić tę chwilę, ale wiódł ją instynkt. Poczuła, jak drętwieją jej nogi. Słyszała jego urywany, krótki oddech. Jego dłonie były wilgotne od potu, a palce mocno zacisnęły się na jej ramionach. Nagle poczuła płynne ciepło przesiąkające przez koszulę i ściekające jej na uda. Nie wiedząc czemu, zaczęła płakać.

- Nie mogę uwierzyć, że mi to zrobiłeś - szlochała. - Mówiłeś, że chciałeś mnie uszczęśliwić, a traktujesz mnie jak zwykłą dziwkę!

Jonathan ciągle jeszcze szybko oddychał, zakłopotany dużą plamą na spodniach i tym, że nie mógł się powstrzymać.

- Becco, przepraszam. Nie chciałem, żeby tak to się stało - powiedział, szybko się z niej zsuwając. - Proszę, nie płacz - prosił wycierając jej łzy mankietem koszuli. - Tak naprawdę to nic nie zrobiliśmy.

Becca krztusiła się prawie bezgłośnie szlochem, od czasu do czasu unosząc ramiona.

- Niewiele brakowało! A teraz już nigdy nie będziesz chciał na mnie spojrzeć. Tak? - Spuściła wzrok i wykrzywiła usta w smutną podkówkę.

- Kocham cię - powiedział Jonathan.

Potrząsnęła głową i cichutko zachlipała.

- Nie, nieprawda - odparowała - Jestem dla ciebie kolejną dziewczyną do zaliczenia.

Jonathan odgarnął włosy z jej czoła i podparł dłonią jej brodę tak, by spojrzała mu prosto w oczy.

- Becco, kochasz mnie?

Przez chwilę patrzyła na niego milcząco. Potem pokiwała głową.

- Jeżeli ja cię Kocham i ty mnie Kochasz - powiedział - to naprawdę nic złego nie robiliśmy.

- Ale przecież nie jesteśmy... - przerwała, zbierając odwagę, żeby dokończyć zdanie.

- Będziemy - powiedział, całując ją w rękę. - Jeżeli powiesz TAK. Odpowiedziała mu nieśmiałym uśmiechem.

- Myślę, że już powiedziałam - odparła.

Następnego ranka Becca i Jonathan weszli do jadalni, trzymając się za ręce.

- Chcieliśmy coś ogłosić - zaczął Jonathan.

Ruth natychmiast się uśmiechnęła. Sylvia szeroko otworzyła oczy, a Ben i Max czekali zniecierpliwieni.

- Jeśli zgodzi się pan oddać mi rękę swojej córki, chciałbym poślubić Beccę. - Jonathan spojrzał na Beccę i powiedział to tak szybko, jakby nie mógł się doczekać, kiedy będzie miał to poza sobą.

- Nie powiem, żebym się tego nie spodziewał - odpowiedział Ben i uśmiechnął się w nadziei, że uśmiech nieco odpręży Jonathana i uspokoi jego nerwy. - I nie twierdzę, że drzę z niepokoju na samą myśl, że zostaniesz moim zięciem, ale chciałbym, żeby Becca najpierw skończyła szkołę.

- Wiem, proszę pana. I oboje się z tym zgadzamy. Chociaż nie jestem największym zwolennikiem szkolnictwa, byłoby bardzo miło, gdybyśmy mieli chociaż jeden dyplom w rodzinie.

Ben wstał z krzesła i z odpowiednio poważnym wyrazem twarzy podszedł do Jonathana.

- W takim razie, macie moje błogosławieństwo. Gratuluję wam obojgu. - Wyciągnął dłoń do Jonathana i uściskał córkę.
- Cieszę się, Becco.

- Ja też, tatusiu - powiedziała bardziej niż pewna, że podjęła właściwą decyzję. Przez następne parę minut Sylvia i

Ruth szczebiotały, chichotały i wszystkich obściskowały. Becca nie puszczała dłoni Jonathana, zerkając na niego często, mając za odpowiedź jego pełne czułości spojrzenia. Jednak nie uszło jej uwagi, że Max nie odezwał się słowem.

- Co byście powiedzieli na ślub w czerwcu? - zapytała Sylvia zarumieniona z podniecenia.

- Brzmi wspaniale, mamó. Jonathan, co o tym sądzisz?

- Na wszystko się zgadzam.

- W klubie? - zapytała Sylvia. - A może u „Pierre'a”?

- Niech Jonathan zadecyduje - odparła Becca obrzucając go powłóczystym spojrzeniem.

- Pani Ross, zostawiam tę decyzję pani i Becce. Proszę tylko mi powiedzieć, kiedy i gdzie, a przylecę na skrzydłach.

- Panie Hillman, co pan na to? - Becca przeniosła wzrok z Jonathana na jego ojca. Uśmiechnęła się swoim najśłodszym uśmiechem. - Mam nadzieję, że się pan cieszy z naszej decyzji.

Max odsunął krzesło i wolno wstał od stołu. Okrążył blat, podszedł do Becki i Jonathana i objął ramię syna. Kiedy się odezwał, jego głos lekko się załamał.

- Synu, jestem z ciebie dumny - powiedział, szeroko się uśmiechając. Jonathan promieniał. Nie zdawał sobie sprawy, jak ważna była dla niego aprobatą ojca. Napiął mięśnie pleców, czekając na przyjazne klepnięcie. I kiedy Max ponownie go uściskał, pomyślał, że czuje miłość promieniującą z tego dużego, niedźwiedziowatego ciała.

Max podszedł do przyszłej synowej i energicznie ją objął.

- Mój syn jest wybrańcem losu - powiedział. - Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jaką jesteś szczęśliwą kobietą, biorąc go za męża.

Becca mrugnęła do Jonathana i uśmiechnęła się do Maxa, choć wcale nie podobało jej się, że uszczypnął ją w policzek.

Chciała mu powiedzieć, że szczęście nie ma nic wspólnego z ich zaręczynami, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

Max z powrotem usiadł za stołem i wzniosł kieliszek, wygłaszając toast.

- Za mojego syna i jego przyszłą żonę. Aby byli zawsze tacy szczęśliwi jak dzisiaj.

- Zdrowie!

Wszyscy podnieśli kieliszki z szampanem i z sokiem pomarańczowym na cześć przyszłych państwa Hillmanów, składając im życzenia dozgonnego szczęścia. Becca i Jonathan pocałowali się i serdecznie objęli. Wyglądali jak szczęśliwa para z bajki o księciu i śpiącej królewnie.

FRANCES REBECCA TRAVIS

Frankie

Czerwiec 1973

- Kochanie, byłaś wspaniała. Odezwiemy się do ciebie.

Już od sześciu miesięcy Frankie błędziła po wytwórniach filmowych Hollywood bezskutecznie poszukując jakiejś roli. Kilka razy miała już próbne zdjęcia, ale zawsze zbywano ją tym samym poklepywaniem po plecach, tym samym uszczypnięciem w policzek i tym samym: „Kochanie, byłaś wspaniała. Odezwiemy się do ciebie”.

Za namową ojca zapisała się na lekcje dramaturgii. Kiedy nie biegała po wytwórniach, całymi godzinami studiowała, pracowała lub też ćwiczyła z grupą studentów zebraną przez nauczyciela.

Sterling był nią zachwycony i uważał, że jako aktorka zapowiada się obiecująco. Także studenci oceniali jej grę głośnym i pełnym szacunku aplauzem. Ale Frankie nadal nie mogła znaleźć pracy. Na początku czerwca zniechęcenie powoli zaczęło przeradzać się w rozpacz.

- To takie upokarzające - skarżyła się ojcu, siedząc na tarasie jego domu w Beverly Hills. - Przecież nie jestem pierwszą lepszą prowincjonalną aktorką. Wszyscy mnie znają. Moje niepowodzenia są publicznym tematem do plotek.

Kiedy zagłębiła się w ogrodowym fotelu, jej smukłe ciało o alabastrowej karnacji wyglądało jak rozciągnięta nić białej bawełny. Ciemne włosy zwinęły się w pierścionki z powodu wyjątkowo wilgotnego wieczoru i zwisały luźno jak sprężynki wokół głowy. Twarz dziewczyny zarumieniła się od gorąca, a czarne oczy błyszczały gniewem.

- Wiesz, myślę, że to są jakieś gierki. Założę się, że ci faceci postanowili mnie zniszczyć.

Sterling jej nie przerywał, ale kiedy obserwował córkę, w niebieskich oczach widać było wściekłość. Mimo długiej separacji i trudności, jakie musiał pokonywać, żeby zobaczyć Frankie albo choć przez chwilę z nią porozmawiać, nigdy nie przestał jej kochać. Była dla niego kimś szczególnym. Dręczyło go poczucie winy, że ją opuścił. Poza tym była w tej dziewczynie jakaś kruchość, która kazała mu ją chronić przed światem. Bez względu na to, jaki był powód przyjazdu córki, do tej pory nie potrafił jej pomóc, choć go o to prosiła.

- Wygląda na to, że musimy zatrudnić agenta - stwierdził.

Frankie spojrzała na ojca i spostrzegła, że jest zakłopotany. Świadczyły o tym jego wydęte usta oraz spojrzenie wyrażające bezsilność i frustrację.

- Nikomu nie ufam - odrzekła Frankie - po tym, co zrobiła Lillie. Sterling uśmiechnął się.

- Nie obwiniam cię, ale przyjmij radę od starszego. Najgorsze, co możesz zrobić, to pozwolić, żeby matka rządziła twoim życiem.

- Przecież nie ma już na mnie żadnego wpływu! - Frankie była oburzona tym oskarżeniem.

- Owszem, jeżeli pozwalasz, żeby kierowała tobą złość. - Oparł się o krzesło i wziął ją za rękę. - Nie trać cennego czasu na rozpamiętywanie tego, co było. Skoncentruj się na przyszłości.

Czy on właśnie tak uczynił? Czy w ten właśnie sposób udało mu się przetrwać trudny okres po rozwodzie? Frankie zastanawiała się nad tym przez chwilę, porównując swoje rozstanie z matką do rozwodu rodziców. Czy ojciec już nigdy nie wracał myślami do Lillie?

Kiedy teraz patrzyła na tego przystojnego, eleganckiego mężczyznę w lnianych spodniach i jedwabnej koszuli, próbowała zobaczyć go w roli męża swojej matki. Wyglądał na tak pewnego siebie, tak dobrze znającego swoją wartość, że

trudno jej było sobie wyobrazić, jak Lillie mogła nim zawładnąć. Kilka razy Frankie próbowała poruszyć ten problem, ale Sterling odpowiadał zdawkowo, nie wykazując chęci do roztrząsania przeszłości. Życie z Lillie musiało być dla niego bardzo bolesnym doświadczeniem.

Przez chwilę Frankie pozazdrościła ojcu jego wewnętrznego spokoju. Ile czasu będzie jeszcze potrzebowała, żeby zupełnie odciąć się od matki?

- Nie wiem, w jaki sposób pomoże mi agent, skoro ty nie możesz mi załatwić nic oprócz czterowerszowej kwestii?

Sterling zadzwonił do wszystkich osób, mających wobec niego dług wdzięczności, ale nikt nie potrafił mu pomóc. Jediną rzeczą, którą mógł zrobić, to wprowadzić ją do filmu, który właśnie kręcił. Zaszantażował po prostu reżysera tym, że jeśli Frankie nie dostanie roli, to on pójdzie na trzytygodniowy urlop z powodu przewlekłej grypy. Do tej pory nie pisał o tym córce ani słowa.

- Nie wszyscy w Hollywood są moimi wielbicielami, córeczko - zabrzmiało to jak próba wytłumaczenia się. Tak bardzo pragnął podnieść ją na duchu. Obawiał się, że jeszcze jedna odmowa i Frankie ze wszystkiego zrezygnuje. Nie mógł na to pozwolić, gdyż z całego serca wierzył, że ma prawdziwy talent. Gdyby tylko dano jej szansę, byłaby doskonałą aktorką.

- To smutna prawda - ciągnął dalej - że większość ludzi uważa, iż modelki to jedynie ładne twarze i seksowne ciała wciśnięte w ekstrawaganckie ciuchy. Stało się już chyba regułą, że nawet najlepsze modelki mają ogromne trudności w przejściu z okładek na ekran.

- Nienawidzę tego! - Frankie podniosła się z fotela i zacisnęła dłonie. - Nigdy nie chciałam być modelką.

- Ludzie muszą się godzić z gorszymi rzeczami.

Frankie objęła ojca za szyję i mocno się do niego przytuliła. Przez chwilę po prostu siedzieli razem, popijając kawę i ciesząc się swoją bliskością.

Przez ostatnie sześć miesięcy Sterling i jego żona Karen robili wszystko, by wprowadzić Frankie do swojej rodziny. Kiedy dziewczyna po raz pierwszy przyjechała na Zachód, zaproponowali, żeby z nimi zamieszkała, ale ona nie chciała się zgodzić.

- Już zbyt długo byłam córeczką swojej mamusi - wytłumaczyła. - Najgorszą rzeczą, jaką mogłabym teraz zrobić, to stać się córeczką tatusia.

Widząc zdecydowanie Frankie, Karen pomogła jej znaleźć małe jednopokojowe mieszkanie na Wilshire Boulevard. Ponieważ Lillie nie pozwoliła Frankie niczego zabrać z ich mieszkania w Nowym Jorku (jedeny wyjątek, jaki uczyniła, to ubrania dziewczyny, które wysłała statkiem do mieszkania Sterlinga), musiały od podstaw umeblować nowe lokum. Kiedy skończyły, mieszkanie Frankie było przytulne i wygodne. Nie miała nic przeciwko temu, aby mieszkać w nim sama. W zasadzie już po pierwszym miesiącu bardzo polubiła tę samodzielność. Zapraszała przyjaciół z koła dramaturgicznego na kolacje albo weekendowe sesje czytania. Lubiała sama robić zakupy. Ale największą radość sprawiały jej wizyty w domu Travisów.

Karen była zupełnie inna od Lillie - spokojna, rozsądna, czuła i oddana. Przebywanie w jej towarzystwie stanowiło ogromną przyjemność i Frankie od razu pożałowała, że naśladowując Lillie nigdy nie wyrażała się o niej inaczej jak „ta kobieta”.

Dziewczyna odczuwała głęboką potrzebę bycia częścią rodziny. Sterling i Karen mieli wprawdzie dwóch starszych synów: Kevina i Craiga, jednak chłopcy większą część roku spędzali w szkole i Frankie mogła widywać ich jedynie

podczas wakacji. W tym roku, po zakończeniu semestru, lecieli do Europy. Frankie zrobiło się naprawdę przykro, gdy wyjeżdżali. Najmłodszy, Kelly, mieszkał w domu, ale wakacje miał spędzić na obozie. Kiedy wszyscy byli razem, nic nie brakowało jej do szczęścia.

- Może jeszcze kawy? - Karen wyszła z domu, niosąc tacę ze świeżą kawą i domowymi ciasteczkami.

- A gdzie Kelly? - zapytała Frankie.

- Obawiam się, że twój ulubiony zawodnik właśnie cię porzucił na korzyść „Hawaii Five - O”.

- Historia mojego życia - wymamrotała pod nosem Frankie. Karen napełniała filiżanki i usiadła przy stole.

- Czemu oboje wyglądacie tak, jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata? Fakt, że pieczeń wołowa Bessie zbyt krótko siedziała w piekarniku, ale to jeszcze przecież nie tragedia!

- Właśnie rozmawialiśmy o mojej nieszczęsnej karierze.

Karen pokiwała głową. Jej czarne włosy były przycięte tuż za uszami. Twarz miała bardzo opaloną. Jasnobłękitne oczy i delikatna łąbiedzia szyja były najmocniejszymi atutami jej urody. Podkreślała to, nosząc zwykłe białe lub niebieskie bluzeczki z dekoltem.

- Przecież wiecznie nie będzie źle - powiedziała, poklepując Frankie po dłoni. - Może musisz jeszcze pocierpieć i poczekać na swoją szansę.

- Sądzę, że nic innego nie robiłam przez ostatnie dwadzieścia lat. Może więc wreszcie ktoś mi powie, kiedy skończę tę swoją pokutę.

- A co myślisz o Luke'u Maddoxie? - Sterling skierował to pytanie bezpośrednio do żony.

Karen sącząc kawę, zastanawiała się nad sugestią męża.

- Jest młody, ambitny i podobno bardzo dobry - odrzekła na koniec.

- Kim jest ten Luke Maddox?

- Nowym, dobrze prosperującym agentem - wyjaśnił Sterling.

- Kiedy widzę jednego domokrażcę, to tak, jakbym widziała ich wszystkich - odezwała się Frankie z wyraźną dezaprobatą.

- Ryzyko zawodowe, moja droga. Nie możesz z nimi wytrzymać, ale też nie możesz się bez nich obyć. - Umówię cię na spotkanie, dobrze?

Frankie spojrzała na Karen, która skinęła głową zachęcająco.

- Dlaczego nie - powiedziała obojętnym tonem. - Po ostatnich przejściach nie mam już nic do stracenia.

Luke Maddox był człowiekiem z przyszłością. Miał trzydzieści lat i, jak lubił mówić swoim znajomym, nigdy nie schodził poniżej pewnego poziomu. Urodzony i wychowany w Brooklynie, w 1967 roku przyjechał do Los Angeles. Kilka miesięcy wcześniej ukończył prawo, spełniając tym samym najskrytsze marzenia swoich rodziców. Po ostatniej wizycie na uczelni wręczył im dyplom, spakował walizki i pojechał na Zachód, żeby tam realizować własne plany.

Od czasu, kiedy był małym chłopcem i mieszkał na rogu alei Ditmos i Corey Island, zawsze fascynował się filmem. Każdą wolną chwilę spędzał w miejscowym kinie, oglądając ten sam film cztery, pięć razy, krytykując reżyserię, scenografię i grę aktorów. Z zapalem nałogowca czytał wszystkie filmowe czasopisma, każdą kolumnę z plotkami i recenzje. Kiedy na Manhattanie miała odbyć się premiera, potrafił godzinami wystawać przed kinem, by choć rzucić okiem na swojego idola. Żył, oddychał, jadł i spał, marząc o kinie. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że kiedy dorośnie, będzie pracował w branży filmowej. Nigdy nie przejmował się tym, że rodzice mieli wobec niego zgoła inne plany, ani tym,

że sam nie postawił sobie konkretnego celu w życiu. Wiedział jedynie, że pojedzie do Hollywood i bez względu na to, czym się tam będzie zajmował, jego miejsce będzie w krainie filmu.

W college'u oprócz obowiązkowych zajęć z prawa zapisał się na zajęcia z dramatu, twórczości literackiej i muzyki. W wyższej szkole prawniczej nauka o umowach, cłach, i obrotach giełdowych napawała go obrzydzeniem, jednak zdołał polubić zajęcia z marketingu, uczące sposobów negocjacji i psychologii perswazji.

Przez pewien czas myślał o karierze doradcy w showbusinessie, ale doszedł do wniosku, że to zbyt ryzykowne. Jego klientami byłiby autorzy, a wygranie lub przegranie sprawy w sądzie w sumie bardziej zależało od przebiegłości prawników niż od obowiązujących przepisów prawnych.

Kiedy wylądował w Los Angeles, miał dwadzieścia cztery lata i nie miał sprecyzowanych planów na przyszłość. Zaczął po prostu sprawdzać różne możliwości. Na początku zajął się reżyserią teatralną w college'ach i obozach aktorskich. Nie szło mu źle, jednak nie udało mu się wybić. Z podobnym rezultatem próbował także gry aktorskiej.

Można było mu zarzucić, że przez parę lat mijał się z powołaniem, lecz w końcu spotkał na swojej drodze Carlę Blake. Kiedy wyczerpały się jego oszczędności i odkrył, że jedzenie nie powinno być luksusem, czasowo zrezygnował ze swoich marzeń o Hollywood i zatrudnił się w jednej z licznych firm prawniczych w mieście. Carla była tam sekretarką, więcej niż ładną, nieźle wykształconą i niezwykle pracowitą.

Luke z miejsca znalazł z nią wspólny język. W pierwszym tygodniu pracy codziennie jadali razem lunch. W drugim tygodniu spędzali ze sobą każdą noc. Pod koniec trzeciego tygodnia było dla niego całkiem oczywiste, że albo załatwi jej

pracę w filmie, albo znajdzie się w kościele, prowadząc ją do ołtarza.

Wtedy właśnie postanowił sprawdzić się jako agent. Szybko doszedł do wniosku, że jego sukces zależy od dobrej orientacji w branży, sporej sumy pieniędzy oraz śmiałości i zdecydowania. Nie minął się z prawdą. Wprawnie oceniwszy atuty Carli, zaczął przeglądać gazety w poszukiwaniu oferty, która byłaby dla niej odpowiednia. Mimo że liczba agentów w Hollywood nie odbiegała od liczby aktorów, dostanie się do producenta nastęczało ogromne trudności, Luke był pewien sukcesu.

Kilka minut po wejściu do studia filmowego „Olympus” siedział już w gabinecie Merditha, paląc cygaro i dyskutując nad potrzebą pokazania nowych twarzy w filmie; grał rolę dobrze prosperującego agenta, znającego od podszewki hollywoodzki świat. Merdith, dokładnie tak jak mówiły plotki, znajdował się pod ogromnym wpływem Sunny Samuels - niepodzielnie panującej królowej „Olympusu”.

Krztusząc się dymem z cygara i rozsypując popiół na stoliku, Luke przekonał Merditha, że powinien zaprosić jego klientkę na próbne zdjęcia. Dwa tygodnie później, przeszedłszy celująco swój życiowy test nie tylko przed kamerą, Carla Blake podpisała kontrakt z wytwórnią filmową „Olympus”. Luke nie interesował się, w jaki sposób dostała tam pracę. Miał w kieszeni dziesięć procent i właśnie zaczynał robić karierę.

Kiedy usłyszał w słuchawce głos Sterlinga Travaisa, aż podskoczył z wrażenia. Szansa reprezentowania Frankie Travis! To nie tylko wspaniałe wyzwanie, ale przełom, na który tak długo czekał. Katapulta, która miała go wynieść na wysoką orbitę zapewniając mu miejsce wśród supergwiazd. Jak dotąd wylansował już mnóstwo obiecujących aktorek, ale Frankie Travis była właśnie tą, na którą czekał.

Luke był z natury entuzjastą, lecz doświadczenie nauczyło go ostrożności. Jego robocza filozofia brzmiała następująco: za wszelką cenę unikać niespodzianek. Natychmiast uruchomił swoje znajomości, by zebrać informacje na temat Frankie. Rezultaty były zaskakujące. Od czasu rozstania z matką i przyjazdu do Los Angeles odwiedziła sporo wytwórni i wszędzie odprawiano ją z kwitkiem. Wszyscy widzieli, że miała odpowiednią aparycję, talent i była dzieckiem Hollywoodu. Biorąc pod uwagę koligacje rodzinne, osoby pokroju Frankie Travis mogły liczyć przynajmniej na trzy role w filmach klasy B. Niepowodzenie dziewczyny wydawało mu się bezpodstawne i co najmniej dziwne.

Na pierwsze spotkanie Luke zarezerwował ulubiony stolik, w restauracji „Chasen”. Gdyby dziewczyna była mniej znana, prawdopodobnie zabrałby ją w mniej ekskluzywne miejsce. Jednak bez względu na rezultaty wstępnej rozmowy pokazanie się w towarzystwie Frankie Travis mogło mu w przyszłości przynieść profity.

- Dlaczego nie możesz dostać żadnej roli?

Kelner przyniósł drinki i przyjął zamówienie. Luke pomachał Johnowi Caaretessowi i Geette Rowlands, powiedział cześć Edowi McMahonowi i Suzanne Plesh oraz wysłał bilecik Johnowi Hustonowi. Czas to pieniądz, pomyślał, i od razu przeszedł do rzeczy.

- Gdybym wiedziała - odpowiedziała Frankie, na której Luke Maddox nie zrobił najmniejszego wrażenia - nie byłbyś mi potrzebny.

- Twoje zdrowie. - Luke podniósł kieliszek i z niepokojem rozejrzał się wokoło, upewniając się, że nikt ich nie słyszy. Przypomniawszy sobie, że choć Frankie stosunkowo niedawno przyjechała do Hollywood, nie należała do naiwnych. - Nie chciałem, żeby to zabrzmiało zbyt brutalnie - wytłumaczył, przybierając czarujący wyraz twarzy. - Po

prostu nie rozumiem, dlaczego ktoś z wrodzonym talentem i znakomitą reputacją ma trudności.

Frankie zauważyła, że oczy Luke'a powędrowały w stronę Warrena Beaty'ego, który właśnie wchodził do restauracji.

- Mój tak zwany wrodzony talent - powiedziała głośniej, chcąc odwrócić jego uwagę od gwiazdora - sprowadza się do stania przed kamerą w ładnej kiece, uśmiechania się i mówienia „Cheese”. A jeśli chodzi o znakomitą reputację, to grałam w paru filmach, ale żaden nie był kasowy. Jeśli chcesz znać moje zdanie, które zdaje się ciebie nie interesuje, rozłożyłabym winę na siebie, mojego byłego agenta, moją matkę i wytwórnię, które nigdy nie były na tyle łaskawe, żeby mi dać jakąś sensowną rolę.

- Nie możesz winić za to Hollywood. Zapomnij o tym.

Znowu jego wzrok powędrował za następną osobistością, która przechodziła obok stolika. Kiedy z powrotem spojrzał na Frankie, dziewczyna wstała z krzesła i była już gotowa do wyjścia.

- Co robisz? - zapytał naprawdę zaskoczony.

- Mam do załatwienia parę spraw. Przede wszystkim muszę sobie znaleźć agenta.

Luke też się podniósł i chwycił ją za ramię.

- Hej, przepraszam. Naprawdę. Siadaj i porozmawiajmy.

- Jeszcze raz łypniesz gdzieś wzrokiem i zmywam się stąd. Jasne?

- Jasne.

Po raz pierwszy od czasu, kiedy się z nią spotkał, Luke Maddox szczerze się do dziewczyny uśmiechnął. Wtedy też po raz pierwszy Frankie uważniej mu się przyjrzała. Był wysokim szatynem, łysiejącym na czubku głowy. Miał szare oczy i wąskie, prawie niewidoczne usta. Jednak kiedy się uśmiechał, robił mu się dołeczek w lewym policzku, a w kącikach oczu pojawiały się sympatyczne zmarszczki.

Kelner przyniósł im lunch, napełnił kieliszki i odmaszerował. Od ich rozejmu upłynęły cztery minuty.

- Muszę się z tobą czymś podzielić, Frankie - powiedział i utkwiał w niej wzrok. - Ponownie przeczytałem recenzje z twoich filmów. To zupełnie knoty

- Wiem. A co się mówi na mieście? Że jestem skończona? Do cholery, zrobiłam te filmy, kiedy byłam dzieckiem.

- Dzieciom zwykle się wybacza. To musi być coś innego. Może ma to coś wspólnego z twoją matką? Wytwórnice nie chcą się mieszać w zatargi między aktorami.

Frankie pokiwała głową, dochodząc do wniosku, że Luke właśnie wypowiedział to, co przez tyle czasu chodziło jej po głowie. Czyżby Lillie była w jakimś stopniu odpowiedzialna za taki stan rzeczy? Zdała sobie sprawę, że nie powinna tego zignorować.

- Mam kilka zasad, o których powinnaś wiedzieć.

- Jakich zasad? - Frankie prawie zapomniała, gdzie jest, z kim i co było powodem tego spotkania.

Luke wypił pokaźny łyk wina i pochylił się nad stołem.

- Robisz to, co mówię. Mówisz, co ci każe. I przyjmujesz każdą pracę, o którą cię proszę.

- Czy muszę chodzić do pracy marszowym krokiem, czy może będziesz po mnie przysyłał czołg z radiotelegrafistą?

Luke zaśmiał się i wygodnie rozparł się na krześle.

- Po prostu słuchaj się mnie.

- A ty zrobisz ze mnie gwiazdę? - Frankie uśmiechnęła się szeroko. - Nie chcę być niemiła, ale Bogart lepiej odegrał tę scenę.

Luke zaśmiał się znowu, po czym zrobił się niezwykle poważny.

- Nie będę ci kazał brać udziału w filmach porno, niepotrzebnych scenach łóżkowych ani we włoskich

westernach. Po prostu chcę, żebyśmy raz na zawsze ustalili, że to ja jestem odpowiedzialny za twoją karierę.

- I nie masz więcej żądań?

- Nie.

Frankie wstała. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Miałam już raz takiego agenta. I dziękuję bardzo, ale nie skorzystam. Luke także się podniósł i chwycił ją za ramię.

- No, może jedno albo dwa - powiedział ukazując dołeczek w policzku. - Ale nic poza tym, zgoda?

Dziewczyna pozwoliła mu, żeby stali wystarczająco długo, chcąc w ten sposób zwrócić uwagę wszystkich ważnych osób jedzących obiad w „Chasen”. Kiedy już była pewna, że Luke w tej swojej jedwabnej koszuli, ze złotymi łańcuchami na szyi, skręca się ze wstydu, uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę.

- Zgoda.

- To połączenie jest fatalne. Ledwie cię słyszę.

Głos Zacha w słuchawce brzmiał tak, jakby dzwonił z końca świata. Frankie musiała przycisnąć słuchawkę do ucha, żeby cokolwiek usłyszeć. Od spotkania w Tajlandii rozmawiali ze sobą dwa razy w miesiącu, jeżeli zdołał się dodzwonić. Dziś próbował przez całą noc i połączył się dopiero nad ranem. Frankie była u siebie. Pokój tonął w ciemności.

Leżała na łóżku obok lalki Zacha - jedynej pamiątki z wcześniejszego okresu jej życia.

- Wynajęłam agenta - powiedziała - czekając na pochwałę.

- Dobry ruch. Teraz tylko uzbrój się w cierpliwość. Wszystko zacznie się kręcić samo.

Frankie poczuła łzy pod powiekami. Tak bardzo za nim tęskniła. Przez ten krótki czas, który spędzili razem, Zach był

dla niej przystanią. Bez niego czuła się jak łupina orzecha rzucona na pełne morze.

- Chciałabym, żebyś był przy mnie - powiedziała.

- Ja też. Ale rozmawialiśmy już na ten temat. Nie będziesz się ze mną wałęsać w strefie ostrzału. Poza tym musisz pomyśleć o swojej karierze.

Pokiwała głową, tak jakby rzeczywiście kariera była dla niej aż tak ważna.

- Kocham cię, Frankie. I wrócę do domu, zanim zdobędziesz Oscara za najlepszą rolę kobiecą.

Ale ja potrzebuję ciebie teraz, chciała powiedzieć.

- Hej, co tam robisz? Siedzisz i obgryzasz paznokcie? Wiesz, że ta rozmowa kosztuje mnie tyle co B - 52?

- Nie - powiedziała i roześmiała się wbrew sobie. - Przepraszam. Co tam u ciebie? Uważasz na siebie?

- Nie. Celowo nadstawiam kark. Słyszysz mnie? Jak tam twoja sprawa? Rozmawiałaś z matką? - jego głos był coraz cichszy.

Frankie mocniej przycisnęła słuchawkę.

- Nie chcę, żebyś się o mnie martwiła - powiedział. - Chcę, żebyś mnie pożądała i żeby ci się śniły lubieżne sceny ze mną w roli głównej. Tylko się nie martw, dobrze?

Znowu przytaknęła i zaśmiała się przez łzy, które zaczęły spływać strużkami po policzkach. Nagle zdała sobie sprawę, że nie odpowiedziała na jego pytanie. Otworzyła usta. Telefon zaskrzeczał i przerwano połączenie.

Wokół niej jakby zamknęła się ciemność. Szczelniej owinęła się kocami i przytuliła lalkę. Nie pomogło to jednak odpędzić samotność i zahamować łez.

- Kocham cię - powiedziała do głuchej słuchawki. - I bardzo potrzebuję.

- „Byłaś wspaniała, kochanie. Odezwiemy się do ciebie”. Jeśli jeszcze raz usłyszę to zdanie, to chyba wyląduję w szpitalu dla wariatów.

- Wiem. - Luke spędził cały wieczór, próbując uspokoić Frankie. Właśnie po raz trzeci wzięła udział w próbnym zdjęciach i znowu odmówiono jej roli.

- Widziałeś wszystkie trzy sesje. Czy rzeczywiście byłam taka beznadziejna? - Z trudem powstrzymywała się od płaczu.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował Luke, była histeryczna klientka.

- Frankie, nie ma wątpliwości, że źle się dzieje w państwie duńskim, ale już rozpuściłem swoje psy gończe. Wkrótce dowiemy się, co się za tym kryje.

- Wtedy to ja już będę w domu i będziesz mógł do mnie zadzwonić; trzy razy w rynnę i raz w parapet.

Frankie nawinęła wokół widelca kilka nitek spaghetti. Spadły na talerz, więc znowu je wzięła, ale one ponownie spadły. Luke skończył już posiłek i czekał, aż Frankie zje, kiedy kelner przyniósł telefon do stolika i podłączył go do gniazdka za oparciem krzesła.

- Maddox, słucham.

Frankie nigdy nie mogła powstrzymać się od śmiechu, gdy Luke odbierał telefony. W dowolnym momencie potrafił parodiować Kirka Douglasa, Jimmy'ego Cagneya, Johna Wayne'a albo Cary Granta. Znany był z tego, że świetnie potrafił naśladować głos Ronalda Colmana. Teraz jednak mówił swoim własnym głosem i Frankie nieco się zaniepokoiła. Co gorsza, prawie się nie odzywał, tylko słuchał. Frankie odstawiła talerz. W końcu Luke odłożył słuchawkę.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłaś, że uganiam się za tobą banda prawników?

- O czym ty mówisz?

Luke pochylił się nad stołem. Mówił cicho, lecz w jego głosie słychać było wściekłość.

- Nie wciskaj mi kitu. Wszyscy obrabiają ci tyłek!

Spojrzała w bok, unikając jego wzroku. Złapał ją za nadgarstek i ścisnął mocno,

dopóki nie odwróciła się do niego twarzą i nie odpowiedziała na pytanie.

- Myślałam, że się we wszystkim orientujesz. Sam powiedziałeś, że wiesz o mnie wszystko.

- Jeśli nie przestaniesz robić ze mnie durnia, natychmiast się stąd zmywam.

- Nie odchódź! - Frankie wpadła w panikę. Nie chciała stracić teraz Luke'a. Bywał nieprzyjemny, wymagający i arogancki, ale miał w sobie to, czego brakowało Frankie: ogromną pewność siebie.

- No to zacznij śpiewać, dziecinko.

Chciała mu powiedzieć, że ta odzywka zazwyczaj padała u ust George'a Rafta, ale Luke był zbyt zdenerwowany, by mogła sobie pozwolić na żarty.

- Kiedy powiedziałam matce, żeby się wynosiła - rozpoczęła powoli - a ona zagroziła, że zerwie wszystkie moje kontrakty, nie zdawałam sobie sprawy z konsekwencji tej pogroźki. Do tej pory wszystkim zajmowała się ona; nigdy nie czytałam swoich kontraktów, więc nawet nie miałam pojęcia o warunkach umowy.

- To było bardzo głupie.

- W porządku, ale to, że będziesz mi dogryzał, niczego nie zmieni. - Wypiła łyk wina i mówiła dalej: - Kilka kontraktów zawierało klauzule karne. Oczywiście matka zerwała te kontrakty w pierwszej kolejności. Nic o tym nie wiedziałam. Po paru tygodniach zaczęłam nagle dostawać obciążające rachunki i telefony z pogroźkami. Kiedy to sobie

uświadomiłam, poprosiłam ojca, żeby sprawą zajęli się jego prawnicy.

- Czy udało im się załagodzić spór?

- Zgodziłam się na dwie sesje zdjęciowe w Nowym Jorku za połowę gaży. Prawnicy ojca poinformowali mnie, że negocjują nadal, ale przypuszczalnie za miesiąc wszyscy się dogadają.

Luke pokręcił głową.

- Kto dzwonił? - zapytała Frankie. - I co o mnie mówił?

- Asystent producenta filmu, do którego robiłaś dziś próbne zdjęcia. To mój kumpel i od jakiegoś czasu próbuje wywęszyć, dlaczego nie chcą cię zatrudnić w niczym oprócz reklamy z żywnością dla psów. Zdradził mi, że ktoś szepnął słówko jego szefowi, iż jesteś przegrana.

- Wcale nie jestem przegrana - obruszyła się. - Tyrałam jak koń, bez względu na to, jaka to była praca, jak bardzo byłam zmęczona i w jakich warunkach przyszło mi grać. I nigdy w życiu nie zerwałam kontraktu. Zapytaj, kogo chcesz.

- Sam wiem - odezwał się Luke, bardziej do siebie niż do Frankie. - Już pytałem setki ludzi. Twoja reputacja jest jak diament, bez skazy. Poza tym w showbusinessie nie ma osoby, której od czasu do czasu nie siedzą na karku prawnicy. To nigdy nie przeszkadzało nikomu w pracy.

- Wobec tego, co o tym myślisz?

- Ktoś chce cię usadzić, Frankie Travis. Musimy się dowiedzieć, kto i dlaczego, nie mamy przy tym ani chwili do stracenia.

Za radą Luke'a Frankie wycofała się do twierdzy Travisów z zamiarem niewysadzania nosa z domu, dopóki Luke czegoś się nie dowie.

Karen, Sterling i Frankie do znudzenia rozstrząsali tę sytuację. Dręczył ich jeszcze jeden problem. Frankie miała następnego ranka wystąpić w roli druhny na ślubie Becki. Od

nadejścia zaproszenia kilka tygodni temu zastanawiała się, czy powinna lecieć, czy może lepiej zostać w domu. Teraz uparcie odmawiała uczestnictwa w uroczystości.

- Nie mam zamiaru spotkać się z Lillie w takim stanie.

- Sądzę, że mocno przesadzasz, moja droga - powiedziała Karen, która w ciągu ostatnich dziesięciu minut powtarzała to już po raz dwunasty.

- Zapomniałaś zacząć tej kwestii od: „Pewnego razu była sobie dziewczuszka...” Dzięki za wsparcie, Karen, ale nie chcę dać matce okazji do stwierdzenia: „A nie mówiłam?”. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Jestem pewna, że wszyscy usychają z tęsknoty za tobą - powiedziała Karen, myśląc, że może w otoczeniu rodziny Frankie wyrwie się z marazmu i stanie wreszcie na nogi. - Tak czy inaczej, Becca będzie bardzo rozczarowana.

- Nie znasz Becki - roześmiała się Frankie. - Wierz mi, że gdyby wiedziała, iż moja gwiazda nie świeci jeszcze zbyt jasno, osobiście podarłaby bilet na samolot. Poprosiła mnie, żebym była świadkiem, tylko dlatego, że jestem sławna; Cissie ma być starszą druhną, ponieważ jej matka jest słynną Tessą Kahn, a Noah Gold, jej mąż, senatorem. Tak naprawdę to nie znosi żadnej z nas, zresztą z wzajemnością.

- Aż mi się wierzyć nie chce.

- Becca Ross przede wszystkim jest intrygantką o nie zaspokojonych ambicjach. Jak już ją przewyższysz, staje się nie do zniesienia.

Sterling uśmiechnął się. Nie znał wprawdzie Becki, ale znał Sylvie Ross. Nigdy za nią nie przepadał i wydawało mu się, że córka Sylvii nie byłaby jego ulubienicą.

- W zasadzie - ciągnęła Frankie - nie sądzą, żebyśmy w ostatnich latach zamieniły z Beccą więcej niż kilka słów. Jest zazdrosna, uwielbia rywalizację i do tego jest jeszcze mściwa. Chcę zaznaczyć, że to jej dobre strony. Boże, gdyby

wiedziała, że jestem aż tak przybita, byłaby prawie tak szczęśliwa jak Lillie!

- Znowu wpadasz w kompleksy - powiedział Sterling, głaszcząc córkę po włosach. - Nie zasługujesz na picie piany z tego piwa.

- Nie? A może właśnie sama go sobie nawarzyłam? - spytała Frankie drżącym głosem.

Od paru dni cierpiała na silną depresję. Godzinami potrafiła sama siedzieć w pokoju. Perswazje Sterlinga, Karen i Luke'a zupełnie do niej nie trafiały. Im więcej czasu zabierało Luke'owi odkrycie, że Frankie znajduje się na czarnej liście, tym bardziej pogłębiał się jej wisielczy nastrój. Co gorsza, od tygodni nie miała żadnej wiadomości od Zacha.

- Pozwól mi powiedzieć, na co według mnie zasługujesz - odezwał się czule ojciec. - Zasługujesz na to, by być kochaną. Zbyt długo pozbawiano cię prawdziwego uczucia. Sam siebie za to winię. Jeśli mi pozwolisz, postaram ci się to wynagrodzić.

Łzy popłynęły jej strumieniami, objęła ojca za szyję i ukryła zapłakaną twarz na jego ramieniu.

- Więc nie upokarzaj mnie, zmuszając do wyjazdu na ślub Becki - szlochała. - Nie prosz mnie, żebym spojrzała w twarz Lillie. Nie pozwól, żeby matka naśmiewała się ze mnie.

- Już nie płacz, malutka - powiedział tuląc ją w ramionach. - Jeżeli nie chcesz, to nie jedź.

- Dziękuję.

- Ale proszę cię, Frankie - delikatnie zdjął jej ręce ze swojej szyi i spojrzał jej w twarz - nie uciekaj od swoich problemów. Musisz stawić im czoło. Najlepszy sposób to powiedzieć prawdę. Jeżeli popełnisz jakiś błąd w życiu, to powinnaś wyciągnąć z tego wnioski.

Frankie pokiwała głową. Zrozumiała dokładnie, co chciał przez to powiedzieć. Jednak miała nadejść chwila, w której słowa ojca zatraciły swój sens.

- Nie, już od miesiąca nie mam od niego żadnej wiadomości.

Frankie otarła pot z czoła i nadal wachlowała się czasopismem. W mieszkaniu wysiadła klimatyzacja, a czerwcowy dzień był wyjątkowo upalny. Powinna już dawno leżeć na plaży, ale Sheila Hamlin zadzwoniła w momencie, gdy szykowała się do wyjścia.

- Miałam nadzieję, że może telefonował albo napisał list.
- Matka Zacha była coraz bardziej zaniepokojona, ponieważ syn milczał od tygodni. Rozmawiałam z „World Press Service”, ale oni też nie mieli żadnej wiadomości.

- Pani Hamlin, czy ktoś kontaktował się z wojskiem?

- Tak. Gabe użył wszystkich swoich wpływów, żeby połączyć się z dowódcą w Laosie. Oficer twierdzi, że Zach wyjechał z Laosu i udał się do Sajgonu.

Pot lał się z Frankie strumieniami. Poczowała, jak robi jej się słabo i niewiele brakowało, żeby zwymiotowała.

- To może zadzwonimy do kogoś w Sajgonie? W słuchawce zaległa cisza.

- Pani Hamlin, czy słyszała pani, co powiedziałam?

- Tam także dzwoniliśmy. I nic.

Teraz Frankie zamilkła. Kiedy odezwała się ponownie, jej głos był cichy i drżący.

- Wiem, że nic mu się nie stało.

- Miejmy nadzieję, kochanie.

- Proszę mi wierzyć. Przecież pani wie, jak byliśmy ze sobą blisko. Na pewno bym coś wyczuła. Powiedziałaoby mi to moje serce - rzekła Frankie. - Pani Hamlin, Zach wie, jak bardzo go potrzebuję. Nie zrobiłby nic nierozważnego.

- Wiem - Sheila Hamlin ze wszystkich sił starała się hamować łzy. - Proszę cię, Frankie, słuchaj głosu swojego serca, a gdybyś coś wiedziała, daj mi znać. Dobrze, kochanie?

Długo po tej rozmowie Frankie siedziała nieruchomo, wpatrując się w aparat, jakby się spodziewała, że telefon zamieni się za moment w szklaną kulę, która zdradzi miejsce pobytu Zacha. Do tej pory odsuwała od siebie niepokojące myśli. Nadal na pierwszym planie były kłopoty z prawnikami, zdawkowy i oschły list od Becki, miejsce na czarnej liście, wyjazd Sterlinga i Karen do Europy oraz dobijająca ją samotność.

Czy nie powinna pojechać do Tajlandii i tam poczekać na Zacha? A może lepiej rozpocząć poszukiwania, nie mając żadnej gwarancji, że się uda? Przynajmniej mogliby być razem. Nie byłaby już wtedy taka samotna.

Telefon Sheili Hamlin zupełnie wyprowadził ją z równowagi. Z jednej strony rozmowa z matką Zacha zmusiła ją do skoncentrowania się na innych problemach i zajęcia się kłopotami ludzi, na których tak bardzo jej zależało. Przede wszystkim jednak dotarło do niej, że mężczyzna, którego kocha, zaginął bez wieści.

Pod koniec czerwca Frankie nie wytrzymywała już napięcia. Postanowiła, że zmieni otoczenie i na okres nieobecności Karen i Sterlinga przeniesie się do ich domu. Sądziła, że dzięki znanym sprzętom i przedmiotom wyzbędzie się rosnącego uczucia odosobnienia i obcości. Nie mogła bardziej się pomylić. Dom Travisów był olbrzymi, przystosowany do dużej rodziny. Bez chłopców, Sterlinga i Karen wyglądał jak pusta scena.

Zajęcia w kółku dramaturgicznym skończyły się z uwagi na wakacyjną przerwę. Bez pracy, przyjaciół, z którymi można iść na kawę, pozbawiona towarzystwa mężczyzn, którzy zawsze ją otaczali, Frankie przesypiała pół dnia, a

potem bez celu wałęsała się nad jeziorkiem i bezskutecznie czekała na telefon. Była już tak zmęczona tym wszystkim, że stało się jej obojętne, kto zadzwoni: Zach, Sterling, Luke czy może ktoś, kto pomyli numer. Pragnęła chociaż raz w tygodniu usłyszeć ludzką mowę.

- Eureka!

Frankie poderwała się na dźwięki aparatu telefonicznego. Ale była tak otumaniona żarem palącego słońca, że z początku nie mogła zrozumieć, dlaczego usłyszała głos, zanim podniosła słuchawkę. Dopiero kiedy zobaczyła Luke'a w holu, dotarło do niej, że nie jest sama.

- Co zrobiłaś Sunny Samuels? - domagał się odpowiedzi.

- Nic. - Frankie czuła się fatalnie, gdy na nią krzyczał.

- Musiałaś jej zaleźć za skórę, bo to ona stoi za tym wszystkim.

Frankie przecząco pokręciła głową, szukając w myślach odpowiedzi na pytanie, które i tak było dla niej zagadką.

- Nawet nie widziałam na oczy tej kobiety - odparła.

- Więc wyobraź sobie, kochanie, że to wszystko jej robota. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Z tego, co wiem, zagroziła, że jeżeli ktokolwiek cię zatrudni, może zapomnieć o przychodzeniu do jej wytwórni. Ciężka sprawa!

Frankie najchętniej by się rozplakała, ale zabrakło jej łez. Normalnie w takiej sytuacji zaczęłaby wrzeszczeć, miotać się i walić pięściami, lecz gniew wyparował z niej już dawno. Położyła się więc na tapczanie i przymknęła powieki. Chciała gdzieś się wyrwać, uciec, odlecieć, pozbyć się ciężającej na niej klątwy i zacząć wszystko od nowa, ale nie starczyło jej na to energii.

- Wstawaj - powiedział Luke, potrząsając jej bezwładnym ciałem.

- Po co? Czy ktoś jeszcze chce mnie dobić? Dzięki.

- Przestań odgrywać kapryśną królową? Poświęciłem ci mnóstwo czasu i jesteś mi coś winna. A teraz ubierz się szalowo. Idziemy na przyjęcie!

Willa Holmby Hills należąca do Sunny Samuel była ledwo widoczna z szosy. Dziesięciohektarową posiadłość otaczały wielkie cedrowe drzewa. Rosły gęsto pień przy pniu, tworząc szczelny żywopłot, uniemożliwiający przechodniom podglądanie. Jednakże wysoki ceglany mur z metalową bramą i elektronicznym systemem alarmowym stanowił dla tego niedostępnego pałacu bardziej skuteczną osłonę niż gęstwina krzewów. Na lśniącej tablicy z brązu, przymocowanej do słupa latarni znajdującego się przy wejściu, nie było ani nazwiska, ani numeru, ani nawet nazwy ulicy. Powyżej śledziła teren mała kamera telewizyjna.

- Intuicja mi podpowiada, że nie mamy honorowego zaproszenia na herbatkę, wobec tego może mi zdradzisz, jak masz zamiar wejść do tej fortecy.

Frankie i Luke od godziny siedzieli w samochodzie, który zaparkowali za rogiem.

- Gdybym wiedziała, że będziemy forsować mury i przełazić przez płoty, to włożyłabym coś bardziej stosownego - szczebiotą, chcąc ukryć zdenerwowanie. - To znaczy, gdybyś mi powiedział, że weźmiemy udział w scenie z filmu „Łapać złodzieja”, ubrałabym się na czarno od stóp do głów. Niezależnie od tego, że mr. Blackwell mówi: „Zawsze myślałem, że włamywacz wygląda bardzo szykownie”.

- Jeśli się nie zamkniesz - cierpliwość Luke'a była już na wyczerpaniu - to będę musiał dać ci za moment w ucho.

- Śmieszne, nie pamiętam, żeby Cary Grant w ten sposób odzywał się do Grace Kelly. - Dziewczyna próbowała trochę się rozluźnić, ale Luke kompletnie ją ignorował.

- Już przyjechał! Idziemy!

Energicznie otworzył drzwi i chwycił Frankie za rękę, po czym poprowadził do białej ciężarówki, która zatrzymała się parę metrów przed nimi. Bez słowa tłumaczenia otworzył klapę i wepchnął dziewczynę do środka.

- Nie chcę być natarczywa - wyszeptała Frankie - ale może byś mi wyjaśnił, gdzie jesteśmy i dokąd jedziemy.

- Jesteśmy w ciężarówce kwiaciarza i jedziemy na urodzinowe przyjęcie do Sunny Samuels.

- O nie - powiedziała szeptem, który przerodził się w paniczny pisk. - Ta kobieta mnie nienawidzi. Czy chcesz jej jeszcze dostarczyć nowych motywów?

- Próbowałem dostać się do jej biura, ale nic z tego nie wyszło. Dzwoniłem do domu i jeden z niewolników Sunny poradził mi, żebym zadzwonił do biura. Nie lubię jak się mnie robi w konia.

- A ja nie lubię być wyrzucana z przyjęcia. I wydaje mi się, że nie byłabym zachwycona, gdyby ktoś zrobił ze mnie szmatę, a to nieuchronnie mi grozi, jeśli dopadnie mnie pani Samuels.

- Nikt nie będzie cię wyrzucał ani robił z ciebie szmaty. Po prostu trzymaj się mnie. Wszystko załatwię.

- To samo mówił Laurel Hardy'emu, zanim spadło mu na głowę pianino - odparła zrezygnowana Frankie.

Przez ponad dwie godziny ukrywali się w ciężarówce kwiaciarza, będącego przyjacielem Luke'a. Kiedy otrzymali sygnał, że prawie wszyscy goście już przyszli i mogą wyjść z ciężarówki, Frankie czuła, że ciągnie za sobą zapach żalobnego wieńca. Pomyślała, że biorąc pod uwagę okoliczności, woń jest całkiem stosowna.

Weszli przez kuchenne drzwi i szybko poszli za przewodnikiem wzdłuż korytarza. a potem przez olbrzymie pokoje. Kwiaciarz wskazał im wejściowy taras i na tym jego

rola się skończyła. Najszybciej jak mógł oddalił się w kierunku ciężarówki.

- Luke! Nie chcę przechodzić przez to wszystko. - Frankie czuła, jak jej serce wali w piersiach.

- A chcesz pracować? - zapytał nie ukrywając zniecierpliwienia.

- Oczywiście, że tak.

- To teraz masz znakomitą okazję, żeby się wykazać, jaką jesteś aktorką. Wziął dziewczynę za rękę i poprowadził w stronę basenu. Odgrywając

dżentelmena witał się ze znajomymi, uśmiechał się do nieznajomych. Frankie obserwowała tę scenę. Nikt nie wytykał jej palcem. Nikt nie podszedł i nie chlusnął jej drinkiem prosto w twarz. Luke miał rację. Wszystko, co musiała zrobić, żeby podołać zadaniu, to odgrywać scenę z filmu.

Minęło pół godziny. Jak dotąd, spisywała się bez zarzutu. Obracali się w towarzystwie i, o dziwo, bardzo miło spędzali czas. Szampan był wyśmienity, przystawki doskonałe, a goście różnorodni i fascynujący. Wielu z nich rozpoznało Frankie: wyszukali ją w tłumie i prawili komplementy na temat jej świetnego wyglądu, a także gratulowali wspaniałego zdjęcia na okładce magazynu „Vogue” i uroczego występu w zespole Jody'ego Harta. Uwaga gości zwrócona na Frankie mile ją podbudowała, ale jej nerwy były coraz bardziej napięte. Prędzej czy później, bez względu na gęsty tłum, stanie oko w oko z Sunny Samuels. Luke miał nadzieję, że nastąpi to jak najpóźniej. Niestety, stało się inaczej.

- Zwyczaj nakazuje przywitać się z gospodynią po przyjeździe na przyjęcie. - Frankie odwróciła się. Stała przed nią niska blondynka z mocno opaloną twarzą; kobieta mówiła z południowym akcentem. Obchodziła ponoć pięćdziesiąte urodziny, jednak wprawne oko Frankie dostrzegło na jej

twarzy kilka linii zdradzających dobrą rękę chirurga plastycznego.

Jeśli ona ma pięćdziesiąt lat, to ja jestem słodką szesnastką, pomyślała Frankie, czując się od razu znacznie lepiej.

- Sunny, wybacz mi, że nie zdążyłam się z tobą przywitać - powiedziała głośno przekonującym tonem Katherine Hepburn. - Tak byłaś zajęta rozmową z Howiem Meredithem, że postanowiłam nie przeszkadzać wam w takiej intymnej chwili. Wybacz mi, proszę.

Frankie słyszała, jak słowa płyną z jej ust, i widziała, jak były przyjmowane, lecz nadal nie mogła uwierzyć w to, co mówi. Czuła, że odezwał się w niej instynkt samozachowawczy. Było to dziwne, a zarazem cudowne.

Zastanawiała się jednocześnie, co spowodowało, że Sunny Samuels deklarowała się jako jej śmiertelny wróg.

Była wystarczająco atrakcyjna: miała świetną figurę, melodyjny wysoki głos i szlachetny profil. Chociaż szyfonowa sukienka w kwiaty, słomkowy kapelusz, sandały z pasków i kilogramy diamentowej biżuterii nadawały jej wygląd przejrzałej południowej piękności, Frankie wiedziała, że nie może jej nie doceniać. Przed dwunastu laty, po śmierci męża Hershela, który zmarł na atak serca przejęła zarząd wytwórni „Olympus”. Nie tylko zdołała ją uchronić od upadku, lecz przemieniła firmę w prawdziwe imperium, angażując się także w produkcję telewizyjną. Bez niczyjej pomocy stała się jedną z najbardziej wpływowych osób w Hollywood.

- Może byśmy się czegoś napili w mojej bibliotece? - Sunny odwróciła się na pięcie, nie czekając na odpowiedź. Właściwie nie spodziewała się odmowy, gdyż jej pytanie nie było propozycją, tylko rozkazem.

Frankie poszła za Sunny do wykładanej boazerią biblioteki. Tutaj silną osobowość tej kobiety odczuwało się

jeszcze bardziej. Ściany i blaty stołów zdobiły plakaty i dyplomy z wyrazami wdzięczności od organizacji dobroczynnych, a także dziesiątki jej zdjęć w towarzystwie gwiazd filmowych, polityków i innych sławnych osobistości. Pięć statuetek Oscara i siedem nagród Emmy błyszczało z za specjalnie oświetlonej szklanej gablotki, ustawionej na inkrustowanej złotem antycznej komódce. W chwili gdy weszli do biblioteki, podwójne dębowe drzwi zamknęły się za nimi z hukiem. Frankie była pewna, że usłyszała szczęknięcie zamka w drzwiach.

Sunny stanęła za swoim biurkiem, czekając, aż Frankie i Luke usiądą na krzesłach.

- Dlaczego wtargnęliście na moje przyjęcie?

- Dlaczego moja klientka znalazła się na czarnej liście?

Luke ostrzegł Frankie, że sam będzie prowadził tę rozmowę.

- O czym ty mówisz? Nic o tym nie wiem.

- Gówno prawda.

- Zachowuj się przyzwoicie, młody człowieku.

- Więc nie baw się ze mną w kotka i myszkę. Chcę wiedzieć, dlaczego wykopałeś topór wojenny i walczysz z Frankie Travis. O ile się orientuję, nawet się nie znacie.

Sunny usiadła na krześle, zdjęła kapelusz, założyła nogę na nogę, wygładziła spódnice, narzuciła pelerynkę, pobawiła się kilkoma diamentowymi bransoletkami i splotła palce. Trwało to całe wieki. Kiedy już była gotowa do rozmowy, wbiła wzrok we Frankie.

- Wyglądasz tak samo jak twoja matka - powiedziała - tym zimnym i obojętnym tonem, jakim nagrywa się informacje na dyktafonie. Twoja matka była kurwą i pieprzyła się z moim mężem - wycedziła, zanim Frankie zdążyła otworzyć usta.

Dziewczyna poczuła, jakby ktoś zwałił jej na piersi betonową płytę. Lillie. Zawsze ta Lillie. Zawsze ona?

- Stara historia - szybko odparł Luke, widząc, jak twarz Frankie robi się kredowobiała i słysząc jej nierówny oddech - ale to nie ma z nią nic wspólnego.

- Twoja matka była kimś więcej niż dziwką Hershela - ciągnęła Sunny, nie zważając na słowa Luke'a. - Była jego obsesją. Nawet po tym, gdy przestał z nią sypiać, nie mógł wyrzucić jej ze swoich myśli, a ja nie mogłam jej się pozbyć z mojego domu. Przez osiem lat każdej nocy wysłuchiwałam, jak woła ją przez sen. To o niej ciągle myślał i z nią chciał być. Przez osiem lat znosiłam te upokorzenia, świadoma, że jestem tylko środkiem zastępczym.

Wzrok Sunny był zimny i paraliżujący. Frankie chciała natychmiast uciec z tego pokoju i od przeszłości swojej matki. Dlaczego ktoś winił ją za postępowanie Lillie?

- Przykro mi, pani Samuels, że spotkało panią aż takie nieszczęście - powiedziała wyzwalając się z porozumiewawczego uścisku Luke'a i stając w swojej obronie - ale nie rozumiem, w jakim stopniu jestem odpowiedzialna za rozpad pani małżeństwa.

Sunny zupełnie zignorowała wypowiedź Frankie, ciągnąc dalej swój dramatyczny monolog.

- Kiedy po śmierci Hershela porządkowałam jego rzeczy, znalazłam mnóstwo dokumentów związanych ze sprawą rozwodową twoich rodziców. Twoje imię było podkreślone. Twoje zdjęcie wzięte w kółko. Kiedy już zaczęłaś pracować, prowadził nawet kartotekę twoich reklamówek. Ale to nie wszystko. Po otwarciu testamentu okazało się, że zostawił ci w spadku pieniądze.

Frankie omal nie spadła z krzesła.

- Ja nigdy... Ja wcale... - Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Mnóstwo pieniędzy.

- Ktoś nimi rozporządzał? - zapytał Luke.

- Jaki bystry Chłopiec. Jak myślisz, kto? Frankie zaczęła płakać.

- Nie widziałam z tego ani centa. Przysięgam - jęknęła.

- Dlaczego miałby zapisać pieniądze Frankie? - zapytał Luke. - Czemu po prostu nie dał ich Lillie do ręki?

Sunny podniosła się z krzesła i stanęła przed Frankie, która skurczyła się pod jej spojrzeniem.

- Może ona była jego córką - odrzekła wskazując na dziewczynę.

- To nieprawda. Wiem, że to nieprawda! Frankie i Luke spędzili cały wieczór nad roztrząsaniem najnowszego odkrycia.

Dziewczyna miała zupełnie stargane nerwy. Luke robił wszystko, żeby ją uspokoić, chociaż sam z trudnością panował nad swoimi.

- Nie chcę wbijać gwoźdźcia do trumny, ale może naprawdę miała rację. Twoja matka nie była Królewną Śnieżką.

- Coś by mi przecież powiedziała.

Od czasu przyjazdu do mieszkania Frankie, Luke niestrudzenie przemierzał pokój.

- W porządku. Możemy to sobie wyobrazić: - „Frankie, kochanie, zapomniałam ci powiedzieć, że Sterling nie jest twoim tatusiem! Tak naprawdę to jest nim ten starszy pan, który przychodzi każdej nocy i wślizguje się do mojej sypialni. Ma na imię Hershel”.

- Luke! Przestań! To nie są żarty!

- Spójrz mi w oczy - powiedział pochylając się nad Frankie. - Ja nie żartuję.

- Zadzwoń do Londynu do Sterlinga i zapytam go. - Dziewczyna poderwała się do telefonu, ale Luke pokręcił głową.

- A skąd on ma o tym wiedzieć? Jedyne osoba, którą trzeba o to zapytać, to Lillie.

- Nigdy.

- Okey - powiedział wiedząc, że Frankie nie będzie dalej drażnić tego tematu. - Spróbujmy pójść innym tropem. Sunny Samuels nie była pierwszą żoną Hershela. Mam rację?

- Trzecią.

Luke pokiwał głową, chodząc wkoło tapczanu, na którym leżała Frankie, obgryzając paznokcie do krwi. Kiedy Luke próbował rozwiązać ten problem, Frankie coraz bardziej pograżała się w roztkliwianiu nad sobą.

Wszyscy, których kochała, mieli swoje życie. Oczywiście, mogła być jego częścią, ale tylko częścią. Zawsze, kiedy nadszedł moment wyboru, odsuwano ją na dalszy plan. Miała na to zbyt wiele przykładów. Sterling, Zach, Cissie, Noah, ciotka Tessa i wujek Bert. Na pierwszym planie była ich kariera. Sterling i Karen ją kochali. Zach, Cissie i inni także. Lecz gdzie byli teraz? Nie, nikt nie chciał jej porzucić. Nikt by nie odmówił jej pomocy. Ale teraz, gdyby nie Luke Maddox, byłaby zupełnie sama.

Może powinna zachować zawodowy dystans i większy obiektywizm? W jej przypadku było to jednak bardzo trudne.

- Jak to możliwe, że człowiek, który miał trzy żony, zostawił po śmierci swój interes, dom, samochód i większość majątku żonie numer trzy?

- Co? - Frankie zagubiła się w swoich własnych myślach.

- Dlaczego nie zostawił wytwórni „Olympus” synowi z pierwszego małżeństwa? Albo córce z drugiego?

Frankie zauważyła błysk w oczach Luke'a. Co więcej, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Powiem ci dlaczego. - Luke oparł się o stolik do kawy i wziął Frankie za rękę. - Bo Hershel Samuels nigdy nie miał dzieci.

- Oprócz mnie.

Zamiast odpowiedzi, Luke objął Frankie i mocno przycisnął do siebie.

- Jeśli się nie mylę, kochanie, nie tylko dostaniesz więcej propozycji, niż będziesz w stanie przyjąć, lecz jeszcze zrzucimy tę starą zazdrosną matronę z jej złotego tronu.

Wielką salę balową w „Los Angeles Kipling” po brzegi wypełniali reporterzy, fotografowie, kamerzyści i taka liczba gapiów, jaka tylko mogła wcisnąć się do środka. Prawie przez miesiąc Luke zbierał informacje potrzebne do zorganizowania konferencji prasowej, a teraz był tak podniecony, że podeszwy parzyły go, jakby stał na rozżarzonych węglach. Nie mógł ani przez chwilę ustać w miejscu. Czas dłużył mu się nieprawdopodobnie. Osobiście wszystko dopiął na ostatni guzik. Był pewien sukcesu.

Zwołał konferencję w środę, na godzinę piętnastą trzydzieści, dając dziennikarzom wystarczająco dużo czasu na włączenie materiału do wieczornych wiadomości, które następnie miały być przedyskutowane, przemielone i przeanalizowane podczas nadchodzącego weekendu. Chociaż nikomu nie wyjawiał prawdziwego powodu tego spotkania, zachęcająco powiedział, że „historia ta chwyci za serce wszystkich amerykańskich obywateli”.

Na podstawie tego niezbyt subtelnego przecieku „Newsweek” zdążył już zrobić zdjęcie Frankie, które miało zdobić okładkę następnego wydania, podobnie jak to uczynił magazyn „Ladies Home Journal” i tygodnik „New York”. Agenci Carsona zaczęli już uganiać się za Lukiem, proponując Frankie udział w trzech filmach, dwóch serialach telewizyjnych i w jednej operze mydlanej. Jednak jak dotąd z ust gwiazdy dzisiejszego popołudnia nie padło ani jedno słowo. W tej chwili siedziała w małym pokoiku na tyłach sali.

Howie Meredith, który przybył na spotkanie z polecenia Sunny Samuels, stał z tyłu obok pięknej młodej kobiety z fiołkowymi oczami i gęstymi czarnymi włosami.

- Jak pani myśli, kiedy to się wreszcie zacznie? - zapytał obdarzając Jinx najbardziej uwodzicielskim ze swoich uśmiechów.

Jinx spojrzała na zegarek.

- Jeszcze trzy minuty.

- Czy pani z prasy? - zapytał zastanawiając się, jak czułby się w łóżku z kobietą wyższą od niego o jakieś dziesięć centymetrów.

- Nie. Z hotelu. Jinx właśnie przyleciała z Palm Springs, gdzie wzięła udział w otwarciu następnego kompleksu zdrowotnego. Zaraz po konferencji miała lecieć do Nowego Jorku.

- Przypuszczam, że w takim miejscu nikt nie łamie mebli. Niezły hotel.

- Tak. - Jinx starała się być uprzejma dla rozmówcy, jednak było w nim coś tak śliskiego, że nie potrafiła zachować pozorów. - Panna Travis jest kuzynką jednego z moich przyjaciół - rzuciła na odczepnego.

- Czy ktoś już mówił, że jest pani trochę do niej podobna?
- Nikt.

- Pani włosy są o ton ciemniejsze i ma pani niebieskie oczy, podczas gdy oczy Frankie są piwne, ale podobieństwo jest uderzające.

Jinx wprawdzie nie odpowiedziała, ale to wcale nie oznaczało, że nie dotarły do niej te słowa. Kiedy Luke szedł z Frankie przez środek sali w kierunku mikrofonów, Jinx poczuła, jak przez jej ciało przebiegł dziwny dreszcz. Starając się nie słuchać komentarzy Howiego Meredith, całą uwagę skupiła na młodej kobiecie w skromnej sukience z białą koronki.

- Panie i panowie z prasy. Chciałabym wszystkim podziękować za przybycie i okazaną nam cierpliwość.

Frankie przerwała, przygryzła dolną wargę i wytarła dłonie o sukienkę. Razem z Lukiem zaplanowali kilka chwytów, by podgrzać atmosferę na sali, ale te gesty nie były zaplanowane. Ponośli ją nerwy.

- Kilka miesięcy temu przyjechałam do Los Angeles w poszukiwaniu pracy. Zdecydowałam, że już najwyższy czas stanąć na własnych nogach. Oczywiście, trudno mi było rozstać się z matką i, jak to się zwykle dzieje, nie obyło się bez problemów. Stałam się ofiarą kilku niezamierzonych procesów i nieuczciwej krytyki.

Spuść wzrok. Mnij w dłoniach chusteczkę. Daj wszystkim czas na różne domysły.

- W tym czasie mój ojciec, Sterling Travis, był moim obrońcą i ramieniem, na którym mogłam się wesprzeć. Dopomógł mi doprowadzić do ugody z tymi, którzy nie chcieli zaostrzać konfliktu, prowadząc negocjacje z ludźmi, którzy zwrócili się przeciwko mnie. Myślałam, że moje problemy już się skończyły.

Chwila ciszy. Uśmiechnij się odważnie.

- Postępując zgodnie z radą ojca, wynajęłam agenta - Luke'a Madoxa. Odwróć się do Luke'a. Krótki, smutny uśmiech.

- Biedny Luke! Obiegł całe miasto, próbując dla mnie znaleźć choćby najmniejszą rolę, wszędzie jednak zatrzaskiwano mu drzwi przed nosem. Nie wiedziałam dlaczego, ale z jakiegoś powodu stałam się nagle personą non grata.

Omieć salę wzrokiem. Poszukaj jakiejś współczującej twarzy. Mów do tej osoby.

- Rozmawiając z setkami ludzi, Luke dotarł w końcu do osoby odpowiedzialnej za wciągnięcie mnie na czarną listę.

Mówiąc szczerze, byłam zaszokowana, kiedy dowiedziałam się, kto to jest, gdyż nigdy w życiu nie miałam z tą osobą nic wspólnego.

Zmień wyraz twarzy.

- Udało nam się doprowadzić do konfrontacji i dowiedzieć się, co się kryje za tą nieuzasadnioną nienawiścią. Historia, którą nam opowiedziano, była nie tylko zupełnie nieprawdopodobna, lecz również wyssana z palca.

Luke podał Frankie jakieś papiery. Zachęcająco poklepał ją po dłoni i obdarzył uśmiechem. Frankie położyła papiery na podium, ukazując poobgryzane do krwi paznokcie.

Przez chwilę zawahała się, ale wkrótce odwróciła się i ukradkiem spojrzała na Luke'a. Ciągle pamiętała, jakich upokorzeń doznawała, kiedy odmawiano jej ról. Wciąż tkwiły jej w pamięci zamknięte drzwi i milczące telefony. I wtedy przypomniała sobie credo Luke'a: „Nie szalej. Bądź rozważna!”

- Zwołałam tę konferencję z jednego powodu. Nie wiem, jaki zasięg mają zwrócone przeciwko mnie pomówienia. Mam rodzinę i przyjaciół, których mogłoby to zniszczyć. Mam znajomych w tej branży, którzy są owym faktem zrozwaczeni i zupełnie przybici. Ale co najważniejsze, mam pozycję, niezachwianą reputację i dobre imię, którego muszę bronić. Nie wiem, jak duże wpływy ma ta osoba, ale nie będę pralką do prania brudów pani Sunny Samuels.

Kiedy wszyscy zdążyli już ochłonać po wybuchu pierwszej bomby, Frankie wypila łyk wody, odgarnęła do tyłu włosy, znowu wytarła ręce o sukienkę i zagryzła dolną wargę. Tym razem postąpiła zgodnie z przygotowanym wcześniej scenariuszem.

- Według pani Samuels moja matka była kochanką Hershela Samuela. Możliwe, że to prawda, jednak nie mogę tego potwierdzić. O takie rzeczy córki zazwyczaj nie pytają

swoich matek. Ale jeśli nawet moja matka i pan Samuels byli - zawahaj się, wyglądaj na zakłopotaną - kochankami, bardzo mi przykro, lecz nie było w tym mojej winy.

Salę wypełniły szmery i pomruki. To tylko zachęciło Frankie.

- Mogę sobie wyobrazić, jak dotknęło to panią Samuels i jak bardzo pragnęła zemścić się na mojej matce, jednak nadal nie mogę pojąć, dlaczego była aż tak okrutna dla mnie.

Pauza.

- Luke zmusił Sunny Samuels do tego, by w końcu zdecydowała się mi to wyjaśnić. Według niej byłam dzieckiem jej męża.

Sala zaczęła się stopniowo uciszać. Luke miał ochotę skakać z radości, ale zachował powagę.

- Znowu razem z Lukiem byliśmy zaskoczeni. Nie chcieliśmy jednak niesprawiedliwie oskarżać. Nie chcieliśmy nikomu zadawać bólu. Po prostu pragnęliśmy poznać prawdę. Tak więc Luke odwiedził dwie pierwsze żony Hershela Samuela i jego lekarza.

Pauza.

- Nie jestem córką Hershela Samuela, ponieważ nie mógł mieć córki, syna również nie. Hershel Samuels był bezpłodny.

Sala balowa wybuchła dziesiątkami pytań i zgiełkiem reporterów, którzy natychmiast wybiegli, żeby na gorąco opisać tę historię. Frankie, która zdołała przełknąć kilka gorzkich łez cisnących jej się do oczu, została otoczona przez wścibskich dziennikarzy, starających się wydobyć z niej wszystkie szczegóły tego pikantnego skandalu. Sunny Samuels była wprawdzie najbardziej wpływową kobietą w Hollywood, ale nigdy nie cieszyła się zbyt dużą sympatią. Ujawnienie owego skandalu powinno dać wielu osobom ogromną satysfakcję.

Howiemu Meredithowi zrzędał mina już w połowie wystąpienia Frankie i ciągle jeszcze stał z otwartymi ze zdziwienia ustami. Nie tylko nie miał pojęcia, jak zrelacjonować Sunny przebieg tego spotkania, ale wiedział, że jeśli w ciągu następnych dwóch minut nie uda mu się dotrzeć do telefonu, to Sunny usłyszy tę historię w każdej stacji radiowej i na wszystkich kanałach telewizyjnych w kraju.

Jinx Kipling uśmiechnęła się pod nosem. Nie miała wątpliwości, że Frankie Travis była kuzynką Cisse. Ktoś próbował ją wrobić, a ona, zamiast leżeć z założonymi rękoma, podniosła się, żeby odeprzeć atak.

Cissie zrobiłaby tak samo, pomyślała Jinx starając się podejść bliżej podium. Musiała przyznać, że sama zareagowałabym podobnie.

Kiedy Jinx dotarła do końca sali, Frankie zmierzała do wyjścia. Gdy przechodziła przez próg, ktoś przebiegł koło niej wykrzykując:

- Byłaś wspaniała, kochanie. Odezwiemy się do ciebie.

Jinx nie wiedziała dlaczego, ale Frankie z Lukiem roześmiali się serdecznie.

Sunny Samuels leżała na kozetce w zaciemnionej sypialni i oglądała sprawozdanie z konferencji prasowej Frankie. Widziała to w wiadomościach o godzinie szóstej, siódmej, dziewiątej i dziesiątej. Mogła recytować wystąpienie Frankie z pamięci. Tyle razy czytała zaświadczenie lekarza o bezpłodności Hershela, że to też już znała na pamięć. Oczywiście wydała polecenie, że nikogo nie chce widzieć i nie będzie odbierać telefonów.

Kiedy kamera ukazała zbliżenie twarzy Frankie, chyba po raz setny dzisiejszego wieczoru Sunny Samuels skrzywiła się z wściekłości.

- Najpierw powinnaś przyjść do mnie - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Dzięki tobie jestem pośmiewiskiem w całym

kraju. Wpatrywała się w telewizor zimnym wzrokiem. -
Gdybyś dobrze przeprowadziła swoje dochodzenie -
powiedziała do obrazu na ekranie - wiedziałabyś, że ze mną
lepiej nie zadzierać. Nigdy nie zapominam. I nigdy nie
wybaczam.

W każdej bajce istnieje jakiś zły duch - złośliwa macocha, zatrute jabłko lub trzyletnia klątwa. Dla równowagi, baśniowa tradycja domaga się księżniczki w wieży i rycerza na białym koniu. A sformułowanie: „żyli długo i szczęśliwie” zrównoważone jest bolesnym cierniem.

Oczywiście dla pobieżnego obserwatora Jinx z Kipem wiedli baśniowy żywot. Ona była piękną niewiastą, która podbiła serce przystojnego księcia, on zaś sprawiedliwym władcą, sprawującym rządy w swoim królestwie twardą, lecz prawą dłońią. Podróżowali po świecie, mieli więcej pieniędzy, niż mogli wydać, cieszyli się przyjaźnią wielu politycznych przywódców, osób wysoko notowanych w sferach towarzyskich, potentatów przemysłowych i osobistości ze świata showbusinessu. W dodatku łączyła ich baśniowa miłość, która umacniała się każdego dnia.

Jednak ich życie pełne blasków miało też cienie. Jednym z nich była nadpobudliwość Kipa, wzrastająca wraz z ich dwuletnim pożyciem. Troska o zdrowie Jinx rosła proporcjonalnie do jego szczęścia. Im bardziej był zadowolony z żony i obecnego małżeństwa, tym większy był jego strach o to, że tak jak w przypadku pierwszego związku, wszystko tragicznie się zakończy. Kiedy Jinx zaszła w ciążę, dostał obsesji na punkcie bezpieczeństwa żony.

Gdy wybierali się w podróż samolotem, kazał pilotom dziesiątki razy sprawdzać maszyny, bez względu na to, co powiedzieli mechanicy. Weszło mu w zwyczaj wynajmowanie obstawy we wszystkich hotelach, w których się pojawiali. Każdy z samochodów poddawany był drobiazgowym

przeглядom, a w ich miejskim mieszkaniu wiecznie doszukiwano się urządzeń zakłócających prywatność.

Dom w Westchester, który Jinx jeszcze raz urządziła i który był teraz ich główną siedzibą, Kip wyposażył w najnowocześniejsze i najbardziej wyrafinowane systemy bezpieczeństwa. W dwóch innych domach, w willi Casa i w ich nowej wakacyjnej posiadłości w Palm Spring, wymieniono wszystkie zamki na nowocześniejsze. To była ciemna strona ich życia i nigdy na ten temat nie dyskutowali. Po prostu Jinx musiała nauczyć się z tym żyć.

Innym ukrytym cierniem, wszechobecnym w ich życiu, były zaszłości rodzinne Jinx. Przed wizytą na grobie Franyu, Kip zachęcał Jinx, żeby pogodziła się z przeszłością. Myślała, że jej się to udało i nigdy nie będzie do tego wracać. Przed samym ślubem matka prosiła, żeby na zawsze zapomniała o Benjaminie Rostovie i zadowolila się miłością przybranego ojca, Hanka Elliota. Jinx sądziła, że zdoła zaakceptować ten stan rzeczy. Jednak od chwili, kiedy doznała pierwszych skurczy, aż do przyjścia na świat dziecka, widmo Benjaminu Rostova unosiło się nad jej] obolałym ciałem. Teraz, po urodzeniu córeczki, nie opuszczały jej myśli o przeszłości.

- Co byś powiedział na Bonnie? - zapytała, potulnie wypowiadając słowo, którym jak dotąd bawiła się w myślach.

Kip siedział na krześle przy łóżku żony. Każdy centymetr sześcienny pokoju wypełniony był bukietami różowych kwiatów, różowymi balonikami i wstążeczkami. Wszystko spowijała jakby różowa poświata.

- To oznacza „ładna”.

Kip podniósł dłoń Jinx do ust i złożył na niej pocałunek.

- Nasza córeczka jest wyjątkowa - odparł. - Dlaczego chcesz jej nadać imię, które znaczy po prostu „ładna”?

- Pomyślałam sobie, że dobrze byłoby nazwać ją skrótem imienia mojego ojca, Benjaminu.

- Tak właśnie podpowiadała mi intuicja - odparł Kip marszcząc czoło.

- Nie podoba ci się ten pomysł, przyznaj się?

Kip długo nie odpowiadał. Kiedy się odezwał, jego głos był tak samo poważny, jak wyraz twarzy.

- Nie chcę, żeby dziecko nosiło imię po człowieku, który nie żyje.

Jinx pochyliła się i czule go pocałowała.

- Nie pomyślałam o tym - powiedziała. - Przepraszam.

Zmusił się do uśmiechu i po chwili wrócił do nastroju obłąskawionego przez los ojca, który go nie opuszczał od momentu narodzin dziecka.

- Nie musisz za nic przeproszać - odparł. - Ostatniej nocy widziałem, że byłaś sprawczynią cudu. Widziałem, jak z twojego ciała wychodzi mała istotka!

Dumnie wydał usta i uśmiechnął się.

- Czy już ci mówiłem, jak bardzo cię kocham?

- Jestem pewna, że tak, ale nie przypominam sobie, że bym to słyszała przez ostatnie trzydzieści sekund.

Objął ją i namiętnie pocałował. Naraz szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- Joy!

- Co? Ujął dłonie Jinx w swoje ręce i głęboko spojrzął jej w oczy.

- Radość - powiedział. - Chcę, żebyśmy tak ją nazwali. Dlatego, że obie wypełniłyście moje życie radością.

- To wspaniały pomysł - rzekła Jinx, do głębi poruszona. - To takie szczęśliwe imię. Myślę, że spodobałoby się nawet Benowi Rostowowi.

Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno go uścisnęła. Poczuł przenikającą go miłość i zaufanie uświadamiając sobie, że wkrótce będzie musiał powiedzieć jej całą prawdę.

Dla Jinx świat był kalejdoskopem, wiecznie zmieniającym położenie pryzmatem, który mieszał, przestawiał i nakładał kolory, tworząc odcienie i wzory wpływające na jej nastroje i postępowanie. Widziała kolory we wszystkich rzeczach i wszystkich ludziach. Wierzyła w „purpurowe” dni miłosnych listów, smutne, „niebieskie” poniedziałki, „czarne” piątki oraz w dni, kiedy czuła się „różowa” albo „jedwabście zielona”. Opisywała ludzi jako „kolorowych” i „bezbarwnych”.

Optymiści, większość babć, jej matka i wszystkie dzieci były jaskrawożółtymi ludźmi słońca, których jedynym zadaniem na świecie było niesienie radości i spokoju ducha innym. Ludzie motywowani pasją i wyzwaniem, tak jak ona czy Cissie, nosili kolor czerwony, wibrujący i ognisty, który natychmiast przygasał, gdy ktoś próbował zadać im ból. Hank i Kip, będący symbolami stabilności i bezpieczeństwa, mieli odcień zieleni. Niebiescy byli myśliciele, tacy jak Noah Gold, niepoprawni idealiście, czasami naiwni i często popadający w nastrój rozczarowania. Najbardziej nudne postacie na palecie Jinx były brązowe, na przykład Jeffrey Dodge, zupełnie pozbawiony uczuć.

Życie Jinx zazwyczaj promieniało całą tęczę radosnych kolorów, ale w dwa miesiące po narodzinach Joy ich barwa zaczęła stopniowo przygasać. Czuła, że jest otoczona chmurą, niewidzialną mgłą, która nie dopuszcza słońca i zabiera ciepło z jej życia.

Czuła się winna, że nie może dojść do siebie, zupełnie tak, jakby oszukiwała męża i dziecko, zabawiając się ich kosztem. Lekarz powiedział, że to szok poporodowy i wkrótce ten stan powinien minąć. Matka Jinx, która w pierwszym miesiącu pomagała Halonie i niańce, także przypisywała to zmianom hormonalnym. Claire natomiast upatrywała przyczynę takiego nastroju w braku pracy i zaproponowała, że przyśle Jinx kilka nowych planów, aby mogła oderwać się od roztrząsania

swoich problemów. Cissie, przypominając sobie swoją huśtawkę nastrojów, powiedziała, że to na pewno minie po drugim dziecku, na które sama zdecydowała się parę miesięcy temu.

Jednak pomimo takiego wsparcia, pozytywnych diagnoz, życzliwości i otaczającej ją miłości, Jinx nie mogła się otrząsnąć z serii dokuczliwych napadów przygnębienia. Czuliła się tym gorzej, że Kip pracował całymi dniami i bardzo późno pojawiał się w domu. Jinx była zamknięta w czterech ścianach ze swoimi czarnymi myślami i małym dzieckiem, jedyną towarzyszką jej niedoli. Zamartwiała się tak samo drobiazgami jak ważnymi sprawami. Zadręczała się tym, że Jeffrey Dodge nie ustawał w wysiłkach, by umniejszyć jej zasługi w oczach Kipa i wszystkich pracowników korporacji. Martwiła się o Cissie, która ciężko przechodziła drugą ciążę, i tym, że żadne egzorcyzmy nie mogły wypędzić z niej ducha Benjamina Rostova.

Pewnego wieczoru Kip jak zwykle późno wrócił do domu. Przywitał go niezmacony spokój. Na palcach wszedł po schodach i udał się do pokoju Joy. Podszedł do łóżeczka, zajrzał do środka, położył dłoń na plecach córeczki, żeby się samemu upewnić, że oddycha, i z zadowoleniem poklepał ją po pupci. Wciągnął w nozdrza słodki zapach dziecięcego talku i delikatnie pogłaskał małą po rączce, żeby poczuć aksamitną miękkość niemowlęcej skóry. Poukładał zabawki rozrzucone w nogach łóżeczka i dopiął elastyczne szelki. Czynności te napełniły go bezbrzeżną czułością. Wszystko, co związane było z dzieckiem, wyzwało w nim uczucie kojącej radości.

Pokoje Kipa zajmowały całe skrzydło po przeciwnej stronie domu. Mieściły duże garderoby z rzędami szaf, ogromną, wykładaną marmurem łazienkę i sporą sypialnię. Kiedy Kip otworzył drzwi, przypomniał sobie, jak bardzo się wahał, czy wrócić do tego domu. Spędził w nim dużą część

swojego życia, zakończoną tragedią. Przez dwa lata od śmierci Elizabeth i dzieci siedział w nim zamknięty jak w grobie i nadal nie był pewien, czy kiedykolwiek zdoła zapomnieć tamte wspólne szczęśliwe dni.

Jinx rozumiała jego rozterki, ale wiedziała także, jak kochał ten dom. Wynajęła zespół dekoratorów wewnątrz i nie wtajemniczając w nic Kipa, wymieniła meble, wprowadziła udogodnienia, ponownie przystosowując pomieszczenia do życia w nowej rodzinie.

Było już bardzo późno i Kip spodziewał się, że Jinx będzie smacznie spać albo czytać coś do poduszki. Leżała na boku zwinięta w kłębek i z uporem wpatrywała się w zdjęcie. Podczas kilku ostatnich miesięcy Kip często znajdował ją w tym stanie. Uklęknął na dywanie przy jej łóżku, wyjął fotografię z jej ręki i postawił ją na nocnym stoliku. Nawet nie spojrzał na zdjęcie. Nie musiał.

- Pani Frances Rebecca Kipling - powiedział ścierając z jej policzków strużki łez. - Kiedy wreszcie pani da temu spokój i odnajdzie wolę życia?

Jinx podniosła wzrok i spojrzała na męża.

- Chciałabym - odparła.

- Więc na co czekasz? - Na twarzy Kipa malował się niepokój.

- Nie wiem. - Jej głos był taki cichy i tak przejmująco smutny. - Wiem tylko, że jakiś wewnętrzny głos mówi mi, żebym nie rezygnowała.

Jej słowa napełniły go poczuciem winy, kłuły i paliły, utrudniając to, co powinien był już dawno zrobić. Świadomie starał się odwlec ten moment, choć zdawał sobie sprawę, że musi nadejść ta chwila. Usiadł na brzegu łóżka, mając nadzieję, że gdy wreszcie wyrzuci z siebie całą prawdę, będzie jeszcze mógł spojrzeć jej w oczy.

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwał się spokojnie, nie spuszczać z niej wzroku. - Ale zanim to nastąpi, pragnę, żebyś zrozumiała, że nigdy celowo nie zrobiłbym nic, co mogłoby cię zranić.

Jinx natychmiast poczuła się bezwładna. Kip wziął ją za rękę, lecz ona nie miała siły, żeby odwzajemnić uścisk.

- Z wielu powodów to właśnie ja powiem ci coś, o czym nikt wcześniej ci nie powiedział - zaczął. - Wiem o kilku z nich. Niektóre są dla mnie zagadką. Ale wszystkie wynikają z faktu, że wielu ludzi kocha cię tak bardzo jak ja.

- Mów! - w głosie Jinx zabrzmiał ton rozkazu. - Teraz!

- Benjamin Rostov żyje.

Nie odezwała się ani słowem. Nie wybuchnęła płaczem. Nie wykonała najmniejszego ruchu. Po prostu patrzyła na niego, czekając, co powie dalej.

- Odszedł, zanim przyszedł na świat, rozwiódł się z Kate i po zakończeniu służby wrócił do domu, do Stanów. Kilka lat później ponownie się ożenił.

Jinx pozostała nieporuszona, jej ciało nawet nie drgnęło, a twarz była bez żadnego wyrazu. Tylko wielkie łzy płynące z jej oczu mówiły Kipowi, co musi czuć.

- Dlaczego matka nic mi nie powiedziała? - zapytała z goryczą w głosie. - Z tego samego powodu, dla którego ja także chciałem utrzymać to w tajemnicy - odparł uprzedzając jej następne pytanie. - Kate wydawało się, że będzie lepiej, żebyś nadal myślała, że nie żyje.

- Zamiast powiedzieć mi, że mnie porzucił?

- Tak.

Znowu łzy zwilżyły jej policzki. Kip wziął ją w ramiona i pogładził po włosach pragnąc ukoić drżenie jej ciała, przejąć na siebie ból, który odczuwała.

- Byłaś dzieckiem - powiedział z czułością. - To była sprawa Benjamina i Kate. Nie miałeś z tym nic wspólnego.

- Jak mogła to przede mną ukrywać!

Powoli ogarniała ją fala gniewu. Wrzała, gorąca jak lawa. Odepchnęła Kipa.

- Porzucił ją - mówił Kip - a ona bardzo go kochała. Pomyśl, jak musiało ją to zranić, jak musiała być zdruzgotana i upokorzona.

Chociaż Jinx była zupełnie zaabsorbowana swoimi myślami, nie mogła nie dostrzec gniewu w słowach Kipa.

- Benjamin Rostov zostawił twoją matkę, kiedy była w ciąży, samą jak palec w zrujnowanym i niebezpiecznym Berlinie, bez rodziny, która mogła jej pomóc, wesprzeć i otaczać miłością. Szczerze mówiąc, jeżeli Kate miała wybór między powiedzeniem ci, jaką wszą był twój ojciec, a niemówieniem ci niczego i utrzymywaniem w przekonaniu, że nie żyje, to myślę, że podjęła słuszną decyzję.

Jinx nie słyszała ani słowa z tego, co powiedział. Jej wzrok błędził w przeciwnym końcu pokoju i skupiał się na jakimś odległym punkcie.

- Widziałeś się z nim?

- Tak. Oczywiście Jinx pozostały utkwione w tym samym miejscu.

- Gdzie? Kiedy? - Jest szefem agencji reklamowej zajmującej się promocją „Kipling Worldwide”.

Znam go od lat. - Przerwał na chwilę, zdając sobie sprawę, że mówi jej wszystko to, co dotąd utrzymywał w tajemnicy. - Zawsze znałem go pod nazwiskiem Ben Ross. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać, czy przypadkiem nie zmienił nazwiska. Najprawdopodobniej nigdy bym się o tym nie dowiedział, gdyby nie jedno popołudniowe spotkanie. Odpoczywaliśmy po zebraniu, kiedy zaczął zastanawiać się nad nazwą jakiegoś gazowanego napoju. Rozmowa przeszła na wpływ znaczenia nazwy na wyobrażenie o produkcie. Doszliśmy do wniosku, że jeżeli nazwa produktu jest

niewłaściwa, należy ją zmienić. Pamiętam, jak się roześmiał i powiedział, że to samo dotyczy ludzi, którzy zmieniają nazwiska na bardziej stosowne. Właśnie wtedy wspomniał, że jego prawdziwe nazwisko brzmiało Rostov.

- Wiesz, gdzie on mieszka?

Kip pokiwał głową. Wiedział wszystko o Benie Rostovie. Przeprowadził rozpoznanie, gdy tylko wyszedł z jego gabinetu.

- W Short Hills w New Jersey, ze swoją żoną Sylwią i córką Beccą.

- Z Beccą? - Błada cera Jinx przybrała kolor kredy. - Czy to jest skrót od Frances Rebecca?

- Tak.

- Moje imię. Imię, która nosiła dziewczynka pochowana obok Franyu Bekah.

- To samo imię, którym nazwano twoją przyjaciółkę - powiedział spokojnie Kip.

- Cissie?

- Wiem, że trudno ci to przełknąć, ale Cissie Gold jest jeszcze jedną Frances Rebecca. Jej matka jest siostrą Bena.

- Tessa jest moją ciotką? Cissie jest moją kuzynką?

- Tak samo jak ta aktorka - Frankie Travis. Jej matka, Lillie Rostov, to także siostra Bena.

- Ta dziewczyna z Los Angeles, która wygląda dokładnie tak jak ja? - wymamrotała zaskoczona. - Ten dzień w biurze Tessy. Jej zaskakująca reakcja. Cały czas mnie obserwowała.

Jinx przypomiwała sobie chwile, w których zachowanie Tessy wydawało jej się dziwne.

- Nie przyjechała na nasz ślub. Nie chciała zobaczyć Joy, kiedy była z nami Kate. - Nagle z jej ust wyrwał się krzyk. - Jak mogłeś to wszystko przede mną ukrywać! Wiedziałeś, jak rozpaczliwie poszukuję chociażby strzępka prawdy! Od kiedy

o tym wiedziałaś? Przecież nie będę ci już mogła nigdy zaufać!

Kip nie podnosił głosu.

- Za wszelką cenę chciałem cię ochronić przed skrzywdzeniem. Przyznaję, że od dawna znam całą prawdę i powinienem ci o wszystkim powiedzieć, ale tak jak Hank i twoja matka czułem, że prawda jest bardziej bolesna od kłamstwa.

- Nie miałaś prawa o tym decydować.

Głos Jinx był zimny i Kip niemalże zamarł na jego dźwięk.

- Wybacz mi - odparł. - Ja...

- Chcę zostać sama. Wyjdź, proszę.

Kiedy przez następne parę godzin Kip siedział na sofie w bibliotece targany wyrzutami sumienia i poczuciem ogromnego żalu, Jinx próbowała zebrać w całość części łamigłówki. Jej ojciec żył! Powinna niezmiernie ucieszyć się z tej cudownej nowiny, ale czuła, że otacza ją grząski grunt. Matka ją oszukiwała. Jej mąż ją okłamywał. Tak samo jak Hank. Tylko dlaczego? Ponieważ jej ojciec, Benjamin Rostov, którego śmierć oplakiwała przez tyle lat, porzucił ją jak niepotrzebną rzecz.

Za każdym razem, kiedy znajdowała odpowiedź na nasuwające się pytanie, czuła, że przygniata ją niewy tłumaczalny żal. To musiała być jej wina. Jaki mógłby być inny powód jego odejścia od Kate? Jaka inna przyczyna mogła kryć się za tym, że nigdy nie próbował jej odnaleźć? Cóż innego mogło być powodem tego, że utrzymywał jej istnienie w tajemnicy przed rodziną?

Godzina rozważań przeciągnęła się do dwóch, a potem do trzech. Do tego czasu wylała już tyle łez, że nie mogła nawet płakać. Jej ciałem targało tak dużo emocji, że przestała się trząść. Wstała z łóżka i z całej siły zacisnęła ręce, wkładając w

ten gest resztki sił. Wyczerpana usiadła przy oknie na usłanej poduszkami kozetce i spojrzała na nocny krajobraz. Objęła kolana ramionami i mocno przycisnęła je pod brodą, chcąc zgnieść w sobie przejmujący ból. Jej ciało było wiotkie jak wierzbowa witka, a twarz popielatobiała, ze śladami łez na policzkach. Baśniowa królewna siedziała zamknięta w swojej wieży, uwięziona przez przeszłość, na którą nie miała żadnego wpływu.

Siedząc na kozetce, czuła się bardziej samotna, niż można sobie wyobrazić. Chciała wyciągnąć do kogoś rękę, ale do kogo? Do Kate? Hanka? Kipa? Była zła na nich wszystkich. Kochała ich. Twierdzili, że też ją kochają. Ufała im i wierzyła. Mimo to potrafili tak dobrze kłamać! Pozbawili ją informacji, do których miała całkowite prawo. Robili wszystko, żeby nie skontaktowała się z osobą, której tak rozpaczliwie poszukiwała.

Musiała jednak przyznać, że nigdy jej nie opuścili.

Powoli podniosła się i ruszyła w stronę biblioteki. Kip siedział na sofie i sączył brandy. Rozpiął koszulę, wokół szyi zwisał poluzowany krawat. Miał szarą twarz, której odcień pogłębiała poświata nadchodzącego świtu. Przez kilka minut nie odzywali się do siebie ani słowem.

- Kip - odezwała się w końcu Jinx. - Myślę, że w głębi duszy zawsze znałam prawdę. Istniało tak wiele przesłanek, tak wiele faktów, które świadczyły, że ojciec nie umarł. Moja zazwyczaj zrównowazona matka wpadała w panikę na dźwięk jego imienia. Hank, którego życiowym credo było stawianie czoła trudnościom, natychmiast opuszczał pokój, kiedy zaczynałam o tym mówić. I ty, najbardziej uczciwy człowiek, jakiego znam, celowo odwiodłeś mnie od dalszych poszukiwań już po mojej wizycie na cmentarzu. Chyba nie chciałam dostrzegać tego wszystkiego.

- A teraz?

- Czuję się nieszczęśliwa, wściekła, chora, załamana i nie mogę znaleźć dla siebie miejsca... ale, przede wszystkim, zupełnie nieczuła. Nic do mnie nie dociera. Wszystko wydaje mi się okropne, może z wyjątkiem tego, że jestem skoligaconą z Cissie.

Znowu wdarło się między nich milczenie.

- Chciałabyś się z nim zobaczyć? - zapytał Kip, chcąc doprowadzić do końca ich rozmowę.

- Tak - natychmiast przytaknęła. - Nie - powiedziała równie szybko. - Boję się tego spotkania.

- Dlaczego?

- Jeśli mu się nie spodobam?

- A jeżeli on tobie nie przypadnie do gustu?

- Tego się też obawiam - odparła Jinx i na jej ustach pojawił się zmęczony uśmiech. - Czy nie byłoby okropne, gdyby moje marzenia o prawdziwym ojcu zupełnie rozminęły się z prawdą?

Znowu Kip zmusił się do przekazania Jinx tego, co, jak sądził, powinna wiedzieć. Od lat współpracował z Benem i zazwyczaj dobrze się rozumieli. Ale odkąd dowiedział się, kim naprawdę jest Benjamin Ross, otworzyły mu się oczy na te cechy jego osobowości, które zazwyczaj umykały jego uwagi. Ross potrafił nie zgadzać się z ustaleniami, które już wcześniej zaakceptował. Dawał posłuch plotkom, które wcześniej uznał za fałszywe i krzywdzące. Kip mógłby jej powiedzieć, co myślał i co czuł, jednak zdawał sobie sprawę, że Ben był jej biologicznym ojcem i Jinx miała prawo samodzielnie wyrobić sobie zdanie na jego temat.

- Jeśli zdecydujesz się na to spotkanie - powiedział Kip - musisz być przygotowana, że Ben jest zwyczajnym człowiekiem ze swymi wadami i słabościami.

Jinx wyciągnęła się na sofie i sęczyła brandy. Zastanawiała się, dlaczego alkohol nie chce wypełnić pustej dziury w jej żołądku.

- Mówisz tak jak Kate - odparła. - Zawsze twierdziła, że idealizowałam wielkiego Benjamina Rostova do tego stopnia, że nikt nie mógł sprostać temu ideałowi.

Kip roześmiał się chrapliwym, nerwowym śmiechem.

- Kate miała rację - powiedział. - I to wcale nie było dla niej łatwe.

- Dlaczego? - powoli zaczęła dochodzić do siebie.

- Bo zmarli nie popełniają błędów. Nie budzą się nad ranem z nieświeżym oddechem w ustach, nie potykają się o swoje stopy, nie opowiadają głupot i nie ryzykują rozpadem małżeństwa, rozsiewając naokoło kłamstwa. - Kip był zły i rozgoryczony.

Jinx chciała powiedzieć Kipowi, że już wszystko w porządku, że nic się nie stało, ale po raz pierwszy od czasu ich znajomości zrobił błąd, którego nie potrafiła z miejsca mu wybaczyć.

- Kocham cię - powiedziała. W jej ustach zabrzmiało to jak pytanie. - I wierzę w to, że nie chciałeś mi powiedzieć o Benie, by mnie nie zranić.

- To prawda - odparł całkowicie świadomy dystansu, który pojawił się w jej głosie. - Pozwól, że postaram się wynagrodzić ci mój niewybaczalny błąd i doprowadzę do waszego pojednania.

- Nie wiedziałabym, jak się zachować ani co powiedzieć.

- Wyjdzie to pewnie niezręcznie, ale nie martw się na zapas.

- To na kiedy zaplanujemy to spotkanie? - zapytała nerwowo. - Jak chcesz go tutaj ściągnąć.

- Zaprosimy go do nas na obiad. W naszym domu będziesz czuła się bezpieczna.

- Sądziś, że powinniśmy zaprosić Cissie i Noaha? Chciałabym, żeby byli przy moim boku.

- Myślę, że powinien po kolei spotkać różnych członków rodziny.

- Pewnie masz rację - odparła z ożywieniem. Po tym wszystkim pójdę z Cissie na lunch i powiem jej o spotkaniu z ojcem. Może wtedy razem z Tessą przedstawią mnie rodzinie Rostovów.

- Może.

Kip chciał dzielić wybuch optymizmu Jinx, ale kiedy widział, jak rośnie w niej nadzieja, instynkt nakazywał mu ostrożność.

- Już nie mogę się doczekać - była coraz bardziej podekscytowana. - Główną atrakcją wieczoru będzie pokazanie mu Joy.

- Najpierw poczekajmy na nasze spotkanie - powiedział Kip z rezerwą. - Później będziemy się martwić o resztę.

Dom Kiplingów miał wszystkie cechy wskazujące na bogactwo i niepodważalną pozycję społeczną. Strategicznie usytuowane latarnie rzuciły światło na drewnianą i stiukową fasadę utrzymaną w stylu epoki Tudorów, spływając jasnością na otaczające ogrody. Goście w limuzynach prowadzonych przez szoferów wjeżdżali przez kamienne bramy, jechali wzdłuż wybrukowanych podjazdów, aż do okrągłego parkingu, gdzie witali ich ubrani we fraki lokaje. Pokojówki w białych fartuszkach odbierały okrycia przy wejściu i po powitaniu przez gospodarzy zapraszały przybyłych na drinka do oranżerii.

Następnie młody człowiek w sztywnym białym kołnierzyku i czarnym fraku wprowadzał gości do wielkiego holu, gdzie z podłogi niczym wieże wyrastały kolumny, w niszach stały subtelnie oświetlone rzeźby, a podłoga wykładana była marmurową mozaiką. Przechodzili przez

korytarz wypełniony dziełami sztuki i udawali się do eleganckiego pokoju z widokiem na przepiękny ogród z jasnymi rzeźbami z kamienia.

W skąpo umeblowanym pomieszczeniu lśnił wypolerowaną czernią wielki fortepian. Na wieku fortepianu stał rząd srebrnych ramek z fotografiami rodziny Kiplingów - sióstr, szwagrów, siostrzenic, bratanków - oraz Elliotów. Kameralny zespół złożony z trzech muzyków grał Mozarta, podczas gdy kelnerzy wędrowali między szykownie ubranym towarzystwem, serwując przystawki ułożone na szklanych tacach.

Kip był doskonałym gospodarzem, łączącym wdzięk osobisty z powagą swojej roli. Witał przybyłych w przyjemny, swobodny sposób, bez cienia wyniosłości. Jinx stała u jego boku, będąc uosobieniem pewnej siebie elegancji. Jej kruczoczarne włosy rozrzucone w pasma zwojów spływały na gładkie, nagie ramiona. Za jednym uchem miała wpięty diamentowy grzebień, który wspaniale komponował się z diamentowo - rubinowymi kolczykami, podarowanymi jej przez Kipa zaraz po narodzinach Joy. Miała na sobie łososiową suknię z naturalnego jedwabiu, dopasowaną w talii, luźno spływającą z bioder i wykończoną rąbkami przypominającymi kształtem płatki tulipana.

W stosunkowo krótkim czasie od momentu zaślubin, Jinx pojęła, że małżeństwo z Kiplingiem często wymaga od niej odgrywania roli osoby publicznej. Chociaż elita towarzyska, w której obracał się Kip, zawężona była do kilku najbardziej zaprzyjaźnionych osobistości, Jinx musiała się przyzwyczaić do obowiązków wynikających z jej pozycji. Bez trudu odnalazła się w świecie wyższych sfer i wkrótce z wdziękiem i naturalnością sprawowała rolę gospodyni bankietów i uroczystości.

Kip pierwszy zauważył przyjazd Bena i Sylvii. Zobaczył, jak weszli do korytarza. Kilka razy próbował dać znak Jinx, ale była tak zaabsorbowana rozmową z gośćmi, że nie zwróciła na niego uwagi. Zanim zdołał ją ostrzec, było już za późno.

- Dobry wieczór - powiedział Kip, lekko trącając Jinx, kiedy ścisnął dłoń Bena. - Z największą przyjemnością witamy państwa w naszym domu.

Kiedy tylko Kip przywitał się z Benem i ujął dłoń Sylvii, Jinx zwróciła się w stronę nowo przybyłych. Nie wymienili wprawdzie swojego nazwiska, ale w jednej sekundzie Jinx skojarzyła fakty. Włosy miał lekko przyprószone siwizną, linię szczęki mocniej zarysowaną i bardziej umięśnioną niż ona, troszkę jaśniejsze od niej oczy, lecz także w kolorze lawendy, ale poza tym jego twarz była odbiciem jej twarzy. Nie miała wątpliwości. Stojący przed nią człowiek był jej ojcem.

- To moja żona - powiedział Kip, celowo nie wypowiadając jej imienia. - Kochanie, państwo Ben i Sylvia Ross.

- Bardzo mi miło - uśmiechnęła się i poczuła suchość w ustach.

Trudno było jej ukryć zakłopotanie, kiedy na niego patrzyła, a jeszcze trudniej przyszło jej zachować swobodny ton.

- Ben jest szefem firmy „Ross Adversting” - podtrzymał rozmowę Kip, starając się, żeby ich przywitanie wypadło jak najlepiej.

- Wykonuje pan dla nas nieocenioną pracę - powiedziała Jinx podbudowana mocnym ramieniem Kipa, owiniętym wokół jej talii. - Już dawno chciałam pana poznać, ale nasze ścieżki nigdy się nie zeszły. Cieszę się, że w końcu nadarzyła się sposobność.

- Ja również - odparł Ben i szybko usunął się na dalszy plan, ustępując miejsca następnym gościom.

Jinx uśmiechnęła się z ulgą, kiedy Rostowie zniknęli w oranżerii, i wzięła z ręki kelnera kieliszek szampana. Wmieszała się w tłum gości, ale nie mogła uciec od chęci natychmiastowej konfrontacji.

Jednak nic nie powiedziała. Nic nie zrobiła. Czekwała na odpowiedni moment.

Ben Ross szybko wymienił kieliszek szampana na whisky z lodem. Burczało mu w brzuchu, lecz wiedział, że nie tylko głód jest przyczyną jego żołądkowych sensacji. Tak jak Jinx nie potrzebowała nazwiska, żeby odkryć jego tożsamość, on również wiedział, kim była ta młoda kobieta. Widział ją tylko raz w życiu, kiedy miała zaledwie kilka dni, lecz gdy spojrzął na nią dzisiejszego wieczoru, zamarł z wrażenia. Przeczucie nakazywało mu natychmiast opuścić ten dom, ale nie wiedział, co powiedzieć Kipowi i jak usprawiedliwić się przed Sylvią.

- Ten dom jest nieziemski! - wyszeptała Sylvia egzaltowanym tonem, kiedy podeszli do okna i spojrzeli na ogród. - Widziałeś Leonarda Bernstein? - zapytała cicho. - Słyszałam, jak ktoś mówił, że ten człowiek w rogu jest samym Robertem Motherwellem! A tamta para to Irving i Sylvia Wallace.

Ben cierpliwie pokiwał głową. Odnotował już obecność ważnych osobistości. Też rozpływał się z zachwyty nad wystrojem domu, ale wiedział, że Kiplingowie mieli miliony i nie należało się spodziewać niczego innego.

- Słyszałam, że wystrojem wnętrza zajmował się John Saladino. Dzisiaj też tu jest - ciągnęła Sylvia, nie zwracając uwagi na to, że mąż nie podziela jej entuzjazmu. - Myślałam o tym, żeby przemeblować nasz salon. Może poproszę go o wizytówkę. Co o tym sądzisz?

- To zależy od ciebie, kochanie. - Ben podszedł do kelnera po następnego drinka.

- Kiplingowie mają wprawdzie więcej pokoi, ale nasz dom wcale nie prezentuje się źle na ich tle - stwierdziła Sylvia tak, jakby proszono ją w banku o wyciąg z konta. - Jestem pewna, że Saladino byłby zachwycony moją propozycją.

- Masz absolutną rację - cierpliwie odpowiedział Ben.

- Widziałeś, jaki diament miała na palcu ta dziewczyna? Musiał mieć dwadzieścia karatów! - Przeniosła wzrok z jednej kobiety na drugą - O! I tamten naszyjnik! Nigdy nie widziałam takiej biżuterii.

Sylvia napiła się wina i przestała mówić. Od tygodni czekała na ten wieczór, ale teraz z największą chęcią wróciłaby do domu. Zanim tutaj przyszła, myślała, że ma już wszystko. Teraz zdała sobie sprawę, że wygląda to trochę inaczej. Nie znajdowała się na samym szczycie towarzyskiej śmietanki. Tutaj zobaczyła różnicę między klasą wyższą i prawdziwym luksusem. Odkrycie to wprowadziło ją w nastrój przygnębienia, gdyż po raz pierwszy w życiu dotarło do niej, że jest po prostu trochę więcej niż zamożna. Ludzie tu zgromadzeni posiadali miliony.

Zacząła komentować każdą suknię, każdy mebel i każdą parę butów. Jej głos był nieprzerwanym pasmem hałaśliwych westchnień. Ben robił wszystko, żeby zamknąć jej usta. Alkohol przyszedł mu z pomocą.

- Co sądzisz o jego żonie?

- Słucham?

- Co myślisz o żonie Harrisona Kiplinga?

Instynktownie zrobił ruch, którego unikał przez cały wieczór. Odwrócił się i spojrzał na Jinx.

- Bardzo młoda, nie uważasz? W tym miesiącu skończy dwadzieścia siedem lat, pomyślał.

- Wiem, że on jest bogaty i bardzo przystojny, ale będąc jej matką, chyba nie byłabym szczęśliwa, gdyby moja córka związała się z mężczyzną w tym wieku.

Nie mogłabyś być jej matką, pomyślał Ben, widząc przed oczami twarz Kate, jej jasne włosy i błyszczące oczy. Nagle dotarło do niego, że usłyszał śmiech. Odwrócił się w kierunku, z którego dochodził. To Jinx się śmiała. Ponownie odwrócił głowę, ale jego wzrok padł na jedną z fotografii stojących na fortepianie. Ze zdjęcia patrzyła na niego Kate. Chociaż była starsza, z kilkoma zmarszczkami wokół oczu i zaokrąglonym podbródkiem, wyglądała tak, jak ją sobie wyobrażał - była przepiękna.

- Jak ona się nazywa?

- Słucham? - zapytał, nadal zauroczony zdjęciem w srebrnej ramce.

- Kiedy Kipling nas przedstawiał, nie wymienił imienia swojej żony.

Ben nawet tego nie zauważył. Był pod zbyt dużym urokiem hiacyntowych oczu, alabastrowej cery, a szczególnie dołka na czubku nosa. Teraz, kiedy Sylvia o tym wspomniała, rzeczywiście wydało mu się to dziwne.

Wszystko wydawało mu się dziwne. Od lat zajmował się promocją dla „Kipling Worldwide”, ale ich kontakty ograniczały się wyłącznie do pracy. Dlaczego zaprosił go do siebie? Czyżby wiedział, kim naprawdę jest? Czy ona wiedziała? A jeżeli nawet, to po co to całe przedstawienie?

Wtem ogarnęła go panika. Powiedział wprawdzie Sylvii o Kate, ale nigdy nie zrelacjonował jej całej historii. A co się stanie, jeśli Jinx przedstawi go wszystkim jako swojego ojca? Albo po prostu powie Sylvii? Co się stanie, jeśli podejdzie do niego?

Ben poprosił o następną wódkę. Tym razem już o podwójną.

Antyczne arrasys wisiały na wszystkich ścianach jadalnych, przydając ciepła ogromnej przestrzeni stonowanymi odcieniami malowideł Rubenesque'a, które miały podkreślić atmosferę wieczoru. W sali stało osiem stołów dla sześćdziesięciu czterech gości, pięć wygodnie ustawionych w jadalni i trzy rozrzucone w galerii. Śnieżnobiałe obrusy stanowiły neutralny podkład dla wielobarwnych kompozycji z kwiatów i cieniutkich jedwabnych wstążeczek w przytłumionych kolorach rdzy, brunatnej zieleni, przyćmionego błękitu i starego srebra. Wysokie białe świece płonęły w srebrnych świecznikach i ich stonowane światło migotało w kryształach kielichów. Na każdym stole stała inna porcelana oraz srebra i kryształy o innym ornamentcie. Każde miejsce oznaczone było złotą figurką zwierzęcia, o które oparta była wizytówka z ręcznie wypisanym nazwiskiem gościa. Każdy z gości otrzymał małe pudełeczko z kompozycją kwiatów i ziół rozsiewających wonne zapachy.

Jinx i Kip godzinami zastanawiali się, jak usadzić gości. W końcu zdecydowali, że posadzą Sylwię obok Leonarda Bernsteina, natomiast Ben zasiądzie przy innym stole naprzeciwko Jinx. Stolik Kipa znajdował się pośrodku.

Prawie przez cały posiłek Ben nie odezwał się ani słowem. Jinx nie mogła nie zauważyć, jak często prosił o dolewkę wina i jak rzadko kierował rozmowę w jej stronę. Pragnęła go wyczuć, dowiedzieć się, kim jest, na czym mu w życiu zależy i co myśli, ale utrudniał jej to na każdym kroku.

Kiedy serwowano koktajle, spostrzegła, że podszedł do fortepianu i wodził dłonią po zdjęciu Kate. Wydawało jej się, że widziała, jak jego nikły uśmiech przerodził się w nerwowe ściągnięcie brwi. Była przekonana, że wiedział, kim jest. Czy czekał, aż sama mu się przedstawi? A może trzymał się na uboczu, gdyż nie był do końca pewien, czy była jego córką?

Podano kawę. Jinx podniosła się z krzesła i obeszła gości. Kiedy zbliżyła się do stolika Sylvii Ross, zatrzymała się na chwilę, słuchając wywodów żony Bena na temat cnót dobroczynności. Była to atrakcyjna kobieta, ładnie ubrana i wyglądała na inteligentną, jednak nie tej klasy co Kate. Nie było w niej tego blasku, tej pasji i namiętności. Uznała, że są ze sobą zupełnie nieporównywalne.

Sama ta myśl wprowadziła Jinx w nastrój przygnębienia i umocniła ją w poczuciu winy i w przekonaniu, że to przez nią Ben porzucił Kate.

- Jak sobie radzisz?

Jinx nie zauważyła Kipa, dopóki nie poczuła jego ręki na swojej talii. Delikatnym, lecz pewnym ruchem odciągnął ją od stolika Sylvii.

- Sama nie wiem - odparła z wahaniem. - Właśnie obserwowałam moją macochę.

- I jaki jest werdykt?

- Nie chcę być niesprawiedliwa. Przecież nie zamieniłam z nią więcej niż dziesięć słów.

- A co z Benem?

- On też nie był zbyt wylewny! - powiedziała z nerwowym uśmiechem.

- Jeszcze trochę cierpliwości. Gdy już będzie po kawie i wszyscy pójdą do oranżerii na drinka, zaproś go do biblioteki.

- A jak mi odmówi?

Kip uśmiechnął się i pocałował ją w policzek. - Wtedy zawołaj mnie.

Przez około pół godziny Kip oprowadzał Sylwię Ross i paru innych gości po swojej willi. Większość kobiet spotkała się w toalecie, a mężczyźni poszli do oranżerii na lampkę brandy i cygaro. Jinx spotkała Bena, kiedy wychodził z jadalni. Dotknęła ręką jego ramienia.

- Panie Ross, czy nie mógłby pan na chwilę pójść ze mną do biblioteki? - Na dźwięk jej głosu zamarł w bezruchu. Jinx liczyła sekundy do jego odpowiedzi.

- Z całą przyjemnością - odpowiedział, próbując pokryć uśmiechem narastający atak paniki.

Przeszli przez korytarz znajdujący się na tyłach salonu zatrzymując się przed małą, domową biblioteką. Zaprosiła Bena do środka, zaproponowała, żeby usiedli i zamknęła drzwi.

- Może kieliszek brandy? - zapytała tonem zapobiegliwej gospodyni.

- Byłoby wspaniale - odparł z miną uprzejmego gościa. - Bardzo dziękuję.

Wolno nalewała dwa drinki, starając się uspokoić myśli. Nie mogła w nieskończoność przedłużać tej czynności, więc przeszła przez pokój małymi kroczkami, głęboko oddychając. Tysiące razy ćwiczyła tę scenę, mimo to ogarnął ją strach. Dwa razy usiłowała się odezwać, lecz zdołała tylko bezgłośnie poruszyć wargami.

Zauważył jej wahanie i spróbował ją zniechęcić.

- Pani Kipling, nie chcę być niegrzeczny, ale może zdradziłaby mi pani powód, dla którego zaprosiła mnie pani do tego pokoju?

- Z tego, co wiem, po wojnie był pan w Berlinie - powiedziała ignorując jego zniecierpliwienie.

Ben napił się brandy, głośno odetchnął i spojrzał na zegarek. Nie ukrywał swojego niezadowolenia, jednak Jinx postanowiła kontynuować tę rozmowę.

- Moja matka była pielęgniarką w wojskowym szpitalu w Berlinie. Nazywała się Kate Freedman. - Spodziewała się ledwo zauważalnego westchnienia, subtelnego ruchu brwi, ale nazwisko Kate nie wywołało żadnego wrażenia, żadnego zauważalnego drgnienia twarzy.

Ben poczuł ucisk w żołądku, jak gdyby poczucie winy zalało jego wnętrze żrącą żółcią. Wiedział, co zaraz nastąpi. Czy powinien powiedzieć, kim naprawdę jest? Co ona zrobi dalej? Może lepiej okazać żal i skruchę albo paść na kolana i błagać, żeby nie ujawniła tej tajemnicy.

- Dzisiejszego wieczoru zauważyłam, jak przyglądał się pan jej fotografii - nalegała Jinx.

- Nie przypominam sobie zdjęcia pielęgniarki - powiedział obojętnie.

Ale przypomniał sobie, jak bardzo ją kochał, jak wspaniale było im razem i jak puste było jego życie bez Kate.

- Stało na fortepianie. W oranżerii. - Jinx ogarniała złość. - I nie była w fartuchu pielęgniarki, miała na sobie białą suknię.

- Ta blondynka? Ach, tak - przyznał, na chwilę rozszerzając wargi w protekcyjnym uśmiechu. - Bardzo atrakcyjna. Jest pani do niej podobna.

Serce zaczęło walić jej w piersi i poczuła, jakby w jej gardle narósł ogromny guz odcinający jej płuca od powietrza.

- Nie, panie Ross - powiedziała, nachylając się nad nim i spoglądając mu w twarz. - Wyglądam dokładnie tak jak pan.

- Przyznaję, że to komplement - odpowiedział Ben, obawiając się, że Jinx dostrzeże krople potu zbierające się wokół kołnierzyka jego koszuli.

- To podobieństwo bierze się stąd - mówiła Jinx nie spuszczając wzroku z jego twarzy - że jest pan moim ojcem.

Tym razem doczekała się odpowiedzi.

- Pani Kipling, jeśli to pani styl żartów, to muszę przyznać, że ma pani bardzo specyficzne poczucie humoru.

Jego ton był ostry, spojrzenie zimne i nieczułe, lecz serce pękało mu z bólu. Powiedz jej! - nakazywał mózg. - Weź ją w ramiona i przytul do siebie. Zapomnij o tym, co powie Sylvia i

Becca. Napraw wyrządzoną krzywdę. Przyznaj, że ta piękna kobieta jest twoją córką!

- Nie nazwałabym tego żartem - powiedziała. - Kiedy miałam piętnaście lat, dowiedziałam się, że Hank Elliot, człowiek, który mnie wychował, nie jest moim prawdziwym ojcem. Zaadoptował mnie po tym, jak pan porzucił mnie i moją matkę. Całe lata wierzyłam, że pan nie żyje. Ostatnio odkryłam, że jednak pan nie umarł. - Uśmiechnęła się w nadziei, że dotrze do niej chociaż promyk jego ciepła. - Zaprosiłam pana tutaj, gdyż chciałam się z panem spotkać. Chciałam spróbować naprawić wszystkie stracone lata, poznać pana i pozwolić, żeby pan mnie poznał.

Zdawało jej się, że w jego oczach dostrzegła upragniony błysk czułości, lecz kiedy się odezwał, zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo się myliła.

- Pani Kipling, to bardzo wzruszająca historia, ale proszę mi wierzyć, że to czysta fikcja. - Boże, wybacz mi moją słabość, pomyślał. - Nigdy nie znałem kobiety o nazwisku Kate Freedman. Nigdy też nie miałem żadnego dziecka oprócz mojej córki.

- A pańska córka nazywa się Frances Rebecca - brnęła dalej - tak samo jak ja. Obie nosimy imię pańskiej matki: Franyu Bekah, która umarła w wieku czterdziestu lat.

Pokochałaby cię, pomyślał zawstydzony do głębi, lecz postanowił trzymać się swojej linii obrony.

- Co więcej, są trzy kobiety o tym samym imieniu - kontynuowała, zdecydowana naświetlić kulisy tej historii, nieświadoma tego, jak głęboko sięgała ta penetracja. - Cissie Gold, która jest córką pana siostry Tessy, Frankie Travis, córka pańskiej najmłodszej siostry Lillie i była jeszcze jedna Frances Rebecca, która zmarła, kiedy miała osiem lat. Są moimi kuzynkami! I bez względu na to, czy się pan z tym zgadza czy nie, jest pan moim ojcem.

Ależ chcę cię uznać za swoje dziecko, krzyczał bezgłośnie, ale nie mogę. Potrzebuję czasu. Muszę pomyśleć. Muszę się zastanowić, co powiedzieć innym.

Jinx wlepiła w niego wzrok. Twarz Bena była całkiem nieprzenikniona. Wiedziała, że jej słowa zabrzmiały jak rozpaczliwe, jednak czuła, że coraz bardziej się od niej oddała. Jakby potwierdzając jej obawy, Ben podniósł się z fotela i ruszył do drzwi.

- Pani Kipling, może gdybym zawołał kelnera i poprosił o filiżankę kawy, poczułaby się pani lepiej.

Jinx chwyciła go za ramię i prawie na niego krzyknęła.

- Nie jestem pijana! Nie jestem chora ani szalona! Poślubił pan moją matkę w Berlinie! Widziałam akt waszego małżeństwa! - z całych sił trzymała go za ramię, patrząc mu prosto w oczy. - Czytałam pańskie listy! Biła z nich taka namiętność, uczucie i tęsknota. Nieważne, co pan teraz mówi. Pan ją kochał! Jedyne pytanie, które panu zadaję, to dlaczego ją pan opuścił? Dlaczego mnie też pan porzucił?

Oczy nabiegły jej łzami. Jego upór wrzynał się w jej trzewia jak rogi byka, rozrywając wewnątrz. Porzucił ją, kiedy była niemowlęciem, i chociaż sama świadomość tego faktu głęboko ją raniła, była tylko niezauważalnym draśnięciem w porównaniu z cierpieniem, którego doznawała teraz, słysząc, jak się jej wypiera.

- Nigdy nie znałem Kate Freedman - powtarzał jak automat wypluwający nagrany zapis. - I, szczerze mówiąc, mam już dosyć wysłuchiwanie tych bezpodstawnych oskarżeń.

Odwrócił się do niej plecami, przetykając gorzkie łzy, które jak żądła wgryzały się w jego oczy.

Jinx podeszła do szuflady i wyjęła z niej wyblakłą fotografię.

- To pan - powiedziała wskazując na zdjęciu małą postać.
- Trzyma pan w objęciach kobietę, której rzekomo nigdy pan nie widział. Ta kobieta jest moją matką!

Ben potrzęsnał głową. Jinx spróbowała wręczyć mu zdjęcie, ale nawet na nie nie spojrział.

- Nawet gdybym rzeczywiście ją znał, jedna zamazana fotografia nie jest jeszcze dowodem ojcostwa.

- A co z aktem urodzenia, w którym w miejscu „nazwisko ojca” wpisany jest Benjamin Rostov?

- Pani Kipling, raz na zawsze zamierzam skończyć naszą rozmowę. Jest bardziej niż pewne, że matka panią okłamała. Większość ze znanych mi pielęgniarek była bardzo frywolna. Może nie wiedziała, kim był pański ojciec.

Ben usłyszał własne słowa i był nimi zaszokowany. Jak mógł zniesławić Kate w tak perfidny sposób? Przez chwilę czuł, że zawładnął nim jakiś bezduszny potwór. Trząsł się na całym ciele i chcąc ukryć drzenie, chwycił poręcz krzesła.

- To obrzydliwe - syknęła Jinx wściekła na Bena i na siebie, że pragnęła pokochać takiego człowieka. - To pan kłamie.

- Doprawdy?

Jego myśli gnały jak szalone, próbując wyplątać się z sieci kłamstw, którą sam utkał. Może jeśli pomyślę o wszystkich konsekwencjach, o wszystkich ubocznych skutkach tego wyznania, będzie mi łatwiej to znieść, pomyślał.

- To prawda, byłem w Berlinie - powiedział - nazywałem się Benjamin Rostov, i jak pani widzi, moje miejsce jest między żywymi. Już w tym fakcie należy doszukiwać się kłamstwa. Dlaczego inna część tej historii miałaby być prawdziwa?

- A co z moim imieniem?

- Frances nie należy do rzadkości - powiedział przypominając sobie, jak dotknęła go wiadomość o tym, co

zrobiła Kate. - To, że nazywa się pani tak samo jak moja córka, jest zwyczajnym zbiegiem okoliczności.

Słuchał tego, co mówi, i sam nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Był starszy, prawdopodobnie bardziej doświadczony i mądrzejszy, ale jedno było pewne - nadal nie był w stanie unieść ciężaru odpowiedzialności, tak jak nie potrafił tego zrobić dwadzieścia siedem lat temu.

W tym momencie przerwało im ciche pukanie do drzwi. Jinx otworzyła, wiedząc, kto stoi po drugiej stronie. Głowa Bena odwróciła się w stronę drzwi, w obawie, że ta katastrofalna sytuacja może się jeszcze pogorszyć. Miał rację. Halona zniosła na dół Joy. Jinx zaaranżowała jej wejście, które miało uwieńczyć chwilę pojednania. Nawet nie przyszło jej do głowy, że obecność Joy będzie dla niej ostatnią deską ratunku. Wzięła niemowlę z rąk Halony i przytuliła do siebie. Podeszła do Bena. Ściągnął twarz i nie był już taki przystojny, miał więcej zmarszczek.

- To pańska wnuczka - powiedziała, pokazując mu córeczkę.

Joy przylgnęła do matki maleńkimi rączkami, otworzyła lawendowe oczy, skrzywiła nosek z malutkim dołeczkiem i uśmiechnęła się.

Benowi huczało w głowie. Nagle znalazł się w Berlinie, stał w wojskowym szpitalu i patrzył przez szybę na narodzoną właśnie córkę, której twarz nieustannie pojawiała się w jego snach.

- Ma na imię Joy - rzekła z dumą Jinx. - Czy chciałby pan wziąć ją na ręce?

Ben patrzył na dziecko i wydawało mu się, że trwa to całe wieki. Oczywiście, że chciał je potrzymać. Była jego krwią, jego kośćmi i jego nieśmiertelnością. Pragnął przytulić ją do siebie i dotknąć delikatnej skóry pod małą bródką. Pragnął przycisnąć ją do swojej piersi. Ale niczym zwierzę złapane w

sidła nie mógł uwolnić się z pułapki, którą sam na siebie zastawił. Musiał się stamtąd wydostać. Musiał natychmiast wyjść. Przeszedł obok Jinx i otworzył drzwi.

- Nie pasuję do pani szekspirowskiej tragedii, pani Kipling - powiedział ochryłym głosem, maskującym ogrom cierpienia. - Bardzo dziękuję za zaproszenie. Dobranoc.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku drzwi. W jednej chwili Jinx oddała dziecko Halonie i chwyciła go za ramię.

- Nie! Nie zrobisz mi tego! - krzyknęła wyrzucając z siebie gorycz, która kipiała w niej jak lawa w wulkanie. - Już raz ode mnie odszedłeś. Byłam wtedy zbyt mała, żeby cokolwiek zrobić. Ale teraz musisz powiedzieć prawdę. W przeciwnym razie gorzko zapłacisz za swoje kłamstwa!

Ben uwolnił się od jej uścisku i nie oglądając się uciekł z biblioteki. Jinx nie widziała jego łez ani nie słyszała skowytu bólu, który wyrwał się z ust, paroksyzm cierpienia targnął jego ciałem. Widziała jedynie pustą przestrzeń, którą przed kilkoma minutami wypełniał człowiek będący jej ojcem.

Czuła się sparaliżowana odtrąceniem, unieruchomiona przez gniew, który nią zawładnął. Joy zaczęła popłakiwać. Jinx wzięła ją w ramiona i przez kilka minut matka z córką trwały w jednoczącym objęciu.

Wkrótce pojawił się Kip. Bez słowa wziął Joy z rąk Jinx, prosząc, żeby Halona zabrała dziecko na górę. Chciał położyć Jinx na sofie, ale nie była w stanie się ruszyć. Stała z oczami wlepionymi w otwarte drzwi.

- Teraz wiem, jak czuła się moja matka - wyszeptała. - Był zimny i bez serca. Kip otoczył ją ramieniem. Jej ciało było sztywne jak kłoda.

- Chodź, porozmawiajmy.

Odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

- Moja matka pozwoliła mu odejść - powiedziała trochę zdziwiona, że ciągle nie może jej wybaczyć.

- Może dobrze zrobiła.

- Może to było dobre dla niej, ale nie dla mnie. Benjamin Ross jest moim ojcem. Ja to wiem i on to wie. Pewnego dnia musi się do mnie przyznać i musi przyznać się do mojej córki. Zbyt wiele jest mi winien.

- Niektórzy ludzie nigdy nie spłacają długów - powiedział Kip zaniepokojony agresją w głosie Jinx.

- Być może. - Jinx mocno zacisnęła szczęki. Jej oczy zapłonęły żądzą zemsty. - Ale wierz mi, Benjamin Rostov zapłaci. W ten czy inny sposób.